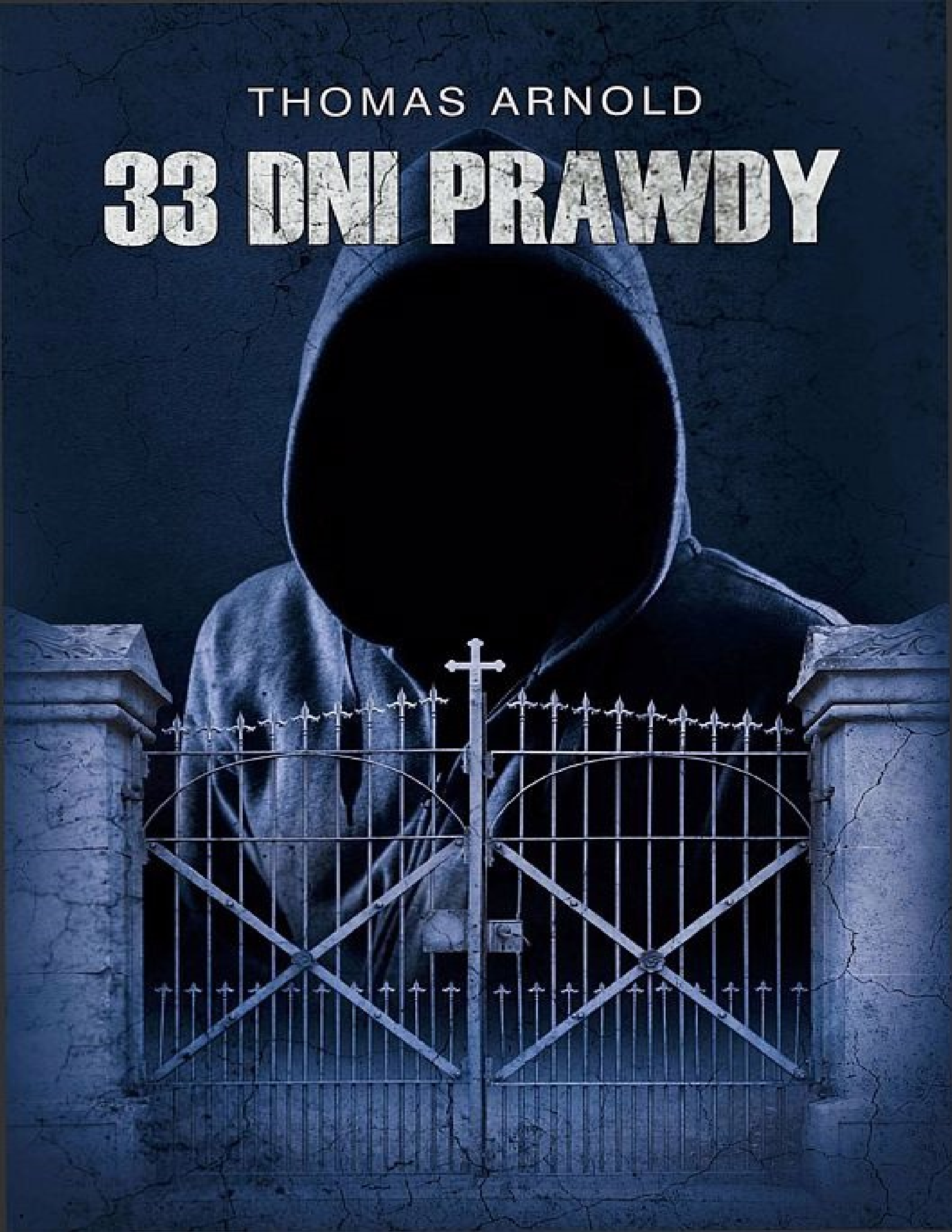


THOMAS ARNOLD

33 DNI PRAWDY



THOMAS ARNOLD

33 DNI PRAWDY



AGENCJA REKLAMOWO-WYDAWNICZA
VECTRA

Strona redakcyjna

Thomas Arnold

33 dni prawdy

Redakcja

Robert Ratajczak

Współpraca

Sabina Zarzycka

Korekta

Katarzyna Spyrka

Danuta Dworaczek

© by Thomas Arnold

Wydanie II

Skład i łamanie

Artur Kaczor

PUK KompART, Czerwionka-Leszczyny

ISBN 978-83-60891-66-7

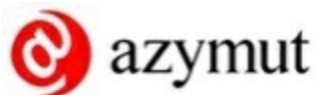
Wydawca

Agencja Reklamowo-Wydawnicza „Vectra”

Czerwionka-Leszczyny 2016

www.arw-vectra.pl

Publikacja elektroniczna



Powieść ta jest fikcją literacką. Nazwiska, postaci, miejsca i zdarzenia są dziełem wyobraźni autora. Użyto ich w sposób fikcyjny i nie powinny być interpretowane jako rzeczywiste. Wszelkie podobieństwa do prawdziwych zdarzeń, miejsc, organizacji lub osób są wyłącznie dziełem przypadku.

Książka ta ujrzała światło dzienne, dzięki osobom bardziej wierzącym we mnie, niż ja sam. Dziękuję Agencji Reklamowo-Wydawniczej „Vectra” za radę, wsparcie i wszelką pomoc oraz Pani Danucie Dwomczek za ogromne zaangażowanie w powstanie tej powieści.

TYDZIEŃ PRZED GŁÓWNYMI WYDARZENIAMI

Detroit Ave., Cleveland

Jednemu z samochodów mknących główną ulicą nieoczekiwanie zaświeciły się czerwone światła stopu. Kierowca pojazdu jadącego tuż za nim mocno wcisnął pedał hamulca i odbił na sąsiedni pas ruchu. Rozległ się klakson ciężarówki nadjeżdżającej z naprzeciwka.

— Co za cholerny bałwan! — krzyknął mężczyzna po powrocie na swój pas. Trzeźwość umysłu uchroniła go przed czołowym zderzeniem z dużym samochodem-chłodnią. Błyskawiczny refleks uratował mu życie.

Tymczasem kierowca czarnego, starego mustanga, który spowodował groźną sytuację, jak gdyby nigdy nic wjechał na wysoki krawężnik i przejeżdżając przez chodnik, wtargnął na pas zieleni oddzielający kilkupiętrowy budynek od jezdni.

Przypadkowi przechodnie patrzyli na niego jak na wariata. Jakiś staruszek pogroził mu pięścią i poklepał się palcem w skroń, mrużąc pod nosem obelgi.

Mężczyzna miał gdzieś, co o nim pomyślał i dodał gazu. Spod tylnych kół wydobyły się grudki ziemi i trawa. Po przejechaniu pięćdziesięciu metrów skręcił kierownicę i zaciągnął ręczny hamulec, blokując tym samym koła. Samochód wpadł w kontrolowany poślizg i zatrzymał się niemalże przed samym wejściem do czteropiętrowej kamienicy, pozostawiając głębokie ślady na trawniku.

Drzwi zaskrzypiały i podejrzany typ w spranych jeansach i białym podkoszulku opuścił pojazd. Miał krótko ścięte włosy, na szyi połyskiwały dwa grube, złote łańcuchy, a na ręce zegarek z tego samego kruszcu. Większą część skóry na jego ciele pokrywały tatuaże — od pajęczyny na prawym ramieniu po wizerunek nagiej kobiety ciągnący się niemalże przez całą lewą rękę.

Bezpardonowy kierowca nazywał się Stephen Fox i był doskonale znany każdemu podejrzanemu typowi szwendającemu się nocą po ciemnych zakamarkach miasta.

Zabrał kurtkę leżącą na tylnym siedzeniu. Z kieszeni wyciągnął paczkę papierosów, włożył jednego do ust i sięgnął po zapalniczkę. Zaciągnął się głęboko i wypuścił obłok gęstego dymu. Zarzucił kurtkę na plecy, trzasnął drzwiami i poszedł w kierunku wejścia.

Dawniej ten rozpadający się i zniszczony kompleks biurowców, zlokalizowany nieopodal głównej drogi, był postrachem dla wszystkich przejeżdżających lub przechodzących obok. Władze miasta przez długi czas starały się znaleźć inwestora, który przekształciłby tę ruinę w miejsce przyjazne dla oka. Lokalizacja jednak nie była najlepsza, a spora inwestycja o dużym stopniu ryzyka nikomu nie była na rękę. Jednak okazja do zagospodarowania tego terenu nadarzyła się sama.

Zbliżające się wybory wymusiły na władzach miasta, pragnących utrzymać obecne stanowiska, ukierunkowanie działań na poprawę egzystencji najbiedniejszych obywateli. Obecna pani burmistrz wraz ze swoim zespołem, korzystając z państwowych funduszy, przekazała kilka milionów dolarów na odnowienie zniszczonych budynków i przekształcenie ich w osiedle socjalne. Stworzenie kilkuset nowych mieszkań udobruchało opinię publiczną i władze miasta mogły spokojnie przygotowywać się do następnej kadencji.

Gangster z niedowierzaniem przekroczył próg odnowionego budynku. Rozejrzał się po klatce schodowej. Wszystko pachniało jeszcze świeżością. Na drzwiach zobaczył tabliczkę z napisem *ZAKAZ PALENIA*. Uśmiechnął się, pokręcił głową i strzepnął popiół z papierosa na nową posadzkę. Nie mógł zrozumieć, jak ktoś taki, jak Daniel Young — życiowy nieudacznik i ofiara losu — mógł mieć takie szczęście.

Ruszył na górę. Schody pokonał w niecałą minutę. Stał przed drzwiami mieszkania, które władze miasta przydzieliły dawnemu kompanowi. Zadzwoił, a następnie głośno zapukał. Po kilku sekundach powtórzył obie czynności. Przystawił ucho do drzwi. Nie usłyszał nawet najmniejszego szmeru. Zaczął się niecierpliwić, wiercić i przestępować z nogi na nogę. W jego zachowaniu widać było podenerwowanie. Już miał zadzwonić kolejny raz, kiedy usłyszał szcęk zamka.

— Nareszcie — warknął i zgasił papierosa na futrynie drzwi, pozostawiając czarny ślad.

W niewielkiej szczelinie pojawiła się znajoma twarz.

— Fox? — zaczął niepewnie lokator.

— A kogo się spodziewałeś? Co jest? Jeżeli nie masz zamiaru mnie

wpuścić, to chociaż powiedz, po cholere gnałem tutaj na złamanie karku.

— A kto ci kazał gnać na złamanie karku? Powiedziałem, że masz się zjawić jak najszybciej. Nie mówiłem, że masz się po drodze zabić...

Fox zagryzł zęby i zacisnął pięści. Kotłowała się w nim złość. Najchętniej od razu dałby jej upust.

Gospodarz był opanowany i niewzruszony postawą gościa, a jego blada i zmizerniała twarz wyglądała, jakby była całkowicie pozbawiona uczuć. Rzucił puste spojrzenie w stronę przybysza i bez słowa odblokował łańcuszek. Otworzył drzwi na oścież, co miało oznaczać „wejdz” i wolno poszedł przodem w kierunku małego pomieszczenia pełniącego zarówno funkcję salonu, jak i pokoju gościnnego.

Opryszek wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

— Nie chcę zachowywać się jak twoja matka, ale nie wyglądasz najlepiej. Powiem więcej, wyglądasz jak kupa gówna.

— Dziękuję.

— Nie ma za co. Wiesz, że szczerłość zawsze była moją mocną stroną.

— Na razie uznajmy, że zapomniałem rano zjeść witaminy.

— Na razie? Zresztą... Jak chcesz. Widzę, że nieźle się urządziłeś. Pewnie wieczorami sprowadzasz tutaj panienki. Założę się, że kilka naraz. — Spojrzał podejrzliwie na kolegę. — Aaa... Tu cię mam. Już wiem, dlaczego jesteś taki wypompowany. — Zaniósł się śmiechem.

Gospodarz odwrócił się i pobłaźliwie zerknął na gościa.

— No już dobrze. Ty i te twoje zasady. Mówię ci, daleko z nimi nie zajdziesz.

Young przeszedł do skromnie urządzonego aneksu kuchennego i wyjął z szafki szklankę. Nalał do niej soku pomarańczowego i wrzucił dwie kostki lodu z zamrażarki. Tak przygotowany napój podał znajomemu.

— Przynajmniej jakieś zasady mam.

— Nie to, co ja? — Fox kilkoma haustami pochłonął zawartość szklanki i odstawił ją na pobliską szafkę.

— Tego nie powiedziałem.

— Ale tak pomyślałeś. Dobra... Dajmy temu spokój. Nie przyszedłem tutaj debatować nad sensem życia. Mów, o co chodzi, bo nie mam dla ciebie całego dnia.

— A gdzie ci się spieszy?

— Do swoich spraw. Nie wszyscy dostają chatę za darmo. Ja muszę na nią zapracować.

Gospodarz wysilił się na uśmiech i wbił wzrok w podłogę.

— Dziesięć lat kryłem twoją dupę! Dziesięć pieprzonych lat! Tak więc chyba możesz poświęcić mi trochę uwagi, gdy o to proszę! — Spokojny jak dotąd Daniel Young, w ciągu kilku sekund zmienił się nie do poznania.

Gość przewrócił oczami i westchnął głęboko.

— Chyba nie zaczniesz znowu wywlekać na wierzch tej sprawy? Ile razy będziemy do niej wracać?

Dwudziestodzieciolatek nie odpowiedział. Zmrużył oczy i założył ręce na piersiach.

— Przecież pomogłem ci stanąć na nogi — kontynuował Fox. — Czego jeszcze chcesz? Kasy, panienek? Wymień, to ci załatwię.

— Twojego bezwzględnego oddania.

— Co? Chyba cię popieprzyło.

— To całkiem prawdopodobne.

— Słuchaj... — Fox nachylił się i spojrzał rozmówcy prosto w oczy. — Jeżeli uważasz, że przez wzgląd na dawne czasy będę twoim chłopcem na posyłki, to się grubo mylisz!

— Masz rację.

— W czym znowu mam rację?

— W tym, że poprzestawiało mi się w głowie.

— Cieszę się, że wreszcie się zgadzamy!

— Mam guza mózgu.

Nastała grobowa cisza. Gościa zamurowało. Gangster mający się za największego twardziela w okolicy, nie wiedział, jak zareagować.

— Coś tak nagle ucichł? — Young wstał i wyjrzał przez okno.

— Dlaczego wcześniej nic nie powiedziałeś?

— A co miałem powiedzieć?

— Że jesteś chory... że...

— Umieram? — dokończył Young.

— Na przykład. — Fox całkowicie zmienił ton i styl wypowiedzi. Sam się dziwił, ale zaczynał współczuć przyjacielowi z podwórka. Coś w nim drgnęło.

— Daj spokój. Przecież to by niczego nie zmieniło.

— Moglibyśmy poszukać środków na leczenie.

— Zabawiłbyś się w Robin Hooda? Zabrał bogatym i rozdał biednym?

— Nie wiem. Coś by się wymyśliło.

— Za późno na leczenie. Doszło już do przerzutów. Lekarz dał mi pół roku.

— A kiedy u niego byłeś?

— Rok temu.

Foxa znowu zamurowało. Rzadko mu się to zdarzało. A dokładniej... nigdy.

— Jeżeli przeżyłeś pół roku dłużej, nic nie stoi na przeszkodzie, abyś pożył jeszcze kolejne pół roku albo nawet rok, albo...

— Nie, nie. Czuję się coraz gorzej i nie będę już w stanie zbyt długo oszukiwać śmierci. Wystarczająco się na mnie naczekała.

— Chyba zaczynam się domyślać, po co mnie tu wezwałeś.

— Oj... Wierz mi, że nie.

Gość ściągnął brwi.

Daniel Young nie należał do ludzi skrytych. Zawsze mówił, co myśli i nigdy nie owijał w bawełnę. Teraz zachowywał się, jakby był zupełnie kimś innym.

Biorąc pod uwagę nieubłaganie zbliżającą się śmierć przyjaciela, Fox zaczął zastanawiać się, czego on może chcieć. Kiedy trochę oprzytomniał po wstrząsających informacjach, zebrał się w sobie i poprawił na krześle.

— Widzę, że wreszcie przykułem czymś twoją uwagę — powiedział z lekkim uśmiechem Young.

— A jak myślisz? Nie co dzień dowiadujesz się, że twój przyjaciel umiera.

— Były przyjaciel.

— Ja dalej...

— Dajmy już temu spokój. W końcu nie ściągnąłem cię tutaj, żeby się z tobą kłócić.

— Racja. Tak więc... Jak mogę ci pomóc?

— I to mi się podoba. — Young przyklasnął w dłonie.

Fox mimowolnie uśmiechnął się. Pomimo złego charakteru, który ukształtowało w nim trudne życie, gdzieś tam, głęboko w środku, miał jeszcze niewielkie pokłady dobroci. Z niecierpliwością i lekką obawą czekał,

o co zostanie poproszony.

— Mów, co mam ci załatwić. Może panienkę? Albo dwie? Szybki samochód? Chcesz zaszaleć nocą po ulicach, jak za dawnych, dobrych lat?

Chory wykrzywił usta.

— To raczej kiepski pomysł.

— No. Masz rację. To może strzelnica? Zabijemy ten twój smutek. Albo przejdziemy się do knajpy i spasiemy tego raka tak, że przestanie wyżerać ci resztki mózgu.

Obaj zanieśli się śmiechem.

— Muszę przyznać, że dawno cię takiego nie widziałem.

— Poczekaj, bo się zawstydzę.

Fox wytarł oczy. Śmiali się do łez.

— To było dobre — zauważył szczerze Young.

— To co? Powiesz mi, co tam się zrodziło w tym twoim chorym umyśle?

— Dosłownie *chorym* — podchwycił gospodarz i ponownie wybuchnął śmiechem. Kiedy w końcu się opanował, wstał i wyjrzał przez okno.

— Jak ci się podoba nowy wzór na trawniku przed wejściem?

— Jaki wzór?

— Wjechałem na ręcznym.

— Ach, ten... Jak zwykle się popisujesz. Wjechałeś na trawnik? To się nie spodoba lokatorom.

— Zatrzymałem się przed samymi drzwiami — zaznaczył dumnie. — Nie wiedziałem, co szykujesz. Miałeś głos, jakbyś kogoś zabił. Pomyślałem, że możesz potrzebować pomocy w pozbyciu się trupa. Stałem więc blisko wejścia, żebyśmy nie musieli daleko nosić zwłok — rzucił wesoło Fox.

Daniel Young milczał. Zachowywał się tak, jakby w ogóle nie usłyszał ostatniego zdania.

Gościa przeszły ciarki.

— Chyba sobie ze mnie kpisz — warknął, widząc poważną minę przyjaciela siadającego na krześle.

— Dlaczego?

— Chcesz powiedzieć, że kogoś zabiłeś?

— Nie.

— To dlaczego masz minę, jakbyś właśnie to zrobił?

Schorowany mężczyzna nie odpowiedział, tylko podał koledze kremową kopertę, która do tej pory cały czas leżała na stoliku.

— Co to?

— Otwórz i zobacz.

— Zaczynam się ciebie bać.

Young uśmiechnął się i spokojnie poczekał na reakcję rozmówcy.

— Co to ma być? Czekał, czy to nie ta siksa... Oczywiście! — Fox trzymał przed sobą zdjęcie młodej dziewczyny. — Chyba mi nie powiesz, że masz pretensje o tę lalunię, którą ci sprzątnąłem sprzed nosa.

— Nie. Absolutnie. Wręcz przeciwnie.

— To o co chodzi?

— Szukaj dalej.

— Czego?

Young zastanowił się przez chwilę.

— W kopercie nie ma niczego więcej oprócz zdjęcia?

— Przecież widzisz, co trzymam w ręce. Czekał... Dobra, mam. — Wyciągnął z koperty zagiętą kartę. Rozłożył ją i zaczął wgłębiać się w treść. — Co to za medyczny bełkot? — zapytał po chwili.

— To zwolnienie ze szpitala tej... Jak ją nazwałś? Laluni?

— To jakaś starość... Sprzed trzech lat. Skąd to masz i po cholerę ci to?

— Otóż, mój drogi *przyjacielu*, tę dziewczynę znałem znacznie wcześniej niż ty.

— Nic z tego nie rozumiem.

— Przypomnij sobie, co robiliście tamtej pamiętnej nocy.

— Byłem tak pijany, że nie pamiętam.

— Założę się, że nie czytaliście książek.

— Pewnie nie.

— A pamiętasz, co działo się później?

— Jak mógłbym zapomnieć? Przez kilka tygodni nie wychodziłem z łóżka. Tak się wtedy załatwiłem, że szkoda gadać.

— Myślałeś, że masz gripę.

— Bo miałem.

— Nie miałeś.

— Jak to?

— Przyjrzyj się tej kartce jeszcze raz i powiedz, co widzisz na dole, po prawej stronie.

— Jakież wyniki badań. Pozytywne. W co ty ze mną grasz?

— W nic. Przestań wreszcie komentować i skup się na chwilę. Wczytaj się dobrze, to zrozumiesz.

Fox coraz szybciej tracił cierpliwość. Jeszcze raz spojrzął na kartkę. Ze złości miał zamiar podrzeć ją na strzępy, ale wtedy jego wzrok padł na dwa sąsiadujące pola. Po lewej stronie widniał napis HIV, po prawej znak „+”. Zatrzymał się na tej wartości. W szkole nie był prymusem, ale nie musiał posiadać stopnia doktora, aby stwierdzić, z czym ma do czynienia. Pot wystąpił mu na czoło. Jednocześnie poczuł lodowaty dreszcz i uderzenie gorąca. Spojrzął z przerażeniem na towarzysza siedzącego naprzeciwko.

— Już rozumiesz?

— Chcesz powiedzieć, że ta siksa ma AIDS?

— Tak... A dokładniej miała AIDS.

Opryszek poczuł ogarniającą go niemoc.

— Zmarła kilka tygodni temu.

— Czyli ta moja choroba... to nie była grypa, tylko...

— Pierwsze stadium zakażenia wirusem HIV. Teraz przechodzisz fazę drugą.

— Nie... Nie wierzę!

— Po co miałbym cię okłamywać?

— Od kiedy o tym wiesz?

— Od dawna.

— Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? Postradałeś zmysły, żeby zwlekać z czymś takim?!

Young nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się.

— I z czego rżysz? Przecież... jeżeli już od dawna o tym wiesz, to dlaczego mi nie powiedziałeś wcześniej, zanim się z nią... Ty gnido! — Fox zerwał się z kanapy i wystartował do towarzysza z pięściami. — Sprytnie to sobie wymyśliłeś! — Złapał go za koszulkę. — A myślałem, że wyjaśniliśmy sobie pewne kwestie!

Young nawet nie drgnął, kiedy osiłek pochylił się nad nim.

— Owszem, ale to ja spędziłem najlepsze lata życia w więzieniu, a nie ty. Wyszedłem i co? Dowiaduję się, że za chwilę umrę. Ty w tym czasie

balowałeś w najlepsze. Dwa razy mnie odwiedziłeś! Dwa pieprzone razy!

— I postanowiłeś się na mnie odegrać?!

— Nie.

— To jak inaczej to nazwiesz? Wiedziałeś, że ma AIDS i pozwoliłeś mi się z nią przespać.

— To prawda... — Young wstał. Stanął twarzą w twarz ze swoim gościem.

Fox zacisnął dłoń tak mocno, że aż palce mu strzeliły. Był gotów do wymierzenia ciosu. Tylko stan zdrowia Younga powstrzymał go przed brutalnym atakiem. Ostatecznie zwolnił uścisk, złapał się za głowę i wrzasnął.

Jego przeciwnik ani myślał stawać do nierównej walki. Odwrócił głowę w stronę szafki.

— Myślałem, że nasza przyjaźń coś dla ciebie znaczyła — kontynuował Fox. — A to co? — Zdziwił się, dostrzegając kolejną kopertę w rękach gospodarza. — Długo jeszcze będziesz się ze mną bawił w kotka i myszkę?

Young milczał i podał mu kolejną nieopisaną przesyłkę.

— Wyniki następnej dziwki?! — Mówił przez zaciśnięte zęby.

— Weź i otwórz. Po to cię tu wezwałem.

Gangster roześmiał się.

— Chcesz tym samym powiedzieć, że to, czego się dotychczas dowiedziałem, to nie wszystko?

— Zgadza się, przyjacielu... To dopiero początek twoich zmartwień.

Fox wyciągnął broń, przeładował i wycelował w głowę Younga.

— Nie radziłbym tego robić. Myślisz, że zapraszając cię tu i mając zamiar powiedzieć to, co powiedziałem, nie wziąłem pod uwagę takiego rozwoju wydarzeń? Na twoim miejscu zastanowiłbym się dwa razy. — Wskazał na niewielką kamerkę umieszczoną w obudowie monitora. — Obraz z tego zmyślnego urządzenia jest przekazywany gdzieś daleko stąd. Ktoś właśnie obserwuje twoje poczynania, więc uspokój się i siadaj.

— Gadaj zdrów!

— Jest coś jeszcze. Coś, co ci się bardzo nie spodoba, jeżeli spotka mnie jakakolwiek krzywda.

— Masz pięć sekund i lepiej się streszczaj.

Young podszedł do komputera. Wszystko miał przygotowane. Wystarczyło nacisnąć ENTER. Uruchomił się odtwarzacz i pojawiło okienko.

Włączył pełny ekran i odsunął się, aby gość mógł lepiej przyjrzeć się wydarzeniom uwiecznionym na nagraniu video.

Fox, po obejrzeniu kilkuminutowego filmu, opuścił pistolet i usiadł na sofie. Poczł bezradność.

— Nie muszę chyba mówić, co stanie się z tym nagraniem, jeżeli spadnie mi choć jeden włos z głowy...

— Powiedz w końcu, czego ode mnie chcesz?

— Otwórz kopertę, to się dowiesz.

— Przysięgam, że jeżeli będzie w niej kolejna tego typu wiadomość, co w poprzedniej, to nie ręczę za siebie.

Mężczyzna energicznym pociągnięciem oderwał zabezpieczenie. Na podłogę wypadło zdjęcie, a w jego dłoni pozostała mała kartka papieru. Podniósł fotografię i przyjrzał się osobie widniejącej na niej.

— Kim jest ta kobieta?

— To nieistotne.

— A co jest dla ciebie istotne?!

— To, co masz z nią zrobić.

TYDZIEŃ I

PONIEDZIAŁEK

Późny wieczór przyniósł ze sobą ochłodzenie. Wreszcie ludzie mogli otworzyć okna. Ci, którzy w swoich mieszkaniach nie mieli klimatyzacji, przeżywali w upalne dni prawdziwe katusze. Lato, chociaż jeszcze się nie skończyło, już zostało okrzyknięte najgorętszym w stuleciu. W ciągu dnia, termometry regularnie pokazywały ponad trzydzieści stopni w cieniu.

Kiedy Dona Jonson, niespełna sześćdziesięcioletnia przedszkolanka, otworzyła drzwi i przekroczyła próg swojego domu, uderzyło w nią gorące powietrze. Miała wrażenie, jakby weszła do wnętrza olbrzymiego pieca. W pierwszej chwili myślała, że tę noc spędzi na tarasie. W środku nie dało się wytrzymać. Szczelnie zamknięte okna i drzwi uwięziły wewnątrz domu olbrzymie ilości ciepła. Nie było czym oddychać.

Drzwi wejściowe pozostawiła otwarte. Było już ciemno i po omacku odszukała na ścianie włącznik. Kiedy trzy żarówki w małej lampie wiszącej w holu rozświetliły przestrzeń, kobieta zamarła. To, co zobaczyła, było trudne do opisanie.

Ściany i podłogę pokrywały czarno-białe zdjęcia dzieci w różnym wieku, ubranych w takie same mundurki. Już na pierwszy rzut oka można było powiedzieć, że fotografii jest kilkaset. Część z nich się powtarzała. Niektóre wielokrotnie.

Przedszkolanka zaczęła głęboko oddychać. Próbowwała się uspokoić, ale czuła, że zaczyna brakować jej tchu. Szybko oparła się o ścianę i wtedy zobaczyła, że drzwi wejściowe są nadal otwarte. Z impetem pchnęła skrzydło, które huknęło o futrynę. Niewielka szybka w drzwiach zatrzęsała się od uderzenia, a głuchy trzask rozniósł się po pokojach. U sąsiadów ktoś zgasił światło i ukradkiem wyjrzał przez okno.

Kobieta natychmiast oprzytomniała. Wyłączyła światła i zamknęła drzwi na klucz. Zerknęła przez szybkę, sprawdzając, czy aby ktoś się nie zbliża. Wiedziała, że sąsiedzi w tej okolicy często bywali aż nadto troskliwi. Chwilę pozostała w bezruchu. Bała się odwrócić i spojrzeć na to, co znajdowało się za nią.

Wiedziała, że nikt nie może tego zobaczyć. Oparła się plecami o drzwi.

Stała na początku korytarza i nie mogła zrobić kroku. Na jasnej bluzce pojawiły się ciemniejsze przebarwienia. Poczowała krople potu spływające po jej ciele. Mimo że na zewnątrz temperatura spadła poniżej dwudziestu stopni, w środku panowało istne piekło.

Sięgnęła do szuflady małego stoliczka stojącego nieopodal drzwi wejściowych i wyciągnęła latarkę. Miała nadzieję, że stare baterie zadziałają. Niepewnie nacisnęła czerwony guzik. Smuga światła przeszła ciemność panującą na korytarzu. Ruszyła naprzód.

Oświetliła najbliższe fotografie. Od razu rozpoznała znajdujące się na nich dzieci. Pamięć odżyła. Dwadzieścia parę lat skurczyło się do krótkiej chwili. Stawiając kolejne kroki, walczyła z własnym ciałem. Coś zaszeleściło pod jej stopami. Skierowała latarkę w dół. Nie zauważyła, że nastąpiła na fotografie rozrzucone na podłodze. Natychmiast cofnęła się. Przykucnęła i odgarnęła je na bok.

Na zdjęciach znajdowali się jej dawni wychowankowie z sierocińca, w którym niegdyś pełniła funkcję opiekunki. Pomimo upływających lat, doskonale kojarzyła wszystkie twarze. Zatrzymała się na fotografii nieco odróżniającej się od pozostałych. Oprócz małego chłopca widniała na niej również kobieta ubrana w zakonny habit. Bez problemu rozpoznała swoją twarz.

Odsunęła kolejne fotografie i ruszyła przed siebie. Przeskakując wzrokiem ze zdjęcia na zdjęcie, przywoływała w myślach obrazy z przeszłości. Przypominała sobie sylwetki dawnych wychowanków.

Wróciła pamięcią do dnia, w którym zdecydowała się wstąpić do zakonu, aby uciec przed światem zewnętrznym. W klasztornych murach i sierocińcu spędziła ponad dwadzieścia lat, po czym zakochała się i postanowiła ponownie zakosztować życia zwyczajnej kobiety.

Jej szczęście nie trwało jednak długo. Wybranek, dla którego porzuciła powołanie, znęcał się nad nią. Często bił ją do nieprzytomności. Po roku uciekła z toksycznego związku i znalazła pracę jako opiekunka w prywatnym przedszkolu. Zamieszkała w domu rodziców, którzy zmarli kilka lat później.

Patrząc na kolejne fotografie, była już pewna, że ktoś chce jej boleśnie przypomnieć o błędach, jakie popełniła. Bezwiednie stawiała kroki. Przestała odgarniać zdjęcia. Nieumyślnie deptała je.

W oddali dostrzegła pulsującą lunę światła. Zatrzymała się i przeżegnała. Z mocno bijącym sercem weszła do salonu.

Na stoliku stała do połowy wypalona świeczka. Część stopionego wosku utworzyła plamę na szklanym blacie. Tuż obok leżała stara książka.

Usłyszała hałas za oknem. Ze strachem odwróciła się i spojrzała za siebie. Na udrapowanej kotarze zobaczyła tylko własny cień. Rozejrzała się, ale nikogo nie dostrzegła. Podeszła do kanapy i usiadła. Przeczytała napis na księdze — *ROCZNIKI*. Ten tytuł utkwiał jej w pamięci już dawno temu. Zawierał spis wszystkich wychowanków sierocińca z danego okresu wraz ze zdjęciami. Podczas służby w murach tej placówki wielokrotnie do niego wracała.

Nie odważyła się dotknąć księgi. Czuła strach przed tym, co mogła zobaczyć na jej stronach.

Rozległ się dźwięk telefonu. Drgnęła. Dreszcz przeszył jej ciało. Pomimo gorąca, które wypełniało przestrzeń, poczuła przejmujący chłód.

Wstała i podeszła do aparatu, który nieustannie dzwonił. Podniosła słuchawkę, ale nie odezwała się ani słowem. Wyraźnie słyszała czyjś oddech.

— Halo? — Przemogła się wreszcie.

Odpowiedź nie padła, ale świszczący oddech ustał. Nagle w słuchawce pojawiły się głosy śmiejących się dzieci. Poczuła, jak jej ciało zaczyna drżeć. Nie potrafiła wydusić z siebie ani słowa. Chciała puścić słuchawkę, ale mięśnie odmówiły posłuszeństwa.

— Kim... jesteś? — wyjąkała ze strachem.

Śmiechy ucichły i ponownie usłyszała głośnie oddechy.

— Twoim sumieniem — padła odpowiedź.

Rzuciła słuchawkę i oparła się plecami o ścianę. Niechcący potrąciła ramieniem stojący na szafce wazon ze zwiędłymi kwiatami, który upadając na podłogę, rozbił się w drobny mak. Odskoczyła w bok. Woda rozlała się po posadzce.

Telefon ponownie się odezwał. Spojrzała na wyświetlacz. Dzwoniono z tego samego numeru co poprzednio. Stała jak sparalizowana, nie wiedząc, co ma zrobić. Po kilkunastu sygnałach przenikliwy dźwięk ucichł. Przywołała w myślach jedyne zdanie, które usłyszała.

Wkrótce aparat odezwał się po raz trzeci. Nie wytrzymała i gwałtownie podniosła słuchawkę.

— Czego ode mnie chcesz?! — wrzasnęła przerażona.

— Niczego konkretnego — odezwał się tajemniczy głos. — Myślę jednak,

że powinnaś wytrzeć podłogę i dywan, bo może zostać plama.

Dona Jonson wypuściła słuchawkę z ręki. Z trwogą spojrzała w okno. Mogłaby przysiąc, że widzi czyjąś sylwetkę. Nagle cień poruszył się i zniknął. Zerwała się i pobiegła do kuchni. W ostatnim momencie dobiegła do tylnych drzwi i zablokowała zamek. Odskoczyła, kiedy ktoś stanął po drugiej stronie. Było zbyt ciemno i nie potrafiła rozpoznać twarzy.

Osobnik złapał gałkę. Próbował otworzyć, ale bezskutecznie. Szarpnął kilka razy, a następnie uderzył ramieniem w drzwi. Na szczęście, zamek mocno trzymał.

Kobieta zrobiła kilka kroków w tył. Nieumyślnie trąciła krzesło, straciła równowagę i wylądowała na ziemi, rozbijając przy tym łokieć. Mocny zastrzyk adrenaliny zniwelował ból. Złapała się krawędzi stołu i z grymasem na twarzy podciągnęła się. Stała na nogach, ale czuła, że są jak z waty. Szarpnęła za uchwyt szuflady. Musiała znaleźć coś, czym mogłaby się bronić.

Zabezpieczenie nie zadziało. Szuflada wypadła z kredensu i wraz z całą zawartością wylądowała na płytkach. Wśród sztuców i przyborów kuchennych przedszkolanka odnalazła to, czego szukała — duży nóż do krojenia mięsa.

Odwróciła się w stronę przeciwnika, ale za drzwiami nikogo już nie było, a odgłosy ucichły. Zamarła. Usłyszała szelest, jakby ktoś przedzierał się pomiędzy gęsto posadzonymi krzewami na tyłach domu. Pobiegła do frontowych drzwi i zamknęła drugi zamek oraz założyła łańcuszek. Szybko, prawie po omacku, zaciągnęła wszystkie zasłony. Ostatecznie stanęła w korytarzu otoczona zdjęciami. Próbowała złapać oddech. Brak świeżego, chłodnego powietrza dawał się jej coraz bardziej we znaki. Wokoło zapanowała śmiertelna cisza. Słyszała tylko swoje sapanie.

Czwarty raz rozbrzmiał znieawidzony dzwonek. Podeszła do telefonu. Uniosła nieco słuchawkę i natychmiast ją odłożyła. Jej wzrok utkwiał na numerach alarmowych, które miała przyklejone na aparacie. Wystukała 911 i zaczęła na zgłoszenie się operatora.

— 911, w czym mogę pomóc? — odezwał się męski głos.

— Nazywam się Dona Jonson. Ktoś próbuje wejść do mojego domu!

— Wiem...

— Jak to?

— Wiem...

Zaniemówiła. W pierwszym momencie nie zrozumiała, ale po chwili dotarło do niej. Ktoś podłączył się do jej linii. Z trwogą odłożyła słuchawkę. Odłączyła kabel aparatu od gniazdka.

Kilka sekund później usłyszała inny, dobrze znany dźwięk. Do jej uszu dotarł przyciszony dzwonek komórki. Nie mogła sobie przypomnieć, gdzie ją zostawiła. Poszła korytarzem w kierunku drzwi. Odgłos był coraz wyraźniejszy. Znalazła torebkę, którą położyła na stoliczku nieopodal wejścia. Drżącymi rękami odszukała telefon. Bała się, co zobaczy na wyświetlaczu.

Ku jej zdziwieniu dzwonił dawny znajomy, dyrektor sierocińca, w którym pracowała kilkanaście lat. Pomyślała, że to może być jedyna okazja do wezwania pomocy i szybko odebrała połączenie.

— Carl?!

— Dona? Coś się stało? — zapytał Carl Grant, słysząc poddenerwowanie w jej głosie.

— Potrzebuję pomocy!

— Domyślam się... — powiedział ostro, czym zupełnie zaskoczył kobietę.

— Nie rozumiem...

— Domyślam się, że potrzebujesz pomocy, ale najpierw chciałbym usłyszeć kilka wyjaśnień.

— Przepraszam, ale...

— Przed godziną otrzymałem dziwną przesyłkę.

— To znaczy?

— Kopertę wypchaną dziecięcą pornografią.

— Co takiego?

— Myślę, że dobrze słyszałaś.

— A co ja mam z tym wspólnego?

— W środku było jedno zdjęcie nie pasujące do całości. Byłaś na nim ty i kilkunastu naszych dawnych wychowanków.

Kobieta bez odpowiedzi podbiegła do ściany. Zaczęła nerwowo oświetlać kolejne fotografie, aż wreszcie znalazła tę, której szukała. Zdziwiło ją, że wcześniej nie zwróciła na nią uwagi.

— Dona, jesteś tam?

Nie odpowiedziała. Szarpnęła fotografię przypiętą do ściany. Metalowa pinezka spadła na ziemię. Spojrzała na te wszystkie uśmiechnięte twarze

otaczających ją chłopców. Poczula, że słabnie. Osunęła się i usiadła na zdjęciach leżących na podłodze. Zupełnie zapomniała, że prowadziła rozmowę. Zerknęła na wyświetlacz — Carl Grant jeszcze się nie rozłączył.

— Dona?

— Tak, jestem — potwierdziła zrezygnowanym głosem.

— To nie wszystko. Kilkanaście minut temu rozmawiałem przez telefon z jakimś reporterem.

— Czego chciał?

— Szukał cię. Powiedział, że próbował się z tobą skontaktować, ale telefon był głuchy.

— A mówił, dlaczego?

— Zapytał, czy chciałbym skomentować fakt, że nasze dzieci wychowują zdemoralizowane opiekunki.

— Co takiego?

— Tak właśnie powiedział. Psiakrew! Mów, co się dzieje, bo nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć.

— Wierz mi, sama chciałabym wiedzieć — skłamała. — Powiedz, że mnie nie znasz i nie pamiętasz. W końcu minęło już ponad dwadzieścia lat. Masz prawo nie pamiętać.

— Facet nie wyglądał na takiego, którego można łatwo spławić. I skąd się u mnie wzięły te cholerne zdjęcia?!

— Ty nie musisz się o nic martwić... — Kobieta nagle zakończyła rozmowę. Ze złością, energicznie rzuciła komórką o ścianę. Plastikowa osłona telefonu pękła i małe urządzenie rozpadło się na kilka kawałków.

Zaniosła się płaczem i schowała twarz w dłoniach. Całkowicie zapomniała o potrzebie wezwania pomocy. W tej chwili nie było to już istotne. Najchętniej otworzyłaby włamywaczowi, żeby zrobił z nią, co zechce.

Ktoś zadzwonił do drzwi.

— Panno Jonson?! — usłyszała wołanie.

Przedszkolanka otarła łzy. Wiedziała, kto to. Od razu rozpoznała głos. Jej sąsiad przyszedł sprawdzić, czy wszystko w porządku. Często mu się to zdarzało i zdążyła już przyzwyczać się do jego niezapowiedzianych, wieczornych wizyt.

Musiała szybko go spławić. Nie mógł zobaczyć tego wszystkiego. Podeszła do drzwi. Zapaliła światło na werandzie, w środku pozostawiając

zgaszone. Otworzyła dwa zamki, ale łańcuszek pozostał na miejscu. Nacisnęła na klamkę i powstała dziesięciocentymetrowa szczelina. Poczła chłodny, zbawienny powiew wiatru. Wreszcie miała czym oddychać.

Przed drzwiami stał krzepki i wysportowany pięćdziesięciolatek — zatwardziały kawaler, postrach wszystkich wdów i samotnych kobiet w okolicy.

— Tak? — zapytała drżącym głosem.

— Wszystko w porządku? Słyszałem jakieś niepokojące odgłosy dochodzące z pani ogrodu na tyłach domu.

— Tak, tak. Dziękuję. To tylko ja i moja niezdarność. Chciałam zrobić przeciąg, ale tylne drzwi się zacięły. Waliłam w nie czym popadnie, ale zamek nie puścił. Jutro wezwę ślusarza.

— Na pewno? Może mógłbym już dziś jakoś pani pomóc?

— Naprawdę nie trzeba. Ale bardzo dziękuję za troskę.

— Nie ma pani światła? — Zdziwił się, jednocześnie szukając tematu do podtrzymania rozmowy.

— W przedpokoju przepaliła się żarówka, ale jakoś sobie radzę. — Pomachała latarką. — Jutro się tym zajmę. Proszę mi wybaczyć, ale miałam ciężki dzień i chciałabym się już położyć.

— Oczywiście. W razie czego, wie pani, jak mnie znaleźć. Wystarczy zadzwonić.

— Tak, tak. Gdzieś mam pana numer.

Mężczyzna żwawo zbiegł po schodkach.

— A... zapomniałbym. — Odwrócił się. — Dwie godziny temu był tutaj jakiś mężczyzna.

Dona Jonson drgnęła.

— Gdzie dokładnie?

— Przed pani domem — mówił, biegnąc w miejscu. — Szedłem chodnikiem i zatrzymał mnie. Chciał wiedzieć, jak może się z panią skontaktować.

— Rozpoznał go pan?

— Nie. Przedstawił się, ale nazwisko wyleciało mi z głowy.

— A powiedział może, czego chce?

— Wspomniał coś o jakimś artykule. Chyba o sierocińcu... Chociaż... Sam nie wiem. Nie zdradził swoich zamiarów. Zachowywał się nieco dziwnie.

Miałem wrażenie, że to dziennikarz.

— To pewnie nic ważnego — rzuciła kobieta, udając obojętność.

— Gdyby panią nękał, to proszę dać znać.

— Dobrze. Dziękuję bardzo.

— Do zobaczenia.

Odprowadziła sąsiada serdecznym spojrzeniem i zamknęła drzwi na klucz. Ponownie oświetliła latarką zdjęcia w przedpokoju. Podeszła bliżej i jeszcze raz przyjrzała się im. Nie myślała już o wzywaniu policji czy szukaniu pomocy. Nic nie było w stanie odwrócić biegu wydarzeń. Zbyt wiele osób dowiedziało się o jej grzechach. Nie miała dokąd uciec.

Powoli, jedno po drugim, zaczęła podnosić zdjęcia z podłogi. Gdy uzbierała kilkadziesiąt fotografii, zniosła je do salonu i wrzuciła do kominka. Potem przyszła kolej na ściany. Po dziesięciu minutach mozolnej pracy, korytarz wyglądał tak jak dawniej. Wypaloną świeczkę zniosła do kuchni. Zeskrobała ze szklanego blatu rozlany wosk i wypolerowała szybę.

Wzięła zapalarkę i podpaliła jedno ze zdjęć, po czym włożyła je pomiędzy pozostałe. Wkrótce cały stos fotografii pochłonęły płomienie. Zostawiła jedną. Tę, na której widniała jej sylwetka otoczona kilkunastoma wychowankami.

Panująca wokoło cisza uspokajała ją. Słyszała tylko trzaski dochodzące z kominka. Od płonących zdjęć zajęły się drewniane klocki ułożone wcześniej na palenisku. W salonie było jeszcze cieplej niż na początku, kiedy weszła do domu. Wzięła do ręki *ROCZNIKI* i usiadła na sofie. Jeszcze raz, ostatni, powoli — tak jak czyniła to dawniej — przejrzała wszystkie zdjęcia dawnych uczniów.

WTOREK

Podenerwowany mężczyzna szybkim krokiem przemierzał korytarz, idąc w kierunku siłowni. Dotarł do salonu, gdzie jego wzrok padł na nakryty stół. W pierwszej chwili myślał, że przejdzie obok niego obojętnie, ale ostatecznie zawrócił i kopniakiem odsunął najbliższe krzesło. Zamachnął się i jednym ruchem ręki zrzucił na ziemię przygotowane nakrycia.

Sztućce, kieliszki i talerze wraz z zawartością poleciały na podłogę. Nie bacząc na szklane odłamki, poszedł dalej, w kierunku miejsca docelowego.

John Snyder, dawniej dyrektor dużej firmy rekrutacyjnej, obecnie

bezrobotny, nie potrafił pogodzić się z myślą, że od pewnego czasu stał się całkowicie uzależniony od swojej żony, a dokładniej — od jej pieniędzy. Od dnia bankructwa firmy wielokrotnie starał się o nową posadę, ale jego ambicje sięgały zbyt wysoko. Chodził na rozmowy kwalifikacyjne, wysyłał CV, a nawet myślał o ponownym otwarciu własnej działalności. Nikt jednak nie chciał w swoich szeregach człowieka, który w ciągu kilku lat doprowadził do upadłości dobrze prosperującą firmę.

Nie wiedział, czy bardziej był zły w tej chwili na siebie, czy na żonę, która spóźniała się już prawie dwie godziny. Po wczorajszej kłótni chciał ją przeprosić, przygotowując obiad, ale nic mu z tego nie wyszło. Jedzenie dawno już ostygło. Musiał wyładować złość, bo nie był pewien, jak skończyłaby się kolejna sprzeczka.

Szarpnął za klamkę i wszedł do siłowni. Zmienił obuwie i założył rękawice bokserskie. Podszedł do worka i na początek, z półobrotu kopnął w niego z całej siły. Głuchy stuk rozszedł się po sporym pomieszczeniu. Założył słuchawki, włączył iPod'a i zaczął boksować. Nawet nie zauważył, kiedy do środka weszła służąca.

Była to starsza, niska i szczuplutka kobieta o wyraźnie południowoamerykańskich rysach twarzy. Widząc rozwścieczonego właściciela domu, tłukącego niewinny worek, wycofała się i pobiegła posprzątać salon. Pracowała w tej rezydencji od ponad dziesięciu lat i wiedziała, że w takich momentach najlepiej nie zadawać niepotrzebnych pytań. Tego typu incydenty były ostatnio na porządku dziennym i już zdążyła przyzwyczaić się do wybuchowego temperamentu domowników.

Z bałaganem uporała się w niecałe dziesięć minut. Kiedy kończyła czyścić podłogę, usłyszała szcęk zamka w głównych drzwiach. Po chwili do jej uszu dotarł stuk obcasów uderzających o płytki w przedpokoju.

— Witaj, Helen... — rzuciła Samantha Snyder, wchodząc do salonu.

— Dzień dobry.

Elegancka pani prokurator miała na sobie szary kostium składający się z żakietu i długich spodni. Zwiewna bluzka częściowo odsłaniała dekol. Długie, ciemne, rozpuszczone włosy podkreślały jej nietuzinkową urodę. Bransoletka z diamentami i elegancki, drogi zegarek świadczyły o wysokim statusie społecznym. Kobieta odłożyła teczkę na krzesło i przyjrzała się plamom na obrusie.

— Czy coś się stało?

— Nic, droga pani.

— Przecież widzę.

— Ach to... — Służąca nie wiedziała, co powiedzieć. Nie przywykła donosić na ludzi, którzy ją karmią. — To... To moja wina. Najmocniej przepraszam. Przygotowywałam dla państwa obiad i potknęłam się.

Samantha Snyder z politowaniem spojrzała na wystraszoną twarz pokojówki. Nie uwierzyła w ani jedno jej słowo. Podeszła do aneksu kuchennego, który otwierał się na salon. Bez oporów dotknęła palników. Były zimne. Otworzyła szafkę, gdzie znajdował się kosz na śmieci. Gdy zobaczyła, że ponad połowę pojemnika zajmuje potłuczone szkło, odwróciła się i groźnym wzrokiem zmierzyła służącą.

— Dlaczego kłamiesz? Wiesz, że tego nie znoszę.

— Przepraszam, ale ja...

— Posłuchaj. Rozumiem, co chciałaś zrobić i doceniam to, ale pamiętaj, że w dzisiejszych czasach nie opłaca się nadstawiać za kogoś karku. Dopóki ja opłacam rachunki, nie musisz się martwić o posadę w tym domu. A jego zostaw mnie. Wsadzam za kratki najgorsze szumowiny tego miasta, więc poradzę sobie również z własnym mężem. Masz... — Wyciągnęła z portfela studolarowy banknot. — Jak skończysz, jedź do miasta. Kup sobie coś ładnego. Zmień, proszę, tylko ten obrus i masz wolne.

Helen drżącą ręką sięgnęła po banknot.

— Dziękuję, pani Snyder. A co z posiłkiem?

— Nie przejmuj się. Też mamy po dwie ręce. Poradzimy sobie.

Właścicielka domu, słysząc przytłumione odgłosy dochodzące z siłowni, najspokojniej w świecie poszła na górę i udała się do sypialni. Pościel na łóżku była idealnie ułożona.

Od dawna zastanawiała się, czy mąż już ją zdradza, czy dopiero zacznie. Odsunęła narzutę i kołdrę. Wyciągnęła z torebki urządzenie emitujące promienie ultrafioletowe. Włączyła je i przyjrzała się prześcieradłu. Było czyste jak łąza.

— Grzeczny chłopczyk... Przynajmniej w domu — powiedziała do siebie i pościeliła łóżko.

Nie należała do osób, które łatwo przestraszyć. W pracy codziennie miała do czynienia z przestępcami, gwałcicielami i mordercami. Dawniej jej mąż był idealnym człowiekiem. Wracał punktualnie z pracy, przynosił jej kwiaty, mówił czułe słówka i traktował ją z szacunkiem. Od czasu, kiedy stracił

pracę, zmienił się nie do poznania i coraz częściej widziała w nim, w jego zachowaniu, odbicie charakteru tych wszystkich zbirów, których wsadzała za kratki. Bała się, że któregoś dnia wróci do domu i człowiek, z którym mieszka, nie będzie w stanie zapanować nad emocjami i uderzy ją albo zrobi coś jeszcze gorszego.

Czasu na rozwiązanie tej przykrej sprawy było coraz mniej, a nie miała zamiaru tracić połowy majątku, który zresztą sama zdobyła, podczas długiej, rozwodowej potyczki. Wiedziała, jak to rozegrać, ale najpierw musiała znaleźć coś, co da jej przewagę.

Weszła do garderoby wielkości dwóch połączonych pokoi. Był to jej azyl. Czuła się tu tak dobrze, jak jej mąż w siłowni. To miejsce dziwnie ją uspokajało. Zdjęła eleganckie spodnie i założyła wygodniejsze. Żakiet i białą bluzkę zamieniła na top i wygodną bluzę z krótkimi rękawami. Nagle kolczyk zahaczył o nitkę. Ugrzęzła. Musiała na ślepo odzepić złoty drobiazg.

Gdy wreszcie wydostała głowę z pułapki, spojrzała w lustro. Drgnęła, kiedy zobaczyła Johna stojącego tuż za nią. Poczowała się niepewnie.

Snyder, w przepoconym dresie i z założonymi rękawicami bokerskimi, czekał na reakcję żony. Nie spodziewał się ciepłego przyjęcia, przeprosin czy zrozumienia. Chciał tylko usłyszeć kilka słów wyjaśnienia.

— Witaj. Ćwiczyłeś? — rzuciła obojętnie.

— Można to tak nazwać. Jak ci minął dzień?

— Jak zwykle. — Zaczęła zdejmować biżuterię. — Rozprawa, spotkanie z sędzią... W drodze powrotnej musiałam wstąpić na posterunek i dlatego jestem trochę później niż wczoraj zakładałam.

— Dla ciebie dwie i pół godziny to „trochę”? — zapytał poważnie.

— A jak mam to nazwać?

— Nijak. Mogłaś po prostu zadzwonić, że będziesz później.

— Mogłam, ale wierz mi, że nie miałam nawet czasu pójść do toalety.

— A telefon w samochodzie?

— Podczas jazdy na posterunek rozmawiałam z Samem. Jest już bardzo samodzielny, ale cały czas potrzebuje pomocy w pewnych sprawach. Poza tym... nie mogę prowadzić własnej firmy i jednocześnie nie wiedzieć, co się w niej dzieje.

— Chciałaś powiedzieć naszej firmie.

- Wiesz, co miałam na myśli i nie łap mnie za słówka.
- Jak zwykle pani prokurator na wszystko ma wytłumaczenie.
- Coś mi się wydaje, że tym razem za krótko byłeś na siłowni.
- Za szybko przyjechałaś...

— Daj spokój, bo skończy się tak jak wczoraj. — Podeszła bliżej i spojrzała mężowi głęboko w oczy. — Wszystko, co robię, robię dla nas. A że tego nie dostrzegasz, to nie moja wina. Mogłeś pójść na studia prawnicze, ale nie zrobiłeś tego, bo były zbyt trudne. Chciałeś się rozwijać, nie przeszkodziłam ci w tym. Co więcej, nawet dałam fundusze na założenie firmy. Po roku przyznałeś, że to był zły pomysł, bo nie miałeś zielonego pojęcia o reklamie. Pieniądzy nie odzyskaliśmy. Poruszyłam niebo i ziemię, żeby zdobyć dla ciebie posadę w kancelarii u boku sędziego, a nawet nie raczyłeś zjawić się pierwszego dnia w pracy.

- Chciałaś zrobić ze mnie cholerną sekretarkę!

Kobieta wybuchła drwiącym śmiechem.

— I ty masz do mnie pretensje?! Żalotne... Idź się wykapać, bo cuchniesz potem.

Ominęła go, wyszła z garderoby i opuściła sypialnię. Prawie podskoczyła, kiedy usłyszała trzask pękającej deski. Lepiej w nią niż we mnie, pomyślała i odwróciła się. Zobaczyła męża idącego w stronę łazienki. Może poślizgnie się i uderzy głową o wannę albo poderżnie sobie żyły moją maszynką, rozmarzyła się. Miała już dość wiecznych, słownych przepychanek. Gdy zeszła na parter, skierowała się w stronę kuchni. Była głodna jak wilk.

John Snyder przeszedł obok łazienki i skręcił do pokoju, który niegdyś służył mu za biuro. Z całej siły zatrzasnął drzwi. Zębami odpiął zabezpieczenie rękawic, ściągnął je i ze złością rzucił na ziemię. Otworzył laptopa i usiadł przy biurku. Oczekując na uruchomienie urządzenia, wyciągnął z szuflady butelkę whisky. Zrobił dwa głębsze łyki. Wykrzywiło mu usta. Uwielbiał ten efekt. Poczł ogarniające go ciepło. Odłożył butelkę i rozpiął bluzę z dresu.

W wyszukiwarce wpisał dwa słowa — adwokaci rozwodowi.

Jego myśli, podobnie jak myśli Samantha, coraz częściej krążyły wokół tego tematu. Dzisiejsze popołudnie przechyliło szalę goryczy. Nikt nie chciał powiedzieć tego pierwszy, ale oboje wiedzieli, czym to wszystko musi się skończyć. Ona nie mogła sobie pozwolić na stratę połowy majątku, a on nie chciał rezygnować z życia w luksusie. Ostatecznie jednak nie wytrzymał i

postanowił zakończyć ten toksyczny związek.

Czarna furgonetka zatrzymała się przed jedną z bardziej okazałych rezydencji mieszczących się przy Harborview dr. w północno-zachodniej części Cleveland.

Kierowca mający na sobie czarny strój kuriera założył czapkę z daszkiem i wysiadł z samochodu. W ręce trzymał kopertę. Z pochyloną głową podbiegł do grubego słupa stanowiącego część ogrodzenia, w którym było zakotwiczone jedno ze skrzydeł szerokiej bramy. Otworzył skrzynkę na listy, sprytnie ułożoną w solidnym filarze. Przez kilkucentymetrowej szerokości szczelinę, koperta wpadła do pojemnika, do którego dostęp mieli już tylko mieszkańcy posiadłości.

Kurier pobiegł z powrotem do samochodu i pośpiesznie ruszył. Odjechał nieco i spojrzął w lusterko, czy aby przypadkiem ktoś go nie śledzi. Upewniwszy się, że wszystko w porządku, wyjął telefon, włączył modulator głosu i odszukał kartkę, na której miał zapisany numer. Wybrał odpowiednie cyfry i poczekał na zgłoszenie się rozmówcy. Po trzech sygnałach usłyszał wyczekiwany głos.

— Snyder, słucham...

— Witam, chciałbym rozmawiać z Johnem Snyderem. Zastąłem go? — Głos kuriera brzmiał naturalnie, chociaż jego barwa była nieco inna — grubsza niż na co dzień.

— Tak, mąż jest w domu. Proszę chwileczkę poczekać.

Mężczyzna usłyszał odgłosy odkładanych przyborów kuchennych, a następnie pośpieszne kroki. Kobieta szła po schodach na górę. Kilka sekund później udało mu się wyłapać dźwięk otwierających się drzwi i jakiś trzask.

— Do ciebie...

Po chwili odezwał się wyczekiwany rozmówca.

— John Snyder, słucham.

— Witam. Czy jest szansa, że pana żona nas słyszy?

— Słucham?

— Nie będę się powtarzał. Tak czy nie?

— Nie. Mamy tylko jeden telefon stacjonarny.

— Dobrze. W takim razie mam dla pana wiadomość, która z pewnością poprawi panu nastrój.

— Skąd wiesz? Kim pan, do cholery, jest?

— Uznajmy, że przyjacielem. Nigdy więcej już do pana nie zadzwonię i nigdy więcej nie usłyszy pan mojego głosu.

— O co chodzi?

— W skrzynce na listy zostawiłem panu wiadomość. Jest pan sprytnym człowiekiem i na pewno domyśli się, co chciałem przekazać.

— Co w niej jest?

— Powiedzmy, że motywacja do działania. I proszę się pospieszyć. Założę się, że nie chciałby pan, aby to żona jako pierwsza otworzyła tę przesyłkę.

Po tych słowach kurier rozłączył się. Wyjął ze skrytki środek odłuszczeniowy i dokładnie wyczyścił kupiony przed godziną telefon. Wyrzucił go do śmietnika stojącego nieopodal i odjechał.

John Snyder wybiegł z pokoju jak oparzony. Przypomniawszy sobie o żonie, która była gdzieś na dole. Do jego nozdrzy doszedł zapach pieczonego kurczaka. Usłyszał też, jak ktoś buszuje po kuchni. Tylko spokojnie, pomyślał.

Szybkim krokiem dotarł do schodów i zbiegł na dół.

— A ty dokąd? Za piętnaście minut będzie obiad. — Samantha wyjrzała z kuchni.

— Idę... pobiegać — wymyślił na prędko.

Kobieta nie zareagowała i wróciła do gotowania.

Zabrał klucz do skrzynki wiszący obok drzwi i opuścił dom. Zlustrował obejście. Był sam. Czuł się jak szpieg na swojej pierwszej misji. Obawiał się tego, co może znaleźć, ale jednocześnie był podniecony niecodziennym rozwojem sytuacji. Gdyby gość chciał mi zaszkodzić, to dlaczego powiedział, że już się więcej nie skontaktuje, pomyślał. Jedynym wyjściem było sprawdzenie zawartości skrytki.

Podbiegł do bramy. Przed posiadłością nie było żadnego pojazdu. Chodnik, podobnie jak ulica, również był opustoszały. Schylił się i przy pomocy klucza otworzył zamek dzielący go od zawartości skrzynki. Ostrożnie uchylił metalowe drzwiczki.

Nagle pod bramę od strony drogi podbiegł olbrzymi pies i zaczął głośno ujadać. Snyder wystraszył się i stracił równowagę. Musiał podeprzeć się ręką, aby nie upaść na betonowe płytki. Po chwili rozpoznał, z czym psem ma do czynienia.

Pupilek sąsiadów po raz kolejny wydostał się z kojca i przeskoczył przez

ogrodzenie. Rozwścieczone psisko ujadło tak zaciekle, jak jeszcze nigdy.

Na drodze pojawiła się sylwetka przerażonego mężczyzny.

— Max! Wracaj tu! — zawołał głośno Matthew Sikes, kiedy zauważył, jak jego pies próbuje przecisnąć się przez niewielką szczelinę pod bramą rezydencji Snyderów. — Cholerny kundlu, wracaj tu! — Podbiegł do zwierzaka i złapał go za obrozę. — John, najmocniej cię przepraszam! — zwrócił się do zaniepokojonego sąsiada, który w bezruchu oczekiwał na reakcję właściciela.

— Cholera, Matthew! Przecież chodnikiem mogło iść dziecko!

Pies uspokoił się i zaczął obwąchiwać skrzynkę na listy.

— Wiem i zrobię wszystko, żeby już więcej do tego nie doszło.

— To nie pierwszy raz, kiedy twój „szczeniaczek” wy dostał się na zewnątrz.

— Zgadza się. Ale tym razem rozwiążę problem na dobre!

— Jest wściekły. Nie boisz się o swojego syna?

— W domu jest potulny jak baranek. Nie wiem, co go tak rozjuszyło. Zazwyczaj, gdy uciekał, biegał sobie spokojnie po okolicy.

— Tym razem wyglądało to jednak zgoła inaczej.

— To prawda. Mam nadzieję, że twoja żona mnie za to nie pozwie. — Sikes uśmiechnął się dobrodusznie.

— Nie martw się. Po prostu zrób z nim porządek. A spodnie i tak miałem zmienić.

Sąsiedzi roześmiali się i pożegnali.

Cholerny zwierzak, pomyślał Snyder i przykucnął. Wreszcie mógł w spokoju opróżnić skrytkę.

W skrzynce była gruba, biała koperta.

Zabrał ją i zatrzasnął drzwiczki. W drodze powrotnej do domu przyjrzał się jej dokładnie. Nie było na niej ani jednej litery. Czuł, że w środku znajduje się jakiś przedmiot. Ku jego zdziwieniu, zanim dotarł do drzwi, Samantha stała już w progu.

— Wszystko w porządku? — zapytała obojętnie.

— Tak... Dlaczego pytasz?

— Szybko wróciłeś. — Przez okno w kuchni doskonale widziała całe zajście, ale udawała głupią.

— Pies sąsiada nie chciał mnie wypuścić.

— Dla kogo to? — Wskazała na kopertę.

— Bez adresu... Pewnie jakieś reklamy.

— Obiad będzie za pięć minut. Doprowadź się wreszcie do porządku — rzuciła oschle i zeszła mu z drogi.

Nie odpowiedział. Posłusznie wszedł do domu i udał się na górę. Ani mu się śniło brać prysznic. Zamknął się w gabinecie i sięgnął po nóż do papieru. Rozciął kopertę i jej zawartość wylądowała na biurku obok laptopa. Były to cztery zdjęcia oraz pendrive. Z zaciekawieniem przyjrzał się fotografiom.

Poczuł złość, kiedy zobaczył, kto znajduje się na pierwszej. Jego żona w jakiejś alejce obejmowała się z czarnoskórym mężczyzną. Szybko sięgnął po kolejną.

Na każdej widniała Samantha obściskująca się z innym facetem. Dwóch z nich rozpoznał bez problemu. Należeli do jej światka. Sędzia i jakiś adwokat. Jeżeli go pamięć nie myliła, to z tym pierwszym i jego żoną jedli nawet kiedyś wspólną kolację.

— Zakłamany sukinsyn! Nie dość, że wyzerał mi zawartość lodówki, to jeszcze posuwał żonę!

Pozostałych osobników nie kojarzył, ale wiedział, w jakich kręgach szukać.

— Wreszcie — warknął. — Od dawna czuł, że coś jest nie tak. Nie sypiali ze sobą od dobrych sześciu miesięcy. Teraz wiedział już, dlaczego. Ulżyło mu. Ktoś podrzucił odpowiedź, której długo szukał.

Usłyszał żonę wzywającą na obiad.

— Zaraz schodzę! — wrzasnął na całe gardło. — Chętnie zjem z tobą ostatni posiłek, zdziro jedna — dokończył już znacznie ciszej.

Otworzył laptop i podłączył pendriva. Znajdował się na nim tylko jeden plik audio. Uruchomił odpowiedni program i przeciągnął ikonkę na odtwarzacz. Otworzyło się okienko z paskiem postępu, który wolno zaczął przesuwać się w prawą stronę. To, co usłyszał, specjalnie go nie zdziwiło. Co więcej, nawet się ucieszył.

Odgłosy, jakie dochodziły do jego uszu, spokojnie mogły zostać podłożone zamiast ścieżki dźwiękowej w wyuzdanej scenie z filmu pornograficznego.

Bez problemu rozpoznał na nagraniu głos żony.

— Dobra. Po kolei — planował. — Najpierw zdjęcia. Gdzie będą bezpieczne?

Jego wzrok padł na grubą książkę o tematyce wojennej, stojącą na jednej z półek wysokiej biblioteczki. Zerwał się z fotela i sięgnął po opasłe tomisko. Otworzył je na przypadkowej stronie i umieścił zdjęcia w środku.

— Jak wojna, to wojna! A ciebie, maluszk, gdzie damy? — Podrzucił pendrivem, którego odłączył od komputera. — W sumie... najciemniej jest pod latarnią. — Otworzył pudełko, w którym trzymał takie same urządzenia. — Poznaj swoich nowych kolegów. — Włożył cenny skarb do środka i zamknął skrzynkę.

Podszedł do drzwi i złapał za klamkę. Zanim otworzył, pogładził ręką ścianę.

— Jeżeli ta hipokrytka będzie chciała zachować firmę, to za niedługo, mój piękny domku, będziesz tylko i wyłącznie mój.

Samantha z niecierpliwością oczekiwała męża. Nie lubiła jeść zimnych posiłków.

— Nareszcie! — zawołała, widząc Johna schodzącego na parter. Od razu zauważyła, że zlekceważył jej prośby i wciąż miał na sobie przeпоcony dres. Nie widziała sensu dłużej się spierać. Tę rundę odpuściła.

— Widzę, że poprawił ci się humor — zaczęła.

— Tak. Sport zawsze mnie relaksuje.

— Bardziej niż tłuczenie zastawy?

John Snyder roześmiał się, ale nie skomentował tej uwagi.

— Z czego się śmiejesz? Zresztą... Nieważne. Miałam być jutro wcześniej, ale w związku z sobotnią wizytą Lorenców, podjadę do centrum i kupię coś na kolację. Między innymi nową zastawę.

— Dobrze kochanie... — rzucił wesoło i wbił widelec w soczyste mięso.

W pokoju rozległ się dźwięk budzika.

John Snyder sięgnął po telefon, który wygrywał irytującą melodię. Była godzina dwudziesta pierwsza. Przeciągnął się i ziewnął. Nie pamiętał, kiedy zasnął.

Usłyszał zgrzyty garażowej bramy. Zerwał się z sofy i podszedł do okna. Zobaczył, jak żona wyjeżdża swoim białym bentleyem na główną drogę.

Przypomniał sobie. Zawsze we wtorki spotykała się w klubie ze swoimi przyjaciółkami z branży. Niezmiernie się ucieszył, że wypadło to akurat dzisiejszego dnia. Po obiedzie poczynił odpowiednie przygotowania związane z popołudniowym odkryciem. Skontaktował się ze znajomym, z

którego usług niegdyś często korzystała Samantha.

Gość miał pojawić się za pół godziny.

Jeszcze raz dokładnie przesłuchał nagranie, które otrzymał od nieznajomego. Trwało ponad dwadzieścia minut. Liczył, że usłyszy coś, co pomoże mu w ustaleniu, z kim zdradzała go żona. Ostatecznie jednak nie wydobyl z monotonnej ścieżki dźwiękowej niczego konkretnego.

Sięgnął po dwa zdjęcia, które pozostały do identyfikacji.

Najpierw sprawdził pracowników firmy prawniczej. Tam znalazł pierwszego podejrzanego. Był nim Robert Bigs. Pełnił on funkcję nadzorcą w dziale zajmującym się prawem spadkowym. Snyder zastanawiał się, czy to jego głos jest na tym nagraniu. Wpatrywał się w twarz podejrzanego, chcąc dokładnie ją zapamiętać.

Pozostała czwarta osoba. Była widoczna tylko z profilu i to niepełnego.

Nieudane próby identyfikacji przerwał dźwięk domofonu.

Snyder wyjrzał przez okno. Przed bramą stał pickup, a obok półciężarówki — długo wyczekiwany gość.

— Nareszcie!

Zbiegł na parter i zauważył Helen idącą w kierunku drzwi.

— W porządku. To do mnie. Dziękuję. Aaa... Przepraszam za ten bałagan. Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

— Nic nie szkodzi, panie Snyder. Między innymi po to tu jestem.

— Mimo wszystko przepraszam.

Kobieta ukloniła się i odeszła. Zastanawiała się, czemu może zawdzięczać nagłą zmianę w zachowaniu gospodarza, ale biorąc pod uwagę różne scenariusze, które miały już miejsce w tym domu, wolała się w to nie wgłębiać.

Uniesioną ręką i skinieniem głowy, Snyder przywitał się ze znajomym i otworzył bramę. Wszedł przed dom, aby powitać gościa.

Kierowca pickupa zatrzymał samochód przed samymi schodami, nie chcąc blokować wjazdu do garażu. Spokojnie opuścił pojazd. Był ponadprzeciętnego wzrostu, a muskulatura dodawała jego sylwetce groźnego wyglądu. Miał na sobie luźną koszulę w biało-czerwoną kratkę, jeansowe spodnie i białe adidasy.

Snyder z uśmiechem na twarzy podszedł do niego i wyciągnął rękę na powitanie.

— Phil. Dobrze cię widzieć! — zaczął przyjaźnie.

— I wzajemnie, stary druhu — odpowiedział Phil Foster. — Dawno mnie tutaj nie było.

— To prawda — uświadomił sobie gospodarz. — Zazwyczaj spotykaliśmy się na mieście.

— Tak. Najczęściej w klubie ze striptizem...

— Co racja, to racja.

— Wejźmy do środka, bo jeszcze sąsiedzi nas usłyszą.

— A niech sobie poplotkują. Założę się, że gdybym przetrzepał ich nowobogackie tyłki, to mielibyśmy o czym rozmawiać do końca życia.

— Detektyw Foster zawsze w akcji...

— A jakże...

W wyśmienitych humorach weszli do domu. Minęli salon i kuchnię wraz z jadalnią.

Gość szarmancko uklonił się służącej krzątającej się po kuchni.

— Czy coś panom podać?

— Dziękuję, moja droga. Nie będziesz nam już dzisiaj potrzebna. Duzi z nas chłopcy, poradzimy sobie.

— Dobrze, w takim razie życzę miłego wieczoru.

— Idź prosto i skręć w ostatnie drzwi po lewej, a ja skombinuję coś do picia — poinstruował Snyder.

— Dobrze.

Detektyw udał się we wskazanym kierunku. Szedł wolno, chłonąc przepych, z jakim urządzono ten dom. Rozglądał się na boki, dostrzegając coraz to nowe elementy. Wazony, posągi, obrazy, tropikalne rośliny — wszystko to w jakiś magiczny sposób pasowało do siebie i tworzyło jedyną w swoim rodzaju atmosferę. Jednak nie były to jego klimaty. Czuł się dziwnie nieswojo.

Kiedy wszedł do wskazanego pokoju, jego odmienny wystrój, znacznie odbiegający od standardów domu, dużo bardziej przypadł mu do gustu. Na środku znajdował się profesjonalny stół bilardowy, a nieco dalej stała kanapa oddzielona niskim stolikiem od olbrzymiego telewizora. Na twarzy Phila Fostera zagościł uśmiech.

— Home sweet home. — Usiadł na kanapie i złapał za pilota.

Telewizor włączył się na kanale sportowym. Właśnie transmitowano mecz

baseballa.

— I jak tam? — zapytał Snyder, wchodząc do pokoju z dwoma butelkami Budweisera.

— Nie przeszkadzaj! — zganił go. — Właśnie przeżywam ekstazę.

— Myślę, że to ci w tym nie przeszkodzi. — Podał mu butelkę.

— I teraz już wiem, że czegoś ode mnie chcesz. — Uśmiechnął się.

— Owszem... Ale może najpierw partyjka?

— Nie śmiałybym odmówić.

Gospodarz ułożył bile i pozwolił towarzyszowi rozbić.

Mocne uderzenie rozstrzeliło kule po całym stole. Dwie połówki wpadły do narożnych łuz.

— Czyli ja mam całe — zauważył Snyder.

Foster zrobił łyk piwa i uderzył po raz drugi. Ponownie dwie bile znalazły się w łuzach.

— Dasz mi w ogóle zacząć?

— Nie ma szans! — Wbił kolejną. A po niej jeszcze jedną.

— To ja sobie pooglądam telewizję.

— Lepiej powiedz, co ja tutaj robię!

— Wszystko w swoim czasie. Na razie pijemy piwo i gramy... grasz w bilard — poprawił się.

— Spokojnie... w końcu pozwolę ci uderzyć. Zróbmy tak. Jak ja wygram, to pijemy i jedziemy następną rundę. Jeżeli ty, to przechodzimy do konkretów.

— Gość w dom, Bóg w dom!

Po siedmiu kolejkach Snyder ledwo stał na nogach, podczas gdy olbrzym prawie w ogóle nie odczuł działania alkoholu.

Foster, widząc upojenie gospodarza, zaniechał kolejnego strzału i odłożył kij.

— Dobra. Opuść cię, bo jeszcze za chwilę mi tu odleciez. — Usiadł na kanapie obok towarzysza i rozłożył ręce na oparciu.

Właśnie kończył się mecz.

— Powiesz mi, o co chodzi, czy będę to musiał z ciebie wyciągnąć?

Snyder stęknął.

— Pod stolikiem leży... laptop — wyjąkał. — Weź go sobie...

— Oj, przyjacielu... widzę, że dzisiaj przesadziłeś. — Sięgnął po komputer i otworzył go. — I co dalej?

— Pendrive...

Detektyw uruchomił znajdujący się na nim plik. Odgłosy, które usłyszał, wywołały w nim mieszane uczucia. Spojrzał wilkiem na gospodarza.

— Rozumiem, że to męski wieczór, ale jeżeli tak, to poproszę o wersję z obrazem.

— Nic nie łapiesz... Myślisz, że po co... — odbiło mu się — ściągnąłem tutaj prywatnego detektywa?

— Czyj to głos? Nie mów, że Samantha...

— No chyba nie mój!

— Nie... Nie uwierzę w to!

— Gdyby mi jeszcze dawała — całkowicie rozwiązał mu się język — to bym ci udowodnił! No ale w tej sytuacji — położył rękę na ramieniu przyjaciela — musisz mi uwierzyć na słowo.

— Stary, to jakiś absurd! Słuchaj... Pogadamy, jak będziesz trzeźwy. Dzisiaj przesadziliśmy. Wpadnę jutro i jasno spojrzemy na problem.

— Przecież jesteś tak samo pijany jak ja — Snyder wstał, ale musiał przytrzymać się oparcia kanapy, aby nie upaść.

— Śmiem wątpić.

— Jak cię gliny złapią, to zobaczymy, co im powiesz. — Pomimo zamroczenia alkoholem rozumował całkiem logicznie. — Zrobimy tak. Na górze jest pokój gościnny, a nawet kilka. Możesz się tutaj przespać, ewentualnie zamówię ci taksówkę. Jak sobie życzysz. Ale na litość boską! Wysłuchaj najpierw, co mam do powiedzenia!

— No dobrze... — Foster posłusznie wrócił na kanapę. — Tylko się streszczaj, bo mam wrażenie, że ta rozmowa nie potrwa zbyt długo.

Gospodarz przykucnął przed szafką, na której stał telewizor. Otworzył drzwiczki i sięgnął po zdjęcia leżące na pionowo ustawionych płytach DVD. Próbował wstać, ale nie miał siły. Podał koledze fotografie, a sam oparł się plecami o mebel.

Detektyw z niedowierzaniem przeglądał zdjęcia. Nie miał wątpliwości, kto na nich jest, ale próbował doszukać się jakichś niejasności. W pierwszej chwili był przekonany, że to fotomontaż, ale im dłużej wpatrywał się w fotografie, tym bardziej upewniał się co do ich autentyczności.

— I co? Teraz mi wierzysz?

— Wierzę, chociaż chciałbym, żeby to była nieprawda.

— A ja nie. Miałem wrażenie, że ta dziwka od dawna szuka na mnie haka. A teraz, zupełnie przypadkiem, role się odwróciły. Moja kolej. Dobiorę się do jej prokuratorskiego tyłka.

— Znam Sam od piętnastu lat. Nigdy bym nie przypuszczał...

— Zdjęcia mówią same za siebie.

— To prawda. A na marginesie... Skąd je masz? Śledziłeś ją?

— Ja nie. Ktoś mi je podrzucił. Przecież to nieistotne, skąd są! Ważne, co i kogo przedstawiają!

— Zgadzam się, ale lepiej, żeby pochodziły ze sprawdzonego źródła. Dziś wszystko można zmontować.

— I dlatego zaprosiłem ciebie.

— Stary, zrozum. Jestem też jej znajomym. Nie chciałbym...

— Ale moim dłużej! Jakaś baba roluje twojego przyjaciela, a ty będziesz siedział z założonymi rękami?!

— Nie, ale...

— No to cieszę się, że doszliśmy do porozumienia. Weź sobie te zdjęcia. Będziesz wiedział, kogo szukać.

— Znam tych gagatków.

— Wszystkich? — zdziwił się Snyder.

— Tak.

— To jest sędzia, pełniący urząd w Cleveland. Ten to adwokat, a dokładniej obrońca z urzędu. Jakaś płotka. Ten typek pracuje z Sam. Był parę razy na posterunku.

— A ostatni?

— To wschodząca gwiazda! Do niedawna pracował w naszym sądzie i był całkiem w porządku, ale od kilku miesięcy patrzy na wszystkich z góry. Dostał nowy, wygodny stołek i palma mu odbiła. Został sędzią stanowym.

— Założę się, że za konkretne zasługi — zadrwił Snyder.

— Chyba jego ojca i wujka, którzy pociągnęli za wszystkie możliwe sznurki, żeby go tam umieścić. Twierdzi, że sam do wszystkiego doszedł, ale nikt mu nie wierzy.

— Suka mierzy coraz wyżej.

— Przyznam, że zbudowała sobie niezłe zaplecze.

— I dlatego musisz mi pomóc!

— Bez niezbitych dowodów od wiarygodnych osób nie mam z nimi szans. Najlepsze byłoby nagranie video.

— To... będzie bardzo trudne, ale zrobię, co w mojej mocy.

— Wiem i wierzę w ciebie.

— No dobrze. Postaram się pomóc, ale nie dziś. Obaj musimy odpocząć. Chyba już czas, żebyś wezwał mi tę taksówkę. Sam może wrócić w każdej chwili i nie chciałbym, żeby zobaczyła nas razem. Nie po tym, o co mnie poprosiłeś. Podczas ewentualnej rozmowy musiałbym jej kłamać w żywe oczy.

— Jesteś dobrym człowiekiem — wybełkotał łamiącym się głosem Snyder i złapał przyjaciela za koszulę. — Helen!!!

— Tak, to też bym potrafił. Trzeba było powiedzieć. — Olbrzym uśmiechnął się dobrotliwie.

Wkrótce w drzwiach pojawiła się służąca.

— Tak, panie Snyder?

— Wezwij taksówkę dla mojego przyjaciela.

— Oczywiście.

Kobieta poszła wykonać telefon, a Phil Foster złapał towarzysza pod rękę i pomógł mu przejść na kanapę. Posadził go, a następnie ułożył w pozycji leżącej.

— Dzięki, stary. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił.

— Jeszcze nic nie zrobiłem. Później mi podziękujesz. — Poklepał go po ramieniu, zabrał materiały i wyszedł. Dogonił pomocnicę i poprosił, aby nie wzywała taksówki.

Kobieta była nieco zdezorientowana, ale nie dyskutowała z poleceniem. Odprowadziła gościa do drzwi, pożegnała go lekkim ukłonem i otworzyła bramę.

Foster nie chciał zostawiać samochodu. Wolał zaryzykować i prowadzić pod wpływem alkoholu, niż doprowadzić następnego dnia do ewentualnego spotkania z kobietą, którą miał śledzić.

ŚRODA

— Adams! Gdzie on, do cholery, jest?! — zawołał groźnie kapitan Arthur Goldwyn — szef wydziału zabójstw w zachodniej części Cleveland. Wyszedł

z gabinetu i złowieszczo zlustrował podwładnych, oczekując konkretnej odpowiedzi.

— Przesłuchuje tego dzieciaka, który spowodował wczorajszy wypadek — odezwał się jeden z policjantów.

— Dawać mi go tutaj, a tego bachora niech ktoś inny poniańczy!

Sekretarka sięgnęła po telefon. Nie trzeba było jej dwa razy powtarzać.

— Szef chce cię natychmiast widzieć — powiedziała poważnym głosem. — Wiem, ale masz tu przyjść. — Detektyw próbował jej coś wytłumaczyć, ale bezskutecznie. — To wyznacz kogoś do przesłuchania. Jeżeli zaraz się tutaj nie zjawisz, może zrobić się bardzo nieprzyjemnie. — Usłyszała ciche przekleństwo, ale nie zrobiło to na niej najmniejszego wrażenia. Spokojnie odłożyła słuchawkę. Spełniła swój obowiązek. — Zaraz tu będzie — oznajmiła.

Kilka minut później na piętrze pojawił się wezwany policjant.

Detektyw James Adams nie charakteryzował się postawną sylwetką ani wyrazistą twarzą. Był niskiego wzrostu, szczupły, z postępującymi zakolami na głowie. Jednak pomimo niepozornego wyglądu, który niejednego już zmylił, nie miał sobie równych, jeżeli chodziło o trudne sprawy i zagmatwane przypadki. Świetnie znał się na tym, co robił i często bezgranicznie oddawał się pracy.

Dzień nie zaczął się dla niego najlepiej, ale był gotowy na nowe wyzwanie. Idąc w kierunku gabinetu szefa, w pamięci odtwarzał przebieg przesłuchania, którego nie pozwolono mu dokończyć. W myślach układał raport zamykający sprawę. Gdy dotarł do drzwi, zapukał i bez zbędnego oczekiwania wszedł do środka.

— Nareszcie! — rzucił kapitan i wskazał na krzesło stojące przy biurku. Sam usiadł po drugiej stronie w wygodnym fotelu. — Przepraszam, że ci przerwałem, ale mam tu coś ciekawszego od narwanego nastolatka.

— Mam nadzieję. Wie pan, jak bardzo nie znoszę pozostawiać po sobie niedokończonych spraw...

— Owszem. Wiem i szanuję to — Goldwyn mówił całkiem szczerze. Pomimo oschłości w stosunku do podwładnych, tego detektywa oraz jego otwarty umysł cenił ponad wszystko. — Tutaj masz adres. — Pomachał obszarpaną kartką papieru.

— Zdradzi pan jakieś szczegóły?

— Powiem tylko tyle, że ekipa i koroner są już na miejscu.

— Rozumiem, że mamy trupa.

— Tak. Ofiara to starsza, samotna, biała kobieta. Z tego, co mi przekazano, wygląda to na samobójstwo. Dziś rano sąsiad, widząc stojący przed domem samochód właścicielki, a także dwie gazety na ganku, zaniepokoił się i wezwał policję. Chłopcy z patrolu sprawdzili to zgłoszenie. Weszli do domu i znaleźli ciało lokatorki.

— Jeżeli to samobójstwo, to nie jestem ci potrzebny.

— Nos mi podpowiada, że sprawa nie jest taka prosta, na jaką wygląda.

— Kim była ofiara?

— Obecnie przedszkolanką, a dawniej... zakonnica.

— No proszę... — Detektywa wyraźnie zaciekawilo ostatnie zdanie.

— Coś nie tak?

— Nie, nie. Miałem na myśli, że ludzie wierzący nie popełniają samobójstw. W ich mniemaniu odebranie sobie życia to desperacki akt nie pozwalający osiągnąć życia wiecznego. W tym przypadku samobójstwo jest mało prawdopodobne. No chyba, że...

— Był ku temu bardzo konkretny powód — zauważył Goldwyn.

— Właśnie. Chociaż jest jeszcze inna możliwość.

— Jaka?

— Ktoś mógł jej w tym pomóc — dywagował Adams.

— Wiedziałem, że ci się spodoba! — Kapitan przyklasnął w dłonie.

— Nie ukrywam, że jestem zainteresowany.

— Świetnie. Jedź tam natychmiast. Im szybciej się za to weźmiesz, tym lepiej. I ani słowa prasie. Wiesz, jak ludzie reagują na takie wieści. To jest spokojna okolica, kobieta opiekowała się dziećmi, a dawniej była zakonnica i pewnie pomogła wielu ludziom. Jeżeli opinia publiczna dowie się, kogo podejrzewamy, oczywiście, jeżeli nie było to samobójstwo, to z pewnością znajdą się tacy, którzy sami będą chcieli wziąć sprawę w swoje ręce.

— Potrafię być dyskretny.

— W to nie wątpię, ale nie chcę żadnych niedomówień. Między innymi dlatego wezwałem ciebie. Dawno nie mieliśmy tu podobnej sprawy, więc bądź delikatny i uważaj na to, co i komu mówisz.

— Rozumiem... Coś jeszcze? — Adams wstał.

— To wszystko. Aha... Nie zapomnij zabrać adresu.

— Zapamiętałem go.

— I to mi się podoba. Profesjonalizm od samego początku.

— Do zobaczenia — zakończył detektyw i zamknął za sobą drzwi.

Zabrał kluczyki do służbowego, nieoznakowanego wozu i zjechał windą na parking. Pospiesznie opuścił podziemia komisariatu.

Po niecałych piętnastu minutach jazdy zobaczył w oddali dwa radiowozy, karetkę i samochód koronera. Gdy podjechał bliżej, dostrzegł policjantów oklejających żółtą taśmą obejście domu. Zablokowano jeden pas ruchu, aby technicy mogli poszukać ewentualnych śladów opon. Pozostali śledczy byli w środku.

Adams zatrzymał samochód przed słupkiem. Wysiadł i od razu podszedł do najbliższego funkcjonariusza. Okazało się, że był nim jego pomocnik-asystent, Paul Bennet.

— Detektywie... — przywitał się mundurowy.

— Witaj, Paul. Co mamy?

Poszli w kierunku domu.

— Prawdopodobnie samobójstwo. Samotna, starsza kobieta. Typowe. Nikt nic nie widział ani nie słyszał. Rudy przesłuchuje sąsiada, który nas zawiadomił.

— I...

— Na razie nic...

— Dobra. Znajdź mi na jej temat wszystko, co zdołasz. Podzwoń po znajomych, odwiedź sąsiadów. Chcę wiedzieć, z kim się spotykała, czy miała długi, wrogów, jaki był jej ulubiony kolor i jakie zwierzęta domowe preferowała.

— Jasne!

— Dzięki — Adams klepnął podwładnego w ramię.

Od samych drzwi wejściowych słychać było ożywioną rozmowę prowadzoną wewnątrz domu. Jezu, co za duchota, pomyślał i otarł pot z czoła.

— Uwaga na pinezki i roztrzaskany telefon! — zawołał jeden ze śledczych fotografujący dowody w salonie znajdującym się po drugiej stronie przedpokoju.

Detektyw przykucnął i przyjrzał się podłodze.

— Dziwne... — Wstał i rzucił okiem na ściany oklejone tapetą. Były na nich widoczne liczne otworki. Ktoś zdecydowanie miał coś do ukrycia,

pomyślał i ostrożnie ruszył dalej.

W miarę zbliżania się do łazienki słyszał coraz głośniejszą rozmowę dwóch techników.

— Samobójstwo, jak nic. Stawiam dziesięć dolarów i lunch.

— Przyjmuję. Obyś tym razem był wypłacalny.

— Zobaczysz, przyślą kogoś...

Wtedy w drzwiach łazienki stanął Adams. Młodzi mężczyźni zamilkli. Nie spodziewali się obecności asa wydziału. Od razu domyślili się, że coś jest nie tak. Nie wzywano go do byle jakich spraw. Technik, który przyjął zakład, uśmiechnął się do kolegi. Ten pokręcił głową i burknął coś pod nosem.

Ekipa powitała przełożonego i zrobiła mu trochę miejsca.

Detektyw podszedł bliżej wanny wypełnionej do połowy ciemnoczerwoną mieszaniną wody i krwi, w której leżały nagie, pomarszczone, blade zwłoki lokatorki. Prawa ręka, podobnie jak większość ciała, była zanurzona w cieczy. Lewa ręka wystawała poza obręb wanny. Po wewnętrznej stronie przedramienia, nieco powyżej nadgarstka, widniało głębokie nacięcie. Krew wypływająca z przeciętej żyły utworzyła na podłodze sporą plamę. Na prawej krawędzi wanny leżał duży, kuchenny nóż. Wokoło stało kilka wypalonych świeczek.

— Czas zgonu? — zapytał nagle i pochylił się nad ciałem.

— Mniej więcej trzydzieści sześć do czterdziestu ośmiu godzin temu — odpowiedział śledczy. — Dokładny czas poznamy po sekcji — dodał.

— Na prawej ręce też są ślady po nożu?

— Tak. Takie same, chociaż na pierwszy rzut oka wydają się nieco głębsze.

— Czyli była leworęczna.

— Albo mniej zdeterminowana po pierwszym cięciu.

— Raczej nie. Zapaliła świece... Nalała wodę... A po podcięciu żył odłożyła nóż. Nie upuściła go, ani nie wyrzuciła. Odłożyła. Spójrzcie na ślady krwi na brzegu wanny, obok noża.

— Czyli samobójstwo! — krzyknął niespodziewanie mężczyzna, myśląc, że wygrał zakład.

Detektyw spojrzał na niego z politowaniem.

— Piętnaście lat temu też bym tak pomyślał, ale doświadczenie nauczyło mnie, że nie wszystko jest czarne lub białe.

Opuścił łazienkę i przeszedł do salonu.

Kilka rozbłysków rozjaśniło zaciemnioną przestrzeń. Jeden z policjantów fotografował kupkę pinezek znajdującą się na stoliku. Nieco dalej leżało jakieś zdjęcie. Obok dowodów stały dwa żółte numerki pozostawione przez techników — dwadzieścia pięć i dwadzieścia sześć.

— Ruszaliście zasłony?

— Nie. Wszystko wygląda tak, jak to zastaliśmy.

Dokładnie przyjrzał się zdjęciu, nie dotykając go. Z trudem rozpoznał na nim twarz kobiety z wanny. Była otoczona przez gromadkę dzieci.

Dostrzegł kominek i przykucnął obok paleniska. Długopisem delikatnie szturchnął czarne, cieniutkie, spopiелone fragmenty papieru ułożone jeden na drugim. Rozsypały się w drobny mak.

— Sprawdźcie dokładnie ten kominek, pyłek po pyłku.

— Tak jest, szefie!

Zauważył luźno leżący kabel telefoniczny. Roztrzaskana komórka, odłączona linia... Robi się coraz ciekawiej. Następnie rozejrzał się po kuchni, ale nie znalazł niczego interesującego. Opuścił dom i poszedł trawnikiem w kierunku policjanta przesłuchującego sąsiada.

— Detektywie Adams — przywitał się funkcjonariusz.

— Witaj, Rudy.

— To pan Peter Cheney. Mieszka obok. To on nas zawiadomił.

— Panie Cheney...

— Detektywie...

— Proszę mi powiedzieć, czy w ciągu ostatnich dni widział pan coś niepokojącego albo kogoś podejrzanego kręcącego się po okolicy?

— Spotkałem dziennikarza, który chciał rozmawiać z Doną.

— Wie pan dlaczego? Kojarzy pan jego nazwisko? Przedstawił się? — Adams strzelał pytaniami jak z karabinu maszynowego.

— Nie, nie i... nie. Proszę mi wybaczyć, ale staram się nie wtykać nosa w nie swoje sprawy.

— Rozumiem. Czy coś jeszcze zwróciło pana uwagę?

— Jak zeznałem przed chwilą, przedwczoraj wieczorem, czyli w poniedziałek, zajrzałem do panny Jonson. Słyszałem jakieś dziwne odgłosy dochodzące z jej podwórka zza domu. Zaniepokoiłem się i poszedłem sprawdzić, czy wszystko w porządku.

— Widział się pan z nią tego wieczoru?

— Tak... Zadzwoiłem i zapukałem. Trochę to trwało, ale w końcu otworzyła. Zachowywała się naturalnie. Kiedy upewniłem się, że wszystko gra, wróciłem do domu. Od tego momentu już jej nie widziałem.

— A te odgłosy?

— Powiedziała, że mocowała się z tylnymi drzwiami. Zamek się zaciął i próbowała je otworzyć na wszystkie sposoby. W końcu dała za wygraną. Zaoferowałem swoją pomoc, ale powiedziała, że następnego dnia wezwie ślusarza.

— Czy odgłosy, które pan słyszał, mogły przypominać szamotaninę z drzwiami?

— Tak. Jak najbardziej. Powiem więcej... Z niczym innym nie mógłbym tego skojarzyć.

— Rozumiem. Proszę mi jeszcze powiedzieć, czy zasłony w tym domu zawsze były zasunięte?

— Nie. Nie przypominam sobie. Dlaczego? Chociaż... prawdę mówiąc, dopiero teraz, po pana sugestii zauważyłem, że są zasłonięte. Ale...

— Tak?

— Tak sobie myślę... Nie wiem, czy to ważne, ale kiedy tamtego wieczoru odwiedziłem pannę Jonson, odniosłem wrażenie, że coś jest nie tak. Wydawała się dziwnie niespokojna. Poza tym... w całym domu miała pogaszone światła. Powiedziała, że przepaliła się żarówka w korytarzu, ale przecież powinienem dostrzec łunę z pokoju albo z innego pomieszczenia. Gdy mi otworzyła, ledwo rozpoznałem twarz, a z wnętrza buchnął całodniowy zaduch.

— I wtedy nie wydało się to panu dziwne?

— Jak widać, nie. Zresztą... każdy ma prawo do własnego trybu życia. Może akurat kładła się spać... Może wymieniała bezpiecznik?

— Powiedział pan, że zadzwonił.

— Tak...

— Więc musiał być prąd.

— Rzeczywiście... Ale nie zmienia to faktu...

— W porządku... Doskonale pana rozumiem. Na razie to wszystko z mojej strony. Być może będziemy jeszcze potrzebować pana pomocy, więc proszę nie opuszczać miasta.

— Nigdzie się nie wybieram.

— To świetnie. Tutaj jest mój numer, a gdybym nie odbierał, to pod nim znajduje się numer komisariatu. — Detektyw podał mężczyźnie wizytówkę.
— Gdyby się panu coś przypomniało, proszę dzwonić o każdej porze.

— Dobrze. Mogę jeszcze o coś zapytać?

— Oczywiście.

— Powiedziano mi, że panna Jonson... że Dona popełniła samobójstwo. Z całym szacunkiem, ale zebrała się tutaj połowa komisariatu. Czy to standardowa procedura przy tego typu przypadkach?

— Zawsze kierujemy do sprawy wszystkich dostępnych ludzi. Jak to mówią... Co dwie głowy, to nie jedna.

— To prawda.

— Panie Cheney, ludzie nie odbierają sobie życia bez powodu. Nasze zadanie nie kończy się na rozpoznaniu przyczyny śmierci. My musimy znaleźć jej powód.

Detektyw pożegnał się i wrócił do policjanta, którego spotkał na początku.

— Paul? Udało ci się czegoś o niej dowiedzieć?

— Tylko tyle, że obecnie pracowała jako przedszkolanka. Kartotekę ma czystą jak łąka.

Zupełnie, jakby była zakonnica.

Adams uśmiechnął się.

— Bo była...

— Żartuje pan?!

— Nie. Masz adres przedszkola, w którym pracowała?

— Tak. To jakieś dwa kilometry stąd. Na szóstej albo siódmej przecznicy w prawo.

— Mniej więcej wiem, gdzie to jest. W porządku... Jadę tam. Gdyby któryś z chłopców mnie szukał, to niech dzwonią na służbową komórkę.

— Jasne.

— Aha, jeszcze jedno. Sprawdź tylne drzwi, wychodzące na ogród. Świadek zeznał, że słyszał, jak sąsiadka mocowała się z nimi tego wieczoru, kiedy prawdopodobnie popełniła samobójstwo.

— Prawdopodobnie?

— Na razie... prawdopodobnie.

— A co z nimi nie tak?

— Podobno zacięły się.

Adams wsiadł do samochodu. Zawrócił i pojechał na zachód.

— Co za upał — westchnął. Podkręcił klimatyzację na maksimum. — Od razu lepiej. — Poprawił się w fotelu. Czuł, jak koszula na plecach zaczyna robić się wilgotna. Jechał wolno, rozglądając się po okolicy. W oddali, tuż przed szóstym z kolei skrzyżowaniem, zauważył drogowskaz informujący o prywatnym przedszkolu. Skręcił i po przejechaniu stu metrów zatrzymał się przed dwupiętrowym budynkiem.

Gdy znalazł się w środku, poczuł lekką dezorientację. Od głównego wejścia odchodziły trzy identyczne korytarze, każdy w inną stronę.

— Witam... Przepraszam... Które do gabinetu dyrektora? — zapytał ochroniarza stojącego przy drzwiach.

— Tędy. — Mężczyzna wskazał na lewy korytarz. — Tuż za łukiem, po lewej stronie.

— Dziękuję.

Po chwili Adams stał już przed drzwiami z tabliczką *GABINET DYREKTORA*. Nie lubił przynosić złych wieści. Zapukał i wszedł do środka. Powitała go sekretarka. Wylegitymował się i poprosił o pilną rozmowę z dyrektorką.

Asystentka zapowiedziała nietypowego gościa i detektyw wszedł do właściwego gabinetu.

— Kirsten Thomas. W czym mogę pomóc? — Młoda kobieta z uśmiechem na twarzy przedstawiła się i wyciągnęła rękę na powitanie.

Była wyższa od policjanta prawie o głowę, ale zawdzięczała to w dużej mierze dziesięciocentymetrowym szpilkom. Jej elegancki ubiór, czerwona spódnica za kolana i żakiet tego samego koloru luźno narzucony na ramiona, był dobrze dopasowany do reprezentacyjnej funkcji, jaką pełniła.

— James Adams. — Policjant z wyczuciem uściśnął delikatną dłoń.

— Usiądźmy — zaproponowała. — Napije się pan kawy albo herbaty?

— Nie, dziękuję.

— Zaczynam się denerwować — roześmiała się. — W takim razie, proszę mi powiedzieć, co pana do nas sprowadza. — Od razu przejęła inicjatywę.

Detektyw czuł się, jakby to on był przesłuchiwany.

— Przychodzę w związku ze sprawą, którą się zajmujemy.

— To znaczy? — Wyraźnie się zmartwiła. Położyła ręce na biurku i

naparła na nie ciałem. Z uwagą i jednocześnie obawą czekała na dalsze wyjaśnienia.

— Chciałbym porozmawiać o panie Jonson.

— Mój Boże! Czy coś jej się stało?

— Tak. Dziś rano znaleźliśmy ją martwą w jej domu.

Dyrektorka zapadła się w fotel i pobladła.

— Dona? Dona Jonson nie żyje? — dopytywała z niedowierzaniem.

— Niestety...

— Nie mogę w to uwierzyć. Na pewno nie pomyliliście osób? Wiem, że czasem to się zdarza i...

— Obawiam się... Jestem pewien, że w tym przypadku nie doszło do pomyłki.

W oczach dystygowanej pani dyrektor pojawiły się łzy.

— Przecież ona była taka dobra dla wszystkich! Nie wiem, czy pan wie, ale kiedyś była...

— Zakonnica? — dokończył Adams. — Tak, wiemy. Widziałem jej zdjęcie z podopiecznymi. Podobno dawniej pracowała w sierocińcu... — nawiązał do fotografii, którą widział w domu.

— Tak. Później wystąpiła z zakonu i rozpoczęła pracę u nas.

— Wie pani może, dlaczego zrezygnowała z pełnienia bożej posługi?

— Kiedyś w szczerzej rozmowie zwierzyła mi się, że poznała jakiegoś mężczyznę, ale nie dopytywałam o szczegóły. Widać było, że sięganie pamięcią wstecz sprawia jej ból. Wiem tylko, że drań ją zostawił, a wcześniej dotkliwie pobił. Wyobraża pan sobie, że nawet nie wniosła skargi?!

— Niesamowita kobieta.

— To prawda. Całe życie poświęciła innym. Przez kilka lat opiekowała się rodzicami. Potem odeszli, najpierw matka, później ojciec. Ostatecznie została całkiem sama.

— To przykre.

Nastąpiła chwila ciszy.

— Mogę wiedzieć, jak zmarła?

— Jeszcze nie jesteśmy pewni. Znaleźliśmy ją w zamkniętym domu. Na razie niczego nie wykluczamy.

— Samobójstwo? Nigdy w to nie uwierzę!

— Dlaczego? — Detektywa wyraźnie zaciekawiała poważną deklaracją.

— Ona kochała życie. Żyła dla innych, a nie dla siebie. Nie wierzę, że mogłaby się targnąć na własne życie. To w ogóle nie byłoby do niej podobne.

— Może miała jakieś długi albo wrogów...

— Chyba pan żartuje!

— Proszę się nie gniewać. Próbuję tylko ustalić, co mogło się stać.

— Wierzę, ale po tym, co usłyszałam, nadal jestem w szoku.

— Doskonale rozumiem.

— Wszyscy ją lubili, a o ewentualnych długach nic mi nie wiadomo.

— A może ostatnimi czasy zachowywała się jakoś dziwnie? Nie wydawała się pani przestraszona albo nieobecna podczas rozmowy?

— Nic z tych rzeczy...

— Dobrze. W takim razie — nic tu po mnie. Zostawię wizytówkę. Gdyby się pani coś przypomniało, bardzo proszę o telefon. Będę wdzięczny za każdą informację.

— Oczywiście — rzuciła zdruzgotana. Wstała, ale widać było, że ledwo trzyma się na nogach.

— Dziękuję za poświęcony czas. — Detektyw pożegnał się i wyszedł z gabinetu.

W drodze do samochodu poczuł wibrujący w kieszeni telefon. Dzwonił jego protegowany, Paul Bennet.

— Masz coś?

— Tak. Drzwi, a dokładniej zamek, który podobno miał być zepsuty, jest całkowicie sprawny.

— Nie zacina się?

— Nie. Chodzi jak nowy.

— Nie rozumiem — zdziwił się Adams.

— Ja też nie.

— Podobno mocowała się z zamkiem.

— Po co? Wystarczyło przekręcić klucz. Ale to nie wszystko. Z tyłu domu znaleźliśmy ślady butów. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pochodzą z męskiego obuwia sportowego, rozmiar czterdzieści trzy.

— Ktoś biegał i zrobił sobie rundkę wokoło domu?

— Dla mnie też to jest dziwne, ale ślady na zakurzonej podłodze i progu są wyraźne.

— Na progu też?

— Tak. Jest ich tam sporo.

Adams zastanowił się chwilę, po czym oznajmił:

— Ona wcale nie próbowała otworzyć tych drzwi. Ona je zamknęła, żeby ktoś nie dostał się do środka.

Po krótkiej przerwie ponownie zabrał głos.

— Słuchaj. Zbierzcie tyle dowodów, ile się da. Jeżeli trzeba będzie więcej ludzi, to ich sprowadźcie. Zajrzyjcie pod każdy kamień i sprawdźcie każdy kąt w domu. Powiedz koronerowi, że do wieczora chcę mieć na biurku wyniki sekcji i raport toksykologiczny.

— Zrobimy, co w naszej mocy.

— To za mało. Zróbcie więcej. Jadę na posterunek. Muszę sprawdzić jeden trop. Jeżeli coś znajdziecie, dzwońcie.

CZWARTEK

Phil Foster siedział w swoim pickupie i obserwował wejście do włoskiej restauracji Piatto. Ten elegancki lokal znajdował się w samym centrum miasta, tuż obok budynku, w którym, na dwudziestym drugim piętrze, mieściła się kancelaria należąca do państwa Snyder.

Spóźnia się, pomyślał.

— Kobiety... Z nimi źle, bez nich jeszcze gorzej.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła pierwsza trzydzieści. Wreszcie w rozsuwanych drzwiach wieżowca pojawiła się długo wyczekiwana osoba.

Nadeszła pora lunchu. Samantha Snyder w towarzystwie przystojnego mężczyzny szła pewnym krokiem w kierunku restauracji.

Foster bez trudu rozpoznał jegomościa próbującego za nią nadążyć. Był jednym z tych, których widział na zdjęciach. Szedł dwa kroki za kobietą, ale było widać, że jej towarzyszy.

— Nareszcie... — Wyłączył silnik, który, pracując na najniższych obrotach, podtrzymywał klimatyzację.

Gdy dystyngowana para weszła do budynku, przebiegł przez ulicę i zatrzymał się przed wejściem. Nie miał rezerwacji. O tej porze mógł tylko pomarzyć o wolnym stoliku, ale musiał spróbować.

— Witam szanownego pana. Czy posiada pan rezerwację?

Foster dopiero po chwili uświadomił sobie, że wyprostowany mężczyzna w czarnym garniturze, stojący przy wysokim pulpicie, mówi do niego. Skupił się na stoliku, który zajęła podejrzana para.

— Proszę pana...

— A tak. Nie dokonałem rezerwacji, ale może znajdzie się stolik dla jednej osoby?

— Niestety... Chociaż... Proszę zaczekać, bo właśnie coś się zwolniło. Zaraz wracam.

Detektyw podążył wzrokiem za mężczyzną. Gdy ten z uśmiechem na twarzy skinął głową, odetchnął z ulgą.

Usiadł we wskazanym miejscu. Było idealne. Jak na dłoni widział flirtującą parę. Czekając na zamówiony posiłek, rozejrzał się po wnętrzu. Wszystkie stoliki były zajęte, a kelnerzy uwijali się jak w ukropie.

W pewnym momencie jego wzrok ponownie spoczął na śledzonej parze. Drgnął, kiedy zobaczył, że kobieta patrzy na niego. Wiedział, że został rozpoznany. Skinął głową i uśmiechnął się.

Samantha Snyder przeprosiła swojego towarzysza i wstała. Wolno podeszła do detektywa i bez słowa zajęła miejsce naprzeciwko.

— Nie wiedziałam, że tutaj jadasz.

— Witaj, Sam. Miło cię widzieć — zaczął nieśmiało Foster.

— I wzajemnie.

— Lunch smakuje? Widzę, że deser też się kroi.

— Daruj sobie. Co tutaj robisz?

— Przyszedłem zjeść. Ostatnio zachwalałaś ten lokal.

— Powiedziałaś już. Daruj sobie...

— Złość piękności szkodzi.

— Jeżeli nie masz dla mnie niczego nowego, to wracam...

— Czekaj... — Wyciągnął z kieszeni kopertę. — Wierzę, że to cię zainteresuje.

— Co to?

— Otwórz.

Odkleiła górę koperty i wyciągnęła cztery fotografie. Oniemiała, kiedy zobaczyła, kto na nich jest.

— Co to ma być? — warknęła i spojrzała groźnie na rozmówcę.

— To, co widzisz.

— Nie pogrywaj sobie ze mną.
— Nie mam zamiaru.
— Już rozumiem. — Roześmiała się. — Niezły sukinsyn z ciebie. Dobra, czego jeszcze chcesz?
— Wierz mi, że nie...
— Co nie?
— Nie rozumiesz.
— To mi wyjaśnij.
— Dostałem te zdjęcia od niego.
— Od kogo? Johna? — zdziwiła się.
— Nie inaczej.
— Pogubiłam się. Jeszcze raz, od początku. — Pokręciła głową, jakby oczywistość była dla niej zagadką.
— Dwa dni temu, kiedy byłeś na spotkaniu ze swoimi „koleżankami”, zaprosił mnie do waszego domu.
— Wiem, bo przecież zadzwoniłeś, gdy tylko się dowiedziałeś. Co więcej, po powrocie do domu zastałam go w opłakanym stanie, więc myślałam, że wszystko poszło zgodnie z planem. Miałam nadzieję, że wygada się z jakiegoś romansu. Powiedz mi, że się nie mylę.
— To wszystko prawda. Wypiliśmy trochę. Ja jakoś się trzymałem, ale on całkowicie odleciał. W którymś momencie wyciągnął znikąd te zdjęcia i to. — Odszukał w kieszeni pendrive.
— Co na nim jest?
— Zawiera zapis audio twoich miłosnych uniesień, których doznałaś podczas spotkania z jednym z wielbicieli.
— Żartujesz sobie ze mnie?
— Nie.
— Dlatego był taki radosny podczas obiadu — domyśliła się. — Najpierw rzucał talerzami, a później jadł z uśmiechem na twarzy. Już wtedy coś kombinował.
— Nie powiedział, od kogo to dostał.
— A sprawdziłeś dom?
— Pobieźnie. Nie namierzyłem żadnego podsłuchu. Zerknąłem tu i ówdzie, ale wygląda na to, że jak do tej pory, John jest tym „dobrym” w waszym związku. Ty z kolei...

— Nie prosiłam o komentarz. Miałeś tylko znaleźć na niego haka.

— A tymczasem on znalazł na ciebie. I to nie jednego.

— A niech to... Jestem ciekawa, kto mu pomaga. Przysięgam, że jak znajdę tego...

— Zapomniałem wspomnieć o najlepszym.

— Jest jeszcze coś?

— Teraz tylko nie wiem, kto da więcej — roześmiał się szyderczo Foster.

— W co ty grasz?

— W nic. Po prostu twój małżonek zaoferował mi pracę. Prosił mnie, żebym wyświadczył mu przysługę i zebrał niepodważalne dowody na twoją niewierność.

— Własnym uszom nie wierzę. Więc po to chciał się z tobą spotkać... To on też potrafi logicznie myśleć? — Zrobiła krótką pauzę. — Nie rozumiesz? Chce dostać dom! Wie, że firmy mu nie oddam za żadne skarby tego świata. To moje dziecko! Ja je urodziłam, wykarmiłam, wychowałam. I teraz miałabym się nim podzielić? Z tym nierobem? Wolne żarty.

— Wiesz, że jeżeli pójdzie do sądu, to może wygrać. Nawet jeżeli wytoczysz na niego wszystkie swoje działa, to w gruncie rzeczy nie masz nic, co mogłoby przebić te dowody.

Kobieta złapała się za głowę. Złość gotowała się w niej, ale w tej chwili nie mogła nic zrobić. Była w pułapce.

— Jest też dobra wiadomość.

— Zaskocz mnie.

— Istnieje duże prawdopodobieństwo, że John nie jest do końca świadom, gdzie są zdjęcia i pendrive. Gdy się obudził i nie znalazł ich przy sobie, pewnie pomyślał, że je zabrałem.

Pani prokurator zaświeciły się oczy.

— A nagranie?

— Nawet jeżeli je skopiował, nie ma na nim niczego, co mogłoby stanowić jakikolwiek dowód w sądzie. Przesłuchałem ten plik w całości i muszę przyznać, że... spędziłaś całkiem udany wieczór. Na szczęście nie padają imiona, a po waszych okrzykach radości nie można jednoznacznie stwierdzić, kogo słyhać na nagraniu.

— Czyli... Jeżeli te zdjęcia się zgubią, to mój kochany mąż będzie w punkcie wyjścia?

— Mniej więcej...

— A więc sprawa załatwiona! — Przyklasnęła i wyprostowała się.

— A ja? Czyżbyś zapomniała? Przecież prosił mnie, żebym cię śledził i wypatrzył coś, co by potwierdziło te zdjęcia.

— Ale przecież ja jestem grzeczną dziewczynką. — Całkowicie zmieniła ton. Stała się spokojniejsza i bardziej pewna siebie. Czuła, że zyskuje przewagę.

— Te zdjęcia mówią co innego.

— Przecież zdjęcia przepadły — uśmiechnęła się i rozłożyła ręce. — Wcale nie musiałeś zabierać ich z naszego domu — dodała.

— Nie musiałem...

— I mogłeś zostawić je tam, gdzie leżały.

— Mogłem.

— A po twoim wyjściu, mój pijany do nieprzytomności mąż schował je gdzieś i pewnie nie pamięta, gdzie.

— Taki przebieg wydarzeń jest wielce prawdopodobny.

— A ile by mnie kosztowało, żeby stał się rzeczywistością?

— Coś wymyślę.

— Tylko nie przeginaj. Pamiętaj, że już raz uratowałam twój tyłek. Niezmiernie trudno było podważyć zeznanie twojego partnera, a w ostateczności zwalić na niego winę za śmierć tego chłopca. Zapomniałeś o sfałszowanym raporcie balistycznym i zapłakanej matce na pogrzebie swojego jedyne dziecko? Góra bardzo chętnie jeszcze raz przyjrzałaby się dowodom, gdyby jakiś anonimowy donosiciel...

— Smarkacz miał w ręce broń! — wzburzył się Foster.

— To była zabawka, detektywie.

— Wyglądała jak broń. Skąd, do cholery, mieliśmy to wiedzieć? Zresztą... Nieistotne. Za tamto już się odwdzięczyłem. Śledziłem Johna przez dwa miesiące. Łaziłem za nim jak cień. Raz mnie nakrył! Musiałem się nieźle napocić, żeby uwierzył, że to przypadek.

— Ale przyznaj, że w mojej osobie lepiej mieć przyjaciela niż wroga.

— Trudno się nie zgodzić.

— Cieszę się, że też tak myślisz. — Wstała i zabrała zdjęcia.

— A pendrive?

— Zostaw go sobie na chłodne wieczory. Sam powiedziałeś, że bez tych

zdjęć nic nie znaczy.

— I uwierzyłaś mi na słowo?

— A ty mi, że nikomu nie zdradzę twojego... naszego małego sekretu? Pamiętaj... — Pochyliła się i szepnęła mu do ucha: — Jeżeli ja pójdę na dno, to z pewnością nie sama. Do zobaczenia następnym razem, detektywie.

— Suka — powiedział cicho, gdy odeszła.

Kelner przyniósł posiłek, ale przy stoliku nikogo już nie było. Rozejrzał się po sali. Był nowy i dopiero się uczył. Chyba nie pomyliłem zamówienia, zastanawiał się. Odczekał trzydzieści sekund i wrócił do kuchni, by jeszcze raz wszystko sprawdzić.

Phil Foster przebiegł przez ulicę. Gdy wsiadł do samochodu, zwrócił uwagę na radiowóz stojący tuż za nim.

— Mam nadzieję, że... A niech to wszyscy diabli! — Zauważył za szybą jakąś kartkę papieru. Doskonale wiedział, co to jest. — Wokoło susza, a parkomaty wyrastają jak grzyby po deszczu!

Sięgnął po mandat i zgniótł go w dłoni.

Po lunchu Samantha Snyder miała jeszcze lepszy humor niż wcześniej. Obrót spraw, które na początku wyglądały beznadziejnie, ostatecznie wcale nie okazał się dla niej taki zły. Może, jak nie znajdzie tych zdjęć, palnie sobie w łeb i po kłopotcie, rozmarzyła się.

W oczekiwaniu na ważny telefon zaczęła przeglądać akta najnowszej sprawy dotyczącej nadużyć finansowych, których dopuścił się jeden z senatorów. Osobnik ten został oskarżony o przekazanie kilkudziesięciu tysięcy dolarów na cele, które miały mu zapewnić pewną wygraną w zbliżających się wyborach. Zadanie Samantha Snyder miało polegać na odwróceniu kota do góry ogonem. Jakimś cudem miała nie tylko wybronić senatora, ale również ukazać go w pozytywnym świetle przed wyborcami, jako człowieka niesłusznie oskarżonego i pokrzywdzonego przez ludzi, którzy chcieli oczernić jego dobre imię. Sprawa nie była prosta, ale ona uwielbiała wyzwania. Z chęcią przyjęła zlecenie, którego nikt nie chciał się podjąć. Ryzyko było spore, ale nagroda jeszcze większa. Tym razem musiała się zabezpieczyć. Od pewnego czasu takich spraw nie pozostawiała przypadkowi. Z głębokiego zamyślenia wyrwał ją dźwięk telefonu.

— Sędzia Paxton czeka na linii — oznajmiła sekretarka.

— Dzięki. Możesz przełączyć.

— Sam?

— Bill...

— Miło cię znowu słyszeć.

— Wzajemnie.

— Jak tam sprawy?

— Nie za dobrze. Dziękuję, że oddzwoniłeś. Chyba znowu będę potrzebowała twojej pomocy. Znasz sędziego Reynoldsa?

— Oczywiście, studiowaliśmy razem. Ostatnio nawet spotkaliśmy się na polu golfowym. Ograłem go, ale odgrażał się, że tak tego nie zostawi. Chyba we wtorek zagramy rewanż — rzucił wesoło Paxton.

— Nawet nie wiesz, jak się z tego powodu cieszę. — W głosie Samantha dało się wyczuć wyraźne podekscytowanie.

— Chyba wiem, co się święci.

— Czyżby?

Flirtowała z nim, a on doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

— Ale to cię będzie drogo kosztować.

— To znaczy?

— Hmm... Zastanówmy się. W sobotę miałem jechać z kolegą na ryby.

— A gdybyś nie pojechał?

— Co przez to rozumiesz?

— Przecież dobrze wiesz.

— A jeżeli się obrazi?

— Wolisz spać z nim czy ze mną? — Postawiła sprawę jasno.

— Umiesz być przekonująca. Dobra... zmiana partnera, ale miejsce pozostaje to samo.

— A co ja mam powiedzieć mężowi?

— To, co zawsze, od kilku lat... Wyjazd integracyjny, szkolenie, spotkanie z przyjaciółkami. Kogo jak kogo, ale ciebie nie będę uczył, jak zamydlć komuś oczy.

— Dobrze, coś wymyślę... Szlag by to!

— Co się stało?

— Przypomniałam sobie, że w sobotę nie mogę! Znajomi przychodzą do nas na obiad.

— Odwołaj.

— Nie... — Przed oczami miała zdjęcia, na których obściskuje się z

kochankami. — John ostatnio robi się podejrzliwy, a to już będzie drugi tego typu wypad w ciągu tygodnia.

— Czyli zostaje nam niedziela?

— Tak.

— Cóż... lepsze to niż nic...

— W takim razie jesteśmy umówieni. Dam ci znać, skąd możesz mnie zabrać.

— A nie z domu?

— Bardzo śmieszne...

PIĄTEK

Franklin Blvd., Cleveland

Ciszę na korytarzu przerywał regularny, energiczny stukot dochodzący z jednego z pokoi na piętrze. Odgłosy przypominały poczynania dziecięcia, który upatrzył sobie jakieś drzewo i nie miał zamiaru spocząć, dopóki nie dostanie tego, po co przyleciał.

Dodatkowo, co jakiś czas, dźwiękom towarzyszyły wiązanki soczystych przekleństw rzucane krótkimi salwami. Jedna z nich była na tyle głośna, że obudziła pięciolatka, którego matka przed wyjściem na popołudniową zmianę położyła spać. Mały chłopiec przeciągnął się na łóżku i przetarł oczy. Oślepiły go promienie zachodzącego słońca. Spojrzał na budzik w kształcie Myszki Miki. Dochodziła szósta.

Usiadł i zastygł w bezruchu. W pierwszej chwili poczuł rozpalające go ciepło, a zaraz potem przejmujący chłód. Delikatny powiew wiatru wpadł przez otwarte okno i otarł się o przepoconą piżamę. Pięciolatka przeszył dreszcz, a na jego rękach pojawiła się gęsia skórka. Skulił się i spojrzał na nocny stolik, gdzie stały dwa syropy.

Usłyszał dziwne odgłosy dobiegające zza niedomkniętych drzwi. Był słaby, ale ciekawość dodała mu sił. Postanowił to sprawdzić. Zeskoczył z łóżka i niepewnie ruszył przed siebie. Minął szafkę z zabawkami i biurko. Na podłodze leżał jego ulubiony, brązowy miś bez ucha i z jednym okiem. Złapał go za łapę i zaczął ciągnąć po ziemi. Mając towarzysza, czuł się znacznie pewniej. Dotarł do drzwi. Budzące ciekawość dźwięki były coraz wyraźniejsze. Ktoś prowadził ożywioną rozmowę. Malec razem z miśm

wyszedł na korytarz. Rozpoznał głos ojca dobiegający z gabinetu.

— Słuchaj... Wiem, że zawałam termin, ale bądź człowiekiem i daj mi jeszcze kilka dni. Mam na utrzymaniu czwórkę dzieci. Sam wiesz, jak to czasem wygląda. W następnym tygodniu dostanę zastrzyk gotówki i postaram się...

Chłopak dotarł do futryny i przystanął. Złapał za drewnianą listwę. To nie był pierwszy raz, kiedy jego ojciec głośno z kimś rozmawiał. Na szczęście teraz jest w pokoju... Przecież nie rzuci talerzem o ścianę, pomyślał i zerknął do środka.

William Maison, czterdziestosześcioletek w niebieskiej koszuli z podwiniętymi rękawami i w czarnych spodniach prasowanych na kant chodził po pokoju, żywo gestykulując. Dawniej finansowy rekin, obecnie pracownik banku, tłumaczył się, jak mógł, żeby tylko znaleźć zrozumienie u rozmówcy. Używał wszystkich znanych mu technik negocjacji, ale te na niewiele się zdawały. Lewą ręką wymachiwał na wszystkie strony, a w prawej trzymał jakąś kartkę. Słuchawka telefonu znajdowała się pomiędzy prawym ramieniem a głową. W jego zachowaniu widać było desperację. Na koszuli, na plecach oraz w okolicach pach, widniały ciemniejsze plamy. Co chwilę ocierał rękawem spocone czoło.

— Tydzień, to wszystko, czego potrzebuję. Jeżeli nie będę miał za co wyżywić rodziny, to odbiorą mi dzieci, a wtedy będzie jeszcze gorzej. Proszę cię... Siedem dni... — Sfrustrowany mężczyzna kątem oka dostrzegł sylwetkę chłopca stojącego na korytarzu. Wreszcie usłyszał długo wyczekiwane zdanie.

— Super! Dzięki! Jesteś wielki. Odezwę się w przyszły piątek. Powiem co, jak i gdzie.

William Maison z radością zakończył rozmowę i wziął głęboki oddech. Przypomniał sobie o dziecku.

— Bryan? Wejź — zawołał syna.

Malec nieśmiało przekroczył próg gabinetu. To miejsce kojarzyło mu się tylko z jednym. Wiedział, że nigdy bez pytania nie może tutaj wchodzić.

Ojciec podszedł do niego i przykucnął.

— Mam nadzieję, że cię nie obudziłem.

Po chwili namysłu chłopak pokręcił głową.

— Jak się czujesz? Masz jeszcze gorączkę? — Przyłożył dłoń do jego czoła. — Oj, wracaj do łóżka. Jesteś cały rozpalony! Mój Boże... Twoja

piżama jest mokra! Dlaczego nic nie mówisz? Chodź — wziął go za rękę — przebierzemy ją.

Poszli z powrotem w stronę pokoju Bryana.

— Podnieś rękę. — Zatraskany rodzic ostrożnie pociągnął za koszulkę i zdjął ją przez głowę.

Po chwili chłopak miał już na sobie czyste i świeże ubranko.

— Masz — podał mu pilota — włącz sobie telewizor, a ja zaraz wracam. Zszedł na parter i udał się w stronę kuchni. W lodówce znajdował się antybiotyk. Gdy wrócił, chłopiec leżał w takiej pozycji, w jakiej go zostawił.

— Wiem, że paskudnie smakuje — potwierdził, widząc minę syna — ale musisz wyzdrowieć, a to jest jedyna ku temu droga.

Pięciolatek spojrzał błagalnie na ojca, zamknął oczy i otworzył usta. Ostatecznie, z dużą niechęcią połknął dawkę leku.

— Jeszcze tylko ten syropek i będziemy to mieli z głowy. Kaszel już ci przeszedł, więc myślę, że ten drugi możemy sobie odpuścić. Tylko nie chwal się mamie, że ci go nie dałem.

— Ale ten mi najbardziej smakował.

— Jeżeli nalegasz...

— A czy mogę pobawić się z chłopcami?

— Teraz nie. Najpierw musisz wyzdrowieć. Chyba nie chcesz ich zarazić?

— Chyba nie...

— Leż i oglądaj bajki. Za godzinę zajrzę do ciebie z podwieczorkiem. Wiesz już, co chciałbyś zjeść?

— Tosty! — Chłopczykowi zaświeciły się oczy.

— Dobrze, w takim razie będą tosty. — Ojciec uśmiechnął się i wyszedł.

Jak tylko zamknął drzwi, uśmiech z jego twarzy natychmiast zniknął. Usłyszał hałasy dobiegające z dołu. Miał wrócić do pracy, ale nie mógł się skupić. Szybko zbiegł po schodach. Przeszedł przez kuchnię, skąd zabrał mosiężny klucz wiszący obok lodówki. Otworzył drzwi prowadzące do piwnicy. Gdy przekręcił klucz i energicznie nacisnął klamkę, odgłosy natychmiast ucichły.

Włączył skąpe oświetlenie w postaci pojedynczej żarówki znajdującej się nad dolnym podestem kończącym schody. Zamknął za sobą drzwi na klucz. Stare, drewniane deski zaskrzypiały pod naporem sporego ciężaru. Niektóre lekko się ugiwały. Nie cierpiał tego uczucia. Miał wrażenie, że za chwilę

któraś belka załamała się po nim. Szedł przy samej ścianie, aby przypadkiem nie spełniły się jego obawy. Gdy wreszcie znalazł się na dole, poczuł ulgę. Pojedyncza, czterdziestowatowa żarówka oświetlała tylko niewielką część rozległych podziemi budynku. W większości piwnicę zalewał półmrok. Dotarł do zaryglowanych drzwi. Ze szczeliny pod nimi wydobywała się wiązka światła. Szarpnął za zasuwę i pchnął ciężkie skrzydło. Ościeżnice nie były tak wysokie jak w domu. Musiał się schylić, żeby nie rozbić głowy.

Przy ścianie, na podłodze, siedzieli dwaj półnaczy chłopcy. Mieli na sobie koszulki i ubrudzone pieluchy. Jeden z nich miał trzy, drugi — cztery lata. Młodszy trzymał w rękach pluszową zabawkę. W ich oczach było widać strach. Skulili się i przygotowali na najgorsze.

— Któryś mi powie, co się tutaj dzieje?! — zaczął ostro Maison.

— Nic nie zrobiliśmy! — odpowiedział starszy.

— To dlaczego słyhać was aż na górze?

— Bawiliśmy się i...

— I co?

— Alex przewrócił się i uderzył o drzwi.

— Ja nie chciałem...

Mężczyzna spojrzał groźnie na malca, który natychmiast ucichł.

— Wstawaj i chodź tu!

Chłopak pokręcił głową i przytulił swoją zabawkę — papugę z oderwanym ogonem. Odwrócił wzrok i zeszywniał. Od towarzysza niedoli dostał mocnego kuksańca pod żebra. Miał zaledwie trzy lata, ale wiedział już, że opór nie ma sensu.

— Powiedziałem, podejdź! — warknął groźnie opiekun.

Maluch niepewnie odłożył zabawkę i odepchnął się rękami od ziemi. Zrobił kilka drobnych, niepewnych kroków i zatrzymał się metr od mężczyzny. Ciągle patrzył w ziemię.

— Powiedziałem, tu! — Maison wskazał palcem na punkt bezpośrednio przed nim.

Gdy dziecko zbliżyło się, szarpnął je za ramię i odwrócił malca tyłem. Zaczął mu się przyglądać. Zmierzył jego włosy, aby sprawdzić, czy nie ma śladów krwi. Na szczęście, niczego nie znalazł. Delikatne otarcie na prawej ręce nie było niczym niepokojącym. Pchnął go w kierunku, z którego przyszedł.

— Jeżeli jeszcze raz będę musiał tutaj zejść, to skończy się tak, jak ostatnim razem! — Pokazał na pas wiszący obok drzwi. — Zrozumiano?!

Chłopcy pokiwali głowami. Natychmiast przypomnieli sobie o kilku bolesnych razach wymierzonych każdemu z nich za nieposłuszeństwo trzy dni temu. Do tej pory mieli trudności z siedzeniem.

Z trwogą oczekiwali na kolejny ruch strażnika. Tym razem, na szczęście, zakończyło się na słownym upomnieniu. Opiekun, który życzył sobie, żeby nazywali go ojcem, opuścił pomieszczenie i zaryglował drzwi.

Mali więźniowie spojrzeli na zegar wiszący na ścianie. Nikt ich nie nauczył rozpoznawać godzin, ale wiedzieli, jak poruszają się wskazówki i że zbliżają się do ustawienia, które oznaczało powrót ich „mamy” do domu. Wtedy ojciec stawał się spokojniejszy. Czasem nawet pozwalał im wychodzić na górę, a po kolacji i kąpieli, obejrzeć bajkę. Musieli jednak na to zasłużyć. Dzisiejsza niezapowiedziana wizyta mogła ich sporo kosztować.

William Maison wrócił na parter. Dalej czuł podenerwowanie. Był niezadowolony ze swojej pobłażliwości. Schodząc do chłopców, miał nadzieję, że któryś da mu okazję do wyładowania złości. Niestety, tym razem zawiódł się. Robią się coraz grzeczniejsi, pomyślał. Kiedyś zaglądał do nich regularnie, nawet dwa razy dziennie. Teraz zaczynało mu tego brakować.

Powinien zabrać się za pracę, ale po nerwowej rozmowie z pożyczkodawcą nie miał na to ochoty. Otworzył lodówkę i wyjął piwo. Odkręcił kapsel i usiadł na krześle barowym przy wyspie na środku kuchni. Sięgnął po gazetę leżącą nieopodal i zrobił pierwszy łyk. Nie zdążył dokończyć drugiego akapitu, kiedy usłyszał zgrzyt otwierających się drzwi wejściowych i ciche, niemalże niesłyszalne kroki.

— Stephanie! To ty?!

— To ja, tato!

— Mike? Wcześniej wróciłeś...

W wejściu do kuchni stanął dwunastolatek z plecakiem w prawej ręce. Miał na sobie luźny niebieski t-shirt, jasnoszare spodenki, a na głowie przekrzywioną czapkę baseballową z logo ulubionej drużyny koszykarskiej.

— Miałeś mieć zajęcia na basenie... Coś się stało?

Chłopak zobaczył na blacie butelkę piwa. Na szczęście, była jeszcze pełna, a obok niej nie stała kolejna. Nie lubił wracać do domu, kiedy mamy jeszcze nie było.

— Pan Cullen rozchorował się.

— To dlaczego nie wróciłeś wcześniej?

— Popływaliśmy trochę z chłopakami. Zbliżają się zawody i nie chcemy wyjść z formy.

— A jak sprawdzian z matmy? Mam nadzieję, że nie będę musiał się za ciebie znowu wstydzić na kolejnym zebraniu rodziców.

— Wydaje mi się, że napisałem dobrze.

William Maison zerwał się i podszedł do chłopaka. Złapał go za koszulkę i przyciągnął do siebie.

— Wydaje ci się?!

Chłopaka sparaliżowało. Upuścił plecak. Usilnie próbował znaleźć zrozumienie w przeszywającym wzroku rozwścieczonego opiekuna.

— Napisałem wszystko i... nawet chciałem rozwiązać zadanie dodatkowe, ale... zabrakło mi czasu — wyjąkał z przerażeniem.

Oczywiście skłamał, ale w tej chwili nie miał odwagi powiedzieć prawdy. Dwóch zadań z czterech w ogóle nie zaczął. Ściągać też się nie dało. Nauczycielka nie była idiotką. Od trzech lat wiedziała, komu może ufać, a kogo powinna posadzić z przodu. W pierwszym rzędzie nie miał szans.

Zamiast kilku reprimend wybrał jedną. Zawsze istniała możliwość, że tym razem matka pójdzie na wywiadówkę. Nie oszukiwał się. Nie była łagodniejsza, ale miała znacznie mniej siły w rękach i słabszą determinację. Szybciej odpuszczała. Najgorsze były momenty, kiedy złość obojga rodziców nakładała się na siebie. Wtedy trudno było wytrzymać.

Maison puścił dwunastolatka, kiedy usłyszał warkot samochodu podjeżdżającego pod dom.

— Nie myśl sobie, że z tobą skończyłem! Pamiętaj... — spojrzał mu w oczy — możesz mnie okłamywać tylko do mojej następnej wizyty w szkole! A teraz marsz do pokoju! Zawołamy cię na kolację. Liczę, że do tego czasu odrobisz lekcje.

— Tato, przecież dziś piątek. Mogę je odrobić w niedzielę? — zapytał nieśmiało chłopak.

— Nie, nie możesz! Zrobisz je dzisiaj, a w niedzielę powtórzysz materiał! I popraw czapkę! Wyglądasz jak jakiś obdartus z ulicy!

— Dobrze, tato.

— I nie próbuj mnie oszukać! Przyjdę sprawdzić! Dopóki nie odrobisz pracy domowej, nie zjesz kolacji.

Dwunastolatek pokiwał głową i pobiegł na górę. Znowu mu się udało. Kolejny powrót ze szkoły zakończony sukcesem — nie dostał lania. Już stracił rachubę, kiedy ostatnio otrzymał dotkliwą reprimendę. Groźby to nie to samo, co bolesne razy. Był z siebie dumny, że robi postępy. Cieszył się, gdy wyzwiska zastępowały sińce. Codziennie, regularnie przyzwyczajany do zakazów, nakazów i obelg, przywyknął do nich jak do rozmowy z kolegami ze szkoły. Co więcej, w pewnym momencie stały się dla niego nagrodą, a nie karą.

Przeszedł obojętnie obok pokoju Bryana i nawet nie odważył się zerknąć do gabinetu ojca. Jego azyl mieścił się na końcu korytarza. Tylko tam czuł się dobrze, bezpiecznie. Ściany były oklejone plakatami koszykarzy. Na półce stało kilka pucharów, a na szafce modele sportowych samochodów. Górny, wąski blat odrapanego biurka zajmował stary, kineskopowy monitor. Komputer był schowany we wnęce poniżej. Na dobrą sprawę, tylko dzięki internetowi mógł się wydostać poza ten przeklęty dom.

Był wykończony po treningu. Nie miał pracy domowej, więc rzucił torbę w kąt i usiadł na łóżku. Tłumaczenie ojcu, że nie ma się czego uczyć na sobotę, było bezsensowne i zawsze powodowało niepotrzebne konflikty. Na przerwie w szkole poprosił koleżankę, aby pomogła mu rozwiązać kilka zadań z matmy. Rzucił brudnopisem na biurko i położył się na tapczanie.

Na suficie wisiał poster z LeBronem Jamesem. Uwielbiał koszykówkę i był jej zagorzałym fanem. Kiedy tylko mógł, śledził poczynania swojego ulubionego zespołu — Miami Heat. Sam chciał uprawiać ten sport, ale jego mizerny wzrost uniemożliwił mu wstąpienie do drużyny. Zabrakło kilku centymetrów.

Trener pływaków nie miał jednak żadnych zastrzeżeń. Chętnie przyjął nowego, młodego kandydata i dał mu szansę, którą chłopak wykorzystał w stu procentach. Po roku doszedł do lepszych wyników niż jego starsi koledzy w ciągu trzech lat przygotowań. Dostał się do reprezentacji juniorów i stanął na jej czele.

Po chwili zapomnienia włączył komputer i odszukał stronę, na której były powtórki różnych meczów. Ściszył głos, aby nikomu nie przeszkadzać. Najpierw chciał sięgnąć po słuchawki, ale ostatecznie zrezygnował. Mógłby nie usłyszeć wezwania na kolację. Pomyślał, że nie warto niepotrzebnie irytować rodziców.

Po chwili usłyszał trzask zamykanych drzwi wejściowych. Mama wróciła i

nie była w najlepszym humorze.

— Kochanie, coś się stało? — zapytał Maison, widząc rozwścieczoną żonę w pośpiechu zdejmującą buty.

— A jak myślisz? — odpowiedziała pretensjonalnie. — Pieprzeni Południowcy! Nie wiem, po jaką cholereę przeprowadzają się na Północ. Zrozumiałabym, gdyby pojechali na Zachodnie Wybrzeże albo do stolicy. Ale nie! Muszą tracić mój cenny czas. Tyle...

— za pomocą kciuka i palca wskazującego odmierzyła w powietrzu, tuż przed nosem męża, centymetrowy odcinek — tyle mi zabrakło, żeby im go wcisnąć.

— Dlaczego nie kupili?

— Sama nie wiem. — Pokręciła głową. Zaczęła machać rękami w powietrzu, dobitniej obrazując swoją irytację. — Facetowi nie spodobał się układ pokoi, a kobiecie wystrój kuchni. Trafiła mi się para, pożałuj Boże, dekoratorów wnętrz. Miałam złe przeczucia, jak tylko ich zobaczyłam.

— Przecież wszystko mieli w folderze.

— Dokładnie! Kiedy dzwonili, było słyhać zachwyt w ich kłamliwym głosie! Napaliłam się jak cholera!

— Jutro też jest dzień. — Objął żonę.

— Wiem, ale myślałam, że zła passa wreszcie się skończy. Może ja już się nie nadaję do tej pracy? — Przytuliła męża, licząc na słowa pocieszenia.

— Nie, kochanie. Jesteś świetną agentką i dobrze o tym wiesz.

— Dziękuję, ale zaczynam w to wątpić.

Przejrzała się w lustrze wiszącym w przedpokoju. Sięgnęła po chusteczkę, wytarła łzy i rozmazany tusz do rzęs.

— Co u Bryana? Jest jakaś poprawa?

— Obudził się rozpalony. Podałem mu lek oraz syrop, który powinien już zadziałać i kazałem zostać w łóżku. Właśnie zabierałem się za kolację. Pomożesz mi?

— Oczywiście... Zrzucę te cholernie niewygodne ciuchy i zaraz do ciebie przyjdę. A jak reszta towarzystwa? Sprawiali kłopoty?

— Smarkacz wrócił wcześniej. Powiedział, że skrócili trening ze względu na nieobecność opiekuna. Wydaje mi się, że coś kręci, ale na razie zostawię go w spokoju. Przyjdzie czas, to znowu zastosuję wobec niego postępowanie pionizujące.

— Nie odpuszczaj mu, ale uważaj! Teraz przechodzi najgorszy okres. Może się zbuntować i skończy się tak, jak...

— Spokojnie, moja droga. — Chwytał ją za ramiona. — Wiem, kiedy odpuścić i wiem, kiedy przykręcić śrubę. Jednak to prawda, że jest coraz mądrzejszy. — Spojrzał groźnie na piętro. — Teraz potrzeba stanowczości, ale i rozsądku.

— Masz rację. A maluchy?

— Siedzą grzecznie w piwnicy i uczą się posłuszeństwa.

— Byłeś na dole?

— Tak. Zerknąłem do nich, bo usłyszałem jakiś huk.

— Znowu nabroili?

— Nie. Młodszy uderzył się o drzwi. Miał delikatne otarcie, ale poza tym wszystko w porządku.

— Muszą się wyszaleć — zauważyła Stephanie Maison.

— Myślę, że jeszcze pół roku i będą gotowi.

— To dobrze. Idę się w końcu przebrać, a ty zacznij przygotowywać kolację. Zerknę do Bryana.

— Pytał, czy będzie mógł pobawić się z chłopcami.

Kobieta uśmiechnęła się.

— I co?

— Najpierw musi wyzdrowieć, a potem... wymyślimy inną wymówkę.

— Idź po nich. Przed kolacją trzeba będzie doprowadzić ich do porządku. Tylko prosto do łazienki. Nie chcę, żeby pobrudzili mi cały dom. Wczoraj myłam podłogi.

Pół godziny później chłopcy byli już gotowi, żeby zasiąść przy stole. Przebrani w koszulki i spodnie z dresu, wyszli z łazienki na korytarz. Młodszy krył się za odważniejszym braciszkiem.

— Szybciej! Kolacja wystygnie! — ponagliła Stephanie.

Malcy zauważyli Bryana schodzącego po schodach. Pomachał do nich, ale oni nie mieli odwagi odpowiedzieć. Rzucili tylko puste spojrzenia i odwrócili głowy.

— Pobawimy się razem?!

Nie zareagowali. Skupili się na tym, żeby jak najszybciej przejść z punktu A do B. Potrafili wyczuć podenerwowanie rodziców. Nie chcieli pogarszać

sytuacji.

— Idźcie i usiądźcie tam, gdzie zawsze — poinstruowała opiekunka.

— Mamo... — Bryan zeskoczył z ostatniego schodka na posadzkę.

— Co się stało, kochanie? — Przyklękła i spojrzała łagodnie na syna.

— Alex i Ricky przestali mnie lubić?

— Dlaczego tak sądzisz?

— Pomachałem im i zapytałem, czy się ze mną pobawią, a oni nie odpowiedzieli.

— Najwidoczniej nie mieli ochoty. Poza tym, jesteś chory i musisz leżeć w swoim łóżeczku, żeby jak najszybciej wyzdrowieć i wrócić do przedszkola. Tam masz kolegów, którzy lubią się z tobą bawić, a nimi się nie przejmuj. No już! Pędź do kuchni. Ojciec przygotował tosty.

Chłopiec podniósł ręce, wy dobył z siebie okrzyk radości i podążył w kierunku, z którego dało się już wyczuć smakowitą przekąskę.

— Mike! Kolacja! — zawołała Stephanie i nie czekając na odzew, podążyła za swoim synem.

Gdy cała piątka zasiadła przy stole, głos zabrała głowa rodziny.

— A gdzie nasza gwiazda pływalni?

— Zawołałam go, ale widocznie nie jest głodny.

— Może ja pójdę i przy okazji powiem mu, co myślę na temat niejadania kolacji razem z rodziną. — William Maison nerwowo odsunął się od stołu.

— Zostaw go... Może źle się czuje. — Żona złapała męża za rękę.

— To nie zwalnia go z obowiązku wytłumaczenia się z nieobecności.

— Jest duży. Zgłodnieje, to sam sobie poradzi.

Tymczasem Mike spał w najlepsze. Był wycieńczony po treningu i musiał nabrać sił. Na ekranie monitora leciała powtórka meczu koszykówki. Nie mógł usłyszeć wołania.

Drgnął dopiero, kiedy ktoś wszedł do jego pokoju. Nie otworzył oczu ani nie zmienił pozycji. Udawał, że śpi. Słyszał jakiś ruch za plecami i szelest przewracanych kartek. Serce zaczęło mu mocniej bić. Podskoczył jak szalony, kiedy ktoś z impetem zatrzaskał drzwi. Huk obudziłby umarłego. Odwrócił się i zobaczył na podłodze talerz z dwoma tostami.

Uspokoił oddech i drżącą ręką sięgnął po kolację.

SOBOTA

Sierociniec Heaven's Gate był położony szesnaście kilometrów na wschód od Cleveland. Został założony w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku przez Benjamina Kocha — pastora i architekta z zamiłowania. Człowiek ten, przedkładając dobro innych nad własne, przez dziesięć lat zbierał datki, a następnie znalazł grupę dwudziestu ochotników, którzy w niecałe dwa lata pomogli mu wznieść ów budynek, co na tamte czasy było nie lada osiągnięciem. W murach tego sanktuarium znalazło schronienie kilkadziesiąt dzieci, które nie miały się gdzie podziać. Początkowo opiekowały się nimi franciszkanki i klaryski z pobliskich zakonów. Z czasem, z pomocą państwa, zaczęto sprowadzać wykwalifikowany personel, który miał umożliwić sierotom lepszy start w dorosłe życie. Rozpoczęto procesy adopcyjne oraz poszukiwania rodzin zastępczych. W przeciągu ostatnich niemalże stu lat w tym miejscu schronienie znalazło ponad dwa i pół tysiąca dzieci.

Obecnie, trzydzieści pięć lat po śmierci założyciela, miejsce to dalej spełniało swoją funkcję, chociaż sam budynek stracił wiele ze swojego pierwotnego uroku. Ostatni gruntowny remont przeszedł ponad dziesięć lat temu. Trudna sytuacja gospodarczo-ekonomiczna kraju skłoniła rząd do szukania oszczędności we wszystkich sektorach. Zmniejszenie budżetu dla tego typu ośrodków o jedną piątą, przy jednoczesnym kilkukrotnym wzroście liczby dzieci potrzebujących opieki, a także cen i kosztów utrzymania, poskutkowało ograniczeniem do niezbędnego minimum wydatków na remonty. Profesjonalne opiekunki ponownie ustąpiły miejsca wolontariuszkom w habitach.

Wykorzystywano każdą wolną parę rąk. Jeden konserwator, pełniący jednocześnie funkcję strażnika i złotej rączki, miał kilkumiesięczne zaległości w wykonywaniu zleczanych mu obowiązków. Dochodziło do sytuacji, kiedy sam dyrektor — sześćdziesięcioletni Carl Grant łapał za pędzel, śrubokręt czy młotek. Choć od dawna charakteryzowała go spora nadwaga i z wiekiem powoli tracił siły, ciągle czuł pociąg do pracy i nużyło go beczynne siedzenie w gabinecie.

Kiedy pewnego dnia, trzymając w ręku masywny klucz angielski, wdrapywał się wolno na trzecie piętro, jeden z jego małych podopiecznych szybko dogonił go i szarpnął za nogawkę spodni.

— Dzień dobry, panie Grant! — krzyknął czterolatek.

— Witaj... Edwardzie — odpowiedział po chwili namysłu zdyszany

dyrektor. Nie od razu przypomniał sobie imię chłopca.

— Co pan tam ma? Mogę zobaczyć?

— To klucz angielski.

— A do czego on służy?

— Do przykręcania i odkręcania różnych rzeczy. Widzisz — wskazał na śrubę regulującą prześwit i pokręcił nią — dzięki temu możemy dostosować klucz do odpowiedniej nakrętki.

— A czy ja też mogę taki dostać?

— Nie, mój drogi! Jest dla ciebie zdecydowanie za ciężki. Jesteś jeszcze za mały na ciężką pracę. Ale nie martw się... W życiu dość się napracujesz. A teraz idź — pogłodził go po głowie — i pobaw się z kolegami. A propos... Gdzie wszyscy są?

— Poszli z siostrą Marią na podwórko.

— A ty zostałeś?

— Bolał mnie brzusek i siostra powiedziała, że jeżeli chcę, mogę zostać w pokoju.

— Więc wracaj do łóżka.

— Ale już mnie nie boli! Mogę iść z panem? — zapytał wesoło.

Dyrektor westchnął i uśmiechnął się.

— Więc chodźmy, mój mały pomocniku.

— Jeee... — Malec pobiegł przodem schodami na górę. W połowie drogi pomiędzy piętrami zatrzymał się i odwrócił. — A dokąd my właściwie idziemy?

Dyrektor przed każdym kolejnym stopniem prawą ręką łapał się za poręcz i energicznie podciągał. Był wycieńczony krótką wspinaczką. Spora nadwaga była dla niego coraz większym obciążeniem, a upośledzone krążenie sprawiało ból, który wydawał się rozrywać żyły, a tym samym nogi od środka. Biuro miał na parterze i raczej rzadko chodził po schodach. Musiał złapać oddech i zwalczyć grymas na twarzy, zanim odpowiedział na pytanie.

— Na trzecie piętro. W ubikacji zatkała się umywalka. Musimy ją udrożnić.

— Co to znaczy „udrożnić”?

— To znaczy, że w rurach nazbierał się brud i należy go usunąć.

— A czy ja mogę go usunąć?

— Jak już mówiłem, jesteś jeszcze za młody, ale pomożesz mi w inny

sposób.

— W jaki?

— Zobaczysz, gdy tam dojdziemy.

Wychowanek podskoczył z radości i przyklasnął w dłonie, a gdy tylko osiągnął poziom trzeciego piętra, pobiegł przodem w kierunku toalety.

— Nareszcie — wysapał Grant, gdy stanął na podeście kończącym jego morderczy spacer. Dyszał jak lokomotywa. Najchętniej usiadłby i z godzinę odpoczął. Pot lał się z niego strumieniami. Było piekielnie gorąco, a o klimatyzacji mógł tylko pomarzyć. Nie działała od kilku tygodni.

Wreszcie przemógł się. Łapiąc za futrynę, prawie wtoczył się przez drzwi do ubikacji. Od razu poczuł delikatny chłód bijący od starych, spękanych kafelek. Podszedł do pierwszej z brzegu umywalki, odkręcił zimną wodę i obmył twarz. Zdjął koszulę i pozostał w samym podkoszulku. Po chwili dostrzegł, że woda, której użył, nie odpływa.

— Połowa sukcesu za nami — powiedział wesoło do malca. — Przypadkiem zlokalizowaliśmy usterkę. Teraz trzeba ją tylko usunąć.

— A jak to zrobimy?

— Twoja kolej. Przyniesiesz mi wiadro, które stoi obok szafki?

— Jasne. — Maluch w podskokach wykonał zadanie.

— Widzisz tę dużą nakrętkę? Ustaw wiadro dokładnie pod nią?

— Tak?

— Idealnie!

— A teraz założymy na nią klucz i spróbujemy odkręcić. Gotowy?

Chłopak pokiwał głową i przykucnął. Był całkowicie pochłonięty intrygującą operacją.

— No to zaczynamy. Raz... dwa... i trzyyy...

Zapieczony gwint strzelił i rozległy się zgrzyty poluzowanej nakrętki. Kilka ruchów kluczem rozszczelniło połączenie dwóch rurek i do wiadra pociekła brudna, prawie czarna woda.

— Ale śmierdzi! — krzyknął czterolatek. Zatkanął nos i wycofał się o kilka kroków.

— Niestety. Ta robota do przyjemnych nie należy.

Grant dokończył odkręcanie ręką. Na samym końcu gwintu rurka odskoczyła i opryskała go szlamem. Po pustym pomieszczeniu rozszedł się szczery, dziecięcy śmiech. Dyrektor zacisnął zęby, aby w złości, przy

chłopcu, nie rzucać przekleństwami na lewo i prawo. Usunął zator w postaci zbitego kłęбка włosów i Bóg wie czego jeszcze. Odkręcił zimną wodę, której strumień bez przeszkód trafił przez umywalkę do wiadra.

— I już! — powiedział triumfalnie.

— Udało nam się?

— Tak jest, mój mały pomocniku!

— A co zrobimy z tym brudem?

— Wylejemy do ubikacji.

— A ona się nie zatka?

— Nie. Tam są grubsze rurki.

— A dlaczego tutaj też takich nie ma?

Słuszna uwaga, pomyślał dyrektor i uśmiechnął się.

— Nie mam pojęcia — odparł wesoło i zakręcił śrubę.

Zawartość wiadra wylądowała w ubikacji.

— To co, idziemy?

— Pewnie.

Droga w dół była dla Granta znacznie łatwiejsza. Nie minęły dwie minuty, a obaj znaleźli się na parterze. Chodź — wziął chłopca za rękę — znajdziemy siostrę Marię.

Wyszli na podwórze. Było ponad trzydzieści stopni, ale cień drzew gęsto posadzonych wokół budynku zapewniał dzieciom przyzwoite schronienie przed palącym słońcem.

— Tam są! — Malec pokazał na kolegów grających w berka.

— A gdzie się podziała siostra Maria?

Chłopak przystanął. Ściągnął brwi, przyłożył dłonie do czoła robiąc prowizoryczny daszek i rozejrzał się po okolicy.

— Tam jest? — Pokazał ręką wzdłuż alejki prowadzącej od głównej drogi pod sam budynek.

— Gdzie?

— Tam! Obok tego dużego drzewa. Rozmawia z jakimś panem.

— Aaa... rzeczywiście! Ty to masz oko. Pójdę się przywitać, a ty biegnij do kolegów.

Czterolatek nie potrzebował kolejnej zachęty. Żwawo pognał w stronę, skąd dochodziły radosne okrzyki dokazujących rówieśników.

Carl Grant ruszył w kierunku dużego drzewa. Za nim, częściowo skryta, stała siostra Maria. Kiedy podszedł bliżej, dostrzegł samochód przybysza oraz zmartwioną twarz opiekunki.

— Dzień dobry — zawołał.

Gdy młoda kobieta ubrana w szary habit spojrzała na niego, zauważył w jej oczach smutek i współczucie. Czuł, że coś jest nie tak.

— Witam pana — zaczął tajemniczy, niewysoki mężczyzna. — Jak mniemam, pan Grant.

— Zgadza się. — Dyrektor podszedł bliżej i wyciągnął dłoń na powitanie.

— Nazywam się Adams i jestem detektywem.

Granta przeszył zimny dreszcz. Spojrzał pytająco na zakonnice.

— Czy coś się stało?

— Przychodzę w sprawie dawnej pracownicy tego ośrodka, Dony Jonson. Prowadzimy śledztwo w sprawie jej śmierci.

— Dona nie żyje? — zapytał z niedowierzaniem dyrektor.

— Cieszę się, że wie pan, o kim mówię.

Otyły mężczyzna żałował, że nie ugryzł się w język. Natychmiast przypomniał sobie, dlaczego tak dobrze kojarzy ofiarę...

— Oczywiście... Była oddana dzieciom jak mało kto — próbował wybrnąć.

— Domyślam się... Niestety. Znaleźliśmy ją martwą w jej domu. Prawdopodobnie popełniła samobójstwo, ale dopóki nie zakończymy śledztwa, nie będziemy o niczym przesądzać.

— To... niemożliwe...

— Co takiego?

— Że popełniła samobójstwo, przecież... — Zaczął błędzić oczyma. Przywołał w pamięci rozmowę, jaką odbył z byłą pracownicą ośrodka w poniedziałkowy wieczór.

— Była zakonnica? — dokończył Adams.

— Tak... Zgadza się.

— Mam prośbę. Możemy przejść do pana gabinetu? Miałbym kilka pytań, a ten upał jest nie do zniesienia.

Dyrektor z chęcią przystał na propozycję.

— Sostro, proszę nie trzymać dzieci zbyt długo na dworze. Wiem, że w budynku nie jest wiele lepiej, ale nie możemy dopuścić, żeby któreś z nich

dostało udaru.

— Oczywiście, dam im jeszcze dziesięć minut, a potem wrócimy.

Cała trójka poszła wybrukowaną drogą w stronę sierocińca.

Wkrótce siostra Maria odłączyła się, a mężczyźni weszli do budynku i udali się do gabinetu.

— Proszę zostawić otwarte drzwi, bo za chwilę będzie tutaj cieplej niż na zewnątrz.

Detektyw zachował się jakby nie usłyszał tego zdania. Przymknął drzwi i usiadł na krześle przed biurkiem.

Grant przełknął ślinę.

— Czy mógłby mi pan przybliżyć postać panny Jonson?

— A co dokładnie chciałby pan wiedzieć?

— Wszystko, co pan pamięta. Zdaję sobie sprawę, że to było dawno temu, ale w tym przypadku każda informacja może być istotna.

— Pracowała u nas bardzo długo. Jako dwudziestolatka wstąpiła do zakonu i od samego początku była związana z sierocińcem. Zaczęła tutaj pracę w tym samym okresie, co ja. Dzieci od razu ją polubiły. Dobrze radziła sobie w tym zawodzie. Była stworzona do pomagania innym.

— Zapewne nie miała żadnych wrogów.

— A skąd?!

— A dlaczego wystąpiła z zakonu?

— To... skomplikowane.

— Mamy czas.

Grant westchnął.

— Wszystko rozegrało się na przestrzeni kilku miesięcy, jakieś dwadzieścia lat temu. Dona prowadziła proces adopcyjny jednego z naszych wychowanków. Miał trafić do samotnego mężczyzny, któremu rok wcześniej zmarła żona. Jej zadanie polegało na rozeznaniu, czy temu osobnikowi można ufać. Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale nie możemy sobie pozwolić na adopcję naszych podopiecznych przez przypadkowe osoby. Nie chcemy im zgotować gorszego losu niż miały.

— Doskonale rozumiem.

— Pech chciał, że w tym samym czasie zmarła jej siostra.

— Siostra panny Jonson?

— Tak. Miała nieoperacyjnego guza mózgu. Od tego momentu sprawy

przyjęły niekorzystny dla wszystkich obrót.

— Mężczyzna, który doświadczył śmierci żony i kobieta, która w tym samym okresie straciła siostrę — podchwycił Adams.

— Nie inaczej. Trudno tutaj kogoś winić. Facet przestał skupiać się na adopcji, a zaczął interesować się opiekunką. Robił to w umiejętny sposób i Dona wpadła w jego pułapkę. Po sześciu miesiącach spotkań z nim, które odbywała pod przykrywką procesu adopcyjnego, wreszcie przemogła się i poszła z tym do siostry przełożonej, a ta poinformowała mnie.

— I odeszła z zakonu?

— Tak.

— I nie miało to nic wspólnego z pana sprawą, która miała miejsce w tamtym czasie?

Dyrektor wyprostował się, zmarszczył czoło i zastygł w bezruchu. Te słowa uderzyły go w twarz niczym pięść boksera wyprowadzającego nokautujący cios.

— Nie rozumiem... Jaką moją sprawą? — zapytał łamiącym się głosem.

Detektyw zmierzył go wzrokiem. Uwielbiał uspokajać swoje ofiary przed ostatecznym, zmasowanym atakiem. Teraz wystarczyło tylko zacisnąć pięść.

— Drugiego kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku dwie siostry z zakonu franciszkanek złożyły skargę na ówczesnego dyrektora tego ośrodka. Czy coś panu świta, czy mam mówić dalej?

— Wiem, o czym pan mówi, ale te absurdalne zarzuty wobec mnie zostały oddalone w kilka dni po rozpoczęciu postępowania.

— Zgadza się, ponieważ kobiety zmieniły swoje zeznania.

— I sprawę zamknięto, a siostry wydano z zakonu za oszczerstwa wobec niewinnej osoby.

— Czyli wobec pana...

— Tak, ale nie rozumiem, co to ma wspólnego ze śmiercią Dony...

— Spokojnie, panie Grant. Po prostu zastanawiał mnie fakt, czy opuszczenie sierocińca i zakonu przez pannę Jonson nie miało czegoś wspólnego z tym incydentem.

— Nie miało... — warknął dyrektor.

— No dobrze... Do tego jeszcze wrócimy. A jakie były pana stosunki z panną Jonson po jej odejściu?

— To znaczy?

— Czy widywaliście się, rozmawialiście?

— Na początku rozmawialiśmy, ale tylko telefonicznie. Byłem ciekaw, jak jej się wiedzie.

— A ostatnio?

— Jeżeli dobrze pamiętam, od dobrych kilku lat nie zamieniłem z nią ani słowa — powiedział pewnie Grant.

— To bardzo ciekawe... — Detektyw wyjął zwinięta kartkę papieru i rozprostował ją niemalże pod samym nosem zlanego potem dyrektora.

— Co to?

— Rejestr rozmów. Jest pan ostatnią osobą, z którą nasza ofiara rozmawiała tuż przed śmiercią. Czy teraz, podobnie jak te dwie siostry wiele lat temu, chciałby pan zmienić swoje zeznania?

Zarządca sierocińca poczuł się tak, jakby uderzył w niego piorun. Siedział jak sparaliżowany — bez ruchu i bez słowa. Próbował znaleźć wytłumaczenie, satysfakcjonującą odpowiedź, ale w głowie miał pustkę.

— Jeżeli nie rozmawiał pan z nią przez kilka lat, to jakim cudem pana numer znalazł się na tej liście i to w dodatku w dzień jej śmierci?

— Ale... przecież cały poniedziałek spędziłem tutaj! Nie mogłem być w dwóch miejscach jednocześnie! Nie mogłem jej zabić! — Nie próbował już dłużej zaprzeczać. Zmienił taktykę. Po prostu udzielił odpowiedzi na pytanie, które jeszcze nie padło.

— Po pierwsze — detektyw schował kartkę do kieszeni — nie powiedziałem, że to pan ją zabił, a po drugie... skąd pan wie, że zginęła w poniedziałek?

— Jak to?

— Nie powiedziałem, że zginęła w poniedziałek. Zauważyłem tylko, że ktoś, korzystając z pana telefonu, rozmawiał z nią w dniu jej śmierci.

Dyrektor spuścił wzrok. Wiedział, że już się nie wywinie i musi ratować swoją skórę.

— No dobrze, dobrze. Rozmawiałem z nią tego dnia.

— To wiem od początku. Teraz chciałbym wiedzieć z jakiego powodu, po latach milczenia, zadzwonił pan do niej akurat tego dnia.

— Ponieważ... — musiał dobrze rozważyć kolejne słowa — otrzymałem przesyłkę, która mną wstrząsnęła.

— Jaką przesyłkę?

Dyrektor wstał i zza książek wyciągnął grubą kopertę. Podał ją detektywowi i załamany opadł na fotel.

Adams dokładnie przyjrzał się zawartości. Pracował w policji od lat i fotografie nagich dzieci nie zrobiły na nim wrażenia. Dopiero ostatnie zdjęcie wywołało u niego poruszenie. Było identyczne jak to, które znalazł w domu ofiary.

— To właśnie Dona, kiedy jeszcze u nas pracowała.

— A to? — Detektyw uniósł dłoń, w której trzymał stertę pornografii.

— Nie mam pojęcia. Na kopercie nie było adresu zwrotnego. Widniało tylko moje imię i nazwisko. Ktoś osobiście musiał wrzucić ją do naszej skrzynki.

— Dlaczego chciał pan ukryć ten fakt?

— Nie wiem. Może przez wzgląd na dawne czasy. Była dobrą osobą. Nie chcę, żeby coś takiego wyszło na jaw i po śmierci zrujnowało jej nieposzlakowaną opinię.

— Macie tutaj monitoring? Możemy w jakiś sposób dowiedzieć się, kto podrzucił tę kopertę?

— Niestety, nie.

— Czy w ostatnim czasie wydarzyło się jeszcze coś równie nietypowego?

— Właściwie tak. Tego samego dnia, w którym rozmawiałem z Doną, tylko że nieco wcześniej, zadzwonił do mnie jakiś dziennikarz. Jeżeli dobrze pamiętam, przedstawił się jako Robert Radcliff. Chciał dowiedzieć się czegoś o Donie. Potem zniechęcony zapytał mnie, czy mogę skomentować fakt, że nasi uczniowie są wychowywani przez zdemoralizowane opiekunki.

— Z tego wynika, że dostał taką samą kopertę, co pan, albo... to on ją wysłał — wydedukował Adams.

— Tego nie wiem.

— Zapiszę sobie jego imię i nazwisko. Sprawdzę, gdzie pracuje i może dowiemy się czegoś jeszcze. Jak pan myśli, dlaczego przysłał panu tę kopertę?

— Nie mam pojęcia, dlaczego chciał oczernić Bogu ducha winną zakonnicę. To niegodziwe i niemoralne.

Adams nie zadał kolejnego pytania. Zanotował tylko coś w notesie.

Po chwili ciszy głos zabrał dyrektor.

— Ja naprawdę jej nie zabiłem.

— Wierzę panu i mam nadzieję, że śledztwo to potwierdzi. Mam jeszcze prośbę. Mógłby mi pan pomóc w identyfikacji dzieci znajdujących się na fotografii?

— Chętnie, ale gdzieś zapodziały mi się dokumenty, dzięki którym mógłbym tego dokonać. Rejestr wychowanków przepadł jak kamień w wodę, podobnie jak album z tamtego okresu. Dawniej nie prowadziliśmy kartoteki komputerowej. Wszystko było spisywane ręcznie. Może mi pan wierzyć lub nie, ale gdy tylko dostałem tę kopertę, sam postanowiłem trochę pogrzebać. Od przedwczoraj szukam tych książek i jak na razie, nie udało mi się ich znaleźć.

Adams natychmiast przypomniał sobie *ROCZNIKI*, które leżały na stoliku w mieszkaniu ofiary. On może mówić prawdę, pomyślał. Dla dobra śledztwa postanowił nie zdradzać wszystkich szczegółów. Niezmiernie zaintrygowała go druga z zaginionych książek, która mogła rzucić znacznie więcej światła na tę dziwną sprawę.

— W takim razie proszę szukać dalej. Gdy tylko je pan znajdzie, proszę dać znać.

— Oczywiście. To wszystko?

— Na razie tak, ale będziemy w kontakcie. Dziękuję za poświęcony czas. Zostawię moją wizytówkę. Gdyby coś jeszcze się panu przypomniało, proszę o telefon.

— Dobrze. — Grant wstał. — Wybacz pan, że nie odprowadzę do wyjścia? Muszę trochę ochłonać.

— Oczywiście.

Adams pożegnał się i opuścił gabinet. W drzwiach wyjściowych minął się z grupką zziębniętych dzieci i ich opiekunką. Ukłonił się i szybkimi, drobnymi kroczkami podreptał w stronę wozu. Ukradkiem zerknął jeszcze na jedno z okien, gdzie — jak przypuszczał — znajdował się gabinet dyrektora. Dostrzegł poruszającą się firankę. Gdy był już przy samochodzie, odwrócił się i objął wzrokiem budynek i teren wokół sierocińca.

— Co tu się wydarzyło? — zadał sobie pytanie.

Chwilę zadumy przerwał mu telefon.

— Paul?

— Szefie, mam dwie wiadomości.

— Niech zgadnę... dobrą i złą... — Wsiadł do samochodu.

— Obie złe.

— Cudownie.

— Ten były facet naszej ofiary obecnie nie mieszka już w Cleveland. Co gorsza... nie mieszka nawet w Stanach.

— A gdzie?

— W Europie. A dokładniej — w Wielkiej Brytanii. Rozmawiałem z nim rano przez telefon. Oczywiście przyznał się, że ją znał. Przybliżył nawet krótką historię ich związku. Burzliwą historię. Jego opowieść pokrywa się z wersją dyrektorki przedszkola. Rozstali się i rok później wyjechał.

— Mógł przyjechać, pociąć ją i wrócić.

— Też tak myślałem i od rana przeglądałem listy pasażerów, jakie udało mi się zdobyć z naszego lotniska. Jak na razie, niczego nie znalazłem. Ale jeżeli chce pan znać moje zdanie, to nie wierzę, że on to zrobił.

— Po czym wnioskujesz?

— Tyle lat mieszkają osobno i to na różnych kontynentach. Każdy poukładał sobie życie po swojemu. Z jakiego powodu ten facet miałby wracać do Stanów, zabić kobietę, której nie widział od piętnastu lat i uciec z powrotem? To się nie trzyma kupy.

— Ja też tak myślę, ale nie możemy pominąć żadnego tropu. Szukaj dalej. A druga zła wiadomość?

— Aaa tak... Odnalazłem te dwie zakonnice, które zostały wydalone z zakonu po aferze z ówczesnym dyrektorem.

— Dlaczego to ma być zła wiadomość?

— Bo nie żyją.

— Świetnie... Czyli jesteśmy w punkcie wyjścia.

— A co z Grantem? — zapytał Bennet.

— Ciekawa historia. Najpierw próbował coś kombinować, ale ostatecznie przyznał się, że rozmawiał z nią tej nocy, kiedy zginęła.

— A mówił dlaczego?

— Tak, ale opowiem ci, jak wrócę. Mam jeszcze prośbę... Sprawdź mi niejakiego Roberta Radcliffa. W pierwszej kolejności szukaj wśród etatowych dziennikarzy i wolnych strzelców.

— Czyżby kolejny podejrzany?

— Owszem. Dorzuć go do listy.

— Nie wydaje się panu, że jak na samobójstwo, to na naszej tablicy

zaczyna się robić tłoczno?

— Aż za bardzo...

NIEDZIELA

Rzucający się w oczy, biały cadillac escalade, z prywatną rejestracją znaną prawie wszystkim w Cleveland, był ostatnim samochodem, jakim Samantha Snyder chciała jechać ze swoim kochankiem na wycieczkę za miasto.

— Dobrze, że chociaż masz przyciemniane szyby.

Bill Paxton spojrział na nią znad okularów i uniósł brew.

— Czyżby pani prokurator bała się, że ją rozpoznają?

— To skomplikowane...

— Jak wszystko!

Mężczyzna roześmiał się, poprawił okulary i skupił się na drodze. Nie należał do ludzi, którzy boją się tego, co przyniesie jutro. Jego zazwyczaj groźnie wyglądająca twarz doskonale pasowała do urzędu, jaki sprawował. Miał prawie pięćdziesiąt lat, ale świetnie się trzymał. Brak siwych włosów i bujna, ciemna czupryna odejmowały mu lat. Dbał również o kondycję. Codziennie rano biegał, a w każdy wtorek i czwartek dodatkowo chodził na siłownię. Jako zdeklarowany kawaler był łakomym kąskiem dla każdej kobiety poszukującej wrażeń na jedną noc. Dłuższe znajomości nie wchodziły w grę.

Elegancki, wygadany, obyty i dobrze znający się na swoim fachu — tak w skrócie można było go opisać. Wielu jego konkurentów do stołka sędziego stanowego zarzucało mu załatwienie awansu przez koneksje rodzinne, ale w rzeczywistości sam sobie na wszystko zapracował i był z tego dumny.

Nigdy nie mieszał się w słowne utarczki i zazwyczaj trzymał się na dystans od skandali szargających opinię jego światka. Ale — jak każda reguła — i ta miała swoje wyjątki. Ten konkretny nazywał się Samantha Snyder. Dla utrzymania znajomości z tą nietuzinkową kobietą zrobiłby wiele. Dla jednej nocy spędzonej z nią warto było nagiąć żelazne zasady. I choć doskonale wiedział, że głównie to ona czerpie korzyści z tych spotkań, to jednak nigdy się nie sprzeciwiał. Życie nauczyło go brać, dopóki dają, a ona dawała mu więcej przyjemności niż którakolwiek z jego byłych partnerek. Tylko do niej wracał i czekał na więcej. Tylko ona była warta nieprzestrzegania kodeksu.

— Jak mąż zniósł wiadomość o weekendzie poza domem?

— Po pierwsze to tylko niedziela, a nie cały weekend, a po drugie... Musimy w ogóle o nim rozmawiać?

— Martwię się o ciebie. Nie chciałbym, żeby spotkały cię jakieś nieprzyjemności.

— Proszę cię! Potrafię o siebie zadbać. Skup się na jeździe, bo skończymy w jeziorze, a nie nad nim.

— Po prostu podziwiam jego wytrwałość.

— Wytrwałość?

— Znamy się już ponad dziesięć lat. Nie wierzę, że czegoś nie podejrzewa.

— Nie zapominaj, że on dawniej też nie był ideałem. A myślisz, że dlaczego zaczęłam się z tobą spotykać? Nie pamiętasz, jak ci mówiłam, że zdradzał mnie z sekretarką?

— Coś mi świta.

— Wiem, że to brzmi jak jakiś kiepski scenariusz z romantycznego filmu, ale tak było. Znacznie więcej czasu spędzał w pracy niż w domu. Powroty po dwudziestej drugiej były na porządku dziennym. W końcu pewnego wieczoru nie wytrzymałam i pojechałam tam.

— Nigdy o tym nie wspominałaś.

— Bo nie było o czym. Myślisz, że weszłam, narobiłam bałaganu i trzasnęłam drzwiami? Otóż nic z tych rzeczy. Pamiętam to, jakby się zdarzyło wczoraj. Piętro było puste. Oczywiście tylko w jego biurze paliło się światło. Zdjęłam buty i przeszłam pod same drzwi. Miałam szpilki, a nie chciałam, żeby mnie usłyszeli.

— Niezły z ciebie szpieg.

— Daj spokój. Gdy potem to przeanalizowałam, puknęłam się w głowę. Obcisła kiecka, buty na obcasie. Gdyby trzeba było uciekać, to byłby mój koniec.

— A trzeba było?

— Poczekaj... Złapałam za gałkę drzwi, ale nie mogłam jej przekreślić. Coś mnie powstrzymywało. Chyba bałam się tego, co tam zobaczę. Nagle odgłosy ustały. Usłyszałam pośpiesznie zapinane spodnie i pasek. Ogarnęli się w niecałą minutę. John wyskoczył na korytarz niczym tygrys z zarośli.

— Gdzie się schowałaś?

— Siedziałam skulona w najbliższym boksie i modliłam się, żeby mnie nie nakrył.

— Nie rozumiem.

— Ja też wtedy nie rozumiałam samej siebie. Raczej szukałam potwierdzenia niż niekończących się wyjaśnień i przeprosin.

— I jak to się skończyło?

— Wynajęłam detektywa, żeby zdobył mi dowody jego niewierności.

— Ale się nie udało?

— Pech chciał, że zwolnił tę asystentkę i przyjął nową, która nie miała zamiaru robić kariery przez łóżko. Nagle, nie wiedzieć dlaczego, stał się porządny. Detektyw śledził go przez ponad dwa miesiące i nic.

— A ty nie chciałaś stracić połowy majątku.

— Zgadza się. Zacisnęłam zęby i poczekałam na lepsze dni. Potem poznałam ciebie i znowu wszystko zaczęło mieć sens.

— Odpłaciłaś mu się tym samym.

— Tak. I to mnie uspokoiło.

— I dalej masz zamiar tak żyć? Minęło parę lat. Może czas coś z tym zrobić?

— Podjęłam już pewne kroki.

— Tak?

— Tak, ale dziś chciałabym o wszystkim zapomnieć i cieszyć się wypoczynkiem nad jeziorem. Możemy już o tym nie mówić?

— Oczywiście. A propos wypoczynku nad jeziorem. Widzisz te domy? — Pokazał palcem, nie odrywając dłoni od kierownicy. — To nasz cel podróży.

Zjechał na prawy pas i przygotował się do skrętu w prawo. Minęli kilka skrzynek na listy i wylądowali na małym, luksusowym osiedlu.

Wzdłuż drogi dojazdowej, która kończyła się prawie przy samym brzegu jeziora, rozlokowano dziesięć ekskluzywnych willi, gdzie bogatsi wczasowicze mogli wypocząć w luksusowych warunkach. Jeden z domów mieścił się nieco na uboczu i prowadziła do niego osobna dróżka. Tam właśnie zmierzali.

Paxton umiejętnie ominął starą toyotę camry nieco tarasującą wjazd i ulokował białego potwora na niewielkim placyku przed domem.

Kobieta wysiadła pierwsza. Miała na sobie zwiewną, białą sukienkę, duży, okrągły kapelusz tego samego koloru i ciemne okulary. Mało kto potrafiłby ją rozpoznać. Bez szarego kostiumu, jaki zazwyczaj nosiła w pracy, wyglądała na zupełnie inną osobę, delikatniejszą, bardziej kobiecą.

Rozejrzała się wokoło. Okolica była wspaniała. Cisza i spokój połączone z kojącym nerwy szumem wody działały zbawiennie na wczasowiczów zmęczonych codzienną bieganią po zatłoczonych metropoliach.

Pomimo wszechobecnego upału, w powietrzu dało się wyczuć orzeźwiająca bryzę znad jeziora.

— Pięknie tutaj! — skomentowała z wyraźnym zachwytem w głosie.

Bill Paxton wyszarpał z wozu dwie walizki i spory kosz piknikowy.

— To prawda.

— Pomóc ci?

— Nie trzeba. Chociaż... możesz wziąć wędkę.

— Myślałam, że wyjazd na ryby został odwołany...

— Wziąłem ją na wszelki wypadek. Zawsze możemy się pokłócić i co wtedy? — roześmiał się Paxton.

— Wtedy pożalujesz swojego wyboru — odpowiedziała wesoło.

— Chyba powinienem dwa razy pomyśleć zanim cię tu zaprosił.

Samantha Snyder szturchnęła towarzysza w bok i razem weszli do willi.

Wnętrze siłowni w domu przy Harborview dr. ponownie zostało wypełnione odgłosami uderzeń pięści rozwścieczonego mężczyzny o worek treningowy. Tym razem John Snyder nie miał ubranych rękawic. Chciał lepiej poczuć to, co robi. Stopniowo narastający ból dobrze tłumił ogarniające go złe myśli.

Jego żona, po raz kolejny w tym tygodniu, wyjechała na spotkanie z nie wiadomo kim. Po raz kolejny nie wróciła na noc i po raz kolejny go okłamała. Miał już tego dość. Doskonale wiedział, co się dzieje za jego plecami, ale nie potrafił tego udowodnić. Jeszcze nie potrafił...

Z niecierpliwością oczekiwał na wieczorną wizytę przyjaciela, który miał mu przywieźć „wybawienie” w postaci niezbitych dowodów na niewierność żony. Nie wierzył, że ktoś taki jak ona, oprze się pokusom. Liczył na przełom, nawet w tak krótkim okresie, jaki upłynął od ostatniego spotkania z Philem Fosterem.

Oprzytomniał. Po którymś uderzeniu zauważył na worku czerwone ślady. Przestał boksować. Chwila przerwy przywróciła go do rzeczywistości. Przyjrzał się skórze na zewnętrznych stronach dłoni zaciśniętych w pięści. Była sina, a z niektórych miejsc sączyły się cieniutkie strużki krwi. Rozprostował palce i poczuł ostry ból. Na jego twarzy zagościł grymas.

Uwielbiał wyobrazić sobie, że worek to twarz lub ciało żony, ale w myślach — sam przed sobą — przyznał, że tym razem przesadził. Przecież dawno już bym ją zabił. Po co daremnie niszczyć sobie dłonie.

Całkowicie stracił poczucie czasu. Nie miał pojęcia, która mogła być godzina. Nie pamiętał nawet, o której zszedł do siłowni. Kilka kropel potu spłynęło mu do oka. Poczłł dyskomfort — lekkie pieczenie. Wytarł ręcznikiem twarz i poszedł do kuchni. Musiał opatrzeć rany.

— Helen! Helen! — zawołał dwukrotnie, ale odpowiedź nie padła. — To ciekawe... Zawsze, kiedy czegoś potrzebuję, to akurat jej nie ma.

Nerwowym ruchem wyszarpnął z szafki apteczkę. Ta upadła na posadzkę, a jej zawartość poleciała w każdą możliwą stronę.

— Świetnie! Brawo, John!

Odszukał wodę utlenioną, maść z antybiotykiem i bandażę. Najpierw spryskał ranę. Piekło jak diabli. Następnie posmarował poprzecinaną skórę, a na koniec obwiązał ręce bandażami. Zębami rozerwał końcówki opatrunków i umiejętnie zawiązał je na podwójny supeł.

— Nie wiem, po cholere mi pomoc w domu, jeżeli doskonale radzę sobie sam! Jak tylko przejmę tę posiadłość, wyrzucę ją na zbity pysk.

Wyjrzał przez okno. Szarość wieczoru powoli ustępowała ciemnej nocy. Właśnie zapaliły się latarnie ustawione na chodniku wzdłuż jezdni i oświetliły czarnego pickupa podjeżdżającego pod bramę.

— Nareszcie — ucieszył się Snyder, kiedy dostrzegł samochód długo wyczekiwanego gościa. Podbiegł do domofonu i zwolnił blokadę bramy. Skrzydła rozsunęły się i monstrum podjechało przed dom.

Pięć minut później John Snyder usłyszał słowa, które w żaden sposób nie zaspokoiły apetytu na zemstę. Wręcz przeciwnie. Jego irytacja osiągnęła apogeum.

— Jakim cudem nic na nią nie znalazłeś?!

— Przepraszam, ale...

— Dziwka puszcza się na prawo i lewo, a ty mi mówisz, że nic na nią nie masz!

— Śledziłem ją nieustannie każdego dnia. Siedziałem jej na ogonie od momentu, kiedy wyjeżdżała z waszej rezydencji, aż do jej powrotu do domu. Pamiętałem twarze facetów, których pokazywałeś mi na zdjęciach. Żadnego z tych czterech przyjemniaczków nawet nie widziałem w jej pobliżu. Z nikim się nie obściskowała. Nikt nie zaprosił jej na kolację. Dom — praca, praca —

dom.

Snyder myślał, że powyrywa sobie z głowy wszystkie włosy. Czuł narastającą furię. Szukał jakiegoś rozwiązania, które mogłoby mu pomóc w ujawnieniu sekretów niewiernej żony.

— Daj mi jeszcze trochę czasu — uspokajał Foster. — Pokręcę się wokół niej. Jeżeli zdjęcia nie kłamały, to wcześniej czy później coś wyjdzie na jaw.

— Masz rację. Spokój to podstawa. Szkoda, że dzisiaj za nią nie pojechałeś.

— Prosiłeś o spotkanie, a rano nie mogłem jej śledzić. Wybacz, ale mam rodzinę i własne życie oraz pracę. Byliśmy w kościele. Swoją drogą... mógłbyś tam czasem zajrzeć i poszukać odpowiedzi na niektóre pytania.

— Dzięki za radę, ale nie. Figurka gościa na krzyżu nie pomoże mi w znalezieniu faceta, który posuwa moją żonę.

— Jak chcesz...

Po chwili ciszy Snyder zabrał ponownie głos.

— Wybacz, ostatnio często mnie ponosi.

— Rozumiem cię i współczuję. — Foster oparł rękę na ramieniu przyjaciela. — Wiesz, gdzie teraz jest? Jeżeli gdzieś w mieście, to może mógłbym tam jeszcze zerknąć.

— Twierdziła, że jedzie na imprezę integracyjną organizowaną przez jej... czyli naszą firmę. — Zaczął chodzić w kółko. — Chciałbym to zobaczyć! Wyobrażasz sobie, że była na tyle bezczelna, że nie chciała mi powiedzieć, gdzie to jest. Zasłoniła się zaufaniem. Czujesz to?! Ona i zaufanie?!

— Nie wiem, jak jeszcze mogę ci pomóc...

— Nijak. Zobacz! — Pokazał mu zabandażowane dłonie. — Rozumiesz, w jakim stanie jestem przez tę cholerną babę?! Waliłem w worek bez opamiętania, widząc na nim jej uśmiechniętą twarz. Przestałem dopiero, gdy jej blade policzki nabrały rumieńców.

— Może usiądziemy i napijemy się piwa?

— Pierwszy dobry pomysł. Helen!

— Tak, proszę pana. — Służąca wyłoniła się zza rogu.

— O! A jednak tu jesteś! — Spojrzał na nią nieufnie. — Idziemy na górę. Przynieś nam jakąś przekąskę i dwa piwa.

— Oczywiście.

Gdy odeszła, poklepał przyjaciela po ramieniu.

— Ona mnie śledzi — szepnął, idąc po schodach.

— Jak może cię śledzić? Przecież tutaj nocuje. Jej zadanie polega na spełnianiu twoich zachcianek i ma być na każde zawołanie. Nie popadasz w paranoję?

— Stary, mówię ci! Dobrze, że poruszyłeś ten temat. Gdy potrzebowałem pomocy przy zakładaniu opatrunku, to krzyczałem, jakby mnie obdzierano ze skóry. I nic. Żadnego odzewu. Teraz zawołałem raz i wyłoniła się znikąd.

— A nie mogła być wcześniej na zewnątrz? Może akurat wyrzucała śmieci...

— Może, ale zawsze robi to wieczorem...

— A co widzisz za oknem?

Snyder zamilkł. Sam się wkopał.

— Zrozum. Potrzebujesz odpoczynku i snu. Rano spojrzysz na to z innej perspektywy.

— Pamiętasz ten dzień, w którym się spotkaliśmy?! Niechcący stłukłem dwa, no może trzy talerze. Pojawiła się znikąd! Jak duch! I oczywiście doniosła na mnie.

— Jeżeli mnie pamięć nie myli, to chwaliłeś się, że rozwaliłeś pół zastawy — zauważył żartobliwie Foster.

— Kto by tam liczył! Diabeł tkwi w szczegółach! Ty najlepiej powinienes to wiedzieć!

— Może ją też mam zacząć obserwować?

— A mógłbyś? — zapytał całkiem poważnie Snyder.

— Dobra. Koniec tych bredni! Narażając moją znajomość z Sam, poszedłem ci na rękę i ją sprawdziłem. Mogę jeszcze trochę powęszyć, ale to wszystko.

— No dobrze, jeżeli tylko tyle możesz zrobić...

— Tylko tyle? Szczerze — zaczynam żałować, że w ogóle się na to...

Do gabinetu weszła Helen. Położyła tacę na stoliku i niewymuszenie uśmiechnęła się do gościa.

— Czy mogę służyć w czymś jeszcze?

— Dziękujemy, to wszystko. — Snyder odprowadził ją nieufnym wzrokiem.

Kobieta wyszła.

Gospodarz podszedł do kolegi i szepnął mu do ucha:

— Zaraz zobaczysz, o czym mówię. — Po cichu zakradł się pod drzwi.
Foster patrzył na niego jak na wariata.

Snyder gwałtownie nacisnął na klamkę i energicznie pociągnął skrzydło do siebie. Wskoczył na korytarz jak oparzony.

Kobieta będąca już na schodach zatrzymała się i odwróciła głowę.

— Tak?

— Nieważne. — Wrócił do pokoju i ze złością zatrzaskał drzwi.

— Mam dość. Wychodzę — oznajmił zniesmaczony gość. — A tobie — położył dłonie na ramionach przyjaciela — radzę się gruntownie przebadać. Rozumiem, że emocje, jakie wzbudziły w tobie zdjęcia Sam z innymi facetami, mogły nieźle namieszać ci w głowie, ale nie możesz obwiniać naraz całego świata za poczynania tej jednej kobiety i szukać dziury w całym!

— Jeżeli tak stawiasz sprawę...

— A jak mam stawiać?! Kobieta cię zdradza, a ty, gdybyś tylko miał wystarczającą ilość naboju, wystrzelałbyś całe osiedle!

— Broń... To dobry pomysł! — W oczach Snydera pojawiło się szaleństwo.

— Ja umywam ręce. — Foster wycofał się.

— Jeżeli już nie masz zamiaru mi dalej pomagać, to zanim wyjdiesz, oddaj zdjęcia.

— Jakie zdjęcia?

— Te, na których moja ekszona obściskuje się z różnymi fagasami.

— Nie mam ich.

— Przecież ci je pokazywałem. Podobnie jak nagranie audio.

Idealnie, pomyślał Foster.

— Dokładnie... Pokazywałeś, ale nie dałeś mi ich! Nie pamiętasz? Chciałem je zabrać, ale powiedziałaś, że jeżeli wiem, kim są faceci na zdjęciach, to nie są mi one potrzebne, bo wiem, kogo szukać.

— Przysięgłbym, że ci je dałem!

— Odleciałeś zanim wyszedłem. Pomogłem ci przejść na kanapę, po czym schowałem fotografie wraz z pendrivem do szafki pod telewizorem.

— Tak?

— Przysięgam na Boga! Powiedziałaś, że za żadne skarby świata się z nimi nie rozstaniesz. A poza tym... rzeczywiście nie były mi do niczego potrzebne, więc dlaczego miałbym je zabierać?

— Chyba masz rację... W porządku. Sprawdzę na dole. Mam nadzieję, że tam będą.

Rozmowę przerwał dźwięk domofonu.

— Aha! Pewnie kochanek ją wyrzucił i wróciła wcześniej!

— Opamiętaj się, bracie!

Detektyw wyszedł z pokoju i udał się w kierunku schodów. Już z daleka widział, że drzwi wejściowe są otwarte.

— Spróbuj zawołać służącą! Założymy się, że tym razem nie wyłoni się zza rogu?

— Bardzo zabawne.

Foster opuścił willę i wszedł do samochodu. Ostrożnie wycofał i pomachał Helen na pożegnanie. Wracła właśnie do domu z jakąś kopertą.

— Paranoja! — warknął pod nosem i włączył pierwszy bieg. Silnik zawył.

Snyder otworzył bramę i pozostał w drzwiach tak długo, dopóki czarny pickup nie zniknął mu z pola widzenia.

— Co to? — zapytał ostro, widząc Helen niosącą coś w dłoni.

— Ktoś podrzucił to do skrzynki. Proszę... — Usłużnie wręczyła mu przesyłkę.

Snydera przeszył zimny dreszcz. Niedawno widział taką samą kopertę. Natychmiast wyszarpnął ją z ręki służącej. Jak szalony pobiegł na górę i zatrzasnąwszy drzwi, zamknął je na klucz. Opuścił rolety i zgasił światło. Po omacku odnalazł włącznik małej lampki stojącej na biurku. Gdyby ktoś go teraz zobaczył, wysnułby identyczne wnioski co do jego stanu zdrowia psychicznego, jak Phil Foster. Jego oczy płonęły z nienawiści. Nie potrafił uspokoić drżących dłoni.

Nie było czasu na szukanie nożyka do papieru. Rozerwał kopertę i wyciągnął następne wskazówki tajemniczego pomocnika — kolejne fotografie. Tym razem, w środku, zamiast pamięci dodatkowo znajdowała się najzwyklejsza kartka papieru, na której widniał jakiś adres.

— Co, do cholery... — Snyder oniemiał. Stał pochylony nad fotografiami i próbował zrozumieć. To, co miał przed sobą, całkowicie go zaskoczyło. Usiadł w fotelu i podsunął pierwsze zdjęcie pod samą lampkę. Spodziewał się kolejnego kochanka żony, nowych, miłosnych uniesień, a tymczasem przed nim leżały zdjęcia przedstawiające Samanthę w towarzystwie doskonale znanej mu osoby. Nie wyglądało to na randkę kochanków, a raczej

na przyjacielskie spotkanie.

Widoczny na zdjęciach Phil Foster starał się wytłumaczyć coś swojej rozmówczyni.

— A to gad jeden! Razem knują przeciwko mnie! — Sięgnął po kolejne zdjęcie. — Co ty jej dajesz?

Nie widział dokładnie. Pomimo dużego zbliżenia, mały przedmiot był nierozpoznawalny. Cała nadzieja w ostatnim ujęciu, pomyślał. Trzecia fotografia przedstawiała te same osoby wymieniające się jakimiś dokumentami.

— Co wy kombinujecie?! — Przyjrzał się dokładniej. Odpowiedź na pytanie, które sam sobie zadał, uderzyła w niego jak grom z jasnego nieba. — To nie może być prawda!

Zerwał się i grzotnął w kłamkę. Zapomniał, że zamknął drzwi. Zamek szczęknął. Co sił popędził w kierunku schodów. Nieco zwolnił na zakręcie korytarza. O mały włos nie przewrócił olbrzymiego wazonu stojącej pod ścianą. Wpadł do pokoju ze stołem bilardowym, przeskoczył przez kanapę i zwinnie ominął stolik. Ostatecznie przykucnął przed telewizorem.

— Lepiej, żeby tutaj były!

Szarpnął drzwiczki. Jego oczom ukazała się imponująca kolekcja filmów na płytach DVD. Łapał po kilka i zrzucał je z półki na podłogę. Szukał fotografii, które Phil Foster podobno tutaj schował. Po opróżnieniu szafki przeklął na całe gardło. Siedział na podłodze zakopany w ponad stu pięćdziesięciu płytach, a po zdjęciach nie było śladu.

— Kłamiwy sukinsyn! — Wstał i kilkakrotnie kopnął w okazały stos opakowań. Mieniające się dyski poleciały we wszystkie możliwe kierunki. Jeden nawet wylądował na stole bilardowym. Złapał leżący tam kij i z całej siły uderzył nim w telewizor. Rozległ się trzask łamiącego się plastiku. Płaski ekran pękł, a kij utknął w obudowie. Snyder gwałtownie szarpnął i pięćdziesięciocalowy telewizor runął na płyty leżące na podłodze. Adrenalina zawładnęła jego ciałem. Złapał stolik i rzucił nim w kierunku stołu bilardowego. Szklana płyta natrafiła na drewniany kant i rozprysła się na mnóstwo kawałków, a stalowe nogi poleciały pod ścianę.

Trochę się zmęczył. Na czole pojawiły się pierwsze krople potu. Zastanawiał się, co zrobić ze skórzaną kanapą — była diabelnie ciężka. Ostatecznie postanowił odpuścić. Musiał zachować siły na zemstę. W tej chwili nie był w stanie określić, czy bardziej złorzeczył żonie, czy

przyjacielowi, który wystrychnął go na dudka i okłamał w żywe oczy. Jedno jest pewne... I ona, i on dobrze mnie popamiętają, powtarzał sobie w myślach.

Zabandażowaną ręką odsunął kawałki szkła z drewnianej bandy. Usiadł na stole bilardowym i podparł rękami głowę. Nękało go milion myśli jednocześnie. Nie miał już nikogo, kto mógłby mu pomóc, komu mógłby zaufać. Został sam. Znajomy, na którego liczył, nie tylko mu nie pomógł, ale jeszcze bardziej go pograżył. Przez swoją nieostrożność Snyder stracił jedyny dowód na niewierność żony. Był w ślepych zaułku i musiał znaleźć z niego wyjście.

Uspokoił się dopiero po dziesięciu minutach nerwowej gonitwy myśli. Ogarnął wzrokiem spustoszenie, jakiego dokonał. Pomyślał, że gdyby pani prokurator teraz tutaj wpadła i zrobiła zdjęcia, miałyby go jak na widelcu. Dodałaby kilka siniaków, które sama by sobie zrobiła i przemoc w małżeństwie jak znalazł.

— O nie, moja droga. Tak łatwo się nie wywiniesz!

Zaczął rozsądnie rozumować. Wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi na klucz, który zabrał ze sobą. Później się tym zajmę. Helen, gdzie ona może być? Ma drugie klucze. Nie mogę pozwolić, żeby ktoś oprócz mnie miał dostęp do tego pomieszczenia.

Musiał zlokalizować służącą i zabrać jej klucz pod pretekstem zgubienia własnego.

— Helen! — zawołał, licząc na odpowiedź, która ostatecznie nie padła. — To już się robi męczące... — Poszedł do kuchni, a następnie zerknął do spiżarni. Obszedł cały parter, ale jej nie znalazł. — Śmieci! — oświeciło go. Wrócił do kuchni i wyjrzał przez zamknięte okno. Dostrzegł ledwie widoczne kontury białego stroju służącej. Stała za rozłożystym krzewem i rozmawiała z kimś przez telefon. Ostrożnie uchylił tylne drzwi wychodzące na ogród.

— Nie, już pojechał. — Usłyszał zdanie wyrwane z kontekstu. — Pan Snyder nie wyglądał na zadowolonego. Coś poszło nie po jego myśli.

— I to ja mam urojenia, tak? — powiedział do siebie. — Wiedziałem, że coś z nią nie tak. Cholerny szpieg...

Pomimo opanowania, jakie na co dzień charakteryzowało Helen, nagle wybuchła szczerym śmiechem.

— Pewnie, nabijajcie się ze mnie. Zobaczymy, kto będzie się śmiał ostatni.

— Przed chwilą słyszałam jakieś okropne trzaski. — Służąca

kontynuowała zdawanie raportu. — Obawiam się, że pan Snyder znowu coś zniszczył... Dobrze, muszę wracać, bo jeszcze...

Gospodarz zamknął po cichu drzwi. Nie mógł pozwolić, żeby go zdemaskowano. Dzięki Helen Samantha wiedziała o wszystkim, co do tej pory robił. Każdy jego ruch był monitorowany. Zastanawiał się, ile podsłuchów i ukrytych kamer zostało zamontowanych w domu podczas jego nieobecności.

Był przepełniony nienawiścią, ale — jeżeli chciał wyjść z tej sytuacji obronną ręką — musiał przełknąć dumę i zacisnąć zęby. Tę bitwę przegrał, ale wojna nadal trwała. W pierwszej chwili zapragnął wyładować złość na pomocnicy, ale szybko uświadomił sobie, że to nie ona była winna całej sytuacji. Pomagała pani domu w śledzeniu męża, ale w gruncie rzeczy, nie miała innego wyjścia. Musiała opowiedzieć się po czyjejs stronie. Po prostu się spóźnił. Nie mógł sobie pozwolić na ostrą reakcję, kiedy stanie z nią twarzą w twarz.

Spokój i opanowanie... Tylko to może cię uratować, powtarzał sobie. W głowie powoli rodził się nowy plan. Najpierw pobiegł do pokoju, w którym narobił bałaganu. Odblokował zamek, ale klucz zabrał ze sobą.

Szybko znalazł się na piętrze. Nie mógł zostawić zdjęć Foster'a i Samanthy w domu. Helen, chociaż o nich nie wiedziała, mogłaby się przypadkiem na nie natknąć i przekazać je w niepowołane ręce. Fotografie musiały opuścić dom. Schował je do teczki razem z kartką, na której widniał tajemniczy adres.

W pudełku z pendrive'ami odszukał małeńki klucz pasujący do zamka w biurku. W szufladzie trzymał pistolet. Zabrał broń i leżące obok pudełko naboju oraz dyktafon. Na końcu sięgnął po laptop. Nie wiedział, czego będzie potrzebował, ale wolał się zabezpieczyć na każdą ewentualność.

Ostatnia potrzebna rzecz znajdowała się na parterze. Zamknął pokój i zbiegł po schodach do salonu. Z szafki pod telewizorem wyciągnął Nikona z trzydziestokrotnym zoomem optycznym. Sprawdził kartę pamięci oraz baterię. Wszystko było w porządku. Gdy wkładał aparat do futerału, usłyszał odgłos zamykanych tylnych drzwi.

— W samą porę... Helen?!

— Tak, proszę pana?! — Kobieta wyłoniła się z kuchni.

— O Judaszu mowa... — bąknął pod nosem. — Mam prośbę... Masz może klucz do pokoju z bilardem?

— Oczywiście. Jest panu potrzebny?

— Tak — odpowiedział bez zbędnych wyjaśnień.

— W takim razie zaraz go przyniosę.

Obyś się potknęła i skręciła kark, rozmarzył się.

Helen uwinęła się w niecałe trzydzieści sekund. Przyniosła pęk kluczy i w pośpiechu znalazła właściwy. Zdjęła go z kółka i przekazała gospodarzowi.

— Dziękuję. Miałem tam drobny wypadek. Potknąłem się o szafkę i przewróciłem telewizor. Stolik też ucierpiał. Długo by opowiadać... Zajmę się tym, jak wrócę. Nie chcę, żeby żona pomyślała, że jestem kompletnym nieudacznikiem.

— Ależ panie Snyder, nie sądzę...

A mów sobie co chcesz, kłamliwa zdiro. Dobrze wiem, że masz mnie za nic. Zakończmy tę rozmowę, dopóki jeszcze nad sobą panuję, pomyślał.

— Przecież mogę to zrobić za pana. Pani Snyder nie musi...

— To miłe, ale dziękuję. Zniszczenia są poważne, a sprzęty ciężkie. Trzeba będzie je wyrzucić i sama nie dasz rady.

— No dobrze... Wyjeżdża pan? — Zwróciła uwagę na torbę. — Właśnie miałam podać kolację.

— Nie... To znaczy tak. Wyjeżdżam. Myślę, że wrócę nad ranem. Nie kłopotz się z kolacją. Phila wezwano do biura i musiał wyjść w pośpiechu. Zjadłem jego porcję. To mi w zupełności wystarczy.

— Na pewno? Ja mogę...

— Helen... — Złapał ją za ramiona. A może jednak skręcę jej kark i będzie po sprawie, pomyślał. — Naprawdę nie trzeba.

— W takim razie życzę udanego spotkania.

— Dziękuję. Proszę na mnie nie czekać.

Służąca ukłoniła się i wróciła do kuchni, aby przygotować sobie kolację.

— Tak, jak mówiłeś... Spokój i opanowanie — powiedział pod nosem. Szybko wykonał ostatni element założonego planu — zabezpieczył drzwi pokoju z bilardem i udał się w stronę przejścia do garażu, gdzie czekało na niego nowiutkie, wiśniowe volvo XC 60.

Metaliczny lakier idealnie umytego i wypolerowanego wozu połyskiwał podczas mijania kolejnych latarni. John Snyder pierwszy raz w życiu żałował, że nie ma brzydszego samochodu. Ten zupełnie nie nadawał się do śledzenia kogokolwiek. Przydałby się jakiś stary rzęch, pomyślał. Przeszło

mu przez myśl wynajęcie samochodu na wieczór, ale szybko zrezygnował z tej opcji. Nie chciał niepotrzebnie tracić cennego czasu. Miał dwa cele i tylko jedną noc.

Pierwszą sprawą, którą postanowił się zająć, była nielojalność Phila Fosterera. Przez ponad dwie godziny błdził po ogromnym osiedlu domków jednorodzinnych, zanim odszukał kryjówkę zakłamanego przyjaciela. Nie było łatwo. Ponad pięćset domów i wszystkie niemalże identyczne. Zachował w pamięci kilka elementów krajobrazu, które rzuciły mu się w oczy podczas dawnych wizyt. Szukał dwóch dużych drzew, niebieskiej skrzynki na listy, garażu z czerwoną bramą i podświetlonego podjazdu.

Niestety. Drzewa rosły praktycznie wszędzie, a podświetlony podjazd w tej okolicy znajdował się przed co drugim domem. Kolory wydawały się najistotniejszą wskazówką, jednak w nocy wszystko wyglądało tak samo. Ostatecznie znalazł tę swoją igłę w stogu siana. Zaparkował przy chodniku, dwa domy dalej.

Sięgnął po aparat i broń. Był gotowy na każdą ewentualność, także taką, że zastanie tutaj swoją żonę. Wszyscy go oszukali i niczego już nie mógł być pewien.

Opuścił pojazd i rozejrzał się po okolicy. Było grubo po dwunastej. Nikogo nie dostrzegł, więc ruszył w stronę domu Fosterów. W oddali słychać było szczekanie psa. W oknach mijanego parterowego budynku zobaczył, jak jakiś mężczyzna bije się z innym domownikiem. Bez problemu mógł zrozumieć słowa, głównie przekleństwa, jakie wykrzykiwali podczas szarpaniny.

— A jutro wyjdą przed swój śliczny domek i będą się zachowywać, jak gdyby nigdy nic. Pieprzona, zakłamana idylla!

Krótką ciszę przerwał dźwięk tłuczonego szkła.

— Cholerni wariaci. Jeżeli ktoś wezwie policję, to będę ugotowany.

Przyspieszył kroku. Sam dokładnie nie wiedział, co chce zrobić. Jego plan kończył się w tym miejscu — przed domem Fosterów. Wszystko zależało od tego, kogo tutaj zastanie. Do przygody zabrał ze sobą pistolet, ale nie miał zamiaru go użyć. Jego przyjaciel zawinił, ale nie jemu należała się najsurowsza kara. Broń miała posłużyć tylko do ewentualnej obrony własnej.

Gdy dotarł na werandę, zatrzymał się na wycieraczce z napisem *WITAMY*. Co za ironia, pomyślał. Już miał nacisnąć guzik dzwonka, kiedy coś w nim drgnęło. A jeżeli nie ma go w domu, zastanowił się. Jeżeli posuwa moją

żonę, to na pewno nie tutaj. Przecież nie urządzili sobie trójkątka z Beatrice.

Odsunął rękę i wycofał się. Wrócił na trawnik. Obszedł garaż. Półciężarówka nie było na podjeździe, więc mogła być tylko tam. Zerknął do środka przez boczne okno. Było uchylone i bez problemu mógł się rozejrzeć. Wewnątrz stał tylko jeden samochód. Nie wiedział czyj, ale na pewno nie był to ogromny pickup, jakim jeździł Phil.

— A więc jednak... W takim razie... gdzie mogą być moje gołąbeczki? — Wtedy przypomniał sobie o kartce z adresem, którą otrzymał razem ze zdjęciami. — No jasne!

Już chciał wracać do samochodu, kiedy zobaczył mężczyznę idącego chodnikiem. Wesoło podrygujący młodzieniaszek miał na sobie skórzaną kurtkę, ciemne, dżinsowe spodnie i białe sportowe buty. Nieoczekiwanie skręcił w ścieżkę prowadzącą na tyły domu Fosterów.

— Co jest...

W pierwszej chwili John Snyder myślał, że to Phil, ale sylwetka wymoczka nie pasowała do barczystego detektywa. Postanowił to sprawdzić. Obszedł garaż i przykucnął za gęstym krzakiem.

Chudzielec wyłonił się po drugiej stronie domu. Stał pod drzwiami, którymi z kuchni można było wyjść na ogród. Zapukał dwukrotnie i cierpliwie czekał. Ktoś zapalił światło wewnątrz domu i odblokował zamek. Była to żona Phila — Beatrice. Ubrana w prześwitującą, nocną koszulę, kuszącym spojrzeniem przywitała strudzonego wędrowca. Jej nienaganna fryzura i prowokujący makijaż same wysyłały zaproszenie do środka.

— Jesteś pewna, że całą noc go nie będzie?

— Tak. Prowadzi obserwację jakiejś parki i to w dodatku poza miastem. Zadzwonił, żebym nie czekała. Powiedział, że zjawi się koło trzeciej albo czwartej nad ranem.

— Cieszę się — odpowiedział podekscytowany mężczyzna.

— Ja również. Wejdiesz wreszcie, czy będziesz tutaj stał i czekał aż wróci?

Namiętnie pocałowała kochanka i wciągnęła go do domu, nogą zamykając drzwi.

Snyder uśmiechnął się pod nosem. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Żona prywatnego detektywa pod jego nieobecność zabawia się w najlepsze z jakimś smarkaczem w ich własnym łóżku. Przypomniał sobie o aparacie, który zabrał z samochodu. Wyłączył lampę błyskową i ustawił tryb nocny.

Podbiegł do okna i zrobił tyle zdjęć, ile zdołał.

Gdy w kuchni wreszcie zgasło światło, licznik aparatu zatrzymał się na liczbie pięćdziesiąt, a dłuższą grę wstępną na stole kuchennym podglądacz zdołał nawet zarejestrować w postaci filmu.

Był zadowolony z nieprzewidzianego rozwoju sytuacji. Poczul ogarniający go spokój i wewnętrzną radość. Czy dziś już wszyscy wszystkich zdradzają, zastanawiał się, przeglądając fotografie na małym wyświetlaczu LCD. Jedne były bardziej ostre, inne nieco mniej, ale nie jakość była najważniejsza.

Na chodnik wrócił tą samą drogą, którą wszedł za dom. Podniósł wzrok i zauważył w sypialni Fosterów delikatną, falującą łunę słabego światła. Prawdopodobnie pochodziła ze świeczki. Pokręcił głową na znak dezaprobaty i wrócił do samochodu.

Włączył laptop i włożył do czytnika kartę pamięci z aparatu. Jeszcze raz, z nieskrywaną przyjemnością, przejrzał wszystkie zdjęcia, po czym skopiował je na twardy dysk. Drugi raz nie miał zamiaru stracić cennego materiału. Zakończył pierwszą część planu. Sięgnął do kieszeni po kartkę z tajemniczym adresem. Był pewien, że właśnie tam znajdzie Sam. Pytanie tylko, w którym towarzystwie.

Wpisał ciąg liter w wyszukiwarkę. Ta natychmiast przekierowała go na stronę ekskluzywnego kompleksu wypoczynkowego, położonego nad jeziorem Erie, siedemdziesiąt kilometrów na zachód od Cleveland.

— Krezus z pana, panie Foster. Widzę, że stać pana na weekend z żoną w prywatnej willi nad jeziorem. Szkoda tylko, że nie ze swoją żoną...

Wbił adres w nawigację, która po kilku sekundach wyznaczyła najszybszą trasę. Włączył silnik i wolno ruszył. Kątem oka spojrzał jeszcze na okno sypialni. Wtedy oślepiły go ostre halogeny jakiegoś dużego wozu, który wyjechał zza zakrętu. Przymrużył oczy, żeby lepiej widzieć jezdnię. Kiedy monstrum przejechało obok niego, natychmiast włączył kierunkowskaz i zatrzymał się na poboczu.

— To nie może być... Cholera, przecież to był Foster... A więc to nie on...

— Wpatrywał się we wsteczne lustro w poszukiwaniu odpowiedzi. Pickup skręcił na trzeci z kolei podjazd. Snyder nie był pewien, ile domów minął, ale już nie wierzył w zbiegi okoliczności. To musiał być on. Wrócił wcześniej.

— Kilka kolejnych minut może być bardzo ciekawych.

Nie miał odwagi wyjść z samochodu. Beatrice, jej kochanek, Phil, jeszcze jego by tam brakowało. Wolał poczekać, bacznie obserwując sytuację. Teraz

już wiem, jak się czuje prywatny detektyw. Byłbym całkiem dobry w te klocki. Żałował, że nie miał lepszej miejscówki.

— Ktoś lada chwila opuści ten dom. Pytanie, kto — zastanawiał się głośno. — Proszę... O wilku mowa.

Na chodnik wybiegł jakiś mężczyzna.

— Skurczybyk, chyba się wywinął! A przynajmniej tak mu się wydaje. — Ku jego uciesze, ów osobnik śmiało podążał chodnikiem w jego stronę. Miał ręce w kieszeniach, a na głowie kaptur.

Snyder nie musiał widzieć rysów twarzy, żeby rozpoznać tego typka. Wychudzony jak patyk oraz te nerwowe ruchy i białe buty. To nie mógł być nikt inny.

— Pewnie udało ci się wymknąć tyłem, ale musiało być gorąco.

Nieznajomy przeszedł obok nowiutkiego volvo. Taki samochód w tej okolicy nikogo nie dziwił, więc nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Nie wiedział, że w środku siedzi ktoś, kto w ciągu kilku sekund może zmienić jego życie w piekło.

Kierowca osunął się na fotelu, aby nie zostać zauważonym. Skulony przesiedział chwilę, po czym wyprostował się. Otworzył laptop i włączył pocztę. Utworzył nową wiadomość, której adresatem był Phil Foster. Załadował tyle zdjęć, na ile program mu pozwolił. Już miał nacisnąć WYŚLIJ, kiedy coś go powstrzymało.

O, nie. Ja musiałem to znosić przez długie lata, więc ty też jeszcze trochę możesz. Naciesz się nieświadomością. Uderzę, gdy będziesz się tego najmniej spodziewał. A może to Beatrice powinienem wysłać te zdjęcia i zażądać pieniędzy?

Te i inne myśli krążyły po jego głowie. Jeżeli nie z Fosterem, to z kim ta cholera spędza właśnie noc? Czyżby uwinęli się tak szybko i pani domu powróciła na swoje włości? Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać, pomyślał.

Ponownie uruchomił silnik i zerknął na nawigację, która cały czas wskazywała ten sam kierunek. Opuścił osiedle i wjechał na drogę numer sześć. Do pokonania miał centrum Cleveland oraz kilkudziesięciokilometrowy odcinek malowniczej drogi biegnącej niemalże wzdłuż linii brzegowej jeziora.

— Osiemdziesiąt kilometrów do celu — oznajmił kobiecy głos.

Snyder ułożył się wygodnie w fotelu i zrelaksował na tyle, na ile było to

możliwe. Z każdym mijanym kilometrem czuł coraz większe podniecenie. Wreszcie, po tylu latach okłamywania, prawda miała ujrzeć światło dzienne i to na jego warunkach.

STYCZEŃ 1987

— Mark... Mark...

Zaspany sześciolatek leniwie otworzył oczy. Miał wrażenie, że usłyszał swoje imię, ale nie był w stanie zlokalizować, skąd dochodził głos. Nie odwracając się, przeleciał wzrokiem po sąsiednich łózkach. Wszyscy rówieśnicy leżeli nieruchomo na swoich małych pryczach. W pierwszej chwili myślał, że coś mu się przyśniło.

Na dworze było jeszcze ciemno. Ciszę za oknem regularnie przecinał donośny śpiew ptaka uparcie wzywającego swoją towarzyszkę do powrotu. Gałęzie pokryte grubą warstwą białego puchu ugiwały się pod jego ciężarem. Co kilkadziesiąt minut któraś pękała i spadała wraz ze śniegiem, znikając w głębokich zaspach. Zima przyszła w tym roku wcześniej niż zapowiadano, a jej końca nie było widać.

Do pobudki została co najmniej godzina, o ile nie dwie. Chłopak nie miał zamiaru zmarnować tych cennych minut. Oczy mu się kleiły, więc ponownie je zamknął.

— Mark... Śpisz?

Wiedział już, że nie śni. Zdecydowanie ktoś do niego mówił. Ktoś znajomy. Charakterystyczny, piskliwy głos należał do przyjaciela z sąsiedniego łózka. Mark zwinnie odwrócił się pod kołdrą. Było zimno — najwyraźniej w nocy wygasł ogień w piecu. Stare mury nie były ocieplone, a drewniane okna zbyt szczelne. Przepuszczały do środka sporo mroźnego powietrza.

— Co się stało?

— Nie mogę zasnąć — odpowiedział Alan, pięciolatek, który już od dobrej godziny nie potrafił zmrużyć oka.

— Dlaczego?

— Boję się.

— Czego?

— Jim mówił, że dziś znowu będą badania.

— A skąd on to wie?

— Podśluchał, jak pan Carl rozmawiał o nich z siostrą.

— Z siostrą Doną?

— Tak.

— Pan Carl mówił, że to dla naszego dobra, więc przestań marudzić i śpij.

— A ja nie lubię tam chodzić.

— Nikt nie lubi.

— To dlaczego musimy?

— Bo tak trzeba. Raz na jakiś czas nikomu nie zaszkodzi. A poza tym, słyszałeś, co mówił pan Carl. Tak trzeba i już. On zawsze ma rację i musimy go słuchać. A teraz śpij!

Chłopak przewrócił się na drugi bok i przykrył głowę kołdrą. On też nie lubił tych badań. Przeszył go dreszcz na samą myśl, że w wyziębionym pokoju będzie musiał stać prawie nagi i czekać na swoją kolej. Przypomniał sobie ostatni raz, kiedy wchodził do gabinetu siostry Dony. Badania nie były bolesne, ale sprawiały, że czuł się dziwnie. Nie potrafił tego opisać. Wolał o tym nie myśleć. Wtulił głowę w poduszkę, zwinął się w kłębek i zamknął oczy. Chciał zasnąć, ale nie było już to takie proste.

Po porannej toalecie i śniadaniu wszyscy chłopcy z sali numer trzy na pierwszym piętrze zostali poproszeni przez dyrektora o zejście na parter. Podczas gdy pozostali zbiegali pędem do świetlicy, żeby oddać się zabawie, piętnastu chłopców w wieku od czterech do sześciu lat szło po schodach jak na ścięcie. Większość z nich traktowała badania jak rutynę, ale byli też tacy, jak mały Alan, którzy panicznie bali się tego, co ma nastąpić.

Dyrektor czekał już na nich przed drzwiami z napisem *POKÓJ ZABIEGOWY*. Otworzył je i wymownym gestem ręki zaprosił wszystkich do środka. Przeliczył nieuczesane głowy, by sprawdzić, czy przypadkiem któryś z chłopców się nie wymknął. W podkoszulkach i majtkach stali na baczność w małym pomieszczeniu o rozmiarach trzy metry na trzy. Mieli czekać na swoją kolej. Za następnymi drzwiami słychać było stanowcze kroki. Drewniane koturny mocno uderzały o deski podłogi.

— Ona już tam jest — wyjąkał Alan.

— Nie ma się czego bać, głupku. Pięć minut i po sprawie — skarcił go Mark.

— Ale ja nie lubię, jak siostra Dona mnie dotyka.

— Musi to robić. Przecież na tym polegają badania, ośle. Siedź cicho i rób,

co ci każe, bo znowu dostaniesz lanie. Zapomniałeś, jak...

W tym momencie zaskrzypiały drzwi. W progu stanęła siostra Dona, trzydziestosześcioletnia zakonnica, która nieprzerwanie od kilkunastu lat pracowała charytatywnie w sierocińcu. Na pierwszy rzut oka nie można było powiedzieć o niej niczego złego. Miała bardzo przyjazną twarz i ciepły uśmiech. Łagodnym gestem ręki zaprosiła pierwszego chłopca do środka i zamknęła za nim drzwi. Następny miał być mały Alan.

— Ja nie chcę tam iść! Wolę dostać lanie. — Wyrwał się z szeregu i pobiegł w kierunku drzwi.

— Hej! Wracaj tu! — warknął Mark. — Co robisz?! Wszystkim nam się oberwie za ciebie.

— Jeżeli tu nie wrócisz, to w nocy, w pokoju spiorę cię na kwaśne jabłko — zagroził wyrośnięty sześciolatek, szósty w kolejce do gabinetu.

Alan nie zwracał uwagi na słowa kolegów. Strach był silniejszy. Uchylił drzwi prowadzące na korytarz i sprawdził, czy droga wolna. Już chciał wyjść, kiedy poczuł ostre szarpnięcie za podkoszulek. To był Mark. Stał za nim i nie miał zamiaru wypuścić go na zewnątrz.

Nagle klamka opadła. Siostra Dona weszła do poczekalni, trzymając w ręce długi, cienki kij.

— Co się tutaj dzieje?! — zareagowała ostro i trzasnęła nim o futrynę. Wszyscy podskoczyli ze strachu.

Dwaj chłopcy przy drzwiach znieruchomieli. Po pogodnej twarzy i uśmiechu kobiety nie było już ani śladu. Drzwi pokoju zabiegowego były otwarte na oścież i mimowolnie zerknęli do gabinetu. Zobaczyli nagiego kolegę stojącego do nich tyłem. Nie miał odwagi odwrócić głowy i spojrzeć za siebie. Wstydział się.

— Wracajcie do szeregu! — krzyknęła siostra i pokazała palcem na opuszczone przez nich miejsca.

To jeszcze bardziej podziałało na małego Alana. Pchnął skrzydło z całej siły i próbując wyrwać się z uścisku Marka, przewrócił ich obydwu na podłogę.

— No tego już za wiele! — Rozjuszona kobieta ruszyła w ich stronę, energicznie wymachując kijem.

Sześciolatek od początku nie chciał uczestniczyć w całym zajściu, ale mimowolnie został w nie wplątany. Wiedział, że i tak mu się dostanie. Nie miał wiele do stracenia. Pomógł towarzyszowi wstać i obaj pobiegli przed

siebie na złamanie karku.

— Stójcie, do jasnej niedoli! — Zakonny habit tylko w niewielkim stopniu krępował ruchy rozdrażnionej kobiety, więc szybko podążyła za nimi. Pozostałych dwunastu małych skazańców zgromadziło się przy drzwiach. Każdy chciał zobaczyć to niecodzienne wydarzenie, ale żaden nie odważył się przekroczyć progu poczekalni.

Carl Grant, słysząc krzyki, wyskoczył na korytarz. O mały włos nie zderzył się z rozpędzoną siostrą.

— Dobry Boże! Co tu się dzieje?!

Zakonnica zwolniła i zatrzymała się tuż przed obliczem dyrektora. Przebiegła tylko kawałek, ale była niesamowicie zdyszana. Już nie pamiętała, kiedy ostatnio ktoś zmusił ją do takiego wysiłku.

— Dwaj smarkacze wymknęli się z poczekalni!

— Którzy?! — zapytał ostro dyrektor. Ktoś zlekceważył również i jego nakaz, a to było niewybaczalne.

— Ten Mark i jeszcze jeden. Alex... Alan... Nie wiem. Zapomniałam imienia. Taki mały, niewyrośnięty. Ostatnio też sprawiał problemy. Dwa razy podczas jednego badania musiałam go upominać!

— To karygodne! Zaraz zawołam siostrę Annę i razem ich poszukamy. Może przy okazji znajdziemy Josepha. Nie wiem, gdzie się podział, a za chwilę tu zamarzniemy!

Usłyszeli brzęk metalowych drzwi.

— Zbiegli do piwnicy — domyśliła się po odgłosach siostra Dona.

— Proszę iść za nimi. Tylko ostrożnie! Ja zejść drugą stroną i odetnę im drogę. Proszę się nie martwić. Złapiemy tych małych kryminalistów i dostaną nauczkę!

Rozeszli się. Kobieta trochę ochłonęła. Nie biegła, tylko spokojnie szła, wymachując kijem. Zaglądała do mijanych pokoi, sprawdzając, czy chłopcy przypadkiem nie ukryli się w jednym z nich. Po pobieżnych oględzinach czterech sal, pozostała już tylko jedna opcja. Nie było tutaj schodów na wyższe piętra. Jedyne drzwi prowadziły w dół. Nacisnęła klamkę i pchnęła ciężkie, stalowe skrzydło, które bezgłośnie otworzyło się. Zejście do piwnicy zostało zalane łuną porannego światła wpadającego z korytarza.

Pokonując kolejne stopnie, czuła ogarniające ją zimno. Prowizoryczny siłownik w formie grubej sprężyny zaczął powoli zamykać drzwi. Piwnice nie były ogrzewane, a jedyny, zresztą nie działający w tej chwili piec, nie był

w stanie nawet w niewielkim stopniu ogrzać podziemi. Schody zdawały się nie mieć końca. Nagle usłyszała trzask drzwi i pogrążyła się w ciemnościach. Bezradnie oparła się o ścianę. Stopami musiała wyczuć ostatnie schodki. Zapomniała, gdzie znajdował się włącznik światła.

— Pewnie był na górze. Idiotka ze mnie! Dlaczego wcześniej na to nie wpadłam?!

Jej wzrok powoli przyzwyczajał się do mroku. Zazwyczaj piwnice oświetlały promienie słońca wpadające przez niewielkie, prostokątne okna pod sufitem, ale teraz były one całkowicie zasypane śniegiem. Nawet pojedynczy promyk nie potrafił przedostać się do środka.

Przytrzymała się ściany, aby nie zabłądzić. Była tutaj drugi albo trzeci raz w życiu i nie pamiętała układu pomieszczeń.

— Co za nieposłuszne bachory! Jak ich dorwę, to przez tydzień nie będą w stanie siedzieć.

Po dobrej minucie błędzenia w ciemnościach doszła do nietypowej przeszkody. Miała wrażenie, że coś leży na podłodze. Niechcący kopnęła w jakąś butelkę i potknęła się. Omal nie upadła. Przestraszyła się i wycofała o kilka kroków. Przykucnęła, ale ostry zapach alkoholu od razu postawił ją do pionu.

Pod jej nogami leżał Joseph Miller. Pijany do nieprzytomności stróż spał w najlepsze. Obok niego leżały dwie butelki po wódce — obie opróżnione do ostatniej kropli. Gdy nos nieco przywykł do drażniącego zapachu alkoholu, zrobiła kilka kroków w bok, chcąc ominąć nieprzytomnego człowieka. Wtedy poczuła coś znacznie gorszego. Przyłożyła dłoń do ust. Myślała, że zwymiotuje. Przemieszany zapach fekaliów i wymiocin był nie do zniesienia. Nastąpiła na coś, co rozpląnęło się pod jej butem. Poślizgnęła się i uderzyła kością ogonową o betonową posadzkę, wpadając w kałużę cuchnącej breji.

Nie bacząc na swoje życiowe przekonania i zasady, zaklęła na całe gardło. Gdziekolwiek teraz byli mali uciekinierzy, musieli ją usłyszeć. Już nawet nie wyobrażała sobie, co z nimi zrobi, gdy ich złapie. Jedyne, o czym teraz myślała, to jak pozbyć się tego smrodu. Wytarła ręce o śpiącego palacza i zrzuciła habit, pozostając w samej bieliźnie. Nie czuła chłodu. Złość rozpaliała jej ciało do granic możliwości.

Zanim ruszyła dalej, przeszukała kieszenie spodni odrażającego mężczyzny. Nie miał kurtki — domyśliła się, kto mu ją zabrał. Na szczęście dla niej, chłopcy nie obszukali nieprzytomnego. Znalazła zapałki. Wreszcie

nie musiała poruszać się po omacku.

— Mark?

— Tu jestem. Bądź cicho, bo nas usłyszą — szepnął chłopak, usiłując uspokoić przerażonego kolegę.

Alan znalazł kryjówkę pomiędzy workami ziemniaków, a Mark siedział na czatach, obserwując korytarz.

— Zimno mi.

— Przecież masz kurtkę. Ja nie mam, a nie narzekam.

— Myślisz, że nas znajdą?

— Nie wiem. Jeżeli nie, to i tak w końcu zamarzniemy.

— Ale pan Miller rozpali ogień i będzie ciepło.

— Widziałeś, jak wyglądał?

— Jest chory?

— Nie, głupku. Pijany. Nie widziałeś nikogo pijanego?

— Co to znaczy, *pijany*?

— Przestań zadawać głupie pytania, bo nie słyszę, czy ktoś idzie.

— Przepraszam, że uciekłem...

— To nie twoja wina.

— Moja. Gdybym tam został...

— Cicho... — przerwał Mark. — Coś słyszałem.

W pomieszczeniu obok zapaliło się światło i trzasnęły drzwi. Usłyszeli ciężkie, męskie kroki. Ktoś zbliżał się do nich w szybkim tempie.

— Mark?! Alan?! Jesteście tu?! — zawołał Carl Grant.

— To pan dyrektor. Pomoże nam! — krzyknął Alan i wyskoczył z ukrycia.

— Co?! Zostań... — Mark nie zdążył powstrzymać towarzysza, który niespodziewanie opuścił kryjówkę.

Dyrektor wyłonił się z sąsiedniego pomieszczenia.

Malec spojrzał w górę, jak Dawid na Goliata.

Mężczyzna groźnie warknął i złapał Alana za podkoszulek.

— Ja ci dam uciekać... — Przyciągnął go do siebie. Trzykrotnie, z całej siły, uderzył go ręką w pośladki. Młody zbieg zaniósł się płaczem. Usiadł pod ścianą i nie odważył się poruszyć.

Mark bezradnie patrzył na tę sytuację. Wiedział, że nie ma szans i im dłużej będzie zwlekał, tym gorzej dla niego. Już chciał się poddać, kiedy

usłyszał inny głos.

— Carl? Carl?!

— Dona?! Tu jestem. Znalazłem jednego, drugi pewnie... Mój Boże! Co ci się stało?! — Dyrektor zdębiał, kiedy zobaczył siostrę zakonną w samej bieliźnie.

— Proszę nie pytać, bo jeszcze do tej pory jest mi niedobrze. Ale mam też dobrą wiadomość. Znalazłam pana Millera. Leży niedaleko głównego wejścia.

— Wszystko z nim w porządku?

— Tak. To znaczy tak, jeżeli jeszcze nie udusił się własnymi wymiocinami. Pijany i nieprzytomny śpi w najlepsze. Łagodniej nie potrafię opisać jego stanu.

— Czuje siostra ten... Coś tutaj...

— Śmierdzi! — dokończyła. — Poślizgnęłam się i wylądowałam w tym wszystkim, co jadł wczorajszego dnia.

— Strasznie mi przykro. Jak tylko dojdzie do siebie, porozmawiam z nim.

— Koniecznie!

— Musimy ukrócić te jego praktyki. Daje dzieciom zły przykład. Dobrze, że go teraz nie widzą.

— Najważniejsze, że nic mu nie jest. Gdyby zemdlał na dworze, mogłoby by się to dla niego źle skończyć.

— To prawda.

Podczas gdy dorośli byli zajęci sobą i stracili czujność, Mark wymownym gestem ręki dał towarzyszowi znak.

Maluch nie musiał czekać na specjalne zaproszenie. Zerwał się i umiejętnie minął postawnego dyrektora oraz jego cuchnącą towarzyszkę i pobiegł na złamanie karku. Mark złapał go za rękę i popędzili w stronę olbrzymiego stosu węgla piętrzącego się kilka metrów dalej. Kiedyś właśnie tam ich nakryto, gdy podczas zabawy nieumyślnie zapędzili się za daleko.

— A wy dokąd?! — wrzasnął dyrektor. — Słowo daję... Jak was złapię, to wam nogi z dupy powyrywam!

— A ja ci pomogę! — dodała siostra.

Obydwoje rzucili się w pościg.

Dzieci wbiegły na węgiel. W ciągu kilku sekund ich bielizna oraz skóra rąk i nóg stała się czarna jak smoła. Byli cali umorusani, ale zupełnie im to

nie przeszkadzało. Ich cel znajdował się na samym szczycie. Wierzyli, że dorośli nie osiągną ich tam. Węgiel niemalże dotykał sufitu. Wśliznęli się w trzydziestocentymetrową szczelinę w nadziei, że będą tam choć przez chwilę bezpieczni.

Dyrektor miał pewne opory przed wejściem na zwał węgla. Zrobił kilka kroków. Nogi grzęzły mu pomiędzy czarnymi bryłkami, skutecznie utrudniając wspinaczkę, ale wolno i niezdarnie gramolił się na górę. Jednak wystarczyła chwila nieuwagi. Rozległ się łomot, jakby ktoś odpalił petardy wybuchające jedna po drugiej. Czarne bryłki poturlały się w dół, a razem z nimi — olbrzymie ciało Granta.

Poodzierany, wypatrywał siostry. Nie miał siły wstać. Kobieta pomogła mu. Trzymał się za rozcięte przedramię. Oczyma płonącymi z wściekłości spojrzął na ledwie widoczne twarze dezertarów.

— Co za nieznośne bachory! Nie wiem, co w nich dzisiaj wstąpiło! — wrzasnęła zakonnica.

— I co teraz? Długo macie zamiar tam siedzieć?

— Nie! — krzyknął Mark, czym zupełnie zaskoczył mężczyznę. — Pchaj! — Razem z Alanem podkulili nogi i ze wszystkich sił rękami naporli na skrzydło metalowych drzwi zsypu, zamontowanych pod kątem czterdziestu pięciu stopni w stosunku do sufitu. Do środka wpadło oślepiające, białe światło i lodowaty podmuch wiatru. Dopiero teraz wszyscy poczuli, co oznacza zimno. Na zewnątrz było poniżej minus dziesięciu stopni.

— Ja nie chcę tam iść! — zawołał Alan. Było go ledwo słychać. Przerażliwy świst wiatru wszystko zagłuszał.

— Nie mamy wyjścia! Chcesz wpaść w ich łapy?!

— Ale tam jest bardzo zimno!

— Dostaniesz lanie, jak do nich zejdziesz. Tego chcesz?

— Nie!

— No to chodź!

— Stójcie, smarkacze — wycedził przez zęby dyrektor.

Ich bose stopy dotknęły zmrożonego śniegu, a ciała zaczęły drżeć. Żaden człowiek o zdrowych zmysłach nie wyszedłby prawie nagi na takie zimno.

— Dobiegniemy do drogi i poczekamy na jakiś samochód!

— A jak żadnego nie będzie?

— Będą... Szybciej!

Mały Alan przebierał nogami tak szybko, jak tylko mógł. Mark biegł przodem. Był wyższy i łatwiej było mu przecierać szlak. W niektórych miejscach ostre podmuchy wiatru stworzyły ponad metrowe zaspy. Chłopcy dzielnie przedzierali się przez nie, ale z każdym pokonanym metrem ich ciała coraz bardziej drętwiały.

— Mark, ja już nie mogę! Mark...

— Nie maż się! Już niedaleko! Widzisz... tam jest brama! — Nie odwracając się, sześciolatek pokazał na metalowe monstrum.

Ostatnia przeszkoda dzieląca ich od wolności była zabezpieczona mosiężną kłódką spinającą końcówki grubego łańcucha. Na szczęście pomiędzy oblodzonymi prętami było wystarczająco dużo miejsca, aby wątle maluchy mogły precyzyjnie przycisnąć się na drugą stronę.

— Dobra... Idź pierwszy! — rozkazał drżącym głosem Mark i odwrócił się. Zobaczył tylko białą pustkę. — Alan! Alan! — wołał, ale przyjaciel nie odpowiadał. Poczul ogarniający go strach. Adrenalina powoli przestawała dodawać mu sił. Złapał się rękami za ramiona próbując zmniejszyć utratę ciepła.

Ucieczka w pojedynkę straciła dla niego sens. Życie przyjaciela z sąsiedniego łóżka było ważniejsze. Skulony, zmarznięty na kość, zawrócił. Cofając się po śladach, nie tracił nadziei na odnalezienie towarzysza.

Tak też się stało. Dwadzieścia metrów od bramy zauważył ciało kolegi.

Alan leżał w śnieżnej zaspy. Była zbyt wysoka na jego możliwości. Musiał potknąć się i nie miał już siły wstać. Był nieprzytomny.

Mark podbiegł do niego, odgarnął śnieg i spróbował go podnieść. Malec drgnął. Był za ciężki na możliwości zaledwie o rok starszego, wycieńczonego kolegi. Sześciolatek złapał kompana za rękę i zaczął ciągnąć z powrotem w kierunku wjazdu. Mieli do pokonania ponad sto metrów, a ciało pięciolatka coraz bardziej zapadało się w śnieg.

W pewnej chwili Mark upadł na kolana. Nie czuł rąk, nóg ani twarzy. Przenikało go porażające zimno. Miał wrażenie, jakby ktoś wbijał mu w ciało długie igły. Pozostały dwa wyjścia. Zostać i zamarznąć albo wykrzesać z siebie resztki sił i dobiec do wjazdu.

Może uda mi się sprowadzić pomoc. Ta myśl przeważała nad wszystkim. Zerwał się i co sił w nogach popędził w kierunku, z którego przyszli. Nie miał chwili do stracenia. Bose stopy zapadały się w śnieg i co chwilę potykał się, ale ostatecznie osiągnął cel. Na samym końcu zahaczył nogą o metalową

obudowę wjazdu pokrytą przez biały puch. Stracił równowagę i wpadł do zsypu. Rozciął policzek o węgiel i poczuł ostry ból w środkowej części pleców. Gdyby był starszy, wiedziałby, że to prawdopodobnie pęknięte albo złamane żebro.

Obok wjazdu przemknął cień. Do uszu chłopca dotarły znajome krzyki kobiety. Złapał za lodowatą krawędź, podciągnął się rękami i jakimś cudem stanął na nogach. Wychylił się, żeby zobaczyć, co się dzieje. Ulżyło mu. Po czarnych śladach, jakie zostawili, jedna z sióstr odnalazła ciało Alana. Trzymała go na rękach i biegła z nim do budynku.

Mark szarpnął za kłapę i zamknął wjazd. Od razu zrobiło się cieplej. Ręce i nogi miał sine i zdrętwiałe. Trząsał się z zimna, ale nie miał odwagi zejść na dół. Siedział na dużej bryle węgla i zastanawiał się, co ma zrobić.

I tak mnie w końcu znajdą. Najważniejsze, że uratowali Alana.

Ostrożnie zszedł. Miał pokaleczone ręce i nogi. Dopiero teraz zauważył, że z kolana sączy się krew. W piwnicy zostawiono zapalone światło, więc bez problemu odnalazł drogę na górę. Gdy tylko otworzył drzwi, ktoś złapał go za ubrudzony podkoszulek.

— No... Nareszcie cię dorwałam! — zatriumfowała siostra Dona. — Jednak nie jesteś taki głupi, jeżeli wróciłeś. Szkoda, że twój kolega nie zrobił tego samego.

— Co z Alanem? — wybełkotał chłopiec.

— Przez ciebie jest w krytycznym stadium hipotermii, ale po co ja ci to mówię... Przecież i tak nie wiesz, co to znaczy. Szkoda, że uciekając, myślałeś tylko o sobie... Gdybyś wcześniej...

Chłopiec nie miał już sił przebierać nogami, a co dopiero interpretować słów rozjuszonych opiekunki. Wszystko go bolało. Szedł jak żywy trup — blady i bezwolny. Kobieta niemalże wlokła jego wyziębione ciało za sobą.

— Mam nadzieję, że wyciągniesz wnioski z tego, co zrobiłeś i następnym razem dwa razy się zastanowisz, zanim każesz pięciolatkowi bez ubrania wyjść na siarczysty mróz.

Nic już do niego nie docierało. Upadł. Poczował kilka szarpnięć. Jakiś cień pochylił się nad nim. Zamknął oczy i stracił przytomność.

TYDZIEŃ II

PONIEDZIAŁEK

Srebrna toyota camry wolno wjechała na teren małego osiedla. Kierowca zgasił światła, aby niepotrzebnie nie zwracać na siebie uwagi. Spojrzał na zegarek. Fosforyzujące wskazówki zaczynały tworzyć kąt prosty — dochodziła trzecia w nocy i tylko w jednej willi paliło się jeszcze światło. Wszyscy nabierali sił na kolejny dzień.

Przy luksusowych domach stały drogie, połyskujące samochody, a każdy trawnik wyglądał, jakby był codziennie koszony. Ozdobne latarnie na chodnikach, malownicze przydomowe ogródki oraz zadbane do przesady obejścia miały w jak największym stopniu odzwierciedlać przepych, w jakim na co dzień żyli goście wynajmujący te rezydencje.

Każdy z dziesięciu znajdujących się tam obiektów był już zajęty, ale kierowca nie przyjechał tutaj w poszukiwaniu ostoji spokoju na wakacyjne dni. Miał zupełnie inne plany.

Na rozgałęzieniu odbił w lewo i po przejechaniu dziesięciu metrów zatrzymał się przy krawężniku. Był na miejscu. Jego cel — najmniejsza willa z całego osiedla, ukryta przed oczyma przypadkowych przejezdnych, znajdowała się po jego lewej stronie, za ścianą drzew i krzewów. Wiedział to, ponieważ był już tu wcześniej.

Odczekał chwilę, aby upewnić się, że nikt go nie obserwuje, po czym opuścił pojazd. Miał na sobie ciemnobrązowe spodnie i cienki sweter tego samego koloru. Z tylnego siedzenia zabrał czarny plecak i pomaszerował w stronę domu. Szedł wybrukowaną alejką w kierunku drzwi wejściowych. Minął stojącego na trawniku białego Cadillaca Escalade z obrotowymi felgami. W ostatniej chwili skręcił w metrowej szerokości przesmyk pomiędzy domem a ścianą utworzoną z przyciętych krzewów jałowca. Zatrzymał się przed imponującym tarasem, rozciągającym się na tyłach domu.

Sięgnął do plecaka. Z bocznej kieszeni wydobyl kominiarkę i założył ją. Następnie włożył rękawiczki. Na końcu ściągnął buty i zostawił je przed schodami. W skarpetach, na palcach pokonał taras. Dzięki temu nie pozostawił śladów butów na zakurzonej, marmurowej powierzchni. Staął

przed drzwiami i wyciągnął z kieszeni klucz. Bardzo delikatnie, z dużym wyczuciem, bezgłośnie odblokował zamek i wszedł do środka. Był pewien, że lokatorzy śpią w najlepsze, ale zawsze pozostawał ten jeden procent ryzyka, że coś poszło nie tak.

Przemknął przez kuchnię i znalazł się w salonie, gdzie spodziewał się zastać swoje ofiary. Na sofie, w pozycji półsiedzącej, znajdował się nieprzytomny mężczyzna.

— Witam, panie sędzio. A gdzie się podziała pana towarzyszka? — zwrócił się do otumanionego Billa Paxtona. Podszedł bliżej i podniósł jego prawą, a następnie lewą powiekę. Stwierdziwszy, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, udał się na poszukiwania kobiety. Pierwsze podejrzenia padły na toaletę.

Skręcił w najbliższy korytarz. Drzwi łazienkowe znajdowały się po lewej stronie, ale problem polegał na tym, że były zamknięte od wewnątrz.

— Szlag by to... — warknął. Musiał szybko coś wymyślić. Nie miał przy sobie wytrychów, a wyważenie drzwi nie wchodziło w grę. Nie mógł pozostawić po sobie najmniejszego śladu.

Okno. Jeżeli jest otwarte, to może uda mi się przez nie wejść, pomyślał. Upał, brak świeżego powietrza, zawroty głowy i znużenie. Jeżeli poczułaś się źle, musiałaś je otworzyć. Przecież chciałaś doczekać upojnej nocy, zastanawiał się.

Opuścił dom i włożył buty.

Okno łazienki znajdowało się na środku lewej ściany budynku, na wysokości dwóch metrów.

— Mądra z ciebie kobieta — pochwalił mężczyzna, kiedy zobaczył, że jest ono otwarte na oścież. Podskoczył, podciągnął się i usiadł na parapecie. Ponownie zdjął buty i wskoczył do środka.

Samantha Snyder leżała nieprzytomna na włochatym, białym dywaniku położonym pomiędzy ubikacją a dużą wanną.

Odblokował drzwi. Zaniósł buty na taras. Wrócił i podniósł nieprzytomną kobietę. Zarzucił ją sobie na plecy i wdrapał się po schodach na górę. Nogą pchnął uchylone drzwi sypialni. Ułożył panią prokurator na łóżku i wrócił na parter.

— To jak, panie sędzio? Będzie po dobroci? — Westchnął i wyteżył wszystkie mięśnie. Muskularny przeciwnik ważył prawie sto kilogramów, ale włamywacz miał wrażenie, że dźwiga kogoś znacznie cięższego. Zanim

zarzucił bezwładne ciało na plecy, nieprzytomny osobnik dał mu się ostro we znaki.

Poczuł uginające się pod nim nogi. W pierwszej chwili myślał, że nie da rady, ale ostatecznie, chwiejnym krokiem, ruszył naprzód.

Dlaczego ta cholerna sypialnia nie może być na dole?! — pytał w myślach.

Każdy stopień był walką. Na szczycie schodów czuł się jak biegacz na ostatnich kilometrach maratonu. Był ekstremalnie wycieńczony, ale wiedział, że nie może się poddać. Podest na pierwszym piętrze powitał z niewymowną ulgą. Już tylko kilka kroków dzieliło go od sukcesu.

Gdy dotarł do łóżka, nie miał zamiaru silić się na delikatność. Rzucił ciało na materac. Stelaż zatrzeszczał, ale wytrzymał. Żadna z desek nie pękła. Zrobił kilka głębszych wdechów. Musiał chwilę ochłonać. Czuł, że kominiarka na jego głowie jest mokra, ale nie mógł ryzykować rozpoznania czy pozostawienia śladów. Przykucnął i w myślach powtórzył czynności, które pozostały do wykonania.

Rozebrał parę kochanków do naga i porzucił ich rzeczy na schodkach prowadzących na górę. Bieliznę ułożył na podłodze w sypialni.

Kolejnym elementem była torebka. Pobiegł po nią na dół. Własność pani prokurator stała obok kanapy. Wrócił do sypialni i ułożył ją po stronie sędziego. Z plecaka najpierw wyciągnął pistolet i włożył go do torebki tak, aby nieco wystawał, a następnie ostrożnie wyjął pudełko, w którym znajdowały się dwa zawiniątka — były to kieliszki owinięte w papier. Każdy z nich kilkakrotnie przyłożył do ust swoich ofiar, a następnie naniósł na nie odciski palców. Podobnie postąpił z butelką czerwonego wina, którą również miał w plecaku. Na koniec wrzucił do torebki blister tabletek nasennych.

W tym pokoju jego zadanie zostało wykonane. Pozostał jeszcze parter. Na stoliku stały dwa kieliszki i opróżniona do połowy butelka czerwonego wina. Wcisnął mocniej korek i schował ją do plecaka. Podobnie postąpił z kieliszkami. Zostały one zastąpione bliźniaczą, spreparowaną parą.

Zabrał je do kuchni. Otworzył nową butelkę z czerwonym trunkiem. Puścił ciepłą wodę i wylał połowę wina do zlewu. Po trzydziestu sekundach zakręcił kurek. Następnie nalał trochę do każdego z kieliszków i lekko zamieszał. Butelkę zakorkował i razem z kieliszkami wyładowała na stoliku w salonie.

Pozostał ostatni element układanki. Otworzył lodówkę i wymienił znajdującą się tam butelkę białego wina na jej bliźniaczkę, którą wydobyl z plecaka. Nie miał pewności, na które wino się skuszą, a nie mógł ryzykować

niepowodzenia.

Jego misja została zakończona. Zastanowił się chwilę, czy aby niczego nie pominął. Okno w łazience celowo zostawił otwarte, aby wszystko wyglądało bardzo naturalnie.

Opuścił dom, zamykając drzwi na klucz. Przebiegł przez taras, założył buty i udał się w stronę samochodu. Usłyszawszy podejrzanego odgłosy dochodzące z drugiej strony ulicy, przykucnął za ostatnim krzakiem.

W jednej z willi otworzyły się drzwi. Na dworze robiło się już szaro i pierwszy zapaleniec postanowił spróbować swojego szczęścia na prywatnym łowisku. Starszy mężczyzna z wędką, podbierakiem, dużą skrzynką i składanym krzesłem, w profesjonalnym stroju wędkarza, wygramolił się na zewnątrz. Ani mu się śniło rozglądać dookoła. Patrzył pod nogi i pewnie w myślach prosił Boga, żeby nie potknąć się na kamiennych, nieregularnych schodkach.

Włamywacz zdjął kominiarkę i rękawiczki. Od razu poczuł ulgę. Odczekał, aż staruszek odejdzie na odległość kilkudziesięciu metrów i spokojnym krokiem poszedł w stronę toyoty.

Odjechał kawałek, zawrócił i ponownie zatrzymał się obok krawężnika, tyle że nieco dalej niż za pierwszym razem. Teraz wystarczyło zaczekać.

Sięgnął po napój energetyczny. Był znużony, a nie mógł sobie pozwolić na zaśnięcie. Pracowity dzień i nieprzespana noc powoli dawały o sobie znać. Otworzył laptopa. Musiał zacząć coś robić. Uruchomił aplikację, która umożliwiała śledzenie oznaczonego pojazdu. Samochód, na który czekał, był już niedaleko. Mógł się go spodziewać za jakieś trzydzieści minut. Nie chciał ryzykować. Na wszelki wypadek ustawił w komórce budzik.

John Snyder czuł narastające podniecenie. Każdy przejechany kilometr wydawał się dłuższy od poprzedniego. Już nie umiał się doczekać, kiedy kobiecy głos nakaże mu skręcić w jakąś boczną uliczkę.

Na jezdni pojawiało się coraz więcej samochodów. Słońce wstało i pierwsi pracownicy pędzili na wczesne zmiany. Już kilka razy jechał tą drogą, ale nie miał pojęcia, gdzie ostatecznie wyląduje.

Wreszcie usłyszał upragnione słowa.

— *Na następnym skrzyżowaniu skręć w prawo.*

— Nareszcie! — wykrzyknął bez opamiętania.

Dwieście metrów dalej włączył kierunkowskaz.

— No proszę. Koleś ma gest! — Zauważył tabliczkę informującą o luksusowych willach do wynajęcia. — No chyba, że to *my* stawiamy... — dodał ironicznie.

Wolno przejechał obok pierwszego domu. Ślepo zawierzył nawigacji, która nakazywała mu jechać dalej. Na rozwidleniu skręcił w lewo.

— *Dotarłeś do celu. Dziękuję za wspólna przejażdżkę* — padł komunikat.

— Hola, panno. Gdzieś ty mnie wywiozła? Tu nie ma żadnego numeru siedem! Jest sześć i osiem — rozejrzał się — ale o siódemce nikt tu nie słyszał!

Wtedy jego wzrok padł na tył dużego, białego samochodu wystający zza roślinnego parawanu.

— Jedną chwilę... — Zostawiając auto na chodzie, wysiadł i przeszedł kilka metrów. — No proszę. Uwili sobie całkiem niezłe gniazdko.

Wrócił do samochodu i przejechał parę metrów. Gdyby nie stara toyota, mógłby stać tam, gdzie stał, ale nie chciał być nieuprzejmy i tarasować komuś drogi. Tym bardziej, że kierowca siedział w środku, a dokładniej... spał i w każdej chwili mógł się obudzić.

Wyjął ze schowka broń, włożył ją za pasek i przykrył koszulą. Zabrał także aparat i dyktafon.

— Proszę, proszę... — syknął, widząc drogą kochankę. — A jednak to on stawia.

Nie wierzył, że główne wejście będzie otwarte, ale postanowił spróbować szczęścia. Drzwi ani drgnęły. Chwilę nasłuchiwał, ale niczego nie wyłapał. Obszedł dom i znalazł tylne wejście. Niestety, te drzwi również były zamknięte. Pozostały mu okna.

Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Jedno z nich wręcz zapraszało go do środka. Podciągnął się i zwinnym ruchem wpłynął do domu.

Łazienka była w idealnym stanie. Na szklanej ścianie kabiny prysznicowej nie było śladu choćby po jednej, wyschniętej kropli wody. Podobnie zresztą jak na obrzeżach wanny. Zaczął zastanawiać się, czy dobrze trafił. Na szczęście, umywalka zdradzała ślady niedawnego użytkowania.

Ostrożnie uchylił drzwi. Dom wyglądał na opuszczony. Starał się stąpać najciszej jak potrafił, ale i tak miał wrażenie, że poruszał się jak słoń w składzie porcelany.

— A jednak — wyszeptał, zobaczywszy butelkę wina i dwa kieliszki na stoliku w salonie. Podszedł bliżej. Od razu rozpoznał markę. Sto pięćdziesiąt

dolarów za butelkę robiło wrażenie. Wziął ją do ręki i odkorkował.

Bukiet niczego sobie. Chyba nie będą mieli nic przeciwko.

Zrobił dwa łyki prosto z butelki.

— Naprawdę dobre — szepnął. — Ostatecznie skończyło się na sześciu porządnym haustach. Poczuł miłe ciepło rozgrzewające go od środka.

Po krótkiej degustacji odstawił butelkę na stół. Zauważył marynarkę leżącą na schodach. Nieco wyżej znajdował się męski but. Wiedział już, gdzie szukać kochanków. Przygotował aparat i włączył tryb nagrywania. Miał do wykorzystania dwadzieścia minut filmu, więc zupełnie się nie spieszył. Dodatkowo włączył dyktafon i włożył go do kieszeni spodni.

Dokładnie dokumentował każdą mijaną część garderoby. Marynarka, buty męskie i damskie, sukienka, koszula, krawat, skarpetki, spodnie — każdemu elementowi poświęcał kilka sekund. Gdy zbliżył się do drzwi sypialni, poczuł, jak ręce zaczynają mu drżeć. Wiedział, że jeżeli chce przyłapać kochanków na gorącym uczynku, musi się opanować. Ostrożnie pchnął drzwi, które lekko zaskrzypiały. Cofnął się nieco i przyłgnął do ściany. Serce waliło mu jak młotem. Z każdym uderzeniem czuł przepływającą przez ciało falę gorąca. Wino jeszcze bardziej spotęgowało ten efekt.

Nie usłyszał żadnego podejrzanego dźwięku, więc zerknął do środka. Domyślał się, co zobaczy, ale rzeczywistość bardzo go zaskoczyła. Snyder zagotował się ze złości. Jego żona spała naga w objęciach jakiegoś roznegliżowanego mężczyzny.

Z daleka trudno było rozpoznać jego twarz, ale z pomocą przyszedł zoom optyczny. Duże zbliżenie pomogło w identyfikacji. Był to jeden z czterech mężczyzn, których zdjęcia otrzymał za pierwszym razem. Ten, którego nie potrafił zidentyfikować.

Zrobił kilka kroków, aby lepiej mu się przyjrzeć. Niechcący przesłonił pierwsze promienie wschodzącego słońca wpadające przez okno. Na śpiącego sędziego padł cień. Zmiana natężenia światła rozbudziła go. Przeciągnął się, nie otwierając oczu.

Snyder spanikował. W pierwszej chwili chciał uciec, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

Czego się boisz, idioto! To oni powinni się teraz bać!

Wino dodało mu pewności siebie. Odzyskał władzę nad ciałem, ale pozostał na miejscu.

Zaspany kochaś poruszył ręką, ale nie otworzył oczu. Niechcący

szturchnął partnerkę. Przewrócił się na drugi bok i porwał jej kołdrę, całkowicie odkrywając nagie ciało pani prokurator.

Gdy Snyder zobaczył w pełni roznegliżowaną żonę, nie wytrzymał. Ze wszystkich sił starał się zachowywać racjonalnie, ale tego było już za wiele. Wstąpił w niego diabeł. Szalony wzrok spoczął na otwartych drzwiach. Ustawił aparat na szafce stojącej pod ścianą, aby udokumentować przyznanie się kobiety do winy. Zrobił dwa kroki w stronę drzwi i z całej siły, bez opamiętania, kopnął je. Te trzasnęły o futrynę.

Mężczyzna na łóżku podskoczył. W pierwszym momencie nie zauważył obecności osoby trzeciej. Gdy usiadł, poczuł pulsujący ból. Złapał się za głowę i jęknął.

Kobieta również drgnęła, ale zachowywała się jak pod wpływem narkotyków. Majaczyła. Otwierała oczy i zamykała je, jakby nie była pewna, czy chce się obudzić.

Snyder nie przebierał w środkach. Sięgnął po pistolet, wymierzył w pusty wazon i nacisnął spust. Kula rozłupała ozdobną ceramikę na kilkanaście kawałków, a huk wystrzału ostatecznie rozbudził jego żonę.

— Co tu się dzieje, do cholery?! Kim jesteś?! — wrzasnął sędzia Paxton, widząc w sypialni uzbrojonego mężczyznę celującego prosto w jego głowę.

— Zapytaj ją, to ci powie.

Kobieta usiadła. Zagubionym wzrokiem spojrzała na człowieka stojącego przed nią. Chwilę trwało, zanim wszystko do niej dotarło.

— John?

— A kogoś się spodziewała, dziwko?! Kolejnego fagasa?! — Wycelował w nią.

— Nie mów tak do niej! — zareagował ostro Paxton.

— A ty się zamknij, jeżeli chcesz wysłuchać tej rozmowy do końca. — Snyder po raz kolejny zmienił cel.

— John? Co ty tutaj robisz? Miałeś być w domu? — powiedziała pretensjonalnie, jakby w ogóle nie rozumiała powagi sytuacji.

— Naćpana jesteś, czy co? A gdzie ty miałaś być? Podobno jechałaś na imprezę integracyjną.

— No przecież jechałam...

— Słuchaj, może porozmawiamy spokojnie. — Paxton podał kochance część kołdry, aby zakryła nagie ciało, ale kobieta nawet nie zareagowała.

Próbowała szukać wyjścia z beznadziejnej sytuacji, w jakiej się znalazła.

— Miałeś się nie odzywać!

Sędzia zasłonił się ręką i odwrócił wzrok, aby niepotrzebnie nie prowokować napastnika. Nieumyślnie spojrział na dywan i dostrzegł torebkę leżącą na podłodze, a w niej — nadzieję na przetrwanie.

— To moja wina — odezwał się nagle. — Ja ją do tego nakłoniłem. Gdyby nie mój telefon, nie doszłoby do tego.

— Myślisz, że urodziłem się wczoraj, a to jest jej jedyny skok w bok?! I kim ty w ogóle jesteś?

— Nazywam się Paxton i jestem sędzią stanowym.

— John, daj spokój! O co ci znowu chodzi?

— Zamknij się, jak nie masz nic mądrego do powiedzenia, głupia szmato! Najpierw pojedziesz na odwyk, a potem prosto na salę sądową! Zobaczymy, czy tam też będziesz robiła z siebie idiotkę.

Kobieta nieoczekiwanie zerwała się z łóżka i stanęła przed mężem.

— Jak śmiesz tak do mnie mówić?! Oskarżę cię o znieważenie! — Pogroziła mu palcem jak małemu dziecku. — Gdy ty zabawiałeś się z sekretarką, ja siedziałam cicho! Teraz masz za swoje!

— Kochanie... Może usiądziesz, a ja z nim porozmawiam.

— Jeszcze raz powiesz do niej *kochanie*, to odstrzelę ci jaja! Zrozumiałeś?!

— Spróbuj go skrzywdzić, to nie wyjdiesz z więzienia do końca życia.

— I ty jeszcze mi grozisz?! — Nie wytrzymał. Zamachnął się i z całej siły uderzył ją pistoletem w policzek.

Upadając na podłogę, wrzasnęła z bólu. Na biały dywan wypluła zakrwawiony ząb. Z rozciętego policzka i wargi pociekła krew, zalewając jej pół twarzy i szyję. Wsparła się na rękach i wtedy poczuła, jak John przystawia jej lufę pistoletu do głowy. Zerknęła na niego wilkiem.

— No, dalej! Zrób to, ty tchórze! Nigdy nie byłeś nawet w połowie tak dobry, jak którykolwiek z nich!

Paxton wiedział, że jeżeli nie przerwie tego szaleństwa, to koniec będzie tylko jeden. Schylił się, błyskawicznie sięgnął do torebki i chwycił za broń. Wtedy nastąpił ogłuszający huk. Zamknięte pomieszczenie spotęgowało odgłos wystrzału.

Na biały dywan i dolną część ściany padł spory rozbryzg drobnych kropeł

krwi. Kula weszła czubkiem głowy, a wydostała się podbródkiem.

Sędzia zobaczył, jak ciało Samantha osuwa się na podłogę.

— Ty gno...

Padł kolejny strzał. Powstał nowy rozbryzg. Tym razem na przeciwległej ścianie, tuż nad łóżkiem. Do kropel krwi dołączyły kawałki tkanki mózgowej, które kula, przelatująca przez głowę sędziego, wypchnęła poza obręb jego czaszki. Z dziury na czole zaczęła sączyć się krew z niewielką domieszką płynu mózgowo-rdzeniowego. Strużka szybko osiągnęła okolice nosa, ust i szyi, a następnie po klatce piersiowej spłynęła na pościel, tworząc szybko rozrastającą się, ciemnoczerwoną plamę.

Snyder zastygł w bezruchu z ręką trzymającą pistolet wymierzony w martwego mężczyznę. W uszach słyszał jeszcze dudnienie.

Nie do końca tak to sobie zaplanował. Nie wiedział dlaczego, ale był nadzwyczaj spokojny. Czuł, jak ręce przestają mu drżeć. Po minucie spędzonej w bezruchu wyłączył aparat, który zarejestrował całe wydarzenie.

Dokonał szybkiej diagnozy. Praca serca w normie. Oddech w normie. Brak drżenia. Jasność umysłu. Emocje związane ze zdradą żony zniknęły wraz z pierwszym strzałem. Tego drugiego nie miał zamiaru oddać, ale instynkt samozachowawczy wziął górę. Nie miał sobie tego za złe. Wręcz przeciwnie. W rozważaniach pochwalił sam siebie za zapobiegawczość. On albo ja.

Przykucnął obok ciała martwej żony, oparł się plecami o ścianę i podparł rękami głowę. Zaczął myśleć nad dalszym rozwojem wydarzeń.

— Sąsiedzi prawdopodobnie coś słyszeli. Mam niecałe dwadzieścia, no... może nawet trzydzieści minut na ucieczkę. A potem? Na butelce wina są moje odciski. Na gwincie znajdą również DNA. Ale to nie problem. Zabiorę butelkę i wyrzucę ją gdzieś daleko stąd. Film z aparatu można usunąć. Dyktafon... Cholera... Dalej nagrywa. — W myślach układał scenariusz. Włożył rękę do kieszeni i nacisnął przycisk *STOP*. — Zniszczę go, podobnie jak kartę z aparatu. Jeszcze ktoś mógłby odzyskać z nich jakieś dane. Ostatnią trasę z nawigacji usunę. Krew z koszuli, spodni i butów łatwo nie zejdzie. Trzeba będzie je wyrzucić albo najlepiej spalić. Proch na rękach? Dam radę dokładnie go usunąć? Tutaj nie mogę tego zrobić. Cholera. Robi się coraz trudniej. Pozostają jeszcze zdjęcia i pendrive, które Phil przekazał Samancie, kłamliwy Phil Foster we własnej osobie — wie o wszystkim, no i broń, z której zabito ofiary, a która przypadkiem jest zarejestrowana na mnie. Helen potwierdzi moją nieobecność w domu podczas domniemanej napaści

na tych dwoje i zezna, że wcześniej zachowywałem się jak wariat. Kto wszystko dziedziczy? Ja. Świetnie...

Wstał i wziął głęboki oddech.

— A jednak nie będzie to takie proste. Wasi znajomi — spojrzął na ofiary — zrobią wszystko, żeby mnie dopaść, a ja nie mam zamiaru iść do więzienia. No cóż... Szkoda...

Wsadził lufę pistoletu do ust, skierował ją w górę i nacisnął spust.

Kierowca toyoty z każdym oddanym, choć ledwo słyszalnym strzałem, coraz bardziej uspokajał się. Drzewa i krzewy doskonale tłumiły podejrzane dźwięki dochodzące z willi numer siedem. Nikt z sąsiadów nawet nie wyjrzał przez okno.

Nie mogli tego usłyszeć, pomyślał. On ledwie słyszał, a miał opuszczoną szybę w samochodzie, który stał kilkanaście metrów od domu. Pierwszy odgłos wystrzału był dobrym znakiem, ale dopiero kolejne dwa, oddane po pewnym czasie w przeciągu kilku sekund, przyniosły szansę na pozytywny efekt. Czwarty, nie do końca zamierzony, był wielką niewiadomą.

Mężczyzna, który zaaranżował bieg tragicznych wydarzeń, oddałby wiele, żeby sprawdzić, jak mu ostatecznie poszło, jednak wejście do domu w tym momencie było sporym ryzykiem. Ktoś musiał przecież przeżyć, domyślał się. Był szalenie ciekaw, kto. Kusilo go, ale rozsądek wziął górę.

— Wystarczy śledzić wiadomości...

Uruchomił silnik i przejechał kawałek, zatrzymując się tuż obok volvo Snyderów. Pospiesznie wysiadł, obiegł pojazd i przykucnął przy tylnym, prawym kole. Udając, że coś sprawdza w swoim samochodzie, spod przedniego, prawego nadkola samochodu ofiary umiejętnie odczepił mały nadajnik.

Otrzeptał rękę, dając tym samym do zrozumienia ewentualnym obserwatorom, że zakończył oględziny swojego pojazdu.

Wkrótce był już na drodze prowadzącej do Cleveland.

WTOREK

Bar przy Bellaire Rd. był znany niemalże każdemu, kto mieszkał na południowy zachód od centrum, w jednej z kilku biedniejszych dzielnic Cleveland. W tym miejscu można było załatwić niemalże wszystko. Kto potrzebował dilera albo kogoś od brudnej roboty, znajdował odpowiedniego

człowieka niemalże przy co drugim stoliku.

Było to również miejsce często odwiedzane przez harleyowców oraz samotnych robotników pracujących w jednym z kilkunastu pobliskich zakładów przetwórczych. Mogli tutaj znaleźć towarzystwo nie tylko do kieliszka, ale również na resztę nocy. Prostytutki, homoseksualiści, transwestyci — każdy bez problemu znalazł coś dla siebie. Właściciel nikogo nie dyskryminował. Dzięki różnorodności łatwo było o nową klientelę, która napędzała interes. Każdy, kogo było stać na kupno choćby jednego piwa, był mile widziany.

Porządku w środku pilnowało sześciu osiłków — po dwóch przy każdym z wejść oraz dwóch przy barze. Ze względu na towarzystwo, jakie codziennie kręciło się tutaj, takie środki były konieczne. Jednakże biorąc pod uwagę *różnorodność* klientów, do bójek czy przepychanek dochodziło stosunkowo rzadko, jak na tego typu miejsce — średnio raz na dwa tygodnie coś się działo, a raz na pół roku musieli interweniować wszyscy ochroniarze jednocześnie.

Każdy z klientów szanował właściciela i traktował to miejsce nie tylko jako bar, ale także jako ważny, codzienny przystanek w swoim życiu — azył, w którym mógł się schronić. Zawierano tutaj nowe znajomości, prowadzono interesy, a także można było znaleźć ciekawą, choć często nie do końca legalną pracę.

Właścicielem tego przybytku dla strapionych był Samuel Bloom, nazywany przez wszystkich wujkiem Samem. Początkowo zajmował się złomowaniem samochodów i sprzedażą używanych części. Miał jednak żyłkę do interesów i dobrze wiedział, że to nie towar, a klient jest najważniejszy. Szybko stał się znany w okolicy, w której używane samochody stanowiły dziewięćdziesiąt dziewięć procent pojazdów poruszających się po drogach.

Każdego klienta przy zakupie części o wartości powyżej dwudziestu dolarów czekała miła niespodzianka. W pobliskim minibarze należącym dawniej do matki Blooma otrzymywał darmowe piwo. Pomysł chwycił i to bardziej, niż można było się spodziewać. Najważniejsze, że na pojedynczym kuflu nigdy się nie kończyło, a za każde następne delikwent musiał już zapłacić. Jeden interes zaczął napędzać drugi.

Klientów przybywało, a obroty rosły. Po śmierci matki Bloom przejął bar. Dzięki zgromadzonym oszczędnościom rozbudował go, zwiększając powierzchnię czterokrotnie i rozwinął do tego stopnia, że lokal zaczął

przynosić zyski kilkakrotnie przewyższające dochodowość poprzedniego interesu, z którego zresztą nigdy nie zrezygnował.

Szybko stał się majątnym człowiekiem, ale nigdy nie opuścił miejsca, które go ukształtowało. Czuł się dobrze w tej okolicy i nie widział potrzeby tego zmieniać. Często podkreślał, że szacunku nie można kupić. Trzeba sobie na niego zapracować.

Zawsze na początku tygodnia odwiedzał bar i witał się ze stałymi gośćmi. Tym razem wizyta w imperium przypadła na wtorkowy wieczór. Odsunął koraliki oddzielające zaplecze od głównej sali i wszedł do swojego królestwa.

Każdy z zebranych przy barze gości, który go rozpoznał, witał się na swój sposób.

— Miło cię widzieć!

— Sam, świetnie wyglądasz!

— Co słyhać, staruszkę? Napijesz się ze mną?

Kilku przywitało się, wypowiadając tylko jego imię, a pozostali, którzy nie byli z nim aż tak zżyci, a wiedzieli kim jest, po prostu pokiwali głowami na powitanie. Bez względu na wiek, płeć czy wyznanie, każdy szanował tego człowieka i wiedział, że w zamian może oczekiwać tego samego w miejscu, które stworzył ten pięćdziesięcioletni biznesmen, zaczynający karierę na złomowisku.

— Jak idzie? — zapytał barmana uwijającego się jak w ukropie.

— Kiepsko, panie Bloom. Nick złamał rękę na budowie. Przed chwilą zadzwonił, że nie przyjdzie do pracy. Dzisiaj będę sam na zmianie, a na jutro postaram się kogoś załatwić.

— To bardzo niedobrze. Zadzwonię do Rity. Wiem, że ma wolne, ale może uda mi się ją sprowadzić, choćby tylko na kilka godzin.

— Dziękuję.

Wujek Sam wykonał szybki telefon. Z uśmiechem na twarzy zakomunikował barmanowi wiadomość, że wkrótce otrzyma pomoc.

— Dla kogo piwo?! — krzyknął nagle Bloom.

Kilku zniecierpliwionych klientów podniosło rękę.

— Dla mnie dwa — wrzasnął jeden. — Dla mnie trzy — dodał drugi.

Barman spojrzał z niedowierzaniem na właściciela, który zakasał rękawy i zaczął obsługiwać.

— Co tak patrzysz? — uśmiechnął się.

— Nie, nic. Ja tylko... Dzięki. — Skinął głową i pozostał bez słowa.

Kolejny kufel wylądował przy spragnionym kliencie. Mężczyzna z wytatuowanym na ręce wizerunkiem kobiety sięgnął po piwo, zostawił na blacie pięć dolarów i poprawił się na barowym stołku.

Pierwszy łyk najbardziej mu smakował. Delektował się nim przez dobrych kilkanaście sekund. Kubki smakowe nie były jeszcze rozleniwione i pracowały na najwyższych obrotach. Później doznania słabły. Po dziesięciu minutach poprosił o kolejny kufel, a gdy go opróżnił, zamówił jeszcze jeden.

Trzecie piwo pozostawił jednak nietknięte. Normalnie zatrzymałby się na szóstym albo siódmym, ale tym razem chodziło o coś innego. Musiał się skupić i nie mógł przesadzić. Niewielka ilość alkoholu zrobiła swoje — dodała mu odwagi, ale nie otepiła go.

Po raz kolejny zerknął na stolik umiejscowiony przy oknie. Siedziały przy nim cztery kobiety przed pięćdziesiątką. Trzy z nich wyglądały całkiem nieźle jak na swój wiek, ale czwarta była prawdziwą żyletą. Jej obcisła, błękitna koszulka z cekinami wyraźnie podkreślała duże piersi i płaski brzuch, a krótka spódniczka i kilkunastocentymetrowe szpilki dodawały jej seksapilu. Jej twarz też była niczego sobie. Duże oczy, krwistoczerwone usta i zgrabny nosk skutecznie odejmowały jej lat.

Mężczyzna przy barze przez długi czas obserwował swoją ofiarę. Właśnie zbliżał się do niej kolejny amant ubrany w skórę aż po samą szyję, ze srebrnymi pierścieniami na każdym z palców. Razem bardziej przypominały kastety niż biżuterię. Spokojnie odczekał, aż kobiety rozprawią się z zalotnikiem.

Ten był wyjątkowo natarczywy. Zajęło im to ponad trzy minuty. To o dwie i pół dłużej niż w przypadku czterech poprzednich. Wiedział, że przez takie podejście niczego nie wskóra. Nie chciał stracić łakomego kąska, na który polował od kilku dni. Poprosił kelnerkę. Zamówił dla każdej z pań po kieliszku szampana. Młoda dziewczyna w czarnej koszulce i obcisłych, niebieskich džinsach oraz czapce z daszkiem, spod której wystawał długi warkocz, natychmiast wykonała polecenie. Oczywiście nie omieszkała poinformować zaskoczonych pań, kto jest sponsorem wyrafinowanych trunków.

Kobiety spojrzały nieufnie na darczyńcę i uśmiechnęły się. Podniosły wysokie, wąskie kieliszki w górę, chcąc dać mu do zrozumienia, że piją jego zdrowie, po czym wróciły do rozmowy.

Mężczyzna odczekał dwadzieścia minut, co jakiś czas zerkając w ich stronę. Wreszcie nawiązywał kontakt wzrokowy i to było najistotniejsze. Wkrótce zamówił dla nich następną kolejkę. Tym razem otrzymał buziaka na odległość. Był coraz bliżej celu. Jeszcze raz i jest moja, pomyślał.

Dwa tygodnie obserwacji opłaciły się i właśnie przynosiły rezultaty. Wiedział już, czego oczekuje ofiara. Może i szukała znajomości na jedną noc, ale musiał to być człowiek z klasą i gestem. Żaden obwieś w podkoszulce czy zarośnięty motocyklista nie wchodził w grę. Drogie perfumy, markowe ubrania, konkretny samochód, najlepiej duży dom lub mieszkanie — to były podstawowe wyznaczniki. Nienawidziła tanich moteli. Były dla niej ostatecznością.

Coraz częściej zerkła w jego stronę, czasem udając zainteresowanie kimś innym, a czasem specjalnie. Wiedziała już, że nie ma do czynienia ze zwykłym robodem, którego stać tylko na piwo po pracy. Już za pierwszym razem zmierzyła go od stóp do głów, ale nie mogła zbyt szybko okazać zainteresowania. To nie było w jej stylu. Poza tym... uwielbiała szampana, a w tym miejscu, przepelnionym zapachem piwa, wódki i smażonego mięsa, był on miłą odmianą.

Tajemniczy nieznajomy — jak na razie — zdał egzamin na piątkę z plusem. Nie był nachalny, potrafił się ubrać i trzymał żądze na wodzy. Spodnie i koszulę dobrej marki rozpoznała z daleka. Buty też niczego sobie, pomyślała. Dostrzegła kilka tatuaży i bliznę na szyi. Lubiała prawdziwych mężczyzn, którzy w łóżku przejmują nad nią kontrolę. Chętnie stawiała się ich ofiarą. Był od niej sporo młodszy, ale nie widziała w tym żadnego problemu.

Kiedy zaczęła wyobrażać sobie, co dobrego może ją spotkać tej nocy, nagle czar prysnął. Mężczyzna, który jeszcze chwilę temu siedział przy barze, zniknął. Zależało jej na tej znajomości bardziej, niż na początku sądziła. Rozejrzała się. Niestety, nie dość, że go nie wypatrzyła, to jeszcze spotkała się wzrokiem z kolejnym napaleńcem, który ruszył w jej stronę.

Nowy amant wyglądał jak zapaśnik sumo — był niewysoki, a ważył ze sto pięćdziesiąt kilogramów. W dodatku gęsty zarost na twarzy niemalże całkowicie przysłaniał mu usta. Wyobrażała sobie zapach potu, który uderzy ją, gdy tylko podejdzie.

— A mogło być tak pięknie... — westchnęła.

Koleżanki spojrzały na nią, nie wiedząc, o co jej chodzi.

Niespodziewanie do ich stolika podszedł kelner, stając na drodze

napalonemu grubasowi. Miał spuszczone głowę i baseballówkę nasuniętą prawie na same oczy. W ręce trzymał notatnik i długopis.

— Czy podać paniom coś jeszcze?

— Na razie dziękujemy... — odpowiedziała najbardziej wygadana.

— A może deser? — Kelner podniósł głowę.

Kobiety zeszywniały. Przed nimi stał mężczyzna, który wcześniej zaserwował im dwie kolejki szampana.

— Hej, koleś... gadasz albo spadasz... Ja tu próbuję coś wyhaczyć!

— Przykro mi, ale ta pani wychodzi dzisiaj ze mną.

— Taak? A to z jakiej okazji? — Otyły oprych był wyraźnie wstawiony i tylko szukał jakiejś zaczepki.

Dzisiaj ci daruję, ale pewnie jeszcze się spotkamy, pomyślał mężczyzna w przebraniu kelnera.

— Pan Bloom zaprosił tę panią do swojego biura — zaczął spokojnie. — Chyba nie chcesz, żebym mu powiedział, że nie przyjdzie z powodu ciebie.

Poirytowany osobnik poważnie zastanowił się nad kolejnym ruchem. Bójka nic by mu nie dała, a nie chciał denerwować właściciela. Jego goryle mogliby mu zepsuć wieczór.

— A niech ją sobie bierze! — Machnął ręką i odwrócił się. — Napompowana lala!

— Coś ty powiedział?!

— To, co słyszałeś — bąknął obleśny typ, nie odwracając się.

— Tego już za wiele...

Amant udający kelnera także nie chciał wdawać się w bójkę, ale dzięki temu mógł zyskać w oczach swojej ofiary i zapunktować wielokrotnie już podczas pierwszego spotkania twarzą w twarz. Było warto. Wystartował do niego, ale poczuł szarpnięcie. Kobieta, która została obrażona, powstrzymała go.

Nie mogło być lepiej. Morda cała, a plusik jest na koncie. To wszystko jest zbyt proste, pomyślał.

— Daj spokój, nie warto.

— Może i masz rację, ale nie znoszę takiego chamstwa!

— Ja już się przyzwyczyłam do obelg. Jeżeli facet jego pokroju — odwróciła się i z pogardą spojrzała na odchodzącego grubasa mamroczącego coś pod nosem — nie dostaje tego, czego chce, to koniec jest zawsze taki

sam. Żaden jeszcze mnie nie uderzył, ale muszą jakoś dać upust swojej frustracji.

— W takim razie... Na czym to stanęliśmy?

— Chyba chciałeś zaproponować mi deser...

Koleżanka siedząca naprzeciwko kopnęła ją pod stołem i ściągnęła groźnie brwi.

— To znaczy nam... — poprawiła się.

— To prawda...

— Co możesz nam zaoferować?

— I tutaj zaczynają się schody... — zmieszał się. Nie miał pojęcia, co jest w menu.

— Rozumiem... — podchwyciła kobieta. — Widzę, że nie do końca przygotowałeś się do swojej roli — dopiekła mu.

— Musiałem improwizować. Nie chciałem, żebyś wyszła stąd z kimś innym niż ze mną.

— Oooo... — Przyjaciółki zarumieniły się za nią. Same miały chrapkę na to ciacho, ale wiedziały, że od samego początku jest już zarezerwowane i to na wynos.

— Spokojnie dziewczyny... Nigdzie nie idę. Przecież nie zjadłyśmy jeszcze obiecanego deseru — powiedziała żartobliwie.

— My może i nie, ale ty już powoli się nim delektujesz...

Przyjaciółka, która to powiedziała, otrzymała solidnego kopniaka pod stołem.

— Ej!!! Co jest? — zareagowała gwałtownie.

— W takim razie zaraz zawołam prawdziwą kelnerkę — przerwał im zalotnik. — Zjedzą panie deser, a później porozmawiamy. Będę czekał przy barze.

— Jak sobie życzysz... — powiedziała jego wybranka.

Gdy przystojniak oddalił się, najbardziej wygadana z kobiet zabrała głos.

— Cholera... Ale ci się trafiło — dokończyła półszepem.

— Ile ja bym dała, żeby zobaczyć, jak masakruje gębę temu grubasowi! — dodała druga.

— A co powiesz na trójkącik? Myślisz, że miałyby coś przeciwko? — zakończyła trzecia i wszystkie parsknęły śmiechem.

— Myślę, że dałby radę nam czterem i jeszcze byłoby mu mało!

Kolejne zdania działały na kobietę jak afrodyzjak. Jej cel wrócił i usiadł przy barze. Chwilę później zasłoniła go kelnerka. Nie wytrzymała. Wstała i podeszła do niego. Przysunęła się na tyle blisko, że poczuła jego zniewalający zapach. To był jeden z jej ulubionych — *HUGO BOSS* — męski i jednoznacznie mówiący: Jesteś moja!

Złapała swoją zdobycz za koszulę i przyciągnęła do siebie.

— Wychodzimy stąd. Teraz — szepnęła mu do ucha i delikatnie musnęła je językiem.

Przeszył go dreszcz. Już dawno czegoś takiego nie poczuł. Uświadomił sobie, że szybkie numerki to nie to samo, co starannie zaplanowana akcja. Spojrzał pożądliwie na swoją ofiarę, jakby chciał pożreć ją wzrokiem. Nawet nie dokończył piwa. Złapał ją za rękę i poszli w stronę wyjścia.

Kobieta, czując mocny uścisk, wiedziała, że nie będzie się z nim nudzić. Powoli wyobrażała sobie dalszy rozwój wydarzeń.

Na zewnątrz uderzył ich gwar i głośne rozmowy kilku motocyklistów. Wśród nich zauważyli otyłego osobnika, który piętnaście minut temu musiał obejść się smakiem. W pierwszej chwili grubas nie rozpoznał towarzysza kobiety, którą wcześniej chciał poderwać, ale wiedział, że wujek Sam wygląda nieco inaczej. Szepnął coś do swoich kolegów. Ci zeszli z motorów i ruszyli w stronę zapatrzonej w siebie pary.

— Cholerny sukinkot! To ten, co mnie spławił! Bierzcie go! — krzyknął rozjuszony, gdy rozpoznał mężczyznę.

Przestraszona kobieta i jej towarzysz pobiegli za budynek.

Jeden z ochroniarzy wyjrzał na zewnątrz. Bar był miejscem świętym, którego spokoju nikt nie śmiał zakłócać, ale to, co działo się poza nim, nikogo już nie interesowało. Był swojego rodzaju oazą na pustyni zła. Strażnik odwrócił wzrok i wrócił na swoje miejsce. Kilka sekund później przed drzwiami wejściowymi przebiegła grupka rozwścieczonych mężczyzn.

Uciekinierzy dotarli do ogrodzenia.

— Szybko! Tutaj! — Mężczyzna podniósł naderwaną siatkę i po chwili byli już na terenie złomowiska.

— Gdzie teraz? — zawołała zdezorientowana kobieta.

— Tędy! — Wskazał na wąską ścieżkę pomiędzy samochodami.

— Mam nadzieję, że wiesz, dokąd idziemy...

— Zaufaj mi. Kiedyś tu pracowałem. Nie zatrzymuj się!

Zza rogu budynku wyłoniła się grupa pościgowa.

— Tam są! Dalej, nie mogą nam uciec...

Jeden przytrzymał siatkę, aby pozostali mogli szybko dostać się na teren złomowiska.

— Tak przy okazji... jestem Jane!

— Stephen Fox! Wybacz, że nie podam ci ręki.

Przedzierali się pomiędzy samochodami. Niektóre były tak blisko siebie, że musieli wskakiwać na ich maski.

— Uparty sukinsyn — warknęła. — Żałuję, że cię wtedy powstrzymałam.

— Ja też, ale to nic... Damy radę! Teraz tędy. — Skierował kobietę na niemalże niewidoczną ścieżkę.

— Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

— Ja też! Uważaj... Tam jest jeden.

Przykucnęli.

— Nawet nie wiesz, jak to na mnie działa! — Przyciągnęła partnera do siebie i namiętnie pocałowała.

Nie opierał się. To było znacznie lepsze niż beczynne czekanie. Po dobrej minucie oprzytomnieli. Na horyzoncie nie było już nikogo.

— Nie możemy tu zostać? — zapytała poważnie. — Przecież tu nas nie znajdą! Schowamy się w jakimś samochodzie i...

Przyłożył palec do jej ust.

— Jane... Wszystko w swoim czasie. Nie wiesz, że zakazany owoc najbardziej kusi?

Zarumieniła się.

— Dobra. Teraz prosto. Za parę metrów wypatruj skrętu w prawo. Tam! Za tym czerwonym wrakiem.

Jane skręciła we wskazanym miejscu i jakimś cudem wkrótce znaleźli się pod tylną ścianą baru, w którym się poznali.

— Jesteś genialny! — Rzuciła mu się na szyję i zaczęła całować.

Bardzo chciał to kontynuować, ale nie byli jeszcze całkowicie bezpieczni. Złapał ją mocno za rękę i lekko odtrącił.

— Lubię takich!

— Lepiej uciekajmy, zanim wrócą!

Przeszli przez ogrodzenie w tym samym miejscu, co wcześniej. Gdy

minęli wejście do baru, Fox zatrzymał się.

— Poczekaj chwilę! — Wyciągnął z kieszeni nóż sprężynowy. Podszedł do porzuconych motocykli i w każdym przebił obie opony.

— Niegrzeczny z ciebie chłopiec.

Nie odpowiedział, tylko szarpnął kobietę za rękę i razem pobiegli na parking, gdzie czekał już na nich stary, odrestaurowany, bordowy mustang.

— To twój wózek?

— Tak jakby... — odpowiedział wymijająco.

— Piękny. — Dotknęła połyskującego lakieru. Poczowała chłód. Był upalny wieczór, ale i tak przeszył ją dreszcz.

— Wsiadaj! — Odblokował jej drzwi.

Po chwili mknęli już dwupasmówką, oddalając się jeszcze bardziej od centrum. Jechali w stronę obrzeży miasta, gdzie znajdował się ich punkt docelowy — dom, w którym mieli spędzić upojną noc. Podobnie jak samochód, on również nie był własnością Foxa, który tylko udawał zamożnego twardziela.

Spora posiadłość ogrodzona wysokim murem, zaopatrzona w całodobowy monitoring, należała do znajomego *biznesmena*, który wyjechał w interesach na dwa tygodnie na Florydę. W zamian za ochronę oraz regularne dostawy prochów i panienek do towarzystwa, podczas nieobecności gospodarza Fox mógł do woli korzystać ze wszystkich wygód. Nie był pewien, czy samochód również należy do pakietu, ale cel był wart ryzyka.

Podjechali pod bramę, która otwarła się przed połyskującą maską samochodu.

— Czary! — powiedziała podekscytowana kobieta.

— Czujnik... — wyjaśnił spokojnie Fox.

Po pięciu minutach przekroczyli próg sypialni. Jane osunęła się na łóżko. Była zmęczona, ale podniecona jak jeszcze nigdy. Wiła się, czekając na bohatera dnia, który chwilowo gdzieś przepadł. Wkrótce stanął w drzwiach z dwoma kieliszkami i butelką schłodzonego szampana.

— Wiesz, co lubię...

Korek wystrzelił i trochę spienionego napoju wylało się na dywan.

— Jaka szkoda...

— W lodówce są jeszcze dwa.

Jane wypła duszkiem cały kieliszek.

— Niezła jesteś.

— Skąd wiesz? Jeszcze mnie nie spróbowałaś...

Fox miał już dość tych podchodów. Odstawił szmapana i rzucił się na ofiarę, która poddała się bez walki. Po chwili pieszczot byli już w samej bieliźnie. Sięgnął pod poduszkę i wyciągnął dwie grube wstęgi.

— Lubisz dominować? — zamruczała. — To dobrze, bo ja lubię być zdominowana.

Przywiązał ją do metalowych prętów stanowiących górną część łóżka.

— No już, mój wytatuowany bohaterze. Jestem cała twoja!

Wtedy zaprzestał. Zszedł z niej, stanął obok łóżka i otworzył szufladę nocnego stolika. Wyciągnął z niej broń i odbezpieczył ją.

— Hej, co robisz?! — Przerażona zastygła w bezruchu, kiedy zobaczyła, że jej idealny facet celuje do niej z broni.

— Powiedziałaś, że lubisz takie rzeczy...

— Ale... — Drgnęła, kiedy nacisnął spust. Z mechanizmu broni wydobył się głuchy stuk. Ponownie usiadł na niej i przejechał lufą pistoletu po piersiach.

— A teraz się zabawimy — szepnął jej do ucha.

ŚRODA

— To może mi łaskawie powiesz, kogo mam tam wysłać? — warknął Arthur Goldwyn.

Dla zapracowanego Adamsa poranek na komisariacie po raz kolejny nie zaczął się najlepiej.

— A Garcia?

— Na urlopie.

— Ross?

— Na szkoleniu w Pittsburghu.

— Whitaker?!

— W sądzie! Będzie zeznawał w sprawie rzekomego pobicia przez policjantów tego zakłamanego smarkacza!

— Nie zrozum mnie źle, ale mam swoją robotę!

— Dalej niańczysz tę zakonnicę?

— Niestety. Po każdej odpowiedzi pojawiają się dwa nowe pytania. Jestem

prawie pewien, że się zabiła, ale nie wiem, dlaczego. Wszyscy, którzy mogliby coś wnieść do sprawy, milczą albo nie żyją. Po co dyrektor sierocińca, z którym nie rozmawiała od kilku lat, dzwoni do niej i to w noc, kiedy nasza ofiara postanawia się zabić? Coś tu śmierdzi.

— A ten dziennikarz? — dopytywał Goldwyn.

— Radcliff? Paul cały czas szuka, ale jak na razie nie znalazł nikogo o takim imieniu i nazwisku, kto pasowałby do profilu podejrzanego.

— A jeżeli nie pracuje w gazecie ani w telewizji? Może to jakiś wolny strzelec?

— Też już na to wpadliśmy. Od wczoraj Paul sprawdza każdego Roberta Radcliffa, który mieszka w Cleveland oraz w promieniu pięćdziesięciu kilometrów od miasta.

— Mówiłeś, że dzwonił do tego dyrektora. Sprawdźcie u operatora telekomunikacyjnego.

— Przejrzeliśmy bilingi. Dzwonił z budki we wschodniej części miasta. Wybrał taką, która nie była monitorowana przez żadną, nawet przypadkową kamerę.

— To u nas można jeszcze dzwonić z budki?

— Niestety, tak...

— A są jakieś ślady na kopercie, w której była dziecięca pornografia?

— Żadnych... Zdjęcia podobne do tych można dziś bardzo łatwo znaleźć w Internecie. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać.

— Skąd więc pewność, że nie ścigamy ducha?!

— Obawiam się, że tożsamość tego rzekomego dziennikarza jest zmyślona, ale nie zmienia to faktu, że ów człowiek istnieje. Ktoś musiał dzwonić do dyrektora sierocińca i prawdopodobnie ten sam ktoś rozmawiał z sąsiadem Dony Jonson.

— Hmm...

— Na początku odwiedza sierociniec i zostawia kopertę dla dyrektora. Wraca do miasta. Znajduje budkę, która nie jest monitorowana. Dzwoni do Granta i chce go nastraszyć. Potem jedzie pod dom zakonnicy. Pewnie chwilę obserwuje okolicę. Widzi sąsiada, który idzie pobiegać. *Przypadkiem* natyka się na niego i mówi, że szuka naszej ofiary.

— Macie portret pamięciowy?

— Dość wysoki, duże okulary przeciwsłoneczne, szatyn. Brak znaków

szczególnych.

— Świetnie się spisaliście. Z kręgu podejrzanych możemy wyeliminować kobiety. Ten opis jest gównem warty. Co dalej?

— Zakonnica wraca do domu. Chwilę później ktoś próbuje się włamać. Po kilku minutach pojawia się sąsiad. Twierdzi, że słyszał jakieś trzaski i jednocześnie informuje ofiarę o dziennikarzu, który jej szukał, aby pomówić o dawnych sprawach.

— Moment, moment. Czegoś tutaj nie rozumiem. Przed chwilą ktoś chciał się włamać, a ona, widząc sąsiada, mówi, że zamek się zaciął? To dlaczego nie powiedziała o włamywaczu i nie poprosiła o pomoc? Czytałem raport.

— Właśnie... Prawdopodobnie miała coś do ukrycia. Coś, co spaliła w kominku przed swoją śmiercią.

— Jakież papiery, może dokumenty albo...

— ...fotografie.

— Myślisz, że dostała od tajemniczego nieznajomego podobny pakiecik? Tak jak dyrektor?

— Obawiam się, że znacznie okazańszy. Na ścianach w przedpokoju było mnóstwo małych dziurek po pinezkach. Śledczy naliczyli ich ponad sto pięćdziesiąt.

— Jasny gwint!

— Na koniec nasza ofiara odbiera telefon od dyrektora Granta, który na podstawie otrzymanych materiałów żąda wyjaśnień. Jednej nocy zwałił jej się na głowę cały świat.

— Nie wytrzymała i podcięła sobie żyły — zakończył domysły Goldwyn.

— Tylko kto jej w tym pomógł i dlaczego?

— Gdy znajdziesz tego dziennikarza, to wszystko się wyjaśni, a tymczasem...

— Zapomniałem o jeszcze jednym. — Adams nie dał dokończyć kapitanowi. — W domu zakonnicy znaleźliśmy jedno zdjęcie, które ocalało. Przypadkiem widziałem takie samo w gabinecie dyrektora.

— Widziałem jego kopię w raporcie. Biorąc pod uwagę, że ma z dwadzieścia pięć lat, nie będzie zbyt pomocne. A ta książka... *ROCZNIKI*, czy jak jej tam?

— W środku były tylko puste kartki. Usunęła wszystkie zdjęcia i podpisy. Ta książka mogła być kluczem do całej sprawy...

— Tak. Jeżeli Carl Grant nie znajdzie zaginionego rejestru wychowanków, z czym pewnie nie będzie się spieszył, a my nie dopadniemy tego dziennikarza, który, na marginesie, nie zostawił żadnych śladów, to zostaje nam tylko to stare zdjęcie.

— Czyli prawie zakończyłeś śledztwo! — Ucieszył się kapitan.

— Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało.

— Posłuchaj... Nie mam nikogo innego, a sprawa jest delikatna... Bardzo delikatna... Dotyczy wpływowych ludzi, a jej rozwiązanie będzie dużym krokiem w stronę twojego awansu.

— Ale jeżeli coś spieprzę, to będą to dwa jeszcze większe kroki w tył...

— Nie gdybajmy... — odpowiedział wymijająco Goldwyn.

— Mam jakieś wyjście?

— Nawet kilka... Złożyć rezygnację, poprosić o przeniesienie, dostarczyć...

— Dobra... — przerwał detektyw. — Kogo ta sprawa dotyczy?

Odprawa trwała niecałe dziesięć minut. Kapitanowi spieszyło się, bo poinformowano go, że ciała ofiar mają być przewiezione na sekcję jeszcze dziś po południu. Za wszelką cenę chciał tam mieć swojego człowieka, o którego zresztą poproszono. Sprawa była najwyższej wagi — dotyczyła poważanych mieszkańców Cleveland i nikt nie miał zamiaru odwalać czyjejś roboty. Wszyscy potrzebowali kozła ofiarnego, który beknie za ewentualne niepowodzenie.

Gdy Adams opuścił miasto, ustawił tempomat i kątem oka czytał pobieżny opis miejsca zdarzenia. W myślach wysuwał pierwsze wnioski — mąż nakrywa żonę z kochankiem, zabija ją, potem jego, a na koniec strzela sobie w łeb. Nic prostszego, wystarczy napisać raport, pomyślał. Na pierwszy rzut oka sprawa nie wyglądała na skomplikowaną, ale wiedział, że właśnie takie na pozór niewymagające śledztwa, najczęściej przysparzają najwięcej trudności.

Po dotarciu do celu został ciepło przywitany przez funkcjonariusza pilnującego miejsca zbrodni.

— Hej! A pan gdzie?! — krzyknął policjant, widząc niewysokiego osobnika przechodzącego pod żółtą taśmą.

— Detektyw Adams. — Wyciągnął legitymację. — Podobno potrzebujecie pomocy.

— Aaa... odsiecz z Cleveland! W takim razie zapraszamy — rzucił sarkastycznie oficer i usunął się z drogi.

James Adams był już przyzwyczajony, że na początku nikt nie traktował go poważnie. Na szczęście powitanie miał już za sobą. Z identyfikatorem na szyi pomaszerował w kierunku głównego wejścia. Krzątający się wokoło technicy i funkcjonariusze w ogóle nie zwracali na niego uwagi. Bardzo mu to pasowało. Nie czuł się najlepiej na cudzym terenie, a sam doskonale wiedział jak to jest, gdy ktoś miesza się w nie swoje sprawy.

Minął białego Cadillaca i wszedł do willi. Na wejściu uderzył go gwar rozmów. Przed nim, w odległości trzech metrów, stała grupka pięciu policjantów, którzy żywo dyskutowali na temat wieczornego meczu.

Na górze trzy trupy, a tematem debaty jest sport, pomyślał Adams. Wokoło sami przyjaciele. Dobrze, że podatnicy tego nie widzą.

— Przepraszam, kim pan jest? — zapytał jeden z zebranych.

— Nazywam się Adams. — Potrząsnął legitymacją. — Prosiłicie o pomoc, więc jestem.

— A tak. Rzeczywiście... Jestem Blain. — Dowodzący akcją przywitał kolegę po fachu.

W tle usłyszał chichot pozostałych uczestników zgrupowania. Tylko czekał, aż ktoś wypali z kąśliwym komentarzem. Już nie mógł się doczekać, kiedy zaczną mu dogryzać.

— Tędy. Ciąła są na górze.

— Pozwoli pan, że najpierw rozejrzę się na dole?

— Nie ma problemu. Jeżeli będzie pan czegoś potrzebował, proszę wołać.

— Właściwie... już miałbym jedną prośbę...

— Tak?

— Niech wszyscy, którzy nie muszą tu być, wyjdą na zewnątrz. Zdaję sobie sprawę, że szukacie kozła ofiarnego, któremu poderzną gardło, jak coś się nie uda, ale jeżeli któreś ze śladów zostaną zanieczyszczone przez wasz zespół, to nie omieszkać wspomnieć o tym w moim raporcie. Rozumiemy się?

Mężczyźni natychmiast spoważnieli.

— Jasne — odburknął obojętnie głównodowodzący, któremu również zrzedła mina. — Słyszeliście... Nasz gość chce zostać sam. Wychodzimy!

No i zaczęło się, pomyślał Adams. Sam to sprowokował, ale wołał wyjść

na bufona niż na łajzę. Już wielokrotnie to przerabiał i takie rozwiązanie dawało zawsze lepsze efekty.

— Przepraszam... Czy drzwi były zamknięte, czy otwarte, gdy tu trafiliście?

— Administrator wszedł głównym wejściem. Powiedział, że drzwi były zamknięte na klucz. Zarówno te, jak i te na tyłach domu...

— Dzięki...

— Pocałuj mnie gdzieś — warknął pod nosem policjant.

— Słucham?

— Powiedziałem... powodzenia.

— Tak też mi się wydawało... ćwoku — dokończył w myślach Adams.

Wreszcie został sam. Na początku sprawdził kuchnię. Tyłne drzwi rzeczywiście były zamknięte. Przez szybę dostrzegł dwóch młodych mężczyzn szukających śladów na tarasie.

Na razie szło gładko. Wyglądało na to, że morderca miał klucz albo dostał się do środka inną drogą. Obszedł cały parter. W łazience dostrzegł otwarte okno. Na stoliku w salonie wypatrzył butelkę wina i dwa kieliszki. Z jednego ewidentnie piła kobieta — wskazywały na to ślady szminki.

Umiejętnie ominął porozrzucane ubrania przyozdobione złotymi numerkami i wszedł na piętro. Przez otwarte drzwi dostrzegł dwóch śledczych dokumentujących miejsce zbrodni. Już z daleka widział nagie ciało kobiety oraz zwłoki mężczyzny leżącego tuż obok niej. Pewnie wszedł do sypialni.

Na łóżku leżała trzecia ofiara. Był to nagi mężczyzna około pięćdziesiątki, do połowy przykryty poplamioną od krwi kołdrą. Głowę miał przekrzywioną, a na środku czoła — sporą dziurę. Jego twarz, pomimo drastycznego wyglądu, wydała się detektywowi dziwnie znajoma. W pamięci zaczął szukać pasującego wzorca.

— Detektyw Adams. Wydział zabójstw z Cleveland — przedstawił się, odpowiadając tym samym na pytające spojrzenia patologa i jego pomocnika. Skinęli głowami. — Nie przeszkadzajcie sobie — oznajmił, widząc, że zakłócił ich pracę. Gdy zbliżył się do ciał, zauważył pistolet leżący tuż obok bladej ręki kobiety. Po drugiej stronie łóżka dostrzegł kolejną broń. Cały czas próbował przypomnieć sobie nazwisko, które gdzieś mu uciekło. W końcu nie wytrzymał.

— Wiecie kim są ofiary?

— Ten kochaś — patolog wskazał na łóżko — to Bill Paxton.

O jasna cholera! Paxton. Sędzia stanowy Paxton. No jasne, przypomniał sobie Adams.

— Ten tutaj miał prawo jazdy wystawione na nazwisko Snyder.

— Snyder?

— Tak — potwierdził pomocnik.

Detektyw nie wierzył w to, co słyszy. W pierwszej chwili w ogóle nie zainteresował się kobietą. Dopiero teraz przyjrzał się jej zakrwawionej twarzy. Leżała przed nim pani prokurator, Samantha Snyder we własnej osobie.

Jasny gwint! Ten obok to musi być jej mąż! Toś mnie, bracie, załatwił, pogroził w myślach Goldwynowi!

Opuścił pomieszczenie. Natychmiast sięgnął po telefon i wybrał prywatny numer swojego szefa.

— Czy ty masz pojęcie, kogo tutaj mają?! — krzyknął do telefonu i wyszedł z sypialni.

— Powiedzieli, że kogoś z Cleveland... — skłamał kapitan. Od samego początku wiedział, kogo ta sprawa dotyczy.

— Kogoś? Nazwiska Snyder i Paxton coś ci mówią?

— Sędzia i pani prokurator. O cholera! — Arthur Goldwyn musiał udać zaskoczonego, ale całkiem nieźle mu to wychodziło. — A trzecia ofiara? Wspominali coś o trzech ciałach.

— Jest jeszcze jej mąż, który prawdopodobnie ich nakrył i zabił. W coś ty mnie wpakował?! Paxton i Snyder to sam szczyt prawniczego światka! Jeżeli do prasy przecieknie informacja, że sędzia utrzymywał zażyłe stosunki z panią prokurator, to będzie afera na cały kraj!

— Skąd miałem to wiedzieć?!

— Trzeba było najpierw zapytać... — Adams rozłączył się. Nie znosił kiepskich wymówek i niedopowiedzeń. Ta rozmowa nie mogła zakończyć się niczym dobrym, więc wyłączył telefon, dopóki jeszcze potrafił zapanować nad emocjami. Zrobił kilka głębokich oddechów. Odczekał chwilę i wrócił do sypialni.

— Dobra... Mówcie, co tutaj mamy.

— Ze śladów wynika, że tych dwoje — patolog wskazał na nagich kochanków — zginęło najpierw. Otwór wlotowy u kobiety znajduje się na

czubku głowy, a wylotowy w podbródku. Prawdopodobnie była na czworakach, kiedy padł strzał. Dodatkowy siniec i rozcięcie na policzku podpowiadają, jak się znalazła w tej pozycji.

— Uderzył ją, a następnie strzelił...

— Prawdopodobnie tak. Na rękojeści pistoletu są ślady krwi, co potwierdza tę teorię.

Adams przyjrzał się broni.

— A facet na łóżku?

— Podobna historia. Też dostał w czerep. Nie miał najmniejszych szans. Wygląda na to, że sam chciał sięgnąć po broń, czym zdenerwował tego tutaj — pokazał na Johna Snydera.

— Więc... to nasz zabójca.

— Jak widać... Na końcu facet strzela sobie w łeb.

— Trochę nietypowa rana... — Adams nachylił się nad trupem.

— To prawda — przytaknął patolog, zaskoczony spostrzegawczością detektywa. — Nie strzelił jak typowy samobójca. Większość wsadza sobie broń w usta i naciska spust. Kula często wychodzi przez gardło po drugiej stronie szyi. Przy odrobinie szczęścia biedny delikwent może coś takiego przeżyć.

— Raczej nieszczęścia... — dodał ironicznie Adams.

— Ten był bardziej zdeterminowany i opanowany. Włożył pistolet w usta i skierował broń wyżej — tak, aby na sto procent uszkodziła mózg. Piątka za skuteczność... Kula przechodzi przez tkanę, wyłamuje kości i wychodzi z tyłu głowy. Świetny pomysł, jeżeli chcesz się zabić i masz pistolet. Szansa, że cię poskładają, jest równa zeru. Wątpię, że w ogóle zdążył coś poczuć. Kawałki jego mózgu wciąż są na suficie, a kilka fragmentów również na...

— W porządku... Zrozumiałem — przerwał Adams. Już się napatrzył.

— Kto zginął najpierw?

— Kobieta.

— Skąd ta pewność? — detektyw podejrzewał, że coś mu umknęło.

— Bo ten w ubraniu miał przy sobie dyktafon. Nagrał ostatnie chwile przed morderstwem. Nie słyhać tylko samobójczego strzału.

— Gdzie ten dyktafon?

— Pewnie zabrali go razem z aparatem — oznajmił obojętnie pomocnik patologa.

— Chwileczkę... — Adams zbaraniał. — Jakim aparatem?

— Na tej szafce — mężczyzna postukał w drewniany blat — znajdował się aparat fotograficzny. Wyglądało na to, jakby ktoś umyślnie zarejestrował całe wydarzenie.

— Sprawdziliście go?

— Ci z wydziału zabrali dowody. Proszę zapytać detektywa Blaina, on dowodzi tą sprawą.

— Nie omieszkać tego zrobić — warknął Adams. — Do jutra chcę mieć pełny profil toksykologiczny wszystkich trzech ofiar. Moi ludzie skontaktują się z wami i powiedzą, gdzie przesłać wyniki badań i raport z sekcji.

— Oczywiście.

— Dziękuję za pomoc.

Zszedł na parter i opuścił willę, po czym odszukał głównodowodzącego. Tak jak i przedtem, stał w towarzystwie kilku sługusów i rozprawiali w najlepsze o wszystkim, tylko nie o tym, o czym powinni.

— Mówię wam... rude są najlepsze. Ostatnio spotkałem taką jedną i wyobraź sobie, że miała koleżankę. Zrobiliśmy to we trójkę, a gdy...

— Detektywie Blain?! — przerwał im.

— I jak, detektywie? Jakies postępy w śledztwie?

— Będą, jeżeli mi powiesz, gdzie przepadł aparat i dyktafon.

— A tak... Chłopcy już wcześniej spakowali część dowodów i zabrali je do laboratorium. Dopiero przed godziną dostaliśmy cynk, że ktoś się pojawi. Mamy kilku nadgorliwych techników, paru stażystów... Sam wiesz, jak to czasem jest.

— Nie, nie wiem i zupełnie mnie to nie interesuje. Te dwa dowody mają być na moim biurku w Cleveland do zachodu słońca i mam to gdzieś, czy pošlecie swoich nadgorliwych stażystów, czy przywieziecie mi je sami.

— Słuchaj, przemądrzały kurduplu! — Blain nie wytrzymał. Podeszedł do detektywa i pogroził mu palcem.

— To ty mnie posłuchaj! — warknął Adams. — Na górze masz trzy trupy, z czego jeden to sędzia stanowy, a babka była znaną panią prokurator w Cleveland. Wystarczy, że zadzwonię do mojego szefa i powiem, że rezygnuję z tego bajzlu, a całe to gówno wyląduje za twoim kołnierzem. Ja już teraz wiem, że będzie z tego niezła afery, bo obojętnie, w którą stronę potoczy się ta sprawa, i tak komuś się za nią oberwie. A jeżeli prasa dowie się, że do

zbadania sprawy zabójstwa dwojga wpływowych ludzi w tym kraju wyznaczyłeś bandę stażystów, a na miejscu zbrodni urządziliście sobie klub dyskusyjny, to wyrwą ci łeb razem z kręgosłupem. Będziesz miał szczęście, jak jaja pozostaną na swoim miejscu. Zostaniesz zdegradowany do krawężnika albo dyscyplinarnie wyleją cię na zbity pysk. Zrozumiałeś powagę sytuacji, czy mam ci to narysować?

Blain milczał. W myślach rozrywał na strzępy wymocзка stojącego przed nim, ale zdawał sobie sprawę z faktu, że chłystek ma rację. Z dwojga złego, wolał ugryźć się w język, przemilczeć to, co miał do powiedzenia i pozbyć się niewygodnej sprawy. Z trudem, ale opanował się. Zagryzł zęby, odwrócił się i odszedł w stronę kolegów.

— Do dokumentów nie zapomnij dorzucić zeznań wszystkich mieszkańców tego osiedla! — krzyknął na odchodne Adams, dobijając tym samym zarozumiałego oficera.

Tylko spokojnie, pomyślał Blain. Jeszcze najwyżej godzina i ten mały skurwiel wróci, skąd go przyгнаło.

CZWARTEK

Paul Bennet miał już dość. Pogoń za fikcyjnym Radcliffem, którą zlecił mu Adams, kosztowała go sporo zdrowia. Po trzydziestu godzinach nieustannej pracy, którą przerwał tylko na pięciogodzinny sen, padał ze zmęczenia. Obowiązki opłacił kłótnią z żoną i odartym samochodem — wąska alejka, którą postanowił skrócić sobie drogę na osiedle, okazała się jednak zbyt wąska. Zmęczony wzrok źle zinterpretował odległość pomiędzy metalowym słupkiem a betonowym murkiem.

I choć kolejny dzień dopiero się zaczął, młody funkcjonariusz nie nadawał się już do niczego. Półprzytomny siedział na krześle i gapił się na ekran monitora, jak na niezrozumiały obraz współczesnego artysty. Poranna kawa dawno przestała działać, a organizm domagał się snu. Zamknął oczy, tłumacząc sobie, że to chwilowe osłabienie.

Nagle ktoś trzasnął drzwiami. Zaspany aspirant podskoczył na krześle, jak rażony prądem. Nie wiedział dokładnie, co się stało. Poranek zaskoczył go bardziej niż się tego spodziewał. Zerknął na zegarek. Z godziny siódmej trzydzieści nieoczekiwanie zrobiła się ósma czterdzieści pięć. Zachodził w głowę, gdzie się podziało tych siedemdziesiąt pięć minut. Pierwszy raz zasnął w pracy. Dla niego było to zupełnie nowe doświadczenie.

— Dobrze, że jesteś! — ucieszył się Adams, wchodząc do biura, które od niedawna dzielił z nowym towarzyszem.

Bennet dopiero teraz domyślił się, co go obudziło.

— Szefie... — przywitał się.

— Wymagająca żona? — zapytał Adams, widząc ziewającego kompana.

— Wymagająca praca! — oburzył się.

— Czyli poznałeś już swoją kochankę...

— Nawet się z nią chwilę przespałem...

— To dobrze, bo czas wziąć się do pracy. Jak przebiegają poszukiwania tego dziennikarza?

— Dwa dni... Odarty samochód... Wkurzona żona i... nic.

— Przynajmniej wiemy, że ten facet najprawdopodobniej nie istnieje.

— Szkoda tylko, że zmarnowałem na to dwa dni.

— Nie zmarnowałeś. Dowiodłeś, że sprawa nie jest tak prosta, jak wszyscy na początku zakładali. Gdyby nie ty, to sam musiałbym się tym zająć.

Bennet chciał coś dorzucić, ale powstrzymał się. Słowne utarczki nie leżały w jego naturze, a widział, że zwierzchnik też nie ma najlepszego humoru.

— A jak było nad jeziorem? — zmienił temat.

— Szkoda gadać. Wczorom mieli mi dostarczyć dowody, a dziś rano zeznania świadków.

— I co?

— Jak widzisz... Na biurku, zamiast aparatu i dyktafonu, które zabójca podobno miał przy sobie, stoi kubek z kawą. Z kolei na mailu mam nową gazetkę z SEARS'A i kuszącą ofertę firmy sprzedającej klimatyzatory. A tak na marginesie... Zastanawiam się, czy z niej nie skorzystać. Banda amatorów!

Chwilę bezowocnej zadumy przerwał goniec, który przyniósł przesyłkę.

— To dla mnie? — zdziwił się Adams.

— Tak jest napisane na wierzchu — odpowiedział obojętnie osiemnastolatek i bez słowa opuścił biuro.

— Czyli mamy wolne popołudnie... — ucieszył się Bennet.

— Nigdy w życiu! Skontaktowałeś się z dyrektorem sierocińca, jak cię o to prosiłem?

— Tak. Powiedział, że po spotkaniu z panem jeszcze raz przekopał całe archiwum i swoje biuro, ale nie znalazł tego rejestru. Twierdził, że szukał

nawet w domu.

— Poczekaj, bo uwierzę....

— Podobno wygrzebał wszystkie wcześniejsze księgi, ale ta z lat osiemdziesiątych gdzieś przepadła. Wspominał coś o zalaniu archiwum w dziewięćdziesiątym dziewiątym. Może zawieruszyła się podczas akcji ratunkowej?

— Takie bajki to może opowiadać tym dzieciakom. *ROCZNIKI* zostały zniszczone, rejestr przepadł, a żadna z sióstr, które pracowały w sierocińcu w tamtych latach, już dawno tam nie pracuje. Co więcej, wszystkie, które udało nam się zidentyfikować, nie żyją. Bardzo wygodne, nie sądzisz?

— A rejestr pracowników?

— Kto trzydzieści lat temu spisywałyby zakonnice-wolontariuszki pomagające wychowywać dzieci?

— Nikt?

— Nie okłamujmy się. Nawet dzisiaj mało kto to robi...

— Jeszcze możemy spróbować popytać w samym klasztorze...

— Za chwilę nie pozostanie nam nic innego.

Adams usiadł przy biurku i spojrzał na kopię zdjęcia, które było kluczem do wszystkiego. Kim ty byłaś i co robiłaś z tymi dziećmi? — zastanawiał się. Odkładając fotografię na bok, niechcący trącił paczkę. Przypomnił sobie o przesyłce. Złapał dużą, grubą kopertę i potrząsnął nią. Oderwał zabezpieczenie i wyciągnął ciężką zawartość. W jego nozdrza wbił się zapach stęchlizny. Ściągnął brwi.

— Powiedziałeś, że archiwum sierocińca zostało zalane?

— Tak, dlaczego?

Detektyw nie odpowiedział. Zerwał się i pobiegł za gońcem. Dogonił go na schodach prowadzących na drugie piętro.

— Skąd wzięłaś tę przesyłkę?!

— Leżała na stosie razem z innymi.

— Nie widziałeś, kto ją podrzucił?!

— Nie, proszę pana. — Nastolatek wyraźnie przestraszył się szalonego wzroku oficera.

— Psiakrew! Dobra, zapomnij!

Adams w zamyśleniu wrócił do biura, gdzie zastał Benneta studiującego zawartość tajemniczej paczki.

— Czy pan wie, co to jest?!

— Wiem! To, czego wszyscy szukali!

Przed nimi leżał zaginiony rejestr. Na wierzchu miał kilka żółtawych plam i nie do końca czytelny opis, ale zawartość mówiła sama za siebie. Ślady na okładce i pożółkłe strony potwierdzały wersję dyrektora o zalaniu archiwum. Podekscytowany Adams powoli i ostrożnie zaczął przewracać kolejne kartki.

— Grant nie kłamał — zauważył Bennet.

— Nie chwał dnia przed zachodem słońca...

Na każdej ze stron znajdowały się dane innego dziecka — począwszy od daty jego przyjęcia do sierocińca, aż do adopcji albo ukończenia osiemnastu lat. Niektóre dzieci posiadały imiona i nazwiska nadane przez rodziców, którzy niespodziewanie odeszli, inne, pozostawione na progu, dyrektor nazywał sam. Było to zaznaczone i każdorazowo potwierdzone przez odpowiedniego urzędnika.

Na niektórych stronach, w lewym, górnym rogu, znajdowały się fotografie — zazwyczaj jedna, a czasem kilka, przedstawiające to samo dziecko w różnym wieku. Zdarzały się również kartki bez zdjęć. Już na pierwszy rzut oka można było zauważyć, że wykonywano je regularnie, ale w dużych odstępach czasu.

— Kto mógł to podrzucić? — zapytał zdumiony Bennet.

— Nie mam pojęcia, ale ktoś najwidoczniej świetnie się bawi.

— Tylko kto?

— A to co? — Wertując strony, Adams dotarł do miejsca, w którym data urodzenia jakiegoś chłopca była zaznaczona na żywozielono.

— To nie może być przypadek — zauważył aspirant.

— Zakreślenie wygląda na świeże. Spójrz na resztę strony... Napisy są wyblakłe, a kartka pożółkła.

— Chyba mamy wielbiciela.

— Raczej pomocnika — skorygował Adams. — Chce nam coś powiedzieć. Wrzuć dane tego chłopca do komputera. Może coś znajdziemy.

— Jasne...

Godzinę później byli już we wschodniej części miasta niedaleko Woodland Hills Park. Jechali obok kompleksu kilkunastu kortów tenisowych oraz siedmiu boisk do baseballa, gdzie młodzież mogła regularnie wyładowywać energię gromadzącą się w niej podczas wakacji.

— Zobacz. — Bennet skinął głową na dzieciaki beztrosko hasające na trawniku nieopodal placu zabaw. — Zazdroścę im. Nie mają pojęcia, co dzieje się wokół nich.

— Zazdrościsz im? Jeszcze kilka lat temu sam tu przychodziłeś.

— To prawda... Myśli pan, że coś nam powie, że będzie pamiętał? — Bennet zmienił temat.

— Musi. Sam powiedziałeś, że to jeden z chłopców ze zdjęcia.

— Powiedziałem, że jest podobny do jednego z nich, a to duża różnica. Zdjęcie jest nieostre, a twarze dzieci szybko się zmieniają.

— Ale lepszy taki trop niż żaden.

— Racja...

— Następny skręt... Soika Ave. To tutaj.

Wjechali na teren gigantycznego osiedla — kilkadziesiąt ulic, a przy każdej z nich po kilkadziesiąt domów — prawdziwa katorga dla listonoszy i zmora taksówkarzy. Z lotu ptaka ta regularnie zurbanizowana przestrzeń przypominała olbrzymią płytę główną z setkami układów scalonych połączonych w jedną, nierozzerwalną całość.

— Numer trzydzieści... Trzydzieści dwa... Jest! Trzydzieści cztery. To ten z brązowym dachem!

— Szybko, ktoś wyjeżdża. Zajedź mu drogę! — rozkazał Adams.

Aspirant dodał gazu, po czym gwałtownie zahamował, całkowicie tarasując podjazd.

Rozległ się klakson cofającego SUV-a.

Niewysoki detektyw wyskoczył ze służbowego auta i szybkim krokiem podążył w stronę poirytowanego kierowcy. Stał przy drzwiach z odznaką w dłoni. Zdębiał, gdy za kierownicą zobaczył młodą, piękną kobietę. Miała długie, wyprostowane blond włosy i mocny makijaż. Krwiste usta dodawały jej drapieżności. Nie tego się spodziewał.

Bennet wysiadł i oparł się rękami o dach nieoznakowanego radiowozu. Dostrzegł długie włosy osoby siedzącej na fotelu kierowcy.

— Cholerny karzełek. Znowu mu się poszczęściło — bąknął pod nosem.

— Pani Brown? Jestem... Nazywam się Adams i jestem detektywem — wyjąkał. — Może pani opuścić szybę?

Zdezorientowana kobieta na widok odznaki bez oporów wykonała polecenie.

— Co znowu zrobiłam? — rzuciła pretensjonalnie.

— Nic. Jestem tutaj w sprawie pani męża.

— A co on znowu zrobił?

— Też nic. — Adamsa wyraźnie rozbawiła mentalność kobiety.

— To po co pan tu jest?

— Chciałbym porozmawiać z pani mężem. Zastałem go?

— Ma pan szczęście. Właśnie przesadza krzewy za domem. Proszę iść obok tych białych róż. Nie można nie trafić.

— Dziękuję.

— A mógłby pan... — Pokazała na samochód blokujący podjazd. — Trochę mi się spieszy.

— Oczywiście... — Adams dał znak Bennetowi, aby ten przestawił wóz, a sam poszedł we wskazanym kierunku. Nie mógł wyjść z podziwu, jak równo przystrzyżony trawnik i kilkanaście krzewów białych róż może odmienić obejście. Nietypowy korytarz wyglądał jak z bajki.

Z każdym krokiem widok coraz bardziej zadziwiał detektywa. Przy wejściu do imponującego ogrodu przywitały go różne gatunki ozdobnych, wysokich traw. Przypominały parawan oddzielający dwa światy. Każdy element ogrodu, począwszy od najdrobniejszego kamienia, a skończywszy na olbrzymiej sośnie rosnącej na końcu, przy samym ogrodzeniu, miał swoje miejsce.

Na środku znajdowało się czterometrowej średnicy oczko wodne, w którym grasowały pomarańczowe potwory. Wokoło niego, na płaskich kamieniach, świetnie czuły się mchy. Przy płocie płożyły się gałęzie barberysu, trzmieliny i szczodrzeńca. W kilku miejscach rosły krzewy ambrowca, czeremchy, milinu i tulipanowca. Na pięknie zielonym trawniku stworzono kamieniste oazy dla tulipanów, róż, aksamitek, hortensji i piwonii. Wydawało się, że ich ułożenie jest przypadkowe, ale w rzeczywistości niczego nie pozostawiono tu przypadkowi. Każdy element tego magicznego miejsca był gruntownie przemyślany i pielęgnowany z największym oddaniem.

Cały teren był poprzecinany ścieżkami wysypanymi śnieżnobiałymi, drobnymi kamieniami. Na końcu jednej z nich, przy północnym ogrodzeniu, pracował gospodarz i jednocześnie twórca tego niezwykłego zakątka.

Adams zatrzymał się przy oczku i odetchnął pełną piersią. Powietrze w tym miejscu było jakby inne, lżejsze i pozbawione codzienności. Ogrodnik

jeszcze go nie zauważył. Detektyw poczuł lekkie zażenowanie, zdając sobie sprawę, że musi przeszkodzić wirtuozowi, który właśnie pracuje nad stworzeniem nowej symfonii barw i zapachów. Sam starał się być perfekcjonistą i potrafił docenić bratnią duszę. Ostatecznie jednak przemógł się.

— Przepraszam... Czy pan Brown?! — zawołał.

Mężczyzna drgnął. Odwrócił głowę i zmierzył przybysza przeszywającym wzrokiem. Ktoś właśnie wtargnął na jego teren. Mocnym pchnięciem wbił łopatę w ziemię i zaczął wolno, nieufnie iść w kierunku nieoczekiwanego gościa.

— Pan Oskar Brown?

— Tak, to ja. W czym mogę pomóc?

Był bardzo dobrze zbudowany i miał prawie dwa metry wzrostu. W szarym, ubrudzonym od ziemi, roboczym kombinezonie i w czarnych rękawiczkach stanął przed policjantem, przesłaniając mu słońce.

— Nazywam się James Adams i jestem detektywem. Pracuję w tutejszym wydziale zabójstw. Prowadzę śledztwo w sprawie śmierci Dony Jonson. Czy znał pan tę kobietę?

Olbrzym nie zareagował. Nawet nie drgnął. Adams wyczuł, że coś jest nie tak. Chwila ciszy trwała zbyt długo.

— Nie znam — oznajmił oschle.

— Może to odświeży panu pamięć. — Wyciągnął z kieszeni zdjęcie ofiary leżącej w wannie wypełnionej mieszaniną wody i krwi.

Oskar Brown wyprostował się i zmrużył oczy. Adams mógłby przysiąc, że dostrzegł delikatny uśmiech na jego twarzy.

— Przykro mi, ale nie będę w stanie panu pomóc. A teraz, jeżeli pan pozwoli, odejdę do swoich zajęć.

— Oczywiście, panie Grey. Dziękuję za poświęcony czas.

Ogrodnik poczuł uderzenie gorąca. Pomimo imponującego wzrostu, nagle jakby skurczył się do wielkości małych kamyków, które miał pod stopami. Detektyw natychmiast urósł w jego oczach.

Już dawno nikt się tak do niego nie zwrócił. Ostatni raz usłyszał to nazwisko na progu sierocińca, gdy opuszczał to przygnębiające, a jednocześnie dziwnie wesołe miejsce. Ten dzień zadecydował o jego przyszłości. Otrzymał nowe nazwisko i nowe życie. Wszystko, co wydarzyło

się do tego momentu, wymazał z pamięci, a przynajmniej tak myślał. Teraz, w ciągu ułamka sekundy, demony powróciły. Miał wrażenie, że detektyw, wypowiadając zakazane nazwisko, kradnie mu tożsamość, odbierając dotychczasowe życie i zmuszając go do powrotu do miejsca, które dla niego przestało istnieć.

— Gdzie to wygrzebaliście? Zresztą... Głupie pytanie. — Zdjął rękawice i usiadł na brzegu oczka. Proste cztery litery *G-R-E-Y* znowu ułożyły się w rzędzie i zmieniły rosłego mężczyznę w zagubione dziecko. Siedząc na płaskim kamieniu, rękami obejmował kolana. Panicznie bał się powrotu do przeszłości.

— Będę z panem szczerzy i liczę na to samo. — Adams niespodziewanie usiadł obok Browna. — Jak już wspomniałem, prowadzimy śledztwo w sprawie śmierci Dony Jonson. Wiele lat temu pracowała w sierocińcu, w którym spędził pan kilka lat życia.

Nie odpowiedział.

— Podejrzewamy samobójstwo, ale ślady wskazują na to, że ktoś mógł jej w tym pomóc. Poszlaki zaprowadziły nas donikąd. Chodzimy w kółko. Pan jest naszą ostatnią nadzieją.

— Dlaczego ja?

— Bo tylko pana udało nam się rozpoznać na tym zdjęciu. — Detektyw położył na trawie fotografię przedstawiającą zakonnicę otoczoną grupką małych dzieci.

Brown zagryzł zęby i zaczął się lekko kołysać w przód i w tył.

— Proszę to zabrać!

Adams natychmiast schował zdjęcie. Wolał nie ryzykować. Postanowił zagrać w otwarte karty.

— Panie Brown... Wiem, że doświadczył pan wielu krzywd w tym miejscu, ale osoba, która je wyrządziła, nikogo już nie skrzywdzi. Ma pan na to moje słowo!

Olbrzymowi łza spłynęła po policzku. Pociągnął nosem i wytarł rękawem twarz.

— Gównu wiecie! — odezwał się nagle. — Myślicie, że śmierć tej baby przywróci nam spokój? Powiedz to małemu Alanowi, Simonowi i Benny'emu. Jasna cholera! Przecież oni nikomu nie zawinili, a musieli zginąć!

— Co ma pan na myśli?

— Nie zrozumiecie tego! Nikt nie zrozumie, kto nie był w tym bidulu.

— Masz rację, nie byłem tam — Adams za wszelką cenę chciał podtrzymać rozmowę — ale podobnie jak ty, wierzę, że każdemu należy się sprawiedliwość! Chcę wam pomóc, ale bez informacji, które posiadasz, prawda nigdy nie wyjdzie na jaw.

— Prawda?! Jaka prawda? To wszystko było jednym wielkim kłamstwem! Wzięli mnie z ulicy i powiedzieli, że wszystko będzie dobrze, że... będzie lepiej. I na początku tak było. Ciepłe łóżko, regularne posiłki i zabawa z kolegami. Wie pan, co jest największym grzechem ludzkości?

Oficer pokręcił głową.

— Nieświadomość. — Mężczyzna podniósł się i stanął pomiędzy rabatkami.

— Większość ludzi jest jak tulipany — łagodne, proste łodygi, duże, bujne liście. Wystarczy o nie regularnie dbać, podlewać, a będą tak piękne jak dziś. Ja... My jesteśmy jak róże — więksi, mocniejsi psychicznie, twardsi. Ale wie pan, na czym polega problem róż?

— Kolce?

— Kolce... Czegokolwiek byś nie zrobił, jakkolwiek nie zadbasz o te kwiaty, zawsze wyrosną kolce, którymi piękna, ukształtowana roślina kłuje otoczenie i nie pozwala zbliżyć się innym. Podobnie jak ona ma to zakodowane w DNA, tak i my zostaliśmy ukształtowani przez kogoś innego. Na litość boską... Skąd mieliśmy wiedzieć, że ona robi nam krzywdę, skoro nikt nam o tym nie powiedział!

Adams wstał, podszedł do Browna i położył dłoń na jego ramieniu.

— Mogę się tylko domyślać, co wam robili, ale jeżeli chcesz to zachować dla siebie, to powiedz mi chociaż, kto jest na tym zdjęciu. Pozwól mi powiedzieć pozostałym, że osoba, która ich skrzywdziła, nikogo już nie dotknie!

Olbrzym rozplakał się jak dziecko. Po dwudziestu pięciu latach zrzucił z siebie ciężar, który dźwigał przez całe życie.

— Myśmy nikomu nie zawinili! Rozumiesz to?! Nikomu!

— Pozwól mi ukarać ludzi odpowiedzialnych za to wszystko! Kto jeszcze był w to zamieszany? Dyrektor? Inne zakonnice? Oskarze, pomóż mi! Daj mi trop, którym będę mógł podążać.

— To wszystko jest takie skomplikowane...

— Mam czas i chętnie posłucham.

Gospodarz usiadł na ziemi ze skrzyżowanymi nogami — dokładnie tak samo, jak dwadzieścia parę lat temu, kiedy razem z pozostałymi kolegami zbierali się pod dużym drzewem i czekali na kolejną bajkę o smokach, rycerzach, magii i baśniowych krainach. Uspokoił oddech. Poczuł, jak żal ściskający mu gardło powoli ustępuje.

— Pamiętam, jak któregoś mroźnego poranka, gdy staliśmy w poczekalni razem z kolegami, przemknęła obok nas siostra Anna, trzymając na rękach małego Alana. Nazywaliśmy go Małym, bo był o głowę niższy od każdego z nas. Piekielnie bał się *badań*, które przeprowadzała siostra Dona. Próbowaliśmy go uspokajać, tłumaczyć, że to nic takiego, ale on wiedział swoje. Już wtedy był mądrzejszy od nas wszystkich razem wziętych.

Adams natychmiast domyślił się, o co chodzi.

— Któregoś dnia nie wytrzymał i uciekł z poczekalni. Mark chciał go zatrzymać, ale ten mu się wyrwał. Ostatecznie uciekli razem, ścigani najpierw przez siostrę Donę, a później również przez dyrektora. Nikt z nas dokładnie nie wiedział, co się stało tamtego dnia, ale to był ostatni raz, gdy widzieliśmy małego Alana żywego. Kilka dni później powiedziano nam, że zmarł na zapalenie płuc.

— A ten drugi?

— Mark? Gdy do nas wrócił, był cały brudny, posiniaczony, poraniony i trząśł się jak galareta. Wyglądał strasznie. Nie wiedział, co się dzieje. Długo chorował. Przez ten czas całkowicie zamknął się w sobie, aż w końcu nagle zniknął. Któregoś dnia po prostu przepadł jak kamień w wodę. Powiedziano nam, że został odesłany do szpitala i że niebawem wróci, ale już nigdy go nie zobaczyliśmy. Tam szybko zapominało się o kolegach z pokoju... Jedni przychodzili, drudzy odchodzili...

— Mogę sobie wyobrazić. Wspomniałeś jeszcze o dwóch innych chłopcach, którzy zmarli.

— Simon i Benny? Pamiętam ich. To były niezłe gagatki. — Uśmiech wykrzywił mu usta. — Mieli ciężkie charaktery. Trafili do sierocińca w wieku czterech lat, prosto z ulicy. Zupełnie nie pamiętali rodziców. Może i byli braćmi, ale tego też nie wiedzieli. Szybko się z nimi dogadałem i staliśmy się prawie nierozłączni.

Adams wyjął notatnik i zapisał imiona kolegów.

— Gdy nadchodził czas zabawy, zawsze wymykaliśmy się opiekunce i

pędziliśmy nad małe jezioro znajdujące się sto, może dwieście metrów od budynku, za linią gęstych drzew. Był tam długi, stary pomost, na którym bawiliśmy się w piratów. Patyki służyły za szable, a okrągławe liście za przepaski na oczy. Ten, kto przegrał, czyli upuścił broń albo mu się złamała, odpadał. Zwycięzca potyczki mógł zepchnąć pozostałych z pomostu do jeziora. Nie pamiętam, ile razy dostaliśmy za to burę.

— Ale co dobre, szybko się kończy — wtrącił policjant.

— Niestety... Któregoś dnia, gdy czekałem na nich w lesie w umówionym miejscu, przybiegli zdyszani i powiedzieli, że widzieli nagiego dyrektora i dwie siostry, jak obejmowali się w gabinecie. Pamiętam to jak dziś. Benny twierdził, że dyrektor przesuwiał siostrą po stole w te i z powrotem, a jak ich zobaczyli, natychmiast zaczęli się ubierać. Simon zapytał, czy nie wiem, co to oznacza. Wyobrażasz to sobie? — zwrócił się do detektywa. — Chcieli mnie namówić, żebym z nimi poszedł i sam zobaczył, ale było za późno. Usłyszeliśmy wołanie i musieliśmy wracać. Gdy wszyscy się zebrali, dyrektor wyszedł przed budynek i szepnął coś na ucho siostrze Annie. Poprosiła wszystkich, aby poszli do swoich pokoi. Wszystkich, oprócz Simona i Benny'ego. Mieli zaczekać na dole. Zakłamana zakonnica powiedziała nam potem, że pojawiła się rodzina i zostali adoptowani, ale nigdy w to nie uwierzyłem. Wtedy, przed budynkiem, zobaczyłem ich po raz ostatni.

Adams pozostał bez słowa. Było upalnie, ale to, co usłyszał, zmroziło mu krew w żyłach. Teoria o molestowaniu osieroconych dzieci mogła okazać się wierzchołkiem góry lodowej.

— Wspomniałeś, że jedną z ówczesnych opiekunek była siostra o imieniu Anna. Czy ona też was...

— Obmacywała? Nie... Ona była najlepsza z nich wszystkich. Opowiadała nam bajki, przytulała nas na dobranoc i pocieszała, gdy stało się coś złego. Nie wiem, czego dopuszczała się za naszymi plecami, ale w moim odczuciu była dobrą osobą. Zupełnie nie pasowała do reszty.

— Wiesz, gdzie mógłbym ją znaleźć?

— Nie mam pojęcia...

Nastąpiła chwila ciszy.

— Ale jeżeli pokaże mi pan jeszcze raz to zdjęcie, to postaram się pomóc.

Adams natychmiast wyciągnął je z kieszeni. Brown z sentymentem ogarnął wzrokiem dawnych towarzyszy.

— Ten na samym początku, najniższy, to mały Alan. Obok niego stoi Mark. Dalej... — powiódł palcem w lewo — tego nie pamiętam. Potem jestem ja. Ci dwaj to Benny i Simon — wskazał na twarze po prawej.

Detektyw skrupulatnie notował każde imię, wraz z opisem miejsca na zdjęciu.

— Ten nazywał się.... — Szukał w pamięci, ale natknął się jedynie na pustkę. — To chyba Michael... Przepraszam. To było dwadzieścia pięć lat temu.

— Spokojnie. Rozumiem.

— Jeżeli zostawi mi pan tę fotografię, to postaram się zidentyfikować kogoś jeszcze.

— Oczywiście. Będę bardzo wdzięczny.

Mężczyzna podniósł się z ziemi. Znowu był wyższy od policjanta. Odzyskał pewność siebie. Ta jedna rozmowa pomogła mu bardziej niż roczna terapia u psychologa, jaką odbył w dzieciństwie, tuż po adopcji.

Adams również wstał.

— Nie chciałbym naciskać, ale w razie czego, będzie pan w stanie powtórzyć to wszystko jeszcze raz pod przysięgą?

— Na to proszę nie liczyć. Ten fragment przeszłości zostawiłem za sobą. Nie chcę, żeby wdarł się do mojego obecnego życia. To mogłoby zniszczyć wszystko, co do tej pory osiągnąłem.

— Rozumiem — powiedział smutnym głosem detektyw. — Dziękuję za pomoc. Dowiedziałem się znacznie więcej, niż zakładałem.

Pożegnali się i Adams ruszył w stronę samochodu.

— Detektywie... — zawołał na odchodne gospodarz. — To my dziękujemy...

Niepozorny stróż prawa skinął głową i zniknął za parawanem z traw.

Tymczasem wycieńczony Bennet w najlepsze spał w samochodzie. Obudził go dopiero szcęk klamki. Otworzył szeroko oczy i ziewnął. Przeciągnął się, poprawił w fotelu i uruchomił silnik.

Adams westchnął i zapiął pas.

— I jak poszło?

— Lepiej niż myślałem. Facet opowiedział mi niesamowitą historię, ale nie ma szans, żeby zaciągnąć go na salę sądową.

— Więc wracamy do punktu wyjścia?

— Bynajmniej! Jesteśmy bliżej celu, niż ci się wydaje. Jedź na komisariat. Kochanka wzywa. Musimy jeszcze raz dokładnie przejrzeć rejestr.

PIĄTEK

Błogą ciszę w domu na Franklin Bulv. przerwał głośny łomot. Ktoś, jak opętany, walił pięścią w drzwi i szarpał za klamkę.

— Maison! Maison! Twój samochód stoi na podjeździe! Wiem, że tam jesteś! Otwieraj, bo wyważę drzwi! Nie zmuszaj mnie do zrobienia czegoś, czego później będę żałował! Maison!

Nerwowy osobnik dostrzegł cień poruszający się za mrożoną szybą. Opanował się na chwilę i pozwolił domownikowi otworzyć drzwi. Gdy tylko usłyszał odgłos przekręcanego klucza, nacisnął klamkę i barkiem naparł na drzwi. Najstarszy z chłopców — Mike, dostał nimi i tracąc równowagę, poleciał do tyłu. O mały włos nie upadł. W ostatniej chwili przytrzymał się szafki w przedpokoju. Gdy się odwrócił, napastnik stał już obok niego. Złapał go za koszulkę i przyciągnął do siebie.

— Mów, gdzie twój stary, bo inaczej pożałujesz, że się urodziłeś! — wycedził przez zęby.

Szałeństwo w oczach, napięte mięśnie, tatuaż na ramieniu, blizna na twarzy, ubrudzony podkoszulek, zapach potu i nieświeży oddech. Chłopakowi nie trzeba było powtarzać. Ruchem gałek ocznych wskazał na schody.

Napastnik puścił go, popychając jednocześnie na podłogę. Złapał za poręcz i kilkoma potężnymi susami dostał się na piętro.

Chłopak wstał i co sił w nogach popędził na dwór. Może wreszcie ktoś, raz na zawsze, rozwiąże jego problemy, pomyślał.

Oprych wolno posuwał się naprzód.

— Hej, kici, kici, kici, kici... Wiem, że tu jesteś. Pokaż się, a nikomu nie stanie się krzywda. — Zza pleców wyciągnął nóż.

Po lewej stronie otworzyły się drzwi. Napiął mięśnie, przygotowując ciało do ataku. Gdy zobaczył ubranego w piżamę chłopca z misiem w dłoni, schował nóż i przykucnął.

— Cześć, mały! Jak ci na imię?

— Bryan — odpowiedział nieufnie pięciolatek i cofnął się. Rodzice nauczyli go, aby nie rozmawiał z obcymi, ale czy ktoś w ich domu mógł być

obcym?

— Ile masz lat?

— Pięć.

— A gdzie twój tatuś?

— O tej porze zawsze pracuje w swoim pokoju i nie wolno mu przeszkadzać.

— Bryan... Wróć do siebie i zamknij drzwi! — rzucił groźnie William Maison, który nagle znikąd pojawił się na korytarzu.

— No proszę. Dziękuję, że pomogłeś mi go znaleźć. Super z ciebie gość. — Podejrzany typ poczochnął chłopcu włosy. — Przybij piątkę! — Wyciągnął rękę, a dzieciak z całej siły przyklasnął w jego dłoń.

— Bryan, do pokoju! — powtórzył zdesperowany ojciec.

— A czy ten pan będzie mógł się ze mną później pobawić?

— Właśnie, Williamie? Pozwolisz mi pobawić się z twoim synem?

— Może później, skarbie — zwrócił się do chłopca. — Najpierw tatuś musi porozmawiać z tym panem.

— Szkoda. — Pięciolatek ze skwaszoną miną wrócił do siebie i zamknął drzwi.

W tym momencie napastnik zerwał się i rzucił na gospodarza. Złapał go za koszulę i przygniół do ściany.

— Taki z ciebie chojrak, że zasłaniasz się małymi dziećmi? — Szarpnął go i pchnął do gabinetu. Maison uderzył głową o biurko i majacząc, upadł na dywan. Pierwszy raz w życiu zobaczył przysłowiowe gwiazdy.

Oprych spokojnie zamknął drzwi i przekręcił klucz. Nigdy nie skrzywdziłby dziecka. Chciał tylko odzyskać to, co do niego należało. Aby dodać sytuacji nieco powagi, zaczął bawić się nożem.

— Myślałeś, że jak nie zapłacisz, to po prostu zapomnę o tobie?

— Powiedziałem, że oddam te pieniądze!

— Nie chrzań! — Kopnął bankiera w brzuch.

Maison jęknął i zakaszłał, zwijając się w pól.

— W zeszły piątek powiedziałeś, że za tydzień otrzymam pieniądze. Wybacz — przykucnął przy nim — ale coś mnie tknęło i postanowiłem osobiście dopilnować terminu. Chyba nie masz mi tego za złe?

— Oczywiście, że nie...

— To dobrze, że się rozumiemy. A teraz przejdźmy do sedna. Gdzie...

moja... forsa?! — wykrzyczał mu w twarz.

— Na dole... Mam ją na dole! — krzyknął rozpaczliwie, zasłaniając się rękami.

— Gdzie na dole?!

— W piwnicy. Jak tylko mnie wypuścisz, to ci ją przyniosę.

— Chyba pan sobie ze mnie żartuje, panie Maison. Nie jestem hazardzistą jak pan! Kto to może wiedzieć, co panu strzeli do tej obitej główki... — Przyłożył nóż do rozcięcia na skroni. Końcówka połyskującego ostrza zabarwiła się na czerwono.

Ofiara syknęła z bólu.

— Nie jestem głupi, przystojniaczku. Razem pójdziemy po szmal i módl się, żeby tam był, bo inaczej przefasonuję ci buźkę tak, że ani żona, ani dzieci nie będą w stanie cię rozpoznać! Zrozumiałeś?

— Tak...

— A propos dzieci... Nie zapominaj, że obiecałem małemu Brayanowi zabawę. Chyba nie chciałbyś, żeby podczas niej stała mu się jakaś krzywda...

Przerażony ojciec pokręcił głową.

— To dobrze, że się rozumiemy. A teraz wstawaj. Urządzimy sobie mały spacer. — Schował nóż i wyciągnął pistolet. Szarpnął mężczyznę, podnosząc go z ziemi i pchnął w stronę drzwi.

— Proszę, schowaj broń. Nie będę nic kombinował. Dzieci niczemu nie zawiniły. Nie chcę, żeby oglądały ojca z pistoletem przy głowie. I tak nie mam dokąd uciec, a rodziny nie zostawię. Proszę... Dam ci dziesięć procent więcej niż się umawialiśmy.

Napastnik zbliżył się do dłużnika.

— Kuszące... — szepnął mu na ucho, przystawiając do szyi nóż. — W porządku, ale jeden fałszywy ruch i jesteś trupem.

— Dziękuję...

Wyszli na pusty korytarz.

— Dalej... Na co czekasz? — Rękojeścią noża szturchnął ofiarę w żebra.

W milczeniu pokonywali kolejne metry. Zeszli po schodach i skręcili w stronę kuchni.

Maison zabrał klucz w kształcie słonia wiszący na haczyku obok lodówki. Gdy zatrzymali się w wąskim korytarzu naprzeciwko białych, drewnianych drzwi, poczuł twardy przedmiot wbijający mu się w plecy. Odwrócił głowę.

— Chyba śniesz, jeżeli myślisz, że zejdem tam, nie mając w ręce broni. Nie martw się. Postaram się, aby nikt jej nie zobaczył. — Jeszcze mocniej przycisnął ją do pleców dłużnika.

Drzwi zaskrzypiały, ukazując stare schody.

— Gdzie światło?

— Na dole, po lewej stronie.

Napastnik rozejrzył się w poszukiwaniu włącznika. Obawiał się zasadzki.

— Dobra. Tylko spokojnie, po jednym kroczku!

Zaczęli wolno schodzić. Otoczenie stawało się coraz ciemniejsze. W pewnej chwili oprawca zdał sobie sprawę, że praktycznie nic nie widzi. Z prawej strony doszedł do niego jakiś stukot. Skrzypiące schody i uginające się deski zaczynały go poważnie martwić.

— Gdzie ten cholerny włącznik? — warknął.

Nie wiedział, że należy iść po lewej stronie. Stał mocno, szukając w ciemności oparcia dla stóp. Nagle rozległ się głuchy trzask. Zniszczona przez korniki deska nie wytrzymała naprężenia i pękła pod jego ciężarem. Wypuścił broń, ratując się przed upadkiem. Ostre kawałki drewna bez trudu przecięły cienki materiał oraz skórę. Wbiły się w ciało i zaklinowały nogę w powstałej szczelinie.

Napastnik wrzasnął z bólu. Zupełnie zapomniał o pieniądzach, ofierze i otaczającym go świetle. Poczul, że zaczyna tracić przytomność. W ostatniej chwili przełożył ciężar ciała na zdrową kończynę i ból nieco zelżał. Wróciły mu zmysły. Opierając się o niższy schodek, rękami próbował uwolnić poharataną nogę, ale każdy ruch generował nową falę porażającego bólu. Drewno wbijało się coraz głębiej i głębiej. W końcu zaprzestał bezowocnych prób. Bezruch był chwilowo najlepszym rozwiązaniem. Spojrzył w dół. Bezpośrednio pod nim znajdowała się plama jego własnej krwi.

— Maison?! Maison?! Gdzie jesteś, do cholery?! Pomóż mi!

— Tutaj. — Gospodarz wyłonił się z mroku z pistoletem w dłoni.

— Tylko spokojnie! Słuchaj... Wiem, że potrzebujesz pieniędzy. Mogę darować ci część długu! Dogadajmy się...

W przeciągu kilku sekund bandyta stał się ofiarą i odwrotnie.

— Przychodzisz do mojego domu, straszysz moje dzieci i jeszcze się targujesz. Bezczelny z ciebie typ. Nie wiem, co mnie tknęło, żeby pożyczyć od ciebie pieniądze.

— Dobra, zostaw sobie wszystko i zapomnijmy o tym incydencie! Tylko błagam... pomóż mi uwolnić nogę.

— A za kilka dni znajdziesz mnie w jakimś zaułku i załatwisz?

— Nie... Przysięgam, że zostawię cię w spokoju.

— Nie uważasz, że ból to fantastyczne narzędzie motywacyjne? — zauważył Maison.

— Co...? — Mężczyzna skrzywił się. Powoli tracił zdolność logicznego rozumowania.

— Zobacz, jakie to wszystko proste. Przed chwilą ciskałeś mną po moim własnym domu, a chwilę później stałeś się potulny jak baranek. To niesamowite, jak drobne okaleczenie i niekomfortowa sytuacja potrafią odmienić ludzki charakter. Pomyśl... Kilka minut dziennie i strach przed kolejnym cierpieniem. Więcej nie potrzeba. Daj mi parę tygodni, a sprawię, że staniesz się innym, lepszym człowiekiem.

— Ty chory sukinsynu... Jeżeli mnie nie uwolnisz...

Maison złapał na unieruchomioną nogę i lekko pociągnął w dół.

Niewielki ruch spowodował potworny, kłujący ból. Fragment rozerwanej nogawki zmienił kolor na ciemniejszy. Na podłogę pociekł strumień cuchnącego moczu przemieszanego z krwią.

— Dobra! Przepraszam! Masz rację! Zmienię się, ale najpierw mi pomóż!

— Sam widzisz, jak to działa... Prosty mechanizm oparty o podstawowy bodziec naszego ciała. Po co prosić, pouczać, zabraniać, tłumaczyć... Wystarczy pociągnąć i efekt jest ten sam...

— Rozumiem... Zmienię się i nauczę inaczej żyć. Tylko mnie uwolnij... Proszę...

— Przykro mi, ale dla ciebie zabrakło miejsca w mojej klasie.

William Maison złapał oburącz za poszarpaną nogę ofiary i pociągnął najmocniej, jak tylko potrafił. Rozległ się głośny trzask, któremu towarzyszył potworny krzyk. Kolejne dwie deski nie wytrzymały i pękły. Osiemdziesięciokilogramowy mężczyzna runął na posadzkę, uderzając o zakrwawiony beton. Dało się słyszeć trzask kości, które nie wytrzymały starcia z twardym podłożem.

Morderca przykucnął i zaczął dusić ledwie żywego windykatora.

— Miałem dobre przeczucie, żeby nie naprawiać tych schodów. Straciłem trzy deski, ale zyskałem dwadzieścia tysięcy. Niezły interes! — Ciężko

stwierdzić, czy mówił do siebie, czy do ofiary. Po minucie zwolnił uścisk i wstał. — Teraz szybko. Trzeba posprzątać, zanim wróci Steph. Dobra... Najpierw schody.

Z pomieszczenia obok zabrał kilka desek, młotek, wkrętarkę i wkręty. Rama schodów była nienaruszona, więc cała operacja nie trwała zbyt długo. Usunął połamane deski i zastąpił je nowymi, które już kilka miesięcy wcześniej przyciął na odpowiedni wymiar. Po trzydziestu minutach schody były jak nowe.

— A teraz pora na pana...

Pobiegł na parter. Z kuchni zabrał rękawiczki, folię śniadaniową, taśmę do pakowania, worki na śmieci, papierowe ręczniki, a z łazienki wybielacz. Tak zaopatrzony wrócił do piwnicy.

Na początek, używając taśmy, owinął ranną nogę, aby zatamować krwawienie. Poszedł po folię malarską i rozwinął ją na podłodze obok ciała. Przeturlał na nią zwłoki i ułożył je w pozycji na wznak. Uniósł zdrtwiałe nogi i obwiązał je folią śniadaniową, a następnie zabezpieczył taśmą. Podobnie postąpił z rękami — przymocował je do tułowia. Stworzył w ten sposób coś na wzór kokonu. Tylko głowa pozostała wolna. Urwał kilka listków ręcznika i wsadził je ofierze do ust.

Tak przygotowane zwłoki zawinął w folię malarską i kilkakrotnie przewiązał taśmą co dwadzieścia centymetrów.

— Raz... dwa... trzyyy...

Z trudem zarzucił martwego osobnika na plecy i przeniósł go do ostatniej piwnicy. Ciało ułożył na starym stole obok sanek, nart i sterty zużytych, zimowych opon przeróżnych marek i rozmiarów.

— Tylko się nie wierć, bo spadniesz! — ostrzegł i wrócił w okolice schodów. Za pomocą ręczników i wybielacza usunął tyle krwi, ile się dało. Pozostałą część płynu wylał bezpośrednio na płamę w nadziei, że żrący środek, podobnie jak krew, wsiąknie w beton i upora się z DNA ofiary. Połamane, zakrwawione deski oraz papierowe ręczniki i winylowe rękawiczki upchnął do jednego worka i wrzucił go do piwniczki, gdzie wcześniej ułożył ciało. Zamknął drzwi na kłódkę. Po zabezpieczeniu wejścia wrócił na górę.

Gdy wieształ mosiężny klucz obok lodówki, usłyszał jak ktoś mocuje się z drzwiami wejściowymi. W sam raz, pomyślał.

— Kochanie, wróciłam!

William Maison wyłonił się z kuchni.

— Nie zgadniesz, co się stało... — zaczęła wesoło Stephanie. — Twoja pomysłowa żona właśnie zarobiła dziesięć tysięcy! Wyobrażasz to sobie? Dziesięć tysięcy dolarów w jeden pieprzony dzień! — Rzuciła mu się na szyję i zaczęła go całować. — A wiesz, jak to zrobiłam?

— Nie mam pojęcia — odpowiedział, udając zdumienie. — Pożyczyłaś od kogoś pieniądze, a następnie zabiłaś go, zrzucając ze schodów?

— Lepiej! Sprzedałam dwa cholerne domy w jeden dzień! Nareszcie coś drgnęło! Po tylu tygodniach posuchy!

Moje dwadzieścia i jej dziesięć to razem trzydzieści tysięcy. Całkiem nieźle jak na jeden dzień, pomyślał Maison i szczerze uśmiechnął się do żony.

— Musimy to uczcić!

— Koniecznie! A co ty dzisiaj robiłeś?

— Nic takiego. Wymieniłem deski na schodach do piwnicy.

— Wreszcie! Bałam się, że ktoś może się na nich zabić!

Mężczyzna uśmiechnął się i odprowadził wzrokiem żonę, która zniknęła za drzwiami ubikacji.

— Panowie... Najwyższy czas pokazać, co tam uciuliście. Kto zaczyna?

— U mnie nic.

— Ja mam dwójki. Króle na damy!

— Ja też mam dwójki. Asy na dziewiątkach.

— Karetą waletów!

Trójka graczy spojrzała rozpaczliwie na bezwzględного rywala, który trzeci raz z rzędu wylegitymował się najlepszą kombinacją.

— Jaja sobie robisz? Daj nam kilka razy wygrać, bo za parę rund nie będziesz miał z kim grać — zauważył wysoki, szczupły Latynos siedzący naprzeciwko zwycięzcy.

— Dokładnie. Jest piątek, wyluzuj bracie — jęknął załamany, czarnoskóry paker z gęstą brodą. — Powiedziałem żonie, że wrócę późno w nocy, a jest jedenasta i powoli nie mam za co obstawiać!

Trzeci gracz siedział bez słowa. Niski, przysadzisty osobnik, ostrzyżony na jeża i z kilkoma kolczykami w prawym uchu, był całkowicie splukany. Pięć tysięcy, które dzisiejszego dnia wyłudził od sklepikarzy za tak zwaną *ochronę*, rozplynęło się w trzydzieści minut. Jako ostatni usiadł do stołu i

jako pierwszy przegrał wszystko. Nie był zły, a raczej zawiedziony. Łatwo przyszło, łatwo poszło, tłumaczył sobie. Ostatecznie został mu jeszcze zegarek i samochód — dwie rzeczy, które zawsze mógł z łatwością ukraść.

Zwycięzca, ubrany w drogi garnitur, z cygarem w ustach, zagarnął żetony i ułożył je w małe stosiki. Nosił ciemne okulary, których prawie nigdy nie zdejmował. Wyglądem przypominał Włocha, dzięki czemu zyskał ksywkę Don Corleone albo dla uproszczenia *Godfather*, czyli *Ojciec chrzestny*. Nikt do końca nie wiedział, jak ten człowiek naprawdę się nazywa. Często zmieniał dowody tożsamości, aby utrudnić życie osobom, które go ścigają. Policji był znany z brutalności oraz niekonwencjonalnych metod uśmiercania swoich ofiar, a wśród przestępców brylował jako godny zaufania człowiek od brudnej roboty.

Tej nocy Don Corleone zebrał już prawie piętnaście tysięcy i miał ochotę na jeszcze. W międzyczasie do stolika podeszła kelnerka.

— Jak wam idzie, chłopcy?

— Fatalnie. Ten *makaroniarz* orznął nas na piętnaście patyków — wyrzucił z siebie Latynos.

— Dobrze, już dobrze. Nie rozpaczajcie. Następna kolejka na mój koszt! Zamawiajcie, co chcecie. — Wiedział, że wydanie kilkudziesięciu dolarów pozwoli mu przedłużyć grę i zachęci w ten sposób zniesmaczonych przeciwników do dalszego przegrywania.

Zdawał sobie sprawę z tego, że przy odrobinie szczęścia mógłby załatwić ich w ciągu trzech rozdań, ale ostatecznie postanowił nacieszyć się wieczorem. Odpuścił parę kolejek. Sprawił, że zaczęli grać ostrzej.

Zastawił sidła. Wreszcie, znudzony monotonią przegrywania, postanowił przerwać tę błazenadę. Dziesięć rozdań — tyle potrzebował, aby doprowadzić kolegów do ruiny. Ktoś musi przegrać, aby ktoś wygrał, pocieszał ich. Nie mieli ochoty tego słuchać. Zniesmaczeni i poirytowani odprowadzili wzrokiem mężczyznę, który przejął opiekę nad ich żetonami.

Don Corleone odebrał gotówkę i opuścił podziemne kasyno. Miał przy sobie równo dwadzieścia tysięcy dolarów. Wypchana kieszeń marynarki osobnika opuszczającego tego typu miejsce zawsze wyglądała podejrzanie, ale — podobnie jak groźny drapieźnik — nie miał wielu naturalnych wrogów. Spokojnie odczekał kilkadziesiąt sekund aż parkingowy przyprowadzi jego samochód. Nie miał drobnych, więc wyszarpnął z kieszeni jedną setkę.

Młody chłopak prawie zemdłał, gdy zobaczył banknot. Dostał już kiedyś dwudziestkę, ale setka... Kłaniał się tak nisko, że czołem prawie uderzał o ziemię.

Gangster wskoczył do czerwonego ferrari i ruszył z piskiem opon. W swojej czterystapięćdziesiątceósemce czuł się jak jeździec w siodle. Uwielbiał dźwięk silnika po naciśnięciu pedału gazu i kochał obezwładniającą siłę, która za każdym razem wgniatała go w fotel. Przy zakupie tego cacka specjalnie wybrał wersję *Spider*. Opuszczany dach sportowego cudenka działał na kobiety jak magnes.

Po dziesięciu minutach przejażdżki ulicami Cleveland zgłodniał. Spojrzał na zegarek i w pamięci odszukał nazwy lokali, w których o tej porze można było dobrze zjeść. Znał prawie wszystkie. Uwielbiał nocne życie i gdy większość ludzi kładła się spać, on ruszał na łowy.

Decyzję co do miejsca postoju podjął w przeciągu kilku sekund. Dodał gazu, aby zdążyć na zielonym świetle. Silnik radośnie zawył i samochód przyspieszył w okamgnieniu. Pokonał dwie przecznice i skręcił na podziemny parking całodobowej restauracji, gdzie o każdej porze dnia i nocy można było zjeść wyśmienitego homara.

Mógł podjechać pod wejście i kazać zaparkować wóz jakiemuś chłopcu, ale chęć usłyszenia błogiego ryku silnika w wąskim tunelu prowadzącym na parking była znacznie silniejsza. Niektórym mogło się wydawać, że to zwykły, ogłuszający warkot — nic nadzwyczajnego, ale dla niego był jak muzyka napisana przez wybitnego kompozytora specjalnie dla tego samochodu.

Po nacieszeniu uszu, zaparkował nieopodal windy. Tuż za nim wjechał kolejny samochód. Stary, srebrny sedan zatrzymał się w tym samym sektorze, trzy miejsca dalej.

Don Corleone wyłączył silnik i wysiadł z wozu. Nagle poczuł bolesne ukłucie w okolicach szyi i ktoś mocno złapał go od tyłu. Przez kilkanaście sekund szarpał się jak opętany, próbując się oswobodzić, ale z każdym ruchem czuł, że jest coraz słabszy.

Napastnik wykonał kolejny zastrzyk — podał odtrutkę na wcześniej zaaplikowany lek zwiotczający mięśnie. Nie mógł doprowadzić do paraliżu układu oddechowego.

Ostatecznie, po kilku minutach ofiara straciła czucie w nogach i osunęła się na połyskującą maskę samochodu. Don Corleone pozostał świadomy.

Patrzył, ale nie mógł reagować. Obrazy zmieniały się z sekundy na sekundę — rząd samochodów, bok czyjegoś auta, betonowe podłoże, tył Ferrari, sylwetka porywacza, rozmazana twarz, dywaniki, szyba, deska rozdzielcza, znowu szyba.

Po trzydziestu sekundach szarpaniny tajemniczego osobnika z bezwładnym ciałem, kierowca ferrari znalazł się z powrotem w swoim pojeździe.

Don Corleone kątem oka dostrzegł czyjąś dłoń.

Co za gnojek... Chce mnie okraść! Zabierz to łapsko! Jak tylko odzyskam czucie, znajdę cię i zabiję. Potnę twoje ciało tępymi żyłkami. Będę to robił powolutku, po jednym płytkim cięciu, aż się wykrwawisz. Tylko dentysta będzie w stanie cię zidentyfikować. Nie masz pojęcia z kim zacząłeś!

Złodziej wyciągnął kolejną fiolkę i strzykawkę, ale nie po to, aby podać następną dawkę. Na te dwa przedmioty naniósł tylko odciski palców sparaliżowanego gangstera. Ukradkiem spojrzął na gałki oczne, które nawet nie drgnęły.

Wyobrażał sobie, co jego ofiara może teraz myśleć. Biorąc pod uwagę to, z kim ma do czynienia, wolał się nad tym dłużej nie zastanawiać. Dawka środka zwiotczającego mięśnie nie była duża, a podana szybko odtrutka powinna powoli zaczynać działać. Dwa pakiety banknotów schował do kieszeni. Na koniec podniósł dach oraz przyciemniane szyby sportowego auta i zamknął drzwi. Pomachał gangsterowi i pomaszerował w stronę srebrnej toyoty.

SOBOTA

Idący korytarzem Arthur Goldwyn, czytając nudny raport jednego ze swoich ludzi, o mały włos nie wpadł na stertę skrzynek ułożonych przed biurkiem Adamsa. Pierwszy raz spotkał się z czymś takim. Nie omieszkał sprawdzić, z czym ma do czynienia. Gdy przeczytał opis pierwszego pudła, zagotowało się w nim.

— Panie kapitanie... — przywitał się funkcjonariusz przechodzący obok.

— Co to ma być, do cholery? — zapytał podenerwowany.

— Wczoraj wieczorem ktoś to podrzucił. Powiedzieli, że to dla detektywa Adamsa — wyjaśnił podwładny.

Ponad czterdzieści osiem godzin — tyle wynosiło opóźnienie, z jakim

materiał dowodowy zebrany w sprawie śmierci trójki osób w wynajętej willi nad jeziorem dotarł pod wskazany adres.

Kapitan nie należał do ludzi cierpliwych i nie miał zamiaru czekać do poniedziałku aż ktoś zabierze stąd te pudła albo — co gorsza — zwyczajnie potknie się o nie. Jeżeli on musiał być w pracy, to inni też mogli. Pomaszerował do biura, złapał za telefon i pospiesznie wybrał numer ulubionego detektywa, którego wcześniej przydzielił do tej sprawy.

— Adams, słucham... — odezwał się zaspianym głosem as wydziału. W pierwszej chwili w ogóle nie skojarzył, z kim rozmawia.

— Musisz tu natychmiast przyjechać. Wczoraj późnym wieczorem pajace z Lorain przysłali materiał dowodowy!

— Co?

— Dobrze słyszałeś.

— Co? Kto i co przysłał? Z kim ja rozmawiam?

— Naćpałeś się, czy co? Wiem, że jest sobota, ale policjant cały czas powinien trzymać fason. To, że wczoraj zabalowałeś, nie znaczy...

— Arthur?

— Nie, twoja matka. Wyświadczyć mi przysługę i jak najszybciej zbież się do kupy, a potem przywlecz swoje dupsko na komisariat. Robota czeka. Przed twoimi drzwiami ktoś zostawił stertę pudeł. Jest tego sporo, więc przyda ci się pomoc. Zabierz po drodze Benneta.

— Żona go zabije!

— Powiedz, że dostanie wypłacone podwójne nadgodziny!

— Po co martwemu pieniądze?

— Inaczej ja go zabiję! A lepiej być martwym i bogatym niż martwym i biednym. Za dwie godziny macie być na komisariacie. Zrozumiano?

— Tak — odpowiedział obojętnie Adams i odłożył słuchawkę. Znał kapitana aż za dobrze i wiedział, kiedy ten nie żartuje. Rozumiał jego rozkaz. Gdyby miał pewność, że dokumenty dotrą na komisariat w piątkowy wieczór, pewnie sam, bez *uprzejmej prośby* szefa, pojechałby tam następnego dnia. Nie miał płaczących dzieci ani narzekającej żony. Samotny kawaler mógł sobie na to pozwolić.

Inaczej to wyglądało w przypadku Paula Benneta. Ten miał żonę i małe dziecko. Spodziewali się kolejnego, więc wyciąganie ojca z domu w sobotni poranek nie należało do ulubionych czynności Adamsa. Już na progu został

przywitany skwaszoną miną i kilkoma przekleństwami.

Młody aspirant wiedział, co oznacza wizyta przełożonego i ze złością walnął pięścią w drzwi.

— Mam w dupie jego pieniądze! Niech je sobie wsadzi!

Nie zmieniło to faktu, że przebrał się i odprowadzony lamentami żony wsiadł do samochodu.

Trzydzieści minut później przynosili już pudła do biura.

— Noo... To rozumiem — przywitał się kapitan i spojrzął na zegarek. — Niecała godzina. Całkiem nieźle! Jak tylko coś znajdziecie, dajcie znać. Chcę wiedzieć o każdym szczególe tej sprawy.

— Dobrze — odpowiedzieli zgodnie. — Żaden z nich nie miał ochoty na dłuższą wymianę zdań.

— Aaa... właśnie. Adams, jak sprawa tej byłej zakonnicy, która pocięła się w wannie? Zamknięta, czy dalej ją drążysz?

— Pozostało jeszcze wiele pytań bez odpowiedzi — rzucił dyplomatycznie.

— Jasny gwint... Chyba o tym rozmawialiśmy?

— Pojawiły się nowe poszlaki. Z Paulem znaleźliśmy...

— Jakie znowu poszlaki? Bennet, od dziś masz zakaz zajmowania się nowymi poszlakami. Od teraz twoim jedynym zmartwieniem są te pudła. Zrozumiano?

— Jasne...

— A ty ze mną, na górę!

Detektyw posłusznie wykonał polecenie. Piętro, na którym znajdował się gabinet kapitana, było opustoszałe. W sobotę służbę pełniło niewielu funkcjonariuszy — tylko nadrabiający dni wolne albo ślęczący na dyżurze. Głuche echo, które rozniosło huk powstały od gwałtownego zatrzęsnięcia drzwi, spotęgowało wyobrażenie złości, jaka kotłowała się w rozjuszonym dowódcy wydziału zabójstw.

Adams rozsiadł się na wysokim krześle. Nogi dyndały mu w powietrzu. Czuł się jak przedszkolak na dywaniku u dyrektorki.

— Masz minutę na to, żeby mnie przekonać, że ta kobieta nie popełniła samobójstwa. Czas — start!

— Nie powiedziałem, że nie popełniła samobójstwa. Nawet powiem więcej. Jestem przekonany, że tak było.

— To o co chodzi?!

— A nie interesuje pana, dlaczego tak się stało?

— Posłuchaj... Rocznie na świecie podejmowanych jest dwadzieścia milionów samobójczych prób, z czego, na twoje szczęście, tylko co dziesiątej osobie udaje się osiągnąć założony cel. Reszta to zmora ratowników medycznych i lekarzy. W samych Stanach ginie rocznie w ten sposób ponad trzydzieści tysięcy osób. Zakładając, że każdej z nich jakiś dociekliwy policjant, podobny do ciebie, poświęciłby tydzień, to przez cały rok sześciuset detektywów nie robiłoby nic innego, tylko uganiało się za prawdopodobnymi przyczynami, dlaczego ktoś podciął sobie żyły albo strzelił w łeb. I zaznaczę tu... że po tygodniu nie masz pojęcia, co jest grane! Jeżeli dzieciak się wieszka, to nie szukamy laski, która go rzuciła. Jeżeli ktoś skacze z okna, bo ma długi, to nie aresztujemy właściciela banku za to, że pożyczył mu pieniądze.

— Tego wieczoru ktoś próbował się do niej włamać.

— Ale się nie włamał! Powiedz mi, co zrobiłbyś, jeżeli ktoś chciałby się włamać do twojego domu... Popełniasz samobójstwo? A może jednak dzwoniś na policję? — Pytanie było retoryczne, więc Adams nie miał zamiaru odpowiadać.

— I dlatego ta sprawa jest taka dziwna! Znalazłem faceta, który opowiedział mi o zbrodniczych praktykach, jakich dopuszczano się w pewnym sierocińcu dwadzieścia pięć lat temu. Nasza ofiara pracowała tam wtedy.

— Dwadzieścia pięć lat temu?! Dotarłeś do poszlak, świadczących o tym, że dwadzieścia pięć lat temu jakaś zakonnica dała klapsa niegrzecznemu dziecku?! Na litość boską! Ja mam sędziego stanowego i szanowaną panią prokurator, którym zazdrosny mąż postanowił przewietrzyć mózg! Zlituj się nade mną! Ich krew jeszcze dobrze nie wyschła, a dziennikarze już wiercą mi dziurę w brzuchu. Gdyby wiedzieli, że przez dwa dni nikt nie kiwnął palcem w tej sprawie, to ukrzyżowaliby mnie!

— Dlaczego? Ci goście z Lorain... Myślałem, że to oleją, ale całkiem dobrze się spisali. Zerknąłem do pudeł. Nie próżnowali... Przetrzepali ubrania, zdjęli odciski palców, a dowody są całkiem nieźle opisane. Mam nawet zeznania kilkunastu sąsiadów i administratora osiedla. Reszta w naszych rękach. Podobno cała zbrodnia została zarejestrowana. To może być najprostsza sprawa w historii wydziału.

— Oby... Nasi chłopcy mają jeszcze raz wszystko przejrzeć! A jak skończą, to niech zrobią to ponownie! W tej sprawie nic nie może nam umknąć! Zrozumiałeś?!

— Tak.

— A co z domem Snyderów i mieszkaniem Paxtona?

— Zapieczętowane. Jak skończymy z tymi pudłami, wezmę tylu ludzi, ilu tylko znajdę i pojedziemy je przeszukać.

— W porządku.

— Ale... wracając do historii tej kobiety...

— Nie! Nie! Nie, do cholery! Ty znowu swoje?!

— Nie zamknę tej sprawy. Możesz mnie wywalić na zbity pysk, ale wiem, że trafiliśmy na coś poważnego! Przyznaję, że ta zakonnica popełniła samobójstwo, ale przy okazji wychodzą na jaw fakty, których nie możemy zlekceważyć! Dwumetrowy olbrzym rozplakał się jak dziecko, gdy pokazałem mu fotografię, którą znaleźliśmy na miejscu zbrodni. Świadkowie, którzy mogliby coś powiedzieć, albo nie żyją, albo są nieosiągalni. Ktoś, nie mam pojęcia kto, przysłał list miłosny zaadresowany do mnie. W kopercie znajdował się brakujący rejestr wychowanków sierocińca z czasów, gdy ofiara tam pracowała. Ktoś próbuje nam pomóc i nie mam zamiaru tego zaprzepaścić.

— A ten dyrektor? — zapytał zrezygnowany Goldwyn.

— Milczy, ale daję głowę, że coś ukrywa!

— Przecież przyznał się, że ktoś przysłał mu dziecięcą pornografię!

— Ale nie powiedział, dlaczego...

Kapitan wstał i oparł się o biurko. Załamany spuścił głowę i westchnął.

— Dobra. Widzę, że nie przekonam cię, żebyś odpuścił. Zróbmy tak... Zamknij sprawę samobójstwa. Jesteśmy pewni, że się zabiła, więc nie ma potrzeby ciągnąć tego dalej. Przez kilka dni zajmij się naszym najnowszym problemem, a gdy tylko dowiedziesz, że John Snyder zastrzelił tych dwoje, to osobiście przydzielę ci dodatkowych ludzi i zbadasz dokładnie wszystkie poszlaki, które dodatkowo wyszły na jaw przy sprawie Dony Jonson. Umowa stoi?

— Stoi, ale...

— To świetnie! W takim razie wracaj na dół i czekam na dobre wieści. Jeżeli jest tak, jak mówisz i wszystko pójdzie gładko, to do końca przyszłego

tygodnia sprawa wyląduje w archiwum.

Adams osiągnął więcej niż zamierzał i wolał wyjść z jaskini lwa, zanim ten zmieni zdanie i przerobi go na papkę. Osobne śledztwo było mu nawet na rękę. Gdy wrócił, nie omieszkał przekazać podwładnemu dobrej nowiny.

W międzyczasie Bennet znalazł coś, co mogło im pomóc w szybkim rozwiązaniu niewygodnej sprawy.

— Tu jest wszystko! — Pokazał na dyktafon. — Proszę go włączyć. Zabójca był albo głupi, albo zdesperowany. Wszystko jest na nagraniu.

Adams nacisnął *PLAY* i wsłuchał się w *ścieżkę dźwiękową zabójstwa*. Na początku pojawił się szelest.

— Wszedł do domu i włączył dyktafon — wyjaśnił Bennet. — Na filmie zrobionym aparatem widać, jak dokumentuje całą drogę z parteru na piętro.

Detektyw przyłożył palec do ust. Nie chciał stracić z nagrania ani sekundy. Po kilku minutach rozległ się trzask, chwilę później padł pierwszy strzał, a następnie rozpoczął się nerwowy dialog.

— *Co tu się dzieje, do cholery?! Kim jesteś?!*

— *Zapytaj ją, to ci powie.*

— *John?*

— *A kogoś się spodziewała, dziwko?! Kolejnego fagasa?!*

— *Nie mów tak do niej!*

— *A ty się zamknij, jeżeli chcesz wysłuchać tej rozmowy do końca.*

— *John? Co ty tutaj robisz? Miałaś być w domu?*

— *Naćpana jesteś, czy co? A gdzie ty miałaś być? Podobno jechałaś na imprezę integracyjną.*

— *No przecież jechałam...*

— *Słuchaj, może porozmawiamy spokojnie.*

— *Miałaś się nie odzywać!*

— *To moja wina. Ja ją do tego nakłoniłem. Gdyby nie mój telefon, nie doszłoby do tego.*

— *Myślisz, że urodziłem się wczoraj, a to jest jej jedyny skok w bok?! I kim ty w ogóle jesteś?*

— *Nazywam się Paxton i jestem sędzią stanowym.*

— *John, daj spokój! O co ci znowu chodzi?*

— *Zamknij się, jak nie masz nic mądrego do powiedzenia, głupia szmato! Najpierw pojedziesz na odwyk, a potem prosto na salę sądową!*

Zobaczymy, czy tam też będziesz robiła z siebie idiotkę.

— Jak śmiesz tak do mnie mówić?! Oskarżę cię o znieważenie! Gdy ty zabawiłaś się z sekretarką, ja siedziałam cicho! Teraz masz za swoje!

— Kochanie... Może usiądziesz, a ja z nim porozmawiam.

— Jeszcze raz powiesz do niej kochanie, to odstrzelę ci jaja! Zrozumiałaś?!

— Spróbuj go skrzywdzić, to nie wyjdiesz z więzienia do końca życia.

— I ty jeszcze mi grozisz?!

— Tutaj dostała w twarz i upadła — domyślił się Adams. — Stąd to rozcięcie na policzku i duży siniec.

— No dalej! Zrób to, ty tchórze! Nigdy nie byłeś nawet w połowie tak dobry, jak którykolwiek z nich!

Padł strzał.

— Zabija babkę i za chwilę przedziurawi głowę sędziemu — skomentował aspirant.

— Ty gno...

Chwilę po trzecim strzale nagranie zostało zatrzymane.

— No to chyba wszystko jasne... — powiedział triumfalnie młody funkcjonariusz.

— Trzy strzały, z czego jeden w wazon. Gdzie czwarty?

— Tego urządzenia nie zarejestrowały. Film z aparatu zrzuciłem na dysk. Potwierdza wszystko to, co słyszeliśmy na nagraniu. Po zabiciu sędziego Snyder wyłącza dyktafon i aparat.

Adams uruchomił plik wideo. Tak jak powiedział Bennet, film potwierdził cały przebieg wydarzeń odsłuchany z dyktafonu.

— Sędzia miał własną broń? — Detektyw wrócił do momentu, w którym Paxton sięga po pistolet.

— Wygląda na to, że wyciągnął go z torebki tej kobiety.

— To by oznaczało, że na państwa Snyder powinny być zarejestrowane dwie sztuki broni.

— Zaraz to sprawdzę.

Po kilku minutach Bennet miał przygotowaną odpowiedź.

— W aktach mam tylko jeden pistolet zarejestrowany na Johna Snydera, czyli na naszego strzelca.

— Kobieta nie ma żadnej pukawki?

— Nie.

— Interesujące... Sprawdź jeszcze Paxtona.

— Robi się...

— Widziałeś gdzieś te pistolety?

— Tak. Są w trzecim pudle od prawej.

Adams odszukał je i sprawdził numery seryjne, porównując je z danymi z komputera.

— Snyder strzelał z beretty zarejestrowanej na niego — oznajmił po chwili.

— Czyli wszystko się zgadza.

— Oprócz tego, że na drugiej broni, glocku, nie ma żadnych oznaczeń. Ktoś je usunął.

— To niczego nie zmienia. Mamy sprawcę, narzędzie zbrodni, motyw i dwa nagrania. Lepiej być nie może! Gdyby Snyder żył, podziękowałbym mu za dbałość o szczegóły.

— Może i tak... — Adams dalej przyglądał się broni.

— Znowu szuka pan dziury w całym?

— Przyzwyczaj się, że dwa plus dwa nie zawsze daje cztery. Masz raport z sekcji ofiar?

— Leży na samej górze.

Adams wyciągnął wszystkie papiery na biurko.

— Sporo tego napisali przez te dwa dni.

— Masz... — podał aspirantowi stos akt — przejrzyj zeznania sąsiadów. — Sam tymczasem zagłębił się w raporty z sekcji. Studiował je bardzo dokładnie przez ponad godzinę, ale nic nie wskazywało na to, że jakiś szczegół w istotny sposób wpłynie na bieg wydarzeń zarejestrowany przez urządzenie. Jedynie toksykologia budziła pewne wątpliwości. Detektyw poprawił się w fotelu i jeszcze raz przeczytał wyniki, a następnie uruchomił przeglądarkę. Po kilku minutach postanowił podzielić się odkryciem.

— Tu jest napisane, że we krwi pani prokurator i sędziego, oprócz resztek alkoholu, znaleziono spore ilości midazolamu. To silny lek nasenny.

— Może mieli problemy ze...

— A badania podczas sekcji wykluczyły, jakoby uprawiali seks. Nie znaleziono też śladów nasienia. Nie wydaje ci się to dziwne?

— Może zbyt dosłownie zinterpretowali wyrażenie *przespać się z kimś*? — rzucił wesoło Bennet.

Adams zachowywał się, jakby tego nie usłyszał.

— Gdy Snyder wszedł do sypialni, byli nadzy i spali obok siebie w jednym łóżku.

— Może zapomnieli piżam...

— A może ktoś chciał, żeby zasnęli...

— No nie... Znowu? Czy dla pana nie istnieje prosta sprawa? — Bennet zerwał się i zaczął grzebać w pudłach.

— Czego szukasz?

— Torebki!

Po chwili brązowa, markowa, skórzana torba leżała już na stole.

— Założę się o lunch, że znajdę w niej tabletki.

— Przyjmuję.

Aspirant nie musiał ich nawet szukać. Leżały niemalże na wierzchu. Wyciągnął prawie pusty blister po tabletkach, których jedynym składnikiem była wymieniona wcześniej substancja — midazolam.

— A mówią, że w kobiecej torebce nie da się niczego znaleźć! Chyba mam ochotę na chińszczyznę...

— Ale to bez sensu! Po co miałyby faszerować ich lekiem nasennym? Zrozumiałbym jeszcze, gdyby tylko jedno z nich go zażyło, ale oboje go wzięli...

— I zapili winem na pusty żołądek. Niezła mieszanka!

— Wino! — krzyknął Adams. — Widzisz... Nareszcie na coś się przydałeś — powiedział wesoło i odszukał butelkę. — Założę się, że w środku znajdziemy ślady leku. Mamy dzisiaj kogoś w laboratorium?

— Pan naprawdę myśli... — Nie zdążył dokończyć.

Detektyw zabrał wielką torbę z dowodem numer siedem i popędził do analityków. Jak szalony wpadł do laboratorium. Młody mężczyzna w białym kitlu, z włosami postawionymi na sztorc, spojrział na niego jak na wariata.

— Szybko! Sprawdź mi tę butelkę na obecność midazolamu! Ile to zajmie?

— Dziesięć minut...

W tym czasie dołączył do nich Bennet.

— Nawet, jeżeli pana teoria jest prawdziwa, to niczego innego nie dowodzi, tylko tego, że facet wiedział o tym, że żona puszcza go kantem i chciał ją nakryć. Gdyby nie pyskówka pani prokurator i nadgorliwy sędzia, pewnie skończyłoby się inaczej... Zrobiłby parę zdjęć, nagrał filmik i zaciągnąłby lafiryndę przed sąd.

— Przecież sam ich obudził...

— Nie wytrzymał psychicznie. Zobaczył nagą żonę i palma mu odbiła. Sytuacja była dla niego jednoznaczna. Sam nie wiem, co by mi strzeliło do głowy w takim momencie!

Drukarka sprzężona ze spektrometrem wypuła zapełnioną kartkę. Było na niej sporo pionowych pików i trochę liczb. Adams porwał wyniki, ale nie miał zielonego pojęcia, jak zinterpretować dane. Z pokorą oddał je analitykowi.

— Nic tu nie ma... Butelka jest czyta jak ła. Ani śladu leku.

Detektyw opadł na krzesło. Jego teoria wzięła w łeb. Rzadko się mylił, ale tym razem — na całej linii.

— A więc... chińszczyzna czy raczej włoskie? — zapytał wesoło Bennet i poklepał go po ramieniu.

NIEDZIELA

Dom Maisonów z zewnątrz nie wyróżniał się niczym szczególnym. Podjazd z zaparkowanym samochodem, rabatka z kwiatami przy ganku, zadbane obejście, automatyczne zraszacze, skrzynka na listy z naklejką prenumeraty dziennika i wycieraczka z napisem *WITAMY* — to wszystko sprawiało wrażenie pozornej normalności i dopasowania do charakteru okolicy oraz osiedlowego trybu życia. Wszystko z wyjątkiem tego, co działo się wewnątrz.

Stephanie kończyła właśnie ubierać Ricky'ego i Alexa, których mąż przyprowadził z piwnicy. Każda niedziela była dniem nagrody. Tym razem, za całotygodniowe niesprawianie problemów, *idealna* matka postanowiła po raz pierwszy zabrać chłopców na plac zabaw.

Bryan był obyty z tego typu przyjemnościami, a że czuł się już lepiej, nie mógł się doczekać weekendowego wypadu. Jednak młodszy *bracia* nie podzielali jego entuzjazmu. Nie do końca wiedzieli, co oznaczają słowa *plac zabaw*. Mieli wkroczyć na zupełnie nowy, nieznany im teren.

- Bryan, widziałeś ojca?
- Chyba jest w piwnicy. Kiedy pojedziemy?
- Jak tylko przygotuję pranie.

Stephanie Maison poszła do łazienki. Przekopała szafkę w poszukiwaniu wybielacza. Mogłaby przysiąc, że właśnie tam go zostawiła.

- Coś się stało? — zapytał mąż, stając w drzwiach łazienki.
- Szukam wybielacza... Może ty go widziałeś?
- Oj... — Wykrzywił usta.
- Dlaczego masz minę, jakbyś go wypił?
- Nie szukaj, bo nie znajdziesz.

Kobieta obrzuciła go pytającym spojrzeniem.

— Przedwczoraj, gdy szukałem rozpuszczalnika, nieumyślnie trąciłem butelkę z wybielaczem. Korek był luźny i prawie cały płyn się wylał.

— Moja ty niezdaro... — Poglądziła go po twarzy. — Szkoda, że nie powiedziałeś wcześniej. Jadąc z pracy kupiłabym nowy.

— Wypadło mi z głowy. Wróciłaś wtedy taka szczęśliwa, że zupełnie o tym zapomniałem.

— W takim razie jedziemy, a pranie zrobię jutro.

— Jesteś pewna, że to dobry pomysł? — powiedział przyciszonym głosem.

— W końcu musimy im pokazać, jak wygląda świat poza domem. Są już wystarczająco zdyscyplinowani.

— A jeżeli nie?

— To będzie sygnał dla nas, że należy bardziej się postarać. Ostatnio byłeś dla nich zbyt łagodny. — Objęła męża i pocałowała go. — Nie przepracuj mi się tu! Wezmę twój samochód. Łatwiej założyć w nim foteliki. A właśnie, a propos samochodu... — mówiła, idąc w kierunku wyjścia.

— Tak?!

— Nie wiesz, do kogo należy wóz stojący przed naszym domem? Już wczoraj go tam widziałam.

— O cholera... — zaklął cicho. Oczywiście, że wiedział. Do mężczyzny, którego zwłoki spoczywają w ich piwnicy. — Nie mam pojęcia, kochanie. Jak skończę, popytam sąsiadów.

— Dobrze. Do zobaczenia!

Trzask drzwi był jak wybawienie.

Maison miał o jedną rzecz więcej do zrobienia, niż wcześniej założył. Pozostały mu dwie godziny na pozbycie się wszelkich śladów bytności windykatorka. Zbiegł do piwnicy. Zdjął kłódkę z drugich drzwi po lewej i wszedł do środka.

Pod prawą ścianą leżało kilkanaście kafelków i cztery grube deski, z których wystawały długie gwoździe. Po lewej stronie widniał spory kopiec luźnej ziemi. Na środku piwniczki znajdowała się dziura o wymiarach dwa na pół metra i głębokości około osiemdziesięciu centymetrów. Grób był gotowy. Wystarczyło pochować w nim ofiarę.

William Maison rozmyślał nad różnymi możliwościami, ale ta wydawała mu się najpewniejsza. Z sąsiedniego pomieszczenia zabrał zwłoki. Pomimo dobrego zabezpieczenia ciała, poczuł w powietrzu zapach śmierci. Wysoka temperatura sprzyjała szybszemu rozkładowi tkanek.

Tym razem ciało wydawało mu się jeszcze cięższe. Z ulgą rzucił nim na posadzkę i wtoczył do wąskiego rowu. Wskoczył do środka i nożycami rozciął kokon. Z wnętrza buchnął straszny smród. Zamknął drzwi i otworzył niewielkie okno, aby odrażający odór nie rozprzestrzenił się po całym domu.

— Smrodziuch z pana, panie... — Uświadomił sobie, że nawet nie zna jego nazwiska.

Na koniec rozciął ubranie i całkowicie rozebrał ofiarę. Liczył na to, że w ten sposób szybciej dojdzie do całkowitego rozkładu zwłok. Taśmy, folie oraz ubrania załadował do dwóch worków na śmieci i odłożył je pod ścianę. Złapał za łopatę i zaczął energicznie szuflować.

Piętnaście minut później po kopcu i dziurze nie było już śladu. Nadmiar ziemi załadował do kilku wiader. Właśnie miał się zabrać za ułożenie desek i kafelków, ale pracę przerwał mu dzwonek do drzwi. Nie słyszał podjeżdżającego auta, więc musiał to być ktoś z okolicy.

— Sąsiedzi... Jak zawsze nie w porę — warknął. — Choć raz, zamiast przeszkadzać, mogliby w czymś pomóc i... nie wtrącać się!

Kolejne dwa dzwonki potwierdziły, że natręt przy drzwiach łatwo nie zrezygnuje.

Brudny i przepocony musiał przerwać pracę. Nawet nie zamknął małej piwniczki. Zobaczywszy, jaki ślad ziemi zostawił po sobie na każdym schodku, zdjął buty, aby nie roznieść brudu po całym domu.

Był podenerwowany, ale emocje musiał zostawić w piwnicy razem z trupem. Zadanie nie zostało jeszcze zakończone. Nowy cel był prosty.

Szybko pozbyć się intruza i wrócić do *pracy*. Już z daleka widział, z kim będzie miał za chwilę do czynienia. Przed drzwiami czekał postawny kurier FedEx'u w czarno-fioletowym wdzianku i czarnych rękawiczkach. Na głowie miał fioletową baseballówkę z logo firmy.

— Witam. Mam przesyłkę za pobraniem dla pani... — zerknął na dane adresowe — Maison, Stephanie Maison.

— To moja żona, ale nie ma jej w tej chwili w domu.

— Nie szkodzi. Może pan odebrać za nią. Wystarczy piętnaście dolarów, pana podpis i jakiś dowód tożsamości.

— Rozumiem, ale... Zresztą, proszę poczekać.

Gospodarz nie miał czasu na słowne przepychanki z jakimś doręczycielem. Szybko załatwić sprawę i wracać do roboty — to było dla niego najważniejsze. Piętnaście dolarów za spokój podczas sprzątanego miejsca zbrodni nie było wygórowaną ceną. Zostawił kuriera przed drzwiami i poszedł do salonu, gdzie miał nadzieję znaleźć portfel.

Gdy przeglądał trzecią z kolei szufladę, zastanowiło go coś.

— Przecież oni nie rozwożą w niedzielę — powiedział do siebie. W tej samej chwili poczuł delikatne ukłucie w okolicy szyi. Myślał, że to komar i machnął ręką. Zdziwił się, kiedy natknął się na twardy przedmiot. Odwrócił głowę i zobaczył znajomą postać.

— A jednak miałem rację... — Zamachnął się na kuriera, który stał tuż za nim. Ten zrobił unik i cofnął się o kilka kroków. Pozwolił wyszaleć się ofierze.

Maison widział już tylko zamazaną twarz i falującą sylwetkę napastnika. Padł na kolana. Powalczył jeszcze pół minuty, ale ostatecznie osunął się na dywan i stracił przytomność.

Doręczyciel nie miał wiele czasu. Rodzina mogła wrócić w każdej chwili. Kluczyki do samochodu Stephanie Maison leżały tam, gdzie zawsze — na stoliczku w holu. Złapał nieprzytomnego pod ramiona, zawlókł do garażu i umieścił go na siedzeniu pasażera zaparkowanego tam samochodu.

Wrócił do salonu i wyciągnął z kieszeni fiolkę z anestetykiem. Właśnie miał ją roztrzaskać o podłogę, kiedy poczuł nieprzyjemny zapach. Coś było nie tak. Już kilka razy miał do czynienia z podobną wonią i nigdy nie zwiastowała niczego dobrego. Przypomniał sobie strój Maisona — był ubrudzony od ziemi. Poszedł w stronę tylnego wyjścia. W miarę, jak zbliżał się do kuchni, smród przybierał na sile. Dostrzegł buty i uchylone drzwi

prowadzące do piwnicy.

Umiejętnie omijając ziemię rozniesioną po schodach, zszedł na niższy poziom. Odór był coraz intensywniejszy. W drugich z kolei drzwiach po lewej znalazł odpowiedź na dręczące go pytanie. Na środku niewielkiej piwniczki znajdowała się wyrwa w posadzce o rozmiarach idealnie dopasowanych do ludzkiego ciała, a przy ścianie stały dwa cuchnące, wypełnione po brzegi worki na śmieci.

Nie przypuszczał, że znajdzie w piwnicy świeżo zakopanego trupa. Jego plan właśnie się skomplikował. Fałszywy kurier wyrzucał sobie, że nie skojarzył faktów. Samochód wielokrotnie notowanego rozrabiaki, stojący przez dwa dni przed domem w spokojnej dzielnicy, powinien wydać mu się podejrzany.

— Chwila... Jeżeli zabiłeś Lio i zakopałeś go w piwnicy, to nawet lepiej.

Złapał za łopatę i odkopał głowę ofiary. Nie mylił się. Przed nim leżały zwłoki czterdziestoletniego drobnego przestępcy, Lionela Moore'a — chłopca na posyłki pracującego dla Don Corleone.

— No cóż, Lio. Mówi się trudno. Szkoda, że już się nie dowiesz, jak bardzo mi pomogłeś. Uśmiech...

Przy pomocy komórki zrobił zdjęcie. Odsunął łopatą trochę ziemi i wrzucił pustą fiolkę do niewielkiej dziury, po czym zasypał ją. Odłożył szpadel na bok i opuścił piwnicę. Nie licząc odkopanych zwłok, wszystko inne pozostawił na swoim miejscu. Zabrał tylko garść ziemi.

Będąc na parterze, wziął buty Maisona i rozsypując co chwilę drobinki ziemi, przeciągnął nimi po całej posadzce aż do garażu. Kilka bryłek wylądowało również na wycieraczce i schodach prowadzących do domu.

Wrócił do samochodu, gdzie czekał na niego nieprzytomny Maison. Założył mu buty i zapiął pas. Pilotem, który znalazł w samochodzie, otworzył bramę.

Prowadził spokojnie, nie przekraczając dozwolonej prędkości. Uważał na znaki, nie wymuszał pierwszeństwa, a czasem nawet ustępował miejsca innym uczestnikom ruchu. Gdy dotarł do centrum, zaczął wypatrywać zjazdu na parking, który wcześniej starannie wybrał.

Podziemia remontowanego centrum handlowego były doskonałą lokalizacją na szemraną operację. Skręcił w nieoświetlony zjazd i przejechał kilkadziesiąt metrów ciemnym, krętym tunelem. Światła reflektorów odbiły się od srebrnoszarego, metalicznego koloru zaparkowanego tam pojazdu.

Kierowca zatrzymał samochód tuż obok samotnej toyoty. Wyskoczył z auta Maisonów i odblokował zamek bagażnika sąsiedniego pojazdu. Odpiął pasażera i wywłókł go na zewnątrz. Ostrożnie ułożył ciało w bagażniku srebrnego auta.

— Tylko nigdzie mi nie uciekaj!

Zatrzasnął pokrywę i zablokował zamek. Wrócił do samochodu gospodarza, a właściwie jego żony. Pozostawiając nieprzytomnego Maisona w bagażniku toyoty, wyjechał z parkingu i skierował się na południe. Po dwudziestu minutach dotarł do dzielnicy, w której klucie w oczy nowym samochodem było zdecydowanie nie na miejscu. Już dawno na dystansie jednego kilometra nie widział tylu podejrzanych typków. Część z nich z pewnością zdążyła zauważyć nieświadomego przyjeźdnego, który zaparkował na zatłoczonym parkingu pod obskurnym marketem.

Kluczyki... zabrać czy zostawić, zastanowił się. Wezmę je... Bo jeszcze pomyślą, że to podpucha.

Opuścił pojazd, uzbroił alarm i udał się w stronę postoju taksówek. Kluczyki wyrzucił do najbliższego kosza na śmieci. Przebiegł przez ulicę i wsiadł do pierwszej z brzegu taryfy.

— Dokąd, kolego? — zapytał kierowca poobijanego forda.

— Do centrum — odpowiedział mężczyzna i rozsiadł się wygodnie na wysłużonej tylnej kanapie.

Bryan jako pierwszy wbiegł do domu. Alex i Ricky, prawie jak na smyczy, szli posłusznie przed swoją opiekunką. Nie wiedzieli, czy poza placem zabaw mogą sobie pozwolić na odrobinę swobody, więc woleli nie ryzykować.

— Mamo! Ale coś brzydko pachnie!

Kobieta nie usłyszała. Bardziej interesował ją samochód, który od dwóch dni stał pod ich domem i straszył przechodniów. Zastanawiała ją, czy William ustalił do kogo należy. W domu zdjęła niewygodne, eleganckie buty i rozmasowała nogi. Dopiero teraz poczuła dziwny zapach.

Dwaj chłopcy stali nieco dalej, czekając na polecenia.

— Co tak patrzycie? Natychmiast do łazienki i doprowadzić mi się do porządku!

— Ja też mogę?

— Oczywiście, synku. Nawet powinienes. — Uśmiechnęła się do Bryana. Co tu tak śmierdzi, zastanawiała się.

— John?! John?! Jesteś tu?! — Przypomniała sobie, że po raz ostatni widziała go, gdy schodził do piwnicy.

W kuchni fetor był znacznie intensywniejszy.

— Oby znowu nie wywaliło kanalizacji! To byłby już drugi raz w tym roku! — Zerknęła do łazienki, ale tam wszystko było w porządku. Chłopcy grzecznie myli ręce.

— John?! Jesteś tam?! — wołała, idąc w stronę piwnicy. Dopiero teraz zauważyła drobinki ziemi na posadzce. — Zabiję go!

Drzwi były otwarte na oścież. Przysłoniła ręką usta i nos. W tym miejscu odór był bardziej drażniący niż gdziekolwiek indziej. Przynajmniej już wiedziała, skąd pochodzi.

— Cholera, John, to nie jest zabawne! — Nadal nic. Zeszła nieco niżej. Nagle zaczęły jej do głowy napływać czarne myśli.

A jeżeli uderzył się o coś i stracił przytomność albo złamał nogę i zemdleł z bólu, albo... O innych — gorszych przypadkach — wołała nie myśleć. Przyspieszyła kroku.

Na dole smród był jeszcze gorszy — praktycznie nie do wytrzymania. Myślała, że zwymiotuje. Już nawet nie zastanawiała się, skąd pochodzi. Bała się tylko, żeby nie zemdleć. Idąc, przytrzymywała się ściany. Nagle poczuła, że słabnie. Musiała się zatrzymać. Oddychała już tylko ustami.

Po chwili nos zaczął przyzwyczajać się do odoru. Częściowo odzyskała panowanie nad własnym ciałem i mogła iść dalej. Ślady ziemi zaprowadziły ją do drugiej z kolei piwniczki. Stała w progu i zeszywniała.

Zniszczona posadzka, kupka ziemi, wiadra, cuchnące worki, łopata — nic z tego rozumiała. Podeszła nieco bliżej. Przymrużyła oczy, aby dokładniej przyjrzeć się przedmiotowi leżącemu w dziurze głębokiej na kilkadziesiąt centymetrów.

Piłka... Maską? Mój Boże... Przecież to twarz człowieka! Człowieka w... grobie!

Jej gałki oczne zadrżały, a powieki mimowolnie opadły. Osunęła się na worki oparte o ścianę, rozrywając jeden z nich. Zakrwawione, śmierdzące ubrania wysypały się, przykrywając jej zdrętwiałe ciało.

PAŹDZIERNIK 1999

Osiemnastolatek z poharataną twarzą, w pomarańczowym kombinezonie

leżał na wznak na twardej, niewygodnej pryczy. Cały czas wiercił się i obracał głową raz w lewo, raz w prawo...

— Dalej, stary! Gaz do dechy! Chyba nie dasz mu się wyprzedzić?!

Kierowca mocniej nacisnął pedał gazu. Prawie sześciolitrowy trzystupięćdziesięciokonny silnik V8 czarnej corvetty zaryczał i samochód błyskawicznie przyspieszył. Żółty viper na lewym pasie został daleko w tyle.

— I tak to się robi!

W typowym wyścigu ulicznym, biorąc pod uwagę dodatkowe obciążenie w postaci pasażera, mniejszą liczbę koni oraz półtorej promila alkoholu we krwi kierowcy, nie mieliby najmniejszych szans. Przeciwnik, widząc dwóch narwańców w sportowym aucie, najzwyczajniej w świecie odpuścił.

— Pokazałeś mu!

— Przecież widziałeś, że stchórzył!

— Bo nie miał szans! — Pasażer uniósł butelkę piwa i stuknął się z kierowcą. — Twoje zdrowie!

— To chyba lepsze niż siedzenie ze starymi i oglądanie telewizji?

— O niebo lepsze! Dzięki, że mnie przygarnąłeś. Na swój sposób lubiłem ich, ale zdecydowanie bardziej wolę taką zabawę.

— Ja myślę! Patrz... kolejny cwaniak.

— Noc nam sprzyja. Bierz go!

Na horyzoncie pojawił się nowy cel — błękitny nissan skyline. Tym razem mieli szczęście. Zarówno pasażer jak i kierowca japońskiego samochodu byli w podobnym przedziale wiekowym, co oni. Od razu wiedzieli, co się święci. Ustawili corvette na równi z potencjalnymi rywalami i pasażer porozumiał się z przeciwnikami po prawej. Nie musiał słyszeć odpowiedzi. Uśmiech na twarzy kierowcy nissana wystarczył za potwierdzenie.

— Dobra. Są już nasi. Jeżeli wygrasz, stawiam następne piwo!

— Czyli warto się postarać!

Kierowcy zredukowali prędkość do sześćdziesięciu na godzinę. Po trzecim klaksonie corvetty, który zakończył odliczanie, pojazdy szarpnęły do przodu.

Japończyk nie dał żadnych szans amerykańskiemu potworowi. Podobna ilość koni widniała tylko na papierze. Dzięki niewidocznemu tuningowi Nissan zyskał ponad sto więcej i szybko zostawił przeciwnika w tyle.

— Cholerny, japoński gad! — krzyknął kierowca corvetty, gdy zobaczył oddalający się samochód rywali.

— Czyli ty stawiasz — rzucił wesoło pasażer.

— To gdzie teraz?

— Na stację. Po paliwo dla nas i dla naszego nowego cudeńka!

Zjechali z międzystanowej. Najbliższa stacja benzynowa była zaledwie pięćset metrów dalej.

— Ja nie wychodzę z wozu. Kręci mi się we łbie — oznajmił kierowca.

— Niech ci będzie. Zatankuję i kupię piwo. Masz pięć minut, żeby się zregenerować!

— Nie zapomnij o czapce!

— Patrz na siebie. I żebyś nie zarzygał tego wózka!

— Dobra, spadaj już i przynieś coś do picia.

Pasażer wysiadł. Nagła zmiana pozycji wywołała u niego lekki zawrót głowy. Nie wypił tyle, co towarzyszył, ale procenty dały mu się ostro we znaki. Podczas tankowania na wszelki wypadek przytrzymał się dystrybutora.

Po napełnieniu sporego baku paliwożernej maszyny udał się w stronę całodobowego sklepu, gdzie również mieściła się kasa. Zabrał ze sobą puste butelki, które tej nocy zdążyli już opróżnić, żeby niepotrzebnie nie wały się po samochodzie. Wyrzucił je do kosza stojącego obok wejścia i pchnął drzwi.

Była trzecia w nocy i oprócz nich na stacji nie było żywej duszy. Ekspedient drgnął, usłyszawszy brzęk butelek wpadających do metalowego pojemnika ustawionego na zewnątrz. Gdy odwrócił głowę, zobaczył podejrzanego typka wchodzącego chwiejnym krokiem do środka. Miał spuszczoną głowę, a na niej baseballówkę, której daszek zasłaniał ponad połowę twarzy.

Pracownik małego marketu wiedział, że tacy nigdy nie zwiastują niczego dobrego. Niepostrzeżenie przesunął rękę pod ladę. Strzelba leżała tam, gdzie zawsze. Kątem oka śledził każdy ruch potencjalnego przestępcy. Przybysz minął go i poszedł na tył sklepu. Kasjer odetchnął. Zerknął na monitor pokazujący obraz z kamery zamontowanej w rogu, nad ostatnim regałem.

Młody mężczyzna wyciągnął z lodówki sześciopak Budweisera i udał się w stronę kasy. Położył na ladzie piwa, a obok wylądowała zmięta „stówka”. Zapłacił za zakupy oraz za paliwo i opuścił market. Jeżeli byłby w pełni sił, prawdopodobnie próbowałby coś zwinąć, ale po wejściu do sklepu dopadły go okropne mdłości i chciał jak najszybciej znaleźć się na świeżym powietrzu.

— Stary, potrzebuję przerwy... — powiedział do kierowcy, przekazując mu piwa.

Usłyszał syknienie. — Nie masz już dość? Przed chwilą...

— Dopiero się rozkręcam!

— Myślałem, że ze mną wszystko dobrze, ale gdy wstałem, to nieźle mnie zemdliło. Wracajmy...

— Chyba ocipiałeś! Nie ma mowy! Wracamy... ale na międzystanową!

— Nie, nie. Mam już dość takiej jazdy. Jeszcze parę razy wdepniesz gaz i puszczę pawia. Nie żartuję.

— Ciota! To co proponujesz? Ooo... Mam pomysł. Pojedźmy w okolice jakiegoś klubu. Bardziej pijane panienki powinny zbierać się już do domów. Będziemy robić za taksówkę i kasować w naturze.

— Taksówkę? Przecież tu są tylko dwa miejsca!

— No właśnie! Będzie przyjemniej!

— Dobra... Cokolwiek, byle nie szybko i gwałtownie!

Spod maski wydobył się przyjemny warkot. Ruszyli — tym razem powoli.

Kilkanaście przecnic dalej zobaczyli pierwsze cele. Długie włosy, krótkie spódniczki, bluzki odsłaniające górną część pleców i dziesięciocentymetrowe szpilki. Nie mogli lepiej trafić. Kierowca opuścił szybę od strony pasażera i zawołał:

— Hej, panienki! Może mała podwózka?

Trzy dwudziestoparolatki wymieniły między sobą porozumiewawcze spojrzenia. Właśnie wracały z imprezy i nie miały ochoty na kolejną.

— Nie, dzięki. Mieszkamy niedaleko. Zresztą... twój kolega nie wygląda na zainteresowanego.

— Hej, cipko... obudź się, bo psujesz mi wizerunek — szturchnął kolegę.

Kobiety roześmiały się i poszły dalej.

Zawiedziony amant mocno wdepnął pedał gazu, a zaraz później hamulec. Samochodem mocno szarpnęło. Pasażer od razu oprzytomniał.

— Ej! Miałeś tak nie robić!

— Sam jesteś sobie winien. Przez ciebie straciłem dobry towar!

— Odwieź mnie... Źle się czuję...

— Co za baba! No dobra, niech stracę...

Ciszę nocną przeszył pisk opon. Corvette szarpnęła do przodu, pozostawiając czarny ślad na asfalcie.

Kierowca sam czuł się trochę dziwnie. Rozmyty wzrok i opadające powieki nie świadczyły dobrze o jego stanie. Coraz częściej przecierał zmęczone oczy.

— A co z samochodem? Przecież nie odstawimy go właścicielowi. Ostatnim razem zniknąłeś gdzieś z panienką i zostawiłeś mnie samego z tym problemem!

— Porzucmy go na jakimś parkingu i już. Skręć tutaj, będzie szybciej.

— Dobra — odwrócił głowę w stronę towarzysza. — Ale ostatni raz ratuję...

Nagle szarpnęło samochodem i z podwozia wydobyły się zgrzyty. Po chwili uderzyli w coś, co rozbiło przednią szybę.

Kierowca z całej siły wdepnął pedał hamulca. Opony zapiszczały i pojazd w momencie się zatrzymał.

— O cholera!

— Co się stało? — zapytał półprzytomny pasażer.

— Chyba kogoś potrąciłem!

— Co zrobiłeś?!

— Patrz... — Sprawca wypadku pokazał na rozbitą, zakrwawioną szybę. Wysiedli z lekko przechylnego wozu.

— Tam ktoś leży!

— Stary, wjechałeś na chodnik! Odwaliło ci?!

— Może nikt nie widział! Spadajmy stąd zanim pojawi się policja!

— Oszalałeś?! Musimy jej pomóc! — Nastolatek pobiegł w stronę leżącej ofiary.

— Rób, co chcesz... Ja spadam — warknął pod nosem kierowca i zniknął w pobliskich zaroślach.

Pijany pasażer zygzakiem dobiegł do ofiary. Gdy zobaczył jej zakrwawioną, obitą i pociętą twarz, zwymiotował. Upadł na kolana i podparł się rękami.

Dziewczyna leżała na boku, z prawą ręką wykręconą do tyłu. Nogi miała poharatane, a sukienkę rozdartą. Jej otwarte oczy i bezdech mówiły same za siebie. Odwrócił ją na plecy i ułożył w pozycji na wznak. Miał problem ze skoordynowaniem ruchów. Przyłożył swoje usta do ust ofiary i zatykając jej nos, wdmuchnął tyle powietrza, ile zdołał. Zaczął uciskać klatkę piersiową. Pogubił się w liczeniu. Zrobił głęboki wdech i wdmuchnął następną porcję

powietrza do płuc ofiary.

Dziewczyna drgnęła. Zachłysnęła się własną krwią i odkaszlnęła, opluwając tym samym twarz nastolatka zabarwioną na czerwono wydzieliną. Nie miała szans. Poważne obrażenia, jakich doznała podczas uderzenia o maskę i szybę samochodu, spowodowały rozległy krwotok wewnętrzny. Jej ciałem zaczęły wstrząsać drgawki.

Młody mężczyzna przestraszył się. Nie wiedział, co ma robić. Patrzył bezradnie na konającą ofiarę. Wreszcie uspokoiła się. Zamknęła oczy i pozostała w bezruchu. Przekrzywiła głowę w jego stronę. Z kącika ust popłynęła krew.

Usłyszał czyjś krzyk. Na chodniku, w odległości niecałych pięćdziesięciu metrów, zatrzymało się dwoje ludzi. Nie mógł już jej pomóc. Teraz musiał pomóc sobie. Wrócił do samochodu i usiadł na miejscu kierowcy. Pierwsze dodanie gazu zakończyło się niekontrolowanym szarpnięciem i zadławieniem silnika.

Delikatniej, idioto! Był pijany na umór i całkowicie rozkojarzony sytuacją, która miała miejsce kilkanaście minut temu. Nie potrafił skupić się na jeździe. Dopiero za trzecim razem uruchomił pojazd. Natychmiast dodał gazu i ruszył. W lusterku zobaczył światła dwóch radiowozów pędzących na sygnale w jego stronę. Jeden nich zatrzymał się nieopodal zwłok, a drugi ruszył za nim w pościg.

Podczas ucieczki niedoświadczony kierowca corvetty często zmieniał pas ruchu, ale robił to praktycznie nieświadomie. Neurony w jego mózgu nie działały tak jak powinny. Po czterech kilometrach policyjny samochód nadal siedział mu na ogonie. Co jakiś czas słyszał niewyraźne słowa wypadające z głośnika radiowozu, ale nie potrafił niczego zrozumieć.

Rozpoczął się las. Przypomniawszy sobie... Kiedyś tędy jechał. Gdzie jest ta droga, zachodził w głowę. Po chwili dostrzegł stary, zniszczony znak wskazujący lokalizację zakładu przetwórczego, który od kilku lat był zamknięty. Natychmiast zjechał z głównej drogi. Policjanci w ścigającym go radiowozie zrobili to samo.

Nagle, nie wiedząc dlaczego, szarpnął kierownicą. Wydawało mu się, że jakieś zwierzę przeleciało tuż przed maską. Samochodem zarzuciło i wpadł w poślizg, ustawiając się prostopadle do drogi. Duża prędkość spowodowała, że zaczął koziołkować. Ostatnie, co zobaczył młodociany przestępca, to wirujący pień drzewa szybko zbliżający się do maski samochodu.

Zerwał się z łóżka. Jego ubranie było przeopcone, a serce waliło mu jak młotem. Usiadł i oparł się o zimną ścianę. Ogarnął go zbawienny chłód. Był cały obolały, a jego twarz wyglądała, jakby właśnie opuścił ring po ciężkiej walce bokserskiej. Na szczęście, podczas wypadku nie doznał żadnych złamań. Lekarz stwierdził tylko lekki wstrząs mózgu. Nic nie zagrażało jego życiu.

Usłyszał jakiś szmer i trzask zamka. Z trudem wstał i podszedł do krat. W jego stronę maszerowali strażnik w niebiesko-granatowym mundurze oraz adwokat, który został mu przydzielony z urzędu. W prawej ręce niósł teczkę i wesoło debatował o czymś z wartownikiem. Gdy zbliżył się do celi, spoważniał i przybrał minę adekwatną do sytuacji.

— Proszę się cofnąć — rozkazał rosły strażnik i odblokował zamek.

Młody mężczyzna posłusznie wrócił na pryczę.

— Możesz zostawić nas samych — oznajmił adwokat. Wszedł do celi i usiadł obok klienta.

— I co? Jak to wygląda?

— Nie za dobrze. Jeżeli przyznasz się, okażesz skruchę i dodamy do tego, że starałeś się pomóc ofierze, to skończy się na kilku latach odsiadki.

— Ale ja tego nie zrobiłem!

— Niestety... Wszystkie dowody wskazują na ciebie. Jeżeli mówisz prawdę, to powiedz, kto prowadził.

— Nie jestem donosicielem!

— To daj mi coś, co mógłbym przedstawić w twojej obronie... Chociaż jeden dowód niewinności. Na litość boską, człowieku! Na kierownicy są twoje odciski palców!

— Mówiłem, że gość miał rękawiczki...

— To nie koniec... Nie dość, że nie miałeś prawa jazdy, to jeszcze uciekałeś przed policją i prowadziłeś po pijaku. A żeby tego było mało, trafiłeś na twardego oskarżyciela. Jeżeli nie pójdiesz na ugodę i nie przyznasz się, to za chwilę nie będę ci już w stanie pomóc. Do oskarżenia dodają kradzież samochodu, pobicie właściciela, krzywoprzysięstwo i Bóg jeden wie, co jeszcze. Wyjdiesz z więzienia, będąc starcem! Tego chcesz?

— A ten facet ze stacji benzynowej?

— Pytałem go. Kojarzy tylko ciebie.

— A kamery? Musiały zarejestrować, że wysiadam i wsiadam od strony

pasażera.

— I tak też było, ale bez nazwiska kierowcy niczego nie zdiagnozowałam. To cię widzieli na miejscu wypadku i to ty uciekałeś przed policją. Czy tak postępuje niewinny człowiek? Zrozum to wreszcie. Daj mi to cholerne nazwisko, a spróbuję cię jeszcze z tego wyciągnąć.

— Nie...

Adwokat pokręcił głową i wstał.

— W takim razie, nic tu po mnie. Joe! — wezwał strażnika. — Pamiętaj... Dopóki nie zapadnie wyrok, masz jeszcze szansę.

Wartownik wypuścił obrońcę i zablokował drzwi. W drodze powrotnej mężczyźni wznowili luźną rozmowę, której wcześniej nie dokończyli. Jednak i tym razem musieli przerwać, słysząc wołanie za plecami.

— Proszę pana! Proszę poczekać!

Mężczyzna w garniturze zawrócił. Miał nadzieję, że nastolatek zmądrzał i zmienił zdanie. Może jednak nie jest taki głupi, na jakiego wygląda, pomyślał.

— Dobra. Zgadza się...

— W porządku. Oby nie było za późno. — Obrońca sięgnął do torby i wyciągnął notes.

— Źle mnie pan zrozumiał... Przyznaję się do potrącenia tej kobiety.

Mężczyzna o mały włos nie wypuścił długopisu z dłoni. Spojrzał na klienta wilkiem, oparł się o kraty i z niedowierzaniem pokręcił głową.

— Jesteś cholernie uparty, ale z dwojga złego, lepsze to niż pół życia odsiadki.

Nastolatek wrócił na pryczę. Usiadł i rozluźnił się. Ratując kolegę, wziął winę na siebie. Nie wiedział, czy dobrze robi, ale wydawało mu się, że to jedyna słuszna decyzja, jaką mógł podjąć. Czuł się współwinny śmierci tej dziewczyny, a donoszenie uważał za najgorszą rzecz na świecie.

Pół godziny później z pokorą opuścił celę i ze spuszczoną głową przekroczył próg sali sądowej. Wolał obiecany łagodny wyrok niż zdradę. Jednak pani oskarżyciel miała inne plany i nie dotrzymała zawartej umowy. Biorąc pod uwagę okoliczności łagodzące, zażądała nie pięciu, a dziesięciu lat pozbawiania wolności z możliwością starania się o zwolnienie warunkowe po odbyciu ośmiu lat kary. Było to znacznie więcej, niż określała niepisana ugoda, na jaką przystał nastolatek.

Obrońca próbował zareagować, protestować, ale sędzia ostatecznie odebrał mu prawo głosu i zagroził karą grzywny za obrazę sądu. Chłopak spojrzał pogardliwie na kłamliwą oskarżycielkę, która ukradkiem uśmiechnęła się do niego. Nikt tego nie zauważył... Nikt, oprócz oszukanego skazańca. Gdyby mógł, na miejscu skręciłby jej kark i zdarł ten fałszywy uśmiech z twarzy.

Po ogłoszeniu wyroku sędzia opuścił salę, a winnego zakuto w kajdanki, wyprowadzono na zewnątrz i wsadzono do radiowozu czekającego przed budynkiem sądu.

Obrońca, którego oszukano, siedział jeszcze przez chwilę na sali. Nie mógł uwierzyć, jak łatwo dał się podejść. Ostrzegali mnie przed tą kobietą. Dlaczego jej uwierzyłem, zastanawiał się. Po chwili zadumy postanowił zareagować. Poszedł w stronę gabinetu sędziego. Chciał osobiście przedstawić mu całą sytuację i powiedzieć, jakie obłudne osoby krążą na co dzień po korytarzach tej instytucji.

Gdy wszedł do jego biura, ten właśnie zdejmował togę.

— Przepraszam, mogę?

— Wejdz, Adamie... Masz nietęgą minę. Coś się stało?

— Młody, niewinny chłopak poszedł do więzienia i to na osiem lat!

— Przyhamuj trochę! Mogę się zgodzić, że młody, ale niewinny... To już chyba lekka przesada.

— Miał zasady. To źle?

— Ciesz się, że oskarżycielka nie dodała utrudniania śledztwa poprzez niewskazanie współwinnego, który podobno uciekł z miejsca zdarzenia i nie udzielił pomocy poszkodowanej.

— Podobno nie wierzyliście, że był ktoś jeszcze.

— Nieważne, w co wierzymy. Ważne, co potrafimy udowodnić — wyjaśnił spokojnie sędzia.

— A ta butelka znaleziona w krzakach nieopodal miejsca zdarzenia? Mogła zostać porzucona przez uciekającego. Dlaczego nie dopuściliście jej jako dowodu?

— Błagam cię... Każdy mógł ją zostawić. Przestań! Chłopak się przyznał!

— Bo nie miał innej opcji! Miał do wyboru pięć lat albo dwadzieścia pięć!

— Tylko nie tym tonem! — ostro zareagował sędzia. — Pamiętaj, że wstawiasz się za skazańcem, który sam przyznał się do winy. A poza tym... jakie pięć lat? Dostał dziesięć.

— I właśnie w tej sprawie tak naprawdę przychodzę. Ta su... wielka pani oskarżyciel umówiła się ze mną, że wystąpi o łagodną karę. Zaproponowała pięć lat za przyznanie się do winy, a na sali wyskoczyła z dziesięcioma!

— Zdarza się... Może przemyślała decyzję i uznała ją za zbyt pochopną w stosunku do popełnionego przestępstwa.

— To sąd, a nie cyrk! Tutaj nie robi się jaj z kolegów!

— Ostatni raz cię ostrzegam! — Sędzia pogroził mu palcem jak uczniowi w szkolnej ławce. — Posłuchaj... Chłopak przyznał się i w świetle prawa otrzymał to, na co zasłużył. Sam powiedziałaś, że mógł dostać znacznie surowszy wyrok. A gdyby to twoja córka została potrącona tej nocy i leżała teraz na cmentarzu? Też byłbyś za najniższym wyrokiem?

Obrońca zamilkł. Pomimo bojowego nastawienia, ostatnie zdanie zrobiło na nim spore wrażenie. Pokręcił głową i oparł ręce na biodrach.

— Samantha Snyder zrobiła to, co do niej należało. Wskazała winnego i szybko doprowadziła sprawę do końca. Na kierownicy są jego odciski palców. Niech smarkacz się cieszy, że idzie do więzienia, bo gdyby to ode mnie zależało albo gdyby to moja córka była teraz martwa, to załatwiłbym tę sprawę inaczej.

Adwokat nic już nie dodał. Tę bitwę przegrał i to z kretesem. Zarówno na sali, jak i w tym pokoju. Pożegnał się i wyszedł.

Sędzia zamknął drzwi na klucz. Miał godzinę do następnej rozprawy i musiał się zrelaksować. Minął biurko zavalone papierami i otworzył drzwi do małego, prywatnego pokoju, gdzie znajdowała się niewielka kozetka, telewizor i kilka półek z książkami.

— Co za bezczelny cham! Jak małe dziecko, któremu coś się nie udało! Przyszedł i naskarżył na mnie! — rzuciła nerwowo Samantha Snyder i wstała z sofy.

— Oszukałaś go...

— Sam się oszukał! Wiedział z kim ma do czynienia. Ci, którzy bronią takie szumowiny, zawsze będą mieli pod górkę. Powinien się już do tego przyzwyczaić.

— Ciesz się, że biegli szybko stwierdzili poczytalność tego chłopaka oraz pełną świadomość popełnionego czynu.

— Bardziej się cieszę, że nie dopuściłeś tej butelki jako dowodu.

— Jak już mówiłem... Nie lubię długich procesów. — Złapał kobietę wpół i przyciągnął do siebie. — Dobrze się spisałaś. Za niedługo MacArthur

ustępuje ze stanowiska i będą szukać nowego prokuratora. Założę się, że nie omieszkają zapytać mnie o zdanie.

— No i kogo im wskażesz? — zapytała prowokująco.

— Może... Wooda?

Dostał ostrego kuksańca między żebra. Pchnęła go na sofę i usiadła mu na kolanach.

Umizgi przerwało im pukanie do drzwi.

— Spokojnie... Są zamknięte na klucz — oznajmił.

— Sędzio Paxton... Nie wiedziałam, że jest pan aż tak przewidujący.

— Długie lata w tym zawodzie zrobiły swoje...

TYDZIEŃ III

PONIEDZIAŁEK

Stephanie Maison padała z nóg. Była brudna, przepecona, zmęczona, ale zadowolona z efektów swojej pracy. Po szoku, jakiego doznała poprzedniego dnia, kiedy znalazła ciało nieznanego mężczyzny w piwnicy, nie było już prawie śladu. Pozostała tylko niepewność i obawa o męża.

William nigdy nie zniknął na tak długo. Czyżby zamordował tego człowieka i uciekł, zostawiając mnie samą z tym wszystkim? A może ktoś go porwał? Jeżeli on to zrobił, to musiał mieć bardzo ważny powód.

Nie miała pojęcia, co wydarzyło się podczas jej nieobecności w domu. W pierwszej chwili chciała wezwać policję, trzymała już nawet w dłoni telefon, ale szybko zrezygnowała z ryzykownego pomysłu. Przez całe życie doskonale dogadywała się z mężem i nie chciała go stracić. Świeży trup w piwnicy byłby dość jednoznaczną wskazówką. Poza tym... zaczęliby wszędzie węszyć. Przecież dzieci miały swój pokój zabaw naprzeciwko *cmentarza*. Zamknęliby ją, jeżeli to wszystko wyszłoby na jaw! Co więcej, Bryan mógł przez to wylądować w domu dziecka.

Nie mogła sobie pozwolić na stratę jedyne, rodzonego syna. Ostatnia myśl zaważyła nad wszystkim. Całą noc zastanawiała się nad rozwiązaniem. Rankiem tylko Bryan dopytywał o ojca. Zbyła go jednym zdaniem: Tatuś dostał z pracy wiadomość, że musi wyjechać na kilka dni. Ostatecznie wzięła wolne w poniedziałek i po wyprawieniu Mike'a do szkoły oraz włączeniu dzieciom bajek, złapała za łopatę, zakopała ciało i wyniosła resztę ziemi. Najlepiej jak umiała, ułożyła drewno i płytki, stwarzając iluzję posadzki. William zrobi to porządnie, jak wróci. Na razie musi wystarczyć, pomyślała.

Otworzyła wszystkie okna, aby pozbyć się nieprzyjemnego zapachu. Cały dom, od piwnic aż po strych, spryskała odświeżaczem powietrza. Kolejną czynnością była likwidacja śladów bytności dzieci w piwnicy. Brudne prześcieradła i zniszczone zabawki zapakowała do worków. Zamiotła wszystko i przeniosła do tej piwniczki kilka gratów z pozostałych pomieszczeń.

Na zamaskowanym *grobie* ułożyła folię, a na niej stertę opon.

Pozostało jeszcze wyrzucić *śmieci*. Pół godziny krążyła po centrum miasta,

dopóki nie dostrzegła śmieciarki. Wyprzedziła ją i skręciła w boczną, wąską uliczkę pomiędzy dwoma wieżowcami. Z bagażnika wyjęła worki i wrzuciła je do dużego, metalowego kontenera. Zatrzymała się po drugiej stronie ulicy, aby upewnić się, że wszystkie brudy szybko trafią tam, gdzie powinny.

Po godzinnym wypadzie wróciła do domu z zapasem odświeżacza. Kupiła też nowe zabawki i kilka przyzwoitych ubranek dla chłopców. Na progu powitał ją Bryan.

— Mamo! O której będzie obiad? — dopytywał. — Jestem głodny!

— A byliście grzeczni?

— Taak! — krzyknął. — Przez cały czas oglądaliśmy bajki, tak jak kazałaś — wyjaśnił pięciolatek.

— W takim razie za dziesięć minut. Wystarczy podgrzać pizzę. — Z papierowej torby wyciągnęła trzy wilgotnawe kartony.

Bryan w przyпіływie radości porwał je, uniósł nad głowę niczym zdobycz i pobiegł z nimi do kuchni.

Na charakter Don Corleone złożyło się kilka prostych czynników. Południowoeuropejski, ognisty temperament oraz zamiłowanie do śródziemnomorskiej kuchni odziedziczył po matce, która wychowała się we włoskim, nadmorskim miasteczku Formia, oddalonym o siedemdziesiąt kilometrów od Neapolu. Brutalność przejął po ojcu, który regularnie bił matkę, a gdy skończył, wyżywał się także na synu oraz na każdym, kto akurat był pod ręką. Z kolei styl życia i sposób zarabiania pieniędzy podejrzwał u stryja, który pozorując samobójstwo swojego brutalnego, jedyne go brata, zabił go, a następnie zamieszkał z jego żoną i przejął jego majątek. Zaopiekował się także przestraszonym piętnastolatkiem, któremu brakowało solidnych wzorców i ukształtował go na swoje podobieństwo.

Pierwszą kradzież chłopak zaliczył niecałe pół roku po tragicznej śmierci ojca. Pierwsze wymuszenie — kilka miesięcy później, a przed ukończeniem osiemnastego roku życia, miał już na koncie dwie ofiary. Szybko zaadaptował się do nowego otoczenia. Dzięki przybranemu ojcu był praktycznie nietykalny, dopóki nie wyrobił sobie na ulicy odpowiednio szanowanej pozycji, by nietykalnym pozostać.

Obecnie — w wieku czterdziestu dziewięciu lat — nie bawił się już w złodzieja, porywacza czy mordercę. Z dawnych nawyków pozostało tylko pożyczanie pieniędzy na wysoki procent zdesperowanym obywatelom potrzebującym natychmiastowego finansowego wsparcia. Brudną robotę

zostawiał innym, a sam — za pieniądze zarobione przez prawie ćwierć wieku — otworzył trzy duże restauracje, gdzie raczono podniebienia ekscentrycznych gości wyrafinowanymi, śródziemnomorskimi specjałami.

Pierwsza restauracja powstała w Cleveland, druga w Pittsburghu, a trzecią otworzył w centrum stolicy stanu Ohio — Columbus. Zakładał, że w najbliższym czasie powstanie kilka kolejnych, ale zawsze starał się być perfekcjonistą i nie spieszył się z podjęciem decyzji o ich lokalizacji. Miał na to dużo czasu.

Najtrudniej było mu otworzyć pierwszą. Zastraszanie lokatorów budynku, który chciał przejąć, trwało niezmiernie długo. W końcu *przypadkowa* śmierć dwóch z nich przekonała resztę i droga do spełnienia marzeń była otwarta. Od tego czasu zaczął prowadzić normalne życie, co w jego przypadku znaczyło, że powstrzymał się od mordowania ludzi.

Dopiero incydent ze złodziejem, który ukradł mu wieczorny łup z kasyna w postaci dwudziestu tysięcy dolarów w gotówce, obudził w nim uspięone instynkty. Minęły już ponad dwa dni od tego wydarzenia, a on nadal czuł kipiącą w nim złość. Zastanawiał się, ile mógłby przeznaczyć na nagrodę za przyprowadzenie tego człowieka przed swoje oblicze.

— Pięć tysięcy? Nie... to za mało. Piętnaście! To brzmi lepiej. Gdybym dał powyżej dwudziestu, to przyprowadzaliby mi przypadkowych ludzi prosto z ulicy, żeby tylko dostać nagrodę!

Goryl Don Corleone stał przy drzwiach i cierpliwie wysłuchiwał jego monologu.

— A może dziesięć tysięcy? Tak! Tyle wystarczy! Nie możemy zrobić z niego bohatera, żądając zbyt wiele za jego głowę.

Rozważania przerwał mu młody kelner, który przyniósł zamówione danie. Don Corleone całkowicie zapomniał, że dwadzieścia minut temu prosił o risotto.

— Czy życzy pan sobie czegoś jeszcze?

Gangster nie odpowiedział. Zamyślony pokiwał tylko przecząco ręką.

Od kilku minut przed restauracją panował ożywiony ruch. Znany amerykański futbolista Jason Kane, wraz z nową narzeczoną — sławną modelką Jessicą Blant — stali przed wejściem i rozdawali autografy. Miesiąc temu media okrzyknęły ich najgorętszą parą roku i wszędzie, gdzie się pojawiali, towarzyszył im tłum gapiów oraz flesze dziennikarzy i

paparazzich.

Zakapturzony mężczyzna idący chodnikiem musiał wyjść do połowy jezdni, aby ominąć rozentuzjasmowany tłum witający przyszłą młodą parę. Świetnie! Nie mogłem lepiej trafić, ucieszył się. Zamieszanie panujące przed głównym wejściem było idealną przykrywką dla tego, co chciał zrobić.

Miał ubrane rękawiczki, a ręce trzymał w kieszeniach. Było parno i czuł, że pocą mu się dłonie, ale nie mógł sobie pozwolić na pozostawienie jakichkolwiek śladów. Jego cel był już niedaleko, dosłownie parę metrów przed nim.

Czerwony, metaliczny lakier ferrari Don Corleone pięknie połyskiwał i odbijał światła przydrożnych latarni. Auto stało przodem do niego, stroną kierowcy przy krawężniku.

Tajemniczy osobnik zbliżył się do pojazdu i sprawdził, czy ktoś za nim idzie. Na szczęście, wszyscy byli teraz zajęci czymś innym. Z lewej kieszeni wyciągnął dwa przedmioty. Najpierw niewielka koperta wylądowała na siedzeniu kierowcy, a sekundę później dwumililitrowa strzykawka z igłą poleciała za sportowy fotel. Energicznie kopnął w tylną oponę drogiego samochodu i zaczął biec.

Włączył się alarm. Kilku zaciekawionych dziennikarzy odwróciło głowy. Oprócz szalejących świateł sportowego wozu i jakiegoś biegacza, nie dopatrzyli się niczego nadzwyczajnego. Szybko stracili zainteresowanie i powrócili do fotografowania supergwiazd.

Podejrzany osobnik skręcił w najbliższą alejkę. Poprawił kaptur i zdjął rękawiczki. Zaczekał. Musiał mieć pewność, że przesyłka trafi we właściwe ręce.

Po niecałej minucie, kiedy tłum przed głównym wejściem przeredził się, przy drzwiach pojawił się Don Corleone w towarzystwie barczystego ochroniarza, który ledwo potrafił za nim nadążyć.

— Cholerne dzieciaki! — zaklął właściciel ferrari, kiedy zobaczył jakąś ulotkę na siedzeniu. — Zero szacunku dla cudzej własności!

— Mam sprawdzić kamery?

— Nie... — Właściciel restauracji sięgnął po papierek, który okazał się nieopisaną kopertą.

— Co to?

— Pewnie jakiś głupi żart — oderwał zabezpieczenie i wyciągnął małą kartkę, na której było wydrukowane tylko jedno zdanie.

Człowieka, który zabrał Twoje pieniądze, znajdziesz dziś o 0:00 w opuszczonym magazynie na terenie starego złomowiska przy Bellaire Rd.

Przyjaciół

— Co tym razem? Pogrożki czy szantaż? — zapytał nieświadomy ochroniarz.

— Wskazówka... — odparł tajemniczo Don Corleone i zerknął na zegarek. — Dochodziła dwudziesta druga. — Namysliłem się. Sprawdzisz te kamery?

— Oczywiście.

Sięgnął po telefon. Potrzebował specyficznego rodzaju pomocy, którą w tej chwili mógł mu zapewnić tylko jeden człowiek.

— Wujku, potrzebuję na wieczór troje ludzi i furgonetkę. Znajdziesz kogoś w ciągu godziny? — Pozytywna odpowiedź ucieszyła gangstera, który znowu poczuł dreszczyk emocji. — Świetnie. W takim razie będę u ciebie po jedenastej. Do zobaczenia...

— Panie Bloom, ktoś do pana! — zawołał barman.

Właściciel opuścił swoje biuro i wyszedł na salę. Gdy tylko dostrzegł człowieka w białym garniturze z grupą wsparcia obok siebie, od razu wiedział, kto chciał z nim rozmawiać.

— Don Corleone, dawno cię tutaj nie widziałem.

— Witaj, Samuelu... — Gangster objął starego znajomego i poklepał go po plecach.

— Słyszałem, że zostałeś restauratorem.

— Plotki... I tak nie przebiję piwa i hamburgerów, którymi trujesz swoich gości! — roześmiał się. — Swoją drogą... Mógłbym dostać jednego?

— Jasne! — Bloom złożył priorytetowe zamówienie. — A jak stryj? Słyszałem, że podupadł na zdrowiu...

— To prawda. Ma raka płuc, ale nie przejmuje się tym. Zresztą... wiesz, jaki on jest.

Kelnerka przyniosła hamburgera.

— Usiądźmy — zaproponował właściciel.

— Jasne. Chłopcy, poczekajcie tu na chwilę. Zamówcie sobie, co chcecie. Na mój rachunek.

Pakerzy usiedli na barowych stołkach, które zasyczały pod naporem sporej

masy. Tymczasem dwaj starzy znajomi zajęli wolny stolik pod oknem.

— O tak! — Don Corleone zrobił pierwszy kęs. — Już wiem, dlaczego kiedyś tak często odwiedzałem ten lokal!

— Z tego, co pamiętam, to dla łatwych panienek.

— Nie śmiałybym zaprzeczyć... — potwierdził półzartem.

— Kubki smakowe ogłupiłeś śródziemnomorskim gównem i zapomniałeś, jak smakuje prawdziwe amerykańskie żarcie.

— Chyba wprowadzę tego hamburgera do mojego menu.

— A tak na poważnie... Dlaczego wróciłeś na stare śmieci?

— Z powodu tego... — Wyjął z kieszeni kartkę i podał ją właścicielowi baru.

— Nie rozumiem... — zdziwił się Bloom po przeczytaniu krótkiej wiadomości.

— Ja też nie — wybełkotał z pełnymi ustami Don Corleone.

— Chodzi o moje złomowisko?

— Tak... No chyba, że na tej ulicy jest jeszcze jakieś inne.

— Nie...

— W takim razie lokalizacja się zgadza. Myślałem, że pomożesz mi w ustaleniu, kto bawi się w Świętego Mikołaja. Jeżeli to, co tutaj napisał, jest prawdą, to mam u niego spory dług. Przez chwilę pomyślałem nawet, że to mogłeś być ty.

— Nie mam pojęcia, kto to napisał. Na pewno nie ja! Ale teraz już wiem, po co wzięłeś goryli.

— Dobrze, że o nich wspomniałeś. Nie zrozum mnie źle. Szanuję twoją własność, ale muszę tam wejść. Mam nadzieję, że mi wybaczysz. — Gangster obrzucił właściciela spojrzeniem, któremu nie można odmówić.

— Rób, co musisz, ale mnie w to nie mieszaj.

— Spokojnie. Upozorujemy włamanie.

— A jeżeli go tam znajdziesz?

— To znaczy, że nie będę musiał się włamywać, bo ktoś już to zrobił za mnie.

— Pytałem poważnie.

— Tak, jak prosiłeś... Nie będę cię w to mieszał.

— Gliny zaczną zadawać pytania.

— Dlatego rozmawiamy tutaj. W razie problemów setka ludzi zezna, że widziała cię w barze. Zostań na sali. Dosiądź się do kogoś. Odnów stare znajomości. — Don Corleone wytarł usta oraz dłonie papierową serwetką.

— Dziękuję...

— Wiedz, że szanuję starych znajomych. To ja dziękuję. A jedzenie pierwsza klasa. Pora na deser. — Wstał od stołu, pożegnał się i wsunął wypchaną kopertę do kieszeni Blooma. — A to za ewentualne nieprzyjemności.

Ochroniarze ciągle mieli szefa na oku i zebrali się, gdy tylko ruszył w stronę wyjścia. Podejrzanie wyglądająca grupa opuściła lokal. Wsiedli do szarej furgonetki i podjechali pod bramę. Jeden z osiłków wyskoczył i przy pomocy olbrzymich nożyc do drutu przeciął łańcuch spięty na końcach mosiężną kłódką.

O tej porze złomowisko było opustoszałe. Teren był zbyt duży, aby dało się go kontrolować, więc Bloom ostatecznie całkowicie zrezygnował z ochroniarzy i strażników. Wartościowe części wymontowywano zaraz po przekazaniu samochodu do złomowania i składowano je w dobrze strzeżonym, nowym magazynie, stanowiącym integralną część olbrzymiego kompleksu, w którego skład wchodził również bar.

Don Corleone był już tutaj, ale w ciemnościach wszystko wyglądało inaczej. Kluczyli między olbrzymimi stertami starych samochodów ułożonych jeden na drugim w kilkumetrowe stosy. Były tu niemalże wszystkie modele i roczniki pojazdów, wyprodukowanych w Stanach przez ostatnie pół wieku.

— Tu musi być z milion wraków! — zawołał kierowca, który kompletnie się pogubił.

— Spróbuj w lewo — poinstruował szef.

Ostro skręcili. Światła reflektorów padły na nagą parę, która szybko uciekła między zniszczone samochody.

— Widzieliście?! Może się dołączymy?! — zawołał jeden z oprychów.

— Skupcie się! Gdzieś tutaj musi być ten cholerny magazyn!

— Tam jest! — Kierowca wskazał na duże płyty srebrnoszarej blachy wyraźnie kontrastującej ze stosami pordzewiałych wraków.

Zatrzymali się przed bocznym wejściem. Było znacznie prostsze do sforsowania niż główna brama. Założyli rękawiczki i wzięli latarki. Osilek siedzący z przodu, na miejscu pasażera, jako pierwszy wyskoczył z

furgonetki. Chwycił masywne nożyce i już wziął zamach, chcąc rozwalić zamek w drzwiach, kiedy Don Corleone złapał za koniec narzędzia.

— Gdzieś ty się wychowywał? Miej szacunek dla cudzej własności. A poza tym... — nacisnął klamkę i pchnął drzwi — mamy zaproszenie! Ty zostajesz tutaj — rozkazał kierowcy. — Jeżeli zobaczysz coś podejrzanego, zatrąb dwa razy.

Wewnątrz przywitały ich egipskie ciemności. W powietrzu unosił się zapach gumy, metalu, rdzy, smaru i oleju. Oświecili latarkami posadzkę. Wyglądała jak pole minowe. Wszędzie walały się jakieś części. Dostrzegli kilka wraków, opróżnione szafki na narzędzia, podnośnik do silnika i parę innych niesprawnych urządzeń, które lata świetności miały już dawno za sobą.

— Uważajcie pod nogi.

Idąc wolno przez opuszczony magazyn, Don Corleone znowu poczuł ten przyjemny dreszcz. Gdy pograżone w ciemności otoczenie zostało poprzecinane wiązkami światła latarek, jego wspomnienia odżyły. Przypomniawszy sobie najlepsze lata spędzone u boku stryja, który uczył go, jak należy radzić sobie w tym bezwzględnym świecie. Rzadko musiał odbierać komuś życie, ale jeżeli już to robił, podchodził do tego bez jakichkolwiek emocji — tak jak go uczono. Zabójstwo traktował jako zwyczajną kradzież, tyle tylko, że czegoś cenniejszego od pieniędzy.

Jednak tym razem, idąc wolno z pistoletem w dłoni przez szeroką, pustą halę, uświadomił sobie, że to, co za chwilę się stanie, będzie dla niego zupełnie nowym przeżyciem — osobistą zemstą. Dziś nie był pozbawionym uczuć i wyrachowanym mordercą. Czuł złość i irytację. Ktoś zakpił sobie z niego, pozostawiając go wtedy przytomnym i bezsilnym.

Gdy doszli do końca tej części magazynu, przywitała ich wysoka ściana. Stąd można było iść już tylko w prawo lub w lewo.

— Ktoś wykręcił panu niezły numer, szefie — rzucił jeden z bodygardów.

— Albo to zasadzka — dodał drugi.

— Oby nie... — warknął przywódca. — Idź tam, a my pójdziemy tędy. Jeżeli coś znajdziesz, to krzycz. Jeżeli nie, spotkamy się w tym miejscu za pięć minut.

Osilek kiwnął głową i odbił w prawo. Pozostała dwójka poszła w przeciwną stronę. Minęli stertę palet, beczki, zwoje łańcuchów i mnóstwo przerdzewiałych części karoserii. Nad nimi ciągnęła się kratownica. Doszli

do sterówki dźwigu i metalowych schodów prowadzących na piętro. Dalej była już tylko tylna brama.

Nagle ochroniarz dostrzegł coś — ciemną, podłużną plamę na białej marynarce szefa. W pierwszej chwili pomyślał, że to olej albo smar. Przyjrzał się bliżej. Poświecił latarką i dotknął palcem dziwnej substancji.

— Co robisz?

Goryl przyłożył palec do ust i oświetlił rozmazaną plamę na ramieniu gangstera. Dowódca natychmiast zrozumiał. Obaj podnieśli pistolety i wycelowali w kratownicę nad nimi.

Światła latarek były za słabe i nie widzieli, co dokładnie znajduje się nad ich głowami. Cofnęli się o jakieś dwa metry. Zauważyli czerwonawe przebarwienie na szarej, stalowej kracie stanowiącej podłogę wyższego piętra. Ochroniarz skierował latarkę na posadzkę. Tuż obok ich butów mieniły się ciemnoczerwone krople. Na piętrze dostrzegli coś dziwnego, ale nie umieli tego zdefiniować.

Don Corleone, wymownym gestem ręki, nakazał osiłkowi wejść na schody. Trzymał się tuż za nim. Gdy osiągnęli poziom pierwszego piętra, wszystko stało się dla nich jasne. Ofiara, której szukali, znajdowała się dosłownie kilkanaście kroków od nich. Wisiała do góry nogami, metr nad kratownicą. Oświetlały ją promienie księżyca wpadające do środka przez duże okna, umiejscowione na ścianach tuż pod sufitem. Więzień był skrupowany i nieprzytomny. Nogi miał obwiązane łańcuchem zwisającym z dużego chwytaka będącego elementem dźwigu. Z nosa ciekła mu krew, która spływając po czole i włosach, zdradziła jego położenie. Dokładnie pod nim leżały dwa rulony studolarówek.

— Nieźle... — rzucił ochroniarz.

— Miej się na baczności i wezwij wsparcie.

Dowódca, bacznie rozglądając się na boki, podszedł bliżej. Oburącz trzymał broń w pogotowiu. Lufą pistoletu szturchnął ciało. Łańcuch zaskrzypiał. W kieszeni mężczyzny znalazł portfel. Ofiara żyła — klatka piersiowa wykonywała regularne ruchy.

W tym momencie schodami wbiegł na górę drugi ochroniarz. Zatrzymał się obok towarzysza i wytrzeszczył oczy. Zdziwił go nietypowy widok.

— Poznajcie pana Williama... Maisona. — Don Corleone machnął portfelem w powietrzu. Wyciągnął prawo jazdy i rzucił je gorylom pod nogi.

Niższy podniósł je i poświecił po dokumencie.

— Któryś z was go zna? — Przecząco pokręcili głowami.

W portfelu, za plastikową przesłoną gangster znalazł dwa zdjęcia.

— Ma żonę i syna. Mieszkają na spokojnym osiedlu. Jednym słowem... przykładowy ojciec rodziny.

Wtedy skrępowany mężczyzna drgnął. Głośna rozmowa musiała go wybudzić. Próbował otworzyć oczy. Widać było, że odzyskuje przytomność.

— Świetnie się złożyło. Nasz mały złodziej dochodzi do siebie — zauważył Don Corleone i pochylił się. Poklepał więźnia po twarzy, aby ten szybciej oprzytomniał.

Pierwszych kilkanaście sekund było dla Williama Maisona całkowitym szokiem. Ciemność, zapach zakrzepłej krwi, ból głowy, zdrętwiałe i unieruchomione kończyny... Próbował zrozumieć, co się dzieje, ale jego mózg nie potrafił poradzić sobie z natłokiem dziwnych informacji. Obok niego znajdował się duży, biały przedmiot.

— Co, do...

Zaczął się szarpać. Nagle dziwny, jednolity twór poruszył się i Maison zobaczył odwróconą twarz. Przestraszył się. Poczł uderzenie gorąca i zaczął nerwowo obracać głowę w różne strony.

— Co tu się dzieje?!

Jego gałki oczne szalały. Znieruchomiały dopiero, gdy zatrzymały się na pistolecie, który dzierżył w dłoni mężczyzna stojący przed nim.

— Dzień dobry, a raczej... dobry wieczór, panie Maison — odezwał się nieznajomy.

— Kim jesteś? Co się dzieje?! Gdzie ja jestem?! Czego ode mnie chcecie?! — krzyczał rozpaczliwie.

— Spokojnie, Williamie... Po kolei. Na razie musisz się uspokoić, żeby zrozumieć. Widzisz... Znowu leci ci krew z nosa.

— Dlaczego mnie tu przywiozłeś? Czego ode mnie chcesz? — Ton z pytającego zmienił się w błagalny. — Chcesz pieniędzy? Mogę ci je dać! Jestem bankierem! Podaj tylko kwotę, a będzie twoja!

— Jak widzisz, już mam pieniądze. — Sięgnął po banknoty, na które spadło kilka czerwonych kropel.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz!

— W takim razie przypomnę ci. Noc z piątku na sobotę. Parking pod restauracją w centrum miasta. Unieruchomiłeś mnie, a następnie bezczelnie

okradłeś.

— To nie ja! W piątek wieczorem byłem w domu z rodziną!

— Nie mówię o wieczorze, tylko o nocy. — Przyłożył pistolet do jego czoła. — Przypomnij sobie...

— Błagam... To nie ja! Proszę! Musicie mi uwierzyć! Pomyliliście facetów!

— W takim razie wytłumacz mi, jakim cudem znalazłeś się tutaj razem z moimi pieniędzmi.

— Nie mam zielonego pojęcia! Pamiętam tylko jakiegoś doręczyciela! Tak właśnie było! Skurwiel przyniósł paczkę. Byłem w domu, w piwnicy... — Powstrzymał się od dalszej relacji. Przypomniał sobie nie tylko kuriera FedEx-u, ale także zakopane ciało.

— Nie dosłyszałem...

— To był oszust! Zaskoczył mnie i naszprycował czymś! Ocknąłem się dopiero teraz... tutaj.

— Dam ci jedną, jedyną szansę. W końcu każdy na nią zasługuje, prawda?

— Zgadza się! — podchwycił Maison.

— Przeliczcie je... — Banknoty wylądowały pod nogami pomocników.

— Ale...

— A to co? — Z kieszeni spodni więźnia wystawały dwie kartki. Gangster wyciągnął je. Okazało się, że to fotografie.

— Nie wiem! Nie mam pojęcia!

Wtedy Maison otrzymał bolesny cios w szczękę.

— Jeszcze nie wiesz, o co chodzi, a już się odzywasz. To nieładnie...

Mężczyzna jęknął. Z rozciętej wargi pociekła krew.

— Nie możesz odzywać się, nie będąc o coś pytanym! Zrozumiałeś?!

— Tak, proszę pana...

Don Corleone z zaciekawieniem przestudiował fotografie. Na pierwszej widniał może trzydziestoletni mężczyzna z wąsem i ciemnymi włosami zaczesanymi na przedziałek. Stał na trawniku przed czyimś domem. Obok niego znajdował się chłopiec na niebieskim rowerze.

Drugie zdjęcie było znacznie bardziej enigmatyczne — posiniała, blada twarz mężczyzny, prawdopodobnie martwego, po szyję zakopanego w ziemi.

Gangster porównał obydwa zdjęcia. Zaciekawiły go znacznie bardziej niż pieniądze. Miał wrażenie, że tego drugiego osobnika skądś zna. Brudna twarz

i siniaki utrudniały identyfikację.

— Kim oni są? — Odwrócił fotografie do góry nogami i pokazał je wisielcowi.

Maison od razu rozpoznał obydwu, ale nie mógł dać tego po sobie poznać. Poczuł pętlę coraz mocniej zaciskającą się na szyi.

— Nie znam tych ludzi! Nie mam pojęcia, kim są, ani co te zdjęcia robiły w mojej kieszeni. To tak samo jak z pieniędzmi. Nie wiem, jakim cudem...

— W tym rulonie jest dziesięć tysięcy — przerwał jeden z ochroniarzy.

— W moim brakuje jednej stówki — dodał drugi.

— Jesteś pewien? — warknął Don Corleone i odwrócił głowę.

— Liczyliśmy dwa razy. Razem dwadzieścia tysięcy bez stu dolarów.

— To stówka, którą dałem parkingowemu — wyjaśnił gangster. — Tak więc, panie Maison, zapytam ostatni... — Nieoczekiwanie przerwał zdanie. Jeszcze raz przyjrzał się brudnej i posiniałej twarzy nieboszczyka na zdjęciu.

— Mówiłem już. Nie wiem...

— Zamknij się... Czy to możliwe? Przecież to twarz Lio — domyślił się. Bez żadnego ostrzeżenia wyciągnął z kieszeni nóż i wbił go ofierze w prawe ramię. Coś twardego zablokowało ostrze. Poczuł, że dotarł do kości.

Więzień wrzasnął z bólu. Łzy spłynęły mu po policzkach.

— Błagam! Ja mam rodzinę! Żonę... Dziecko... Mój syn, Bryan, ma pięć lat!

— Więc ciesz się, że nie wisi tutaj razem z tobą! Gadaj, skąd go znasz — pokazał zdjęcie — albo będę wbijał ci ten nóż w każdą kończynę, aż do skutku. A jeżeli to nie pomoże, każę im — pokazał na goryli — przywieźć małego Bryana i ponownie powtórzmy całą operację!

Maison wiedział już, że przegrał. Patrzył bezradnie na zdjęcie nieboszczyka, ale tak naprawdę przed oczyma miał twarz Bryana. Myślał o swoim synu i o tym, co mogą z nim zrobić. Nie miał wyboru.

— Ten facet pożyczył mi pieniądze — wyjąkał. — Potrzebowałem forsy, a on złożył mi ofertę.

— I nie zwróciłeś o czasie! Przyjechał do ciebie upomnieć się o swoje, a ty zabiłeś go i zakopałeś w szczerym polu. — Napał mocno na nóż. Ostrze jeszcze mocniej wbiło się w kość. Krzyk torturowanego rozszedł się po wszystkich zakamarkach opuszczonego magazynu.

— Tak... — potwierdził, łkając.

Don Corleone zamilkł. Wyszarpnął nóż z rany, powodując obfity krwotok. Strata zaufanego człowieka jeszcze bardziej go rozzłościła. Maison nie tylko zabił jego windykatora, ale także próbował go okraść i to dwukrotnie. Poderwał się i poszedł w stronę schodów.

— Proszę! Mój syn...

Nagle gangster wyjął pistolety z kabur ochroniarzy, odwrócił się i wycelował. Dziesięć rozbłysków rozjaśniło mroczne wnętrze olbrzymiego pomieszczenia. Tyle samo kul w okamgnieniu dotarło do ciała Williama Maisona.

— Mówiłem, że masz się nie odzywać nieproszony!

WTOREK

Od kilku dni Phil Foster chodził po domu jak struty. Gdy podczas oglądania wieczornych wiadomości dowiedział się, co spotkało Snyderów, nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. Czuł wyrzuty sumienia i wiedział, że w dużej mierze odpowiada za tę tragedię.

Ale dlaczego ją zabił? Przecież nie taki był jego plan. Skąd wiedział, gdzie jej szukać? Domyślił się, że go oszukuje?

Nie on pociągnął za spust, ale czuł się paskudnie. Myślał nawet o zgłoszeniu się na policję i złożeniu zeznań, ale ostatecznie doszedł do wniosku, że niczego by to nie zmieniło. Mógłby jedynie narobić sobie niepotrzebnych kłopotów i zagrozić swoim interesom, które przede wszystkim opierały się na zaufaniu. Zaufaniu, którym obdarzył go John Snyder, a które wykorzystał, aby uciszyć demony przeszłości.

Kołysząc się na fotelu i przysłuchując zgrzytom wysłużonego mechanizmu, spoglądał to w stronę okna, to w kierunku półki z książkami. Spojrzeniem zahaczał o stos kartonów, stojący obok drzwi, o drukarkę, której dioda irytująco pulsowała, o pustą szklankę na biurku, czy ozdobny świecznik stojący na półce od niepamiętnych czasów.

Próbował skupić się na nowej sprawie. Miał przed sobą zdjęcie człowieka, którego żona podejrzewała o zdradę. Jego zadanie było typowe i nie odbiegało od standardowego postępowania — miał znaleźć dowody winy podejrzanego. Problem polegał tylko na tym, kim była owa osoba.

Szanowany i ceniony polityk republikanów, aspirujący do stanowiska senatora, stał się dla niego niezwykle wymagającym przeciwnikiem. Ochrona

nie odstępowała go na krok, a wieczory, jeżeli spędzał je poza domem, co zresztą nie należało do rzadkości, zawsze kończyły się nocą w dobrze strzeżonym hotelu. Dostanie się do niego, tym bardziej o późnej porze, graniczyło z cudem. Próbował wszystkiego, ale każda próba kończyła się niepowodzeniem, a czas uciekał.

Foster ze złością rzucił długopisem o biurko. Ten odbił się, uderzył o podstawkę lampy, a następnie stłukł świetlówkę. Szklane odłamki poleciały na blat. Detektyw podskoczył i omal nie przewrócił się z fotelem na podłogę.

— Brawo... No cóż, trzeba będzie to wliczyć w koszty prowadzenia sprawy.

— Kochanie! — usłyszał wołanie. Całkowicie zapomniał, że żona była w domu.

— Aj... — Zagapił się. Podczas próby uprzątnięcia ostrych odłamków, kawałek szkła wbił mu się w wewnętrzną część dłoni. — Jestem, jestem!

— Wszystko w porządku?

Zacisnął zęby i wolno wyjął ostry kawałek. Pocięła krew. Owinął palec chusteczką i poszedł do toalety.

— Phil?

— Tak, nic mi nie jest. Stłukłem tylko żarówkę!

Przecięcie nie było rozległe, ale za to dość głębokie. Krew nie chciała przestać lecieć. Puścił zimną wodę, obmył ranę i dezynfekował ją. Boleśnie zapiekło.

— Jak takie draśnięcie może tak boleć — zastanawiał się. — Ciekawe, czy gdybym zgłosił to...

Wtedy do jego uszu dotarł drażniący dźwięk dzwonka do drzwi.

— Otworzysz?! — wrzasnął na całe gardło. Odczekał kilka sekund. Nie usłyszał odpowiedzi, ale słowa jakiegoś mężczyzny w holu w zupełności ją zastąpiły. Przysłuchiwał się. Ktoś rozmawiał z jego żoną. Głos brzmiał dziwnie znajomo. Po kilku kolejnych zdaniach dopasował go do osoby.

— Co on tutaj robi?

— Phil! Zejdź na dół! Masz gościa!

— Już idę!

Dokończył opatrywać ranę i zbiegł po schodach. Na dole czekał na niego stary znajomy z policji — Arthur Goldwyn. Jak przystało na towarzyską wizytę, był ubrany w szare spodnie i czerwoną koszulę z krótkimi rękawami.

Na nogach miał klapki, co zupełnie kłóciło się z wizerunkiem kapitana, jaki Foster zapamiętał z czasów służby.

— Phil! Widzę, że przez to bieganie za kochliwymi chłoptasiami i rozwiązanymi panienkami, nabrałeś formy!

Uścisnęli sobie dłonie.

— W przeciwieństwie do ciebie! — odgryzł się. — Pasek na ostatniej dziurce?

— Żeby! Musiałem już dwie dorobić! — Szef wydziału zabójstw poklepał się po brzuchu.

— Praca za biurkiem ma swoje minusy. Przejdźmy do salonu — zaproponował. — Kochanie, zrobisz nam kawę?

— Oczywiście... — odpowiedziała łagodnie.

— Dla mnie bez mleka — poinstruował Goldwyn.

— Czarna i bez cukru... Dobrze zapamiętałem?

— Już z cukrem. Wstyd przyznać, ale dopiero po dwudziestu latach uświadomiłem sobie, ile przyjemności w życiu mnie omija. Moja babka miała cukrzycę, matka też. Po co walczyć z wiatrakami — roześmiał się.

— A może zimne piwko?

— Dzięki, ale jestem na służbie.

— Zmienili wam stroje?

— Mam sprawę, a nie chciałem pokazywać się tu jako policjant.

— To nie zabrzmiało dobrze.

— O wilku mowa. — Goldwyn odwrócił głowę w stronę dużego telewizora. Właśnie leciał krótki reportaż ze sprawy, o której chciał porozmawiać z byłym podwładnym. — Możemy dać głośniejsze?

— Jasne, siadaj.

Przebieg sprawy relacjonowała trzydziestoletnia, piękna, długowłosa reporterka doskonale znana każdemu policjantowi w Cleveland — prawie zawsze pierwsza na miejscu zbrodni. Często bez skrupułów przekraczała żółtą taśmę i była w stanie zrobić dosłownie wszystko, żeby zdobyć jak najlepszy materiał.

— *To właśnie tutaj, dokładnie za moim plecami, rozegrała się ta tragedia. Jak poinformowała nas policja, w miniony poniedziałek, wczesnym rankiem, uzbrojony napastnik wtargnął do jednego z tych domów i w brutalny sposób*

pozbawił życia dwie osoby, a następnie popełnił samobójstwo. Śledztwo wykazało, że ofiarami byli znany i szanowany sędzia z Cleveland, Bill Paxton, który od niedawna pełnił również funkcję sędziego stanowego oraz ceniona pani prokurator, Samantha Snyder. Z nieoficjalnych źródeł udało nam się dowiedzieć, że winnym tej zbrodni jest John Snyder, mąż Samantha Snyder, który nakrył żonę z kochankiem podczas ich wspólnego, weekendowego wyjazdu.

Beatrice przyniosła kawę. Widząc podenerwowanie gościa i męża, postanowiła bez słowa wrócić do swojego królestwa i zająć się obiadem. O tej przykrej sprawie słyszała już wielokrotnie. Nie interesowała ją kolejna relacja.

— A to zdzira! No to teraz się zacznij. Posłuchaj tylko... — warknął Goldwyn.

— Dowódca wydziału zabójstw w Cleveland, kapitan Arthur Goldwyn, milczy w tej sprawie i zasłaniając się dobrem śledztwa, nie udziela żadnych dodatkowych wyjaśnień. Nie komentuje również pogłosek, że to właśnie John Snyder zastrzelił żonę i jej domniemanego kochanka. Jednakże, jakkolwiek nie zakończy się śledztwo, ta przykra sprawa już zaczyna zbierać żniwo w środowisku prawniczym. Dowiedzieliśmy się, że sędzia Bill Paxton oraz pani prokurator Samantha Snyder prowadzili wspólnie ponad sto spraw w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Sceptycy nie pytają, czy, ale w jakim stopniu kontakty łóżkowe tych dwojga mogły zawążyć na wydawanych wyrokach, a obrońcy klientów skazanych w procesach prowadzonych przez tę parę, już zacierają ręce i rozpoczynają pisanie apelacji. Jak na razie, nikt nie dopuszcza myśli, że jakiegokolwiek decyzje podejmowane na salach sądowych mogły być podyktowane czymkolwiek innym niż rzetelnym materiałem dowodowym, czy zeznaniami wiarygodnych świadków. Jeżeli jednak nasze domysły są prawdziwe i śledztwo to potwierdzi, to możemy spodziewać się bezprecedensowego zjawiska, które na długi czas podważy wiarygodność amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości.

— Co za wredna suka! — skomentował kapitan.

— Suka, która niestety ma rację. Jeżeli to się potwierdzi, to w więzieniach szybko zwolni się kilka miejsc.

— Nawet mi nie mów. Nie wierzę, że to wszystko dzieje się u nas.

— Mamy się czego bać?

— Wiesz, że nie mogę rozmawiać o sprawie.

— Dobrze. Nie naciskam. Ale wracając do wcześniejszej rozmowy. Chyba nie przyszedłeś, żeby wspominać stare czasy.

— Słuchaj... Możemy porozmawiać gdzieś na osobności?

Prywatny detektyw zmierzył przenikliwym wzrokiem dawnego szefa. Wyczuł, że coś jest nie tak. Biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, domyślał się, o co może mu chodzić.

— Wyjdźmy na taras.

Phil Foster zasunął drzwi i wskazał Goldwynowi ratanowe krzesło. Usiedli naprzeciwko dużego grilla ustawionego przy metalowej balustradzie otaczającej taras.

— Mów, co jest grane, bo zaczynam się denerwować — zaczął Foster.

— Nie wiem, jak ci to powiedzieć.

— Może wprost.

— Podczas badania dowodów w sprawie Snyderów i Paxtona znaleźliśmy coś, czego nie powinniśmy znaleźć.

— Zabijasz mnie...

— Wiem, że dobrze znałeś Snydera i jego żonę. Swojego czasu byliście bliskimi przyjaciółmi.

— To prawda.

— Niestety, pogłoski są prawdziwe... To on strzelał.

— Jesteście tego pewni?

— Tak. Mamy na to potwierdzenie w postaci zarejestrowanej ścieżki audio z dyktafonu i filmu z aparatu.

— Jezu Chryste! Nagrał to zabójstwo?!

— Tak, ale media tego nie wiedzą, więc jeżeli puścisz parę z ust, to będę wiedział, gdzie doszło do przecieku. Ta informacja nie może dostać się do prasy.

— Znasz mnie i wiesz, że możesz mi ufać.

— To dobrze. Jednak problem polega na tym, że w aparacie było nie tylko to nagranie. Znaleźliśmy coś jeszcze i właśnie z tego powodu przyszedłem do ciebie.

— Dowiem się, o co chodzi? — Foster dygotał.

— Wiem, że to może być dla ciebie trudne, ale te zdjęcia — pokazał mu kilkanaście fotografii — i wiele innych, podobnych, poprzedzały nagranie z

miejsca zbrodni. Zostały wykonane tej samej nocy, kiedy zginęła cała trójka.

— Przecież to... Beatrice... z jakimś facetem! — Foster złapał się za głowę.

— Niestety... W wydziale nikt oprócz mnie jej nie rozpoznał i będę cię krył, jak długo się da, ale musisz wiedzieć, że prędzej czy później ktoś może zacząć zadawać niewygodne pytania. Nie chciałbym, żebyś dowiedział się tego na posterunku albo podczas przesłuchania w domu.

— Dziękuję i doceniam... Cholera... Nie mogę uwierzyć, że ona mogła mi to...

— Zrobić?

Detektyw nie odpowiedział, tylko spojrzał pogardliwie przez szklane drzwi.

— Przykro mi, stary. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

— Doceniam, że mi o tym powiedziałaś.

— Niestety, to jeszcze nie koniec.

— Chcesz mi jeszcze bardziej dopiec? — Foster uśmiechnął się, tłumiąc łzy.

— Wybacz, ale nie mam wyboru i muszę o to zapytać. Dlaczego Snyder odwiedził twój dom tej samej nocy, której zabił żonę i Billa Paxtona?

— Co masz na myśli?

— Spróbuję cię ochronić, ale najpierw muszę zrozumieć... Dlaczego facet, który z zimną krwią, po tylu latach małżeństwa, bez skrupułów rozwala żonie łeb, jedzie wcześniej do twojego domu i fotografuje Beatrice, jak zdradza cię z innym?

— Nie wiem...

— Wybacz, Phil, ale coś mi tu nie gra. Jeżeli Snyder wiedział, że żona go zdradza, to pewnie chciał ją nakryć, co by wyjaśniało przygotowanie aparatu i dyktafonu. Ale po co był mu pistolet, który również zabrał ze sobą?

— Do czego zmierzasz?

— Odnoszę wrażenie, że przyjechał tu, bo podejrzewał, że sypiasz z jego żoną.

— Co?!

— Wiedział, że posiadasz broń i chciał się zabezpieczyć.

— Chyba nie mówisz poważnie?

— Sypiałeś z Samanthą? — Kapitan nie odpuszczał.

— Chyba oszalałeś, że o to pytasz... John był moim przyjacielem!

Przyznaję, że Sam też znałem, ale nasze *stosunki* ograniczały się do kontaktów służbowych. Raz czy dwa byliśmy u nich z żoną na grillu i na tym koniec.

— To skąd te zdjęcia? Prosiłeś go, żeby śledził twoją żonę?

— Nigdy w życiu! Gdybym miał jakieś przypuszczenia, że mnie zdradza... Chryste, Arthurze, przecież mnie znasz! Nie zrobiłbym tego przyjacielowi.

— Phil, ja tylko interpretuję fakty. Postaw się w mojej sytuacji. Co byś zrobił? To tylko kwestia czasu, zanim oni dojdą do tego, kto jest na tych zdjęciach. Wystarczy, że któryś z twoich byłych współpracowników rzuci na nie okiem. Ta sprawa to zwykła zbrodnia w afekcie, ale jeżeli poskładają to do kupy, to góra zrobi wszystko, żeby ciągnęła się jak najdłużej. Słyszałeś tę dziennikarkę... Adwokaci już zaczynają pisać apelacje. Zbadają każdy trop i poszlakę. Wejdą butami w twoje życie, a ja nie zdołam ich powstrzymać. Jak zwietrzą krew, to mogą pójść takim tropem, który dla nich będzie wygodny.

— Poczekaj, poczekaj... Myślisz, że będą chcieli to zwalić na mnie?

— Oprócz moich śledczych, nikt tak naprawdę nie wie, co tam się wydarzyło. Wszyscy za wszelką cenę będą starali się zatrzeć ślady i zamydlić nam oczy, a dzięki temu nie wypuścić setek kryminalistów na wolność. Jak zobaczą te zdjęcia, to powiedzą, że Snyder przyjechał do ciebie, żeby nakryć cię z jego żoną. Niestety... nie zastał cię, ale sfotografował coś innego. Coś, co tylko potwierdziło jego przypuszczenia, że ty też mogłeś mieć romans. Potem potajemnie spotkał się z sędzią, bo chciał mu o wszystkim powiedzieć.

— To znaczy o czym?

— O romansie jego żony — pani prokurator — z byłym funkcjonariuszem policji, a obecnie prywatnym detektywem. Tymczasem ty, wraz z Samanthą, śledziliście go. Gdy doszło do przypadkowego spotkania całej czwórki w domku nad jeziorem, dowiedziałeś się o zdradzie Beatrice, o której powiedział ci podczas sprzeczki, jaka między wami wyniknęła. Wpadłeś w szal. Najpierw zabiłeś Snydera, potem sędziego, który próbował się bronić, a na końcu Samanthę, żeby wszystko wyglądało na zbrodnię w afekcie. Rozumiesz? To ty wszystko upozorowałeś... Kilka dowodów usuną, parę innych podrzucą i mają cię w garści!

— Ale to nie ja!

— To nieistotne. Jeżeli ja na to wpadłem, oni też mogą. I pewnie to zrobią. Pracuję w policji dłużej niż ty i widziałem dziwniejsze przypadki. Według mnie to tylko kwestia czasu, zanim na progu naszego wydziału pojawi się

FBI. Co więcej... w samochodzie Snydera znaleźliśmy zdjęcia przedstawiające Samanthę Snyder i ciebie, jak urządzacie sobie spotkanie w drogiej restauracji...

— Ale to było...

— Nieważne co to było. Poświęcą jednego człowieka, a uratują życie setkom innym. To prosta i zimna kalkulacja.

— Co mam zrobić? — zapytał zrezygnowanym głosem.

— Nie wiem. Przyszedłem jako przyjaciel i jako przyjaciel odejdę. Od ciebie zależy, co będzie dalej.

— Kto prowadzi sprawę?

— Adams...

— To już po mnie. Ten knypek zajrzy pod każdy kamień, zbada każdy pyłek i sprawdzi każdą poszlakę.

— To prawda, ale za wszelką cenę będzie chciał dotrzeć do prawdy. Przecież go znasz.

— A jeżeli nie zdąży?

— No właśnie... Dlatego chciałbym, żebyś zgłosił się do nas i powiedział o wszystkim, co wiesz.

— Wiem, że tak byłoby najprościej, ale muszę to przemyśleć. Nie co dzień dowiadujesz się, że żona, z którą żyjesz dwadzieścia lat, zdradza cię, a ty sam masz stać się ofiarą gigantycznego spisku, który niedługo wyjdzie na jaw.

— Dobrze, ale wiedz, że nie masz wiele czasu. Psy spuszczone ze smyczy i niedługo zwęszą trop.

— Dziękuję, że przyszedłeś. To wiele dla mnie znaczy. — Foster wstał i wyciągnął rękę na pożegnanie. — Wybacz, ale chciałbym teraz zostać sam.

— W porządku. Nie mam ci tego za złe. Nie kłopotz się, wyjdę tędy. — Kapitan ucisnął dłoń prywatnego detektywa i opuścił taras. Wąskim chodnikiem wykonanym z płaskich, białych kamieni okrążył dom i poszedł w stronę zaparkowanego wozu. Zrobił, ile mógł. Reszta była niezależna od niego.

Phil Foster jeszcze przez długi czas siedział nieruchomo, pustym wzrokiem wpatrując się w niebo. W myślach liczył pojedyncze, białe chmury, które wolno sunęły na niebieskim tle. Przypominały mu przemijające lata, które spędził z żoną. Wszystko, co przeżył, w ciągu jednej chwili straciło sens. Nie potrafił sobie wyobrazić, co powie, jak zareaguje,

kiedy za chwilę ujrzy Beatrice w salonie albo w kuchni. Tyle razy patrzył, jak niewierni mężowie umawiają się na potajemne spotkania ze swoimi kochankami, a niezaspokojone żony pragną czegoś więcej niż człowieka, którego z przyzwyczajenia nazywają mężem. Teraz sam miał się zmierzyć z problemem, jaki na co dzień tylko obserwował w życiu innych ludzi.

Usłyszał szelest drzwi. Beatrice niespodziewanie weszła na taras. W rękach trzymała tacę z dwiema filiżankami kawy. Całkowicie go zaskoczyła.

— Gdzie kapitan?

— Musiał wyjść.

— Szkoda... W takim razie za chwilę będzie obiad — oznajmiła niczego nieświadoma.

— Nie mam ochoty.

— Co się stało? Widzę, że jesteś jakiś nieswój. — Położyła tacę na stoliku i usiadła obok.

— Pokazał mi kilka zdjęć, których długo nie zapomnę.

— Z jakiejś sprawy?

— Tak. Tak jakby. Z obserwacji domu.

— Sprawa dotyczy kogoś, kogo znasz?

— Niestety, tak...

— Przykro mi...

Uśmiechnął się i westchnął.

— Podasz mi te zdjęcia? — zapytał. — Leżą na stoliku. Muszę jeszcze raz im się przyjrzeć.

Była ciekawa. Ukradkiem zerknęła na nie i zamarła. Drżącymi rękami przekładała kolejne fotografie. Pobladła. Ostatecznie nie przekazała ich mężowi. Odłożyła je na stół. Nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy. Nie znalazła wytłumaczenia, ale też specjalnie go nie szukała. Nie miała po co. Czegokolwiek by nie powiedziała, nie naprawiłoby szkód, jakie wyrządziła.

— I co teraz? — rzuciła łamiącym się głosem.

— Ty mi powiedz — odpowiedział obojętnie.

ŚRODA

Samuel Bloom, od czterdziestu ośmiu godzin prawie nie zmrużył oka. W ciągu dnia chodził podenerwowany, a wieczorem wiercił się na łóżku, nie

mogąc zasnąć. Gdy jakimś cudem w końcu mu się to udawało, po chwili budził się i walka z samym sobą rozpoczynała się od nowa. Nie pomogła herbatka uspokajająca, zmęczenie na siłowni ani pigułki z zolpidemem, które zwędził żonie. Czuł się jak robot czekający na kolejne polecenie.

Najgorsze było to, że wiedział, co spędza mu sen z powiek. Powodem była niespodziewana wizyta starego znajomego, który odwiedził go w poniedziałkowy wieczór. Było kilkoro ludzi, których nienawidził i nie chciał mieć z nimi do czynienia, wielu, których po prostu unikał, ale Don Corleone należał do trzeciej grupy — tych, których się bał. Pomimo wzajemnego szacunku, nigdy nie wiedział, czego może spodziewać się po tym gangsterze. Blooma nie zmyliły restauracje ani wielka przemiana przestępcy w przyzwoitego obywatela. Czytał z ludzkich oczu jak w otwartej księdze. Gdy tylko gangster pokazał mu dziwną informację, od razu wiedział, co się wydarzy.

Była dopiero dziesiąta, a on pił trzecią kawę. Musiał wreszcie przerwać to błędne koło. Zerwał się z sofy i wyteżył umysł. Próbował przypomnieć sobie, gdzie podział klucze ze starego magazynu. Wątpił, że będzie ich potrzebował, ale wolał się nie wracać. Odnalazł je w swoim biurze. Leżały w samym kącie, na dnie szuflady, przykryte papierami. Gdy wyszedł na podwórze, uderzyło w niego gorące powietrze.

— Kolejny dzień w piekle... — westchnął i zbiegł po schodach.

Nie zdziwił go przecięty łańcuch.

— Miło, że chociaż zamknęli za sobą bramę.

Cztery i pół minuty — w takim czasie niegdyś pokonywał dystans pomiędzy bramą a magazynem. Tym razem postanowił uwinąć się w trzy. Przyspieszył kroku. Zauważył ślady opon skręcające w złym kierunku.

— Imbecyle! Mogli powiedzieć, to namalowałbym im mapę! — Splunął na ziemię i pokręcił głową. Szedł szeroką aleją pomiędzy stertami zniszczonych samochodów. Niektóre, najniżej położone, były poprzerastane trawą, która powoli wdzierała się w każdą wolną szczelinę.

Przypomnił sobie lata, które spędził tutaj, pracując po dwanaście godzin dziennie, także w weekendy. Nie było samochodu, którego by nie znał, ani części, której by nie posiadał. W ciągu kilku godzin był w stanie rozebrać dowolny samochód niemalże na czynniki pierwsze i sprzedać z niego dziewięćdziesiąt pięć procent sprawnych mechanizmów i zdatnych do użytku części. Te lata minęły, a on się postarzał. Przybyło mu zmarszczek, które

codziennie podczas golenia przypominały mu o trudnych początkach. Zaszedł daleko, ale okupił to ciężką pracą i mnóstwem wyrzeczeń.

Gdy dotarł na miejsce, miał mokrą koszulę, a pot lał się z niego strumieniami. Z daleka dostrzegł uchylone drzwi magazynu. Upewnił się, że nikt go nie śledzi i wszedł do środka. Musiał wreszcie uspokoić myśli i sprawdzić, co Don Corleone pozostawił po sobie.

— Halo! Jest tu kto?! — zawołał z obawą. Odpowiedziało mu jedynie echo ginące gdzieś w oddali. Poczul zapach przeszłości. Ściany, podłoga, sufit — każdy element tego miejsca przypominał mu jego dawne życie. Deptał po nim, czuł je, widział i wdychał.

Minął zardzewiałe podnośniki. Nieumyślnie kopnął do samochodowej świecy, która poturlała się pod wrak stojący przy ścianie. Stanął na rozwidleniu. Gdy spojrzął w lewo, doznał szoku. Kilkanaście metrów dalej, piętro wyżej, wisiało zakrwawione ciało. Musiał oprzeć się o ścianę. Spodziewał się trupa, ale nie w takiej postaci.

— Niech cię szlag, sukinsynu!

Na strzelniczy mieszczącej się w podziemiach komisariatu od dobrej godziny nie padł ani jeden strzał. Większość policjantów była w terenie, a pozostali woleli przebywać w dobrze klimatyzowanych pomieszczeniach, zamiast kisić się w kiepsko wentylowanej piwnicy.

Jedynie detektyw David Ross, który właśnie miał przerwę, postanowił przypomnieć sobie, jak to jest trzymać w rękach broń. Na szczęście od ponad roku nie musiał jej użyć, ale nie chciał wyjść z wprawy. Właśnie wrócił ze szkolenia w Pittsburgu, a szef jeszcze nie zdążył przydzielić mu żadnej sprawy. Potrzebował rozrywki po przesiąkniętych nudą wykładach i nocach spędzonych przed telewizorem w drugorzędym hotelu. Pojechał tam w nagrodę, a czuł się, jakby odbył jakąś karę.

Trzymając wciśnięty guzik, który sterował mechanizmem oddalającym tarczę od strzelca, czuł delikatne podniecenie. Usłyszał stuk świadczący o tym, że papierowy cel osiągnął maksymalny dystans — był ledwie widoczny. Położył pistolet przed sobą i opuścił wzrok. Obserwował kroplę potu spływającą mu po nosie. Gdy oderwała się i poleciała w dół, złapał za broń i w ciągu kilku sekund oddał dziesięć strzałów w równych odstępach czasu. Odłożył pistolet, zdjął okulary ochronne i wrócił do mechanizmu.

— Dziesięć minut przygotowań i pięć sekund radości — rzucił zniesmaczony.

Gdy tarcza wróciła na miejsce, był średnio zadowolony z efektu. Osiem strzałów w środek czoła, jeden w policzek i jeden w szyję. Był daleki od formy, jaką prezentował jeszcze przed rokiem, kiedy to w głowie napastnika umieszczał dwadzieścia strzałów w rozproszeniu nie przekraczającym trzech centymetrów.

Zmienił tarczę i powtórzył ćwiczenie. Za drugim razem całkowicie się załamał. Tylko sześć strzałów wylądowało w skupieniu. Jeden nawet nie trafił w czarny obszar oznaczający ciało przeciwnika.

— Gorzej być nie może, co?

Znajomy głos wyrwał go z zamyślenia.

— Bywało lepiej — burknął pod nosem i wykrzywił usta.

— Nie przejmuj się... Nawet gdybyś go nie zabił, to i tak by się wykrwawił — rzucił wesoło James Adams.

— Kiepskie pocieszenie... — odpowiedział załamany Ross.

— Tłoczno tu dzisiaj...

— To prawda, ale możesz przejść moje stanowisko. Ja już mam dość.

— Przy okazji... Goldwyn cię szukał. Chyba mamy trupa.

— Nareszcie! — wrzasnął Ross.

— Ktoś znalazł zwłoki, a ty się cieszysz?

— No pewnie. Jak to mówią... bez pracy nie ma kołaczy.

— Nie sądzisz, że to trochę groteskowe?

— Co?

— Płacą nam, gdy ktoś kogoś zabija.

— Szkoda tylko, że tak mało — zauważył całkiem poważnie. — Dzięki za dobrą wiadomość. — Poklepał starszego kolegę po ramieniu. — Pędzę, bo jeszcze ktoś zgarnie mi tę sprawę sprzed nosa!

Rozbawiony Adams sięgnął po papierową tarczę. Rozumiał tego dzieciaka. Kiedyś sam nie umiał się doczekać kolejnego śledztwa. Jednak praca w końcu go zmieniła. Od pewnego czasu lubił przesiadywać za biurkiem i rozwiązywać trudne łamigłówki zamiast łązić za technikami na miejscu zbrodni. Krew, przemoc i brutalność, zaczynały go brzydzić. Nie chciał tego głośno przyznać, ale czuł, że się wypala.

David Ross był zupełnie innym typem człowieka — całkowitym przeciwieństwem Adamsa. Często porywczy, bardzo energiczny, czasem wybuchowy — te cechy doskonale opisywały tego młodego policjanta, który

od osiemnastu miesięcy legitymował się stopniem detektywa. Garnął się do każdej roboty. Lubił prawdziwe wyzwania, ale gardził papierologią. Gdy musiał napisać raport, czuł się jak przewlekle chory — miał nadzieję na lepsze jutro, ale był pogodzony z rzeczywistością.

Gdy dostał się do wydziału zabójstw, szef od razu go polubił. Z otwartymi ramionami przyjął szkolnego prymusa, który od początku nie miał zamiaru się obijać. Cechowała go wybitna inteligencja i spryt, co w pracy śledczego było na wagę złota.

Jego kariera nabrała rozpędu, a etapem kulminacyjnym okazała się sprawa mordercy z jeziora, który topił swoje ofiary i obciążając ciała kamieniami — umieszczał je na dnie głębokiego akwenu. Siedem osób straciło wtedy życie, a do rozwiązania zagadki przyczynił się właśnie on. Wysnuł absurdalne według niektórych wnioski, które później okazały się niezwykle trafne.

Pomimo młodego wieku, szybko awansował i zyskał uznanie wśród kolegów. Gdyby nie Adams, to z pewnością właśnie on dzierżyłby teraz pałeczkę asa wydziału.

— Szefie! — krzyknął na cały korytarz. — Podobno chciał mnie pan widzieć.

— Nareszcie! Gdzieś ty się podziewał?!

— Na strzelnicy.

— Jak było na szkoleniu?

— Nudno.

— To po cholere tam jechałeś?!

— Bo pan mi kazał!

— No tak. Racja... Ale nie marnujmy czasu! Mam dla ciebie coś, co ci się spodoba.

— Złotą odznakę?

— Lepiej... Trupa!

— To już wiem. Adams mi powiedział. Jakiegoś konkretnego czy jeszcze nie wiadomo?

— Właściciel baru przy Bellaire Rd. znalazł ciało mężczyzny w starym magazynie zlokalizowanym niedaleko jego knajpy.

— A gdzie haczyk?

— Jest i to całkiem spory... Nawet dosłownie. Ofiara była skrępowana i wisiała do góry nogami, podczepiona pod duży chwytak dźwigu do

przenoszenia złomu.

— OK. Ma pan moją uwagę... Ale od tego się nie ginie.

— Ale od strzałów w klatkę już tak. Dodam, że nie od jednego.

— Egzekucja?

— Możliwe... Chłopcy już tam pojechali. Tu masz adres. — Podał mu małą kartkę papieru z obszarpaną górą. — Tylko się pospiesz. Nie wiem, jak długo tam wisi. Przy tych temperaturach za chwilę sam zejdzie z haka.

Ross nie potrzebował lepszej zachęty. Przypomniał sobie smród, jaki zastał, kiedy kilkanaście dni temu znalazł ciało mężczyzny, które prawie ugotowało się w samochodzie. Otyły pięćdziesięcioletni dostał ataku serca i zmarł w pojeździe stojącym na parkingu w jakimś zapomnianym przez Boga miejscu. Zamknięte drzwi i podniesione szyby, zadziałały jak inkubator.

Młody detektyw, podobnie jak chyba każdy policjant, wiedział, gdzie znajduje się sławny bar przy Bellaire Rd. Kiedyś nawet spotkał się tam z informatorem. Na miejsce dotarł w niecałe pół godziny. Zahaczył jeszcze o fast food i kupił sobie kilka porcji frytek. Nie były wiele zdrowsze od serwowanych tam hamburgerów, ale nie miał dużego wyboru.

Z daleka zobaczył grupkę niezmordowanych gapiów z uniesionymi telefonami, których obiektywy wycelowane były w oficerów za żółtą taśmą. Zatrąbił. Ludzie niechętnie i leniwie rozstąpili się. Został przywitany wrogimi spojrzeniami i głośniami, niecenzuralnymi uwagami.

Dla stróżów prawa bar Samuela Blooma miał tylko jedną wadę, którą większość obywateli, niestety, traktowała jako istotną zaletę... Policjanci byli w nim i w jego pobliżu bardzo niemile widziani.

Detektyw pomachał odznaką i funkcjonariusz pilnujący bramy uniósł żółtą taśmę.

— Prosto, a potem w prawo i w lewo! — krzyknął.

— Gdybyś mi jeszcze powiedział, kiedy mam skrócić w to prawo, to byłoby świetnie — bąknął pod nosem Ross i dodał gazu. Miał pewne obawy, że w nieskończoność będzie błądził po tym labiryncie, ale ostatecznie trafił bez problemu. Przed magazynem stały trzy radiowozy, dwa cywilne samochody, karetka i wóz koronera. Zatrzymał się na uboczu, aby nikomu nie tarasować drogi.

Gdy otworzył drzwi pojazdu, poczuł żar lejący się z nieba. Opuścił szyby i przebiegł do budynku. Wszedł bramą. Była otwarta na oścież. Wyobrażał

sobie, co musieli poczuć pierwsi, którzy pojawili się na miejscu zbrodni. Wprawdzie metalowy dach nie przepuszczał promieni słonecznych, ale działał jak ogromna płyta rozgrzanego pieca. Wewnątrz było tylko trochę chłodniej, ale od razu dało się odczuć różnicę.

— Tędy! — zawołał ktoś w oddali.

Ross nie mógł się doczekać obiecanego widoku. Gdy wreszcie dotarł do rozwidlenia i spojrzął w lewo, poczuł delikatne podniecenie. Miły, chłodny dreszcz rozszedł się po całym jego ciele.

— Skubaniec nie żartował... W tej sprawie rzeczywiście jest jakiś haczyk...

Na piętrze, obok wiszących zwłok, zauważył dwóch techników, patologa i koronera. Badali ciało, robili zdjęcia, szukali odcisków i śladów oraz katalogowali dowody. Pozostali śledczy krzątali się po magazynie — każdy w innym kącie. Pracowali jak dobrze wyregulowany mechanizm szwajcarskiego zegarka, robiąc wszystko według ustalonych z góry reguł i schematów.

Detektyw pomaszerował wyznaczonym chodnikiem w stronę schodów. Zatrzymał się dopiero przy ciemnej plamie wyraźnie kontrastującej z szarym, betonowym podłożem. Spojrzął w górę. Przez kratownicę dostrzegł zakrwawioną czuprynę ofiary wiszącej jakieś trzy metry wyżej, prawie dokładnie nad nim.

Wbiegł po schodach na piętro i skinieniem głowy przywitał wszystkich jednocześnie.

Już dawno nie miał z czymś takim do czynienia, więc od razu przeszedł do powierzchniowej obdukcji ciała. Na klatce piersiowej dostrzegł dziury po kulach. Na plechach było ich mniej, więc kilka pocisków musiało utkwąć w ciele.

— Co pan o tym sądzi, detektywie? — przerwał mu jeden z funkcjonariuszy.

— Po cholere tu ta karetka? Facet wygląda jak szwajcarski ser — wystrzelił bez zastanowienia Ross.

Wszyscy zostali bez słowa.

— No co?

— Na podłodze znaleźliśmy to... — Śledczy podał mu przezroczyste, szczelnie zamknięte worki, w których znajdowało się prawo jazdy, portfel i dwa zdjęcia.

— Kim jest nasza ofiara?

— Z dokumentu wynika, że to William Maison. Przesłałem dane nieboszczyka na komisariat. Jak tylko coś znajdą, dadzą znać.

— Dobrze. A to kto? — Ross pomachał zdjęciem, na którym widniała posiniała twarz człowieka zakopanego po szyję w ziemi.

— Nie wiemy... Fotografie leżały nieopodal ciała.

— Może to jakaś wskazówka?

Śledczy wzruszył ramionami.

— Dobra, później się tym zajmiemy. Opowiedz mi o ciele — zwrócił się do patologa.

— Ślady krwi wskazują na to, że najpierw go powieszono, a dopiero potem zastrzelono. Naliczyliśmy dziesięć otworów wlotowych i osiem wylotowych.

— Czyli dwie kule są w środku. A gdzie pozostałe osiem?

— Technicy już ich szukają. Do tej pory zlokalizowali cztery.

— Sprawdźcie balistykę. Chcę wiedzieć wszystko o broni, z której strzelano. Przewidywany czas zgonu?

— Około trzydzieści sześć godzin temu. Prawdopodobnie doszło do zabójstwa w poniedziałkowy wieczór albo w nocy z poniedziałku na wtorek.

— Jesteś pewien? Trochę cuchnie. — Ross był znany z tego, że nie przebierał w słowach.

— To z powodu upału. Poza tym, wisi w takim miejscu, że przez kilka godzin ciało było wystawione niemalże bezpośrednio na słońce. — Patolog wskazał na zakurzone okna.

— Musiało go nieźle podpiec przez te szyby — skomentował Ross i wychylił się przez barierkę. — Wiemy coś o sprawcach? — Zwrócił się do technika fotografującego jakiś obiekt na podłodze.

— Znalazłem kilka śladów, ale na razie jeszcze nie mogę stwierdzić niczego konkretnego.

— A gdybyś miał strzelać?

— Na pierwszy rzut oka mamy tu kilka rodzajów śladów. Zakładając, że to właściciel znalazł ciało, tamte należą do niego. — Wskazał na podłogę kilka metrów dalej. — Dotarł do tego miejsca i zawrócił. To potwierdza jego wersję. Po wyeliminowaniu właściciela, pozostają jeszcze trzy ślady — dwóch podejrzanych miało na sobie obuwie sportowe, a jeden buty z gładką podeszwą.

— Czyli eleganckie. Mamy szefa i jego ochroniarzy, którzy prawdopodobnie przytaszczyli ciało. Coś jeszcze?

— Sam nie wiem...

— No dawaj!

— Te konkretne ślady są nieco dziwne. — Pokazał na odcisk sportowego buta. — Mam wrażenie, że nieznacznie różnią się rozmiarem i rozstawem kroków. Albo gość dziwnie chodził, albo...

— Dwóch miało to samo obuwie — dokończył Ross.

— Zgadza się.

— Tak więc nasz podejrzany zabrał trzech goryli albo był tu ktoś jeszcze.

— Słuszna uwaga i być może całkiem trafna. Znalazłem nietypowe ślady krwi. — Pokazał na odcinek pomiędzy ciemną, wyschniętą kałużą a schodami. — Niewyraźny, ale jednak. Jakby roztarta kropla. Nieco dalej jest jeszcze jeden ślad, znacznie słabszy, a na schodach już praktycznie nie ma nic.

— Może krew kapiąca z ciała odbiła się od kratownicy?

— Wtedy byłaby mała kropla. A to jest ślad, jakby ktoś nadepnął na kroplę i szedł z nią w stronę schodów.

— Może to jeden z pomocników, który słysząc krzyki ofiary, przyszedł zobaczyć, co robią jego koledzy?

— To wielce prawdopodobne — potwierdził technik.

— Dobra robota! A co z odciskami palców? — zwrócił się do wysokiego mężczyzny przy sterówce dźwigu.

— Na razie nic. Musieli użyć rękawiczek.

— Sprawdźcie też łańcuch, na którym wisi i taśmy samoprzylepne krępujące ciało. Może dopisze nam szczęście.

— Jasne...

— A gdzie ten, który go znalazł?

— Bloom? Powiedział, że jeżeli będziemy chcieli z nim porozmawiać, to znajdziemy go w jego barze przy głównej ulicy.

— Jeżeli będziemy chcieli? Czy on się dobrze czuje? Znajduje trupa w swoim magazynie, jest właścicielem knajpy, w której kręcą się największe szumowiny tego miasta i czeka, bo *może* będziemy chcieli z nim porozmawiać? Dawać go na przesłuchanie zanim zmądrzeje i weźmie nogi za pas!

Godzinę później Ross był już z powrotem na komisariacie. W drugim radiowozie, tuż za nim, przyjechał właściciel magazynu w celu złożenia zeznań.

Pokój przesłuchań był zimnym i nieprzyjaznym miejscem — pomieszczeniem o wymiarach trzy na cztery metry, całkowicie pozbawionym okien. Jedyne światło — sztuczne — pochodziło z kilku świetlówek wbudowanych w sufit. Wymianę powietrza zapewniała kratka wentylacyjna, a jedynym wyposażeniem był stół i trzy składane krzesła. Nad drzwiami, naprzeciwko miejsc, które zajmowali przesłuchiwani, często ze swoimi adwokatami, znajdowała się kamera.

— Panie... — Ross spojrzął w akta — Bloom. Nie będzie miał pan nic przeciwko, jeżeli włączę kamerę?

— Nie... — Mężczyzna machnął obojętnie ręką. — Nie mam nic do ukrycia.

— Proszę opowiedzieć, jak doszło do tego, że znalazł pan ciało. Tylko powoli i spokojnie, ze wszystkimi szczegółami.

— Rano zobaczyłem, że stara brama prowadząca na złomowisko jest otwarta. To znaczy... nie była otwarta, ale łańcuch był przecięty. Wisiał swobodnie i każdy mógł tam wejść. Poszedłem sprawdzić, czy wszystko w porządku. Gdy dotarłem do magazynu, dostrzegłem uchylone drzwi. Wszedłem do środka i znalazłem ciało.

— Znał pan ofiarę?

— Nie wiem. Nie podszedłem na tyle blisko, żeby przyjrzeć się twarzy. Zemdlilo mnie i musiałem wyjść na zewnątrz.

— Od razu zadzwonił pan na policję?

— Jak tylko doszedłem do siebie i wróciłem do domu.

— Gdzie był pan w nocy z poniedziałku na wtorek?

— W moim barze. Dlaczego?

— Podejrzewamy, że właśnie wtedy zabito ofiarę.

— Chyba nie jestem w kręgu podejrzanych? — skrzywił się Bloom.

— Na tym etapie wszyscy są... Nawet ja — zaznaczył poważnie Ross.

— Byłem w barze do drugiej w nocy. Rozmawiałem z gośćmi. Najpierw z Johnem Perkinsem, a później z Benem Moslerem. Może pan też zapytać barmana i kelnerki.

— Tak zrobię. Ale wszystko w swoim czasie.

— A po drugiej w nocy?

— Poszedłem do domu.

— Ktoś może to potwierdzić?

— Żona. Obudziła się, kiedy wszedłem do sypialni.

— Zgodnie z naszymi ustaleniami, mężczyzna, którego pan znalazł, nazywa się William Maison. — Ross położył na stole dane ofiary z dołączonym zdjęciem. — Poznaje go pan?

— Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek go spotkał.

— Może był klientem baru?

— Na pewno nie regularnym. Znałbym go. Ale popytajcie obsługę.

— A tych dwoje? — Detektyw pokazał zafoliowane zdjęcia, które śledczy znaleźli nieopodal ciała.

— Nie sądzę, chociaż... Ten człowiek... — postukał palcem w fotografię z nieboszczykiem — kogoś mi przypomina.

— Znał go pan?

— Chyba tak... Mogę?

— Proszę...

Bloom wziął do ręki fotografię. Założył okulary i dokładnie przestudiował zdjęcie.

— Mój Boże, przecież to... Lio — oznajmił z nieskrywanym zaskoczeniem.

— Można jaśniej?

— Lionel Moor. Bywał w barze. Drobną kancią... biznesmen — poprawił się natychmiast. — Zajmował się głównie pożyczaniem niewielkich sum pieniędzy i...

— I ktoś nie spłacił pożyczki, tylko zakopał go w lesie.

— Najwidoczniej...

— Bywał w barze?

— Tak. Regularnie.

— Miał wrogów?

— A kto w tej branży nie ma?

— W porządku. Sprawdźmy i to. A ta druga twarz... Nic panu nie mówi?

— Niestety. Pierwszy raz widzę tego człowieka. Tak jak powiedziałem, popytajcie moich pracowników. — Zdjął okulary.

— Rozumiem. Na razie to chyba wszystkie pytania.

Bloom wstał i poprawił koszulę, a detektyw otworzył mu drzwi.

— Gdyby coś się panu przypomniało, to proszę dać znać.

— Oczywiście.

— Aha! Jeszcze jedno... Skąd pan wiedział, że nie żyje? — Ross lubił zaskakiwać przesłuchiwanym. Po tym nieoczekiwanym pytaniu zmierzył przeciwnika przenikliwym wzrokiem.

— Nie rozumiem...

— Zgłosił pan policji, że znalazł ciało w swoim magazynie.

— Zgadza się...

— A przed chwilą pan powiedział, że stał daleko i nie był w stanie rozpoznać nawet twarzy. Zemdliło pana i musiał wyjść.

— Tak powiedziałem.

— Jeżeli nie był pan w stanie rozpoznać tego człowieka, to skąd miał pan pewność, że nie żyje?

— A co by pan pomyślał, widząc coś takiego?! — zdenerwował się Bloom. — Przestraszyłem się i opuściłem magazyn. Facet wisiał go góry nogami. Skąd miałem wiedzieć, czy nie ma tam jeszcze oprawców? Poza tym... na betonie zauważyłem zasuszoną plamę krwi. Myślę, że wysunąłem właściwe wnioski! — zakończył, niemalże krzycząc.

No dobra, tym razem ci się udało, przyznał w myślach detektyw. Szkoda tylko, że na końcu aż tak się zdenerwowałeś. Czyżbyś jednak miał coś do ukrycia?

Ross grzecznie pożegnał się i wzrokiem odprowadził Blooma aż do samych schodów.

— Mam przeczucie, że jeszcze się spotkamy.

— Detektywie! Mamy coś! — wrzasnął funkcjonariusz siedzący w jednym z otwartych biur. — Mam tutaj zgłoszenie zaginięcia z wtorku rano. Dane osoby zaginionej — William Maison. Dzwoniła jego żona. Powiedziała, że zniknął w niedzielę wieczorem i zabrał samochód.

— Dawaj adres i dzwoń do ekipy. Niech sprawdzą, czy na parkingu pod barem nie stoi samochód, który zniknął z domu Maisonów. Jeżeli nie, to dajcie znać wszystkim patrolom. Może któryś go namierzy.

— Robi się.

— Ja jadę porozmawiać z jego żoną i powiedzieć jej, że... nie musi na

niego czekać z obiadem. Jeżeli znajdziecie coś istotnego, dzwońcie na komórkę.

Ross pospiesznie opuścił komisariat. Zabrał kluczki do służbowego wozu i zbiegł po schodach na podziemny parking. W myślach układał sobie, a właściwie powtarzał formułkę, którą przywita żonę ofiary. W pracy policjanta tylko jednej rzeczy nie lubił bardziej od papierkowej roboty — informowania członków rodziny o śmierci najbliższej osoby. Nie był specjalnie wrażliwy, ale czuł, że wtedy ludzie patrzą na niego jak na nieudacznika, który miał rozwiązać sprawę, odnaleźć zaginionego, a tymczasem przychodzi ze złymi wiadomościami.

Gdy stanął przed drzwiami domu Maisonów, wziął głęboki oddech. Nacisnął dzwonek i zrobił dwa kroki w tył. Po niecałych trzydziestu sekundach drzwi otworzyły się. W progu stanęła zdruzgotana kobieta.

— Pani Stephanie Maison?

— Tak...

— Detektyw Ross z policji Cleveland. Dwa dni temu zgłaszała pani zaginięcie męża.

— Znaleźliście go? — zapytała rozpaczliwie.

— Tak, ale obawiam się, że nie mam dla pani dobrych wieści.

W oczach kobiety pojawiły się łzy.

— Czy on...

— Niestety... Nie żyje. Znaleźliśmy jego ciało.

— Mój Boże... — Rozpłakała się i schowała za drzwiami.

— Pani Maison... Domyślam się, jakie to dla pani trudne, ale mimo to muszę zadać kilka pytań, które pomogą nam ustalić, co spotkało pani męża.

— Zerknął do środka. — Czy mogę na chwilę wejść?

Nie potrafiła wydusić z siebie ani słowa. Machnęła tylko ręką, nakazując detektywowi, aby ten podążył za nią. Poszła do salonu. Usiadła na kanapie i sięgnęła po paczkę chusteczek leżącą na stoliku. Starła się opanować i doprowadzić do porządku, ale łzy nieustannie spływające po policzkach uniemożliwiały jej to.

Ross chwilę odczekał. Po minucie milczenia zabrał głos.

— Czy pamięta pani coś z dnia, kiedy zaginął mąż? Dodam, że każda wskazówka jest dla nas cenna.

Pokręciła głową. Nie była w stanie logicznie myśleć.

— Jak zginął? — odpowiedziała pytaniem na pytanie.

— Znaleźliśmy go w starym magazynie na południu miasta. Ktoś zastrzelił go i porzucił ciało. Było to niedaleko baru przy Bellaire Rd. Zna pani to miejsce? Wie pani, czego mógł tam szukać?

— Nie mam pojęcia — wyjąkała. — Zabrał samochód i zniknął. Zostawił mnie z czwórką dzieci!

— Dlaczego tak późno zgłosiła pani zaginięcie?

Spojrzała na niego, jakby zupełnie nie zrozumiała pytania.

— Pani Maison?

— Zabrał samochód... Myślałam, że do rana wróci. Nic pan nie rozumie. Próbowałam się do niego dodzwonić, ale telefon nie odpowiadał. Czekałam... Szukałam po znajomych... Zgłoszenie zaginięcia było dla mnie czymś ostatecznym. Przyznaniem się przed samą sobą, że mogłam go na zawsze stracić.

— Rozumiem... Czy mąż wcześniej zniknął na dłużej niż dwadzieścia cztery godziny?

— Nie. Może raz... Ale wrócił. Wyszedł z kolegami i przypadkiem nie zabrał ze sobą telefonu, a ja nie odczytałam pozostawionej przez niego wiadomości. Zamartwiałam się przez całą noc, nie spałam, ale to była tylko i wyłącznie moja wina. Teraz też myślałam, że wróci tak, jak wtedy. Ale nie wrócił. Zostawił mnie samą...

— Czy mąż miał wrogów?

— Wydaje mi się, że nie, ale był inwestorem. W tym zawodzie wystarczy jedno złe posunięcie i w jednej chwili przyjaciele mogą stać się śmiertelnymi wrogami. Kiedyś mi opowiadał o swoim współpracowniku, który...

— Domyślam się... — przerwał Ross. — Mam tu jeszcze dwa zdjęcia, które znaleziono przy pani mężu. Mogłaby pani przyjrzeć się fotografiom i ...

— Przepraszam, ale chciałabym już zostać sama... — oznajmiła załamana.

— Pani Maison... Wiem, że to nie jest łatwe, ale jeżeli ja nie przesłucham pani tutaj, zrobią to moi koledzy na komisariacie. Proszę mi pomóc, a wyniosę się najszybciej, jak to tylko będzie możliwe.

Westchnęła i po raz kolejny otarła łzy.

— Dobrze, w takim razie proszę je pokazać...

Ross podał kobiecie zdjęcia i wbił w nią wzrok, obserwując każde, nawet najmniejsze drgnięcie mięśni twarzy czy ruch gałek ocznych.

— To dawny znajomy Williama, Steven Perry. Mieszkał niedaleko — skomentowała pierwszą fotografię. — A to jego syn. — Pokazała na chłopca na rowerze.

— Wie pani, dlaczego mąż miał to zdjęcie przy sobie?

— Nie mam pojęcia. To wręcz... dziwne.

— Co pani przez to rozumie?

— To bardzo stare zdjęcie. Syn Stevena będzie miał już z osiemnaście lat, o ile nie więcej. Przyznam, że nigdy nie widziałam tej fotografii — zdziwiła się.

— Powiedziała pani, że mieszkają niedaleko. Wskaże mi pani ich dom?

— Mogę, ale to niczego nie zmieni. Steven Perry zniknął jakieś dziesięć lat temu. Nikt nie wie, gdzie przepadł. Dwa lata później jego biedna żona zabiła się z rozpaczy, a chłopcem zajęli się dziadkowie.

— Zaginął? — Rossa wyraźnie zaintrygowała ta historia.

— Tak. Na początku podejrzewano porwanie dla okupu. Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale lubili chwalić się tym, co posiadali. Ostatecznie, gdy poszukiwania nie dały żadnych rezultatów, zdruzgotana kobieta nie wytrzymała życia w niepewności i zabiła się.

— Rozumiem... A drugie zdjęcie?

Stephanie Maison odłożyła pierwszą fotografię. Zastygła, kiedy zobaczyła co, a dokładniej, kto znajduje się na kolejnej. Po chwili zastanowienia przyłożyła dłoń do ust, jakby chciała dobitniej ukazać swój żal. Ross od razu dostrzegł tych kilka sekund wahania.

— Mój Boże! Dlaczego mi pan to pokazuje?

— To zdjęcie również znajdowało się przy pani mężu.

— Kto to?

— Myślałem, że pani mi powie.

— Nie mam pojęcia... To jakiś absurd. Dlaczego to zdjęcie znalazło się przy zwłokach mojego męża?

— Właśnie próbuję to ustalić.

— Detektywie, rozumiem, że ma pan obowiązki, ale właśnie straciłam ukochaną osobę, a dzieci straciły ojca. Proszę zostawić mnie w spokoju i dać mi trochę czasu na pogodzenie się z rzeczywistością. Jeżeli będę musiała zgłosić się na komisariat, to trudno.

— Myślę, że na chwilę obecną dowiedziałem się wszystkiego, o co

chciałem zapytać. Jednak proszę nie wyjeżdżać z miasta. Będziemy musieli jeszcze panią prosić o identyfikację zwłok.

— Dobrze...

Ross miał już to, po co przyszedł. — Mógł odpuścić. Pożegnał wdowę i wyszedł przed dom. Na podjeździe dostrzegł drugi samochód Maisonów, na który wcześniej nie zwrócił uwagi.

Sondując otoczenie, poszedł w stronę służbowego wozu. Gdy wsiadł do środka, zauważył pojazd parkujący kilka metrów dalej, przy chodniku, przed posesją Maisonów. Był to stary pontiac firebird z osiemdziesiątego pierwszego roku. Zupełnie nie pasował do rodzinnych vanów i sedanów zaparkowanych przy domach na tym osiedlu. Zaciekawiony detektyw postanowił przyjrzeć mu się nieco bliżej.

Samochód miał ponad trzydzieści lat, ale był w świetnym stanie. Charakteryzował go nieskazitelny, czarny, metalizowany lakier, wypolerowane, lśniące felgi i pięknie utrzymana, oryginalna tapicerka.

Pojazd był zamknięty. Ross zerknął przez szybę. Na podłodze przed fotelem pasażera leżały jakieś kartki, a na siedzeniu znajdowała się paczka papierosów. Wyjął telefon i wybrał numer centrali.

— Centrala, słucham?

— Tu detektyw Ross. Numer odznaki 45 875. Proszę o identyfikację numeru rejestracyjnego. Tablice są z Ohio. 645 WBL.

— Sprawdzam... Samochód jest zarejestrowany na Lionela Moore'a, zamieszkałego w Cleveland przy Thornhope Rd. 17.

Ross drgnął. Podziękował i rozłączył się. Już raz dzisiaj słyszał to imię i nazwisko. Wyciągnął z kieszeni zdjęcie zakopanego mężczyzny i przywołał w myślach rozmowę z właścicielem złomowiska i baru przy Bellaire Rd., Samuelem Bloomem.

Biznesmen... Akurat. Co ten typek robił w tej okolicy? Gdyby pan żył, panie Maison, to założę się, że rzuciłby pan trochę światła na tę sprawę. Coś czuję, że ta idealna okolica, właśnie przestała być idealna.

CZWARTEK

— Wiesz dobrze, że tak nie powinno być — warknął Adams. — To moja... nasza sprawa i powinniśmy ją dokończyć! Dopiero minął tydzień! Gdyby dowody dotarły wcześniej...

— Wiem, ale ktoś na górze pociągnął za sznurki i mam związane ręce — tłumaczył się Goldwyn.

— Przecież jesteśmy o krok od zamknięcia tej sprawy!

— Byłem już kiedyś w takiej sytuacji i wierz mi... jedyne, co możemy zrobić, to przyglądać się, jak zabierają materiał dowodowy i pomachać im na pożegnanie. Chyba nie chcesz, żeby FBI oskarżyło nasz wydział o utrudnianie śledztwa... Wiesz, że mogą to zrobić.

— Paranoja! — Adams zaczął nerwowo krążyć po gabinecie. Przejęcie sprawy Snyderów i Paxtona przez FBI było dla niego osobistą porażką. Nigdy nie potrzebował pomocy z zewnątrz. Wkroczenie Federalnych traktował jako osobisty przytyk do jego metod działania.

— Usiądziesz, czy wydepczesz mi dziurę na środku biura?

— Przecież mamy dwa nagrania. Balistyka, ślady krwi, odciski palców. Wszystko wskazuje na Snydera. Przyznaję, że jest parę niejasności, ale ostatecznie to on strzelał. Daj mi jeszcze dwa dni i zamknę tę sprawę.

— Przykro mi...

— Niech to szlag! Już miałbym ją zamkniętą, gdyby nie te przekłete zdjęcia! Chciałem sprawdzić, kim jest ta kobieta i gdzie Snyder był tej nocy. No i jeszcze te fotografie, na których Phil Foster rozmawia z Samanthą Snyder. Dwa dni i byłoby po sprawie.

Odpuść, bo zrobi się nieprzyjemnie, pomyślał Goldwyn. Dobrze, że jeszcze nie zdążył złożyć Fosterowi wizyty. Kapitan, gdyby mógł, zaczęłby ze zdenerwowania obgryzać paznokcie.

— Może Snyder lubił prześladować innych ludzi... Pewnie miał obsesję na punkcie Samanthy. Łaził za nią i nakrył ją jak jadła obiad ze starym znajomym. Nie pracował. Miał czas na zaglądnienie innym pod kołdrę. Pewnie nocami zakradał się do ogródka sąsiadów i fotografował czyjaś niewierną żonę. Facet był nieudacznikiem. Wszystko, co mieli, zawdzięczał jej. Wreszcie coś go tknęło. Gdy dowiedział się, że żona może go zdradzać, pojechał za nią i znalazł ją w ramionach Paxtona. Nie wytrzymał presji... Zastrzelił tych dwoje i palnął sobie w łeb.

— To się nie trzyma kupy! Albo jedzie za żoną i chce ją dopaść, albo idzie podglądać sąsiadów. Przed morderstwem zrobił sobie przerwę na sesję? Musiałby być nienormalny!

— A czy normalny człowiek zabija żonę? Nie wiem, co kłębiło się w jego głowie, ale dowody, jak sam przyznałeś, są jednoznaczne.

— I co zrobią Federalni? Przejmą sprawę i ją zamkną?

— Nie wiem. Ale za chwilę się dowiemy... Patrz. — Goldwyn wskazał na drzwi windy, które właśnie się rozsunęły.

— Tak zeszywnieli, że nawet po schodach nie potrafią chodzić — bąknął Adams.

Czterech agentów szło głównym korytarzem w kierunku biura kapitana. Nie rozglądali się na boki, nie szukali kontaktu wzrokowego. Wiedzieli, że nie są tu mile widziani. Wyprostowani, w eleganckich garniturach, wypolerowanych, czarnych butach i z drogimi zegarkami na rękach, maszerowali pewnie, jakby już mieli tę sprawę rozwiązaną. Bez skrupułów wtargnęli na *świętą ziemię* Goldwyna i byli gotowi zdeptać każdego, kto stanąłby na ich drodze.

— Witam panów. Nazywam się Barlow. Zgodnie w wytycznymi, które powinniście już otrzymać, od teraz FBI zajmie się śledztwem w sprawie śmierci Johna i Samantha Snyder oraz Billa Paxtona.

— A co to zmieni? — wtrącił Adams. — Bieg wydarzeń jednoznacznie wskazuje, co tam się wydarzyło.

— To prawda, ale niektórzy chcą mieć pewność, że w tej sprawie nie zostały pominięte żadne istotne fakty.

— Pominięte?! Może mi pan powie, kim są...

— Rozumiemy — przerwał mu Goldwyn. — To nasz człowiek, który zajmował się tą sprawą, detektyw James Adams.

— Dziękujemy za dotychczasowy wkład w śledztwo. Będziemy wdzięczni, jeżeli pomoże nam pan przygotować wszystkie dowody, jakie do tej pory zgromadziliście w tej sprawie.

— A mogę wiedzieć, dlaczego FBI tak nagle zainteresowało się tym konkretnym przypadkiem? — zapytał kapitan.

— Śledztwo dotyczy wysoko postawionych członków wymiaru sprawiedliwości, co bezpośrednio wiąże się z bezpieczeństwem narodowym.

— Pieprzenie...

— Słucham? — podchwycił Barlow.

— Nic nie mówiłem...

— Adams, weź Benneta i jeszcze kogoś. Spakujcie materiały — rozkazał Goldwyn.

Detektyw bez sowa opuścił biuro. Gdyby nie fakt, że mógłby zaszkodzić

również szefowi, jeszcze dosadniej powiedziałby im, co o tym wszystkim myśli.

Ostatecznie jednak nie było tego złego, co by na dobre nie wyszło. Obawiał się tego śledztwa. Dobrze wiedział, że znane nazwiska zawsze zmuszają do większej ostrożności i niosą ze sobą zagrożenia, o których często się nie myśli. Gdyby nie sposób, w jaki to się stało, byłby nawet wdzięczny za pozbycie się tej sprawy. Od samego początku nie krył niezadowolenia z faktu, że musiał się nią zająć. W głębi duszy ulżyło mu, że teraz ktoś inny zostanie zmuszony do poręczenia za nią głową.

Wściekłość powoli ustępowała miejsca podenerwowaniu, aby w końcu zmienić się w obojętność. W drodze do biura, powrócił myślami do sprawy samobójstwa zakonnicy, którą chwilowo musiał porzucić. Zgodnie z obietnicą kapitana, po zamknięciu sprawy Snyderów i Paxtona, miał wolną rękę. Mógł wznowić śledztwo w związku z nietypowymi okolicznościami śmierci Dony Jonson.

Phil Foster tego dnia nie poszedł do pracy. Niewyspany, półprzytomny siedział na kanapie z nogami wyciągniętymi na stoliku. Tuż obok nich stały trzy puste butelki po piwie. Po wizycie Goldwyna nie zmrużył oka. Fakty, które uderzyły w niego jak grom z jasnego nieba, całkowicie sparaliżowały jego dotychczasowe życie. Myślał nad swoim następnym posunięciem.

Zaniedbał obowiązki, a żona, po burzliwej rozmowie z mężem, jeszcze tego samego dnia wyjechała do swojej matki. Jeden problem chwilowo się rozwiązał, ale pozostał jeszcze drugi.

Czy mogą oskarżyć go o zamordowanie tej trójki, zastanawiał się. Zresztą... wcale nie muszą. Wystarczy proces. Nie wierzę, że Adams odpuści. Nawet jeżeli wyrok będzie uniewinniający, to i tak stracę większość klientów. Cokolwiek by się nie stało, jakkolwiek nie potoczy się ta sprawa, jeżeli zostaną w nią wplątani, będzie po mnie.

Próbując odpędzić złe myśli, zrobił głośniej telewizor. Nawet nie zwrócił uwagi na to, że od dobrej godziny patrzył na jakieś bajki. Nie miało to znaczenia. Ważne, że coś przesuwało się przed jego oczami.

Zmienił kanał. Natrafił na wiadomości. Realizator zrobił zbliżenie na znajomy budynek, w którym on — były detektyw — pracował przez blisko piętnaście lat. Na pierwszym planie — przed komisariatem — pojawiła się wypindrzona dziennikarka. Nie cierpiał takich. Przesadzony makijaż, wypełnione botoksem usta i doklejone rzęsy, które w czasie mrugania,

prawie dotykały policzków.

— ...została przekazana FBI, które zasłaniając się dobrem śledztwa, a także bezpieczeństwem narodowym, nie chce komentować podjętych decyzji oraz tego, czym były podyktowane. Jak poinformował nas w krótkim oświadczeniu jeden z agentów, pojawiły się uzasadnione wątpliwości, które uniemożliwiły szybkie zakończenie tego, jak się na początku wydawało, jednokierunkowego dochodzenia. Według śledczych, dowody odkryte podczas postępowania w sprawie śmierci pani prokurator Samantha Snyder oraz sędziego Billa Paxtona, rzucają zupełnie nowe światło na tragiczne wydarzenia, jakie miały miejsce osiemdziesiąt kilometrów na zachód od Cleveland. Tak więc... na ostateczny wynik tej kontrowersyjnej sprawy przyjdzie nam jeszcze...

Foster wyłączył telewizor. Ze złością kopnął w butelki na stoliku, a te, poleciały na podłogę. Jedna z nich stłukła się, a dwie potoczyły pod ścianę.

— Arthur miał rację... — powiedział do siebie. — FBI nie ma zamiaru szybko kończyć śledztwa. Szukają kozła ofiarnego i nie spoczną, dopóki go nie znajdą!

Zerwał się z sofy i pobiegł na górę. Założył, że ma dwadzieścia cztery godziny, zanim Federalni ustalą, kim jest kobieta na zdjęciach. Musiał uciekać najdalej, jak to tylko było możliwe.

David Ross miał opinię świetnego detektywa, ale nie należał do ludzi, którzy przesadnie przejmują się pracą. Rzadko wychylał się poza szereg, a jeszcze rzadziej pracował po godzinach. Jego obecność w biurze po dwudziestej była dla większości dużym zaskoczeniem. Co jakiś czas dochodził do jego uszu kąśliwy żart albo głupkowata uwaga. Niewiele sobie z tego robił, chociaż nie pomagało mu to w pracy.

Nie do końca pogodził się z faktem, że sprawa Maisona pochłonęła go do reszty. Od dnia kiedy zobaczył związane łańcuchem, powieszona i podziurawione ciało wzorowego ojca rodziny, nie mógł przestać o nim myśleć. Tego ranka wraz z kolegą z wydziału zabójstw wybrał się w odwiedziny do domu Lionela Moore'a. Nie zdziwił się, gdy nie zastał gospodarza w środku. W końcu leżał gdzieś i gnił przysypany warstwą ziemi.

Ze świeżo podpisanym nakazem wkroczyli do domu ofiary. Bałagan, jaki zastali, zupełnie nie pasował do zadbanego samochodu, który stał przed domem Maisonów. Po podłodze walały się papierki, puste paczki po ciastkach i puszki po piwie. Zlew w kuchni był zawalony stosem garów i

talerzy, a kosz przebierał. Wszędzie latały muchy. Kanapa w salonie była poplamiona i przesiąknięta bliżej nieokreślonymi płynami. Wewnątrz panował potworny zaduch.

Na szczęście mieszkanie nie było zbyt obszerne i policjanci szybko uporali się z przeszukaniem. Znaleźli kilka skrętów, paczkę białego proszku, który zdecydowanie nie był mąką i plik banknotów — na pierwszy rzut oka około kilku tysięcy dolarów. Technicy mieli pojawić się nieco później, więc zostawili wszystko na swoim miejscu. Pomimo zatrważającej ilości śladów bytności Moore'a, nie znaleźli niczego, co mogłoby im wskazać miejsce jego pochówku. Jedynym tropem były wizytówki klubów ze striptizem, ulotka z pizzerii i rachunek z myjni. Późniejsza wizyta brygady uzbrojonej w zestawy odczynników, aparaty i urządzenia pomiarowe, również nie przyniosła zadowalających rezultatów.

Ross musiał wrócić do biura i zacząć od początku. Nie znajdując żadnego punktu zaczepienia w związku z Lionelem Moorem, skupił się na drugim zdjęciu, które Maison miał przy sobie w chwili śmierci. Zaczął zagłębiać się w sprawę tajemniczego zniknięcia Stevena Perry'ego. Nie bardzo miał kogo przesłuchać — żona Perry'ego nie żyła, a jego syn był wtedy małym chłopcem — musiał oprzeć się na starych aktach i doniesieniach gazet z tamtego okresu.

Przed ekranem monitora spędził ponad trzy godziny, przewijając kolejne strony archiwalnych dokumentów, w nadziei, że trafi na coś ciekawego. Gdy wskazówki zegarka pokazały godzinę dwudziestą pierwszą, postanowił odpuścić. Przekrwione oczy ostatecznie odmówiły posłuszeństwa, a kolejne kawy nie przynosiły spodziewanych efektów. Musiał się przewietrzyć. W drodze powrotnej do domu zahaczył jeszcze o miejsce, które spędzało sen z powiek każdemu policjantowi w Cleveland — podjechał pod bar przy Ballaire Rd.

Nie miał zamiaru pokazywać się w nim o tej porze jako policjant. Cenił sobie życie i nie chciał go przedwcześnie zakończyć. Zdjął odznakę, szelki z pistoletem i zmierzwił włosy. Krawat oraz niebieską, dopasowaną koszulę znanej marki, zastąpił luźniejszą, szarą w czarne ciapki, którą kupił na wakacjach w Miami. Skórzane buty zamienił na adidasy.

Z uwagi na charakter miejsca nie miał zamiaru rezygnować z broni. Pistolet w tej okolicy był popularniejszy od papierosa. Schował go za plecami, wsuwając za pasek spodni. W środku czekała na niego mała armia,

więc musiał przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności.

Nie brał udziału w przesłuchaniu barmana czy kelnera, więc nikt nie powinien go rozpoznać. Miał nadzieję, że nie natknie się na Blooma, który z pewnością zapamiętał jego twarz. Podjechał prywatnym samochodem. Istniał cień szansy, że ryzykowna operacja może zakończyć się powodzeniem.

Pewnie wkroczył do środka, jakby bywał tam co najmniej kilka razy w tygodniu. Już w progu uderzyła go mieszanka prymitywnych zapachów — smażonego mięsa, starego oleju, potu i piwa. Wewnątrz było gwarno jak na bazarze w okresie przedświątecznym. Jego początkowe obawy okazały się bezpodstawne. Nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Tylko ochroniarz przy drzwiach, pierwszy raz widząc nowego gościa, dokładniej mu się przyjrzał.

Ross od razu upatrzył sobie miejsce przy samym barze, obok skąpo ubranej, opalonej blondynki. Usadził się na wysokim stołku i zamówił piwo. Kątem oka przyjrzał się tatuażowi na plecach kobiety siedzącej tyłem do niego. Wielka tarantula czyhająca na swoją ofiarę wyglądała jak żywa. Wielbicielka pajęczaków bez skrupułów debatowała ze swoją koleżanką na temat ostatniego podboju, jakiego dokonała podczas wyjazdu na Hawaje. Nie interesowało ją, czy ktoś słucha, czy nie. To miejsce nie znało pojęcia *TABU*.

Dopóki barman nie podał zamówionego piwa, detektyw delectował się pikantną historią frywolnej blondynki.

— Siedem dolarów.

— Proszę, reszty nie trzeba. — Ross położył na blacie dziesięciodolarowy banknot.

— Dzięki...

— Słuchaj... — nachylił się — nie widziałeś ostatnio Moore'a? — szepnął. — Potrzebuję kilku dolców.

Barmana zaintrygowało pytanie. Rano rozmawiał z właścicielem baru, który opowiedział o makabrycznym zdjęciu, jakie pokazano mu na komisariacie. Na razie musiał zachować ostrożność. Nie znał nowego gościa i wolał nie wdawać się w niepotrzebne szczegóły.

— Niespecjalnie. Czasem tu wpada, ale w tym tygodniu jeszcze go nie widziałem. A kto pyta?

— Nieważne. Chciałem po prostu pożyczyć trochę forsy i słyszałem, że ten facet mógłby mi pomóc.

— Niestety, nie wiem, kiedy znowu tutaj zajrzy.

— W porządku. Mogę zamówić jeszcze jedno piwo?

— Jasne!

Tym razem na blacie wylądował *Andrew Jackson*. Barman nie był idiotą, od razu pojął, o co chodzi.

— Szukam jeszcze kogoś.

— A dokładniej?

Ross wyciągnął zdjęcie.

— Facet nazywa się Maison. Mógł się tutaj kręcić.

— Royce... Zastąp mnie na chwilę.

Mężczyzna za barem zrobił groźną minę i kiwnął głową. Wyraźnie chciał, żeby ciekawski gość poszedł za nim. Na początku nie był pewien, ale teraz już wiedział, z kim ma do czynienia. Gdy znaleźli się na zapleczu, przestał być miły.

— Słuchaj! Twój kolega już mnie przesłuchiwał. Pytali o Moore'a i tego wisielca. Powiedziałem im wszystko, co wiem. Po cholere ta szopka?! Chcesz, żeby ci na sali dowiedzieli się, kim jesteś?

— Nie dowiedzą się, jeżeli im nie powiesz. — Ross zagrał w otwarte karty. — Poza tym... nie masz wyjścia. Jeżeli skojarzą, że na zapleczu gadałeś z gliną-tajniakiem, co noc będziesz musiał zmieniać opony w swoim samochodzie, a twoja buźka nie będzie już taka urocza.

Barman zagryzł zęby.

— Czego jeszcze chcesz? Powiedziałem wszystko, co wiem.

— Czyli nic. Chcesz mi wmówić, że Maison nigdy tutaj nie był, a żadna z szumowin siedzących na sali nic nie wie o jego śmierci? Kpisz sobie ze mnie? Samochód Moore'a, waszego regularnego klienta, stoi przed domem faceta zamordowanego na terenie magazynu Blooma, tuż pod waszymi pieprzonymi nosami. Czy to zbieg okoliczności? Nie sądzę...

— Nie wiem...

— Powiem ci, co zrobię. Wyjdę tam i zacznę przesłuchiwać każdego podejrzanego typa po kolei. Powiem, że to ty kazałeś mi z nimi porozmawiać w sprawie tego nieboszczyka. Poszliśmy na zaplecze. Myślisz, że ludziom to umknęło? Będziesz miał szczęście, jeżeli jutro przyjdiesz do pracy o własnych siłach.

— Dobra! Był tutaj — warknął barman.

— Kto i kiedy?

— Ten ze zdjęcia... Maison, czy jak mu tam. Wpadł jakiś miesiąc temu i pytał o kogoś, kto mógłby mu pożyczyć trochę szmalu.

— Mówił, dlaczego?

— Po którymś kieliszku przyznał, że jest hazardzistą. Powiedział, że potrzebuje kilkunastu tysięcy.

— A ty wskazałeś mu Moore'a.

— Nie musiałem.

— Przypadkiem siedział tuż obok niego i przysłuchiwał się całej rozmowie. Potem poszli do stolika. Zamówili kilka kolejek i chyba doszli do porozumienia.

— Widziałeś ich jeszcze kiedyś razem w barze?

— Moor wpadał regularnie, ale ten drugi już więcej się nie pokazał. To wszystko, co wiem. Przysięgam.

— Dla kogo pracował Moore?

— Kurde, chłopie... Jego szef zabije mnie za to, że z tobą gadałem. Miejże litość!

— Masz rację. I tak już za długo tu siedzimy. O resztę dopytam pozostałych.

Ross ruszył w stronę wyjścia na salę.

— Stój! Oszalałeś?!

— Albo mi powiesz, dla kogo pracował, albo wycisnę to z pierwszego lepszego gnojka na sali.

— Don Corleone. — Spuścił głowę. — Faceta nazywają Don Corleone — powtórzył zrezygnowany barman.

— Ten gangster? — zdziwił się Ross. Pseudonim kryminalisty był mu doskonale znany.

— A znasz innego?

Moore był pośrednikiem, domyślił się detektyw. Wziął forszę od Corleone i pożyczył ją Maisonowi, a gdy ten nie miał z czego oddać, złożył mu wizytę. Problem polegał na tym, że zadłużony po uszy wzorowy ojciec rodziny nie miał przy sobie ani centa. Załatwił gnojka, myśląc, że nikt nie zauważy zniknięcia takiej płotki. Pech chciał, że ukatrupił człowieka pracującego dla poważnego gracza, jakim był Corleone. Facet sprawdził listę klientów. Gdy znaleźli wóz Moore'a pod domem Maisona, wszystko stało się dla nich jasne. Tylko gdzie Maison zakopał tego biednego drania?

— Mam jeszcze jedno pytanie i jesteś wolny.

— Byle prędko, bo przy barze robi się kolejka.

— Czy ten cały Corleone był tutaj tego wieczoru, gdy zamordowano Williama Maisona?

Barman wahał się z odpowiedzią.

— Tak. Pokręcił się tutaj przez chwilę i wyszedł.

Ross znalazł brakujący element układanki.

— Dobra. Pokaż mi tylne wyjście. Jeżeli ktoś cię zapyta, powiesz, że zaprowadziłeś mnie do Blooma.

— Oby uwierzyli.

Barman wskazał detektywowi tylne drzwi. Ross z ulgą opuścił to przekłete miejsce, choć z wielką przyjemnością wróciłby tam i zakuł w kajdanki każdego podejrzanego wyglądającego, bezkarnie śmiejącego się i pijącego do utraty przytomności typa. Jeden nalot i połowa czarnych charakterów z Cleveland znalazłaby się w pace, pomyślał.

PIĄTEK

Osiedle przy Campton Rd. miało specyficzny charakter. Nie było tutaj pięknych, jednorodzinnych domów, nowych samochodów, wybrukowanych podjazdów ani zadbanych obejść, a skrzynki na listy ograniczały się do prowizorycznych budek zbitych z sześciu desek. Teren ten został zdominowany przez zdezelowane przyczepy kempingowe, ustawione dziko, nieregularnie, jedna obok drugiej.

Na każdym kroku było widać biedę. Brak podstawowych środków do życia wynikał z bezrobocia, które dotknęło większość mieszkańców tej okolicy. Utrzymywali się oni głównie z zasiłków, a ci, którzy ich nie mieli, zajmowali się dorywczymi pracami, często nie do końca legalnymi.

Obcy, ze względu na charakter wykonywanej przez nich pracy, byli tutaj bardzo niemile widziani. Miejsce to stało się mekką niezapłaconych podatków, nieuregulowanych alimentów oraz ciągnących się w nieskończoność długów. Kuratorzy, urzędnicy, windykatorzy i policja stanowili ponad dziewięćdziesiąt pięć procent odwiedzających tę okolicę.

Mieszkańcy wiedzieli, że wizyta kogokolwiek bez zapowiedzi, zawsze oznacza kłopoty. Każdy tutaj posiadał jakąś broń i telefon, które oprócz telewizora czy garnków, stanowiły podstawowe elementy wyposażenia

domu. Dzięki nim można było odeprzeć niespodziewany atak albo wezwać na pomoc zaprzyjaźnionego sąsiada.

Pomimo wczesnej pory, kierowca srebrnej toyoty, dostrzegł przynajmniej w trzech oknach, poruszające się firanki. Musiał szybko zrobić, co do niego należy, zanim wzbudzi jeszcze większe zainteresowanie. Zatrzymał się przed przyczepą z numerem siedemdziesiąt pięć. Sam nie wiedział, czy lepiej zagrać urzędnika, czy windykatora. Wziął gazetę, którą kupił po drodze i przeciął jedną z kartek na pół. W ten sposób stworzył dwa fikcyjne zawiadomienia. Rozejrzał się, czy nie ma nikogo w pobliżu i opuścił samochód. Miał na sobie białą koszulę z krótkim rękawem wyraźnie kontrastującą z granatowym krawatem, szare spodnie prasowane na kant i czarne, wypastowane buty. Wizerunku urzędnika dopełniały ośmiokątne okulary, gładko ogolona twarz, włosy zaczesane na przedziałek i skórzana, brązowa teczka.

Nie mógł ryzykować, że kogoś zastanie. Zamarkował pukanie do drzwi. Po chwili powtórzył czynność. Brak odpowiedzi był jednoznaczny. Pomiedzy metalowe drzwi a futrynę włożył kawałek gazety, z daleka przypominający zawiadomienie. Podszedł do starego rzęcha zaparkowanego przed przyczepą. Podczas zakładania drugiego anonsu za wycieraczkę od strony pasażera, umyślnie upuścił teczkę na ziemię. Schylił się po nią i płynnym ruchem umieścił mały nadajnik pod nadkolem samochodu. W ten sposób zakończył całą operację.

Szybkim krokiem wrócił do toyoty i opuścił podejrzaną okolicę.

— Jane! Był tu jakiś urzędas!

— Zamknij drzwi i nie wpuszczaj tych sępów do środka! — odkrzyknęła zaspana, półprzytomna kobieta. Jeszcze do końca nie rozumiała zdań, które do niej docierają.

— Powiedziałem, że był, a nie, że jest. Zostawił ci jakąś kartkę za wycieraczką.

— Spław go! Jeżeli będzie pyskował, to przy wyjściu, obok szafki, jest kij baseballowy!

Stephen Fox pokręcił głową. Siódma piętnaście była zbyt wczesną porą na prowadzenie niepotrzebnych dysput. Postanowił dać kobiecie jeszcze trochę pospać. W końcu kolejna, szalona, nieprzespana noc, jeżeli nie teraz, to z pewnością później, brutalnie dałaby o sobie znać.

Z kolei jego wczesna pobudka była niczym innym, aniżeli

przyzwyczajeniem. Nie lubił marnować dnia. Nie potrzebował długiego snu. Kilka godzin w zupełności mu wystarczało. Gdy otworzył drzwi, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza, kawałek gazety poleciał na ziemię. Podniósł go, myśląc, że to jakieś ważne pismo. Zdziwił się, gdy zobaczył czarno-białe zdjęcie jakiegoś aktora i fragment nic nie znaczącego wywiadu.

— Co jest? — Zerknął na samochód Jane. Za wycieraczką znajdował się podobny wycinek. Zabrał go i porównał z poprzednim. Zdecydowanie pochodziły z tej samej gazety.

Może to jakaś wiadomość, pomyślał. Wrócił do przyczepy i odłożył je na szafkę.

Chciał gdzieś usiąść, ale najpierw musiał zrobić sobie miejsce. Fotel był całkowicie niedostępny — służył jako szafa i wieszak jednocześnie. Z kolei drewniane krzesło pełniło rolę suszarki na pranie. Na szczęście krótką i prowokującą spódniczka była już prawie sucha, podobnie jak zwiewna, biała bluzka. Przełożył je na „szafę”.

Siadając, niechcący trącił szklanekę stojącą na brzegu zlewozmywaka. Wpadła do środka, powodując spory łomot, jednak wcześniej jej zawartość — resztką drinka z poprzedniej nocy — wylała się na podłogę.

— Świetnie... — Fox poczuł napływającą złość. Złapał za ścierkę. Nie mógł uwierzyć, jak nisko upadł. Jeszcze przed dwoma tygodniami był szanowanym w swoich kręgach przestępcą. Teraz pistolet zamienił na szmatę i zmienił się w wytatuowaną sprzątaczkę. Przeklinał w myślach przyjaciela, który wcześniej wrócił z Florydy i znowu przejął dom oraz samochód.

Już niedługo... Jeszcze kilka dni i skończy się ta maskarada, powtarzał w myślach. Ze złością ścisnął ścierkę tak mocno, że sok, który próbował zetrzeć z gumowej wykładziny, szybko wracał na jej powierzchnię. Wreszcie, po minucie walki, głównie z samym sobą, uporał się z problemem. Wrzucił szmatę do zlewu i usiadł na krześle.

Kobieta powoli dochodziła do siebie. Leżała roznegliżowana na łóżku, próbując powstrzymać powieki przed ponownym opadnięciem. Przetarła oczy. Na palcach pozostał jej czarny tusz do rzęs z poprzedniej nocy. Wyglądała jak upiór — rozczochrana, rozmazany makijaż, worki pod oczami i zniszczona od papierosów cera. Puder częściowo maskujący jej niedoskonałości już dawno przestał spełniać swoją funkcję. Jego większą część pochłonęła poduszka, a resztę kołdra.

Usłyszała odgłosy rozmowy dochodzące z drugiego końca przyczepy. Z

pewnością nie był to telewizor. Ktoś rozmawiał przez telefon. Odruchowo sięgnęła po lusterko. Przeraziła się, gdy zobaczyła swoje odbicie. Złapała pierwszy lepszy kawałek materiału i wytarła twarz. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że do tego celu użyła bluzki, którą miała na sobie poprzedniego dnia. Wyglądała nieco lepiej, ale sporo brakowało do doskonałości.

Owinęła się w koc. Musiała przejrzeć „szafę” i znaleźć coś odpowiedniego do ubrania. Gdy stanęła na nogach, świat zawirował i poczuła mocny, pulsujący ból, jakby ktoś regularnie uderzał młotkiem w jej głowę. Wino pomieszane z piwem, tabletki ekstazy i skręt w brutalny sposób dały o sobie znać. Często zarywała noce, ale jeszcze nigdy nie czuła się aż tak źle. Miała wyraźną gorączkę i bolały ją mięśnie. Nagle poczuła mdłości. W ostatniej chwili zdążyła podnieść sedes.

Gdy Stephen Fox usłyszał podejrzane odgłosy dobiegające z przeciwnego końca przyczepy, przerwał rozmowę.

— Poczekaj chwilę... — Przeszedł do środkowej części i stanął pod drzwiami ciasnej toalety.

— Jane? Wszystko w porządku?

— Nic nie jest w porządku! — usłyszał zza drzwi. — Wymiotuję, mam gorączkę i wszystko mnie boli!

— Potrzebujesz czegoś?

— Chwili spokoju!

Wrócił na krzesło i przyłożył telefon do ucha

— Jestem.

— Coś się stało? — zapytał zaniepokojony rozmówca.

— Nic takiego. Wszystko idzie zgodnie z planem.

— Gdzie jesteście?

— U niej, a dokładniej... w zapchlonej przyczepie, w której nie ma nawet gdzie usiąść! — wyrzucił z siebie Fox. — Słuchaj, Young! Nie myśl sobie, że jak to się skończy, to będziemy kwita! Długo jeszcze masz zamiar ciągnąć ten cyrk?

— Nie.

— Przypominam ci, że umawialiśmy się na trzy tygodnie, a kończy się już czwarty.

— Nie moja wina, że przygotowania zajęły ci tyle czasu.

— Nie przeginaj pały!

— Spokojnie. Dorzucę coś ekstra. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, to we wtorek będziesz mógł wrócić do dawnego życia.

— Świetnie — ożywił się Fox. — Nareszcie jakaś dobra wiadomość!

— Tak, przyjacielu. Jeszcze kilka dni i będzie po sprawie.

— Może jakoś wytrzymam...

— Z pewnością. Jak już wspomniałem, przygotowałem mały bonus.

— Umieram z ciekawości...

— Zaplanowałem wam weekend. Wynająłem dla was pokój w czterogwiazdkowym hotelu na twoje nazwisko. Wszystko jest z góry opłacone, a atrakcje są wliczone w cenę. Wystarczy pojechać. Weźcie jej samochód. Powiedz, że twój jest w warsztacie.

— To się nawet dobrze składa, ale nie rozumiem...

— Nie musisz. Przejedź się do swojego domu. W skrzynce na listy znajdziesz wszystko, czego potrzebujesz — potwierdzenie rezerwacji, adres hotelu, mapę i trochę forsy na dodatkowe przyjemności. Podczas podróży, zarówno tam, jak i z powrotem, trzymajcie się ściśle wyznaczonej trasy, którą zaznaczyłem na mapie.

— Wszystko pięknie, tylko nie wiem, jak to ma mi ułatwić zerwanie z nią.

— Nie ułatwi, ale sprawi, że będzie dla niej jeszcze bardziej bolesne. Rezerwacja kończy się w poniedziałek wieczorem. Wróćcie nocą. Odwiesz ją do przyczepy i powiesz, że musisz jeszcze coś załatwić. To będzie koniec twojej męczarni. Przez kilka dni nie odbieraj telefonów. W okolicach soboty zadzwoń do niej i powiedz, że przespałeś się z inną i że z nią kończysz. Wypomnij jej wiek i kilka innych wad, żeby było bardziej naturalnie. Zresztą... nie muszę cię uczyć, jak się spławia kobiety.

— Między nami... Czym ta kobieta, aż tak ci się naraziła? No i co z tego będziesz miał?

— Tylko satysfakcję...

— Stary, nie rozumiem cię... Do tej pory myślałem, że z nas dwóch to ty zawsze byłeś tym porządniejszym.

— Nie wiem, co teraz powiedzieć... Chyba powinienem podziękować.

Fox usłyszał odgłos otwieranych drzwi.

— Dobra, kończę... Zdzira już się wyrzygała i muszę jej przekazać dobrą nowinę.

— Nie zapomnij o pocałunku z języczkiem.

— Wal się, psycholu!

Rozłączył się. Po kilku sekundach otrzymał wiadomość tekstową informującą, że nieznany numer próbował się z nim skontaktować. Nie zastanawiając się, od razu ją usunął.

— Kochanie, już lepiej?

— Będzie lepiej, jak sobie pójdiesz! Nie chcę, żebyś oglądał mnie w tym stanie! — Przykryła się kocem po czubek nosa.

— Ale ja mam dla ciebie niespodziankę!

— Proszki przeciwbólowe czy środki przeciwwymiotne? — odburknęła.

— Wspólną wycieczkę i weekend we dwoje.

Wyjrzała spod koca.

— Jaką wycieczkę?

— To będzie niespodzianka, ale najpierw musisz dojść do siebie. Ja tymczasem skoczę do domu i wezmę parę potrzebnych rzeczy. Wejdę też do apteki i poszukam czegoś na twoje dolegliwości.

— Jesteś kochany. Nie wiem, co ty we mnie widzisz...

— Ja też nie — bąknął pod nosem.

Gdy wyszedł na zewnątrz, telefon w jego kieszeni zaczął wibrować. Dzwonił ten sam numer, co wcześniej. Zatrzasnął metalowe drzwi i poszedł na tyły przyczepy, gdzie stał jego samochód.

— Fox... — rozpoczął rozmowę.

— Witam pana, nazywam się Bennet. Dzwonię z komisariatu w Cleveland. Chciałbym zadać panu kilka pytań.

Zdrętwiał. Nie pierwszy raz w życiu policja czegoś od niego chciała. Był już kilka razy aresztowany, wielokrotnie składał zeznania, a jego kartoteka wykroczeń i drobnych przestępstw była dłuższa niż lista zakupów przed Bożym Narodzeniem. Dawniej żartował, że w swoim domu powinien wstawić drzwi, jakie kiedyś witały kowbojów w saloonach na Dzikim Zachodzie. Policjanci mogliby wchodzić i wychodzić bez zbędnych przeszkód. Zdarzyło się już, że wrzeszczeli na niego, wyzywali go, a czasem nawet byli zmuszeni do użycia siły podczas zatrzymania, jednak jeszcze nigdy nie dzwoniли do niego i nie pytali, czy mogliby z nim porozmawiać. Coś było nie tak.

Czyżby zgrzecznili, roześmiał się w duchu. W normalnych

okolicznościach od razu rozłączyłby się, ale przypominał sobie, że ostatnio raczej niczego nie przeskrobał. Z czystej ciekawości postanowił kontynuować rozmowę.

— Panie Fox?

— Tak, słucham — odpowiedział niepewnie.

— Kontaktuję się z panem w związku ze sprawą, którą zajmuje się znasz wydział. Chciałbym zadać panu kilka pytań.

— Proszę... — Oparł się o samochód.

— Chodzi o Donę Jonson. Z tego, co udało nam się ustalić, kobieta o tym nazwisku przed wieloma laty pracowała w sierocińcu, w którym spędził pan jako chłopiec ponad dziesięć lat.

Nie odpowiedział od razu. Czyżby siostra Dona miała kłopoty — pomyślał. A jednak istnieje sprawiedliwość na tym świecie. Pierwszy raz w życiu policja przynosi dobre wieści.

— Zgadza się. Pamiętam zakonnicę, którą nazywaliśmy siostrą Doną, ale nie wiem, jak miała na nazwisko.

— To właśnie była Dona Jonson.

— Być może... Co z nią?

— Kilka dni temu popełniła samobójstwo.

— To... straszne. — Fox starał się, ale kłamstwa kiepsko mu wychodziły.

— Chciałbym z panem porozmawiać w cztery oczy. Czy byłby pan w stanie podjechać na komisariat?

Rozmowa rozmową, ale nie miał zamiaru aż tak kusić losu.

— Przykro mi, ale dziś, dosłownie za godzinę, wyjeżdżam na kilka dni.

— Bardzo by nam zależało...

— Z całym szacunkiem, ale... czy jestem o coś podejrzany? Mówił pan, że ta kobieta popełniła samobójstwo. — Zaczął się niepokoić.

— To prawda. Nie podejrzewamy pana, ale pojawiły się w sprawie dodatkowe wątki, które chcemy wyjaśnić. Istnieje prawdopodobieństwo, że ktoś mógł...

— Proszę posłuchać... Nie widziałem tej kobiety od dwudziestu lat. Nawet bym jej teraz nie poznał.

— Nie szkodzi... W szczególności interesuje nas okres, kiedy pracowała w sierocińcu.

Stephen Fox przypomniał sobie poczekalnię, badania, kary i fałszywy

uśmiech wykrzywający usta świętoszkowatej zakonnicy. Wystarczyła krótka rozmowa, aby wszystko powróciło. Pomimo panującego upału, poczuł chłód tamtego dnia, kiedy Mark i mały Alan wrócili przemarznięci do budynku. Przypomniał sobie szalony wzrok siostry Dony, wlokącej za rękę półprzytomnego chłopca oraz panikę dyrektora, który wraz z siostrą Anną starał się przywrócić Alana do życia.

Fox pałał odrazą do tamtych lat i miejsca, które musiał nazywać swoim domem. Nie chciał rozdrapywać starych ran. Przeszłość dawno zostawił za sobą.

— Przepraszam, ale nie będę w stanie wam pomóc. Ledwo pamiętam tamten okres. Byłem wtedy małym dzieckiem, a poza tym... nie są to wspomnienia, które warto pielęgnować. Pewnie domyśla się pan, co przez to rozumiem...

— Czy chodzi o „badania”, które przeprowadzała na was Dona Jonson? — Bennet nieoczekiwanie wytoczył najcięższe działa.

Foxa zamurowało. Znowu poczuł się jak na przesłuchaniu. Skąd on, do cholery, może o tym wiedzieć, zastanawiał się. Już wcześniej musiał rozmawiać z którymś z nas.

— Nie wiem, o czym pan mówi — odpowiedział jak zawsze, kiedy chciano uzyskać od niego przyznanie się do winy.

— Myślę, że doskonale pan wie, o czym...

— Przepraszam, ale jeżeli to wszystko, to nie mam nic więcej do powiedzenia. Jak już wspomniałem... wyjeżdżam, a jeszcze nie jestem spakowany.

— Może po powrocie...

Nie miał zamiaru kontynuować tej rozmowy. Rozłączył się i rzucił telefon na siedzenie pasażera. Uruchomił silnik i energicznie wrzucił pierwszy bieg. Mocno wdepnął gaz i zwolnił lewy pedał. Samochód ruszył z piskiem opon, wzbijając w powietrze tumany kurzu. Dopiero po trzydziestu metrach koła złapały właściwą przyczepność. Wreszcie nerwowi sąsiedzi, wypatrujący zbliżającego się do ich „domostw” zła pod różnymi postaciami, mogli zobaczyć coś spektakularnego.

SOBOTA

Od momentu, gdy wydział zabójstw w Cleveland został pozbawiony

niewygodnej sprawy potrójnej śmierci w ośrodku wypoczynkowym w Vermilion, Arthur Goldwyn próbował skontaktować się ze swoim dawnym podwładnym — Philem Fosterem. Chciał go ponownie ostrzec, ale za każdym razem w telefonie stacjonarnym odpowiadała automatyczna sekretarka, a komórka milczała — prawdopodobnie była wyłączona.

— Obyś był mądry i uciekł z kraju.

Goldwyn doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że FBI nie przebiera w środkach, jeżeli chodzi o tak zwane *bezpieczeństwo narodowe*. Jeszcze w tym samym dniu, w którym zwierzą nowy trop, będą w stanie przeprowadzić obławę. W ciągu kilku godzin wejdą do domu prywatnego detektywa. Jednak zanim to zrobią, wcześniej roześlą rysopis po wszystkich posterunkach, rogatkach, lotniskach i portach. Jego twarz będą pokazywać w wiadomościach na każdym kanale. Kart kredytowych oczywiście nie zablokują — będą chcieli go wytropić. Każda próba ich użycia zostanie odnotowana. Przetrząsną podrzędne motele na obrzeżach miasta, obstawią drogi i zorganizują blokady. A co najważniejsze, dzięki tym działaniom zrobią z prawego obywatela zbiegłego przestępcę, który zamordował trzy osoby.

Będzie miał szczęście, jeżeli nie skończy na krześle, pomyślał Goldwyn. Otrząsnął się, jakby chciał odgonić złe myśli. Więcej nie mógł zrobić. Musiał skupić się na bieżących sprawach. Była sobota. Przypomniał sobie, że rano widział Rossa szwendającego się po komisariacie. Zajrzał do jego biura, ale nie zastał go tam.

— Widział ktoś Rossa?! — zawołał.

— Na strzelnicy... — rzucił jeden z oficerów.

— No tak...

Goldwyn miał wolną chwilę i postanowił osobiście sprawdzić umiejętności swojego człowieka. Zszedł na dół. Już na schodach prowadzących do podziemnych pomieszczeń dało się słyszeć ciche odgłosy strzałów. Minął podstarzałego funkcjonariusza, który przywitał go skinieniem głowy.

— I jak poszło?

— Oko już nie to — odpowiedział wesoło pięćdziesięcioparolatek.

— Joe, już dawno powinienes przejść na emeryturę. Nie wiem, co cię tu jeszcze trzyma.

— Praca to moja jedyna kobieta. Jestem jej wierny.

— A co u żony?

— Nie mam pojęcia... Znalazła sobie innego.

— Przepraszam, nie wiedziałem.

— Bo się tym nie chwaliłem. Jak widzisz, muszę solidnie ćwiczyć, bo jak znajdę tego cwaniaczka, to podziurawię go jak sito... Ją zresztą też!

— Czy ja wiem... Im gorzej będziesz strzelał, tym rany będą łagodniejsze. Dłużej będzie krwawił...

— Chyba masz rację — roześmiał się funkcjonariusz. — Jak strzelę zbyt celnie, to gnida nie zdąży tego pożałować.

— Nie uwierzysz, ale właśnie pracujemy nad podobną sprawą!

— I jak? Macie winnego? Mam jakieś szanse wywinąć się z takiej jatki?

— zapytał wesoło.

— Źle się wyraziłem... pracowaliśmy, zanim Federalni zabrali nam sprawę, która była prawie rozwiązana.

— Typowe... Nie pierwszy i nie ostatni raz.

— Obyś się mylił. Dbaj o siebie...

— Pan również niech o siebie dba, kapitanie.

Goldwyn ruszył dalej. Strzały ucichły. W drzwiach minął kolejnego funkcjonariusza.

— Szukam Rossa. Nie widziałeś go?

— Stanowisko siódme... — odparł podwładny.

Młody detektyw kątem oka zauważył szefa, ale udał, że go nie widzi. Wymierzył i w ciągu pięciu sekund puścił serię dziesięciu strzałów.

— Widzę, że uwielbiasz trwonić pieniądze podatników!

— Ale będą mi wdzięczni, gdy strzelę w faceta trzymającego ich na muszce, zamiast w wazon ciotki Betty.

— Co racja, to racja.

— Dobrze, że pan się pojawił. Mam prośbę...

— Co jest?

— Będę potrzebował nakazu przeszukania domu Maisonów.

— A propos tej sprawy... — Kapitan całkowicie zignorował uwagę podwładnego. — Znalazłeś coś w związku z naszym wisielcem?

— Znajdę, jeżeli załatwi mi pan nakaz.

— A mogę wiedzieć, po jaką cholere?

— Żona ofiary coś ukrywa, a ja chcę wiedzieć, co.

— To nie wystarczy prokuratorowi.

Ross wycelował i puścił kolejną serię.

— William Maison był nałogowym hazardzistą. Karty, wyścigi, kasyno. Popytałem tu i ówdzie. Maisonowie mają pokaźną hipotekę na dom. Facet był, a właściwie dalej jest zadłużony w dwóch bankach. Kiedy odmówili mu kolejnej pożyczki, zaczął szukać innych źródeł.

— Co rozumiesz przez *inne źródła*?

— Tego właśnie chcę się dowiedzieć. Pod ich domem od kilku dni stoi samochód należący do niejakiego Lionela Moore'a.

— Czy to nie ten sam, którego zdjęcie znaleźliście przy ciele ofiary?

— Dokładnie ten.

— Dlaczego nie przyszedłeś z tym wcześniej?

— Najpierw musiałem się upewnić i popytać o niego w paru miejscach. Okazało się, że facet pracował dla niejakiego Don Corleone. W jego imieniu udzielał wysoko oprocentowanych pożyczek i ściągał długi.

— Dawniej Corleone był grubą rybą, prawdziwą zmorą tego miasta, a później i całego stanu. Potem wycofał się i zaczął *prawe* życie. Potrafił świetnie zacierać za sobą ślady. Nigdy nie znaleźliśmy na niego żadnego haka.

— Może wreszcie los się do nas uśmiechnął.

— Myślisz, że miał coś wspólnego ze śmiercią Maisona?

— Jestem tego pewien. Według mnie, sprawa wyglądała tak... Moore odwiedza dłużnika, bo chce odzyskać pieniądze. Maison nie ma kasy. Wymyśla sobie, że zabije faceta i problem zniknie. Zakopuje zwłoki i otwiera szampana, nie wiedząc, że Moore był tylko chłopcem na posyłki. Corleone jakimś cudem dowiaduje się o wszystkim i bierze odwet.

— Jeżeli Maison załatwił Moore'a, to dlaczego nie usunął wozu?

— Nie wiem. Może zgubił kluczyki albo zakopał je razem z ciałem i bał się po nie wracać?

— Trochę naciągane.

— Ale prawdopodobne. Szefie... naprawdę potrzebuję ten nakaz.

— I co chcesz tam znaleźć?

— Dowód, że Maisona uprowadzono z domu i wywieziono do tego magazynu. Sekcja wykazała w jego ciele śladowe ilości pentobarbitalu. To środek usypiający, czasem stosowany w weterynarii. Jeżeli chcesz kogoś

zabić, to nie bawisz się w takie bzdury. Strzelasz do niego i już. To była jakaś pieprzona egzekucja! Corleone chciał pokazać, że nie można z niego bezkarnie zakpić.

— Skąd wiesz, że to byli *oni*?

— Jeden człowiek nie przygotowałby czegoś takiego.

— Można by się spierać... — zastanowił się Goldwyn. — No dobra... A co z drugą fotografią?

— Tego zaginionego? Nikt nic nie wie. Nie wydaje się to panu podejrzanym, że nagle znajdujemy trupa, który ma przy sobie zdjęcia dwóch zaginionych osób?

— Może i tak, ale to wszystko poszlaki. Czyba nie chcesz, żebym w sobotę przeszkadzał jakiemuś sędziemu?

— Owszem chcę... Mam to gdzieś, co teraz robią. W końcu służą społeczeństwu, podobnie jak i my. Im prędzej wejdziemy do Maisonów, tym szybciej śledztwo ruszy dalej. A poza tym... potrzebuję nakazu aresztowania tego gangstera.

— Corleone? Czyba żartujesz! Na jakiej podstawie?

— Morderstwa Maisonu.

— Dobrze się czujesz?! — Kapitan popukał się w głowę.

— Mamy motyw.

— A gdzie dowody?

— Poszukam ich, jak będzie w areszcie.

— Na to nawet ja bym nie poszedł.

— Może go pan zatrzymać na czterdzieści osiem godzin.

— I zrobię to, jeżeli dasz mi coś jeszcze.

Nastała chwila ciszy.

— A może mały zakład? — zaproponował Ross.

— Jaki? — Kapitana wyraźnie zainteresowała propozycja.

— Dwadzieścia metrów, pięć sekund i pięć strzałów. Lepsze skupienie wygrywa.

— Nagroda?

— Jeżeli wygram, to jeszcze dziś załatwi mi pan ten nakaz.

— A jeżeli przegrasz?

— To nie przerwiemy nikomu golfa.

— Stoi!

Po chwili dwie tarcze były już na swoich miejscach. Goldwyn wyciągnął z kabury broń i wycelował. Na twój znak.

— Start! — Natychmiastowa reakcja Rossa miała na celu zdekcentrowanie rywala. Dziesięć kul przeszło powietrze.

— Pójdę po tarcze — powiedział Goldwyn.

Gdy wrócił, nie miał zbyt tęgiej miny.

— Pięć dziesiątek, całkiem niezłe! — pochwalił kapitan.

— To jak... Kiedy będę miał ten nakaz?

— W poniedziałek rano — rzucił wesoło i pokazał swoją tarczę.

Ross nie mógł uwierzyć własnym oczom. Podczas gdy jego strzały były nieregularnie rozlokowane po całym polu z numerem dziesięć, kule kapitana skupiły się na tak niewielkiej przestrzeni, że ostatni pocisk wyrwał środek tarczy ledwo trzymający się po poprzednich czterech strzałach. Powstała jedna wielka dziura jak po strzale z obrzyna.

— Jeżeli dobrze pamiętam, wspomniałeś coś o najlepszym skupieniu.

Młody detektyw pozostał bez słowa.

— Musisz jeszcze trochę poćwiczyć, ale i tak było niezłe... — Goldwyn poklepał go po ramieniu, odwrócił się i poszedł w stronę wyjścia.

Ross trzymał tarczę przeciwnika i z podziwem wpatrywał się w jej środek.

— Pakuj się! — krzyknął na odchodne Goldwyn.

W pierwszej chwili detektyw nie zrozumiał. Spojrzał pytająco na szefa i uniósł brwi.

— Jest jeden sędzia, który wisi mi przysługę. Znajdź idiotów, którzy zgodzą się porządnie popracować w sobotę i możecie ruszać. Dam ci nakaz i powiem, do kogo masz z nim pojechać. Jeżeli się uwiniecie, za niecałe dwie godziny będziecie buszować po domu Maisonów.

Ross jeszcze nie doszedł do siebie po małych zawodach, ale tym razem zrozumiał, co kapitan do niego powiedział. Odłożył tarczę, schował broń i upokorzony, z pochyloną głową opuścił podziemia.

Gdy Stephanie Maison zobaczyła przez okno czterech mężczyzn wysiadających z samochodu, wiedziała, że nadszedł ten czas — czas testu. Za chwilę miała się przekonać, jak dobrze poradziła sobie z zatarciem śladów.

Bez trudu rozpoznała lidera grupy. Był to detektyw, który przesłuchiwał ją

kilka dni temu w sprawie zabójstwa męża. Pozostali najwyraźniej stanowili wsparcie — trzech znudzonych funkcjonariuszy szło jak na skazanie.

Stephanie była silną kobietą i nie miała zamiaru oddać syna w czyjeś ręce. Zrobiła smutną minę i oparła się plecami o ścianę nieopodal drzwi. Wzięła dwa głębokie wdechy.

Gdy odezwał się dzwonek, poczuła uderzenie gorąca i dreszcz przeszył jej ciało. Odczekała chwilę. Wreszcie odblokowała zamek i otworzyła.

— Pani Maison? Przepraszam, że niepokoimy, ale otrzymaliśmy nakaz przeszukania domu — oznajmił Ross.

— Dlaczego? Co się stało?

— Chodzi o pani męża.

— Nie rozumiem.

— Pamięta pani zdjęcia, o które pytałem? Na jednej z fotografii widniała twarz martwego mężczyzny. Zidentyfikowaliśmy go. Okazało się, że był to drobny przestępca zajmujący się nielegalnym obrotem pieniędzmi. Tak się składa, że jego samochód stoi przed pani domem... — Ross pokazał na pojazd przy chodniku.

Kobieta pobladła.

— Nie mam pojęcia, skąd się tutaj wziął — udała zdziwienie.

— My też nie, ale właśnie próbujemy to ustalić. Podejrzewamy, że pani mąż mógł mieć coś wspólnego ze zniknięciem i śmiercią tego człowieka.

— Mój Boże! William? On nie skrzywdziłby muchy! — oburzyła się.

— Wierzę pani, ale nakaz to nakaz.

— W takim razie wejdźcie. — Odsunęła się od drzwi.

— Dziękuję. Chłopcy dołożą wszelkich starań, żeby wszystko wyglądało tak, jak przed naszą wizytą. Proszę zabrać dzieci do jednego pokoju. Jeżeli przeszukanie pójdzie sprawnie, za dwie godziny już nas tu nie będzie.

— Dobrze...

Trzech mężczyzn rozeszło się po domu, a matka, zgodnie z poleceniem detektywa, wzięła chłopców do pokoju, gdzie zawsze oglądali bajki.

— A gdzie najstarszy syn? — zapytał Ross, pokazując rodzinne zdjęcie ustawione na kominku.

— Ćwiczy do zawodów. Jest pływakiem. Najlepszym w szkole. W każdą sobotę mają dodatkowe zajęcia na basenie. Od kiedy dowiedział się, że William został zamordowany... — musiała zrobić pauzę — cały czas stara się

mieć jakieś zajęcie.

— To dobrze, że znalazł coś, czemu może się poświęcić.

— To prawda.

— A jak chłopcy to znoszą? — Skierował wzrok na zamknięte drzwi.

— Nie powiedziałam im prawdy. Nie wiem, jak to zrobić. Na razie wiedzą, że ich ojciec wyjechał na kilka dni.

— Wyobrażam sobie, jakie to musi być trudne. Pozwoli pani, że rozejrzę się po kuchni?

— Proszę...

Ross zaczął przeglądać kolejne szafki. Zaczął od tych wiszących. Znalazł płatki, mąkę, cukier, przyprawy, sosy do pieczeni i mnóstwo innych drobnych produktów spożywczych.

— Przepraszam, ale nie rozumiem — zdziwiła się kobieta. Detektyw nie przerwał nawet na chwilę. — Co ma pan zamiar tu znaleźć?

— Szukamy powiązania pomiędzy pani mężem a martwym mężczyzną ze zdjęcia.

— I chce pan je znaleźć za torebkami z przyprawami?

— Dowody mogą kryć się wszędzie — odpowiedział obojętnie.

— Myśli pan, że William mógł go zabić?

— Na razie tylko szukamy... Na wnioski jeszcze za wcześnie.

— Ale... w kuchni?

— Może mi pani wierzyć, że dowody zbrodni znajdowaliśmy już w dziwniejszych miejscach niż kuchnia. Jeden facet trzymał zwłoki w przemysłowej zamrażarce w garażu i...

— Niech pan mi tego oszczędzi... — Musiała ochłonąć. — Jak skończycie, proszę mnie zawołać. Będę z dziećmi. Muszę im jakoś wyjaśnić, dlaczego czterech obcych mężczyzn, podczas nieobecności ich ojca, biega po domu w białych rękawiczkach.

— Oczywiście. Przepraszam. Nie chciałem, żeby to zabrzmiało jak...

— W porządku, detektywie. Róbcie swoje, byle szybko.

Ross poczuł się nieswojo, ale nie miał w zwyczaju przejmować się błahostkami. Szybko wrócił do obowiązków. Skończył sprawdzać górne szafki i wziął się za dolne. Wiadra, ścierki, talerze, garnki, patelnie, nieużywane części robota kuchennego — te przedmioty mogły mu co najwyżej pomóc w zrobieniu obiadu.

Przyjrzał się podłodze. Pod białymi, drewnianymi drzwiami znajdującymi się na końcu kuchni dostrzegł coś dziwnego. Przykucnął. Były to drobinki ziemi. Przypomniał sobie zdjęcie i zakopane zwłoki Lionela Moore'a.

— Robi się ciekawie...

Nacisnął klamkę, ale drzwi ani drgnęły. Były zamknięte na klucz. Na podstawie ułożenia pokoi domyślił się, że to wejście do piwnicy. Chwilowo wrócił do salonu. Bacznie przyglądał się panelom. W niektórych miejscach były widoczne delikatne ślady, jakby ktoś ciągnął coś ciężkiego po podłodze w stronę drzwi wyjściowych. Poszedł w tamtą stronę. Chwilę później ślady się urywały. Na wycieracze znalazł więcej ziemi. Podobnie w zakamarkach na zewnętrznych schodach prowadzących do domu.

— Garaż... — Olśniło go. Przypomniał sobie, jak kobieta zeznała, że mąż zniknął razem z samochodem. Udał się w stronę następnych drzwi. Już miał je otworzyć, kiedy ktoś napał z drugiej strony. O mały włos nie zderzył się z kolegą z wydziału.

— Masz coś? — zapytał Ross.

— Nic. Na drzwiach garażowych, wyjściowych i tylnych brak śladów włamania. Wygląda na to, że facet opuścił dom o własnych siłach. Albo mamy do czynienia z zawodowcem, albo...

— Z kimś, kogo ofiara znała i wpuściła do domu.

— Pod warunkiem, że ten ktoś w ogóle go porwał — zauważył policjant.

— Zgadza się... Szukaj dalej. — Ross poszedł w stronę łazienki. — Jak tam? — zwrócił się do kolegi spryskującego luminolem najbardziej podejrzane miejsca w celu wykrycia ewentualnych śladów krwi.

— Czysto. Nikt tu nikogo nie zabił.

— Albo zabił i dobrze posprzątał. — Detektyw schylił się i otworzył szafkę pod umywalką.

— Tam już sprawdzałem...

— To pewnie zauważyłeś, że stoją tu dwie butelki wybielacza i to w dodatku nieotwarte. Na zakrętkach mają nawet plastikowe zabezpieczenia. Ktoś całkiem niedawno zrobił zakupy. Sprawdźcie kosze na śmieci... w domu i na zewnątrz. Jeżeli jeszcze ich nie opróżniono, to dam sobie głowę uciąć, że znajdziecie tam puste butelki po wybielaczu.

— Dobra, zaraz to sprawdzę — bąknął najmłodszy oficer, niezadowolony, że ktoś go poprawia.

— Mam laptopa Maisona, ale wszystko jest zabezpieczone hasłem — oznajmił trzeci policjant.

— Zabieramy go. Nasi informatycy poradzą sobie z tym. — Ross zapukał do pokoju, gdzie aktualnie przybywali chłopcy wraz z matką. Poprosił kobietę, aby wyszła na korytarz.

— Musimy zerknąć do piwnicy. — Wskazał na białe drzwi. — Ma pani klucz?

Kobieta wzruszyła ramionami.

— Nie mam pojęcia, gdzie się podział. Zawsze wisiał tam. — Pokazała haczyk obok lodówki. — Od kilku dni go nie widziałam. A dokładniej... od zniknięcia męża. Tak... przypominam sobie... W poniedziałek miałam tam po coś zejść. Nie pamiętam po co, ale nie mogłam znaleźć klucza. Odłożyłam to na później i tak zapomniałam o całej sprawie. To pewnie przez te nerwy.

— W porządku, poradzimy sobie.

— Ale... zniszczycie zamek! — zaprotestowała, gdy zobaczyła, jak starszy funkcjonariusz podchodzi z wytrychem do drzwi.

— Proszę się nie martwić. Będziemy delikatni. Poza tym... jeżeli to prawda, że pan Maison miał klucz przy sobie, to w końcu i tak będzie musiała pani wyważyć te drzwi. Przy ciebie nie znaleźliśmy niczego oprócz portfela i dwóch zdjęć.

— Właściwie tak... — Kłamstwo niczego nie wniosło.

— Wie pani, dlaczego mąż nawiązał kontakt z przestępcą? — W międzyczasie, kiedy policjant zajmował się zamkiem, Ross rozpoczął krótkie przesłuchanie.

— Nie mam pojęcia... Zawsze był uczciwym człowiekiem. Nie wspominał o jakichkolwiek problemach.

— Chce pani powiedzieć, że nie wie o hipotece na dom i dwóch innych kredytach?

— Wiedziałałam, że czasem coś pożyczaliśmy, ale tymi sprawami zawsze zajmował się William.

— Łączna kwota waszego zadłużenia to prawie dwieście tysięcy.

— Ile?! — zapytała z niedowierzaniem. Tym razem nie musiała udawać.

— Dwieście tysięcy. Popytaliśmy tu i ówdzie. Pani mąż miał spore problemy z hazardem. Był nałogowym graczem i niestety, często przegrywał duże kwoty. Brał kredyty, żeby spłacać należności o czasie. Towarzystwo, w

którym się obracał, nie tolerowało zwłoki ani płaćności w ratach.

— To wiele wyjaśnia...

— Co ma pani na myśli?

— Wieczorami często umawiał się z kolegami na piwo. Pewnie każdy wypad kończył w kasynie. Kredyt na dwieście tysięcy... — załamała się. — A ja nie zobaczyłam z tych pieniędzy ani centa. Myślałam, że gdy mówił o pożyczkach, chodziło o drobne, nic nie znaczące kwoty...

— Niestety...

Wreszcie Ross usłyszał upragniony szcęk zamka. Niedoświadczony *włamywacz* uporał się z przeszkodą i droga do piwnicy stanęła przed nimi otworem.

— Gdzie światło? — zapytał detektyw.

— Na dole po lewej — odpowiedziała podenerwowana. Zupełnie zapomniała o włączniku na górze.

Ross ruszył przodem. Stare stopnie zaskrzypiały pod jego ciężarem. Nie czuł się komfortowo. Przytrzymał się ściany, chociaż wiedział, że jeżeli któryś schodek nie wytrzyma, to i tak mu to niewiele pomoże. Zwrócił uwagę na jaśniejsze deski, z których były wykonane trzy środkowe stopnie. Jego nozdrza rozpoznały zapach środków chemicznych.

Na dole panował półmrok. Małe, wąskie okna, wbudowane w ściany na wysokości głowy, tylko w nieznacznym sposób spełniały swoją funkcję. Większość z nich była całkowicie zasłonięta przez krzewy posadzone pod domem. Bez dodatkowego oświetlenia po piwnicy nie dało się bezpiecznie poruszać.

Detektyw wreszcie odnalazł włącznik. Zapaliły się dwie lampy — to zupełnie wystarczyło, żeby rozejrzeć się po podziemiach budynku. Stary stół, szafka z narzędziami, półka na drobiazgi, które już nie są potrzebne, ale szkoda je wyrzucić, szpadel, łopata do śniegu.

— Wszystko ładnie poukładane... Za ładnie... — Zauważył, że wdowa zaczyna schodzić za policjantem. — Proszę pozostać na górze i przypilnować dzieci, aby przypadkiem tutaj nie schodziły — poinstruował. — Mogłyby zrobić sobie krzywdę. — Nie tyle obawiał się o dzieci, co nie chciał, żeby przeszkadzała śledczym. Instynkt podpowiadał mu, że są we właściwym miejscu.

Dokładnie sprawdzili półkę i szafkę. Nie znaleźli niczego, co by tutaj nie pasowało. Detektyw wrócił na schody. Przyjrzał się dokładnie deskom, które

kolorystycznie znacząco odróżniały się od reszty. Złotawe wkręty były zupełnie nowe. Gdzieniegdzie dostrzegł grudki ziemi — takie same, jak na schodach zewnętrznych i wycieracze. Wychylił się. Pod schodami, na posadzce widniała jasna plama o średnicy około jednego metra. Zszedł na dół i przykucnął. Opuszkami palców potarł o nienaturalnie jasnoszary beton. Na palcach pozostał drobny osad. Przybliżył je do nozdrzy i wciągnął powietrze. Od razu rozpoznał drażniący zapach wybielacza. A gdzie wybielacz, tam i krew, pomyślał. Nieładnie, panie Maison. A więc to tutaj zabił pan tego biednego drania.

— John... Zrób zdjęcie i spryskaj ten obszar luminolem. — Ross zatoczył ręką duże koło.

Podwładny wykonał polecenie. Podłoga została dobrze wyczyszczona, ale na ścianach i ramie schodów pojawiły się drobne, świecące kropeczki. Żelazo z hemoglobiny spełniło funkcję aktywatora dla luminolu, który utlenił się, dając charakterystyczną chemiluminescencję.

— Skąd pan wiedział?

— To plama z wybielacza. Biorąc pod uwagę jej rozmiar, ktoś stracił tutaj sporo krwi. Pobierz próbki z podłogi i ze ścian. Chyba właśnie znaleźliśmy miejsce zbrodni.

— Robi się!

— Gdzie masz te wytrychy?

Policjant wyciągnął z kieszeni mały przybornik.

— Nie prościej zapytać o klucze?

— Idę o zakład, że te też się zgubiły. Powiedz mi... Kto w piwnicy zamyka w ten sposób wszystkie drzwi?

— Dobre pytanie...

Ross podszedł do kłódki. Operacja trwała niecałe dziesięć sekund. Współpracownik obserwujący jego poczynania był pod niemałym wrażeniem.

— Musisz mnie pan tego nauczyć... — powiedział z podziwem.

— Z czasem dojdiesz do wprawy...

Detektyw pociągnął za sznurek i zaświecił ogromną żarówkę wiszącą pod sufitem. Ściany były zniszczone i poodzierane. Przynajmniej ta część przypominała mu piwnicę. Przejrzał worki stojące w kącie, a następnie zabrał się za stertę kartonów. Znalazł świąteczne ozdoby, choinkę, doniczki,

świeczniki, trochę starych ubrań i butów oraz kilkadziesiąt książek. Nie znalazł niczego podejrzanego. Zdziwił go jedynie zegar wiszący nad drzwiami.

Już chciał wyjść, kiedy jego uwagę przykuło coś innego. Na uchylonych drzwiach, po wewnętrznej stronie, dostrzegł dziwne żłobienia. Przymknął skrzydło, aby lepiej się im przyjrzeć. Zdębiał, kiedy objął wzrokiem cały rysunek.

Prowizoryczna rycina musiała zostać wykonana przez dziecko. Składała się głównie z kresek, kółek, i kilku innych, bliżej nieokreślonych, geometrycznych figur. Prezentowała sześć postaci ukazanych w bardzo prosty, ale czytelny sposób. Nie trudno było domyślić się, kto jest kto. Dwie najwyższe osoby — tata z mamą — trzymały się za ręce. Starszy syn — nieco niższy — stał po lewej z czymś w rodzaju tornistra. Z prawej strony znajdował się mały chłopiec trzymający za rękę misia większego od siebie. Dwie kolejne postacie, najdrobniejsze, stały nieco dalej, jakby na uboczu.

— Szefie?

— Tutaj...

— Znalazłem coś. Proszę spojrzeć... — Policjant trzymał w dłoni zakrwawioną, kilkucentymetrową drzazgę.

— Dobra robota. Ja też coś znalazłem, patrz na to... — Ross pchnął drzwi.

Mężczyzna odwrócił się. W pierwszej chwili nie zrozumiał... Spojrzał na detektywa, jakby żądał wyjaśnień.

— Nie sądzisz, że to kiepskie miejsce na zabawę dla małych dzieci?

— Zdecydowanie... A ten zegar? Po co w komórce zegar?

— Też już się nad tym zastanawiałem. Ciekawią mnie również te worki i kartony.

— A to dlaczego?

— Są w nich ozdoby świąteczne. Święta mieliśmy ponad pół roku temu. Powinny być nieźle zakurzone. Tymczasem jest na nich sporo świeżych śladów. Jakby ktoś dopiero co przeniósł je z miejsca na miejsce.

— Ciekawe, co znajdziemy dalej...

— Już się nie mogę doczekać...

Po tej samej stronie korytarza były jeszcze jedne drzwi. Kolejna kłódka ustąpiła równie szybko jak poprzednia.

— Sprawdź to pomieszczenie... — rozkazał Ross. — Otworzę pozostałe.

W tym czasie do piwnicy zszedł młody funkcjonariusz, który miał przejrzeć zawartość kubłów na śmieci.

— Miał pan rację. W śmietniku znalazłem zużytą butelkę po wybielaczu. Zabrałem ją i opisałem jako dowód.

— Dobrze... Pod schodami jest jasna plama. Pobierz próbkę. Niech laboratorium porówna skład chemiczny.

— Tak jest.

Ross wrócił do poprzedniego zajęcia. Zostały trzy kłódki broniące dostępu do pomieszczeń po drugiej stronie korytarza. Wyglądały na starsze, a ich mechanizmy były znacznie bardziej sfatygowane. W końcu pierwsza z nich ustąpiła. Mała komórka była gotowa na inspekcję. Detektyw rzucił pobieżnie okiem. Składzik zawalony gratami — tak w skrócie można było opisać to miejsce. Nie miał na to czasu. Szukał czegoś konkretnego, czegoś... innego.

— Jak skończysz, przejrzyj ten bałagan — powiedział do młodego policjanta, zdrapującego szary pył z podłogi. Sam zaczął walkę z kolejnym zabezpieczeniem. Gdy wreszcie usłyszał szczęk zamka i pchnął drzwi, poczuł delikatny dreszcz.

Środkowe pomieszczenie było znacznie bardziej intrygujące. Pod ścianą stało kilkanaście równo ułożonych, metrowych desek. Były identycznej grubości i długości jak te, z których zrobiono nowe schodki. Na środku znajdowała się sterta opon ułożonych na czarnej, plastikowej folii. Wewnątrz panował dziwny zaduch — był to zapach gumy, przemieszany z czymś jeszcze.

Ross uniósł rąbek folii. Zobaczył luźno ułożone, ceramiczne płytki. Miały taki sam wzór jak te, którymi wyłożono podłogę w łazience na parterze. Wszędzie można było dostrzec drobinki ziemi.

Przeniósł opony pod ścianę i zwinął folię. Usunął płytki, a następnie pięć dwumetrowych, zmurszałych od spodu desek. Pod nimi była już tylko luźna, niezbyt dobrze ubita ziemia.

— Szefie, znalazłem... A to co?! — Zdziwił się, gdy zobaczył zwierzchnika klęczącego nad czymś, co w dużej mierze przypominało grób.

— Pamiętasz łopatę, która stała niedaleko podestu? — zapytał Ross.

Mężczyzna pokiwał twierdząco głową.

— To lepiej zapakuj ją i schowaj, zanim zniknie.

Detektyw zaczął odgarniać ziemię. Z każdym ruchem coraz wyraźniej wyczuwał znajomy zapach, którym grunt zdążył już przesiąknąć. Gdy

wykopał trzydziestocentymetrowy dołek, jego dłoń zahaczyła o coś jednolitego, konsystencją przypominającego gumę. Ostrożnie włożył rękę głębiej. Poczuł coś twardszego z regularnymi żłobieniami.

— Przecież to... zęby — powiedział do siebie. — Ludzka szczęka! Poczuł zimny dreszcz. Usunął resztki ziemi. Jego oczom ukazała się twarz zakopanego człowieka. Od razu ją rozpoznał. — John! Cokolwiek robisz, daj sobie z tym spokój i wezwij brygadę. Koronera, patologa, techników i kogo tylko znajdziesz. Niech zabiorą ze sobą łopaty, kilofy, młoty pneumatyczne, siekiery i co tylko będą mieli pod ręką. Zabezpieczcie teren wokół domu. Od teraz nikt nie może tu wejść, ani stąd wyjść. To będzie dla nas pracowite popołudnie.

— Co się dzieje? — Zaskoczony policjant wszedł do środkowej piwniczki.

— Maisonowie urządzili sobie tutaj prywatną kryptę. — Ross pokazał na dół z ziemią.

Funkcjonariusz podszedł bliżej. Gdy zobaczył bladą twarz oraz poczuł odrażający zapach, nogi się pod nim ugięły.

— A niech mnie!

— Nie... nie Ciebie... — Detektyw wyszarpnął koledze kajdanki. — Zaraz wracam.

Opuścił mroczną przestrzeń i pobiegł schodami na górę. Przywitały go promienie słońca wpadające przez duże okna i świeże powietrze. Przymrużył oczy i odetchnął pełną piersią.

W kuchni, oparta o szafkę, stała Stephanie Maison. Z miny detektywa próbowała wywnioskować, co mógł odkryć. Usłyszała metaliczny dźwięk. Poblądła, gdy dostrzegła jego źródło.

— Pani Maison... — zaczął spokojnie Ross — proszę się odwrócić i umieścić ręce za plecami. Jest pani aresztowana pod zarzutem współudziału w morderstwie oraz ukrywania zwłok. Czy zna pani swoje prawa, czy mam je pani przypomnieć?

— Ja nic nie zrobiłam! — próbowała negocjować.

— Jeżeli to prawda, to nie ma się pani czego obawiać. A tymczasem proszę się odwrócić i ręce za siebie. — Kobieta niechętnie wykonała polecenie. — Informuję, że ma pani prawo zachować milczenie, bo wszystko, co pani powie, może zostać wykorzystane przeciwko pani w sądzie. Przysługuje pani również prawo do adwokata, a jeżeli panią na niego nie stać, zostanie przydzielony z urzędu.

— A co z moim synkiem?!

— Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej — szepnął jej do ucha, po czym dodał znacznie głośniejszym głosem — jestem przekonany, że dzieci otrzymają odpowiednią opiekę.

NIEDZIELA

Na kościelnej wieży klasztoru klarysek przy Euclid Ave. odezwały się dwa potężne, mosiężne dzwony. Obwieściły one okolicznym mieszkańcom, że za pół godziny rozpocznie się nabożeństwo.

Pomimo wczesnej pory, prawie wszystkie zakonnice już dawno były w kościele. Ze względu na kontemplacyjną regułę zakonu, większość z nich przebywała tutaj przez wiele godzin każdego dnia. Siadały najczęściej w pierwszych rzędach i na klęczkach, oddając się modlitwie, spędzały sporą część dnia.

Tylko sześćdziesięciodwuletnia siostra Anna, jako jedna z nielicznych, do ostatnich minut pozostawała w swojej klasztornej celi. Była bardzo schorowana. Cierpiała na ciężki, postępujący artretyzm i z trudem poruszała się nawet z czyjaś pomocą. Coraz więcej czasu spędzała w swoim skromnym, ascetycznym pokoju. Nad łóżkiem wisiał krzyż, a obok stała szafka, w której przechowywała trzy najbardziej potrzebne książki — modlitewnik, *Pismo Święte* i *Żywoty świętych*.

Leki, które zażywała od piętnastu lat, nie były już tak skuteczne jak dawniej. Wyniszczony chemią organizm rządził się własnymi prawami. Lekarstwa przyjmowała z przyzwyczajenia. Niedawno zdiagnozowano u niej mięsaka kościopochodnego. Mogła poddać się leczeniu przeciwnowotworowemu, ale świadomie odmówiła. I tak w końcu ucieliłby mi nogę, mówiła. Przyjmowała tylko leki przeciwbólowe — morfinę i buprenorfinę, które pomagały jej przetrwać kolejny dzień i kolejną noc.

Pomimo życia przepełnionego dobrocią dla innych, na koniec los zgotował jej prawdziwe piekło. Coraz częściej modliła się nie tylko za bliźnich, ale również za siebie — o szybką śmierć. Jednak pomimo cierpienia, jakie targało jej ciałem, do końca była wierna najwyższej sile, która prowadziła ją przez całe życie.

Leżąc nieruchomo na łóżku, w myślach powtarzała słowa, które od kilkudziesięciu lat znała na pamięć. *Zdrowaś Mario, łaski pełna, Pan z Tobą, błogostawionaś...* Jej palce wolno przesuwwały się po kolejnych paciorkach

różańca, który poświęcił sam papież podczas jednej z pielgrzymek do Stanów. Gdy skończyła trzecią dziesiątkę i miała zacząć odmawiać *Ojciec Nasz*, usłyszała pukanie do drzwi.

Czyżbym zaczęła dziś później niż zwykle, zastanawiała się. Zawsze zdążyła odmówić cały różaniec, zanim ktoś przyjechał z wózkiem, żeby zawieźć ją na poranną mszę, której jeszcze nigdy nie opuściła.

— Proszę... — jęknęła.

W drzwiach stała siostra przełożona Camilla, z pochodzenia Szwedka, pięć lat starsza od swojej podopiecznej.

— Witaj, moja droga. Jak się czujesz?

— Wyjątkowo dobrze. Podziękuj siostrze Lukrecji za większą dawkę leków. To była pierwsza noc od dłuższego czasu, którą przespałam spokojnie.

— Przekażę jej tę dobrą nowinę.

— Już czas?

— Nie. Do porannej mszy zostało jeszcze prawie pół godziny. Nie martw się, nie zapomnimy o tobie. Przyszłam do ciebie, ponieważ na zewnątrz czeka mężczyzna, który chciałby ci złożyć wizytę. To detektyw. Powiedział, że ma kilka pytań i tylko ty możesz mu pomóc.

— Nie rozumiem — zdziwiła się.

— Ja też nie. Jeżeli nie życzysz sobie...

— Nie, nie — poprawiła się na łóżku — wpuść go. Jeżeli będę mogła mu jakoś pomóc, to chętnie to zrobię.

— Jesteś aniołem! Zaraz go poproszę.

Siostra przełożona opuściła celę, zostawiając otwarte drzwi. Świeże powietrze zastąpiło poranny zaduch. Po chwili do uszu obłóżnie chorej klaryski dotarły szmery rozmowy. Rozpoznała męski głos. Z zaciekawieniem wypatrywała niespodziewanego gościa.

Wreszcie w drzwiach stanął niewysoki, drobny mężczyzna o łagodnej twarzy. W jego oczach można było dostrzec dobroć i współczucie. Miał na sobie białe spodnie i brązową koszulę z krótkim rękawem. Ręce trzymał z tyłu. Nieśmiało wszedł do środka i uklonił się.

— Szczęść Boże, sostro Anno — zaczął z lekką obawą. Nie do końca wiedział, jak się zachować wobec umierającej zakonnicy.

— Szczęść Boże. Słyszałam, że chciał pan ze mną porozmawiać.

— Tak, to prawda. Nazywam się James Adams i jestem detektywem. Prowadzę śledztwo w sprawie śmierci zakonnicy, która dawniej pracowała w tym samym sierocińcu, co siostra. Mam nadzieję, że nie będzie siostra miała nic przeciwko temu, że pozwolę sobie nagrać tę rozmowę. Proszę mi wybaczyć, ale nie jestem już najmłodszy i często zdarza mi się zapominać o istotnych faktach — zmieszał się.

— To tak jak ze mną — roześmiała się. — Nie mam nic przeciwko — oznajmiła i wskazała krzesło stojące obok łóżka.

Adams usiadł, włączył dyktafon i położył go na kolanie.

— Tak więc przychodzę w sprawie Dony Jonson.

Zakonnica wyraźnie posmutniała. To imię i nazwisko zdecydowanie coś jej mówiły. Niestety, postępująca demencja przyczyniła się do sporej luki w pamięci.

— Proszę mi wybaczyć, ale nie potrafię sobie przypomnieć...

— Dona Jonson. Franciszkanka, z którą siostra pracowała jako opiekunka w sierocińcu położonym na wschód od Cleveland. Dyrektorem ośrodka był wtedy, zresztą nadal jest, Carl Grant.

— Dobry Boże, pamiętam! — krzyknęła radośnie, po czym znowu posmutniała. — Dona nie żyje? Co się stało? — Złapała detektywa za rękę, jakby nie chciała mu dać odejść przed otrzymaniem zadowolającego wyjaśnienia.

— Ze wstępnych ustaleń wynika, że popełniła samobójstwo w swoim domu. Ale... znaleźliśmy przy niej to zdjęcie. — Adams wyciągnął z kieszeni lekko zgniecioną kopię fotografii. — Czy siostra byłaby w stanie... — przerwał, widząc dziwny wyraz twarzy zakonnicy. Miał wrażenie, jakby smutek ustąpił miejsca irytacji i złości zarazem.

— Detektywie, jak mnie pan znalazł? — zapytała dziwnie poważnym głosem.

— Oskar Brown... Podczas przesłuchania wspomniał imię siostry. Przeorysza klasztoru pomogła nam w identyfikacji.

— Nie znam Oskara Browna, chociaż... chwileczkę...

— To zrozumiałe. Był jednym z pani wychowanków i po adopcji otrzymał nowe nazwisko. Dawniej nazywał się Grey.

— Oskarek... Pamiętam! — ożywiła się. — Gdy do nas trafił, prawie z nikim nie rozmawiał. Najbardziej lubił czytanie bajek. Siadaliśmy wtedy wszyscy razem pod dużym dębem i zagłębialiśmy się w dzieła

najznakomitszych bajkopisarzy.

— Widzę, że siostra lubiła swoją pracę...

— Uwielbiałam! Pomoc innym była dla mnie całkowitym spełnieniem.

— To dlaczego siostra stamtąd odeszła?

Nastała chwila ciszy. Adams wyraźnie dostrzegł zmieszanie na twarzy starszej kobiety.

— Życie, detektywie — odpowiedziała wymijająco. — Podupałam na zdrowiu i nie miałam już tyle energii, co dawniej.

— A może mi siostra przybliżyć sytuację, która doprowadziła do zwolnienia z posługi w sierocińcu jej dwóch towarzyszek?

— Nie rozumiem.

— Dwie zakonnice oskarżyły dyrektora o nagabywanie do czynów nieczystych i psychiczne znęcanie się nad nimi.

Westchnęła. Pamiętała to wszystko znacznie lepiej, niż by chciała.

— To prawda. Był taki incydent, ale...

— Później doszło do wypadku, w którym obie zginęły.

— Tak... To smutna historia... Wszystkie głęboko przeżyłyśmy tę stratę. Proszę mi wybaczyć, ale czy musimy roztrząsać tę tragedię?

— Oczywiście, że nie, ale chciałbym usłyszeć od siostry, co było rzeczywistą przyczyną odejścia tych zakonnice z sierocińca.

Kobieta poczuła nagle ostry ból, jakby ktoś wbił nóż w jej nogę, a ostrze otarło się o kość. Wykrzywiła usta i zacisnęła zęby. Gdyby była mniej zdeterminowana, krzyczałaby bez opamiętania. Złapała się na kończybę. Gdyby mogła, wyrwałaby ją sobie. Opadła bezwładnie na poduszkę. Miała wyraźnie przyspieszony oddech. Prawie zemdląła z bólu. Ostatkiem sił uniosła rękę i wskazała drzwi...

— Sostro, ja muszę usłyszeć...

— Drzwi... Proszę je przymknąć... — wyjąkała.

— Wezwę kogoś!

— Nie... Nie trzeba... To minie... Leki przestają działać... Ale to dobrze... Nie zasłużyłam na ulgę w cierpieniu.

Nie zrozumiał, ale spełnił prośbę zakonnicy. Z wyczuciem, ostrożnie zamknął drzwi i wrócił na krzesło.

— Dlaczego siostra powiedziała, że nie zasługuje na ulgę?

— Bo to prawda. Bóg widział, co robiłam i teraz ponoszę zasłużoną karę.

Adams daleki był od wiary w siły nadprzyrodzone, ale czuł, że pójście tą drogą może mu pomóc.

— Przecież Bóg wszystko wybacza. Wystarczy okazać skruchę.

— Detektywie... — Spojrzała na niego wzrokiem zabójcy. — Bóg nigdy nie był bezsilny wobec zła, które dotyka niewinnych ludzi, a zwłaszcza dzieci. W Biblii mamy tego przykłady, jak choćby potop! Gniew boży wielokrotnie był opisywany na stronach Starego Testamentu i tylko głupiec może wierzyć, że Stwórca wszystko wybacza!

— Siostro... Co tam się wydarzyło? — zapytał z obawą.

— Wszystkie powinnyśmy się smażyć w piekle!

— Proszę mi opowiedzieć...

— Dyrektor... To on był wszystkiemu winien. Groził nam, ale ja już się nie boję. Milczałam, bo wierzyłam, że tak trzeba... że tak będzie lepiej. Choroba boleśnie uświadomiła mi, jak bardzo się myliłam.

Adams słuchał jak zahipnotyzowany.

— Te dwie zakonnice, o których pan wspomniał, detektywie... — mówiła z coraz większym trudem — one pierwsze nie wytrzymały. Chciały zareagować i przerwać to szaleństwo, ale podważono ich wiarygodność. W końcu, zrezygnowane, szykanowane, podjęły taką, a nie inną decyzję.

— Miały wypadek...

— Kiedyś przypadkiem podsłuchałam rozmowę w celi jednej z nich. Były zdesperowane i nie widziały innego wyjścia... Zabiły się.

Adams poczuł gęsią skórę na całym ciele.

— Przejrzyjcie wasze kartoteki. Pamiętam to jak dziś, kiedy w sierocińcu pojawił się policjant i obwieścił tę tragedię. Wszyscy byliśmy zdruzgotani. Wszyscy za wyjątkiem tego diabła!

— Dyrektora Granta?

— Tak. Wcześniej mu się upiekło, a teraz był już pewien, że nic mu nie grozi.

— Czy on... krzywdził tych chłopców?

— Sęk w tym, że nie bezpośrednio. Dlatego podważono historię jego oskarżycielek. On tylko patrzył i nagrywał tak zwane *badania*, które na jego rozkaz były przeprowadzane przez siostry zakonne. Ale proszę ich nie winić! — zareagowała gwałtownie. — Gdy się sprzeciwiały, bił je, znęcał się nad nimi i Bóg wie, co jeszcze.

— Czy z siostrą Doną było podobnie?

— Tak... Ona była najmłodsza. Metody dyrektora sprawiły, że zawładnął nią strach, którego już nigdy nie potrafiła się wyzbyć. Kary, jakie stosował ten psychopata, zniszczyły jej psychikę. Proszę zrozumieć... To była młoda kobieta, która w klasztornych murach chciała odnaleźć nowe powołanie. Powołanie niesienia pomocy innym. Po kilku miesiącach nie była już tą samą osobą. Posłusznie wykonywała wszystkie czynności, do których ją zmuszano.

— A... siostra? — zapytał z obawą.

— Ja byłam najgorsza! — przyznała się bez skrępów. — Zapropnowałam temu draniowi ugodę. Mógł ze mną robić co chciał, pod warunkiem, że nie będzie mnie zmuszał do krzywdzenia dzieci. Myślałam, że w ten sposób je ochronię, ale w rzeczywistości niczego nie zmieniłam. Po jakimś czasie po prostu znalazł inną na moje miejsce.

— To chwalebne, a nie godne potępienia.

— Synu... bezczynność wobec zła jest najgorszą zbrodnią i najcięższym grzechem. Zeznania moje oraz siostry Dony oczyściły tego przestępcę z zarzutów. Zagroził, że jeżeli nie będziemy współpracować, zabije kilku chłopców, a winę rzuci na nas. Dona znacznie szybciej ode mnie znalazła wyjście z tej beznadziejnej sytuacji i udało jej się wyrwać ze szponów tego szatana. Pod pretekstem zakochania się opuściła to piekło. Znalazła człowieka, który jej w tym pomógł. Wystąpiła z klasztoru i wyszła za mąż. Jednak życie u boku mężczyzny nie było jej pisane. Rozwiodła się, a z obawy przed powtórką sytuacji, nie wstąpiła ponownie do żadnego zakonu. Dalej pomagała wychowywać dzieci, tyle tylko, że w innej placówce.

— Jej egzystencja zatoczyła brutalne koło... — skomentował krótko Adams.

— Tak... Ja odeszłam dwa lata po niej. Znudziłam mu się i musiał mnie kimś zastąpić. Trafiłam tutaj i myślałam, że to koniec. Niestety, Bóg przypomniał sobie o czynach, których się dopuściłam. Wybrał śmiertelną chorobę jako karę za grzechy. Ale według mnie... okazał się nazbyt litościwy. Za moją bezczynność powinnam smażyć się w piekle, razem z tym diabelskim pomiotem!

Adams nie wiedział, co powiedzieć. Siedział jak na szpilkach. Niewiarygodna historia, opowiedziana niemalże jednym tchem, zrobiła na nim ogromne wrażenie. Był detektywem i już nieraz spotykał się w pracy z różnymi przypadkami, ale czegoś takiego jeszcze nie słyszał. Psychopata,

gwałciciel, być może pedofil i morderca. W głowie układał sobie paragrafy, które przedstawi podczas aresztowania. Już nie mógł się doczekać ponownej wizyty w murach sierocińca.

— Nie wiem, jak mogę siostrze podziękować...

Złapała go za rękę.

— Proszę go aresztować i już nigdy nie wypuścić z więzienia — powiedziała błagalnym tonem.

— Obiecuję, że zrobię, co w mojej mocy, żeby ten człowiek odpowiedział za wszystkie krzywdy, które wyrządził.

Gdy Adams wyłączył dyktafon, rozległo się pukanie do drzwi. Wstał i otworzył je. Do środka weszła siostra przełożona, pchając przed sobą wózek inwalidzki.

— Niech pana Bóg prowadzi, detektywie! — Siostra Anna zrobiła w powietrzu znak krzyża.

Adams podziękował i pożegnał się. Wychodząc z celi, włożył rękę do kieszeni i mocno ścisnął dyktafon. W dłoni trzymał niezbity dowód winy Carla Granta. Będąc już poza murami klasztoru, wyciągnął telefon.

— Tak? — odezwał się Bennet.

— Nie uwierzysz, z kim właśnie rozmawiałem.

— Nie wiem, czy chcę wiedzieć. Zwłaszcza, że mamy piękny, niedzielny poranek.

— Ten wypadek sprzed kilkunastu lat, któremu przyglądaliśmy się w piątek, wcale nie był wypadkiem. Te dwie zakonnice także popełniły samobójstwo. A za wszystkim stoi Grant. Mam nagranie zeznań siostry Anny. Ten skurwiel zmuszał zakonnice do... — reszta zdania utknęła mu w gardle. — Jutro z samego rana występujemy o nakaz aresztowania i przeszukania domu Granta oraz całego sierocińca.

— Jasny gwint!

— Dona Jonson nie usunęła z *ROCZNIKÓW* zdjęć, żeby ukryć dowody. Ona po prostu nie mogła na nie patrzeć. Zostawiła tylko jedno, wskazując nam w ten sposób, kogo mamy szukać i kto nam pomoże, bo ona była już za słaba, żeby po raz kolejny z tym walczyć.

— Tym razem drań nie wywinie się tak łatwo! Dorwiemy skurczybyka! Miał pan rację, że ta sprawa śmierdzi na kilometr.

— Szkoda tylko, że wcześniej na to nie wpadliśmy...

PAŹDZIERNIK 1998

Mark Maison był przyzwyczajony do przesiadywania w swoim pokoju. Miał już prawie osiemnaście lat, ale rodzice dalej traktowali go jak ośmiolatka nie mającego własnego zdania albo kogoś, kto nie potrafi podejmować dojrzałych decyzji.

Tak go wychowali. Trafił do nich w wieku sześciu lat. Był chory i lekarze nie rokowali dla niego najlepiej. Dyrektor sierocińca wysupłał dodatkowych kilka tysięcy dolarów, które ostatecznie przekonały niezdecydowaną młodą parę, będącą w ciężkiej sytuacji finansowej. Fakt ten sprytnie ukryli i zapewnili sobie dodatkowe źródło utrzymania w postaci regularnych dotacji państwa za otoczenie opieką osieroconego, schorowanego dziecka.

Znowu stanęli na nogi. Po zmianie otoczenia chłopak szybko wrócił do zdrowia, jednak jego sielanka nie trwała zbyt długo. Krótco cieszył się nowym domem i kochającą rodziną. Gdy wrócił do pełni sił, ojciec zaczął uświadamiać mu, dlaczego znalazł się właśnie u nich.

Maisonów charakteryzowało chorobliwie praktyczne podejście do życia. Mogli mieć własne dzieci, ale nie widzieli w tym żadnych plusów. Lepszą opcją dla nich była adopcja, która mogła przynieść dodatkowe korzyści w postaci regularnego dopływu gotówki. Otrzymali *odchowane*, częściowo samodzielne dziecko, które wystarczyło skierować na właściwe tory. Problem polegał tylko na tym, że nie byli oni do końca pewni, jak tego dokonać. Nie mieli doświadczenia w tej dziedzinie. Mogli brać przykład jedynie ze znajomych, sąsiadów oraz z doświadczeń, jakie wynieśli z własnych domów.

Zarówno William Maison, jak i jego żona — Stephanie — wychowali się w konserwatywnych rodzinach i mieli surowych ojców, którzy nie wahali się sięgać po pas albo pantofel w celu uświadomienia różnicy pomiędzy dobrym a złym zachowaniem. Podobne wartości wniesli do swojego domu. Małemu Markowi szybko i brutalnie wpoili zasady, których musiał bezwzględnie przestrzegać.

Dorastający samotnie chłopiec dojrzewał w atmosferze strachu i braku poczucia własnej wartości. Nie miał przyjaciół ani autorytetów, z których mógłby brać przykład. Idąc przez życie, tak naprawdę tylko wegetował — szerokim łukiem omijał wszystkie jego uroki.

W domu czuł się jak niewolnik, chociaż nie do końca wiedział, co oznacza słowo *wolność*. Czytał o niej, patrzył na nią przez okno, ale tak naprawdę

nigdy jej nie zaznał. W szkole był wytykany palcami, szturchany, poniewierany. Dom stał się jego przekleństwem. Nienawidził go, ale tylko tutaj, w swoim pokoju, był pewien, że oprócz rozgniewanego ojca nic mu nie zagraża. Po prostu wybierał mniejsze zło.

Najczęściej, podobnie jak i w to sobotnie popołudnie, przesiadywał w obrotowym fotelu przy otwartym oknie i chłonał kolejną przygodową powieść, którą wypożyczył z biblioteki. Często w wyobraźni wcielał się w rolę głównego bohatera poszukującego zaginionych skarbów, plądrującego nawiedzone grobowce albo ścigającego wroga, który zagraża światu. Uwielbiał takie książki. Była to jedyna odskocznia od szarej codzienności, jaką zgotował mu los.

Trzydziesty piąty rozdział. To na nim się zatrzymał, gdy do jego uszu dotarł irytujący dźwięk — warkot starego silnika zabytkowego samochodu, zatrzymującego się na podjeździe przed ich domem. Z kabrioletu, którego marki nie znał, wysiadł młody mężczyzna. Wyglądał jak typowy mieszkaniec osiedla — sportowe buty, luźna, beżowa koszulka i krótkie, szare spodenki. Jedyne, co zaniepokoiło obserwatora, to nerwowe zachowanie gościa. Mocno trzasnął drzwiami i podbiegając, w ciągu kilku sekund znalazł się przy drzwiach wejściowych. Rozległo się pukanie, które intensywnością przypominało grzmoty towarzyszące burzy z piorunami.

Mark Maison zerwał się i podszedł do drzwi. Uchylił je i zaczął nasłuchiwać. Do jego uszu dotarły przekleństwa ojca zbiegającego po schodach. Zaczął się bać.

— Gdzie moje pieniądze?! — usłyszał krzyk gościa.

— Nie mam jeszcze całej sumy... — tłumaczył się ojciec. — Jak tylko zdobędę resztę...

— Nie interesuje mnie to! Powiedziałeś, że najpóźniej dziś zwrócisz wszystko, co do centa.

— Wiem, ale...

— Co mam powiedzieć żonie? Że połowa naszych oszczędności przepadła?

— Tragizujesz! Jak powiedziałem, że oddam, to oddam.

Z dołu dobiegł dźwięk tłuczonego szkła. Biorąc pod uwagę lokalizację, mógł to być mały wazon stojący na szafce albo większy, umiejscowiony w kącie.

— Ja tragizuję?! Oj, kolego! Nie tragizuję, tylko przejrzałem na oczy!

Popytałem tu i ówdzie. Idiota ze mnie, że wcześniej tego nie zrobiłem. Każdego, kogo znam, prosiłem już o pieniądze. Tylko ja dałem się nabrać, czy byli też inni?

— Zrozum... Na giełdzie czasem tracisz, a czasem zyskujesz. Daj mi jeszcze kilka tygodni. Odkuję się i zwrócę wszystko z dwudziestoprocentową nawiązką. To o dziesięć procent więcej, niż proponowałem wcześniej.

— Nie wierzę w ani jedno twoje słowo!

— Przepraszam, ale będziesz musiał, bo nie mam dzisiaj tych pieniędzy, a z rękawa ich nie wyczaruję.

— Nie wyjdę stąd, dopóki nie dasz mi chociaż części! Powiedziałaś, że nie uzbierałeś jeszcze wszystkiego. Dawaj tyle, ile masz, a za miesiąc chcę widzieć resztę forsy razem z odsetkami!

— Dobrze...

Poirytowany pożyczkodawca ruszył w stronę schodów.

— Gdzie idziesz?

— Na górę, do twojego biura.

— Tam niczego nie znajdziesz. Forsę trzymam w piwnicy.

— Dla twojego dobra lepiej, żebyś nie kłamał!

Słowna przepychanka dobiegła końca i Mark zamknął drzwi. Wrócił do książki, ale nie mógł się na niej skupić. Takich rozmów słyszał już w swoim życiu co najmniej kilka. Dwie z nich zakończyły się szarpaniną, a jedna dodatkowo wezwaniem policji.

Nastolatek nie potrafił zrozumieć swojego opiekuna. Czuł przed nim respekt, ale nienawidził go za hipokryzję. Wielokrotnie otrzymywał od niego różnorakie kary za kłamstwa, za którymi on — głowa rodziny — notorycznie chował się przez całe życie.

Znacznie bardziej wolał, gdy upominała go matka. Była łagodniejsza i miała mniej siły w rękach. Dawniej ostrzegawcze klapsy, a później łagodne policzki były niczym w porównaniu z wyćwiczoną ręką ojca.

Otrząsnął się. Odpędził przykre wspomnienia i złe myśli. Od dawna nie dał rodzicom powodu do niezadowolenia i żył nadzieją, że tak pozostanie. Ostatnie siniaki i otarcia spowodowane słabymi wynikami w nauce zagoiły się ponad dwa miesiące temu.

Wrócił do książki i swojego bohatera, którego zaniedbał już wystarczająco długo.

Po kilku akapitach znowu musiał przerwać. Usłyszał trzask dochodzący z parteru. Wsłuchał się. Po chwili ciszę przeszył huk. Nastolatek podskoczył, jakby ktoś wbił mu igłę w pośladek. Zachodził w głowę, co mogło się stać. Przestraszył się nie na żarty, ale nie chciał przynieść wstydu swoim książkowym bohaterom.

Drżącą dłonią objął klamkę. Po chwili był już na korytarzu. Bojaźliwie zerknął do gabinetu ojca. W środku nikogo nie było. Poszedł dalej. Dotarł do poręczy. Wychylił się, żeby zobaczyć, co mogło spowodować hałas. Dostrzegł jedynie kawałki szkła rozsypane na podłodze. Mały wazon nie wytrzymał starcia z twardą posadzką.

Usłyszał coś. Jakby szelest. Podejrzane dźwięki dochodziły z okolicy kuchni.

— Tato... — powiedział cicho. — Tato, jesteś tam?

Brak odpowiedzi jeszcze bardziej go przeraził. Nogi miał jak z waty. Sam do końca nie wiedział, jak i dlaczego zszedł po schodach. Szybko skrył się za ścianą oddzielającą salon od korytarza. Jak bohaterowie powieści przygodowych, które tak lubił czytać, zaczął skradać się w kierunku tylnego wyjścia.

Kuchnia była tuż za rogiem. Zerknął do środka. Oprócz otwartej szafki nie dostrzegł nikogo ani niczego niepokojącego. Znowu coś usłyszał — dziwnie stłumiony szelest. Przebiegł za wyspę znajdującą się na środku kuchni. Wyrzał zza szafki. Haczyk obok lodówki był pusty. Klucz, który zazwyczaj na nim wisiał, tkwił teraz w zamku uchylonych drzwi, prowadzących do piwnicy. To stamtąd dochodziły podejrzane odgłosy.

Poczuł przypływ adrenaliny. Miejsce, do którego zmierzał, nie kojarzyło mu się z niczym dobrym. Najczęściej to właśnie tam zamykano go, gdy był nieposłuszny — w piwnicy otrzymywał najboleśniej kary. To miejsce stało się grobem jego nadziei na lepsze jutro. Nigdy sam nie schodził na dół. Unikał tych drzwi jak ognia. Nawet przechodząc obok, starał się to zrobić jak najszybciej, w obawie, że jakaś zła siła znowu go tam wciągnie. W pierwszej chwili chciał zrezygnować i wrócić do pokoju, ale coś pchało go naprzód i nie pozawalało odejść.

A jeżeli ojcu coś się stało? Ukarze mnie, jeżeli mu nie pomogę. Z drugiej strony... Gdy mu w czymś przeszkodzi, to będzie jeszcze gorzej. Próbował znaleźć lepsze rozwiązanie, ale takiego nie było. Nauczono go bierności, jednak w tej chwili, pomimo wielu rozterek, dobro człowieka, który go

wychował, było dla niego ważniejsze.

Pochylony podbiegł do drzwi. Na dole schodów paliło się światło. Słyszał wyraźne, szybkie kroki i widział cień przesuwany się po posadzce. Chciał się odezwać, ale zaraz tego zaniechał. A jeżeli to nie ojciec, tylko człowiek, z którym się kłócił? Może przybysz skrzywdził go i teraz szuka pieniędzy, po które przyszedł.

Ostrożnie postawił nogę na pierwszym schodku przy samej ścianie, aby ten nie wydał z siebie zdradliwego zgrzytu. Zrobił dwa kolejne kroki. Pochylił się. Dostrzegł sandały i długie spodnie osobnika, który zniknął w drugiej komórce po lewej. Przypomniawszy sobie, że mężczyzna, którego widział przez okno, miał ubrane krótkie spodenki i sportowe buty. A więc to ojciec! Dzięki Bogu... Nieco mu ulżyło. Wtedy zobaczył dziwną, ciemną plamę na dolnym podeście. Od niej, w kierunku pomieszczenia, w którym zniknął ojciec, ciągnął się szeroki ślad.

Zszedł na sam dół. Przykucnął i opuszkami palców dotknął cieczy. Zabarwiły się na czerwono. Zesztywniał. Widział już krew. Nawet częściej niż można było to sobie wyobrazić. Nos, warga, wewnętrzna strona policzka, dziąsła, skroń, łokieć, kolano — w nieskończoność mógł wymieniać miejsca na swoim ciele, z których wielokrotnie się sączyła.

Znowu stuk. Jakby ktoś uderzył ręką w ścianę.

— Cholera!

To zdecydowanie głos ojca. Nic mu nie jest. Najwyższy czas wracać do siebie. Odzyskał władzę w nogach. Gdy chciał zrobić krok w górę, poślizgnął się na zakrwawionym stopniu i stracił równowagę. Runął na podest, prosto w ciemnoczerwoną kałużę.

William Maison wyskoczył na korytarz jak tygrys.

Mark przeraził się. Ojciec wyglądał jak rzeźnik. Całe ubranie, podobnie jak i ręce, miał we krwi. Na prawym policzku widniał rozmazany, czerwony ślad ciągnący się od ucha w kierunku ust. Na czole miał kilka plamek tego samego koloru. W ręce trzymał rewolwer. Jego szalony wzrok mówił sam za siebie. Należało zostać tam, gdzie było bezpiecznie.

— Co tu robisz, gnojku?! Miałeś jechać z matką...

— Nalegała, żebym został w domu — tłumaczył się. — Usłyszałem trzask. Martwiłem się, że coś ci się stało. Co to za krew? Jesteś ranny? Wezwać karetkę?

— Nie powinieneś być tu schodzić — warknął.

— Widziałem jakiegoś mężczyznę, jak wchodził do naszego domu. Obawiałem się... — zamilknął. Dopiero teraz zrozumiał, że krew nie należy do ojca, tylko pochodzi z ciała nieproszonego gościa.

William Maison bezbłędnie odczytał zmieszanie i błędzący wzrok nastolatka. Wiedział, że chłopak domyślił się, co tutaj zaszło. Szybko przeanalizował wszystkie dostępne opcje. Nie było ich wiele. Wycelował w syna.

— Naprawdę nie powinieneś być tu schodzić... — nacisnął spust.

Chłopak drgnął. W jednej sekundzie skulił się, próbując uniknąć postrzału. Rozległ się ogłuszający huk. Kula musnęła ramię siedemnastolatka. Nie przebiła skóry, ale zapiekło jak diabli. Wrzasnął z bólu.

— Spokojnie, chłopcze — rzucił obłąkany ojciec. — Tym razem niczego nie poczujesz. — Psychopata wycelował w głowę.

Mark nie czekał na kolejny strzał. Odruchowo złapał za wiadro stojące w kącie i rzucił nim w napastnika. Ten zdążył oddać strzał, ale musiał zasłonić się drugim ramieniem przed lecącym przedmiotem. Pocisk musnął wiadro i zmienił nieco trajektorię. Kula wbiła się w ścianę, dziesięć centymetrów nad głową chłopaka, który natychmiast zerwał się do ucieczki.

Kolejne dwa strzały również były niecelne. Jeden pocisk utkwiał w ścianie, podobnie jak poprzedni, a ostatni roztrzaskał kawałek drewnianego schodka, wzbijając w powietrze liczne drzazgi.

Chłopak zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz. Trzymając się za ramię, pobiegł do salonu.

William Maison z całej siły uderzył barkiem w zablokowane drzwi. Wytrzymały, ale nie była to przeszkoda, która mogłaby go na długo powstrzymać. Wycelował w zamek, ale usłyszał tylko głuchy szcęk.

— Psiakrew! Wszystko idzie dziś nie tak jak powinno! Zbiegł ze schodów i skręcił do pierwszej komórki po prawej. Po kilku sekundach wybiegł z niej, trzymając w ręce olbrzymią, masywną siekiere do rozłupywania grubych kłoców drewna. Rozpędzony zamachnął się, uderzając obuchem w klamkę. Ta odskoczyła, jakby była tylko przyklejona do drzwi. Kilkanaście razy mocno uderzył w okolice zamka. Ostatecznie wyrwał metalowe mocowanie z futryny i wpadł do kuchni. Trzymał siekiere oburącz, aby w każdej chwili móc zadać śmiertelny cios. Zastygł w bezruchu. Zaczął nasłuchiwać. Potrzebował planu działania. Odwrócił się. Tylne drzwi zawsze były zamknięte na klucz. Przezorna ostrożność wreszcie zadziałała na jego

korzyść.

Jeżeli żona, wychodząc, zamknęła główne drzwi, to smarkacz jest mój. Mógł uciec tylko w jedno miejsce. Na górę...

Czerwone ślady na parkiecie były tego niezbitym dowodem.

— Mark! — wrzasnął jak opętany. — Mark! Nie pogarszaj swojej sytuacji! Wiem, że tu jesteś! Wyjdź, to porozmawiamy jak mężczyzna z mężczyzną!

Brak odzewu jeszcze bardziej rozżłościł szaleńca. Długimi krokami pomaszerował w stronę schodów. Złapał za rzeźbiony koniec poręczy, na którym były ślady krwi.

— Nie zmuszaj mnie, żebym wszedł na górę!

Co za nieposłuszny szczył! Jak go znajdę, wypruję mu flaki! Już ja go nauczę szacunku do ojca. Będzie chodził jak w zegarku albo w ogóle, pomyślał.

Przerzucił siekierę do lewej ręki i przytrzymując się prawą ręką poręczy, kilkoma susami wskoczył na górę. W tym momencie krwawy ślad urwał się. Ostrożnie otworzył pierwszy pokój po lewej. Wszędzie były rozłożone folie. Niewielki przeciąg poruszył nimi i rozległ się cichy szelest cieniutkiego plastiku. Zamknął drzwi.

Kolejnym pomieszczeniem było jego biuro. Nie wierzył, że chłopak mógł się tam ukryć. Gabinet był miejscem, do którego nikt inny oprócz głowy rodziny nie miał wstępu, chyba że za pozwoleniem. Ominął go i całkowicie wykluczył z poszukiwań.

Na samym końcu krótkiego korytarza znajdował się pokój Marka. W pierwszej chwili chciał tam wejść jak najciszej, chcąc zaskoczyć nieposłusznego syna. Jednak zanim złapał za klamkę, uświadomił sobie, że zaskoczenie można interpretować w różny sposób. On wybrał ten mniej subtelny.

Rozpędził się i z całej siły kopnął w drzwi. Zamek nie wytrzymał i skrzydło uderzyło o ścianę. Klamka wbiła się w cienką warstwę tynku, tworząc sporą dziurę. Na wykładzinę posypał się biały proszek.

A więc nie było go za drzwiami. No cóż... Szkoda. Mielibyśmy to już z głowy.

Stał w progu. Na pierwszy rzut oka pokój był pusty. Zmartwiło go uchylone okno i krwawe ślady na parapecie.

— Mark... Ostatni raz grzecznie proszę. Gdziekolwiek się skryłeś, wyjdź,

to porozmawiamy jak cywilizowani ludzie. — Odczekał chwilę. — Dobrze, sam tego chciałeś...

Wymachując siekierą, wtargnął do azylu adoptowanego syna. Podeszedł do okna i opierając się o parapet, wyjrzał na zewnątrz. Nie dostrzegł nikogo oprócz atrakcyjnej sąsiadki ubranej w czerwoną sukienkę, spacerującej po chodniku ze swoją małą córeczką, która jechała na różowym trójkołowcu kawałek przed nią.

Kobieta spojrzała w jego stronę. Uśmiechnął się i pomachał na powitanie, a następnie przymknął okno. Nagle usłyszał jakiś dziwny odgłos. Jakby ktoś próbował powstrzymać się przed kichnięciem. Przypomniał sobie. Mark był uczulony na kurz. Wizyta w brudnej piwnicy właśnie dała o sobie znać. Na brzegu tapczana dostrzegł delikatne zaczerwienienie.

Bąknął coś pod nosem i zrobił kilka kroków w stronę wyjścia. Nagle odwrócił się i wziął zamach. Z całej siły uderzył siekierą w sam środek tapczana. Ostrze bez najmniejszego trudu przecięło kołdrę i materac. Zatrzymało się dopiero na stelażu łóżka. Deski pękły, ale nie przepuściły siekiery. Uratowały życie chłopakowi, który leżał bezpośrednio pod nimi.

Mark otworzył oczy. Zobaczył kawałek ostrza tuż obok głowy. Nagły przypływ adrenaliny zdeterminował go do desperackiego posunięcia. Podkurczył nogi oraz ręce i plecami uniósł ciężkie łóżko. Wstał z nim i pchnął je w stronę ojca. Ten zatoczył się i uderzył barkiem o biurko. Gdyby się nie skulił, stelaż łóżka zmiażdżyłby mu głowę.

— Tego już za wiele! — wrzasnął.

Odepchnął tapczan, który poleciał w kierunku nastolatka. Chłopak zdążył odskoczyć i podnieść z podłogi siekierę. Teraz on miał przewagę.

— No dalej, tchórze! — William Maison wstał i otrzepał się. — No już! Uderz najmocniej, jak potrafisz.

Prowokacja przyniosła spodziewany efekt. W oczach chłopaka dostrzegł taki sam obłęd, jaki ogarnął jego, kiedy strzelał, najpierw do dawnego przyjaciela, a później do syna. Mark zamachnął się, ale źle wycelował. Nie mógł trafić. Pierwszy raz w życiu trzymał w rękach siekierę. Ostrze ominęło mordercę i wbiło się w podłogę.

Sadystyczny ojciec kopnął nastolatka w klatkę piersiową, kiedy ten próbował wydostać zaklinowaną broń, która była jego jedyną nadzieją. Chłopak poleciał w stronę okna i zatrzymał się na parapecie. Zaniósł się kaszlem. Nie potrafił złapać tchu. Pochylił się, opierając ręce na kolanach.

Gdy podniósł głowę, zobaczył nacierającego przeciwnika. Poddał się. Nie miał siły dłużej walczyć.

Rozpędzony psychopata uderzył ofiarę barkiem. Nastolatek rozbił szybę w oknie i wypadł na zewnątrz. Cios był tak mocny, że na chwilę go zamroczyło. Poczł ból w okolicach klatki piersiowej, jakby ktoś uderzył go ciężkim młotem służącym do rozłupywania grubych kamieni.

Świat zawirował mu przed oczami. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to nie wina uderzenia. Jego ciało bezwładnie turlało się po stromym zadaszeniu werandy. Próbował złapać się czegoś, ale było za późno. Poczł ostry przedmiot wbijający mu się w plecy. Wraz z kawałkiem oderwanej rynny poleciał w dół.

Spadł na gęste krzewy, które uratowały mu życie. W głowie miał tylko jedną myśl. Musiał uciekać. Nie było czasu, żeby wypatrywać powrotu matki. W tej chwili niczego by nie zmieniła. Podparł się rękami i próbował odzyskać równowagę. Był pokaleczony i obolały, ale mógł biec. Z daleka, przez zamknięte drzwi, słyszał głośne kroki ojca zbiegającego po schodach na złamanie karku.

Zygzakiem, trzymając się za postrzeloną rękę, podążył w stronę chodnika. Usłyszał, jak ojciec mocuje się z drzwiami, które na szczęście nie chciały ustąpić. Przebiegł obok kilku domów i skręcił w lewo, w najbliższą przecnicę. Następnie w prawo i znowu w lewo. Dopiero gdy pokonał dobry kilometr, zwolnił i zatrzymał się. Ledwo żył. Ostatecznie nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Całkowicie opadł z sił. Wzrok zaczął mu płątać figle. Obraz stał się nieostry, a otoczenie falowało, jak źle dostrojony kanał telewizyjny. Robiło się coraz ciemniej.

Do końca zachował przytomność umysłu — rękami wyczuł podłoże. Położył się na trawie przed czyimś domem. Wiedział, że za chwilę zemdleje. Dostrzegł sylwetkę osoby pochylającej się nad nim. Coś do niego mówiła, ale zupełnie jej nie rozumiał.

Gdy ponownie otworzył oczy, zobaczył mężczyznę ubranego na pomarańczowo. Miał wrażenie, jakby podłoże cały czas się poruszało, drżało. Po chwili zrozumiał. Znajdował się w karetce, a ów osobnik w pomarańczowym kombinezonie był ratownikiem medycznym.

— Słyszysz mnie? Jak się nazywasz?

Tym razem słowa były wyraźne, a pytania brzmiały logicznie. Chłopak szybko przypomniał sobie przebieg wydarzeń, które doprowadziły go do

takiego stanu. Musiał zrobić wszystko, żeby przybrany ojciec go nie odnalazł.

— Słyszysz mnie? — powtórzył ratownik i pomachał ręką przed twarzą ofiary.

— Warren. Nazywam się Warren. Mark Warren.

— Wiesz, dlaczego się tu znalazłeś?

— Nie pamiętam...

— Prawdopodobnie ktoś cię potracił. Jesteś unieruchomiony. Podejrzewamy liczne złamania i wstrząs mózgu. Jedziemy do szpitala, gdzie udzielimy ci pomocy i przejdiesz kompleksowe badania. Pamiętasz, kto cię tak urządził? Może numer rejestracyjny albo jakaś inna wskazówka?

— Nie wiem... Szedłem chodnikiem i usłyszałem jakiś hałas za plecami. Tyle pamiętam. — Nastolatek był wdzięczny ratownikom, że sam nie musi wymyślać jakiejś historyjki.

— Nie martw się... Na pewno go złapią! Oby nie...

— Gdzie mieszkasz? Kim są twoi rodzice?

— Moi rodzice... — ugryzł się w język — nie żyją.

— A krewni?

— Nie. Nie mam...

— Ale chyba jest ktoś, kto się tobą opiekuje? Zastanowił się chwilę. Musiał szybko coś wymyślić.

— Stephen Fox — odezwał się wreszcie. — To mój przyjaciel. Możecie go zawiadomić?

— Jak tylko dojedziemy do szpitala, skontaktujemy się z nim.

TYDZIEŃ IV

PONIEDZIAŁEK

Droga dwieście pięćdziesiąt pomiędzy Elkins a Durbin, Virginia Zachodnia

Wieczór wreszcie przyniósł ze sobą spodziewane ochłodzenie. Kolejny tydzień upałów z rzędu był już nie do zniesienia. W sklepach często dochodziło do przepychanek. Ludzie walczyli o wodę, która w takich temperaturach schodziła z półek równie szybko jak zimne napoje na plażach Miami.

Z trzydziestu pięciu stopni nagle zrobiło się dwadzieścia. W prognozach, na każdym kanale synoptycy ostrzegali przed dalszym spadkiem temperatury i gwałtownymi burzami oraz gradobiciami, które mają nawiedzić całe Stany. Nie wykluczano również trąb powietrznych i wiatru przekraczającego sto dwadzieścia, a nawet sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Wszystko zaczęło się od północnej i północno-wschodniej części USA. Nad stany Ohio, Michigan, Wisconsin, Nowy Jork i Pensylwanię nadciągnął rozległy niż niosący ze sobą ogromne masy zimnego, północnego powietrza znad Kanady i Grenlandii. Niebo całkowicie zasnuły burzowe chmury. Nagle zrobiło się ciemno jak podczas zaćmienia słońca. W ciągu kilkunastu minut drobny deszczyk przekształcił się w ulewę.

Wycieraczki starej toyoty camry nie nadążały zbierać wody. Kierowca wyteżał wzrok, próbując dojrzeć jezdnię, którą przesłaniała mu kurtyna wody. Wkrótce o karoserię i szyby zaczęły uderzać małe grudki lodu.

— Cudownie — warknął. — Jeszcze tego brakowało. Chociaż z drugiej strony... Może ułatwi mi to zadanie?

Wyruszył ze Staunton w Virginii. Z każdym kilometrem był coraz bliżej celu. Już dawno minął tabliczkę z napisem *WITAMY W VIRGINII ZACHODNIEJ*, ale wciąż miał jeszcze spory kawał drogi przed sobą. Z powodu ulewnego deszczu i ograniczonej widoczności, odcinek, który miał zamiar przejechać w niecałe dwie godziny, zajął mu prawie trzy. Nie mógł ryzykować. Śliska, zdradliwa nawierzchnia mogła go kosztować znacznie więcej niż niewykonane zadanie.

Zerknął na wyświetlacz LCD leżący na fotelu pasażera. Był ustawiony na niezamieszkałe okolice Staunton, gdzie znajdował się luksusowy kompleks SPA. Mała kropka oznaczająca samochód, właśnie zaczęła się poruszać.

Trzeba się spieszyć, pomyślał.

Po kolejnych dziesięciu minutach wreszcie dostrzegł szereg znaków ostrzegawczych, informujących o dużym nachyleniu, niebezpiecznym zakręcie i śliskiej nawierzchni. Nie stały tam bez powodu. Codziennie ratowały życie wielu niedzielnym kierowcom, którzy postanowili poszarżować na pustej, górskiej drodze. Zwolnił. Tam było naprawdę niebezpiecznie.

Ograniczający widoczność deszcz jeszcze bardziej pogarszał sytuację. Na drodze leżało mnóstwo liści oraz drobne gałęzie, które porywisty wiatr przynosił z zalesionych wzgórz, pomiędzy którymi biegła kręta droga. Z pyłu i brudu, jakie zebrały się na jezdni podczas długotrwałej suszy, powstała cienka warstwa błota, nie dająca oponom prawie żadnej przyczepności.

Trzydzieści kilometrów na godzinę — z taką prędkością toyota pokonała stuosiemdziesięciostopniowy zakręt. Tuż za nim kierowca zjechał na pobocze. Odczekał chwilę, ale nie zanosilo się, aby deszcz miał zelżeć. Nie miał wyboru.

— No to do roboty...

Zadanie musiało zostać wykonane, a mały punkcik na ekranie nieubłaganie zbliżał się w jego kierunku. Założył ciemną kurtkę, czarną pelerynę i rękawiczki. Lekko uchylił drzwi, którymi szarpnął wiatr. Zawias strzelił, ale nie wyłamał się. Szybko okrążył samochód i otworzył bagażnik. Miał tam biało-czerwone słupki, torbę z narzędziami, odblaskową kamizelkę i dwie fałszywe tablice rejestracyjne.

Z pachołków od razu zrezygnował. Był przygotowany na różne ewentualności, ale pogoda mu sprzyjała, więc mógł pominąć kilka aspektów. I tak wiatr porwałby je w kilka sekund, pomyślał.

Najpierw założył lewe tablice, aby nikt z przejeżdżających nie rozpoznał jego samochodu, a następnie zabrał torbę i pobiegł drogą w kierunku, z którego przyjechał.

Porywisty wiatr rozpędzał krople deszczu do kosmicznych prędkości. Smagały one twarz mężczyzny jak drobne igły, kłując jego skórę. Walczył ze śliską nawierzchnią, spychającym go wiatrem i przemoczonym ubraniem — peleryna spełniała swoją funkcję tylko przez pierwszych kilka minut.

Wyczerpany, z trudem dotarł do ostrzegawczego znaku, który kołysał się jak trzcina na wietrze. Wyciągnął kleszcze i poluzował dwie śruby. Złapał oburącz za metalową tablicę i mocno szarpnął w prawo. Rozległ się zgrzyt. Zardzewiałe mocowanie puściło i znak znalazł się w pozycji równoległej do drogi. Jedyne zwierzęta wybiegające z lasu mogły mu się dobrze przyjrzeć.

Pomiędzy znakiem a zakrętem znajdowały się również strzałki ostrzegawcze ustawione w regularnych odstępach. Mężczyzna na razie pozostawił je w spokoju. Jedyne poluzował ich mocowania, aby mieć pewność, że każdą śrubę da się później łatwo odkręcić. Nie mógł niepotrzebnie narażać innych uczestników ruchu. Zerknął na urządzenie naprowadzające. Cel szybko się zbliżał, ale do tego miejsca miał jeszcze ponad sześćdziesiąt kilometrów.

Nie tracąc czasu, zabrał torbę i poszedł w kierunku metalowej bariery chroniącej nieostrożnych kierowców przed wypadnięciem z trasy. W oddali zauważył światła zbliżającego się pojazdu. Skoczył do rowu. Bez odblaskowej kamizelki, pachołków na drodze i odpowiednich oznaczeń samochodu nie mógł udawać pracownika służby drogowej.

Po przejechaniu pojazdu odczekał trzydzieści sekund i wrócił na jezdnię. Znalazł w torbie potrzebne narzędzie — duży, hydrauliczny klucz. Przeskoczył przez barierkę i zapiął go na pierwszą nakrętkę grubej śruby. Puściła od razu. Długie ramię klucza bez problemu poradziło sobie z masywnym przeciwnikiem. Nie odkręcił jej do końca. Zajął się następną śrubą, a później przeszedł do kolejnego słupka podtrzymującego długą, tłoczoną, metalową listwę. Poluzował cztery mocowania.

— To powinno wystarczyć...

Ostatnim elementem były żółte, odblaskowe strzałki ostrzegawcze, informujące o ostrym zakręcie, przytwierdzone bezpośrednio do stalowej bariery. Z nimi postąpił podobnie, jak z tymi przed zakrętem — poluzował mocowania, ale umyślnie pozostawił je w niezmienionej pozycji. Misja była dla niego priorytetem, ale nie mógł narażać innych kierowców. Przykucnął w dole za barierką i przygotował odpowiednie narzędzie.

W myślach obliczał, ile czasu potrzebuje na ostatni etap operacji. Dał sobie piętnaście minut, co przełożył na dystans dwudziestu kilometrów. Woda spływała po nim jak z wodospadu. Zziębnięty, czekał w bezruchu na odpowiedni moment.

Gdy urządzenie wskazało magiczną liczbę dwadzieścia, wyskoczył z rowu

i pobiegł w górę zbocza, w stronę najdalszej strzałki ostrzegawczej. Torbę zostawił przy barierce. W dłoni dzierżył jedyny klucz, jaki potrzebował.

Pech chciał, że dostrzegł światła kolejnego samochodu. Znowu musiał się schować w rowie. Tym razem nie czekał, aż pojazd przejedzie. Czas działał na jego niekorzyść. Ostrożnie, noga za nogą, przemieszczał się po błotnistym podłożu. Czuł, jak do butów dostają się spore ilości wody i ostre kamyki, które zaczęły uwierać go w stopy.

Wreszcie dotarł do znaku. Gdy tylko samochód przejechał, wyskoczył na jezdnię. Przed zakrętem znajdowały się trzy znaki-strzałki, a na barierze kolejne trzy. W ciągu pięciu minut wszystkie zostały odwrócone bokiem do nadjeżdżających pojazdów, a mężczyzna, z torbą w ręce, szybkim krokiem maszerował w stronę samochodu.

Mokre ubranie kleiło się do ciała i ziębiło go, ale jeszcze nie mógł go zdjąć. Poczuł dreszcze. Natychmiast włączył silnik i ogrzewanie. Na zewnątrz było już całkowicie ciemno. Nieoświetlona droga, późna pora i przybierający na sile deszcz — wszystko działało na jego korzyść.

Z odczytu urządzenia wywnioskował, że narwany kierowca mknie w jego stronę z prędkością pomiędzy siedemdziesiąt a osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Pozostały mu minuty do spotkania.

Dodał gazu i ruszył w kierunku, w którym początkowo zmierzał. Po przejechaniu stu metrów zawrócił i zatrzymał się na prawym pasie.

Stuosiemdziesięciostopniowy zakręt, który miał przed sobą, sprawił, że drogi, pomimo sporej różnicy poziomów, biegły równoległe do siebie. Był w gorszym położeniu, bo musiał jechać pod górę i być pierwszy na zakręcie. Niczego nie mógł pozostawić przypadkowi.

Gdy pojazd nieprzyjaciela zbliżył się na odległość kilometra, wysoko, pomiędzy drzewami pokazała się delikatna, żółtawo-biała łuna.

Mężczyzna włączył pierwszy bieg i energicznie ruszył. Zgasił światła. Jechał niemalże na oślep, cały czas zerkając przez prawe ramię. W końcu na wzniesieniu pojawiły się reflektory długo wyczekiwanego pojazdu. Samochód jechał bardzo szybko — ostro zarzuciło mu tyłem na zakręcie. Kierowca toyoty musiał przyspieszyć, jeżeli chciał zdążyć na czas.

Stephen Fox z trudem opanował samochód. Pomimo licznych znaków ostrzegawczych, ustawionych co kilkaset metrów, na zdradliwej, górskiej drodze i prawie zerowej widoczności spowodowanej obfitymi opadami deszczu, praktycznie nie zdejmował nogi z gazu, nawet na zakrętach. Za

kółkiem zawsze czuł się jak kowboj w siodle. Podobnie jak jego partnerka, we krwi miał ponad półtora promila alkoholu, który dodawał mu nadmiernej pewności siebie.

Jane Fultz również lubiła ryzyko i zupełnie nie przeszkadzały jej popisy młodszego partnera. Świetnie się bawiła, kiedy samochód wpadał w poślizg, a siła bezwładności rzucała nią na lewo i prawo. Biła brawo i krzyczała z zachwytem. Sama prowokowała kierowcę do nierozsądnej, jeszcze szybszej jazdy.

— No dalej, gazu!

— Już się robi, kochanie! — Fox wdepnął pedał. Było wyjątkowo ślisko i opony, mimo że samochód jechał na trzecim biegu, rolowały dobrych kilkanaście metrów, zanim złapały przyczepność.

Wycieraczki pracowały na najwyższych obrotach, ale i tak nie nadążały. Droga, którą zjeżdżali ze wzgórza, opadała pod kątem dziewięciu stopni. Po naciśnięciu pedału gazu samochód gwałtownie przyspieszał, rozpędzając się na krótkich odcinkach nawet do stu kilometrów na godzinę.

— Co to?! — zawołała Jane, próbując przekrzyczeć zarzynany silnik.

— Gdzie?

— Tam! Chyba jakieś duże zwierzę!

— Nie wiem! Nie widzę! Chrzanić to! Najwyżej będziemy mieli kolację!
— roześmiał się Fox.

Nagle coś przed nimi rozbłysło — jakby ktoś zapalił dwa duże, mocne reflektory. Całkowicie oślepieni, przesłoniли rękami oczy.

— Cholera, nic nie widzę! — wrzasnął Fox.

— Ja też nie!

Kierowca był całkowicie zdezorientowany, ale nie miał zamiaru zwolnić. Wreszcie zerknął na drogę. Gdy zobaczył, jak jakiś szalenciec jedzie prosto na nich, odbił mocno w prawo, próbując uniknąć zderzenia. Na ramieniu poczuł ciężar partnerki, która poleciała na niego i przygniotła mu prawą nogę. Próbował zwolnić pedał gazu, ale nie był w stanie. To, co nastąpiło później, trwało niecałe dziesięć sekund.

Gwałtowny skręt kierownicą wprowadził samochód w niekontrolowany poślizg. Kierowca zdążył skontrolować, przez co ciało kobiety poleciało na drzwi. Dzięki temu uwolnił nogę, ale było już za późno na jakąkolwiek reakcję. Reflektory oświetliły metalową barierę, która pojawiła się znikąd tuż przed maską pojazdu. Stephen Fox zdążył jeszcze wcisnąć hamulec, ale na

śliskiej nawierzchni na niewiele się to zdało.

Przy prędkości grubo przekraczającej siedemdziesiąt kilometrów na godzinę, wpadli na barierę. Siła uderzenia złamała trzy z sześciu poluzowanych śrub, a metalowa osłona wygięła się, przepuszczając samochód. Połamane plastiki zderzaka, tablica rejestracyjna i elementy zniszczonych reflektorów wyprzedziły rozpedzony pojazd, którego opony straciły przyczepność z podłożem.

Metalowa bariera broniła dostępu do kilkudziesięciometrowego, stromego zbocza, które znajdowało się tuż za nią.

Samochód pokonał w powietrzu ponad dziesięć metrów, zanim natrafił na przeszkodę — było nią grube, stuletnie drzewo. Maską pojazdu została niemalże rozcięta na pół. Zarówno mężczyzna, jak i kobieta, nie mieli zapiętych pasów. Obydwoje wylecieli przez przednią szybę.

Stephen Fox nie był świadomy tego, co się z nim dalej działo. Jego głowa jako pierwsza spotkała się z szybą, rozbijając ją na drobne kawałki. Stracił przytomność, ale dzięki temu nie odczuł bólu łamiących się rąk i nóg w momencie uderzenia o podłoże. Turlał się dobrych kilkadziesiąt metrów po ostrych kamieniach. Ostatecznie zatrzymał się na drzewie, co przyczyniło się do pęknięcia czaszki.

Jane Fultz miała znacznie mniej szczęścia. Do końca tego horroru pozostała przytomna. W pierwszej kolejności zmiażdżyła bark na drzewie, o które uderzyli, a następnie upadła na kolczaste krzewy. Długie, twarde igły boleśnie pokaleczyły jej ciało. Kilkanaście poważnych rozcięć zaczęło krwawić niemalże jednocześnie. Gęste, drobne gałązki zamortyzowały uderzenie o ziemię, więc skończyło się na złamanym nadgarstku i skrzywionej nodze. Nie mogła się ruszyć. Wyła z bólu. Czuła jak słabnie. Nagle usłyszała narastający hałas. Odwróciła głowę w stronę, z którego dobiegał. Zamarła, kiedy zobaczyła szybko zbliżający się, ogromny przedmiot.

Wrak po uderzeniu w drzewo obrócił się w powietrzu i spadł na dach. Duże nachylenie i mokry grunt sprawiły, że zaczął zsuwać się ze zbocza. Kilkakrotnie podskoczył na większych głazach i zaczął nabierać prędkości. Przejechał po kobiecie, miażdżąc jej kości. Zginęła na miejscu. Nawet przez zagłuszający wszystko szum wiatru i deszczu, jeszcze długo można było słyszeć rozpedzony pojazd odbijający się od kolejnych drzew.

Kierowca toyoty zawrócił zaraz po tym, jak wypełnił swoje zadanie. Zatrzymał się w miejscu, w którym samochód wpadł w przepaść. Stał

bokiem do uszkodzonej barierki, aby zamaskować zniszczenia przed ciekawskimi przejezdnyimi. Wyskoczył z samochodu z niezbędnymi kluczami. Przez chwilę patrzył na swoje dzieło.

Wraku nie było widać, podobnie jak dwóch ciał, które spoczęły gdzieś w połowie zbocza. Przez chwilę wydawało mu się, że widzi biały fragment ubrania należącego do jednej z ofiar, ale szybko zrezygnował z ryzykownej obserwacji.

Musiał naprawić to, co zepsuł. W metalowej, powyginanej osłonie dokręcił wszystkie luźne śruby, a strzałki ostrzegawcze oraz znak odwrócił do pierwotnych pozycji. Był przemoczony, zziębnięty, brudny, wyczerpany, ale szczęśliwy — zadowolony z powodzenia operacji, którą opracowywał przed długi czas. Sam wybór odpowiedniego miejsca zajął mu ponad dwa tygodnie. Przejechał kilka tysięcy kilometrów i zarwał sporo nocy, żeby wreszcie znaleźć wymarzony zakręt.

Gdy wrócił do samochodu, zrzucił prawie całe ubranie — pozostał w samej bieliźnie. Na początek podkręcił ogrzewanie.

— A teraz do domu...

Cleveland, godz. 23:00

— Mówi Barlow. Podejrzany to były policjant, Phil Foster. Na pewno posiada broń i jest ekstremalnie niebezpieczny, więc wszystko ma się odbyć według podręcznika. Nasze zadanie polega na aresztowaniu go i postawieniu przed sądem. Najpierw spróbujemy po dobroci, ale na ogień odpowiadacie ogniem. Zrozumiano?

— Dwójka. Zrozumiałem.

— Trójka. Zrozumiałem.

Trzy terenowe, opancerzone chevrolety suburban zatrzymały się przed domem Fosterów. Z pierwszego pojazdu nikt nie wysiadł. Z pozostałych dwóch wyskoczyło po trzech uzbrojonych mężczyzn. W ciągu niecałej minuty zespoły otoczyły dom.

— Tu trójka... Jesteśmy gotowi. Na tyłach cicho i spokojnie.

— Tu dwójka... U nas podobnie. Możemy wkraczać do domu.

W pierwszym samochodzie otworzyły się drzwi. Barlow, dowodzący akcją agent FBI, spokojnie opuścił samochód. Szedł równym, wolnym krokiem w stronę domu, przyglądając się obejściu.

— Uwaga. Wkraczamy na mój znak! Trzy... Dwa... Jeden... Teraz!

W powietrzu rozległ się huk. Jednocześnie odstrzelono zamki we frontowych i tylnych drzwiach. Po dwóch agentów z każdej grupy ostrożnie weszło do środka. Pozostali czekali na zewnątrz. Po chwili padły pierwsze komunikaty.

Barlow przyłożył palec do ucha, aby lepiej słyszeć swoich podwładnych.

— Tu Dwójka... Parter zabezpieczony. W garażu stoi jeden samochód.

— Trójka, co u was?

— Piętro zabezpieczone. Nikogo tu nie ma.

— Sprawdźcie strych i piwnice. Może być wszędzie!

W kieszeni agenta odezwał się telefon.

— Barlow... — warknął dwódcą.

— Szefie, zatrzymaliśmy tę kobietę ze zdjęć — oznajmił członek czwartego zespołu, którego zadaniem było aresztowanie Beatrice Foster. — Powiedziała, że kilka dni temu wyprowadziła się z domu. Na razie nie zdradziła, dlaczego i nie wie, gdzie może być jej mąż.

— Przyciśnij ją i dowiedz się wszystkiego. Jesteś agentem FBI, a nie jakimś krawężnikiem!

— Zrozumiałem!

Barlow zakończył rozmowę. Zdecydowanym krokiem wszedł na werandę, a następnie przekroczył próg domu. Po piętnastu minutach operacja była zakończona. Członek drugiego zespołu, po sprawdzeniu piwnicy, zastał resztę kolegów i dowódcę w salonie.

— Dół sprawdzony. Ani żywej duszy! — oznajmił ze stuprocentową pewnością.

— Panowie, mamy zbiega! — zakomunikował głównodowodzący i poszedł w stronę wyjścia. Pozostali podążyli za nim. — Roześlijcie wszędzie zdjęcia. Każdy policjant, strażnik, celnik, ochroniarz i sklepikarz ma znać jego twarz. Audycje telewizyjne na wszystkich kanałach. Ustawcie blokady na drogach. Wszystkie stacje kolejowe, lotniska i dworce autobusowe mają być pod obserwacją. Facet zabił trzy osoby, w tym dwóch wysoko postawionych członków wymiaru sprawiedliwości. Nie może nam uciec...

WTOREK

— Ross! Gdzie, do cholery, jest Ross?! — wściekał się kapitan Goldwyn.

— Czy ktoś go widział?! Tylko nie mówicie, że znowu jest na strzelnicy, bo nie mam zamiaru go gonić!

— Przed chwilą widziałem, jak wchodzi do laboratorium... — oznajmił Adams. — Przy okazji... Dobrze, że pana widzę...

— Nie teraz!

— Przyszedłem tylko po nakaz.

— Poczekaj na mnie w biurze! Zaraz wrócę!

— Ale...

— Nie ma ale! Duchy mogą poczekać!

Adams zamilkł. Wiedział, że ponowne otwarcie sprawy samobójstwa byłej zakonnicy nie przypadło kapitanowi do gustu, więc nie chciał przeginać.

Arthur Goldwyn szedł długimi, zamaszystymi krokami. W ręce trzymał kartkę zwiniętą w rulon. Wszyscy usuwali mu się z drogi. Gdy był wkurzony, nikt nie chciał mieć z nim do czynienia. Z całej siły złapał za klamkę drzwi prowadzących do laboratorium. Mechanizm zaskrzypiał i w progu stanął rozwścieczony dowódca.

Młody analityk, niecały rok pracujący w wydziale zabójstw, spojrzał na przełożonego z przerażeniem. Od razu zaczął zastanawiać się, gdzie zawinił.

Ross tylko uśmiechnął się i skinął głową.

— Szefie...

— Możesz mi to wyjaśnić? — Goldwyn rzucił zwiniętą kartką w pierś detektywa. Ten spokojnie odczekał, aż papier spadnie na podłogę i nie wykonując najmniejszego ruchu, odczytał nagłówek.

— To badanie DNA, które zleciłem.

— Myślisz, że jestem głupi i nie czytam, co podpisuję?

— Chciałem poczekać na wyniki i dopiero wtedy...

— ... powiedzieć mi, że w domu Maisonów znaleźliście dwa trupy zamiast jednego?

— Dokładnie...

Goldwyn myślał, że wybuchnie. Podszedł do detektywa i pogroził mu palcem, jak małemu dziecku.

— Jeszcze raz wykręcisz mi taki numer, to pożałujesz — warknął. — Nie będę patrzył na to, ile spraw rozwiązałeś i jak cenny jesteś dla wydziału. Wylecisz na zbity pysk... Zrozumiano?!

— Tak jest...

Kapitan westchnął. Uwielbiał Rossa, ale zdarzały się momenty takie jak ten, gdy miał ochotę go po prostu wylać. Już od dawna mu się zbierało. W końcu musiał dostać burę, choćby tylko dla zasady.

— Będziesz tak stał jak kołek, czy powiesz mi, co jest grane?

— Jak zwykle miałem rację — zatriumfował detektyw, podnosząc kartkę.

— Kobieta zdecydowanie coś ukrywa, a piwnica Maisonów to mała krypta.

— A dokładniej?

— Gdy chłopcy wykopali zwłoki Lionela Moore’a, którego samochód stał przed domem, przypadkiem natknęli się na drugie ciało. Było zakopane nieco głębiej, w tym samym miejscu.

— Co? Skąd wiedzieli, że tam jest?

— W dziurze znaleźli pustą fiolkę po środku usypiającym, więc kopali dalej, szukając kolejnych śladów. Zamiast do śladów, dokopali się do następnych zwłok, a właściwie do tego, co z nich zostało.

— Chryste...

— A teraz najlepsze... Ten sam środek usypiający, który znajdował się we fiolce, wykryto także w ciele Williama Maisona...

— Wiem, że w myślach już rozwiązałeś tę sprawę, ale bądź tak dobry i podziel się resztą odkryć i wniosków, bo jak na razie, nic z tego nie rozumiem.

— Wszystko wskazuje na to, że ktoś uprowadził Maisona z jego domu. W ciele Moore’a nie znaleziono śladów anestetyku, ale za to miał niezłe poharataną nogę. Wyglądała, jakby dopadł go jakiś pies. Patolog znalazł ślady drewna w ranie i stwierdził, że powstała tuż przed śmiercią.

— Jak zginął? Wykrwawił się?

— Nie. Ktoś go udusił. Poza tym... miał złamaną nogę.

— Świeże złamanie?

— Tak. Mogło powstać tuż przed śmiercią. Prawdopodobnie nie z jego winy... To pasowałoby do reszty. Do piwnicy prowadziły stare schody, które ledwo się trzymały. Trzy z kilkunastu stopni były wymienione. Może Maison zwabił tam Moore’a pod pretekstem zwrotu pieniędzy. Szczęście było po jego stronie i facet zapadł się na spróchniałych schodach.

— A gospodarz dokończył dzieła... No dobra, ale co ta fiołka robiła przy ciele?

— Świetne pytanie! Szczególnie, że według patologa, Moore zginął w

piątek po południu, a żona zeznała, że Maison zniknął w niedzielę.

— Skąd więc fiolka obok ciała?

— Głowiłem się nad tym, aż w końcu wymyśliłem — powiedział dumnie Ross. — Maison ukrył ciało w piwnicy. Odczekał, aż rodzina wyniesie się z domu, żeby je zakopać. Jednak tym razem szczęście się od niego odwróciło. Don Corleone — szef Moore'a — po tym, jak nie miał wieści od swojego człowieka, postanowił sam odzyskać pieniądze. Gdy podjechali pod dom Maisonów, zauważyli samochód Moore'a. Wpadli do środka i zaskoczyli gospodarza, gdy ten zakopywał ciało. Uspili go, a pustą fiolkę wrzucili do dziury albo po prostu im wypadła. Było ich co najmniej dwóch.

— Skąd ta pewność?

— Jeden odjechał ich samochodem, a drugi zabrał brykę Maisona, żeby wyglądało, że facet sam opuścił dom.

— A co z ciałem? Zakopali je? To bez sensu — zauważył kapitan.

— Zgadza się. Tutaj ukłony należą się pani Maison.

— Jak to?

— Wróciła do domu i zastała bałagan. Zgłoszenie zniknięcia męża dopiero po dwóch dniach nie było przypadkowe. Nie miała pojęcia, co jest grane — brak samochodu, otwarty dom, trup w piwnicy. Myślała, że mąż zabił tego śmiecia i gdzieś zniknął. Chciała go chronić. Pomiędzy odkurzaniem i wycieraniem podłóg zakopała ciało i elegancko uprzątnęła piwnicę.

— Mamy na to jakieś dowody?

— Jej odciski palców były na łopacie.

— Może jest współwinna?

— Możliwe, ale jeżeli przedstawimy jej te dowody, myślę, że sama powie, jak było. Postąpi rozsądnie, bo zależy jej na rodzinie. Wie, że jeżeli będzie milczeć, straci dzieci.

— A co z drugim ciałem?

— Tu też niespodzianka. Badania potwierdziły, że to Steven Perry, facet, który zniknął przed laty, a którego zdjęcie znaleźliśmy przy zwłokach w starym magazynie. Wykopaliśmy także pistolet, a podczas oględzin szczątków patolog znalazł kulę. Pochodziła z zakopanej broni zarejestrowanej na Maisona. Ponad dziesięć lat temu zgłosił jej zaginięcie.

— Czyli Maison jest podwójnym mordercą...

— Na to wygląda...

— A jak wytłumaczysz te dwa zdjęcia przy ciele?

— Corleone sfotografował częściowo zakopane zwłoki Moore'a. Może na pamiątkę, a może chcieli przez to wskazać winnego.

— A skąd wiedzieli, że zabił też tego drugiego?

— I tu mnie pan ma! Nie mam zielonego pojęcia.

— Ross... Nie wierzę. Ty i brak teorii? Na pewno coś podejrzewasz. Dawaj, pókim dobry.

— Naprawdę nie wiem. To znaczy... Jeszcze nie wiem.

— No dobra... Ale tym razem, jak coś wymyślisz, to masz mi dać znać. Jasne?

— Jak słońce, szefie!

— Muszę lecieć. — Spojrzał na zegarek. — Cholera... Adams czeka na mnie w biurze. Zlinczuje mnie, jak wrócę. Już dawno miał dostać nakaz na tego cwaniaczka, Granta.

— Przy okazji... A czy ja w końcu dostanę nakaz na tego Don Corleone?

— A co ci mówiłem? Dowody... To takie przedmioty, dzięki którym możemy kogoś oskarżyć.

Ross roześmiał się.

— Nie wspomniałem, że na fiolce znaleźliśmy odcisk palca tego gangstera?

— Co?!

— Proszę mi wybaczyć... Musiałem zapomnieć.

Goldwyn zacisnął zęby. Cholerny smarkacz... Czy on zawsze musi mieć rację?

— Jutro będziesz miał go na biurku — warknął i trzasnął drzwiami.

Tymczasem Adams, oczekując przełożonego, nerwowo przebierał palcami. Jego cierpliwość była na wyczerpaniu. Tym bardziej, że od szybkości przeprowadzenia akcji mogło zależeć powodzenie operacji. Kiedy usłyszał, że wszyscy wokoło milkną, ożywił się.

— Nareszcie... — bąknął pod nosem, gdy kapitan wrócił do biura.

— Wyobrażasz sobie, że ten gnojek znalazł kolejnego trupa?!

— Arthurze — przerwał mu Adams — naprawdę nie mam na to czasu. Chętnie wysłucham tej opowieści, jak tylko przymknę Granta.

— A tak... Nakaz. Wiesz, że będzie z tego niezła afera?

— Liczę na to.

Goldwyn sięgnął po teczkę, w której trzymał najważniejsze dokumenty.

— Mam tylko nadzieję, że ta zakonnica będzie w stanie zeznawać. Masz i nie zgub, bo drugiej szansy nie dostaniesz.

— To prawda. Drugiej nie będzie...

Przełożony obrzucił detektywa dzikim spojrzeniem. Gdy ten chciał zabrać nakaz z jego ręki, nie wypuścił kartki.

— Czy ty coś przed mną ukrywasz?

Adams nie potrafił kłamać. Był prostolinijnym i szczerym człowiekiem. Nie widział potrzeby zatajania faktów.

— Zakonnica nie żyje.

— Teraz na to wpadłeś? Ja już to wiem od dwóch tygodni.

— Nie ta. Ta druga...

— Która znowu?

— Siostra Anna. Dziś rano dostałem telefon.

Goldwyn zdębiał.

— To ta sama, która miała zeznawać?

— Tak...

— Mamy przesrane!

— Nie do końca.

— Chcesz oprzeć oskarżenie na bełkocie martwej staruszki?

— Była świadoma tego, co mówiła.

— Byle adwokacina podważy jej zeznania. Na litość boską! Babka była na silnych prochach!

— Dlatego zdobędziemy inny dowód. Pójdę do Granta i powiem mu, jak sprawa wygląda. Jeżeli się nie przyzna, przeszukamy sierociniec i jego dom. Zresztą... I tak to zrobimy. Jeszcze niczego nie podejrzewa. Jeżeli nie wie, że siostra Anna zmarła, to będzie trząsł portkami ze strachu.

— Wiesz, że naginasz prawo...

— Naginać mogę. Ważne, żebym go nie złamał. W końcu robię to w słusznej sprawie.

— Nieźle... Po Rossie mógłbym się tego spodziewać, ale po tobie...

— Uznam to za komplement. — Adams z uśmiechem na twarzy wyszarpnął dokument z ręki kapitana.

Gdy pod sierociniec podjechały dwa radiowozy, gromadka dzieci bawiąca

się na ganku, w jednej chwili ucichła. Grały w berka, ganiając po błotnistym podwórzu i niemalże wszystkie zastygły w miejscach, w których stały. Siostra-opiekunka przywołała je do siebie. Na jej twarzy prezentowała się mieszanka zdziwienia i przerażenia.

— Chodźcie tutaj. Odsuńcie się.

— Kto to?! — zapytał głośno jeden z malców, ciągnąc zakonnice za habit.

— To panowie z policji.

— Fajnie! — zachwycił się inny. — A mają broń?

— Oczywiście... Przecież to policja — wyjaśniła łagodnie siostra.

— Super!

Mały szkrab podbiegł do oficera idącego przodem.

— Mogę zobaczyć pana pistolet?!

— Robercie, wracaj tu — zganiła go opiekunka.

— Może później, chłopcze. — Policjant przyklęknął. — Teraz musimy porozmawiać z panem Grantem.

— Zrobił coś złego? Chcecie zamknąć go do więzienia?

— Nie. Chcemy... zadać mu tylko kilka pytań. Sostro!

Kobieta podeszła, rozkazawszy dzieciom pozostać w bezpiecznej odległości.

— Robercie, wracaj do kolegów! — powiedziała ostro do chłopca. Ten, z uśmiechem na twarzy, podskakując, pobiegł w kierunku rówieśników. — Przepraszam, ale nie rozumiem. Coś się stało?

Na czoło grupy wysunął się Adams. Kobieta w pierwszej chwili nie zauważyła go. Stał skryty za roslymi policjantami. Przypomniała sobie. To z nim rozmawiała jakiś czas temu o siostrze Donie.

— Detektywie?

— Witam. Przepraszamy za to najście, ale — ściszył głos, aby nie niepokoić dzieci — mamy nakaz aresztowania Carla Granta.

— Co? Dlaczego? — Zakonnica pobladła.

— Przykro mi, ale na razie tylko tyle mogę powiedzieć. Proszę zabrać dzieci do środka. Nie chcemy wprowadzać niepotrzebnej paniki.

— Dobrze.

— Czy Carl Grant jest u siebie?

— Nie widziałam, żeby gdzieś wychodził. Powinien być w gabinecie.

— Czy w środku są jeszcze jakieś inne osoby?

— Oczywiście. Ponad czterdzieścioro dzieci siedzi w świetlicy i ogląda film. Są pod opieką sióstr Marii i Bernadety.

— Proszę po cichu poinformować opiekunki, co się dzieje. Niech wszyscy zbiorą się w świetlicy i tam pozostaną. Mamy również nakaz przeszukania budynku, więc obecność kogokolwiek w innych pomieszczeniach jest niewskazana. Poza tym... nie widzę powodu, aby niepokoić Bogu ducha winne dzieci.

— Rozumiem i... dziękuję. Proszę dać nam dziesięć minut.

— Oczywiście.

Adams zerknął w stronę okna, w którym podczas swojej pierwszej wizyty w sierocińcu zobaczył poruszającą się firankę. Był bardziej podekscytowany niż dzieci na widok policjantów. Nie mógł się doczekać, kiedy spojrzy dyrektorowi prosto w oczy.

Carl Grant od samego początku obserwował poczynania policjantów. Zdziwiła go obecność aż czterech funkcjonariuszy. Ich wizyta była dla niego sporym zaskoczeniem. W pierwszej chwili pomyślał o ucieczce, ale zaraz potem uświadomił sobie, że nie mogą mieć na niego nic, co w jakikolwiek sposób obciążałoby go w sprawie śmierci Dony Jonson. Nie miał się czego bać, a jednocześnie czuł ogarniający go niepokój. Na czole pojawiły się krople potu. Usiadł w fotelu i próbując stworzyć pozory normalności, zaczął przekładać papiery z jednego miejsca na drugie.

Po dziesięciu minutach usłyszał szmery rozmów dochodzące z korytarza i zbliżające się pewne, męskie kroki. Serce zaczęło mu mocniej bić. Wytarł twarz chusteczką i przygotował się na małe przedstawienie. Pukanie było tylko formalnością. Adams wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Wcześniej poprosił kolegów, aby dali mu trochę czasu sam na sam z dyrektorem.

— Witam, panie Grant. Jest pan aresztowany — zaczął pewnie detektyw. Spokojnie wyrecytował oklepaną formułkę dotyczącą praw zatrzymanego. Na koniec poprosił o powstanie i odwrócenie się w celu założenia kajdanek.

— Chwila, moment! Co się dzieje?! Przecież nie zabiłem tej kobiety! — W pierwszej chwili Grant uznał to za zwyczajne nieporozumienie i stał się nad wyraz pewny siebie.

— Wszystko wyjaśnimy panu na komisariacie.

— Nigdzie nie pojedę dopóki nie powie mi pan, o co tutaj chodzi! Za

prawie pół wieku pracy nad wychowaniem tych bachorów należy mi się jakiś szacunek! — Uderzył pięścią w stół, aby dobitniej okazać swoje niezadowolenie.

Adams zastanowił się chwilę.

— Dobrze... Chociaż niechętnie się na to zgadzam. W takim razie, zgodnie z regulaminem, będę musiał nagrać dalszą rozmowę. — Oczywiście nie istniał taki zapis w żadnym kodeksie, ale Grant nie mógł tego wiedzieć.

— A nagrywaj pan sobie. Jestem niewinny i tyle mam do powiedzenia.

Adams spokojnie włączył dyktafon i położył go na biurku.

— Możemy usiąść? — zaproponował spocony dyrektor.

— Dobrze. — Doświadczony detektyw liczył na taki rozwój wydarzeń. Wszystko szło jak po maśle. Był przygotowany. Wyciągnął drugi dyktafon. — Mam tutaj zeznanie, które złożyła siostra Anna, klaryska. Pracowała w pana sierocińcu w tym samym czasie, co Dona Jonson i dwie pozostałe siostry, które rzekomo niesłusznie oskarżyły pana o molestowanie i psychiczne oraz fizyczne znęcanie się nad nimi.

— Jeżeli mnie pamięć nie myli, to ten temat już przerabialiśmy.

— Proszę cierpliwie wysłuchać nagrania. Będzie to tylko fragment przesłuchania, ale wierzę, że najbardziej dobitny. Komentarze proszę zachować dla siebie.

— *Siostro... Co tam się wydarzyło?*

— *Wszystkie powinnyśmy się smażyć w piekle!*

— *Proszę mi opowiedzieć...*

— *Dyrektor... To on był wszystkiemu winien. Groził nam, ale ja już się nie boję. Milczałam, bo wierzyłam, że tak trzeba... że tak będzie lepiej. Choroba boleśnie uświadomiła mi, jak bardzo się myliłam. Te dwie zakonnice, o których pan wspomniał, detektywie... One pierwsze nie wytrzymały. Chciały zareagować i przerwać to szaleństwo, ale podważono ich wiarygodność. W końcu, zrezygnowane, szykanowane, podjęły taką, a nie inną decyzję.*

— To zeznanie o niczym nie świadczy! — wtrącił Grant, któremu coraz trudniej było złapać oddech. — Nie zabiłem tych kobiet!

— Będzie pan uprzejmy nie przerywać...

— *...podśluchałam rozmowę w celi jednej z nich. Były zdesperowane i nie widziały innego wyjścia... Zabiły się. Przejrzyjcie wasze kartoteki. Pamiętam*

to jak dziś, kiedy w sierocińcu pojawił się policjant i obwieścił tę tragedię. Wszyscy byliśmy zdruzgotani. Wszyscy, za wyjątkiem tego diabła!

— *Dyrektora Granta?*

— *Tak. Wcześniej mu się upiekło, a teraz był już pewien, że nic mu nie grozi.*

— *Czy on... krzywdził tych chłopców?*

— *Sęk w tym, że nie bezpośrednio. Dlatego podważono historię jego oskarżycielek. On tylko patrzył i nagrywał tak zwane badania, które na jego rozkaz były przeprowadzane przez siostry zakonne. Ale proszę ich nie winić! Gdy się sprzeciwiały, bił je, znęcał się nad nimi i Bóg wie, co jeszcze.*

Grant pobladał jak ściana. Coraz głębiej zapadał się w fotel. Nie słuchał już nagrania. Myślał, jak wybrnąć z beznadziejnej sytuacji.

Adams zauważył to i nacisnął pauzę.

— Po pana minie wnioskuje, że dalszej części nagrania nie muszę przedstawiać.

Dyrektor milczał. Spojrzał wilkiem na małego, niepozornego człowieczka, który właśnie wywrócił jego życie do góry nogami. Odwrócił głowę w stronę okna. To mógł być ostatni dzień, w którym dane mu było podziwiać zewnętrzny świat przez okno bez krat.

— To stara kobieta — próbował się ratować. — Zakładam, że ma koło siedemdziesiątki. Adwokaci bez trudu podważą jej wiarygodność.

— Ale nie zrobią tego w przypadku Oskara Browna.

— A kim on, do cholery, jest?

— Jego dawne nazwisko to Grey. To jeden z chłopców, którzy byli *badani* przez Donę Jonson na pana polecenie. Pozostałych kilkunastu wychowanków, których właśnie lokalizujemy, równie chętnie podzieli się wspomnieniami na sali sądowej.

Grant złapał się za głowę. Prawie nie umiał oddychać. Wyciągnął z szuflady lek — aerozol rozszerzający oskrzela — i zaaplikował sobie dwie dawki.

— Jak do tej pory zeznania dwojga osób brzmią dość jednoznacznie. Domyślam się, że pozostali...

— Ale... Ja tylko robiłem zdjęcia i kręciłem filmy — pękł. — To one ich dotykały.

— Ale to pan je do tego zmuszał, groził im, zastraszał je. Przez pana trzy

kobiety popełniły samobójstwo!

— To tylko słowa zgrzybiałej staruchy! Przysięgam na Boga, że nie dotknąłem żadnego dziecka!

Nastała chwila ciszy. Adams musiał to dobrze rozegrać. Dowody wcale nie były aż tak jednoznaczne, a nagranie rozmowy ze zmarłą, starą, schorowaną osobą biorącą narkotyczne leki przeciwbólowe było słabym dowodem, jeżeli w ogóle zostałyby dopuszczone w sprawie. Oskar Brown był psychicznie rozbity, a większości dawnych wychowanków do tej pory nie zidentyfikowano i nie zlokalizowano. Tych, do których udało się dotrzeć, jeszcze nie przesłuchano. Trzech z nich od razu odmówiło jakiegokolwiek współpracy. Powodzenie sprawy zależało od kilku następnych minut.

Detektyw wyłączył drugi dyktafon.

Grant podniósł wzrok. Zapaliła się w nim iskierka nadziei.

— Jest pan winny, to nie ulega wątpliwości — zaczął Adams. — Jednakże, gdybym chciał pana aresztować, już dawno bym to zrobił. Mimo wszystko, szanuję pana za to, że dał pan tym wszystkim dzieciom dom, nadzieję i opiekę. Bez takich miejsc jak to, nie miałyby szans.

— Zgadza się... — podchwycił Grant.

— Musi pan ponieść konsekwencje, ale...

— Tak?

— Postanowiłem dać panu szansę. Może pan wybrać pomiędzy dwiema opcjami.

— Słucham...

— Pierwsza zakłada aresztowanie pod zarzutem wielokrotnych gwałtów, pedofilii, rozpowszechniania dziecięcej pornografii, fizycznego i psychicznego znęcania się nad pracownikami sierocińca oraz wszystkimi innymi, jakie prokurator jeszcze wykopie. W skrócie... Dożywocie albo podwójne dożywocie.

Grant załamał się.

— A... druga opcja? — zapytał łamiącym się głosem.

— Dam panu szansę przyznania się do winy. Pojedzie pan z nami na posterunek jako praworządny obywatel i złoży oświadczenie. Opowie o wszystkim, co działo się w sierocińcu. Powie nam pan, gdzie znajdują się zdjęcia i nagrania. Proces nie będzie przyjemny, ale biorąc pod uwagę skruchę oraz samodzielne przyznanie się do winy, kara będzie dużo

łagodniejsza.

— I w najlepszym wypadku wyjdę na wolność w wieku osiemdziesięciu lat...

— Tak jak powiedziałem. Tylko na takie ustępstwo mogę pójść.

— To ja chyba podziękuję. — Grant wyciągnął z szuflady rewolwer i przystawił go sobie do głowy.

— Nie! Proszę nie... — Adams zerwał się z krzesła, chcąc wyrwać dyrektorowi broń.

Padł strzał. Kula wyłamała kawałek czaszki i krew wraz z drobnymi fragmentami mózgu obryzgała ścianę oraz drewniane drzwiczki starej biblioteczki. Otyły mężczyzna opadł na lewy podłokietnik fotela. Swoją masą przeważył go i razem z meblem runął na podłogę.

Do gabinetu wpadli zdezorientowani policjanci.

— Szefie?! Jest pan cały?! Wszystko w porządku?!

Niewzruszony detektyw siedział na krześle. Był zaskoczony posunięciem przeciwnika, ale nie krył zadowolenia z przebiegu przesłuchania. Spokojnie wstał i poprawił koszulę.

— Wszystko w porządku... A przynajmniej ze mną.

— Co tu się stało?!

— Nie wytrzymał... Nie zaprzeczył żadnym zarzutom. Był winny, a swoim posunięciem tylko to potwierdził. Winni często nie wytrzymują. Dałem mu szansę, ale wybrał inne rozwiązanie.

— I co teraz?

— Posprzątam, a oni znajdą sobie nowego dyrektora. Wezwijcie, kogo trzeba. Ja jadę do domu...

ŚRODA

David Ross jechał na północ w kierunku South-Collinwood. Choć *jechał* to za dużo powiedziane. Wybrał drogę przez miasto i szybko tego pożałował. Międzystanowa byłaby tego dnia znacznie lepszym rozwiązaniem.

Prawie zawsze przejezdna St. Claire Ave. tym razem okazała się drogą przez piekło. Detektyw nie wiedział, co spowodowało gigantyczny korek, ale miał już tego dość — pół godziny poruszania się w tempie poniżej pięciu kilometrów na godzinę.

Ulewne deszcze i burze przyniosły kilkustopniowe ochłodzenie i temperatury nie były już tak wysokie, jak jeszcze przed kilkoma dniami, ale za to higrometry szalały. Wilgotność była tak duża, że każdy chodził z plamami na koszuli. Ross wyrzucał sobie, że nie odstawił samochodu do warsztatu. Od tygodnia jeździł z niesprawną klimatyzacją. Tego dnia przyszło mu za to słono zapłacić. Na przejażdżkę po pracy wybrał się swoim samochodem, bo nie chciało mu się wracać na komisariat.

W myślach przeklinał szefa, który zlecił mu to niecodzienne zadanie. Miał pojechać do rodziców Stevena Perry'ego i oznajmić im, że nierozwiązana sprawa sprzed kilkunastu lat wreszcie znalazła zakończenie.

Rzadko udawało się zamknąć tak stare dochodzenie, więc była to nie lada gratka, którą Goldwyn nie omieszkiał pochwalić się, komu tylko było można.

Ross wiedział, że jedzie tam za karę — za lekceważenie przełożonego. Gdyby domyślał się, co go spotka, trzasnąłby drzwiami gabinetu szefa jeszcze mocniej, niż to uczynił godzinę wcześniej. Ze złością podkręcił radio.

— ... *prosimy omijać St. Claire Ave* — poinformowała korespondentka terenowa.

— No co ty... — bąknął.

— ...*zderzenia siedmiu samochodów. Nasz powietrzny patrol donosi, że dwa z nich stanęły w płomieniach. Strażacy uporali się już z ogniem, ale usuwanie pozostałości po tragicznej kolizji może potrwać jeszcze kilka godzin.*

— Świetnie... Po prostu świetnie! — Wyłączył radio.

Wreszcie usłyszał coś, co przywróciło w nim nadzieję. Z radością przyjął komunikat nawigacji, że został mu niecały kilometr do celu. Chociaż w tych warunkach mogło to oznaczać nawet dwadzieścia minut, zawsze było to jakieś pocieszenie.

Gdy był niecałe pięćset metrów od punktu docelowego, a trzysta od zjazdu z głównej drogi, samochód przed nim przyspieszył.

— Daj spokój... Nie musiałeś... Po co tak się spieszyć? Przecież prawie dotarłem do celu. — Pokręcił głową z niedowierzaniem.

Z naprzeciwka jechały dwa wozy straży pożarnej, a za nimi sznurek aut. Służby udrożniły drugi pas. Do tej pory ruch odbywał się wahadłowo. Ross włączył kierunkowskaz i zjechał na prawy pas. Pięćdziesiąt metrów dalej skręcił w prostopadłą, boczną uliczkę. Po raz pierwszy od dłuższego czasu udało mu się włączyć trzeci bieg. Czwartego już nie zdążył.

— *Dotarłeś do celu* — odezwała się nawigacja.

Detektyw z całej siły nacisnął hamulec. ABS zareagował, nie pozwalając kołom wpaść w poślizg. Gdy wysiadł, był w opłakanym stanie. Ubranie kleiło mu się do ciała. Koszula całkowicie zmieniła kolor. Chciał szybko załatwić sprawę i wracać do domu.

Kiedy otworzono mu drzwi, poczuł powiew zimnego, suchego powietrza. Klimatyzacja w domu działała na pełnych obrotach. W progu stanęła uśmiechnięta, sześćdziesięcioletnia kobieta. Zupełnie nie wyglądała na swój wiek. Zadbana, z dyskretnym makijażem, modnie ubrana i ze starannie ułożonymi włosami prezentowała się znakomicie. Spokojnie można by jej odjąć dziesięć, a nawet piętnaście lat.

— Słucham pana...

— Dzień dobry. Nazywam się David Ross. Czy państwo Perry?

— Tak. W czym mogę pomóc?

— Pracuję w wydziale zabójstw w Cleveland i mam dla państwa wiadomość.

Gospodyni posmutniała. Już kiedyś złożono jej podobną wizytę. Niejedną zresztą.

— W takim razie proszę wejść.

Ross z ulgą przyjął zaproszenie. Nie miał nic przeciwko, jeżeli chodziło o stanie w przeciągu, ale opcja klimatyzowanego pomieszczenia była jeszcze lepsza. Wreszcie jakaś nagroda za prawie godzinny trud, pomyślał.

— Proszę usiąść, zawołam męża. — Wskazała na sofę w salonie. — Henry! Zejdz, mamy gościa. Przyjechał pan z policji i chciałby z nami porozmawiać.

— Zaraz przyjdę!

— Gdy raz zacznie, nie można go od tego oderwać.

— Przepraszam, ale nie rozumiem...

— Składa modele statków. Po stracie syna nie potrafił znaleźć sobie miejsca i zajął się tym. Oj, proszę mi wybaczyć... Głuptaska ze mnie. Przecież pan nie w temacie.

— Wręcz przeciwnie — podchwycił Ross. Był wdzięczny opatrności, że nie musiał sięgać po utartą formułkę. Mógł od razu przejść do sedna.

Kobieta spojrzała na niego, jakby miała usłyszeć kolejną, przerażającą prawdę.

— Tak się składa, że przychodzę właśnie w sprawie zniknięcia państwa syna, Stevena, do którego doszło przed jedenastoma laty.

— Mój Boże! Proszę mi nie mówić, że... — Zamarła, łapiąc się za klatkę piersiową.

— Niestety... Państwa syn nie żyje. Znaleźliśmy jego ciało.

Gospodyni spuściła wzrok. Już dawno pogodziła się ze stratą dziecka, ale mimo wszystko jej nadzieja znowu na chwilę odżyła. W tym samym czasie na schodach rozległy się kroki.

Henry Perry miał skwaszoną minę. Nie lubił, gdy ktoś przerywa mu ulubione zajęcie. Co więcej, od dłuższego czasu słowo *POLICJA* wywoływało u niego irytację. Dwa lata bolesnego życia w niepewności i ponad dziewięć osławiania się z myślą, że już nigdy nie usłyszy imienia swojego syna w innym kontekście niż *zaginiony*.

— Witam pana — zaczął oschle surowym tonem. — Widzę, że już się pan rozgościł.

— Henry! — skarciła go żona.

— Proszę... — powstrzymał ją detektyw. — Nic nie szkodzi. Rozumiem pana... państwa niechęć do wymiaru sprawiedliwości, ale mam nadzieję, że moja wizyta choć trochę ją złagodzi.

— A to niby w jaki sposób? — zapytał wrogo gospodarz.

— Znaleźliśmy ciało państwa syna.

Mężczyzna w jednej chwili złagodniał. Usiadł i wbił wzrok w gościa.

— Znaleźliście Stevena?

Do oczu rodziców napłynęły łzy.

— Tak.

— Po tylu latach? — zdziwił się ojciec. — Skąd wiecie, że...

— Zrobiliśmy testy DNA.

Nastała chwila ciszy. Zasmuceni rodzice objęli się.

— Możemy dowiedzieć się, jak zginął? — zapytała matka.

— Jego ciało zostało przypadkowe odkryte, gdy nasz wydział pracował nad inną sprawą. — Ross starał się mówić dyplomatycznie, ale w oczach strapionych rodziców dostrzegł, że nie obejdzie się bez dokładnych wyjaśnień.

— Detektywie... Już dawno pogodziliśmy się ze stratą dziecka. Teraz chcemy tylko wiedzieć, co się stało, że Bóg postanowił zabrać go z tego

świata.

Henry Perry pokręcił głową. Od ponad dziesięciu lat, w przeciwieństwie do swojej żony, nie chodził do kościoła.

— Państwa syn został zastrzelony przez człowieka, któremu pożyczył sporą ilość pieniędzy.

— Mój Boże!

— Do cholery! Przestań już mieszać Boga w to, co spotkało naszego syna! — wrzasnął przygnębiony ojciec. — To nie Bóg go zastrzelił!

Kobieta zanosła się płaczem.

— Detektywie, proszę kontynuować.

— Nie wiem, czy to dobry pomysł...

— Chcemy to usłyszeć. Za te lata życia w niepewności należy nam się prawda.

— No dobrze... Zabójca zakopał ciało państwa syna w piwnicy swojego domu.

— Chory sukinsyn!

— Po jedenastu latach sytuacja powtórzyła się. Morderca znowu zabił i chciał ponownie wykorzystać to samo miejsce, aby ukryć zwłoki.

— Ale tym razem dorwaliście go.

— Przy odrobinie szczęścia.

— Chcę poznać jego nazwisko.

— To William Maison.

Kobieta otarła łzy i spojrzała na gościa.

— A to łajdacy! Pamiętam, jakby to było wczoraj. — Mężczyzna uderzył pięścią w stół. — Po zniknięciu Stevena odwiedziliśmy każdy dom w okolicy. Maisonowie też byli na naszej liście. Te zakłamate świnie ze stoickim spokojem oznajmiły, że go nie widziały, a tymczasem nasz martwy syn leżał zakopany w ich piwnicy.

— Nie wiem, co powiedzieć.

— Ważne, że znam nazwisko.

— Rozumiem pana złość, ale sprawiedliwości już stało się zadość.

— To znaczy?

— William Maison został zastrzelony przez innego gangstera.

— Chwała, o Wielki! — krzyknął usatysfakcjonowany ojciec. — Może

jednak Bóg istnieje! — zwrócił się do żony.

Ross chwilę milczał. Kusiło go, żeby dodać kilka pikantnych szczegółów, które zostały ukryte przed opinią publiczną. Było to niezgodne z regulaminem, ale polubił tych ludzi. Chciał im ulżyć. Zresztą... Przecież mnie za to nie wywalą, pomyślał.

— Wiem, że to niewielkie pocieszenie, ale gdy znaleźliśmy zabójcę państwa syna, jego ciało wyglądał jak szwajcarski ser. Ktoś wpakował w niego cały magazynek.

— I bardzo dobrze! Oby się wykrwawiał jak najdłużej!

— Myślę, że to wszystko, co miałem państwu do powiedzenia. Proszę wybaczyć, ale muszę wracać na komisariat. — Ross skłamał, ale w dobrej wierze.

— Dziękujemy, detektywie. Nareszcie możemy na dobre pochować naszego syna — powiedziała zapłakana matka.

— A co z facetem, który zabił Maisona? Wiecie, kto to?

— Tak. To przestępca i wielokrotny morderca. Jak tylko go dorwiemy, postawimy mu odpowiednie zarzuty.

— No cóż... Szkoda. Chciałbym mu podziękować, ale jeżeli to nie jedyny zły uczynek, którego się dopuścił, to niech go piekło pochłonie razem z Maisonem. A co z żoną tego mordercy?

— Zatrzymaliśmy ją. Z pewnością zostaną przedstawione jej zarzuty o współudział i ukrywanie mordercy, a kto wie, co prokurator jeszcze wymyśli.

— Jeszcze raz dziękujemy! — powiedziała na odchodne kobieta. Pierwszy raz od czasu rozpoczęcia pracy w wydziale zabójstw Ross poczuł ulgę po spotkaniu z rodziną ofiary. Czuł się znakomicie i nawet przejażdżka samochodem bez klimatyzacji nie była w stanie zepsuć mu pozytywnego nastroju, jaki go ogarnął.

CZWARTEK

— Tam! To czerwone ferrari! To jego samochód. Zatrzymaj się tak, żeby go zablokować — poinstruował kierowcę Ross. Wyskoczył z wciąż jadącego radiowozu. Na drodze stanął mu parkingowy.

— Proszę pana, tutaj nie wolno się zatrzymywać. Jeżeli...

Zdeterminowany detektyw wyciągnął legitymację i pomachał nią przed oczami pracownika restauracji.

— Jesteśmy z policji. Zrób sobie przysługę i weź wolne, póki jest jeszcze ktoś, kto może je podpisać.

Chłopak został bez słowa. Trzej inni funkcjonariusze z drugiego radiowozu, który zatrzymał się nieco dalej, dogonili Rossa.

— Za mną!

Wbiegli po schodach. Za drzwiami wejściowymi przywitała ich lekko zmieszana kobieta.

— Witam panów. Rozumiem, że mają panowie rezerwację...

— W nieco innej formie niż pozostali, ale tak. — Dowódca grupy wyciągnął odznakę.

— Przepraszam, ale nie rozumiem. — Rozłożyła ręce i pokręciła głową.

— Przyszliśmy do pani szefa. Widzę, że jego samochód stoi przed restauracją, więc zakładam, że go zastaliśmy.

— Tak... Pan Bersani jest u siebie. Poinformuję go, że panowie przyszli. — Złapała za telefon, ale Ross był szybszy. Zatrzymał ją.

— Proszę wskazać nam jego biuro. Sami potrafimy się przedstawić.

— Pan Bersani bardzo nie lubi niezapowiedzianych gości.

— A my nie lubimy pana Bersaniego. Zresztą... Biorąc pod uwagę cel naszej wizyty, to i tak by nas nie polubił.

— Ale...

— Posłuchaj, damulko... Jeżeli nie chcesz zostać aresztowana za ukrywanie przestępcy i utrudnianie śledztwa, to odłóż ten telefon i zaprowadź nas do niego — rozkazał ostro.

— No... Dobrze... Proszę za mną. Kyle, zastąp mnie. — Roztrzęsiona kobieta zwróciła się do praktykanta, który stał obok i dopiero uczył się zawodu. Wystraszona i jednocześnie poirytowana, ruszyła przodem.

Z ogromnej sali dla gości dobiegał szmer rozmów i odgłosy sztućców delikatnie uderzających o talerze. Wszystkie stoliki były zajęte. Siedzieli przy nich wyprostowani mężczyźni w garniturach i eleganckie kobiety mające na sobie kreacje włoskich projektantów. Dla większości z nich pobyt tutaj stał się nieodłącznym elementem codziennego życia. Majętni obywatele Cleveland, ubóstwiający włoską kuchnię, chętnie wracali do miejsca, w którym mogli poczuć się jak w domu.

Tuż przed szerokim wejściem prowadzącym na główną salę, policjanci prowadzeni przez pracownicę skręcili w drzwi z napisem *Tylko dla*

personelu. Kobieta błyskawicznie przesunęła kartę przez czytnik i dioda w zamku na kilka sekund zmieniła się z czerwonej na zieloną.

— Na wszelki wypadek niech jeden z was tu zostanie. Może próbować zwać — zauważył Ross.

Ruszyli dalej. Szli korytarzem bez okien. Małe lampy typu LED wmontowane w sufit, oświetlały punktowo ciemnobrązową, drewnianą podłogę. Jasnobrązowe ściany były całkowicie puste. Ascetyzm tego miejsca przypominał drogę do celi śmierci. Ross miał wrażenie, że okrążają restaurację. Za zakrętem pokonali kilkanaście schodków i dotarli do kolejnych drzwi. Kobieta ponownie użyła karty.

Następny korytarz był całkowitą przeciwnością poprzedniego. Lewa ściana, od podłogi aż po sufit, została zastąpiona lustrem weneckim, przez które można było obserwować niemalże całą salę restauracyjną, wypełnioną po brzegi dystygowanymi gośćmi.

Po prawej wisiało kilka obrazów. Przedstawiały martwą naturę — głównie owoce i kwiaty. Były delikatnie podświetlone od góry, co nadawało im wyjątkowego wyrazu. Ross zauważył, że są sygnowane nazwiskiem właściciela.

— Czy te obrazy namalował pan Bersani?

— Tak. To jego hobby. Te prace stworzył niedawno. Są pierwszymi, które postanowił pokazać.

Szkoda, że ostatnimi, pomyślał Ross.

— Czy to jego biuro? — Wskazał na masywne, rzeźbione, dwuskrzydłowe, drewniane drzwi, zdecydowanie odróżniające się od pozostałych — wyglądały, jakby prowadziły do sali tronowej średniowiecznego władcy.

— Tak. Proszę zaczekać. Zapowiem panów.

— Dziękuję, ale poradzimy sobie. Nie przyszliśmy tu w gości.

Trzej funkcjonariusze policji bez zapowiedzi weszli do przestronnego pomieszczenia. Kobieta pozostała na zewnątrz.

Biuro było urządzone jak salon w rodzinnym domu. Po prawej znajdował się kominek. Nieco dalej stał olbrzymi telewizor, a przed nim — kanapa. W kilku miejscach ustawiono prostokątne, metrowe kolumny z białego marmuru, na których widniały bliżej nieokreślone, metalowe twory mające prawdopodobnie służyć jako ozdoby. Przy lewej ścianie stały trzy olbrzymie regały z książkami. Na końcu, pod dużym oknem w kształcie wachlarza,

ustawiono potężne, dębowe biurko. Za nim widniał majestatyczny, skórzany fotel.

Bersani stał tuż przy oknie. Oparty plecami o ścianę, z rękami w kieszeniach, czekał na nieproszonych gości. Od początku wiedział o ich obecności w budynku. Dobrze opłacany parkingowy był jego oczami na ulicy.

— Pan Bruno Bersani?

— Tak, panie władzo. Jak mogę pomóc? — odpowiedział sarkastycznie Don Corleone.

— Mamy nakaz aresztowania pana pod zarzutem zabójstwa Williama Maisona.

Właściciel restauracji ściągnął brwi.

— Nie rozumiem... Nie znam tego człowieka. — Podszedł do biurka i opierając się o blat, ukradkiem nacisnął bezgłośny alarm.

— Będzie pan miał szansę zrozumieć na komisariacie. Czy zna pan swoje prawa?

— Znam.

— W takim razie proszę się odwrócić twarzą do ściany.

Ross miał dziwne wrażenie, że idzie im zbyt łatwo. Sięgnął po kajdanki. Gdy zbliżył się na odległość trzech metrów, do apartamentu wpadli dwaj uzbrojeni ochroniarze. Wycelowali w policjantów, którzy również wyciągnęli pistolety.

— Rzućcie broń albo skończycie w plastikowych workach — zawołał rosły bodyguard w czarnym garniturze.

— Policja! Twarzą do ziemi! — wrzasnął funkcjonariusz, pokazując odznakę.

Dwaj muskularni mężczyźni spojrzeli po sobie. Nie wiedzieli, jak zareagować.

— Powtarzam! Na ziemię!

Widząc odznaki przeciwników, opuścili broń. Przykucnęli i ułożyli się na posadzce z rękami za głową.

Ross usłyszał coś za plecami. Odwrócił się, aby wreszcie zakończyć ten cyrk. Ku jego zdziwieniu, Bersaniego nie było już przy biurku, przy którym wcześniej stał. Co więcej... Nigdzie go nie było.

Gdzie on się podział?! Pieprzony Houdini! Detektyw zauważył, że

środkowy regał z książkami jest jedną stroną odsunięty od ściany. Szybko podbiegł do niego.

— Skurwiel zwiął ukrytym przejściem, ale nie może być daleko! — zawołał do kolegów pilnujących ochroniarzy. — Przestańcie już niańczyć tych lalusiów! Obstawcie wszystkie wyjścia i wezwijcie posiłki! Nie może nam się wymknąć!

Ross szarpnął za regał i nieużywane zawiasy cicho zaskrzypiały. Ze środka zaczęło wylatywać chłodne powietrze, porywając ze sobą delikatne, szare nitki. Nie cierpię pajaków, przypomniał sobie i wyciągnął latarkę.

Nieoświetlone przejście wyglądało jak korytarz w kopalni. Musiał biec pochylony, żeby nie zahaczyć głową o niskie sklepienie. Co chwilę jego twarz muskały pajęczyny. W powietrzu czuł drobinki pyłu wzniesione przez uciekającego przeciwnika.

Do jego uszu dotarło echo kroków — zbieg był niedaleko. Światło latarki padło na ścianę, do której szybko się zbliżał. Skręcił. Po chwili minął kolejny zakręt, a za nim następny. Nie chcąc zwalniać, łokciami niemalże odbijał się od ścian wąskiego korytarza.

Nagle usłyszał głośny huk i zobaczył rozbłysk. Instynktownie przykucnął. Kula przeleciała tuż nad jego głową. Gdyby się nie schylił, utkwiliby w jamie brzusznej. Domyślił się, że to nie koniec. Zgasił latarkę, padł na ziemię i rękami zasłonił głowę. Wtedy Don Corleone wypuścił na oślep całą serię.

Trzy pociski przeleciały wysoko — w bezpiecznej odległości od detektywa. Czwarty został skierowany znacznie niżej. Kula przeorała podłogę, obsypując twarz Rossa szarym pyłem i drobnymi, twardymi grudkami. Poczul w ustach smak betonu. W oddali zobaczył światło. Ktoś otworzył i zaraz potem zamknął drzwi.

Podniósł się, wypluł gorzką ślinę i pobiegł dalej. Analizował różne scenariusze dalszego rozwoju wydarzeń. Najbardziej obawiał się zasadzki. Domyślił się, że gdy otworzy drzwi gangster będzie czekał na niego i wpakuje mu kulę. Postanowił zmienić taktykę. Przyspieszył. Biegł niczym sprinter, próbujący pobić rekord świata na sto metrów. Przeszkoda zbliżała się nieubłaganie. Gdy był niecałe dwa metry od niej, ustawił ciało bokiem i z całej siły grzmotnął barkiem w drzwi. Poczul nieznośny ból.

Wyrwał zamek i wpadł w jasną, oświetloną przestrzeń. Zmrużył oczy, które przyzwyczyły się do ciemności. Poczul coś miękkiego — wpadł na kogoś. Usłyszał krzyk kobiety, która — podobnie jak on — straciła

równowagę. Była to kelnerka niosąca dwa talerze ze świeżo przygotowanymi potrawami.

Oboje runęli na załadowany po brzegi talerzami i sztućcami metalowy wózek, który uderzył o ścianę. Kilkadziesiąt talerzy i tyle samo łyżek, noży i widelców poleciało na ziemię. Rozległ się ogłuszający trzask. Wszyscy pracownicy podskoczyli jak oparzeni.

Ross wraz z kelnerką wylądowali na płytkach. Wzrok detektywa szybko przyzwyczaił się do zmiany otoczenia. Zobaczył pochylających się nad nimi mężczyzn. Mieli włoskie rysy twarzy i karnację zdecydowanie ciemniejszą od rodowitych Amerykanów. Gdy postawili kobietę na nogi, pomogli także jemu. Poczł dotkliwy ból, gdy jeden z mężczyzn złapał go za prawe ramię.

— Wszystko w porządku?! — zapytał kucharz z włoskim akcentem.

— Tak... — Ross otrząpał się z resztek makaronu, które przyłgnęły do jego koszuli. — Jestem z policji. Przed chwilą biegł tędy mężczyzna. Widzieliście, w którą stronę uciekł?

— Oprócz pana Bersaniego nikogo tu nie było — zdziwił się kucharz.

— On mi wystarczy.

— Poszedł tamtędy. — Kelnerka pokazała korytarz prowadzący w stronę kuchni.

— Dzięki i przepraszam... — Policjant zerwał się i ruszył we wskazanym kierunku.

Ramię coraz bardziej mu doskwierało. Każdy energiczny krok przenosił bolesne drgania, które rozchodziły się po stłuczonych tkankach. Ostatecznie doszedł do wniosku, że bezmyślne natarcie na drzwi nie było jednak najlepszym pomysłem.

Biegając, minął kolejną kelnerkę. Przez wahadłowe drzwi wpadł do kuchni, gdzie krzątało się sześciu mężczyzn w białych fartuchach. Była pora obiadowa, więc uwijali się jak w ukropie. Na każdym piecu stał przynajmniej jeden garnek i patelnia, z których unosiły się wyraziste zapachy. Wszyscy spojrzeli na niego jak na wariata.

Nie miał czasu na wyjaśnienia.

— Gdzie pan Bersani? Muszę pilnie z nim porozmawiać!

— Poszedł na zaplecze — odpowiedział kucharz stojący najbliżej.

— Dzięki!

Poszedł, czyli zwolnił, wydedukował Ross.

Na zaplecze prowadziło dwoje drzwi — jedno przez szatnię, a drugie przez magazyn. Detektyw wybrał opcję pierwszą.

W przebieralni nie zastał nikogo. Znajdowały się tam jedynie metalowe szafki, umywalki, dwie ławeczki i plastikowy kosz na śmieci. Z bronią wycelowaną przed siebie przeszedł na zaplecze. Znalazł się na kolejnym korytarzu. Po lewej znajdowały się drzwi z napisem *EXIT*. Ostrożnie otworzył je.

— Stać! Policja! — krzyknął uzbrojony funkcjonariusz pilnujący wyjścia. Widząc swojego zwierzchnika, natychmiast opuścił broń.

— Przepraszam, szefie... Dorwał go pan?

— A widzisz, żebym go prowadził przed sobą zakutego w kajdanki? Skubaniec przyczał się gdzieś w środku. Dokładnie pilnujcie wszystkich wyjść. Jeżeli go nie widziałeś, to jest szansa, że jeszcze nie opuścił budynku.

— Ross usłyszał syreny radiowozów.

— Jak tylko pojawią się posiłki, niech zabezpieczą cały teren. Mają przeszukać każdy zakamarek. Ściągnijcie skądś plany tego miejsca. Cholera wie, ile ukrytych korytarzy kryje ten budynek.

— Tak jest! — Policjant sięgnął po krótkofalówkę.

Detektyw wrócił do środka. Zauważył kolejne drzwi. Nacisnął klamkę i pociągnął do siebie ciężkie, stalowe skrzydło. Trafił do magazynu wypełnionego przeróżnymi składnikami, z których można było przyrządzić niemalże każde włoskie danie. W oddali zobaczył drzwi z okrągłą szybą. Za nimi przesuwali się mężczyźni w białych fartuchach. Stąd mógł się dostać z powrotem do kuchni. Poczul ogarniający go chłód. Temperaturę w tym pomieszczeniu utrzymywano na poziomie ośmiu stopni, dzięki czemu żywność dłużej zachowywała świeżość.

Przecież nie rozpląnął się w powietrzu. Musi gdzieś tu być. Ross próbował doszukać się kolejnego ukrytego przejścia, ale jego wysiłki spełzyły na niczym. Wrócił do kuchni. Wtedy jego wzrok padł na kobietę wychodzącą z wąskich drzwi z butelką wina. Od razu zrozumiał. Podeszedł do kucharza, który go okłamał i energicznie zamachnął się, zrzucając z jego stanowiska wszystko, co aktualnie się na nim znajdowało. Sałatka i trzy pieczenie wylądowały na ziemi. Mężczyzna odskoczył, ratując swoje stopy przed spadającym nożem.

— Co, do cholery!

— Przepraszam, nie chciałem... — rzucił ironicznie rozjuszony detektyw i

pobiegł w kierunku piwnicy z winem.

Do winiarni umiejscowionej w podziemiach restauracji prowadziły wąskie, oświetlone schody. Surowa, czerwona cegła ścian i drewniane stopnie nadawały temu miejscu charakterystycznego klimatu.

Schodził bokiem, plecami przylegając do ściany.

— Po cholere żęś tu zlazł? Zastanawiając się nad logiką postępowania przeciwnika, dotarł na sam dół. Przed nim rozpościerała się ciemność. Odszukał włącznik.

Ogromne pomieszczenie w jednej chwili pojaśniało. Widok był niesamowity. Cały budynek — parter oraz piętro — był podtrzymywany przez dwanaście olbrzymich, grubych filarów, z których każdy miał ponad trzy metry średnicy i rozgałęział się na suficie, tworząc łukowe sklepienia. Dzięki temu rozwiązaniu ściany nośne były zbędne, a podziemna przestrzeń została podzielona na dwadzieścia równych segmentów. W każdym znajdowało się dziesięć długich regałów. Łącznie leżakowało tutaj blisko dziesięć tysięcy butelek wina z różnych roczników i regionów świata. Tę niesamowitą kolekcję z łatwością można było oszacować na wiele milionów dolarów.

Detektyw rozejrzał się i powoli ruszył przed siebie. Regały były ustawione prostopadle do niego, więc szybko mógł zlustrować całą przestrzeń. Szedł najciszej jak potrafił, próbując wychwycić każdy szmer, który mógł mu pomóc w lokalizacji uciekiniera.

Po minucie dotarł do przeciwległej ściany. Po zbiegu nie było śladu.

— Jasna cholera! — wrzasnął i złapał się za głowę.

Nagle jego uwagę zwrócił element nie pasujący do ascetycznego charakteru piwnicy. Parę metrów na prawo od niego, na ścianie, znajdował się tkany obraz w kształcie kwadratu o boku długości dwóch metrów.

Podszedł bliżej i przyjrzał się dziwnemu arcydziełu. Przedstawiało one scenę z Biblii — wygnanie Adama i Ewy. Nad postaciami widniał palec boży, a w kącie, pomiędzy gałęziami zakazanego drzewa, czaił się wąż.

Niespodziewanie arras poruszył się. Ross drgnął. Podniósł broń i zrobił kilka kroków w tył. Myślał, że ma zwidy, ale tkany obraz ponownie się poruszył. Dostrzegł, że jego dolna część nie jest przymocowana do ściany. Szarpnął za róg nietypowego obrazu i oniemiał. Jego oczom ukazała się dziura w murze, przez którą bez problemu mógł przejść dorosły człowiek.

Poczuł wilgoć i zapach ścieków. Poświecił latarką. Zobaczył połyskującą,

odbijającą światło powierzchnię.

— Pieprzony makaroniarz...

Złapał za komunikator i spróbował nawiązać łączność. Zasięg był słaby, ale ostatecznie dał radę porozumieć się z kolegami.

— Tu Ross. Jest tam ktoś?

— Mówi John. Gdzie pan jest?

— Nieistotne! Trzeba obstawić i zamknąć najbliższą okolicę. Najlepiej po kilka przecnic we wszystkie strony. Pilnujcie każdej kratki ściekowej. Cel prawdopodobnie opuścił budynek i jest w kanałach pod miastem. Ma nad nami jakieś pięć minut przewagi, więc weźcie się do roboty! — Nie czekał na potwierdzenie zrozumienia meldunku. Zerwał obraz i wskoczył do ciasnego korytarza.

Wszystko pokrywał czerwony pył ze starych cegieł. Wąskie przejście do kanału zostało wykonane ewidentnie poza wiedzą inspektora budowlanego. Nierówne podłoże i ściany już po pierwszych krokach dały o sobie znać. Na ostrej cegle Ross rozciął rękę, a przez spore wgłębienie o mało co nie skręcił nogi.

Z ulgą przywitał śmierdzące wnętrze kanału. Wreszcie stanął twardo na betonowym brzegu. Środkiem biegło koryto, które, z powodu gwałtownych opadów, jakie nawiedziły Stany, było niemalże całkowicie wypełnione brudną i cuchnącą wodą. Wokoło walały się cienkie kawałki roztrzaskanego muru, który jeszcze kilka minut temu służył jako imitacja ściany kanału, maskująca wejście do tunelu.

Pod stopami zauważył ślady. Zdecydowanie nie należały do niego. Gładka podeszwa sugerowała obuwie wizytowe. Wilgoć, pył oraz brud stanowiły idealną mieszaninę — betonowy chodnik był jak plaża tuż przy morzu — odciskały się na nim każde, nawet najdrobniejsze ślady.

Początkowo detektyw ostrożnie stawiał kroki, próbując rozeznaczyć grunt pod stopami, ale później zaczął biec. Wyraźne ślady były z daleka widoczne. Pomagał sobie latarką, choć nie było całkiem ciemno. Liczne studzienki wpuszczały do środka niewielką ilość promieni słonecznych.

Niespodziewanie usłyszał przerywany szum, wydobywający się zza paska. Ktoś próbował się z nim skontaktować. Podbiegł do najbliższej studzienki i stanął dokładnie pod metalową kratownicą.

— Detek... Ross?! — wzywał go znajomy głos.

— Jestem! Mów! — wysapał zdyszany.

— Znaleźliśmy coś ciekawego. Pamięta pan, jak kazał mi załatwić plany budynku Bersaniego?

— Tak, a co?

— Zgłosiłem to. Po chwili babka oddzwania i pyta, o który budynek chodzi...

— Jak to?! — Ross poczuł dreszcz przechodzący mu po plecach.

— Oprócz restauracji, ten cwaniaczek jest jeszcze właścicielem małego magazynu mieszczącego się cztery przecznice na wschód od niej.

— Natychmiast weź kilku ludzi i jedźcie tam! Musicie go wyprzedzić!

— Zrozumiałem. Bez odbioru.

Don Corleone dotarł do upragnionego miejsca. Nikt oprócz niego nie wiedział, co oznacza duży plus na przeciwległej ścianie kanału. Przyłgął plecami do wilgotnych cegieł. Odepchnął się rękami i skoczył. Cudem pokonał szerokie koryto. O mały włos nie wylądował w cuchnącej wodzie.

Zrobił energiczny wymach nogą i mocno kopnął w cienkie, betonowe bloczki. Rozsypały się jak domino. Wczołgał się do tunelu. Na czworakach musiał przejść ponad dwadzieścia metrów, zanim dotarł do drabinki. W tym miejscu mógł się już wyprostować.

Wdrapał się po metalowych szczeblach i pewnie stanął na wąskim podeście. Przykucnął i pchnął luźną kratownicę, która upadając na podłogę, narobiła niezłego rabanu.

Wreszcie Don Corleone mógł odetchnąć świeżym powietrzem. Znajdował się w całkowicie pustym magazynie, który właśnie spełnił swój cel — pierwszy raz od kilku lat.

Otrzeptał się, choć niewiele to dało, i ruszył w stronę wyjścia. W połowie magazynu zauważył, że coś jest nie tak. Drzwi były lekko uchylone. Normalnie powinna wisieć na nich kłódka. Cholerni złodzieje, pomyślał. Gdy wyszedł na zewnątrz, zamurowało go.

— Policja! Nie ruszać się! Połóż się na ziemi z rękami... — Funkcjonariusz nie zdążył dokończyć zdania.

Gangster wyciągnął zza pleców broń. Strzelił w jednego z policjantów i błyskawicznie schował się w magazynie. To niemożliwe... Skąd wiedzieli, że pojawię się właśnie tutaj? Przez szparę w drzwiach obserwował sytuację na zewnątrz. Szybko przeanalizował swoje położenie. W pistolecie zostało zaledwie kilka kul. Nie miał szans. Usłyszał syreny zbliżających się wozów policyjnych. Jego doskonały plan wziął w łeb. Powrót do kanału wydawał się

w tej chwili najlepszym rozwiązaniem.

— Hej, Dundee!

Zmroziło go, gdy za plecami usłyszał czyjś głos. Odwróciwszy się, przeżył kolejny szok. Natychmiast rozpoznał policjanta, którego spotkał w restauracji — zawzięty detektyw trzymał go na muszce.

Ross był przemoczony i brudny, ale na jego twarzy rysował się wyraźny uśmiech.

— To, że policja, to już wiesz, a jeżeli chodzi o resztę... Chłopcy już ci powiedzieli, co masz robić... Najlepiej będzie, jak rzucisz broń i położysz się z rękami na głowie, ale decyzja należy do ciebie.

— Niedoczekanie! — warknął Don Corleone. — Podniósł pistolet, ale nie zdążył oddać strzału.

Ross uprzedził go i precyzyjnie posłał kulkę prosto w jego ramię. Gangster zatoczył się, ale nie upadł. Pozostali funkcjonariusze wkroczyli do środka. Gdy zobaczyli, że mężczyzna w białym garniturze znowu składa się do strzału, wycelowali prosto w serce. Dwie kule niemalże jednocześnie przebiły ciało przestępcy. Restaurator runął na betonowe podłoże.

— Wszystko w porządku, szefie?!

— Bywało lepiej! — Ross podszedł do trupa i wykopał mu z dłoni pistolet. Dopiero teraz schował swoją broń. Pochylił się i sprawdził puls. Wyczuł słabnące bicie serca. Nie widział potrzeby, aby przejmować się tą szumowiną i wzywać karetkę. Spokojnie wstał i oznajmił:

— Nie żyje. Powiedz chłopcom w restauracji — zwrócił się do Johna — że mogą wypuścić gości, ale lokal ma być zamknięty, dopóki nasi ludzie nie przeszukają go od góry do dołu. I nie zapomnijcie odholować samochodu tego *biznesmena*. — Z pogardą spojrział na zwłoki. — Będzie się ładnie prezentował na policyjnym parkingu.

— Coś jeszcze?

— Nie. To chyba wszystko. Wystarczy wrażeń jak na jeden dzień. Jadę do domu. Muszę się przebrać. Za jakąś godzinę powinienem być z powrotem. — Poszedł w stronę wyjścia.

— Czyżby kanał okazał się szerszy, niż na to wyglądał?! — rzucił wesoło John.

Ross nie odpowiedział. Podniósł tylko rękę zaciśniętą w pięść i wyprostował środkowy palec.

PIĄTEK

Adams wparował do biura Goldwyna, świadomie omijając procedurę pukania.

— Nie krępuj się, wejdź! — rzucił ironicznie kapitan. Ostatnio w Cleveland przybyło sporo trupów i miał mnóstwo zaległej roboty, która doprowadzała go do szału. Niestety, mina podwładnego mówiła sama za siebie i nie zapowiadało się na krótkie *tak* lub *nie*.

— Co to ma znaczyć?! — Adams uderzył gazetą o biurko. Na pierwszej stronie dziennika była pokazana twarz mężczyzny poszukiwanego w związku z potrójnym zabójstwem na luksusowym osiedlu w Vermilion, nad jeziorem Erie.

Kapitan spuścił głowę i oparł ręce na biodrach.

— Czego konkretnie ode mnie oczekujesz?

— Przecież to Foster! Phil Foster!

— Widzę!

— Możesz mi to wyjaśnić?! Z tego co wiem, John Snyder zabił tych dwoje, a potem siebie. Przecież istnieją dwa nagrania, które potwierdzają tę wersję wydarzeń! Popraw mnie, jeśli się mylę! — Rozsierdzony detektyw kolejną raz uderzył gazetą o biurko.

Niecodzienne widowisko zebrało już niemałą publiczność.

— Zamknij drzwi — rozkazał Goldwyn i usiadł w fotelu. — A teraz posłuchaj... Wszystko, co powiem, ma pozostać między nami. Zrozumiano?!

— Zaskocz mnie.

— Miałeś rację, że ta sprawa śmierdziała od samego początku. Ciesz się, że ci ją odebrali... że nam ją odebrali, bo inaczej któryś z nas miałby w tej chwili spore kłopoty. Rząd nie mógł dopuścić do uwolnienia kilkudziesięciu, a może nawet kilkuset przestępców skazanych w ciągu wielu lat przez duet Paxton-Snyder. Wymyślili inne rozwiązanie. Wybrali mniejsze zło.

— Skazali niewinnego człowieka na karę śmierci! — zareagował żywo Adams.

— Stu sukinsynów zostanie tam, gdzie ich miejsce.

— Bierzesz stronę FBI?

— Nie biorę niczyjej.

— Były glina jest teraz poszukiwany w całym kraju za zbrodnię, której nie

popęłnił.

— To prawda, ale go nie znajdują.

— Skąd ta pewność?

— Możesz mi wierzyć... — Goldwyn wymownie spojrzął na detektywa.

Adams odwzajemnił się tym samym. Wyczuł, że kapitan coś kręci.

— Pomogłeś mu?

— Powiedzmy, że dałem do myślenia. Wiedziałem, jak to się może dla niego skończyć.

— Skąd?

— Pamiętasz zdjęcia, które były na karcie aparatu? To była Beatrice, żona Fosterera, ze swoim kochankiem.

— Wiedziałeś, kim była ta kobieta i mi nie powiedziałeś?

— Co by to dało? Zresztą... Gdybyś wiedział, postąpiłbyś tak samo.

Detektyw zamilkł. Doskonale potrafił analizować dane. Przez trzydzieści sekund jego neurony pracowały na najwyższych obrotach.

— FBI wymyśliło historyjkę, którą społeczeństwo podchwyciło... — Goldwyn pokiwał twierdząco głową. — Snyder podejrzewał żonę o zdradę i pojechał nocą do Fosterera. Przypadkiem odkrył niewierność żony dawnego przyjaciela. Umówił się z sędzią Paxtonem, aby powiedzieć mu o zażyłych stosunkach prokuratorki z byłym detektywem. Samantha Snyder i jej fikcyjny kochanek — Foster — śledzili go, chcąc uciszyć na zawsze. Gdy Foster zobaczył zdjęcia żony z innym, oszalał i wystrzelał wszystkich jak kaczki. Zwałą to na niego! Jedna zbrodnia w afekcie zmieniała się w drugą. Cholerne FBI!

— Jak widać na załączonym obrazku, wszyscy w to uwierzyli.

— Zakładam, że musiałeś mu o tym powiedzieć. A niech to wszyscy diabli, Arthurze! Jeżeli żona Fosterera piśnie, że to ty przyniosłeś mu zdjęcia, wylecisz na zbity pysk!

— Wiem o tym... Nie było jej przy rozmowie, ale nie wierzę, żeby mnie nie podejrzewała. Tak czy tak, jestem pewien, że podczas przesłuchania wspomni o mojej wizycie w ich domu.

— Przepraszam, nie wiedziałem...

— Nie mogłeś. Słuchaj, pogadamy później. Mam sporo roboty. Ross załatwił tego Corleone. Muszę napisać oświadczenie i wygrzebać na niego, ile tylko się da.

— Zrób tak, bo znowu wyjdziemy na idiotów, a tacy jak on — na męczenników.

— Tak... Pieprzone media! Gdyby zastrzelił dwóch policjantów, to sami by go ukrzyżowali, a tak będą szukać kozła ofiarnego. Kogo interesuje, że przez całe życie kradł i mordował? Parę lat pobawił się w restauratora i stał się bożyszczem tłumów. Lokal otworzył dzięki forsie splamionej krwią, ale kogo to obchodzi...

— Porąbany świat...

— Zjrzyj do Rossa. Nazbierało mu się sporo trupów. Może będzie potrzebował pomocy, a ja nie mam w tej chwili dla ciebie nic nowego.

— W porządku.

Adams opuścił gabinet i poszedł w kierunku biura młodszego kolegi. Już z daleka widział, że będzie co robić. Drzwi pomieszczenia, do którego zmierzał, nie zamykały się. Co chwilę ktoś wychodził z niego lub wchodził do środka. Niewysoki detektyw nie czuł się dobrze w tłumie — wolał ciszę i spokój, ale nie chciał zlekceważyć prośby kapitana.

— Ross...

— Adams! Co słyhać?! — Młody detektyw stał za biurkiem zawalonym papierami. Nie miał nawet gdzie usiąść, bo na krześle również leżały jakieś teczki. Po podłodze walały się kartony z dowodami. Magnetyczna tablica była całkowicie zakryta zdjęciami, wycinkami i informacjami o ofiarach. Przez gabinet można było poruszać się tylko ściśle wytyczonymi ścieżkami pomiędzy stertami pudeł, często ustawionych jedno na drugim.

— Widzę, że masz co robić. Goldwyn przysłał mnie tutaj, żebym ci pomógł.

— To miło z jego strony, ale na razie sam muszę ogarnąć ten bajzel. Jak tylko odnajdę się w tym syfie, dam znać. — Niechący wypuścił z ręki teczkę i kilkadziesiąt kartek rozsypało się po ziemi. — Świetnie... Po prostu świetnie!

— Dobrze — powiedział wesoło Adams. — W razie czego wiesz, gdzie mnie znaleźć.

— Jasne, jasne.

— Przy okazji... Świetna robota!

Ross wystawił głowę znad biurka.

— Wiem. Może dzięki temu wreszcie mnie awansują! — Skromność nie

była jego mocną stroną.

— Znowu? — roześmiał się Adams. — Ja dłużej byłem krawężnikiem, niż ty pracujesz w policji, a jesteś detektywem od prawie dwóch lat. Gdy miałem tyle lat co ty, nie było mnie jeszcze w wydziale zabójstw!

— Dwa przypadki, jedno szczęście i już...

— Jak to?

— Gdyby ten świrnięty Maison nie był kolekcjonerem trupów, sprawa nie wyglądałaby tak różowo. Zakopywał swoje ofiary w piwnicy. Pech chciał, że ten makaroniarz nakrył go podczas ukrywania zwłok. Wywłókł go z chałupy i wpakował w niego dziesięć kulek. Swoją drogą... Nie wiem, co za idiota zostawia pustą fiolkę...

— Możesz powtórzyć nazwisko tego faceta? — podchwycił Adams.

— Maison, a co?

— Gdzieś już je słyszałem... Przepraszam, ale muszę lecieć. Jak będziesz potrzebował pomocy, dzwoń. Znasz numer wewnętrzny?

— A niby skąd? — bąknął cicho Ross. — Jasne! — potwierdził głośniejszym głosem.

Idąc korytarzem, Adams powtarzał sobie w głowie nazwisko *Maison*. Wiedział, że niedawno miał z nim do czynienia. Ze względu na brak wolnego czasu, ostatnio nie czytywał gazet ani nie oglądał telewizji. To musiało być coś związanego ze sprawą samobójstwa Dony Jonson lub śmiercią Snyderów i Paxtona.

Wpadł do biura, gdzie Bennet oglądał właśnie oświadczenia szefa FBI namawiającego każdego obywatela do wypełnienia swojego patriotycznego obowiązku — pomocy w zatrzymaniu groźnego przestępcy, Phila Fostera.

Młody aspirant kołysał się na krześle. Gdy zobaczył przełożonego, stracił równowagę. W ostatniej sekundzie zmobilizował się i przechylił do przodu. Przednie nogi krzesła mocno uderzyły o podłogę.

— Przepraszam...

— Pamiętasz kogoś o nazwisku Maison?

— Nie przypominam sobie. A o co chodzi?

— Nie wiem. To nazwisko od kilku minut chodzi mi po głowie. Wiem, że gdzieś je słyszałem albo o nim czytałem.

— Nie mam pojęcia...

— To musi być związane z którąś z ostatnich spraw. — Usiadł przed komputerem. — Ty sprawdź resztki, jakie FBI zostawiło w sprawie

Snyderów i Paxtona, a ja przejrzę przypadek Dony Jonson. Może coś znajdziemy...

Godzina poszukiwań nie dała żadnego rezultatu. Zagłębili się również w cztery dawniejsze śledztwa, ale i to nie przyniosło pożądanego efektu. Benneta rozboleły oczy od dziesiątek stron akt wypełnionych małymi literkami. Uniósł głowę do góry, wbijając wzrok w sufit i wyprostował ręce. Zmusił zeszywniałe mięśnie do niespodziewanego wysiłku. Jego stawy głośno strzeliły. Spojrzał na Adamsa, który nieprzerwanie wpatrywał się w ekran monitora. Tuż obok niego stało czarno-białe zdjęcie, które przez długi czas spędzało im sen z powiek — widniała na nim siostra zakonna otoczona gromadką uśmiechniętych dzieci.

Bennet czuł, że umysł już go nie słucha. Postanowił zrobić małą przerwę.

— Napije się pan kawy?

— Co? A, tak. Poproszę. Ale bez cukru. Na opamiętanie! To nazwisko musi gdzieś tu być!

Aspirant dobrodusznie pokręcił głową i opuścił biuro. Wtedy coś w nim drgnęło. Zatrzymał się na przecięciu dwóch korytarzy. Ktoś nieumyślnie szturchnął go. Dwa metry dalej stał automat z gorącymi napojami. Mężczyzna błędził oczami po podłodze, jakby szukał na niej odpowiedzi.

Niespodziewanie skręcił w lewo. Pokonał zakręt i wszedł w pierwsze drzwi po prawej z napisem *MAGAZYN DOWODÓW*. Za zbrojoną szybą, zabezpieczoną dodatkowo stalową kratownicą, siedział gruby funkcjonariusz i pisał coś na komputerze. Wyglądał jak więzień osadzony w luksusowej celi. Po każdym skatalogowanym dowodzie robił sobie krótką przerwę na łyk kawy i kęs olbrzymiej kanapki.

— Co tam? — zaczął z pełnymi ustami.

— Bennet... Paul Bennet. Na polecenie detektywa Adamsa przyszedłem ponownie zbadać dowód w sprawie 11076.

— Podpisz tutaj i możesz wejść...

Otyły policjant pobieżnie rzucił okiem na gryzmoły, po czym zwolnił blokadę.

Bennet energicznie wkroczył do środka.

— Rząd jedenasty, regał G, kolego! — usłyszał za plecami.

Determinacja Adamsa w ciągu ostatnich dziewięćdziesięciu minut nie zmniejszyła się nawet o odrobinę. Zaciekle studiował każdy dokument, jaki

komputer wypluwał na ekran. Gdy usłyszał otwierające się drzwi i kątem oka dostrzegł osobnika sylwetką przypominającego Benneta, nie odrywając wzroku od monitora, automatycznie wyciągnął rękę po kubek z kawą.

— Szefie, już wiem!

Odwrócił głowę. Zagadkowe zdanie zrobiło na nim wrażenie. Spojrzał na Benneta trzymającego w ręce starą książkę. Nie powiedział ani słowa. Po prostu czekał na dalsze wyjaśnienia. Gdy opasłe tomisko wylądowało na biurku, podekscytowany aspirant odszukał konkretną stronę.

— Mark Warren! — Stuknął palcem w połówkę kartki. — Ten dzieciak był wychowankiem sierocińca Granta. Przebywał tam w tym samym okresie, w którym Dona Jonson pełniła funkcję opiekunki. Niedługo później został adoptowany. Niech pan zgadnie, kto go przygarnął!

— Maisonowie! — krzyknął radośnie Adams.

— William i Stephanie Maisonowie! — potwierdził Bennet.

— No jasne! Mark Maison. Stąd znam to nazwisko! Jesteś genialny!

— Proszę o tym nie zapomnieć podczas moich starań o awans.

— Co z wami? Wszyscy dzisiaj chcą awansować?! Wyświadcz mi przysługę i przyjrzyj się temu gagatkowi. Ja idę do Rossa. To może mu się przydać!

Adams, porywając dowód rzeczowy, wybiegł na korytarz. Krótkie, energiczne kroki i zamaszyste ruchy ramion upodabniały go do wesołego krasnala. Każdy, kto go minął, odwracał się i uśmiechał.

— Ross! — wrzasnął z daleka.

— Nooo! — rzucił podenerwowany detektyw, którego papierkowa robota już dawno przerosła.

— Czy twój truposz nazywał się William Maison?

— Tak, a co?

— W takim razie mam coś, co ci się spodoba!

— Nie przypominam sobie, żebym po ciebie dzwonił.

— Wiem, ale nieoczekiwanie natknąłem się na powiązanie pomiędzy naszymi sprawami!

— Jakimi znowu sprawami? — warknął Ross, nie mogąc znaleźć zapodziejanej teczki i całkowicie ignorując kolegę.

— Mark Maison. Coś ci to mówi?

— Nazwisko i owszem, ale imię? Czeka... — skupił się i wyteżył umysł.

— A tak... pamiętam. To syn Maisonów. Pierwszy, którego adoptowali dawno temu. Podobno uciekł z domu. Później adoptowali kolejnych trzech — wyjaśnił. — Mieli też własne dziecko.

— Mark Maison był jednym z wychowanków sierocińca, w którym kiedyś pracowała Dona Jonson. Wtedy była jeszcze zakonnicą. Jakiś czas temu popełniła samobójstwo. Osobiście prowadziłem jej sprawę.

— Słyszałem. Rozumiem zbieg okoliczności, jednak dalej nie wiem, co to zmienia... Ale poczekaj... On mógł mieszkać w tym domu, kiedy Maison zastrzelił swoją pierwszą ofiarę! Jasna cholera! — Ross rzucił wszystko i wygrzebał teczkę z przesłuchania Stephanie Maison.

— Ta kłamliwa zdzira zeznała, że chłopak uciekł z domu jedenaście lat temu, co pokrywa się ze zniknięciem Stevena Perry'ego, faceta, którego zdjęcie znaleźliśmy przy ciele ofiary.

— Dzieciak mógł to widzieć — podchwycił Adams.

— Przestraszył się i uciekł z domu. Myślisz, że mu grożono?

— To by miało sens! Jeżeli go odnajdziesz, być może zdobędziesz wiarygodnego świadka tamtej zbrodni.

— Masz zamiary na tego gościa?

— Bennet szuka jakichś informacji. W rejestrze widniał jako Warren, więc był na samym końcu listy wychowanków. Jeszcze nie zdążyliśmy go sprawdzić.

— Rozumiem. Jak tylko coś znajdziesz, daj znać!

— Oczywiście...

SOBOTA

Trzecia w nocy była godziną, którą David Ross zazwyczaj przesypiał. Nie był nocnym markiem, ani nie lubił włóczyć się po barach. Brak żony i płaczących dzieci był mu na rękę. Sen stał się jego jedynym nocnym towarzyszem. Wyciszał nawet służbowy telefon, aby nikt nie przeszkadzał mu w tej codziennej — albo raczej *conocnej* — przyjemności.

Jednak tym razem telefon wibrował tak długo, aż spadł na podłogę i rozleciał się na trzy części. Ross zerwał się z łóżka i odruchowo sięgnął po pistolet, który trzymał pod poduszką. Zastygł w bezruchu, nasłuchując przyczyny gwałtownej pobudki. Zapalił światło. Po oględzinach sypialni dostrzegł na podłodze elementy rozbitego telefonu. Zebrał je i poskładał

aparatu. Odruchowo włączył go i odłożył na nocny stolik.

W normalnych okolicznościach w ogóle by się komórką nie przejął, ale był to jedyny budzik, jaki posiadał.

Gdy zgasił światło i wygodnie ułożył się na łóżku, telefon ponownie zaczął wibrować. Przeklął i spojrzął na wyświetlacz. Dzwonił Adams. W pierwszej chwili chciał go odrzucić, ale ostatecznie przemógł się i nacisnął klawisz połączenia.

— Wiesz, która godzina?

— Trzecia piętnaście! — oznajmił żywo Adams.

— A wiesz, że o tej porze normalni ludzie śpią?

— Daj spokój. Nie mamy na to czasu! Zwlec z łóżka i przyjedź na komisariat!

— Pogięło cię?! Ty tam jeszcze siedzisz?

— Tak! Nie uwierzysz, co wykopałem!

— Nie wiem, czy o tej porze chcę to wiedzieć.

— Pamiętasz Marka Maisona, o którym wczoraj rozmawialiśmy?

— Tak... Co z nim? Macie go? — Ross trochę się ożywił. Usiadł na łóżku i przetarł zaspane oczy.

— Jeszcze nie, ale znalazłem coś innego.

— I pewnie to coś nie może poczekać do rana?

— Nie, bo czeka nas długa wycieczka.

— Jaka znowu wycieczka?!

— Do Elkins.

— Gdzie?

— To w Zachodniej Virginii.

— Przecież to będzie z czterysta kilometrów!

— Jak nie więcej... Dlatego musimy wyruszyć już teraz.

Wściekły Ross zrzucił kołdrę i zerwał się z łóżka. Nie miał zamiaru jechać nocą na jakieś zadupie. Był zawalony papierami, a nikt inny nie mógł odwalić tej roboty za niego. Sobota miała okazać się idealnym dniem do nadrobienia zaległości w pracy. Idealnym aż do teraz...

— Adams... — zaczął groźnie. — Lepiej, żebyś miał dobry powód!

— Niedługo po tym, jak Mark Maison uciekł z domu, został aresztowany za kradzież samochodu, potrącenie dziewczyny i ucieczkę z miejsca

wypadku. Kobieta zmarła, a on trafił za kratki. Gdy wyszedł z więzienia, słuch po nim zaginął.

— I to ma być ta dobra wiadomość?

— Poczekaj... Skontaktowałem się z adwokatem, który był jego obrońcą. Powiedział, że chłopak upierał się przy swojej niewinności. Tak się złożyło, że nasz wydział prowadził tę sprawę i przejrzałem materiał dowodowy z archiwum. Znalazłem tam butelkę, na której odkryto ślady DNA niejakiego Stephena Foxa. Sprawdziłem go. Drobnny przestępca. Nic szczególnego.

— No więc...

— On również był wychowankiem tego samego sierocińca, co Mark Maison.

Nastała chwila ciszy.

— Czekaj — Ross podrapał się po głowie. Jego umysł nie pracował jeszcze na takich obrotach, na jakich powinien. — Maison i ten, jak mu tam...

— Fox...

— Razem dorastali?

— Tak. Podejrzewam, że gdy Mark Maison uciekł z domu, skontaktował się z jedynym kolegą, którego pamiętał, czyli Foxem.

— A ten sprowadził go na złą drogę...

— Zgadza się. Myślę, że wtedy jechali razem w tym samochodzie i to Fox prowadził.

— Jeżeli znajdziemy Foxa, może powie nam, gdzie jest Maison — wydedukował Ross.

— Też tak pomyślałem. Niestety... odnalazłem w bazie informację, że kilka dni temu Fox miał wypadek samochodowy i zginął na miejscu.

— Niech zgadnę... W Zachodniej Virginii.

— Tak. Jechał z partnerką. Obydwoje wylecieli przez przednią szybę, gdy auto wypadło z zakrętu i uderzyło w drzewo.

— A z czystej ciekawości... Po co mamy tam jechać?

— Żeby przyjrzeć się tej sprawie. Zbadamy samochód, który podobno jest na ich parkingu i miejsce wypadku.

— Przecież już to zrobiono.

— Tak, ale nie sądzisz, że coś tu nie gra?

— Mianowicie?

— W ciągu czterech tygodni giną trzy osoby bezpośrednio związane z

Markiem Maisonem.

— Dziwne, ale nie niemożliwe...

— Jest coś jeszcze, ale o tym powiem ci w samochodzie.

— Czyli nie mam wyjścia?

— Nie.

— A twój chłopiec na posyłki? Bennet... On nie mógłby z tobą pojechać?

— Doświadczony glina to nie to samo, co żółtodziób. Wiem, że dla sprawy zrobisz wiele i właśnie dlatego cię potrzebuję.

— Dobra... Skończ mi już lizać dupę i przyjedź po mnie. Będę gotowy za godzinę.

— Dzień...

Adams nie zdążył dokończyć. Ross wyłączył telefon i rzucił nim na łóżko. Po tej rozmowie był już całkowicie rozbudzony, więc zimny prysznic był zbędny. Bąknął coś pod nosem, poszedł do łazienki i odkręcił ciepłą wodę.

Prawie pięciogodzinna podróż nie upłynęła tak, jak Ross by sobie tego życzył. Miał nadzieję, że prześpi większość drogi, ale Adams musiał słuchać głośnej muzyki, żeby nie zasnąć za kierownicą. Połowę nocy śleczął nad nowymi, dziwnymi faktami, a drugą połowę prowadził samochód. Nie zmrużył oka nawet na chwilę.

— Jak chcesz, to cię zmienię — zaproponował Ross.

— Nie trzeba. Niedługo będziemy na miejscu.

— Nie wiem, dlaczego uparłeś się, żeby najpierw pojechać na miejsce wypadku. W mieście mogliśmy coś zjeść, łyknąć dopalacza. Na dobrą sprawę nawet nie wiemy, gdzie wypadli z tej drogi.

— Na szóstym albo siódmym kilometrze za Huttonsville. Pierwszy ostry zakręt. Oglądałem to na Google Maps. Zakręt rzeczywiście nie wygląda ciekawie. Wolę najpierw pojechać na miejsce wypadku, bo z rana lepiej się myśli.

— Jak cholera! Szczególnie po nieprzespanej nocy.

— Nie zrozum mnie źle, ale chcę to zobaczyć, zanim raport z wypadku przyćmi moje... nasze rozumowanie.

— Czyżbyś nie wierzył w tutejszych mundurowych?

— Wierzę, ale dodatkowa para oczu zawsze się przyda.

— Czyli nie wierzysz w nich.

— Nie wiedzą tego, co my. Mogli coś przeoczyć.

— A co my właściwie wiemy?

— Że ostatnio doszło do kilku niezwykle zbiegów okoliczności.

— Właśnie, miałeś mi coś powiedzieć.

— A tak... Nie wiem, czy wiesz, ale znalezienie haczyka na Granta, tego dyrektora sierocińca, nie było wcale moją zasługą.

— A czyją?

— Nie wiemy... Któregoś dnia otrzymaliśmy zalakowaną kopertę, w której znajdował się zaginiony rejestr wychowanków sierocińca. Nie wiedzieliśmy, kto i dlaczego nam go przysłał. Po otwarciu okazało się, że brakowało kilku stron, a jedno nazwisko było wyróżnione spośród wszystkich innych. Tak dotarliśmy do Oskara Browna, który wskazał nam siostrę Annę, a ona opowiedziała o wszystkim, co tam się wydarzyło. Tak więc...

— Ktoś wam pomógł — dokończył Ross.

— I to bardzo. Bez tego rejestru nie mielibyśmy szans! Ale to nie wszystko...

— Jak zawsze...

— Podczas przeszukania domu Synderów, tej prokuratorce i jej męża, natknęliśmy się na identyczną kopertę opisaną takim samym charakterem pisma. Dopiero po pewnym czasie skojarzyłem te dwa fakty.

— Przecież sprawę przejęło FBI.

— Zgadza się i niestety zabrali cały materiał dowodowy. Nie zdążyłem zanieść tych kopert specjaliście.

— Jeżeli to prawda, to ktoś sobie z tobą nieźle pogrywa.

— Raczej z nami.

— Mów, jak chcesz, ale mi ostatnio nikt nie podrzucił żadnych dowodów.

Zamilkli, bo odezwała się nawigacja. Według urządzenia, dotarli do celu. Pomimo pozornej obojętności, Ross poczuł dziwne podniecenie.

— To chyba tam. — Adams pokazał na zbliżający się zakręt. Po chwili wyłoniła się taśma ostrzegawcza, która do czasu naprawy wadliwej osłony miała ostrzegać kierowców przed niebezpieczeństwem.

— Tak, to zdecydowanie tam! Zatrzymaj się na poboczu.

Kierowca posłusznie wykonał polecenie i wyłączył silnik.

— Nieprzyjemne miejsce.

— To prawda.

Przebiegli na drugą stronę drogi, tuż przed przejeżdżającym tamtędy samochodem, który przywitał ich głośnym klaksonem.

— Jacy nerwowi ludzie... — skomentował młody detektyw. — A niech mnie! — zawołał, widząc stromiznę za barierką. — Nic dziwnego, że nie przeżyli.

— Widzisz to? Brakuje sporego kawałka kory, a pień jest postrzępiony.

— To by się zgadzało. Mówiłeś, że wylecieli z drogi i uderzyli o drzewo.

— A jednak mnie słuchałeś — ucieszył się Adams.

— A miałem jakieś wyjście?

— Daj spokój. Ciebie też to zaintrygowało!

— Może trochę. To co... Jako as wydziału, powinienes dać przykład i pójść przodem — zaproponował Ross.

— Skoro nalegasz... — Adams złapał za barierkę i pomimo swojego karłowatego wzrostu zwinnie przeskoczył na drugą stronę. Jego towarzysz zrobił to samo. Zaczęli wolno schodzić ze zbocza.

— W raporcie napisano, że do wypadku doszło w poniedziałek wieczorem — oznajmił Adams. — W tym czasie przetoczyła się tędy straszna nawałnica. W wyższych partiach gór powyrywało drzewa z korzeniami!

— Mokra, śliska nawierzchnia i prawie zerowa widoczność. Jakoś mnie to nie dziwi, że wylądowali tam gdzie wylądowali.

— W dodatku każda z ofiar miała ponad promil alkoholu we krwi.

— Zaskakujące... Pewnie auto też nie było najwyższej klasy.

— BMW z dziewięćdziesiątego piątego.

— Tylko pozazdrościć... Śliska droga i napęd na tył. Szkoda, że nie powiedziałeś mi tego wcześniej. Wiesz o tym, że szukamy dowodów, które prawdopodobnie nie istnieją.

— Skup się... Im szybciej zaczniemy, tym szybciej skończymy...

W pierwszej kolejności zbadali drzewo. Na ziemi leżały kawałki plastiku, trochę szkła i parę metalowych części.

— Podobno licznik zatrzymał się na sześćdziesięciu kilometrach na godzinę.

— Więc pewnie jechał setą albo jeszcze szybciej! Trzeba założyć, że hamowali.

— Zgadzam się...

Ogłędziny okolic drzewa nie wniosły niczego konkretnego. Duże,

nieregularne wgłębienie w ziemi i połamane rośliny wskazywały miejsce upadku pojazdu. Zeszli niżej. Na ziemi dało się zauważyć liczne odłamki szkła

— Mam kawałek szyby. Jest na niej krew — oznajmił Ross.

— Tutaj podobnie. Według raportu patologa, obydwójce wylecieli przez przednią szybę. Podobno facet zginął na miejscu, a kobieta została przygnieciona przez staczający się samochód.

— Paskudna, ale szybka śmierć.

Adams z niesmakiem spojrział na kompana.

— No co? Wolałbyś leżeć połamany, krwawić i czekać aż coś cię zeżre?

— Wolałbym przeżyć...

Po pokonaniu stu metrów wreszcie dotarli do miejsca, gdzie znaleziono wrak BMW.

— Pojazd, a dokładniej to, co z niego zostało, ostatecznie utknął tutaj — Adams pokazał wyraźne ślady na dwóch drzewach. Karoseria prawie dwutonowej, rozpędzonej bestii wbiła się kilka centymetrów w głąb potężnego klonu.

Przez piętnaście minut sprawdzali to miejsce. Szukali... Sami nie wiedzieli czego. W końcu poddali się.

— No i to by było na tyle! — skomentował Ross. — To jak... Kto pierwszy na górze, ten stawia śniadanie?

Zbocze było osłonięte przez gęste korony drzew i tylko część promieni słonecznych docierała do podłoża. Ziemia była jeszcze wilgotna, a leśne poszycie śliskie. Nie dość, że walczyli z dużym nachyleniem, to jeszcze z nieubłaganą przyrodą.

Gdy wreszcie wdrapali się na górę, Ross podniósł ręce niczym zwycięzca maratonu i wydał z siebie okrzyk zadowolenia. Adams był dziesięć metrów za nim. Ich praca nie dobiegła jeszcze końca, ale zasłużyli na chwilę odpoczynku. Młodszy detektyw usiadł na fragmencie osłony, która lekko zachybotwała.

— Zapomnij, że jeszcze raz tam zejdziesz, jak spadniesz i się połamiesz — wysapał Adams.

— Dobrze, tatusiu.

— Odwal się.

— Widzę, że ktoś tu ma zły humor.

— Myślałem, że coś znajdziemy.

— Nie zawsze sprawy układają się...

— Co nie zawsze? — Adams wreszcie osiągnął poziom ulicy i zmęczony oparł się o metalową osłonę.

Ross nie odpowiedział. Przeskoczył przez barierkę i przyjrzał się śrubom mocującym ją do pionowych słupków.

— Spójrz na to. Ktoś przy tym majstrował.

Adams natychmiast zapomniał o zmęczeniu.

— Widzisz te otarcia? Na tamtych śrubach ich nie ma!

— A nie mówiłem, że coś tu śmierdzi?!

— Poczekaj, bo zaraz wezwiemy telewizję!

— Zobacz. Na śrubach tabliczek też są rysy!

— Jeżeli to nie jest robota służb drogowych, to czyja? — zapytał retorycznie Ross.

Nie usłyszał odpowiedzi. Jego towarzysz biegł już w kierunku, z którego w feralny wieczór nadjechało BMW.

— A ty gdzie?!

— Zaraz wracam...

Niewysoki detektyw zatrzymał się w miejscu, gdzie na poboczu widoczne były wyraźne ślady opon.

— Oni nie hamowali! — zawołał do kolegi badającego metalową osłonę.

— Co?!

— Skręcili, ale nie hamowali!

Ross zostawił barierkę w spokoju.

— Co mówiłeś?! — Podszedł bliżej.

— Widzisz te ślady? Stracili panowanie nad samochodem.

— Facet zobaczył znaki i wdepnął hamulec. Wpadli w poślizg i zaczęli nimi rzucać.

— Wytraciliby znacznie więcej prędkości, a samochód nie doleciałby do tamtego drzewa. Poza tym... znaki zaczynają się dużo wcześniej, a hamowali dopiero przed samym zakrętem. Wygląda na to, że próbowali ominąć coś na drodze. Spójrz... Nie ma żadnych śladów hamowania. Co robisz, gdy w ostatniej chwili zauważysz przeszkodę na jezdni?

— Jeżeli nie zdążę wyhamować, to próbuję ominąć...

- To samo zrobił kierowca. Coś albo ktoś wyskoczył im na drogę.
- *Ktoś?* Raczej *coś*, bo jesteśmy w lesie.
- I to *coś* odkręciło śruby?
- Słuszna uwaga... — zgodził się Ross. — Co nie zmienia faktu, że przed tym zakrętem powinni zwolnić, chyba że... Poczekaj. — Podbiegł do pierwszego znaku-strzałki. — Nie uwierzysz...
- Te same ślady?! — zapytał Adams.
- I dodatkowo są delikatne żłobienia na rurce!
- Ktoś poluzował i obrócił znaki!
- Chyba nie mówisz poważnie?
- Nie sprawdzilibyś tego, gdybyś w ten sposób nie pomyślał.
- Jasna cholera! Wiesz, co to znaczy?
- Że mamy do czynienia z morderstwem.
- Ciekawe, co na to powiedzą chłopcy z drogówki.

O jedenastej byli już na posterunku w Elkins, gdzie przywitał ich ospały policjant czekający na pierwsze zgłoszenie tego dnia. W tym mieście przypadki śmierci ograniczały się tylko do wypadków, ewentualnie samobójstw. O morderstwie nikt tu nie słyszał od dobrych piętnastu lat.

- W czym mogę pomóc?
- Detektywi Adams i Ross. Przyjechaliśmy z Cleveland w sprawie...
- Tego wypadku?
- Tak.
- Pamiętam! To ze mną pan rozmawiał. Zaprowadzę was do sierżanta. On pokaże wam wszystko.
- Dzięki...

Sierżant Jonathan Polk był równie zapracowany jak jego podwładny. Udając, że zagłębia się w papiery ostatniej sprawy, grał w pasjansa i zajadał się olbrzymim hamburgerem. Oczywiście nie wiedział, że ekran monitora odbija się w szybie szafki stojącej tuż za jego fotelem.

- Witam panów... — Wstał i jako pierwszy wyciągnął rękę na powitanie.
- Jak życie w wielkim mieście?
- Cały czas coś się dzieje — odparł Adams.
- To tak jak u nas. Sami widzicie. Przepraszam za bałagan, ale nie wiem, gdzie włożyć ręce...

Najlepiej w dupę, pomyślał Ross. Może tam znajdziesz króla kier, który jest ci potrzebny.

— Widzimy — powiedział już na głos.

— To akta sprawy, którą panowie są zainteresowani. Mogę tylko wiedzieć, dlaczego?

— Podejrzewamy, że... — zaczął młody detektyw, ale Adams nie dał mu dokończyć.

— ... że ofiara jest powiązana z siatką przestępczą, zajmującą się handlem narkotykami w Cleveland. Chcielibyśmy przeszukać samochód. Prawdopodobnie Stephen Fox transportował towar do naszego stanu. Może uda nam się ustalić, skąd brał narkotyki i z kim współpracował. — Spojrzał porozumiewawczo na towarzysza.

— Jeżeli mamy jakąkolwiek możliwość powstrzymania dostaw tego świństwa na nasz rynek, to chcemy z niej skorzystać.

— Całkowicie was rozumiem. Proszę za mną, panowie.

Wraz z sierżantem przeszli na mały policyjny parking, gdzie było miejsce raptem na kilka samochodów.

— To ten. — Jonathan Polk wskazał zniszczone BMW.

— Dziękujemy. Proszę sobie nie przeszkadzać — powiedział Adams. — Jeżeli coś odkrywamy, damy znać.

— Dobrze, w takim razie wracam do roboty...

Dwaj detektywi podeszli do wraku, który nadawał się już tylko na złom.

Adams zajął się środkiem. Wnętrze cuchnęło piwem i potem, a tapicerka była cała poplamiona. Miejscami lepila się do rękawiczek. Zawzięty detektyw sprawdzał kolejno każdy zakamarek i wszystkie schowki. Nie pominął żadnej szpary. Cofał siedzenia, a nawet odrywał luźne plastiki, ale jego tytaniczna praca na niewiele się zdała. Znalazł jedynie puste torebki po chipsach, gazetę, papierki, niedopałki oraz puszki po piwie i dwa kwitki parkingowe z poprzedniego miesiąca.

— Hej! Spójrz na to! — Głos Rossa, który badał ślady na zewnątrz pojazdu, brzmiał dziwnie poważnie.

— Co masz?

— Jak myślisz, co to może być?

Niewysoki detektyw przyklęknął i oświecił latarką nadkole.

— Kamień?

— Nie sadzę...

Czekaj... — Adams szarpnął i wy dostał dziwny twór. — Przecież to magnes!

— A niech mnie! To urządzenie naprowadzające... — domyślił się Ross.

— Czyli...

— Ktoś przygotował sobie miejsce zbrodni i spokojnie zaczekał, aż pojazd znajdzie się w jego obrębie!

— A później posprzątał po sobie i odjechał...

Detektywi, słowem nie wspominając o faktach, które odkryli, opuścili policyjny parking i skromny posterunek. Udali się do małej kawiarni zlokalizowanej przecznicę dalej. Adams zabrał z samochodu wszystkie akta, które wziął na wycieczkę.

— Popatrz... — Otworzył rejestr wychowanków. — Stephen Fox dostał się do sierocińca w tym samym czasie, co Mark Warren, tyle tylko, że był nieco starszy.

— Dorastali razem...

— Tylko przez kilka lat — uściślił Adams. — Warren został adoptowany przez Maisonów, ale Foxa nikt nie przygarnął. — Odszukał jego kartotekę. — Gdy skończył osiemnaście lat, opuścił sierociniec. Rok później zaczęły się jego problemy. Pierwsze aresztowanie zaliczył po nieudanej kradzieży w monopolowym. Następnie został oskarżony o współpracę z dziupłą samochodową, sprzedającą części z kradzionych pojazdów. Z braku dowodów uniewinniono go. Wielokrotnie aresztowany, tylko raz odsiedział pół roku za napaść.

— Wcześniej wspomniałeś, że samochód, który podobno prowadził Mark Warren, kiedy potracił tę kobietę, był kradziony.

— Tak... Zakładam, że to był pomysł Foxa i pewnie to on był kierowcą. Już wcześniej kradł samochody — zauważył Adams. — Policja pojawiła się na miejscu wypadku i wszyscy z góry założyli, że to Warren prowadził. Myślę, że nadajnik w BMW i ten wypadek to jego sprawka. Zemsta za to, że Fox nie przyznał się i uciekł.

— Być może.

— Z drugiej strony... Warren mógł na niego donieść.

— Byli przyjaciółmi z dzieciństwa... Fox wyciągnął do niego pomocną dłoń, gdy ten najbardziej tego potrzebował. Nie chciał na niego kablować —

domyślił się Ross.

— I odsiedział za niego dziesięć lat?

— Możliwe...

Kelnerka przyniosła kolejne kawy i zamówione wcześniej zestawy obiadowe. Ross od razu złapał za nóż i widelec. Ogromny kawał dobrze wysmażonego steku wylądował w jego ustach.

— Jednak dostrzegam pewien problem — wybełkotał.

— Tak?

— W twojej teorii jest spora dziura.

— Jaka?

— Partnerka Foxa, która również zginęła w tym wypadku. Dobra... Załóżmy, że Warren idzie do więzienia za kolegę. Przez dziesięć lat obmyśla doskonały plan, jak się zemścić, jak go zabić, a potem, przy okazji, uśmierca niewinną kobietę? Coś mi tu nie gra. — Ross nabił na widelec kilka frytek jednocześnie. Po chwili były już w jego ustach. — Kim ona w ogóle była?

— Dobre pytanie. Nie pomyślałem o tym — przyznał się Adams i zerknął do akt. — Jakaś Jane Fultz, zamieszkała w Cleveland.

— Masz tam coś na jej temat?

— Tylko tyle, że od dłuższego czasu mieszkała na osiedlu przyczep kempingowych i miała kilku mężów.

Adams wbił wzrok w rubrykę z dawnymi nazwiskami i zamarł.

— Coś tak ucichł?

— Nie uwierzysz... Jane Fultz dawniej nosiła nazwisko... Warren. Ross o mało co nie zadławił się frytkami.

— Warren? — zapytał z niedowierzaniem. — Jak Mark Warren? Starszy detektyw nie odpowiedział, tylko odszukał w rejestrze wychowanków stronę opisującą losy Marka Warrena.

— Posłuchaj tego! Tu jest napisane, że osoba, która oddała tego chłopca do sierocińca, nazywała się Jane Warren! W opisie relacji widnieje jako matka!

— Skurczybyk! A więc jemu chodziło o matkę, która go porzuciła!

— Nie! — zaprzeczył Adams. — Zaplanował to dokładniej, niż na początku myśleliśmy! Drań upiekł dwie pieczenie na jednym ogniu!

NIEDZIELA

— Jeszcze jeden taki dzień i będę potrzebował tygodnia wolnego — burknął Ross i rozsiadł się na krześle, na którym zazwyczaj siadał Bennet. Na biurku postawił dwa kubki z kawą. Obydwa były dla niego. Zarwał już drugą noc z rzędu. Z politowaniem spojrzął na Adamsa, uparcie studiującego jakieś papiery. — A ty nie masz dość?

— Nie chcę, żeby nam zwiął.

— Nie mamy pewności, że to jego sprawka.

— Mamy motyw i podejrzanego.

— Kapitan chyba nie był zadowolony, że ściągasz go tutaj w niedzielne popołudnie...

— To prawda, ale nie mamy wyjścia. Jeżeli nasze rozumowanie jest słuszne, mogą pojawić się kolejne ofiary.

— To, że zabił faceta, za którego poszedł siedzieć i matkę, która go opuściła, nie znaczy, że mamy do czynienia z seryjnym mordercą. Oczywiście, jeżeli w ogóle ich zabił.

— Matka zostawiła go w sierocińcu jako noworodka. Przez następne lata był molestowany, bity i poniżany. Niejednemu mogłoby się poprzewracać w głowie. Kto wie, co jeszcze planuje — zauważył Adams.

— Może masz rację, a może nie — dodał obojętnie Ross, leniwie mieszając kawę plastikowym patyczkiem.

— Oby to były tylko moje spekulacje, ale mam wrażenie, że jego związek z tymi trzema sprawami nie jest przypadkowy.

— Chodzi ci o śmierć Williama Maisona i tej zakonnicy?

— Tak.

— Czy ty przypadkiem nie grzebiesz w mojej sprawie? Co do...

— oburzył się Ross, wstając. — Czy to mój raport, który pisałem wczoraj późnym wieczorem?

— Tak.

— Przecież zaniósłem go na biurko Goldwyna!

— Właśnie tam go znalazłem.

Ross myślał, że wybuchnie.

— Daj spokój... Inaczej i tak bym cię o niego poprosił.

Poirytowany detektyw usiadł i zrobił porządną łyk gorącej kawy — oparzył sobie przętyk.

— Cholera... Więc twierdzisz, że źle wykonuję swoją robotę?

— Nie... Szukam powiązania, wskazówki, że Warren był w to zamieszany.

— Przecież znaleźliśmy niepodważalne dowody, że to Bersani, czyli Don Corleone porwał Williama Maisona. Wprawdzie nie mamy broni, z której strzelał, ale na fiolce po anestetyku, pozostawionej w domu Maisonów i na strzykawce odkrytej podczas oględzin ferrari tego mafiosa, znajdowały się jego odciski palców. Nie muszę chyba dodawać, że w organizmie ofiary patolog wykrył tę samą substancję, którą zawierały obydwie przedmioty.

— Nie twierdę, że go nie zabił!

— To co, do cholery, chcesz udowodnić?!

— Mam! — wrzasnął Adams jak opętany.

— Co znowu? — Ross poprawił się na krześle.

— Jak mogłem to przeoczyć! — wyrzucał sobie. — Przy ciebie znaleźliście dwie fotografie! Na obydwu widniały wcześniejsze ofiary Williama Maisona.

— Podrzucił je Bersani, żebyśmy wiedzieli, że ojciec idealnej rodziny nie był wcale taki idealny. To była najzwyczajniejsza zemsta.

— I skąd niby wiedział, że piętnaście lat wcześniej William Maison zabił sąsiada, który był zakopany pół metra głębiej niż jego następcą?

Ross nie odpowiedział. Ten argument rzeczywiście do niego trafił. Kilka dni temu, to samo pytanie zadał mu kapitan. Do tej pory nie znalazł na nie zadowalającej odpowiedzi.

— Czekaj... Chcesz powiedzieć, że Mark Maison zaplanował to wszystko?

— Nie wiem, jak do tego doszło, ale wierzę, że to właśnie on podrzucił te zdjęcia. Tylko on wiedział, że jego opiekun zabił tego człowieka. Zauważ, że fotografia Perry'ego była stara — zrobiona tradycyjnym aparatem. Tę drugą wydrukowano na zwykłej drukarce, którą możesz kupić za parę dolarów w każdym markecie.

— Myślisz, że jeżeli spędzę jeszcze jeden dzień w twoim towarzystwie, to zacznę być taki jak ty?

— Nie byłoby cię tu, gdybyś w to nie wierzył.

— Wyjaśnijmy sobie coś. Chcę zlokalizować młodego Maisona tak samo jak ty, ale z innych powodów. Liczę, że potwierdzi udział byłego opiekuna w pierwszej zbrodni i zezna coś w sprawie żony Maisona. Nie wiemy, jak bardzo jest w to zamieszana.

— W takim razie weź się do roboty i pomóż mi.

Ross bąknął coś pod nosem i od niechcienia otworzył rejestr

wychowanków.

— A jak powiążesz twojego ducha z tą sprawą?

Adams odwrócił głowę i zobaczył, że towarzysz przegląda starą księgę. Wrócił do swojej poprzedniej pozycji i rzucił od niechcenia:

— Tak jak już mówiłem... Od początku wszystko zaplanował.

— To już słyszałem. A dokładniej?

— Stworzył dla nas dziennikarza, który w ogóle nie istniał. Zwrócił uwagę na dyrektora, a następnie na człowieka, którego słowa naprowadziły nas na odpowiedni trop. To dzięki niemu odnalazłem siostrę Annę. Ona jako jedyna mogła nam opowiedzieć całą historię. Wiem, że to śmieszne, ale gdy z nią rozmawiałem, miałem wrażenie, że czekała na moją wizytę. Chciała się wypowiedzieć, ale w nieco inny sposób. Była śmiertelnie chora. Odeszła, kiedy sama sobie na to pozwoliła.

Ross przewrócił oczami. Nie lubił takich wzniosłych historii.

— Wiesz, że ktoś wyrwał stąd kilka stron? — Szybko zmienił temat.

— Tak. Przecież mówiłem ci o tym w samochodzie.

— Wybacz, ale byłem nieco zaspany... I pewnie zauważyłeś, że akurat zniknęła strona tuż po nazwisku *Warren*?

Adams wstał i podszedł do kolegi.

— Nie zwróciłem na to uwagi. Ciekawe... — Wyraźnie zaintrygował go ten fakt.

— Dobrze, że wstałeś. Goldwyn na szóstej. Przywitaj się... W końcu to ty go tu ściągnąłeś.

— Szefie! — krzyknął Adams, skupiając na sobie groźny wzrok przełożonego, który podążył w jego kierunku.

— Adams... Ross? — Kapitan dopiero po chwili zauważył drugiego członka nietypowego zespołu. Niezmiernie zdziwił go widok dwóch asów wydziału w jednym gabinecie w niedzielne popołudnie. — Lepiej, żebyście mieli jakiś konkretny powód...

— No to dawaj — uśmiechnął się młodszy detektyw i oddał głos partnerowi.

Adams, najdokładniej jak potrafił, starał się przybliżyć swoją szaloną teorię. Musiał się niezłe napocić, aby nie pominąć żadnego szczegółu. Kapitana zdecydowanie zaskoczył fakt znalezienia nadajnika w samochodzie matki i kolegi Marka Warrena oraz jego bezpośredni związek z dwoma

innymi sprawami. Słuchał uważnie, ale z minuty na minutę robił coraz dziwniejsze miny. Gdy jego człowiek zakończył niecodzienną prezentację, nie wiedział, jak zareagować.

— No dobra... A macie jakieś dowody na bezpośredni związek Marka Warrena z tymi sprawami? — Spojrzał pytająco na Rossa.

Ten tylko pokręcił głową.

— Najmniejszych. To wszystko są spekulacje, ale muszę przyznać, że warto je zbadać.

Adams nie wierzył własnym uszom. Ross nie tylko zgodził się z nim, ale także go poparł.

— Wiecie, gdzie on teraz jest?

— Nie mamy pojęcia — odparł Adams. — Gdy wyszedł z więzienia, ślad po nim zaginął.

— Najpierw był Warrenem, potem Maisonem, potem znowu Warrenem... Może kolejny raz zmienił nazwisko? — zastanawiał się Arthur Goldwyn.

— Widzielibyśmy to w naszej kartotece.

— Jeżeli facet jest aż tak cwany, jak mówicie, to ukrycie tożsamości nie byłoby dla niego problemem. Podepnijcie się pod urząd, może tam coś znajdziecie.

— Dobry pomysł — pochwalił Adams.

— Zajmę się tym! — oznajmił Ross i usiadł przed komputerem.

Goldwyn podszedł do tablicy, na której widniały poszlaki zebrane ze wszystkich trzech spraw. Przez chwilę stał w bezruchu.

— Wasz tajemniczy mściciel zrobił sobie przerwę... — rzucił niespodziewanie.

Ross nie usłyszał komentarza, ale Adams owszem. Dopiero teraz zauważył coś, co wcześniej mu umknęło. Stanął obok szefa i dokładnie przeanalizował dni, w których odkryto ciała ofiar.

— Martwą zakonnicę znaleziono w środę, podobnie jak zwłoki Williama Maisona, tyle tylko, że dwa tygodnie później. Mija kilka kolejnych dni i w nocy, z poniedziałku na wtorek ktoś zgłasza wypadek Stephena Foxa i Jane Fultz, kolegi i matki Marka Warrena.

— Facet się rozpędza... — zauważył kapitan.

— On się nie rozpędził... — zaprzeczył Ross, stając tuż za nimi. — To myśmy coś pominęli... Szefie, będzie pan uprzejmy przypomnieć nam

wszystkie dziwne zgony, które zgłoszono wydziałowi pomiędzy samobójstwem tej kobiety — wskazał zdjęcie byłej zakonnicy — a zamordowaniem Williama Maisona?

— Chwileczkę...

Adamsa przeszył dreszcz.

— Nie musi pan myśleć... W tym czasie doszło tylko do jednej zbrodni... John Snyder zastrzelił swoją żonę i sędziego w domku nad jeziorem.

— Kiedy znaleziono ciała? — zapytał Ross.

— We wtorek albo w środę... — wyjaśnił Adams i pobiegł po swój notes. Tylko on mu pozostał po nalocie FBI.

— Dobry Boże... — wyrzucił z siebie Goldwyn.

— A więc tylko ten wypadek nie pasuje do reszty... — kontynuował Ross.

— Wszystko pasuje... — powiedział Adams, podchodząc do tablicy. — Od początku byliśmy w błędzie! — Popatrzyli na niego jak na wariata. — Nie skupiajcie się na datach znalezienia ciał. Spójrzcie na daty śmierci ustalone przez patologów. Wypadek miał miejsce w poniedziałek. Ci trzej i ta zakonnica również zginęli w poniedziałek. A William Maison? — spojrzął na Rossa.

— W poniedziałek...

Kapitan i dwaj detektywi zaniemówili.

— Musicie go znaleźć... — skomentował Goldwyn. — Ross... wracaj do komputera i bierz się do roboty.

— Nie wierzę, że to on za wszystkim stoi. Przecież to...

— Niemożliwe? — dokończył Adams.

— Ale dlaczego doprowadził do śmierci Snyderów i Paxtona?

Adams znał już odpowiedź. Spokojnie podszedł do biurka i wyjął akta sądowe z rozprawy Warrena, kiedy oskarżono go o potrącenie tej dziewczyny i ucieczkę z miejsca wypadku.

— Sędzią wydającym wyrok na osiemnastoletniego Warrena był nie kto inny, jak sam Bill Paxton, a oskarżycielką — Samantha Snyder...

— Matko Przenajświętsza! — Kapitan złapał się za głowę.

— Użył Johna Snydera jako oręża. Nie zakładał, że się zabije. To była tylko przypadkowa ofiara...

— To niemożliwe...

— Ale to prawda...

— Ross! Lepiej, żebyś coś znalazł! — krzyknął Goldwyn.

— To wam się spodoba... — zaczął tajemniczo. — Nie istnieje żadna wzmianka, że Mark Warren czy Mark Maison zmienił tożsamość. W urzędzie nic nie ma, ale znalazłem listę nowo zameldowanych obywateli Cleveland, którzy pojawili się w naszym mieście w tym samym czasie, kiedy facet opuścił więzienie. Usunąłem wszystkich, którzy nie pasują wiekiem, kobiety, małżeństwa, rodziny z dziećmi. Pozostało pięćdziesiąt parę nazwisk.

— I to ma się nam spodobać?

— Na liście znalazł się Daniel Young. Czy te dane coś wam mówią?

— Obiły mi się o uszy — potwierdził Adams.

— To ten, którego dwanaście lat temu skazali na karę śmierci za poćwiartowanie własnej rodziny — wyjaśnił Ross.

— Pamiętam — potwierdził Goldwyn. — Skazali go, a po wykonaniu wyroku znaleźli prawdziwego sprawcę tej masakry. Było o tym głośno.

— Warren podszył się pod tego człowieka? — zdziwił się Adams.

— Po prostu zmienił imię i nazwisko. To nie jest nielegalne.

— Myślicie, że to on?

— Nie mamy lepszego tropu. Jeżeli do tej pory Warren dawał nam wskazówki, to może dalej to robi — domyślił się Ross.

— Chce, żebyśmy go złapali?

— Możliwe. Nie bez przyczyny wybrał to nazwisko. Nie tylko naprowadza nas na cel, ale daje nam do zrozumienia...

— ...że jest niewinny — dokończył Adams.

— A niech mnie! — bąknął kapitan.

— Jest jeszcze jedno *ale*... Zostały nam niecałe dwadzieścia cztery godziny na złapanie go. Ofiary zawsze ginęły w poniedziałek. Mamy niedzielę, a on jeszcze nigdy się nie spóźnił. Jeżeli nie zakończył swojego dzieła, to jutro możemy spodziewać się kolejnego trupa.

Ross i Goldwyn spojrzeli po sobie i zamarli.

STYCZEŃ 1981

Przez nieszczelne okna przedostawały się lodowate podmuchy mroźnego, wieczornego wiatru. Na zewnątrz szalała prawdziwa zawierucha. W świetle przydrożnych latarni przewalały się tysiące płatków śniegu na minutę.

Koszmarne świsty wdzierały się do domostw.

Samochody poruszały się albo bardzo wolno, albo wcale. Kierowcy opuszczali pojazdy, które grzęzły w zaspach. Nie było sensu wzywać pomocy, która i tak nie zdołałaby do nich dotrzeć. Przy temperaturze odczuwalnej poniżej minus piętnastu, skromny płomień w kominku nie wystarczał, aby ogrzać salon, a co dopiero cały dom. Niewielka ilość opału, który pozostał, również była ku temu przeszkodą. Mrozy rozpoczęły się w połowie października i trwały już nieprzerwanie przez trzy miesiące. Nikt nie był przygotowany na tak srogą zimę. Niektórzy ścięli wszystkie drzewa na swoich posesjach. Każda ilość drewna była na wagę złota, a przy skromnych zarobkach i wysokich rachunkach, była to jedyna możliwość przetrwania.

Podobnie postąpił Jonathan Fultz. Zziębnięty, układał na kupie oblodzone klocki drewna, które wcześniej porąbał. Przy okazji niecierpliwie wypatrywał żony — od ponad godziny miała już być w domu. Pracowała jako kasjerka w sklepie i często zapominał, że jej obowiązki nie kończyły się tylko i wyłącznie na zejściu ze stanowiska. Nie był pod tym względem nawet odrobinę wyrozumiały, nawet biorąc pod uwagę fakt, że zarobki kobiety, nie licząc jego zasiłku, stanowiły podstawowe źródło dochodu rodziny, która wkrótce miała się powiększyć.

Ciąża żony nie przeszkadzała mu także w okazywaniu swojego niezadowolenia. Dzień wcześniej pokłócił się z Jane, uderzył ją, pchnął na ścianę i... wcale tego nie żałował. Nie był to pierwszy raz i doskonale wiedział, że nie ostatni. Według niego nieposłuszeństwo zawsze należało karać. Niestety, ta zasada obowiązywała tylko w jednym kierunku. Pił, a kiedy tylko mógł, przesiadywał w barach z kolegami.

Po dwóch latach spędzonych z kobietą, którą — jak jeszcze do niedawna twierdził — kochał, nie zostało już nic z uczucia, jakie kiedyś ich łączyło. Po pewnym czasie nawet przyzwyczajenie zostało zdegradowane do tolerancji.

Wreszcie ją zobaczył. Walczyła z porywistymi podmuchami wiatru, niosąc dwie duże torby z zakupami. Patrzył na jej olbrzymi, wystający brzuch, który od kilku miesięcy napawał go obrzydzeniem. Od kiedy zaczął być widoczny, ani razu jej nie dotknął. Wręcz przeciwnie... Gdy tylko próbowała się zbliżyć, odpychał ją od siebie — czasem gwałtownie i brutalnie.

— Miło, że wreszcie się pojawiłaś — zaczął arogancko.

— Autobus nie jechał! Musiałam wracać piechotą!

— Myślałem, że tak jak wczoraj, znowu ktoś cię odwiezie... Nawet

przygotowałem sobie coś na jego powitanie. — Pomachał siekierą.

— Wiesz, że to była tylko podwózka...

— To zawsze jest tylko podwózka.

— Pomożesz mi?

— To, że jesteś w ciąży nie oznacza, że nie potrafisz chodzić. To tylko dwie papierowe torebki z zakupami. Gdyby były ciężkie, przerwałyby się, a jak widzę są całe. A właśnie... Mam nadzieję, że pamiętałaś o...

Pomimo przenikliwego zimna poczuła uderzenie gorąca. Zapomniała.

— Jeżeli tego nie masz, nie wejdiesz do domu — zagroził.

— Chyba żartujesz...

— Nie żartuję. Zostaw zakupy i zasuwasz. To niedaleko. Jak się pospieszysz, za godzinę będziesz z powrotem.

W tym momencie coś w niej pękło.

— Jak chcesz piwo, to sam sobie po nie idź! Ja wchodzę do domu!

— Coś ty powiedziała? — Stał na jej drodze.

— Słyszałeś — odpowiedziała odważnie.

Podniósł siekierę na wysokość pasa i złapał ją oburącz.

— Na co czekasz? Śmiało! — Widziała szaleństwo w jego oczach, ale była pewna, że tego nie zrobi. Podeszła jeszcze bliżej. Uderzył ją odór alkoholu, buchający z jego ust. Niespodziewanie szturchnął ją obuchem siekiery w bark. Poczuła ostry ból. Grube futro nieco zamortyzowało cios, ale tylko w niewielkim stopniu. Cofnęła się trochę i złapała za ramię. Nie mogła uwierzyć.

— Postradałeś zmysły?! — wrzasnęła, licząc, że ktoś ją usłyszy. Zaczęła się bać. — Jeżeli nie opamiętasz się, pójdę na policję!

Nawet nie drgnął. Przymrużył tylko oczy.

— Śmiało — warknął. — Zrobimy tak... Jeżeli zdołasz dojść do furtki, jesteś wolna i nikt cię nie zatrzyma.

W pierwszej chwili sparaliżowało ją. Nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Jej partner zachowywał się już dziwnie, nawet groźnie, ale jeszcze nigdy w ten sposób. Domyślała się, że ich rozstanie było kwestią czasu, ale nie wyobrażała go sobie w taki sposób. Ostatni raz spojrzała mu głęboko w oczy na pożegnanie. Bez zastanowienia położyła torby na śniegu i odwróciła się.

Gdy zrobiła dwa kroki, za plecami usłyszała dziwny jęk. Nie zdążyła

zareagować. Ostrze siekiery przecięło futro, gruby sweter, bluzkę i pozostawiło dwudziestocentymetrowe rozcięcie na jej plecach. Poczowała przeraźliwy ból. Upadła na kolana, łapiąc się za brzuch. Z trudem oddychała. Mroźne powietrze przy każdym głębszym wdechu paraliżowało jej płuca.

Mężczyzna podbiegł do niej i łapiąc za trzonek siekiery, założył jej na szyję morderczy uścisk. Ofiara zaczęła wymachiwać rękami, próbując wyzwolić się z pułapki. Po dwudziestu sekundach opadła z sił. Była przytomna, ale osunęła się na zaśnieżony chodnik. Przypadkowo jej dłoń spoczęła na czymś zimnym, twardym i chropowatym. Ostatkiem sił objęła dziwny przedmiot i zamachnęła się.

Kawałkiem drewna trafiła prosto w skroń. Oprawca wrzasnął, zwolnił uścisk i puszczając siekiere, złapał się za ranę na głowie. Na śnieg zaczęły kapać krople krwi, tworząc nieregularne wzory.

Gdy podniósł głowę, zdążył zobaczyć tylko zbliżający się obuch siekiery, który wylądował w tym samym miejscu, co drewniany klocek.

Kobieta usłyszała odgłos pękającej kości. Niedoszły morderca zatoczył się i przewrócił w metrową zaspę. Jego ciało wbiło się w śnieg. Pozostał po nim tylko głęboki ślad i nogi wystające na chodnik.

Drżała, ale nie z zimna czy z bólu. Nienawiść przesłoniła wszystkie odczucia. Przez chwilę pozostała w bezruchu. Ostatecznie zwolniła uścisk i puściła siekiere. Złapała się za brzuch. Poczowała dwa mocne kopnięcia.

— Już dobrze... Zaraz będziemy w domu.

Dwa miesiące później...

— Dyrektorze?! Dyrektorze?! — wołanie zaniepokojonej zakonnicy rozeszło się po opustoszałym korytarzu sierocińca.

— Co się stało? — Carl Grant wyskoczył z gabinetu.

— Nie mogę nigdzie znaleźć pana Josepha. Powinien być w kotłowni lub odśnieżać obejście. Piec wygasł, a chodnik dalej jest zasypany, tak jak był. Boję się o niego. Na zewnątrz panuje straszny ziąb. Jeżeli coś sobie zrobił albo stracił przytomność, to... Och! Nawet nie chcę sobie tego wyobrazić.

Przeklęty alkoholik... Już dawno trzeba było się go pozbyć, pomyślał Grant.

— Dobrze, siostró Anno, poszukajmy go. Proszę przynieść lampy. Jest już szaro, a nie chcę, żeby zaskoczyła nas noc. Podczas, gdy my będziemy na

zewnątrz, niech siostra Dona sprawdzi wszystkie zakamarki wewnątrz budynku, razem z piwnicami. Poinstruuje dzieci, aby nie wychodziły z pokoi. Niech kucharka je przypilnuje. Nie potrzeba nam kolejnych zmartwień.

— Dobrze... — Zakonnica pobiegła w kierunku schodów.

Dyrektor wrócił do gabinetu. W myślach przeklinał starego głupca, przez którego musiał wyjść na zewnątrz w taką pogodę. W tym roku wszyscy mieli już dość zimy, ale on najbardziej. Mimo że mieszkał zaledwie dwa kilometry od sierocińca, nie wracał na noc do domu. Wolał spać na niewygodnej kanapie niż marznąć podczas półgodzinnej wędrówki. Z kolei jazdę samochodem uważał za niepotrzebne ryzyko. Zgrzytając ze złości zębami, założył drugi sweter i beżowy, zimowy płaszcz.

Po dziesięciu minutach dwuosobowa ekipa ratunkowa była gotowa. Siostra Anna, ubrana w gruby kożuch, trzymała w ręce dwie lampy.

— Musimy się pospieszyć, bo jak zapadnie zmrok, nasze szanse na odnalezienie go zmaleją do zera. Proszę wypatrywać śladów — poinstruował Carl Grant. — Mam nadzieję, że szybko go znajdziemy, bo przy tych temperaturach...

— Dyrektorze — przerwała mu siostra Anna. — Nie gdybajmy...

— Racja... Do roboty!

Gdy otworzyli drzwi, przywitał ich gwałtowny podmuch lodowatego wiatru. Mocno przymrużyli oczy, gdy zmrożone płatki śniegu zaczęły uderzać o ich twarze. Czuli, jakby ktoś delikatnie kłuł ich policzki ostrymi igłami.

— Ja pójdę tam — wskazał na zachodnią część — a siostra niech uda się w przeciwną stronę. Po drodze sprawdzę szopę i okolice drugiego wejścia. Spotkamy się na tyłach budynku.

— Dobrze!

Zakrywszy twarz, zeszli ze schodów. Poszukiwania — tylko w teorii — miały odbyć się szybko i sprawnie. Gdy siostra Anna zrobiła pierwszy krok, zapadła się po kolana w śniegu. Z trudem utrzymała równowagę.

Chodnik wokoło sierocińca, który miał zostać odśnieżony, był niemalże w stanie dziewiczym. Dwudziestoczwierogodzinna zawierucha, która nie zelżała nawet w ciągu dnia, pokryła śniegiem dosłownie wszystko. Nawet mała fontanna przed budynkiem przypominała teraz cyrkowy namiot.

Kobieta posuwała się bardzo wolno. Musiała wysoko podnosić nogi, aby w

ogóle móc się poruszać. Znacznie więcej uwagi poświęcała pokonywaniu kolejnych zasp niż wypatrywaniu śladów zaginionego stróża. W pewnym momencie usłyszała trzask, dochodzący jakby z nieba.

Podniosła głowę i zamarła. Odskoczyła w ostatniej chwili. Tuż obok niej spadła ogromna czapa śniegu i metalowy, długi przedmiot. Drgnęła, a jej serce забиło mocniej, gdy zobaczyła ostry koniec oderwanej rynny.

Spojrzała w górę i wszystko stało się jasne. Porywisty wiatr uformował na dachu budynku potężne nawisy zbitego śniegu. Było tylko kwestią czasu, zanim kolejne czapy zaczną się obrywać.

Podparła się rękami o zmrożony grunt i wstała. Zgubiła lampę. Było już ciemno i tylko głęboki ślad w śniegu pomógł jej w odszukaniu latarni. Zaczęła grzebać w białym puchu, aż ręce natrafiły na metalowy przedmiot. Zgodnie z jej przewidywaniami, płomień zgasł. Od teraz była zdana tylko na siebie.

Zrobiła kilka kroków w bok. Nie mogła ryzykować marszu przy ścianie. Kolejny spadający nawis mógłby ją zabić. Przedzierała się przez olbrzymie zasy, nie mając żadnego punktu podparcia. Walczyła już nie tylko z przyrodą, ale także z samą sobą. Była przemarznięta i zmęczona.

Po kilku minutach morderczego wysiłku wreszcie znalazła się na tyłach budynku. Ku jej zdziwieniu, dyrektora jeszcze tam nie było. Z trudem dotarła do tylnego wejścia. Pod drzwiami nie dostrzegła żadnych śladów.

Mój Boże, a jeżeli jemu też coś się stało... Przeklęta pogoda. Panie Boże, czy ty to widzisz?! Dlaczego nam nie pomożesz?!

W tym momencie dostrzegła pokaźną sylwetkę wyłaniającą się zza rogu. Odetchnęła z ulgą.

Dziękuję...

— Znalazła siostra jakieś ślady?! — krzyknął z daleka Carl Grant.

— Nie!

— Sprawdziłem szopę, ale tam też go nie ma. A gdzie siostry lampa?

— Zgasła, więc zostawiłam ją.

— W tych warunkach nie mamy szans. Sprawdzę jeszcze linię lasu, a siostra niech wraca do środka. Przy tej pogodzie niczego nie znajdziemy, a jeżeli nawet gdzieś upadł, to przecież śnieg już dawno go przykrył. Proszę wracać po moich śladach. Może siostra dostrzeże coś, co ja przegapiłem.

— Dobrze...

Pomimo chęci kontynuowania poszukiwań, zakonnica z ulgą przyjęła słowa dyrektora i ruszyła we wskazanym kierunku. Ponownie się rozdzielili. Tym razem szła znacznie szybciej. Po tej stronie śniegu było jakby mniej. Na dodatek stąpała po śladach dyrektora, co znacznie ułatwiło jej poruszanie się. Rozglądała się wokoło, ale w ciemności, przy padającym śniegu, dostrzeżenie czegokolwiek graniczyło niemalże z cudem.

Gdy dotarła do frontowej ściany, zrobiła sobie krótką przerwę. Oparła się ręką o mur. Musiała złapać oddech. Ostatni raz rzuciła okiem na okolicę. To było najgorszych dwadzieścia minut, jakie przeżyła. Gdy jej wzrok zatrzymał się na głównym wejściu, poczuła jakby otrzymała zastrzyk energii.

Zbliżając się do upragnionego celu, w pewnym momencie jej oczy dostrzegły coś, co zaburzało idealną płaszczyznę śniegu. Były to ciemniejsze miejsca — ślady, których wcześniej nie zauważyła. Świeże zagłębienia w śniegu prowadziły od głównej bramy, aż pod same drzwi.

Zesztywniała, gdy zobaczyła, co znajduje się na schodach. Od razu rozpoznała, z czym ma do czynienia. To nie był pierwszy raz, kiedy ktoś podrzucił im niemowlę.

Tuż pod samymi drzwiami stał kilkudziesięciocentymetrowy, wiklinowy kosz, owinięty grubym kocem.

Zapominając o zmęczeniu i nie bacząc na śnieg, wbiegła na schody. Uchyliła rąbek koca. Zobaczyła prześliczną, małą twarzyczkę z zarumienionymi policzkami. Dziecko mogło mieć najwyżej miesiąc. Spało w najlepsze, nie mając pojęcia, gdzie obudzi się następnego dnia.

Zakonnica wstała i odwróciła się. Miała wrażenie, że pomiędzy metalowymi prętami uchylonej bramy widzi ciemną sylwetkę osoby, która stoi i czeka na jej reakcję.

Możesz już iść, powiedziała w duchu siostra Anna i złapała za uchwyt kosza. Wtedy cień poruszył się i zniknął w mroku nocy.

Koszyk był bardzo ciężki, ale poradziła sobie. Po chwili była już w środku. Zdjęła oblepiony śniegiem płaszcz i rzuciła go w kąt. Na korytarzu pojawiła się siostra Dona.

— Znalazłam go! — krzyknęła radośnie. — Siedział na strychu z butelką... Mój Boże! Co to?

— Niestety, moja droga, kolejna matka nie udźwignęła ciężaru macierzyństwa. Pomóż mi. Te koce ważą chyba z tonę!

Zakonnice złapały za uchwyt i wspólnymi siłami przeniosły kosz do

kuchni. W tej chwili było to najcieplejsze miejsce w całym budynku.

— Widziałaś matkę?

— Chyba tak, ale to nie ma znaczenia... — Sięgnęła po kopertę, która była włożona pomiędzy koce. Wyciągnęła pojedynczą kartę i pokazała ją towarzyszce.

— A więc... Marku Benjaminie Warrenie, witaj w naszych skromnych progach — powiedziała ciepłym głosem i odsunęła gruby koc.

TYDZIEŃ V

PONIEDZIAŁEK

O piątej trzydzieści rano w budynku przy Detroit Ave. panowała jeszcze błoga cisza — mieszkańcy smacznie spali, przygotowując się na trudy nowego tygodnia. Tylko jedna kobieta — spod 17 A — już dawno buszowała po swoim skromnym, jednopokojowym mieszkaniu. Cierpiała na bezsenność i jak co noc musiała zadowolić się zaledwie kilkugodzinną, przerywaną drzemką, której w żadnym razie nie można było nazwać snem.

Miała olbrzymie worki pod oczami i przekrwione białka. Organizm domagał się snu, ale jednocześnie nie pozwalał na niego. Tylko garść pigułek nasennych pomagała jej przetrwać noc. Siedząc na kanapie umiejscowionej nieopodal drzwi wejściowych, rozwiązywała krzyżówki. Nagle usłyszała podejrzane odgłosy dobiegające z klatki schodowej. Gdy spojrzała na zegarek, zdziwiła się. O tej porze jeszcze nikt z lokatorów nie wychodził do pracy.

Z trudem wstała. Przez wizjer zobaczyła, jak sylwetka jakiegoś mężczyzny przesunęła się przed drzwiami jej mieszkania. Po chwili kolejną, a potem jeszcze jedną. Z zaciekawieniem obserwowała niecodzienną sytuację.

Ross wymienił z Adamsem i Bennetem porozumiewawcze spojrzenia. Wyćwiczonymi gestami ręki dał znak, że mają się odsunąć i osłaniać go. Zapukał energicznie i przyłożył ucho do drzwi.

— Panie Young... Policja! — krzyknął. — Proszę otworzyć, mamy do pana kilka pytań. Panie Young?! — Ponownie zapukał, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Kilkakrotnie uderzył pięścią w drewniane skrzydło.

— Panie Young?!

W tym momencie usłyszał przytłumiony huk. Odskoczył i wycelował w drzwi. W pierwszej chwili pomyślał, że ktoś stoi po drugiej stronie. Zamarł, gdy zorientował się, że dziwny odgłos mógł pochodzić z zupełnie innego źródła.

— Myślicie o tym samym, co ja?

Adams skinął głową.

Ross nie miał zamiaru prowadzić niepotrzebnej dyskusji. Mocno kopnął w

drzwi i jako pierwszy wszedł do środka.

— Policja! Nie ruszać się!

Tuż za nim wkroczył Adams, a na końcu Bennet.

— Panie Young?! Panie Young... Policja! Jest pan tu?!

Brak odpowiedzi nie zwiastował niczego dobrego. Gdyby nie nietypowy odgłos, można by przypuszczać, że mieszkanie jest opuszczone — szczątkowe ilości mebli, kilka kartonów w kącie i idealnie wysprzątane wnętrze.

Sprawdzili mały salonik połączony ze skromnym aneksem kuchennym. W zlewie znajdował się talerz i dwie szklanki — to były jedyne ślady bytności lokatora. Łazienka również była pusta. Pozostał ostatni pokój — niewielka sypialnia. Ross zauważył uchylone drzwi. Lufą pistoletu delikatnie pchnął skrzydło.

— O cholera...

Na środku pokoju stało łóżko, na którym leżał martwy mężczyzna ubrany w dżinsowe spodnie i luźną, czerwoną koszulkę. Jego wyraz twarzy był nijaki. Głowę miał przekrzywioną w lewo. Leżał na wznak. Prawa ręka ułożona była wzdłuż ciała, a lewa zwisała swobodnie, niemalże dotykając wykładziny. Gdyby nie zakrwawiona poduszka, można byłoby odnieść wrażenie, że ów mężczyzna po prostu śpi.

Po lewej stronie, na ścianie i kredensie widniał olbrzymi rozbryzg. Większe krople powoli spływały w dół, tworząc charakterystyczne zacieki. Na podłodze leżał pistolet, którego metaliczna, czarna lufa również miała czerwone zabarwienie.

Ross schował broń. Dziwnie posmutniał. Spuścił głowę i oparł ręce na biodrach.

— Wezwę chłopaków — powiedział obojętnie i usunął się na bok. Ustąpił miejsca Adamsowi, który stał w progu.

Starszy detektyw, z zachowaniem największej ostrożności, wszedł do pokoju samobójcy. Już wielokrotnie miał do czynienia z podobnymi przypadkami i wiedział, co może, a czego nie. Na początek założył rękawiczki. Podszedł do łóżka od prawej strony, aby nie zanieczyścić śladów krwi. Przykucnął przy pistolecie.

— Co pan o tym sądzi, szefie? Samobójstwo, czy jemu też ktoś pomógł?

— Facet sam odebrał sobie życie. Zanim weszliśmy tutaj, przeszukaliśmy całe mieszkanie. Wszystkie okna były zamknięte od wewnątrz. Spływająca

krew sugeruje — pokazał palcem na ścianę — że stało się to jakąś minutę temu. Broń jest jeszcze ciepła, więc to z niej strzelano. Jestem pewien, że balistyka to potwierdzi.

— Dobra... Ekipa będzie tu za pół godziny — oznajmił Ross.

— To nasz człowiek, Daniel Young — potwierdził Adams. Trzymał w ręce prawo jazdy ofiary wyciągnięte z portfela, który leżał na nocnym stoliku.

— A więc spóźniliśmy się — zauważył Bennet.

— W żadnym wypadku — uświadomił go Ross. — Zrobił to, co chciał i zakończył to tak, jak chciał.

— To prawda — zgodził się Adams. — Wiedział, że przyjdziemy i był na to przygotowany. Ułatwił nam pracę i wyczyścił mieszkanie. Chłopcy nie będą musieli przepytować przypadkowych odwiedzających, których włosy znaleźlibyśmy gdzieś w kącie na dywanie, bo takowych śladów po prostu nie będzie. Idę o zakład, że sprawę zamkniemy zaraz po sekcji ofiary.

— Przynajmniej nie skrzywdził nikogo więcej — zauważył młody aspirant.

— On już zakończył swoje dzieło.

— A to co? — Ross pokazał na prawą dłoń ofiary zaciśniętą w pięść. — Coś trzyma...

Adams obszedł łóżko i ostrożnie rozprostował zeszywniałe palce nieboszczyka. Z jego dłoni wypadł poóółkły, zmięty kawałek papieru. Gdy detektyw rozłożył kartkę, pobladł.

— Co to? — dopytywał Ross.

Adams stał jak sparaliżowany i bez jakiegokolwiek odzewu zagłębiał się w treść znaleziska. Gdy skończył, spojrział na towarzyszy i powiedział:

— On miał brata...

— Co?! — zdziwił się młodszy detektyw i wyrwał koledze kartkę.

— Pamiętasz, jak mówiłeś, że po nazwisku Warren brakuje jednej strony w rejestrze? Oto i ona. Mark Warren miał brata o imieniu Benjamin i to jego danych brakowało.

— Tak, ale z dokumentu wynika, że dziecko zmarło kilka dni potem, jak je przygarnięto. Lekarz stwierdził zapalenie płuc.

— A więc to ostatecznie go zmotywowało... — powiedział pod nosem Adams.

— Co? — zapytał Bennet.

— Cały czas zastanawiałem się, dlaczego zabił matkę. Teraz już wiem. To, że go zostawiła, to jedno, ale on obwiniął ją o śmierć brata.

— Wybacz, że przerwę twoje dywagacje, ale mam pytanie... Dlaczego tutaj nie jest napisane, kto oddał to dziecko do adopcji?

— Jak to? — zdziwił się Adams i ponownie zerknął na kartkę.

— W rejestrze przy Marku Warrenie znaleźliśmy informację, że został oddany do sierocińca przez Jane Warren. Tutaj ta rubryka jest pusta. A jeżeli danych nie usunięto, to...

— Tam je dopisano — dokończył Adams. — Pojadę na posterunek i sprawdzę to. I tak nic tu po mnie. Jak przyjedzie brygada, niech przetrząsną to mieszkanie od góry do dołu.

— Przecież powiedziałeś, że i tak nic tu nie znajdą.

— Nie wiem, czy zauważyliście, ale mamy poniedziałek.

— I co z tego?

— I właśnie znaleźliśmy kolejnego trupa...

Nikt z wydziału zabójstw nie mógł zaliczyć tego poniedziałku do udanych. Dotyczyło to również policyjnego grafologa, którego Adams ściągnął do pracy na siódmą rano. Musiał się upewnić, że to Young stał za wszystkim. W magazynie dowodów odszukał kopertę, którą Carl Grant otrzymał od tajemniczego dziennikarza i tę zaadresowaną bezpośrednio do niego, w której ktoś przesłał mu zaginiony rejestr. Ostatnim elementem układanki była sama książka, zawierająca w sobie szczegółowe dane o wychowankach sierocińca.

Adams już od dobrych trzydziestu minut czekał w biurze Jima Collinsa. Z daleka rozpoznał podstarzałego specjalistę, który miał rozwiązać jego wątpliwości. Siwe włosy zaczesane na przedziałek, duże okulary z grubymi oprawkami, surowe spojrzenie, przygarbiona sylwetka i brązowa teczka w ręce — nie można było pomylić go z kimś innym. Odzywał się tylko wtedy, kiedy rzeczywiście zaszła taka potrzeba i gdy wiedział, że jego słowa coś wniosą do sprawy. Nigdy nie brał udziału w spotkaniach po pracy. Nie miał przyjaciół ani rodziny. Dobrze dogadywał się tylko ze swoim psem. Jednak pomimo wielu wad, ceniono profesjonalizm, jakim wykazywał się w pracy i chyba tylko dzięki niemu cały czas tolerowano jego dziwaczne zachowania.

— Jim...

— Adams... — sześćdziesięciosiedmiolatek skinął głową, ale nawet nie

spojrzał na irytującego niziołka, który zaburzył jego rozkład dnia.

— Co słyhać?

— Nie zdążyłem wyprowadzić psa.

Po tej odpowiedzi Adams domyślił się, że dalsze próby bycia miłym nie mają sensu. Przesiedział chwilę w milczeniu, aż Collins włączył sprzęt. Gdy był gotów, od razu przeszedł do sedna sprawy.

— Muszę wiedzieć, czy pismo na tych dwóch kopertach i na tym dokumencie — trzymał w rękach także rejestr wychowanków — jest takie samo. — Nie chciał niepotrzebnie upraszczać sprawy, więc nie zdradził pewnych szczegółów.

W pierwszej kolejności spec wprawnym okiem przyjrzał się przedstawionym dowodom, a następnie zeskanował interesujące go fragmenty tekstu i wrzucił wszystko na duży ekran. Po piętnastu minutach spędzonych w całkowitym milczeniu, miał przygotowaną odpowiedź.

— Nie ma wątpliwości. Obie koperty opisała ta sama osoba. Tę stronę, podobnie zresztą jak całą książkę, zapisał ktoś inny, ale zrobił to do tego momentu — wskazał na tabelkę, w której widniały dane osoby oddającej dziecko do adopcji.

— Co więc z resztą?

— Podróbka, ale całkiem niezła — skomentował krótko Collins.

— Czy jest możliwe, że to ta sama osoba, która napisała nazwiska na tych kopertach?

Mężczyzna ponownie przeanalizował wskazany fragment.

— Nie jestem pewien. Mogę stwierdzić jedno... Podróbka jest wysokiej jakości. Ktoś długo ćwiczył, zanim zabrał się za wypełnienie tej tabelki. Co więcej... Koperty opisał osobnik praworęczny, a ta strona została zapisana przez dwie różne osoby leworęczne.

Grant był leworęczny, pomyślał Adams.

— A zakładając, że tabelkę i koperty opisała ta sama osoba... Którą ręką ten ktoś posługuje się na co dzień?

— Myślę, że prawą, ale głowy bym za to nie dał. Jedno jest pewne... Gość jest cierpliwy i poświęcił na tę tabelkę sporo czasu.

Dziesięć lat powinno wystarczyć, dopowiedział w myślach Adams.

— Dobra, dzięki za analizę.

Po wyjściu z biura Collinsa detektyw miał w głowie jeszcze większy

mętlik niż przedtem. Wyciągnął telefon i skontaktował się z Bennetem.

— Szefie?

— Jesteście jeszcze w domu Warrena?

— Chyba Younga?

— Wszystko jedno. Muszę mieć próbkę jego pisma!

— Może prawo jazdy, które miał przy sobie? Tam widnieje jego podpis.

— Za mało liter. Potrzebne mi są pełne zdania. Przeszukajcie śmietnik za budynkiem. Może tam coś znajdziecie.

— Dobrze... A przy okazji... Idziemy dzisiaj do baru. Przyłączy się pan?

— Nie wiem, czy zdążę.

— Detektyw Ross powiedział, że stawia kolejkę.

— Przemyślę to...

— Chyba czas wreszcie trochę odpuścić, szefie! Przecież nie mamy żadnej nowej sprawy.

— Ale tę trzeba zamknąć. Nie lubię, gdy robota leży odłogiem.

— W razie czego — zapraszamy...

WTOREK

— Panie Goldwyn, teraz pana kolej — poprosiła sekretarka.

Kobieta w eleganckiej białej bluzce i ciemnogrnatowej, prawie czarnej spódnicy za kolana, wstała i krokiem modelki podeszła do masywnych drzwi.

— Pan Barlow oczekuje...

— To jego biuro?

— To biuro dyrektora. Pan Smith udostępnił je na czas pańskiej wizyty.

Co za zaszczyt, pomyślał kapitan. Najlepiej chroniony od podsłuchów pokój w budynku i to do mojej dyspozycji. Świetnie... Tylko tego brakowało.

Gabinet dyrektora FBI był urządzone skromnie. Wyglądem przypominał salę przesłuchań. Wystrój, który praktycznie nie istniał, nie kojarzył się z miejscem, w jakim na co dzień przebywa się przez wiele godzin — żadnych udogodnień i niepotrzebnych drobiazgów. Surowe wnętrze ozdabiała tylko jedna zielona roślina w kanciastej doniczce umiejscowionej przy oknie i wieszak na płaszcz stojący w rogu.

— Witam, panie Goldwyn. Lubię punktualnych ludzi — pochwalił agent.

— A ja szczerych, panie Barlow... Dowiem się, po co ta maskarada?

— Proszę usiąść.

— Postoję... Na fotelu byłbym łatwiejszym celem.

— Jak pan chce... Wezwałem pana z powodu ciekawej notatki, jaką mi pan przysłał w związku ze śledztwem, które przejęliśmy.

— Raczej eseju...

— To prawda. Muszę przyznać, że zainteresował pan tym samego dyrektora. Niezmiernie ubolewał nad faktem, że nie będzie mógł nam towarzyszyć.

— Wyobrażam sobie... Wiecie, że mogę iść z tym dalej?

— To dlaczego jest pan u nas?

— Niech pan mi to powie. W końcu zaproszenie przyszło z waszej strony. Barlow roześmiał się.

— Dobrze pan wie, że dowody w sprawie Snyderów i Paxtona...

— ...wskazują na kogoś innego — dokończył Goldwyn. — To John Snyder ich zabił. Ja to wiem i pan też to wie.

— Nie obawiamy się tych informacji — położył rękę na teczce leżącej na biurku — bo to, co wiemy, nie zawsze...

— Niech pan skończy pieprzyć, panie Barlow, i jasno powie, co jest grane.

— Długo zastanawialiśmy się, dlaczego Foster tak łatwo zwiął. Może pan mógłby nam to wyjaśnić? Pracowaliście razem przez wiele lat. Zналиście się doskonale. Czasami bywał pan towarzysko w jego domu.

Goldwyn wiedział, że prawda w końcu wyjdzie na jaw. Żona Fostera, przyciśnięta przez FBI, ostatecznie pękła. Jednak dzięki Adamsowi i Rossowi miał asa w rękawie, który mógł mu uratować skórę.

— I co z tego?

— Czy dwa tygodnie temu, we wtorek, nie był pan przypadkiem w domu Phila Fostera i nie przekazał mu pan informacji, że jego żona zdradza go z kochankiem?

— Oczywiście, że tak — odpowiedział bez wahania. — To mój stary znajomy. Uznałem, że powinien o czymś takim wiedzieć.

— Doceniam gest, ale w takim razie, jak pan wyjaśni te zdjęcia, opisane przez detektywa Adamsa jako *DO IDENTYFIKACJI*?

— Może chodziło mu o identyfikację kochanka.

— Proszę sobie ze mnie nie żartować... — Uśmiechnął się dobrotliwie agent FBI. — Jeżeli to prawda, to dlaczego nie przesłuchaliście Fostera w tej

sprawie? Nigdzie nie znalazłem jego zeznań. Czyżby...

— Nie został przesłuchany, bo nie zdążyliśmy tego zrobić. Gdyby nie wasza zakichana interwencja, z pewnością...

— Wie pan, że może opuścić ten gabinet w kajdankach za utrudnianie śledztwa? Nie wspomnę już, co by się stało wtedy z pana karierą. Obawiam się, że członkowie wydziału też byliby na cenzurowanym.

— Już dawno mogliście mnie zgarnąć, a nie zrobiliście tego. W tym samym dniu, gdy wypuściliście psy za Fosterem, mogłem trafić do tego gabinetu, a jednak tak się nie stało.

— Tak jak i my, pan również zdaje sobie sprawę, co stałoby się, gdyby Snydera wskazano jako tego, który strzelał.

— W Cleveland zapanowałyby anarchia i chaos. Widział pan *UCIECZKĘ Z NOWEGO YORKU*?

— No właśnie... Wreszcie w czymś się zgadzamy. I dlatego pan również siedział cicho. Mając to na względzie, chcielibyśmy zaproponować rozejm.

— Słucham...

Barlow usiadł w fotelu i oparł łokcie na biurku.

— Odstąpimy od pościgu, ale mamy trzy warunki.

— Ciągle słucham....

— Po pierwsze, John Snyder dalej musi być uważany za przypadkową ofiarę całego tego bałaganu, podobnie jak sędzia Paxton i nieszczęśliwa, fikcyjna kochanka Fosterera, Samantha Snyder.

— Już mi się nie podoba, ale podobnie jak wy, mogę uznać to za konieczne.

— Po drugie... Foster już nigdy nie przekroczy granicy USA.

— A to dlaczego?

— Bo pozostanie winnym.

— Chyba żartujecie? I ja mam się na to zgodzić?

— Co więcej...zabijemy go — roześmiał się Barlow.

— Teraz już jestem pewien, że żartujecie.

— Spokojnie... Zabijemy, ale tylko oficjalnie. Upozorujemy jego śmierć podczas obławy, pewnie gdzieś w Teksasie. Podłożymy trupa i załatwimy papierkową robotę. Osobiście zajmę się sporządzeniem raportu. Wykorzystamy znajomości i załatwimy mu nową tożsamość i nowe życie gdzieś daleko stąd.

— Wyrzucicie Amerykanina z jego własnego kraju po to, żeby mu pomóc?

— Coś w tym rodzaju. W tej chwili ścigają go wszystkie organizacje na świecie. Może być dobry, ale nie jest niewidzialny. W końcu go znajdą.

— A jak go znajdziecie i namówicie, żeby wam zaufał?

— Nie my... To będzie pana rola.

Tym razem to Goldwyn się roześmiał.

— A niby jak mam tego dokonać? Podobno wszystkie organizacje na świecie próbują go złapać.

— To proste... Jak znowu zadzwoni, proszę mu o tym powiedzieć.

— Co? — Kapitana zamurowało.

— Proszę nie robić głupich min. Po incydencie ze zdjęciami monitorowaliśmy pana linię. Wiemy, że dwukrotnie kontaktował się z panem. Najpierw dzwonił z Zachodniej Virginii, a potem z Kanady.

— Dlaczego wtedy nie zakończyliście sprawy?

— Dopiero co odebraliśmy wam śledztwo i mogłoby to spowodować niepotrzebne komplikacje. Nie byliśmy jeszcze na to gotowi. Poza tym... może mi pan wierzyć lub nie, ale też wolimy, gdy sprawiedliwości staje się zadość. Pojawiła się okazja, więc czemu z niej nie skorzystać?

— A jeżeli się nie zgodzę i wszystkie wasze matactwa ujrzą światło dzienne?

— Oczywiście biorę to pod uwagę, ale żeby bajeczka, którą pan nam przedstawił, kogoś jeszcze zainteresowała, potrzebne są dowody. Nie macie ani jednego śladu łączącego Marka Warrena, Marka Maisona czy Daniela Younga ze śmiercią tych wszystkich osób. Jedynym pewnikiem jest fakt, że facet strzelił sobie w łeb. Wszystko inne to puste domysły. Pokażcie mi choćby jeden odcisk palca.

Goldwyn skwitował ten komentarz milczeniem i skierował się w stronę drzwi.

— A po trzecie... — zawrócił go Barlow.

— Myślałem, że moja pomoc była trzecim warunkiem.

— To był tylko podpunkt do warunku drugiego... Weźmie pan wreszcie Adamsa na smycz i niech przestanie węszyć w sprawie, która może nas wszystkich wiele kosztować. W szczególności mam na myśli pół miliona naszych mieszkańców, wiodących, jak do tej pory, w miarę spokojne życie.

— Zobaczę, co da się zrobić...

— Czyli mamy umowę?

— Powiedziałem... zobaczę, co da się zrobić — powtórzył Goldwyn i na pożegnanie trzasnął drzwiami.

Dobroć, współczucie, życzliwość i chęć niesienia pomocy przeplatały się tutaj z tyranią, obojętnością, kłamstwem i obłudą. Takie było odczucie Adamsa, gdy po raz trzeci w ciągu kilku tygodni zobaczył budynek sierocińca. Z zewnątrz wyglądał przyjaźnie — jak miejsce, gdzie opuszczone dzieci mogły zaznać nieco dobroci i spokoju. Niestety, jego wnętrze pisało swoją własną, przerażającą historię.

Detektyw nie zjawił się tu przypadkiem. Został wezwany przez kolegów z wydziału, którzy zajęli się katalogowaniem dowodów opisujących okoliczności śmierci dyrektora Carla Granta. Jeden ze śledczych, podczas przechadzki po lesie w trakcie przerwy, natknął się na makabryczne znalezisko.

Długotrwałe upały i towarzysząca im susza spowodowały odparowanie większości wody z jeziora oddalonego o dwieście metrów od głównego budynku. Pomost, z którego mały Oskar i jego dwaj koledzy skakali do wody podczas zabawy w piratów, wbijał się w piaszczystą glebę. Pozostałością po sporym zbiorniku była kilkumetrowej średnicy kałuża na środku niecki o powierzchni zbliżonej rozmiarami do boiska piłkarskiego. Gdzieś tam można było dostrzec martwe, wysuszone rybki i kłęby suchych, słodkowodnych roślin, do niedawna panoszących się na powierzchni akwenu.

Detektyw podążał zarośniętą leśną ścieżką tuż za swoim *przewodnikiem*. Unikał rozmowy, bo to, co miał za chwilę zobaczyć, było trudne do opisania. Z daleka dostrzegł pomost i jaśniejszy, opadający teren, który do niedawna pokrywała woda. Śpiew ptaków uspokajał go, ale wiedział, że to była cisza przed burzą. Po dotarciu do miejsca, w którym powinien być brzeg jeziora, policjant wskazał na punkt oddalony o około trzydzieści metrów.

— To tam. Proszę iść pomostem, bo im niżej, tym teren jest bardziej grząski. Niedawne ulewy nawodniły luźny grunt. Można się zapaść aż po kolana.

Adams posłuchał rady. Z pewną obawą wszedł na pierwszą drewnianą belkę, która lekko drgnęła i zaskrzypiała. Niecałe sześćdziesiąt kilogramów nie zrobiło na niej większego wrażenia. Kolejne kroki niewysokiego detektywa były już pewniejsze. Odległość od podłoża regularnie rosła, aby ostatecznie osiągnąć ponad dwa i pół metra. Zatrzymał się na ostatniej desce.

Gdy wreszcie w pełni ogarnął wzrokiem to, czego się tutaj dopuszczono, na całym ciele poczuł mrowienie.

Pięć metrów za pomostem, z grząskiego podłoża wystawały ludzkie szczątki. Jasne kości wyraźnie kontrastowały z ciemnym, bagnistym podłożem, uwidaczniając kilka kompletnych szkieletów małych dzieci. Na pierwszy rzut oka, żaden z nich nie był dłuższy niż sto dwadzieścia centymetrów. Dwa mierzyły zdecydowanie poniżej metra.

Adams przykucnął, pokręcił głową i wbił wzrok w głębokie żłobienie w desce pod butami. Nie miał złudzeń — wiedział, co zobaczy, ale widok dziecięcych szkieletów pozbawił go sił i chęci do dalszego działania. Usiadł na końcu pomostu i próbował zebrać myśli.

A ja chciałem dać szansę temu potworowi, wyrzucił sobie. Drań doskonale wiedział, co możemy tutaj odkryć. Tak jak powiedział Oskar Brown... *To wszystko było tylko wierzchołkiem góry lodowej.* Przychodząc z nakazem aresztowania, nie pozostawiliśmy Grantowi wyjścia. I dobrze...

Nie wstydził się tego, że życzył mu i jemu podobnym śmierci. Pierwszy raz od kilku tygodni nie zastanawiał się, dlaczego. Był wdzięczny Youngowi, że ten wskazał im drogę do zboczeńca i mordercy. Wiedział, że bez jego pomocy, nie mieliby szans.

Wstał i wolno poszedł w stronę brzegu. W myślach kolejno przywołał wszystkich, którzy w ciągu ostatnich tygodni zakończyli swój marny żywot dzięki ofiarności i pomysłowości jednego z wychowanków tego upiornego miejsca.

Dzięki śmierci Maisona spokój odnalazły dwie dusze i ich rodziny oraz złapaliśmy wielokrotnego mordercę, którego od lat bezskutecznie próbowaliśmy przymknąć. Samantha Snyder i Bill Paxton zapłacili za swój romans, który mógł przyczynić się do znacznie większej liczby niesprawiedliwych wyroków, aniżeli ten, który wydali w stosunku do Marka Warrena. Stephen Fox przez głupotę i brawurę zabił niewinną dziewczynę, a Jane Warren, może i nieświadomie, ale jednak przyłożyła rękę do śmierci swojego dziecka. Drugie cudem ocalało, aby ostatecznie odpłacić się tym, którzy ukształtowali jego charakter i nie pozostawili mu innego wyjścia.

ŚRODA

To był pierwszy dzień od czterech tygodni, kiedy James Adams nie pojawił się o ósmej na komisariacie. Razem z Rossem otrzymali za zasługi

wolne do końca tygodnia. Przechodzący obok ich biur pracownicy wydziału zabójstw ze zdziwieniem, a jednocześnie z pewną dozą zazdrości, zerkali na zaciągnięte żaluzje w gabinetach asów wydziału.

Pomimo kiepsko zapowiadającej się wizyty Arthura Goldwyna w budynku FBI, jej finał okazał się pomyślny i kapitan wrócił ze spotkania z agentem Barlowem w doskonałym nastroju. Sam cudem ocalał skórę, a jego przyjaciel będzie mógł spędzić resztę życia, spoglądając na świat przez okno bez krat. Zdawał sobie sprawę z udziału Rossa w całej akcji, ale wiedział, że to dzięki dociekliwości Adamsa wkrótce znowu wszyscy będą mogli spać spokojnie.

Gdy wszedł do swojego biura, z nieskrywaną radością, chyba po raz pierwszy w życiu, spojrzął na sterty akt piętrzące się na biurku. Do tej pory nie był do końca świadom, jak szybko może to wszystko stracić. Powiesił jasną marynarkę na oparciu fotela. Chwilę posiedział w bezruchu, delektując się odgłosem krzątania podwładnych, dochodzącym z otwartej przestrzeni tuż za drzwiami.

Spokój przerwał mu pracownik prosektorium, błądzący w poszukiwaniu człowieka, który zlecił mu przeprowadzenie sekcji Jane Fultz i Stephena Focha.

— Szefie? — zapytał nieśmiało patolog. — Nie widział szef Adamsa? Mam dla niego wyniki sekcji tej parki, która zginęła w wypadku w Zachodniej Virginii.

— Jakiej sekcji? — zdziwił się Goldwyn.

— Adams zlecił...

— Dlaczego ja znowu o niczym nie wiem?!

— Myślałem, że... To znaczy Adams powiedział, że nie będzie miał pan nic przeciwko temu. Wczoraj po południu przywieźli zwłoki.

— Świetnie...

— Wie pan, gdzie mogę go znaleźć?

— Nie wiem, ale jestem pewien, że do godziny będzie w moim biurze!

— W takim razie proszę mu to przekazać. — Mężczyzna położył sprawozdanie na biurku. — Teraz idę kroić tego Younga, czy jak mu tam. Za dwie godziny powinienem być gotowy. Jeżeli miałibyście jakieś pytania, walcie śmiało. Moja robota nie ucieknie — roześmiał się i wyszedł.

Po dobrym humorze Goldwyna sprzed kilku chwil nie było już ani śladu. Szybko dawał się ponieść emocjom. W głębi duszy zawsze pochwalał dociekliwość Adamsa, ale niektórych jego decyzji po prostu nie rozumiał.

Sprawy były już właściwie zamknięte, a zbrodniarze ukarani. Najbardziej irytował go fakt, że to jego wydział będzie musiał pokryć koszty bezsensownego transportu zwłok. Co więcej, przyjdzie mu się z tego tłumaczyć przed przełożonym, z którym regularnie darł koty o przekraczanie budżetu.

Ze złością złapał za telefon i wybrał numer Adamsa. Nie cofnął mu płatnego urlopu, ale wezwał go na dywanik. W końcu to on był szefem i odpowiadał za poczynania swoich ludzi.

Po czterdziestu pięciu minutach niewysoki detektyw posłusznie pojawił się pod drzwiami biura szefa. Spokojnie odczekał, aż kapitan skończy rozmowę z nowym kandydatem pretendującym do wstąpienia w szeregi wydziału. Widząc skwaszoną minę młodego mężczyzny opuszczającego biuro, mógł łatwo wywnioskować, jak przebiegła rozmowa.

Wszedł do środka i zamknął drzwi.

— Arthurze... — rozpoczął grzecznie. Dobrze wiedział, dlaczego został wezwany, a pieczętka patologa na wierzchu teczki utwierdziła go w przekonaniu, że ta rozmowa nie będzie należała do przyjemnych.

— Masz tu swój raport... — powiedział ironicznie Goldwyn i rzucił teczkę na krzesło stojące po drugiej stronie biurka.

— Świetnie... — zareagował żywo Adams, udając zaskoczenie. Wziął do ręki dokumenty i zaczął czytać.

— Po cholere zleciłeś to badanie? Przecież tamci dokonali już oględzin zwłok.

— Właśnie... Dokonali oględzin. Sprawdzili poziom alkoholu i tego typu bzdety.

— A co myślałeś?! Że będą badać gęstość tkanki kostnej albo sprawdzać przepływ żylny?

— Nie. Spodziewałem się właśnie takich wyników, jakie otrzymałem. Standardowych i powierzchniowych badań.

— Przecież to był wypadek...

— Zgadza się, ale chyba zapominasz o tym, co odkryliśmy.

— Doskonale pamiętam... Odkryliście domysły. Nie znaleźliście ani jednego śladu łączącego Younga z tymi zbrodniami. Słuchaj... Wiem, że wszystko wskazuje na to, że był w to zamieszany. Sam nie wierzę w taki zbieg okoliczności, ale prawdziwi mordercy dostali to, na co zasłużyli. Są martwi. Tak naprawdę nikt niewinny nie ucierpiał, a Young tylko raz

pociągnął za spust, zabijając się. Może i to wszystko zaplanował, ale zrobił to w genialny sposób. Jeżeli twoja teoria jest prawdziwa, mamy do czynienia z dobroczyńcą, a nie przestępcą. Gdyby było więcej takich ludzi jak on, więzienia byłyby puste, a przestępcy ponosiliby zasłużone kary.

Adams słuchał reprimendy, a przynajmniej udawał, że słucha. Raport całkowicie go pochłonął.

— Czy ty mnie w ogóle słuchasz?!

— To ciekawe...

— Co znowu?

— Wiedziałeś, że Fox był nosicielem HIV?

— A niby skąd? I co z tego? Może mi powiesz, że to miało jakiś wpływ na wypadek albo... że to Young go zaraził?

— Nie, ale facet prawdopodobnie zaraził Jane Fultz, matkę Younga. Ona też była nosicielką. Posłuchaj tego... *Z ogólnego badania organizmu Jane Fultz możemy wnioskować, że kobieta została zarażona przez nosiciela, Stephena Foxa. Zmiany w tkankach odpowiadają bardzo wczesnemu stadium zakażenia wirusem HIV.*

— Nie wiemy, kto ją zaraził.

— W ciele kobiety znaleziono nasienie... Analiza DNA potwierdziła, że należało do Foxa.

— Zaczyna się...

— Przecież nic nie mówię... — skomentował Adams. — Pozwolisz, że wezmę ten raport do domu? Chciałbym mu się w spokoju przyjrzeć.

Zrezygnowany kapitan machnął ręką.

Gdy Adams opuścił biuro, natknął się na śledczego badającego dowody w sprawie samobójstwa Younga.

— Dobrze, że pana spotkałem. Znaleźliśmy coś ciekawego. Proszę za mną.

Adams całkowicie zapomniał o wolnym, które mu przysługiwało. Zerknął przez szybę na Goldwyna. Gdy kapitan zajął się swoimi sprawami, dał znak mężczyźnie, aby ten zaprowadził go do laboratorium.

— Tak jak pan przypuszczał, mieszkanie zostało dobrze wyczyszczone, ale na szklance znaleźliśmy częściowy odcisk palca, a na podłodze włos.

Skęcili do najbliższych drzwi.

— Przeprowadziłem analizę DNA włosa, a odcisk wrzuciłem do bazy. Wyniki tych dwóch badań wskazały na niedawną obecność w mieszkaniu

jednej i tej samej osoby. Podał detektywowi pojedynczą kartkę papieru. — Stephena Foxa...

— Właściwie... Nic dziwnego... Byli przyjaciółmi — wytłumaczył Adams.
— Tylko dlaczego...

— Jest coś jeszcze... Może to nieistotne, ale...

— W tej sprawie każdy szczegół ma znaczenie.

— Odcisk palca zdjęliśmy ze szklanki w zlewie. W jej środku znalazłem szczątkowe pozostałości po pomarańczowym soku, a na nich pleśń i to nie byle jaką. Sprawdziłem to... Jej rodzaj i stan świadczyły o tym, że szklanka musiała stać tam już od dłuższego czasu. Może nawet miesiąc.

— W drugiej nie było pleśni?

— Nie. Jeżeli facet zabił się tuż przed waszym wejściem i był takim czyściochem, to dlaczego przez miesiąc trzymał brudną szklankę?

— Bo była mu potrzebna... — domyślił się Adams. — Jesteś wielki...
Dzięki! — Wybiegł na korytarz i o mały włos nie zderzył się z Bennetem.

— Szefie... Dobrze, że pan tu jest — przywitał się. — Miałem dać znać, jak coś znajdziemy i... znaleźliśmy. — Przekazał Adamsowi teczkę zabraną z domu Younga, oznaczoną jako dowód numer trzynaście. — Była w kartonie razem z książkami.

— To wyniki badań jakiejś dziewczyny.

— Jest w nich coś nadzwyczajnego?

— Właściwie nic oprócz tego, że była zakażona wirusem HIV.

Adamsa przeszył dreszcz.

— Była nosicielką?

— Zgadza się... Ale mamy tu dwa haczyki. Po pierwsze... badania są sprzed kilku lat.

— A po drugie?

— Dziewczyna zmarła parę miesięcy temu.

Doświadczony detektyw ściągnął brwi.

— Chodź ze mną!

— Dokąd?

— Do prosektorium.

— Czy powie mi pan, co się dzieje?

— Sam jeszcze nie wiem...

Prosektorium znajdowało się na tym samym poziomie, co strzelnica. Po zejściu schodami trzeba było tylko skręcić w prawy korytarz zamiast w lewe drzwi. W miarę, jak oddalali się od strzelnicy, odgłosy wystrzałów cichły. Stopniowo zostały zastąpione przez mechaniczne brzęczenie małej piły do cięcia kości.

Gdy weszli do środka, minęli mroczne biuro patologa i pokonali służbę. Wewnątrz właściwego pomieszczenia panował miły chłód. Brzęczenie nagle ustało. Benneta zamurowało, gdy zobaczył, jak patolog wyciąga mózg ofiary i kładzie go na misce przytwierdzonej do wagi.

— Tysiąc czterysta pięćdziesiąt pięć gramów — powiedział głośno młody mężczyzna, aby dyktafon zarejestrował jego słowa. Dzięki temu mógł później spokojnie przygotować dokładny raport. — O! Witam, detektywie! — zawołał wesoło, zdejmując organ z wagi.

— Zostań tutaj albo poczekaj na zewnątrz.

Bennet przyłożył rękę do ust, gdy poczuł mdlący zapach ludzkich wnętrzności.

— Poczekam na zewnątrz... — oznajmił i pospiesznie wyszedł.

Adams, niczym niewzruszony, podszedł do patologa, który wyraźnie był w swoim żywiole.

— Dostał pan mój raport?

— Tak, właśnie dlatego przychodzę. Jak myślisz... Czy Stephen Fox wiedział, że ma HIV?

— Wątpię. Znalazłem jego nasienie w drogach rodnych kobiety. Tak się nie robi, chyba że jesteś wyjątkowo złośliwy — zauważył wesoło patolog.

— Albo chcesz kogoś ukarać... — pomyślał głośno Adams.

— Co proszę?

— Nieważne... A co z nim? — Wskazał na trupa.

— Totalna porażka! Facet dobrze zrobił. Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale być może sam bym tak postąpił.

— Nie rozumiem... Co masz na myśli?

— Guz mózgu z przerzutami... Między innymi do kości. Poza tym... liczne nacieki na tkankach. Jak na razie nie znalazłem w jego krwi śladów leków przeciwnowotworowych ani przeciwbólowych, chociaż przyznam, że nie wszystko jeszcze przebadalem.

— Nie wiedział, że jest chory?

— Wiedział... Zanim zacząłem badanie, sprawdziłem jego kartotekę medyczną. Standardowa procedura. Dwukrotnie odwiedzał onkologa, ale nie podjął leczenia. Prawdę mówiąc, gdyby nie ten nowotwór, to na podstawie kartoteki można by stwierdzić, że do tej pory był zdrow jak ryba. Bardzo rzadko chodził do lekarzy. Raz był u okulisty i neurologa, a dwukrotnie u lekarza ogólnego, który przepisał mu midazolam na bezsenność.

Lek, którym uśpił Samanthę Snyder i Billa Paxtona, domyślił się Adams.

Patolog rozciął mózg.

— Proszę spojrzeć... Oto i nasz złoczyńca. — Wskazał fragment tkanki, która ani powierzchnią, ani konsystencją nie odpowiadała reszcie. — To od niego wszystko się zaczęło...

— To guz?

— Tak, ale... jedną chwilę... — Na twarzy mężczyzny pojawiło się zdziwienie. Jeszcze raz dokładnie przyjrzał się miękkiej, pofałdowanej tkance. Potem odłożył ją na bok i wziął latarkę. Podniósł nieboszczykowi powieki i przyjrzał się gałkom ocznym.

Adams niecierpliwie oczekiwał na ostateczny werdykt. Z uwagą obserwował krzątanie patologa, krążącego nad rozkrojonym ciałem jak sęp nad padliną.

— Detektywie... — zaczął trochę niepewnie. — Nie wiem, czy to wam pomoże, czy nie, ale ten guz nieźle uprzykrzył facetowi życie. Proszę spojrzeć... Jest umiejscowiony tuż obok nerwu wzrokowego. Powiem więcej... On go uciska.

— Co to znaczy?

— Biorąc pod uwagę lokalizację guza, jego rozmiar i zmiany w gałkach ocznych, jestem pewien, że ten gość był ślepy jak kret!

Adamsa przeszył dreszcz. Ta informacja uderzyła w niego jak grom z jasnego nieba.

— Jesteś tego absolutnie pewien?

— Raczej tak. Facet nie żyje, więc nie powie nam tego, ale biorąc pod uwagę wizytę u tych lekarzy, a w szczególności u okulisty i neurologa, możemy przypuszczać, że jakiś czas temu zaczęły się u niego problemy ze snem, a także pojawiły się bóle i zawroty głowy. Po niedługim czasie doszły zaburzenia widzenia. Od tego momentu stan mógł się już tylko pogarszać. Gdy dowiedział się, co mu dolega, było już za późno na leczenie. Czegokolwiek by nie spróbował, skończyłby tak samo. Prawdę mówiąc...

strzelając sobie w głowę, wybrał szybszą i o wiele mniej bolesną śmierć.

CZWARTEK

Arthur Goldwyn w biegu zakładał ulubioną, jasną marynarkę. Wyjściowe drzwi nie zdążyły się przed nim rozsunąć i prawym ramieniem zahaczył o uciekające przed nim skrzydło. Soczystemu przekleństwu towarzyszył głośny łomot całej konstrukcji. Zatrzymał się dopiero na dole schodów, obok samochodu zaparkowanego na białej kopercie, przy chodniku ciągnącym się wzdłuż frontowej części budynku komisariatu.

— Możesz mi powiedzieć, czemu mają służyć te podchody?

— zapytał groźnie kapitan, otwierając drzwi pojazdu.

— Jeżeli nie chcesz, żeby prawda o Synderach i Fosterze wyszła na jaw, to lepiej wsiadaj — rzucił na powitanie Adams.

Kapitan niechętnie spełnił polecenie podwładnego. Detektyw zerknął do lusterka i włączył się do ruchu.

— Skąd o nim wiesz?

— Usłyszałem w telewizji o próbie jego pojmania. FBI odnalazło go gdzieś w Meksyku. Podobno zginął podczas ucieczki na jakimś zapomnianym przez Boga zadupiu.

— To prawda... Też o tym...

— Gówno prawda! — uniósł się Adams. — Dzwoniłem dziś rano do jego żony z kondolencjami. Nie wydawała się zbyt przejęta śmiercią męża. Mów, co jest grane?

Goldwyn ciężko westchnął.

— Foster żyje i ma się dobrze — oznajmił. — FBI poszło na układ. Facet dostanie nową tożsamość, tyle że poza granicami naszego kraju.

— A ta cała maskarada?

— Musieli jakoś zakończyć obławę. W końcu to FBI.

— Dlatego tak szybko chciałeś zamknąć sprawę Younga...

— domyślił się detektyw.

— Jeżeli to wszystko wyszłoby na jaw, wtedy z syfu, który był, zrobiłby się jeszcze większy. Dzięki Youngowi zdobyłem kartę przetargową i wylicytowałem Fosterowi wolność. Gdyby twoja teoria ujrzała światło dzienne, Foster dostałby zastrzyk w celi śmierci, a z Younga zrobiliby seryjnego mordercę. Nie wolisz, że skończyło się tak, jak się skończyło?

— Nie! Nie wiem... — Adamsem targały sprzeczne uczucia.

Po minucie ciszy głos zabrał kapitan.

— Dokąd jedziemy?

— Na południe.

— Domyślam się, ale gdzie dokładnie?

— Cierpliwości...

W milczeniu przejechali kilka kilometrów. Goldwyn miał wyrzuty sumienia, ale wierzył, że postąpił najlepiej, jak mógł. Gdy Adams nieco ochłonął, postanowił wznowić rozmowę.

— A co z sekcją Younga?

— A co cię to obchodzi? Przecież zamknąłeś sprawę!

— Zrobiłem to, co musiałem. Powiesz mi, czy mam sobie przeczytać raport?

— On nie mógł tego zrobić...

— Jak to? O czym ty mówisz?

— Young był nieuleczalnie chory. Podczas sekcji patolog stwierdził, że guz mózgu zdiagnozowany u niego ponad rok temu, spowodował ucisk nerwu wzrokowego. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent facet był niewidomy.

— Co??? To by oznaczało, że...

— ...miał współnika. Kogoś, kto za niego wykonał brudną robotę. On był tylko pomysłodawcą. Być może, początkowo sam chciał zrealizować to przedsięwzięcie, ale choroba pokrzyżowała mu plany. Ktoś musiał mu pomóc.

— Ale kto?

— Fox!

— Stephen Fox? Przecież zginął razem z Jane Fultz! Myślałem, że Young zabił go za to, że ten potrafił tę dziewczynę, i uciekł z miejsca zbrodni!

— Też tak myślałem, ale w domu Younga znaleziono dowód, że Fox złożył mu wizytę jeszcze zanim rozpoczęły się te tajemnicze zgony.

— I Young, ot tak, poprosił Foxa, żeby ten pomógł mu uporzędkować śmierć kilku osób? Daj spokój.

— Dokładnie tak... Ale najpierw odpowiednio go zmotywował. Fox był nosicielem HIV, ale o tym nie wiedział. Young uświadomił go, że umiera i zyskał sprzymierzeńca.

— Wiesz to na pewno?

— Nie, ale zaraz się przekonamy. — Adams zatrzymał samochód.

— Gdzie jesteście?

— Przed domem Foxa.

— Przecież kazałeś Bennetowi sprawdzić go.

— Wiem, ale chłopak dopiero się uczy. Mógł coś pominąć.

— Nie było innego pomagiera?

— Bennet wziął dziś wolne. Jechał z żoną do szpitala.

— A Ross?

— Przepadł jak kamień w wodę.

— No tak. Niespotykane... — zadrwił kapitan. — W końcu ma wolne. Kto, jak kto, ale on wie, co to słowo oznacza. Pewnie obraził się, że nie byłeś na popijawie i teraz nie odbiera.

— Jeszcze będzie okazja się napić.

— Ale to były jego imieniny.

— Ross miał imieniny?

— Nie wiedziałeś?

— A niby skąd... — burknął Adams i opuścił samochód.

Jego przełożony zrobił to samo.

— Wiesz, że od czasu zakończenia śledztwa to własność państwa? Facet nie miał krewnych. Dom zostanie zlicytowany.

— W tej okolicy często zdarzają się włamania.

— W takim razie prowadź, Arsenie Lupin...

Detektyw zbył milczeniem kąśliwą uwagę i wyjął zestaw wytrychów, po czym zaczął walkę z zamkiem. Goldwyn stał tuż za nim, zasłaniając swoim ciałem jego wątłą sylwetkę. Nerwowo rozglądał się po szemranej okolicy. W międzyczasie, w głowie układał sobie tłumaczenie, jeżeli ktoś rozpozna go — szefa wydziału zabójstw — jak włamuje się do cudzego mieszkania bez nakazu. Po dwóch minutach bezowocnych prób Adamsa, stracił cierpliwość.

— Odsuń się, bo za chwilę zleci się tutaj cała dzielnica, a ty dalej będziesz się z tym bawił.

Goldwyn wykonał kilka zgrabnych ruchów i zamek ustąpił.

— Dobrze, że zostałeś detektywem, bo włamywacz z ciebie żaden.

— Gdzie się tego nauczyłeś?

— Ross mi kiedyś pokazał. Szczeniak jest w tym naprawdę dobry.

Weszli do środka parterowego domu. Od razu poczuli zapach zgnilizny. Zamknięte okna i ciepło przyczyniły się do szybkiego rozkładu zgromadzonej żywności.

— Sprzątaczką się nie spisała — zauważył kapitan. — Facet nie był najbystrzejszy. Wątpię, żeby zrywał podłogę, aby coś ukryć. Ja wezmę salon i pokój gościnny, a ty sprawdź kuchnię i łazienkę.

— Czasem dobrze jest być szefem — powiedział złośliwie Adams.

Obaj założyli jednorazowe rękawiczki i rozpoczęli przeszukanie.

Pierwszą czynnością, którą wykonał detektyw, było otwarcie kilku okien nie wychodzących na główną ulicę. Gdy poczuł powiew świeżego powietrza, wróciła mu chęć do pracy.

Opuścił kuchnię i zaczął od łazienki. Jedna jedyna szafka pod umywalką nie kryła niczego tajemniczego. Kilka butelek chemikaliów i zapas papieru toaletowego — to wszystko, co znalazł. Za otwieranym lustrem znajdowały się męskie kosmetyki, głównie do twarzy, golarka i tabletki przeciwbólowe. Zdjął lustro, zajrzał za mebel, a nawet ostukał każdy kafelek z osobna.

Gdy kapitan zakończył oględziny salonu i przeszedł do pokoju gościnnego, Adams rozpoczął walkę w kuchni. Zapach nie był już aż tak uciążliwy, ale jeszcze dawał się we znaki. Zaczął od najpaskudniejszego miejsca — kosza na śmieci. Gdy otworzył szafkę, buchnął z niej niewyobrażalny smród. Zatkanął nos i pogrzebał w pojemniku. Znalazł obierki z ziemniaków, starą sałatkę, spleśniały chleb oraz resztki mięsa — prawdopodobnie kurczaka.

Nie wytrzymał. Złapał pojemnik i pobiegł z nim w kierunku tylnych drzwi. Pospiesznie odblokował je i z radością przywitał świeże powietrze. Zawartość kosza wylądowała na trawniku. Na zaniedbanym, zarośniętym zapleczu domu znalezienie patyka nie było problemem. Suchą gałęzią zaczął rozgrzebywać resztki, w nadziei, że dostrzeże coś wartościowego.

Po dwóch minutach zrezygnował. Wstał i już miał wrócić do domu, kiedy jego wzrok zatrzymał się na jakimś dużym, brązowym przedmiocie, schowanym za parawanem przerośniętych, dzikich krzaków i prawie metrowej trawy.

Odsunął gałęzie. Jego oczom ukazał się mały, drewniany domek gospodarczy ze skośnym dachem o powierzchni nie przekraczającej czterech metrów kwadratowych. Dwoma ścianami przylegał do ogrodzenia. Deski, z których był zbity, już dawno obeszyły z beżowej farby, a niewielkie ubytki w

drewnianej konstrukcji zastąpiono wycinkami blachy.

Adams rzucił okiem na otoczenie. Pomiedzy gałęziami dostrzegł wąski przesmyk. Ominął krzaki i skręcił w zarośniętą ścieżkę. Po chwili stał już przed drzwiami zniszczonej szopy.

Przez szparę pomiędzy zeschniętymi deskami zerknął do środka. Wewnątrz panowała ciemność. Widział jakieś białe elementy, ale nie potrafił ich zidentyfikować. Zardzewiały rygiel był zabezpieczony nową kłódką. Szarpnął, ale stare gwoździe dobrze trzymały. Wyciągnął z kieszeni największy wytrych i założył go pomiędzy mocowanie rygla a stare deski. Pociągnął i usłyszał zgrzyt. Ponowił czynność. Tym razem szarpnął jeszcze mocniej. Trzy z czterech przerdzewiałych gwoździ wysunęły się ze zbutwiałej deski. Złapał oburącz metalowe mocowanie i wyrwał je.

Drzwi same otworzyły się do wewnątrz. Do środka wpadły promienie słońca rozjaśniając ponure wnętrze. Niepewnie przestąpił wysoki próg. To, co znalazł, całkowicie go zaskoczyło.

Na przeciwległej ścianie wisiała olbrzymia, korkowa tablica, na której widniały zdjęcia, notatki i wycinki z gazet. Podszedł bliżej i wyciągnął latarkę. Bez problemu rozpoznał osoby na fotografiach — Samanthę Snyder, Billa Paxtona, Donę Jonson, Carla Granta, Williama Maisona i Jane Fultz.

Wycinki z gazet opisywały zbrodnie, jakich dopuściły się te osoby, a za które ich nie ukarano. Był artykuł o dwóch siostrach pozywających dyrektora sierocińca, stare ogłoszenie o zaginięciu Stevena Perry'ego oraz cała lista wyroków skazujących, wydanych przez *cudaowną* parę Paxton-Snyder, w których z pewnością można było doszukać się wielu nieprawidłowości. Była także wzmianka o niesprawiedliwym skazaniu na śmierć Daniela Younga, którego imię i nazwisko przyjął Mark Maison.

Po lewej stronie stało stare, zniszczone biurko. Szarpnąwszy za uchwyt, Adams wyciągnął szufladę. W środku znajdowała się identyczna koperta, jak ta, którą dostał on i John Snyder, a także Carl Grant. Pod nią leżał gruby, skórzany notatnik.

Detektyw odpiął zabezpieczenie i zaczął przeglądać strony. Gdy dotarł do połowy, światło przesłonił mu jakiś cień. Drgnął, gdy zobaczył barczystego osobnika stojącego w wejściu.

— Masz coś? — zapytał Goldwyn.

— Wszystko... — odpowiedział krótko Adams. — Tu jest wszystko... — Wskazał na notatnik. — Dokładne dane każdej z ofiar, począwszy od wagi i

wzrostu, a skończywszy na rozkładach dnia i planowanych wizytach. Dalej mamy szczegółowy opis każdej zbrodni. Dokładny plan rozpisany na dni, godziny i minuty. To jak wojskowa operacja, doskonale zaplanowana i opracowana do perfekcji, w każdym calu.

— Niesamowite... Miałeś rację, spójrz. — Kapitan podszedł do tablicy. — To zdjęcia Samantha Snyder obściskującej się z kilkoma różnymi mężczyznami. Chryste... Przecież to członkowie wymiaru sprawiedliwości. Osobiście znam niemalże wszystkich. — Przeraził się.

W tym czasie Adams wygrzebał z niższej szuflady kolejne dowody.

— A to co?

— Folder z kurortu i potwierdzenie rezerwacji dwuosobowego pokoju... To ze Stunton, w Virginii. Rezerwacja jest na nazwisko Fox, a dokonał jej i zapłacił za pobyt Daniel Young. A tutaj jest mapa z wytyczoną trasą...

— Wzajemnie sobie pomogli... — domyślił się Goldwyn.

— Spójrz na to. Na tych zdjęciach Samantha Snyder rozmawia z Fosterem i przekazuje mu jakieś informacje. Nie wiedziałem, że z nią też robił interesy. W notatniku znalazłem kilka stron o nim. Może on też miał być celem?

— Kto wie...

— Czy jest coś, co powinienem wiedzieć?

— Dawne dzieje...

— Czy Foster był w coś zamieszany?

Kapitan westchnął.

— Pamiętasz, dlaczego odszedł z policji?

— Nie mógł się pozbierać po śmierci tego chłopca. To była głośna sprawa. Jego partnera wydalono ze służby i skazano na trzy lata więzienia.

— To Foster wtedy strzelał...

— Jak to?!

— Po prostu... Wezwano ich na akcję. Tego dnia jego partner sporo wypił. Facet w ogóle nie wiedział, co robi. Zaczęli strzelać do chłopaka, który wymierzył do nich z pistoletu-zabawki. Podobno Daniels wystrzelił pierwszy, ale to kula Foster'a trafiła chłopaka.

— Podrzucił dowody?!

— Obie kule jakimś cudem przepadły, a pijany Daniels nie miał pojęcia, co tak naprawdę się wydarzyło. Gdy wzięli go na badanie, alkomat pokazał ponad dwa promile. Reszta była już tylko formalnością. Foster zeznał, że

strzelał w ziemię, aby przestraszyć chłopaka.

— Danielsa zamknięto, a on dobrowolnie odszedł ze służby.

— Tak — potwierdził Goldwyn. — Dostał naganę za to, że nie zgłosił nietrzeźwości partnera i na tym się skończyło.

— Niech zgadnę, kto prowadził sprawę...

— Samantha Snyder...

— Oczywiście! Był jej coś winien... — Adams machnął zdjęciami.

— A Young to wykorzystał, aby wkurzyć Snydera.

— Od początku wiedziałeś o Fosterze?

— Przyznał się w dniu, w którym złożył rezygnację.

— I nic nie zrobiłeś?

— Wiem, że to kiepsko wygląda, ale Daniels miał więcej za kołnierzem niż można by się spodziewać. To nie był pierwszy raz, gdy popadł w kłopoty. Wierz mi, że zasłużył sobie na to znacznie bardziej niż Foster.

— Mój Boże... Co z tym zrobimy? — zapytał Adams.

— Z czym?

— Z tym wszystkim, do cholery! — Zatoczył ręką koło. Jeżeli to wyjdzie na jaw... — Detektyw oparł się o stary, zniszczony przez kroniki mebel. W głowie miał płataninę myśli. Nagle doznał olśnienia. — Musimy to zniszczyć. Wszystko! — rzucił nagle.

— Zgadzam się z tobą w stu procentach — potaknął Goldwyn.

— Ale nie możemy tego zabrać. Moglibyśmy coś przeoczyć... Spalimy to razem ze wszystkim, co tutaj jest...

Kapitan kiwnął głową i wyszedł. Po chwili wrócił ze sporą ilością suchej trawy i gałęzi.

— Myślę, że tyle wystarczy.

— Rzuć to pod biurko — rozkazał Adams.

Wyciągnęli wszystkie szuflady, a tablicę przesunęli i oparli o mebel, tworząc wielki stos drewna.

Goldwyn sięgnął po zapalniczkę. Przykucnął i podpalił trawę, od której zajęły się mniejsze patyki. Szybkość, z jaką płomień przeskakiwał na kolejne przedmioty, była zadziwiająca. Z szopy zaczął unosić się duszący, szary dym. Zamknęli drzwi i pobiegli do samochodu.

Chwilę później byli już kilka przecznic dalej. W połowie drogi na komisariat minęły ich dwa wozy straży pożarnej.

PIĄTEK

Ross minął bramę cmentarza i jechał wolno główną aleją. Wypatrywał karawanu i ewentualnych pojazdów. Wreszcie je dostrzegł. Dwa szare samochody stały nieopodal kilkusobowej grupy ludzi ubranych na czarno.

Wśród zebranych znajdował się pastor i ministrant oraz czterech postawnych mężczyzn, którzy mieli za zadanie opuścić skromną, drewnianą trumnę do głębokiego grobu.

Ross zwolnił i zatrzymał się w odległości pięćdziesięciu metrów od ostatniego pojazdu. Wyłączył silnik i wysiadł z auta. Słyszał pojedyncze, niewyraźne słowa żegnające zmarłego parafianina. Z wiarą był na bakier, ale podstawy dobrze pamiętał. Przeżegnał się i skrzyżował ręce.

Spojrzał na ludzi otaczających trumnę Younga. Od razu rozpoznał zgarbioną staruszkę — sąsiadkę nieboszczyka, a także kobietę po trzydziestce — administratorkę budynku. Z obiema rozmawiał tego samego dnia, w którym znaleźli ciało Younga. Pozostałych ludzi nie kojarzył, ale zgadywał, że również byli współlokatorami zmarłego.

Nie skupiając się na monologu pastora, popadł w zadumę. Nie pamiętał dokładnie żadnej modlitwy, ale potrafił podziękować. W myślach przytoczył wszystkie zbrodnie, które wyszły na jaw.

Po kilku minutach milczenia podniósł głowę i zobaczył rozchodzących się ludzi. Już miał wsiąść do samochodu, gdy z za wysokiego, kamiennego pomnika w kształcie krzyża, wyłoniła się znajoma sylwetka.

Słońce raziło go w oczy. Przymrużył je, aby dokładniej przyjrzeć się niewysokiemu osobnikowi. Nie miał wątpliwości — metr sześćdziesiąt wzrostu, szybki, drobny krok i wyraz twarzy, z którego nie można wyczytać absolutnie nic. To był Adams. Niósł w dłoni jakieś zawiniątko.

— Ross?

— Cześć...

— Widzę, że nie tylko ja wpadłem na ten pomysł.

— Należało mu się pożegnanie od wydziału.

— To prawda. W końcu sporo dla nas zrobił.

— Czyżbyś wreszcie zakończył śledztwo?

— Tak. Słuchaj... Przepraszam, że nie wpadłem na twoje imieniny. Gdybym wiedział...

— Daj spokój! Postawiłem chłopakom kolejkę i tyle.

— Mimo wszystko, trochę mi głupio. Masz... To dla ciebie. — Adams wyciągnął zza pleców prostokątny przedmiot owinięty w ozdobny papier.

— Oszalałeś?!

— To naprawdę nic wielkiego...

Ross podejrzliwie wyciągnął rękę. Już dawno nie dostał żadnego prezentu. Szczerze mówiąc, nie pamiętał, kiedy w ogóle coś dostał.

— Dziękuję... Mam otworzyć?

— To twój prezent — rozśmiał się Adams. — Rób, co chcesz.

Ross szarpnął za papier. Oderwał kawałek, a później następny.

Zobaczył coś brązowego, lekko uginającego się pod naciskiem. Wreszcie porządnie złapał i jednym pociągnięciem zerwał resztę papieru.

Adams ze spokojem obserwował jego reakcję.

Gdy solenizant przewrócił kilka kartek i domyślił się, co trzyma w rękach, spojrział na kolegę z wydziału dzikim, nieprzyjaznym wzrokiem.

— Nie rozumiem... To jakiś żart?

— Bynajmniej... Razem z kapitanem znaleźliśmy to w domku gospodarczym na tyłach posesji Foxa.

— Young i Fox byli współnikami?

— Na to wygląda.

Ross wertował kolejne strony tajemniczego notatnika.

— Dalej nie rozumiem, dlaczego mi to dałeś.

— Od początku intrygowało mnie pewne pytanie, na które do tej pory nie znalazłem odpowiedzi.

— Mianowicie?

— Jak Young zidentyfikował swoją matkę? Przecież nie wiedział, kim była. Zostawiła go wraz z bratem pod drzwiami sierocińca. Wpis w aktach był sfalszowany. Jediną szansą było badanie DNA. Problem w tym, że do tego musisz mieć bazę, z którą możesz porównać wynik.

— Nie rozumiem, do czego zmierzasz...

— Do tego, że prawdopodobnie pomógł mu ktoś z policji.

— Przecież wiedział, jakiego nazwiska szukać.

— Warren to bardzo popularne nazwisko. Poza tym... nie mógł mieć pewności, że nazwisko, jakie nosił, było takie samo, jak jego matki. W

samym Cleveland mamy ponad trzysta kobiet, które tak się nazywają. Dolicz okoliczne miasta i tereny w odległości około pięćdziesięciu kilometrów od sierocińca. Oczywiście zakładamy, że ta kobieta nie przeprowadziła się do innego miasta lub stanu i nie zmieniła nazwiska.

— Może miał szczęście...

— Prawdę mówiąc, jego szanse na odnalezienie matki były równe zeru, a w dodatku nie miał wiele czasu. Z kolei my, jako policja, mamy dostęp do największej bazy DNA na świecie. Wystarczyło wrzucić dane i nacisnąć jeden klawisz. Szansa na pozytywną identyfikację była spora. Jane Fultz miała co nieco na swoim koncie i była w naszej bazie. On również. Sądzę, że właśnie tak ją zlokalizował.

— Zwariowałaś...

— Nie wspomnę o danych Marka Warrena, które nie zostały zaktualizowane albo raczej zostały wymazane z naszej bazy. Komu najprościej było się do nich dostać?

— Policjantowi? — zapytał ironicznie Ross.

— Zgadza się... Young był schorowany i niedowidział, a Fox, niech mu ziemia lekką będzie, nie grzeszył sprytem.

— A mówiłeś, że zakończyłeś śledztwo...

— I nie kłamałem. Young chciał się zemścić, ale to nie Fox był jego partnerem. Ten drobny gangster wisiał mu ogromną przysługę i najzwyczajniej w świecie chciał spłacić dług. Wykonał tylko kilka poleceń. Biedak nie wiedział, jak się to dla niego skończy.

— Skończyło się śmiercią...

— I jego duch przestawił znaki z powrotem?

— Nie rozumiem.

— Wylecieli z drogi. Fox zginął na miejscu, a Young był niewidomy. Kto więc odwrócił znaki i dokręcił śruby? Sam powiedziałeś, że ktoś przy nich majstrował.

— Ale... Jeżeli nie Fox, to kto pomógł Youngowi?

— To byłeś ty.

— Co?! Popieprzyło cię?

— Nie... Wreszcie przejrzałem na oczy. Fox nigdy nie został adoptowany. Uczył się w sierocińcu. Gdy opuścił jego mury, zamiast pójść do pracy, postanowił zostać przestępcą. Young nie był wiele sprytniejszy. Z trudem

ukończył szkołę podstawową. W średniej też miał kłopoty. Ostatecznie uciekł z domu. Obydwaj byli przeciętni, a ten plan wymagał geniusza. Wybacz włożenie w dupę, ale znam tylko jednego faceta pracującego w policji, który mógł wymyślić coś takiego.

— Poprzestawiało ci się we łbie! Idź się zbadać!

— A propos badań... Patolog sprawdził kartę leczenia Younga.

— I co z nią?

— Nic. Gdy zdiagnozowali u niego nowotwór, facet odmówił leczenia, podpisując stosowne oświadczenie. Wczoraj grafolog sprawdził dla mnie jego pismo. Nie pasuje do żadnego elementu układanki. Notes, który trzymasz w ręce, jest zapisany przez jednego człowieka. Od dokładnego zaplanowania każdej z akcji, aż po śmierć Foxa i matki Younga. Powiedz mi, po co Fox miałby opisywać swoją śmierć? Z kolei Young oślepl. On też nie mógł tego napisać.

— Ale gdzie w tym wszystkim moja osoba?!

— Wiedziałem, że skądś znam to pismo. Pamiętasz twój raport ze sprawy Maisona?

— Ukradłeś go...

— Pożyczyłem... Dałem go naszemu grafologowi, Collinsowi i poprosiłem o kolejną analizę. Wyniki okazały się zaskakujące.

— I chcesz powiedzieć, że moje pismo jest identyczne z tym na kopertach i w notesie?

— Tak...

— Jesteś nienormalny!

Ross zaczerwienił się ze złości. Miał już dość tych oszczerstw. Wsiadł do samochodu i włączył silnik.

— Siedemnasty marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku. Coś ci mówi ta data?! — krzyknął Adams przez zamkniętą szybę.

— To moje urodziny — warknął Ross.

— To także dzień, w którym znaleziono Marka i Benjaminą Warrenów na schodach sierocińca.

Ross przekręcił kluczyk i silnik zamilkł. Opuścił szybę i spojrzał pytająco na kolegę z wydziału.

— Pogrzebałem i dowiedziałem się, że w przypadku podrzuconych noworodków, za datę urodzin przyjmuje się dzień, w którym zostały oddane

pod opiekę. Nie przyjechałeś tutaj żeby podziękować Youngowi. Przyjechałeś pożegnać brata, któremu pomogłeś zemścić się za wszystkie krzywdy, jakie go w życiu spotkały, prawda Benjaminie?

Rossa sparaliżowało. Już dawno nie słyszał tego imienia. Nie był nawet do końca pewien, czy kiedyś należało do niego.

— Wsiadaj... — powiedział od niechcienia.

Adams pospiesznie obiegł srebrną toyotę i zajął miejsce pasażera. Po chwili milczenia Ross westchnął i pokręcił głową.

— Był dobrym człowiekiem, tylko trafił na niewłaściwych ludzi — zaczął niespodziewanie, wpatrując się w miejsce, gdzie pochowano Younga. — Ja miałem to szczęście i zostałem adoptowany prawie natychmiast. Znalazła się rodzina, która zapłaciła dyrektorowi za mnie kupę kasy. Trafiłem do dobrego domu. Za nienaganne zachowanie i świetne wyniki w nauce spełniali każdą moją zachciankę. Sami nie mogli mieć dzieci, więc rozpieszczali mnie do granic możliwości.

— Dyrektor chciał ukryć łapówkę i upozorował twoją śmierć?

— To oni nalegali. Nie chcieli, aby inni wiedzieli, że mają adoptowanego syna. Pewnie zapłacili komu trzeba i moja metryka urodzenia pojawiła się w odpowiednich aktach. Wyobrażasz sobie, że jeszcze kilka lat temu nie wiedziałem, że mam brata — powiedział z wymuszonym uśmiechem. — Kiedyś, dla jaj, wrzuciłem swoje DNA do bazy i wyszło, że jestem spokrewniony z przestępcą skazanym za śmiertelne potrącenie dziewczyny i ucieczkę z miejsca zbrodni. Na początku nie chciałem mieć z nim nic wspólnego, ale gdy wyszedł, przemogłem się i postanowiłem go odnaleźć.

— Zdziwił się?

— I to jak. Nie mógł uwierzyć, że widzi ducha. Wiedział o mnie, bo zaraz po wyjściu z kicia zaczął planować zemstę na tych, którzy go oszukali. Na samym początku wykradł rejestr z sierocińca. Przypadkiem odkrył, że miał brata, który zmarł chwilę po tym, jak został przygarnięty. Jednak okazało się, że brat żyje i ma się świetnie...

— I pomogłeś mu...

— Wiedział, co chce zrobić, ale nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać. Potrzebował rady w kilku sprawach. Pracowałem w policji i miałem dostęp do źródeł, o jakich on mógł tylko pomarzyć.

— Ale jego choroba pokrzyżowała wam plany.

— To prawda. Mark nie chciał cierpieć jak inni ludzie, których widział w

szpitalu. Gdy zdiagnozowano u niego przerzuty, poddał się i postanowił, że jego śmierć stanie się elementem planu. Na początku nie chciałem się na to zgodzić, ale w końcu ustąpiłem. Wiedzieliśmy, że utrata wzroku może zostać odkryta i musieliśmy znaleźć alternatywę.

— Czyli Foxa... — domyślił się Adams. — Jak namówiliście go do współpracy?

— Mały szantaż. Nie wiedział, że kobieta, z którą miał się umówić, to nasza matka.

— On myślał, że z jakiegoś powodu ma ją zarazić i dacie mu spokój.

— Tak. Niestety, detektywie. Nie zawsze trzeba zabić, żeby zasłużyć na śmierć. Mark nie potrafił wybaczyć matce, że przez jej decyzję doznał tylu krzywd.

— Biedny człowiek...

— Mało powiedziane.

— A na koniec podrzuciłeś wszystko do domu Foxa.

— Tak. Podłożyłem trochę materiałów, które jak mniemam znalazłeś.

— A Don Corleone?

— To była czysta improwizacja, ale świetnie się złożyło — roześmiał się Ross.

Nastała chwila ciszy. Żaden z nich nie wiedział, jak zakończyć tę rozmowę.

— Muszę przyznać, że naprawdę zasługujesz na miano asa wydziału.

— I mówi to facet, który przez miesiąc wodził za nos każdego śledczego w tym mieście...

— Więc jak będzie, detektywie Adams? Jedziemy na komisariat?

— Myślę, że bar będzie lepszym rozwiązaniem.

Ross odwrócił głowę w stronę starszego kolegi.

— Co tak patrzysz? Wszystkie dowody łączące Foxa ze sprawą poszły z dymem, a Young, gdy dowiedział się o nieuleczalnej chorobie, wziął los w swoje ręce. Tylko skończony idiota mógłby pomyśleć, że miałeś z tą sprawą coś wspólnego.

— Nie wierzę...

— To lepiej uwierz! Zapuść tego rzęcha i jedziemy, bo chce mi się pić.

Ross przekręcił kluczyk, ale silnik nawet nie zamruczał. Powtórzył czynność. Kolejna próba, a po niej następna zakończyły się identycznym

rezultatem.

- Cholerny złom! Możemy wziąć twój samochód?
- Chyba nie mamy innego wyjścia...
- W takim razie stawiam podwójną kolejkę.
- Na dobry początek powinno wystarczyć.

Table of Contents

[Strona redakcyjna](#)

[TYDZIEŃ PRZED GŁÓWNYMI WYDARZENIAMI](#)

[TYDZIEŃ I](#)

[PONIEDZIAŁEK](#)

[WTOREK](#)

[ŚRODA](#)

[CZWARTEK](#)

[PIĄTEK](#)

[SOBOTA](#)

[NIEDZIELA](#)

[STYCZEŃ 1987](#)

[TYDZIEŃ II](#)

[PONIEDZIAŁEK](#)

[WTOREK](#)

[ŚRODA](#)

[CZWARTEK](#)

[PIĄTEK](#)

[SOBOTA](#)

[NIEDZIELA](#)

[PAŹDZIERNIK 1999](#)

[TYDZIEŃ III](#)

[PONIEDZIAŁEK](#)

[WTOREK](#)

[ŚRODA](#)

[CZWARTEK](#)

[PIĄTEK](#)

[SOBOTA](#)

[NIEDZIELA](#)

[PAŹDZIERNIK 1998](#)

[TYDZIEŃ IV](#)

[PONIEDZIAŁEK](#)

[WTOREK](#)

[ŚRODA](#)

[CZWARTEK](#)

PIĄTEK
SOBOTA
NIEDZIELA
STYCZEŃ 1981

TYDZIEŃ V

PONIEDZIAŁEK
WTOREK
ŚRODA
CZWARTEK
PIĄTEK